

*Siwinski*

# Róża i Blanka.

POWIEŚĆ

Ksawerego de Montépln.



Książka  
Anny i Czesława  
Frank

WARSZAWA

Druk S. Orgelbranda Synów.

Krakowskie-Przedmieście Nr 17.

1896.

4P II 4 d 2

407327

I

Доволено Цензурою. Варшава, 27 Января 1896 года.

D-25/10388

24.03



W drukiarni S. O. Kęlnyarska Spółw, ulica Krak. - Przedm. № 17.

## CZEŚĆ DRUGA

---

### Róża i Blanka.

Rząd wersalski, pragnąc położyć koniec gwałtom Komuny wydał po porozumieniu się z generałami, rozkaz wzięcia szturmem stolicy, od dwóch miesięcy wydanej na pastwę rewolucyi.

Bombardowanie rozpoczęło się od bramy Auteuil.

Opór powstańców był tak rozpaczliwym, iż wkrótce zrozmano, że jeżeli nie uda się wejść do Paryża podstępem, to przyjdzie się zamienić go w stos gruzów, by zmusić Komunę do poddania się.

Merlin, który namówił Duplata do wydania wojsku wersalskiemu bramy św. Gerwazego, był jednym z wielu szpiegów, pozostającym na żołdzie generała Valenttn, w którego rękach była skoncentrowana cała policya bezpieczeństwa publicznego. Oni to w dniu 22 maja wydali bramę Auteuil wojsku wersalskiemu.

Sądono z początku, że będzie to dostatecznem, lecz zawiedziono się.

Wiadomość o wejściu doprowadziła do wściekłości Siostry bliźniaczki.

ci członków Komuny, Komitetu centralnego i Komitetu ocalenia publicznego, którzy zamiast złożyć broń wobec grożącego niebezpieczeństwa i prędkiej lub później nieuniknionego upadku, z tem większą zaciekłością rzucili się do obrony.

W całej stolicy powystawiano czerwone chorągwie, straszny, bezustanny huk dział mieszał się ze śpiewem Marsylianki. Powołano pospolite ruszenie, rozdawano broń kobietom i dzieciom.

Ale gdy jedna część rozegzaltowanej ludności gotowa była bronić się do ostatniego tchu, inni, niezdecydowani, rządzący się jeszcze odrobiną zdrowego rozsądku, zamysłali o rzuceniu broni do kanału i spaleniu mundurów.

Na każdej ulicy bębny były pobudką, wszystkie dzwony wzywały ludność do broni.

Pozamykano sklepy, wznoszono barykady i zataczano na nie działa.

Dnia 23-go wojska wersalskie obozowały już na Polu Marsowem, na przedmieściu St-Germain, na Murette i wokoło Łuku Tryumfalnego a ich przednie strażę zajmowały stacye Montparnasse, Batignolles i zagrażały ulicy Pepinière i nowej Operze.

Rewolucyoniści ufortyfikowali ulice: Auber, Chausssée d'Antin Drouot, Chateaubeau, Męczenników i Montmartre, nadto wszystkie place i wzgórza najeżone były armatami.

Na głównych arteriach komunikacyjnych gromadzono kamienie z bruku, beczki, wory przewrócone i wszelkie znajdujące się pod ręką przeszkody, w celu utrudnienia pochodu wojsk wersalskich.

I po drugiej stronie Sekwany organizowano obronę z równą zaciekłością; przygotowywano się do walki francuzów z francuzami, walki potwornej, bratobójczej, do wytaczania potoków krwi własnej.

Dnia 25 została wydana, brama Ornanas, jak poprzednio Auteuil.

General Valentin wysłał Merlina do Paryża, gdyż dopiero po opanowaniu bramy św. Gerwazego można było Komunie zadać cios stanowczy.

Merlin z największą ostrożnością przedostał się przez barykady i dnia 26-go rano dotarł do merostwa jedenastego okręgu.

Miał nadzieję znaleźć tam Serwacego Duplat.

Z 57-go batalionu pozostała załedzie połowa, reszta ukryła się, lub uciekła.

Były furyer dowodził kompanią złożoną z najrozmaitszych żywiolów, z których część miała bronić merostwa.

W siedzibie rządu rewolucyjnego Merlin zapytał o kapitana Duplata.

— Kapitan—odpowiedziano mu—został wraz z plutonem wysłany na służbę do więzienia Roquette z rozkazem rozstrzelania zakładników.

Merlin, nie żądając więcej objaśnień, pośpiesznie udał się do więzienia, w którym przesiadywali arcybiskup Darboy, ksiądz Deguerry i senator Bonjeau.

Gdy przybył na ulicę Servan, usłyszał huk strzałów.

Zatrzymał się i spojrzawszy po nad mur otaczający więzienie, spostrzegł unoszące się w powietrze kłęby białego dymu.

Postąpił kilka kroków, zatrzymał się znowu i czekał.

Wkrótce brama więzienna otworzyła się i dwunastu ludzi pijanych po dokonaniu strasznej zbrodni pod dowództwem Duplata, wyszło z więzienia.

Zielona bladeść pokrywała wstrętną twarz kapitana.

Spostrzegłszy Merlina, kazał sierżantowi odpro-

wadzić żołnierzy do ratusza, poczem podszedł do swęgo współnika.

— Coś ty uczynił, nieszczęśliwy! — zawołał Merlin, drżąc z przestachu.

— Gdybym był odmówił posłuszeństwa, rozstrzelanoby mnie!

— Ależ to zbrodnia!

— Cóż miałem robić? Chodziło o moją głowę.

— Musisz teraz odkupić tę zbrodnię — rzekł Merlin po cichu.

— W jaki sposób?

— Wydaniem bramy św. Gerwazego.

— Dziś nie można.

— Więc kiedy?

— Jutro, gdy pójdę na zmianę garnizonu.

— O której godzinie będziesz mógł otworzyć bramę?

— O dziewiątej wieczorem.

— Czy mogę liczyć na ciebie?

— Możesz; dość mam już tej komuny! A pieniądze?

— Oto masz — rzekł Merlin, wtykając mu w rękę pięć biletów tysiąc-frankowych.

— Kiedy będzie reszta?

— Jutro... ale pamiętaj — dodał Merlin tonem pogroźki — jeżeli zobowiązania swęgo nie wypełnisz sumiennie, lub oszukasz, to choćbyś się ukrył pod ziemię, znajdą cię i rozstrzelają tak, jak tyś rozstrzelał zakładników.

Kapitan uczuł dreszcz przechodzący po ciele.

— Nie lękaj się, dotrzymam słowa. Jutro o godzinie dziewiątej brama św. Gerwazego będzie otwartą.

— Więc do widzenia!

Merlin udał się na Pere Lachaise, gdy tymczasem

Duplat pospieszył do merostwa jedenastego okręgu dla zdania raportu o dokonanej egzekucyi.

— Tegoż dnia wieczorem generał Dąbrowzki wyznaczył na dzień następny stanowiska i kompanie, przeznaczone do strzeżenia ich.

Były to ostatnie rozkazy tego wodza, który w kilka godzin później poległ od kuli na barykadach na ulicy Myrrha.

## XXV.]

serwacy Duplat otrzymał polecenie pinowania fortu Montreuil, zaś jego porucznik miał strzedz bramy św. Gerwazego.

— Zamieniajmy się na stanowiska,—zaproponował mu kapitan.

— Dobrze, odrzekł porucznik.—Czy masz tam jaką dziewczynę?

— Mam.

— Więc zgoda, ale nic darmo, musisz za to zafundować.

Udał się do restauracyi, gdzie przesiadzieli do wieczora.

O godzinie dziewiątej kapitan rozstał się z porucznikiem i poszedł wprost na ulicę Parmentier, do niedokończonego domu, w którego piwnicy po raz pierwszy porozumiał się z Merlinem

— Nie wiadomo co się stanie—mówił do siebie,—lepiej więc pieniądze zachować tutaj, aniżeli nosić przy sobie. Jeżeli komuna zostanie zduszona, bezpiecznie będzie mógł powrócić i zabrać je.

Zeszedł po schodach do piwnicy, z pomocą zapalek wybrał miejsce zasypane gruzem, usunął go, nożem zrobił w ścianie jamę głęboką na dziesięć centymetrów, następnie starannie obwinąwszy w gazetę otrzymaną

od Merlina paczkę biletów bankowych, położył ją w jamę i zasypał ziemią oraz gruzem.

Praca ta zajęła mu pół godziny czasu.

— Teraz mogę być spokojnym—mówił sobie, zacierając ręce.—Tutaj mam w depozycie pięć tysięcy franków. jutro dostanę dziesięć tysięcy i mam przy sobie zaledwie bez kilku luidorów tysiąc franków zadatku. Jestem więc bogatym i skoro tylko Paryż uspokoi się, będę mógł użyć życia.

Upojony tym pięknym snem, wyszedł z piwnicy i udał się do swego mieszkania przy ulicy Saint-Maur pod nr 157.

Czytelnicy może pamiętają, że w tym samym domu w kwietniu mieszkały Janina Riwat i matka Weronika.

Pokój jego znajdował się na końcu korytarza z którego prowadziły drzwi do mieszkania obu kobiet.

Wiadomość o śmierci męża przyprawiła Janinę o kilkotygodniową, ciężką, chorobę, z której zaledwie powstała, wydała na świat dwie dziewczynki, bliźniaczki.

Matka Weronika przez cały czas choroby Janiny nie odstępowała jej ani na chwilę, pielęgnowała i zaspakajała wszystkie jej potrzeby.

Gdy Serwacy Duplat po zakopaniu pieniędzy wchodził do mieszkania, spotkał się na schodach z Weroniką, idącą po wodę.

Szła ze świecą w rękę, oddawna już bowiem zaprzestano oświetlać korytarze gazem, posłuszni zaś swym panom oddźwierni odmawiali oświetlania lampami naftowymi.

— Dobry wieczór, matko—odezwał się Duplat, spostrzegłszy swą sąsiadkę z dzbankiem w rękę,—czy niesiecie naftę dla naszych braci?

— Milcz, podpalaczu jakiś!—odrzekła z gniewem—to wy tylko umiecie wojować z naftą! Idź spać



i nie rób hałasu, przechodząc około drzwi pani Rivat.  
— Więc obywatelka Rivat jeszcze chora.

— Odbyła wczoraj słabość i leży w gorączce.

— Ma gorączkę? To głupstwo, przejdzie...

Duplat odszedł do swego pokoju, lecz przed udaniem się na spoczynek zrobił przegląd swej garderoby, wybrał całkowity garnitur i położył na krześle.

— Skoro tylko wydam wersalczykom bramę, wpadnę do domu, zmienię skórę i nikt mnie nie pozna.

Położył się i zanał snem twardym, nawet nie myśląc o wstrętnej zbrodni ostatniej,—zamordowaniu zakładników.

Nazajutrz wstał wcześniej i udał się do merostwa jedenastego okręgu, gdzie miał objąć dowództwo nad dwudziestoma żołnierzami, przeznaczonemi do strzeżenia bramy św. Gerwazego.

Podczas nocy wojska wersalskie znowu posunęły się naprzód i zajęły plac św. Trójcy, oraz ulicę św. Łazarza i męczenników, Montmartre i Clignancourt. Artylerya ich zasypywała pociskami cementarz Pere-La-chaise, z którego odpowiadały im baterye komunistów, utrzymując nieprzerwany ogień na ulicy Rivoli, zajętej przez wojska regujarne po zdobyciu barykad lewej strony Sekwany.

Dalszy ich pochód wstrzymał wzniecony przez rewolucyonistów pożar ulic du Bac i Rivoli.

Pałły się gmachy: Rady państwa, Izby obrachunkowej, pałac Legii honorowej, ministerjum skarbu, Tuillerie, ratusz, teatr Porte-Saint-Martin i szereg domów prywatnych.

Gęste chmury czarnego dymu unosiły się nad stolicą.

Co chwila wybuchały płomienie w jakimś domu, dachy zawały się z trzaskiem, działa huczały, pociski ze świstem onisywały łuki na czerwonym niebie.

Komuna konając, mordem i spustoszeniem zna-  
czyła ostatnie chwile swoje, jak pies wściekły, rzuca-  
jący się i kasający przed śmiercią.

A tam z wyżyn fortów śmieli się prusacy, patrząc  
na francuzów palących stolicę własną, jak oni palili  
Bazeilles i Saint-Cloud.

Resztki potwornego, pokrytego krwią i błotem  
rządu schroniły się do okręgu jedenastego.

Komitet Ocalenia publicznego ustanowił w me-  
roście punkt szalonego i dzikiego oporu ludzi, którzy  
widząc się zgubionymi, wiedzieli, iż niema dla nich  
przebaczenia.

Kartacze jak grad ognisty padały na dachy do-  
mów, dziurawiły je, wybuchały.

Przerażeni mieszkańcy opuszczali mieszkania i szu-  
kali schronienia w piwnicach.

Dom, w którym mieszkał Gilbert Rollin, posia-  
dał, zarówno jak większość domów tej dzielnicy, dwa  
piętra piwnic.

Lecz nie wszystkie one były zajęte.

Wielka liczba lokatorów znalazła sposób opuszcze-  
nia Paryża i postanowiła powrócić dopiero po stłumie-  
niu powstania.

Gilbert, przestraszony stanem swej żony i obja-  
wami zbliżającej się słabości, ukrył się wraz z nią  
w piwnicy piętra niższego, dokąd zniósłszy pościel  
i nieco żywności, przy świetle naftowej lampki oczeki-  
wał rozwiązania Henryki, nie wiedząc jak w krytycz-  
nej chwili poradzić sobie w braku lekarza, którego  
znaleźć było niepodobna,

O godzinie ósmej Henryka wydała na świat dziew-  
czynkę, która żyła zaledwie kilka minut.

Gilbert wziął w ręce małego trupa, przyłożył  
ucho do jego piersi w okolicy serca i, nieodczuwszy

jego uderzeń, wydał wściekły okrzyk, podobny do rzyku zwierzęcia, poczem odrzucił martwe ciało i nakrył je prześcieradłem.

Pozostająca w gorączce Henryka niewiedziała co się w około niej dzieje i nie poznawała męża.

Gilbert, blady, drżącymi ustami zapytywał siebie, czy wszystko już skończyło się dla niego w tem życiu?

Jakaś fatalność zawzięła się na niego!

Skoro wikary od św Ambrożedo dowie się o śmierci dziecka, będzie uważał sobie za obowiązek natychmiast powiadomić o tem stryja Henryki, a ten nieubłagany w swym gniewie, z pewnością zniszczy napisany na korzyść dziecka testament.

W tej chwili ksiądz przebywał w Wersalu, lecz gdy po stłumieniu powstania powróci do Paryża, niepodobna będzie skryć przed nim prawdę.

Wtedy wszystkie marzenia Gilberta przepadną, powróci niedostatek i jeszcze straszniejszy od dotychczasowego!

Na chwilę wpadł w rozpacz i pragnął, by jedna z bomb zasypujących ulicę, zburzyła dom i zasypała go wraz z Henryką w gruzach.

Lepiej umrzeć, niż bez światełka nadziei pędzić życie mizerne.

Nagle, jak promień światła w noc ciemną, dziwna myśl zabłysła w jego mózgu.

## XXVI.

Gilbert przypomniał sobie Weronikę, która przychodziła do niego z prośbą o pomoc dla swej protegowanej, wdowy po Pawle Rivat.

Według jej zapewnienia, Janina miała wkrótce zostać matką.

Jeżeli rozwiązanie już nastąpiło, a mniejsza o to!

czy urodził się chłopczyk lub dziewczynka, czy niemożnaby dziecięcia tego zabrać, kupić lub skraść?

Potrzebował dziecka żywego dla zastąpienia nim trupa, aby hr. Emanuel nie miał powodu do zniszczenia testamentu, i aby on Gilbert, mógł zostać użytkownikiem czterech milionów pięciuset tysięcy franków, legowanych dziecku Henryki.

Sto siedmdziesiąt tysięcy franków renty!

I taka suma miałaby być dla niego straconą!

— Ach, gdyby tu był Duplat! — szepnął. — Ten lotr gotów na wszystko! Z nim możnaby porozumieć się.

Po chwilowym namyśle postanowił zobaczyć się z nim jak najprędzej.

Znał on go dobrze i wiedział, że kapitan komuny, fanfaron, a z natury tchórz, nie poległ na barykadach, ale z chwilą wejścia wersalczyków, mógł ratować się ucieczką na prowincję, lub jeżeli go schwytano, został rozstrzelanym.

Przypuszczenie to było prawdopodobnem.

— Nie, on musi żyć, — rzekł Gilbert do siebie po nowym namyśle. — Ale gdzie go znaleźć?... Muszę go odszukać!

Podszedł do Henryki i przekonawszy się, że jest ciągle nieprzytomną, od lampki nocnej zapalił świecę, wyszedł z piwnicy, zamknął ją na klucz i udał się na korytarz, którego drzwi, wiodące na ulicę, otwarte były na oścież.

Przed progiem, leżące na podłodze martwe, pokryte krwią ciało zagradzało drogę.

Gilbert nachylił się i poznał w nim odźwiernego domu.

Nieszczęśliwy pragnął zobaczyć co dzieje się na ulicy i życiem przyplacił swą ciekawość.

Kula armatnia przeszła mu piersi.

Gilbert przestąpił przez trupa i wyszedł na ulicę.

Choć noc już zapadła, działa jednak grzmiąły bez przerwy.

Ulica Servan była w tej chwili pustą.

Gilbert przymknął za sobą drzwi i zwrócił się na ulicę Zieloną.

Żaiedwie uszedł kilkadziesiąt kroków, spotkał się z grupą żołnierzy, eskortujących nosze, na których spoczywali ranni rewolucyoniści.

Gdy tragarze zatrzymali się na chwilę by odpocząć, Gilbert poznał pomiędzy żołnierzami niejakiego Firmina, który podczas wojny z Niemcami służył w jego kompanii.

— Co to takiego?—zapytał.

— Ach, to obywatel Rollin!—zawołał żołnierz.—Dlaczego pan w ubranu cywilnem? To pan już nie z nami.

— Owszem, ale żona moja jest umierającą, szukam więc lekarza.

— Oho, wątpię czy pan znajdzie którego. Pochowali się wszyscy. Na ulicy Servan nie mogliśmy znaleźć ani jednego!

— Czy odprowadzacie do ambulansu rannych?

— Rannych; jest ich siedmiu.

— Więc wersalczycy zajęli już dzielnicę?

— Oho! niedoczekanie ich! Przygotowaliśmy się na ich przyjęcie! Niech się pokażą, a żywa noga nie ujdzie! Ci ranni sami sobie winni. Obsługiwali baterię artylerii na Pere-Lachaise, ale popili się jak świnię, źle nabili armatę i pocisk zamiast wylotem, wyszedłszy tyłem działa, poranił ich śmiertelnie.

— Czy Duplat jest na Pere-Lachaise?—zapytał Gilbert.

— Niema go tam; zapewne strzoże bramy św Gerwazego, gdyż widziałem go rano idącego tam z ludźmi.

Gilbert pożegnał Firmina i udał się ku wzmiankowanej bramie.

Był fufyer 3-ej kompanii 57-go batalionu, decydując się na zajęcie pozycji, nie wyznaczonej mu, lecz ustapionej przez jego porucznika, obmyślił plan, rozważył wszelkie szanse powodzenia i doszedł do wniosku, że wykonanie go nie przedstawia wielkich trudności.

Był tak uradowanym, że udając się na stanowisko, żartował z żołnierzami, śmiał się i dowcipkował.

— Nasz kapitan w dobrym dziś humorze—mówili sobie żołnierze—pewnie będzie funda.

Dziwni ci ludzie, nawet w chwili tak ważnej, gdy osadzone na Montmartre baterie wersalskie groziły im zagładą, myśleli tylko o upojeniu się alkoholem.

Odważnie szli pod wodzą Duplata, który w przekonaniu, iż odgrywa wielką rolę patryotyczną, wrzeszczał na całe gardło.

— Strzelajcie lotry!—Komuna kpi sobie z was!... Ale wyjdźcie-no z zapłotu i pokażcie się... zgniemy was, bandycil...

Oddział przebył kilka ulic najeżonych barykadami i wszedł na ulicę Haxo, prowadzącą wprost do bramy św. Gerwazego.

Na przecięciu z ulicą Menilmontant Duplat musiał zwolnić pochód swego oddziału, spotkał się bowiem z nadchodzącą ze środka Paryża bandą komunistów, wśród których z dumnie podniesionymi głowami spokojnie postępowało kilkudziesięciu jeńców, urzędników municypalnych, obywateli miasta i księży.

Wokoło tej garstki skazanych na śmierć niewinnych ludzi, cisnął się tłum pospulstwa, wznosząc okrzyki bluźniercze, przekleństwa i zniewagi.

— Do muru tych zdrajców! do muru szczurów kościelnych!... Niech żyje komuna!...

Wstrętne kobiety publiczne garściami zbierały z bruku błoto i rzucały je w twarz więźniów.

Nad wrzaskiem tym panował jeden, złożony z tysiąca głosów okrzyk:

— Na ulicę Haxo!... na ulicę Haxo!...

— Idziemy tam!... odpowiadał konwój, otaczający idące na śmierć ofiary.

Duplat wstrzymał się i był świadkiem jak męczennicy ci, ustawieni pod murem, padli wszyscy pod trzykrotną salwą wystrzałów, i spoglądał obojętnie jak później kaci ich podchodzili do drżących ciał jeszcze i rozbijali im głowy kamieniami i obcasami swych butów (\*).

Widok ten nie pozbawił Duplata wesołości, nasyłał mu tylko myśl:

— Trochę za gorliwi... Zapominają o odwecie... a będzie on straszny! Potrzeba jak najprędzej usunąć się od tego wszystkiego.

Oddział podszedł do bramy św. Gerwazego, wyjawiał hasło, objął posterunek i rozstawił szyldwachów.

## XXVII.

Poczem Duplat wydał rozkaz

— Trzech ochotników naprzód!

Z szeregu wystąpiło trzech żołnierzy.

— Co mamy robić?—zapytał jeden z nich, przybraną w garybaldyjską koszulę czerwoną.

— Rzeczy nie trudne... Pójdziecie do Saint-Gervais i zamówicie w traktyerni śniadanie dla nas wszystkich. Funduję wam!

— Hura! Niech żyje kapitan!—z zapalem zawołał żołnierz.

Możemy dziś pohulać swobodnie. Z tej strony Paryż jest bezpiecznym.

---

(\*) Historycznel

Wyjął z kieszeni garść monety złotej i rzekł:

— Sniadanie po trzy franki na osobę nie licząc wina, czyni sześćdziesiąt trzy franki. Zapłacisz zgóry i powiesz, że jeżeli będzie złe, to z karabinami przyjdziemy po pieniądze.

— Dobrze, a wino?

— Znajdziemy je tutaj.

— A kawa?

— Należy do obiadu.

Garybaldczyk wziął pieniądze, wyszedł za bramę i pobiegł do odległej o kilkaset kroków restauracji.

Po jego odejściu, Duplat zwrócił się do ochotników:

— Pójdziecie do składu win przy zbiegu ulic Lemière i Belleville i weźmiecie: pięćdziesiąt litrów wina, dwadzieścia pięć litrów rumu i pięć litrów absyntu. Ruszajcie!

— A pieniądze?—rzekł żołnierz wyciągając rękę. Duplat roześmiał się.

— Co? co? pieniądze? Kpisz, czy co? Jesteśmy panami Paryża, więc mamy prawo do żywienia się kosztem miasta. Kupcy powinni nazywać się szczęśliwymi, zaspakajając pragnienie swych obrońców.

Wziął arkusz papieru i napisał:

*Rekwizycja.*

*Bon na* „pięćdziesiąt litrów wina, dwadzieścia pięć litrów rumu i pięć litrów absyntu.

Paryż, 27 maja 1871 r.

*Naczelnik posterunku u bramy św. Gerwazego.*

Podpisał się nieczytelnie i oddał papier żołnierzowi.

— Czego jeszcze czekasz?—zapytał widząc, że ten nie odchodzi.

— A jeżeli kupiec nie zechce wydać?

— Weź z sobą karabin i gdy kupiec będzie się opierał, wsadź mu bagnet w brzuch.



Wskazany przez Duplata kupiec wiedział czego spodziewać się można po tych ubranych w mundury wojskowe bandytach, nie rzekłszy ani słowa, wydał żądane trunki.

— Szczęście, że to już koniec! pomyślał.— Oby tylko prędzej przybyli wersalczycy.

Dwaj żołnierze, obładowani zrabowanymi trunkami, powrócili jednocześnie z garybaldczykiem, który oświadczył, że śniadanie będzie gotowe na godzinę jedemastą.

Powitano butelki entuzjastycznym okrzykiem, odkorkowano butelki absyntu i zaczęto go pić pełnymi szklankami.

Po tej pierwszej kolejce zmieniono szyldwachów.

Nikt nie zauważył, że wbrew zwyczajowi, kapitan ustami zaledwie dotykał kieliszka.

Nastąpiła druga kolejka na cześć komuny, po niej trzecia i czwarta.

Rozwiązały się języki i rozgorzały mózgi.

Pomiędzy pojedynczemi daniami obfitego i wykwintnego śniadania znowu wzniesiono toasty lecz winem, a po podaniu kawy wypijano rum pełnymi filiżankami.

Gdy który z biesiadników rozlał trunek na stole, zlizywał go językiem, by nic nie zostało straconem.

Uczętę zakończono wazą ponczu, który do reszty upoił hultajów.

— Bawimy się doskonale,— rzekł jeden z żołnierzy,— brak nam tylko kobiet... Wartoby sprowadzić z tuzin obywaterek.

Kapitan wyjął z za pasa rewolwer i krzyknął:

— Nie waż mi się nawet proponować, bo roztrzaskam łeb. Komuna powierzyła nam obronę bramy! Kobiety przeszkadzają tylko!... Pijcie, śpiewajcie, baw-

Słostry bliźniaczki.

cie się, róbcie co chcecie, ale nie wolno sprowadzać kobiet!

Zaczęto znowu pić.

— Tego by tylko brakowało,—myślał Duplat.—  
Wszystkie moje plany upadłyby.

Duplat parę razy jeszcze zmieniał strażę i upajał, sam nalewał im kieliszki, lub niemogącym już wstać ich podsuwał do nst.

Nadeszła noc.

Pijani żołnierze pokotem leżeli na trawie i chrapali.

Niebo było zachmurzone i zaczynał padać drobny deszcz.

Kapitan komunistów wyjął z kieszeni klucze, otworzył bramę wiodącą do fortyfikacyj i nadstawił uszu.

Zdaleka dochodził odgłos głuchego huk, jak gdyby wywołanego pochodem wielkiego oddziału wojska i stawał się coraz głośniejszym.

Nagle kapitan zadrżał i odwrócił się.

Za nim, więc od strony Paryża, rozległ się tentent pędzącego po bruku konia, i za chwilę jeżdżąc, kapitan sztabu komuny zatrzymał się przed kordegardą.

— Zapewne przynosi mi rozkazy, — pomyślał Duplat.

Widząc, iż byłby zgubionym, gdyby przybyły oficer wszedł do budynku, pocichu odwiódł kurek rewolweru i podstąpił do niego.

## XXVIII.

— Gdzie jest dowódca posterunku? — zapytał oficer.

— Ja nim jestem,—odrzekł Duplat.

— Dlaczego brama nie zamknięta?

— Przez ostrożność, wysłałem patrol na zwiady.

— Dlaczego nie postawiłeś pan przy niej szyldwacha?

— Gdyż sam pilnuję.

— Przywołaj pan żołnierzy, gdyż chcę...

— Rozległ się wystrzał i oficer, niedokończywszy frazesu, zwałił się z konia.

Jedna jego noga uwięzła w strzemieniu.

Wystraszony koń stanął dęba, a nie czując się wstrzymywanym, popędził po bruku, ciągnąc za sobą jeźdźca, którego głowa odbijana od kamieni, utworzyła wkrótce bezkształtną masę krwawą.

Zauważony przez Duplata huk zbliżał się coraz więcej.

Kapitan powrócił na swe obserwacyjne stanowisko u bramy.

Nagle huk ustał i jakaś ciemna zbita masa zatrzymała się w odległości pięćdziesięciu kroków.

Była to awangarda wojsk wersalskich.

Duplat pośpiesznie zapalił latarkę i wzniósł ją do góry.

Z ciemnej masy oddzielił się jakiś człowiek i z eskortą kilku żołnierzy podszedł do kapitana komuny.

Miał on na sobie kostyum marynarski i w każdej ręce rewolwer.

— Wersal,—rzekł półgłosem.

— Merlin,—orzekł Duplat, poznawszy w nim swego współnika.

— To ja... Czy droga wolna?

— Wolna.

Merlin odwrócił się i dał sygnał gwizdnięciem.

Wtedy zbliżyły się dwie kompanie marynarskie, przebyły bramę, ustanowiły się na drodze i spuściły broń do nogi.

Za nimi zjawił się generał ze swym sztabem, za

którym weszła kompania piechoty pod dowódctwem kapitana i objęła pozycję.

Kapitan, spostrzegłszy pijanych żołnierzy rewolucyjnych, rozkazał wynieść ich za bramę fortyfikacyi i ułożyć w fosie.

— Gdzie sztyldwaczy?—zapytał Duplata oficer wersalski.

— Taksamo pijani, znajdują się na swych stanowiskach.

— Zaprowadź nas pan do nich—rzekł i wzięwszy dziesięciu ludzi, udał się na fortyfikacje.

Wersalczycy wzięli nieprzytomnych na ręce i odnieśli do fosy.

Tymczasem generał z nadeszłemi już czterema baterjami artyleryi, dwoma batalionami strzelców i dwoma pułkami piechoty liniowej pośpiesznym marszem ruszył ku Paryżowi.

Tym sposobem wojska Komuny zostały wzięte w dwa ognie.

Duplat wszedł do kordegardy, gdzie oczekiwał nań Merlin.

— Dotrzymałeś słowa, masz więc resztę nagrody—rzekł szpieg, wsuwając mu w rękę dziesięć tysięcy franków biletami bankowemi. A teraz ruszaj w pole i ukryj się nim nadejdą wojska inne.

— Mam uciekać!—zawołał Duplat zdziwiony,—ależ ja potrzebuję powrócić do domu, nie mogę przecież opuścić Paryża w mundurze oficera Komuny.

— Masz słusność, więc idź do siebie, zmień skórę i ukryj broń. Łatwo możesz jeszcze dostać się na ulicę Saint-Maur, ale śpiesz się, gdyż za dwie godziny Belleville będzie już w naszych rękach, jak również i okrąg jedenasty i każdy schwytyany w mundurze gwardyi narodowej zostanie na miejscu rozstrzelanym

Duplat zbladł.

— Ja, rozstrzelanym!

— Bez sądu!

— Przecież służyłem armii wersalskiej!

— To ja robaku służyłem, ty zaś byłeś tylko prostym figurantem; o tobie nikt nie wie.

Duplat na chwilę miał chęć skorzystać z otwartej bramy i uciec z Paryża, ale powstrzymała go myśl, że zdradzi go mundur, a przytem żałował pieniędzy, zakopanych w piwnicy domu przy ulicy Parmentier.

— Złapałem się,—rzekł do Merlina.—Ładnieś mnie urządził.

— Ciekawym dlaczego? Ażeby przekonać cię że jestem lepszym niż myślisz, sam odprowadzę cię do domu.

Po przejściu wojska nadciągnął szereg agentów policyjnych i zawczasu mianowanych urzędników, gotowych do objęcia czynności natychmiast po owładnięciu jaką dzielnicą, następnie wielu obywateli i księży spieszących do swych kościołów.

Merlin podszedł do grupy agentów, którym jakiś wysoki pan w orderach wydawał rozkazy.

— A ja otrzymam jakie instrukcye?—zapytał.

— Postaraj się dowiedzieć, co dzieje się w okręgu jedenastym i wracaj tu jaknajspieszniej.

— Dobrze, ale chciałbym pierwiej odprowadzić do domu tego gwardzistę, który wydał nam bramę św. Gerwazego.

— Odprowadź go.

W niewielkiej za nimi odległości posuwały się kompanie marynarskie, mające zająć cmentarz Pere-Lachaise, zkad artylerya rewolucyjna sypała pociskami bezustannie.

O godzinie dziewiątej cała akcya koncentrowała się na prestrzeni pomiędzy ulicą św. Antoniego, tar-

giem Enfants-Rouges, bramą Saint-Martin i przedmieściem Temple.

Komuniści walczyli rozpaczliwie, lecz liczba ich zmniejszała się z każdą chwilą.

\* \* \*

Rollin, po rozstaniu się z konwojem odprowadzającym do ambulansu siedmiu rannych artylerzystów, przyspieszonym krokiem udał się do Belleville.

Ogień na cmentarzu z braku kanonierów słabł coraz więcej.

Dowodzący tą baterią kapitan artylerji rewolucyjnej otrzymał na usilne domaganie się, kilkudziesięciu ludzi, ale tak pijanych i niezdolnych do obsługi dział, że źle kierowane strzały żadnem niebezpieczeństwem nie groziły wersalczykom.

Nad głową biegnącego Gilberta pociski zakreślały łuki, a on, nie zdając sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa, myślał tylko o odszukaniu Duplata, jedyne go człowieka, mogącego dopomóc mu w obmyślonej zbrodni podstawienia dziecka.

Gilbert postępował tą samą drogą, jaką tegoż dnia rano kapitan komuny szedł na objęcie swego stanowiska u bramy.

Minał Pére-Lachaise i wkroczył na ulicę Amandier.

Omijając wznoszące się co paręset kroków, lecz opuszczone w tej chwili barykady, z głową pochyloną, w przesiąkłem od deszczu ubraniu, przemykał się pod ścianami domów.

Kanonada nie ustawała, ciemny, pokryty chmurami horyzoncie w kilkunastu miejscach jaśniał czerwona łuną pożarów.

Na ulicy Ménilmontant o dziesięć metrów przed Gilbertem padł pocisk i wyrwał kawał bruku, po kilku sekundach nieco dalej pękł granat, zasypując odłamkami okna i zamknięte drzwi sklepowe.

Na szczęście, strzały nieudolnych kanonierów z cmentarza Pére-Lachaise zmieniły znowu kierunek i dozwoliły Gilbertowi posuwać się dalej.

Ale zaledwie postąpił dwadzieścia kroków, gdy natknął się na barykadę, na którą ze strony przeciwnej wchodziło dwóch ludzi.

Spostrzegłszy jednego z nich Gilbert krzyknął zdziwiony

— Kapitan Duplat!

— Ja—odrzekł były jego podwładny.—Co pan tu robi?

— Szukam pana.

— Tutaj?

— Szedłem do bramy św. Gerwazego, gdzie, jak powiedziano mi, jesteś na służbie.

Właśnie ztamtąd idę, ale weralczycy już bramę zdobyli, część moich ludzi rozstrzelali bez sądu, a ja zdołałem uratować się i uciekam.

— Idziesz pan bronić barykad?

— Ani mi to w głowie.

— Więc dokąd?

— Do domu, zmienić skórę i ukryć się—tak, by inni nie znaleźli.

— Pójdę z panem.

— Po co?

— Potrzebuję pomócić w ważnym interesie.

Mówiąc to, wzrokiem wskazał Merlina, którego obecność krępowała go.

Szpieg domyślił się tego i rzekł do Duplata.

— Mogę cię tutaj już opuścić. Tu jesteś bezpiecznym. Do widzenia.

Duplat i Gilbert poszli dalej razem.

Mąż Henryki, jak widzimy, słusznie przypuszczał, że niedawny spór jego z byłym furyerem nie ma żadnego znaczenia.

Duplat już zapomniał o nim. Jedyne myślenie zajmowała go teraz: zabrać ukryte w piwnicy pieniądze i następnie udać się do mieszkania, w celu zniszczenia munduru.

## XXIX.

Wspólnik Merlina postępował tak szybko, że Gilbert z trudnością podążał za nim.

— Powiedziałeś pan—rzekł Duplat, że szedłeś do bramy św. Gerwazego, ale zważywszy na ten grad pocisków i deszcz, przypuszczam, że dla tego, by podziwiać moje męstwo w walce z wersalczykami.

— Rzeczywiście odrzekł Gilbert.

— Więc masz pan interes bardzo ważny?

— Tak.

— Obchodzący mnie, czy pana?

— Obu nas.

— Więc mów pan prędko, gdyż nie mam czasu.

— O takich rzeczach nie można mówić na ulicy.

— W takim razie idź pan swoją drogą, a ja pójdę swoją. Nie mam czasu słuchać pańskich dykteryjek.

— Nawet gdybyś miał zarobić sto tysięcy franków?

Duplat zatrzymał się nagle, jak gdyby wrósł w ziemię i ujawszy Gilberta za ramię, spojrzał mu w oczy.

— Coś pan powiedział?

— Powiedziałem, że możesz pan zarobić sto tysięcy franków.

— Więc od czasu, w którym widzieliśmy się ostatni raz, musiałeś pan odziedziczyć majątek. Może ten



klecha, że chciał mnie zabić, zapisał panu swoje półczochy wypchane złotem?

— Dość tych słów pustych!—rzekł Gilbert,—potrzebuję pana...

— Nie kpisz pan, mówiąc o stu tysiącach franków?

— Mówię seryo.

— Co potrzeba uczynić, by zarobić je?

— Powtarzam panu, że nie można o tem rozprawić na ulicy.

— Chodź pan do mnie na ulicę Servan.

— A mundur mój?

— Zmienisz pan u mnie.

— Zgodził Chodźmy.

Po drodze, Duplat, natrafiwszy przy chodniku na odkryty otwór kanału, rzucił weń swe rewolwery, pas, szablę i ładownicę.

Gdy podeszli do domu, zastali drzwi tylko przymknięte, jak zostawił je Gilbert i leżące tu progu zimne sztywne ciało odźwiernego.

Pyzeskoczyli je poczem Gilbert zapalił świecę i poprowadził towarzysza swego nie do piwnicy, lecz na piętro wyższe.

Duplat, rozmyślając o stu tysiącach franków, w milczeniu postępował za nim.

Szczyście sprzyjało mu.

Dołączywszy sto tysięcy franków do posiadanych już piętnastu tysięcy, zostanie właścicielem kapitału, stanowiącego wcale pokaźny majątek, on, który dotychczas żył z dnia na dzień i często dzięki zajęciom bardzo podejrzanej natury.

I majątek ten spada na niego jak gdyby z nieba!

Pozostawało dowiedzieć się, co należy uczynić, by sumę tę zagarnąć w swe ręce, ale to niewiele obchodziło go.

Stostry bliźniaczki.

Sumienie jego z góry zgadzało się na wszelkie lotrostwo, nawet na zbrodnię, gdyby jej wymagano.

Jakaż zbrodnia, choćby nawet zabójstwo, nie opłaciłoby się za sto tysięcy franków?

Gilbert zaprowadził go do swego mieszkania i zamknął drzwi za sobą.

— Chodźmy do pokoju sypialnego—rzekł Rollin—znajdę tam dla pana ubranie, a ponieważ jesteśmy prawie równego wzrostu, więc będzie pasowało.

Wybrał całkowity garnitur i podał go Duplatowi.

Po kilkunastu minutach chyba tylko blizki znajomy mógłby w gościu Gilberta poznać byłego kapitana komuny.

— Ale gdzie jest obywatelka Rollin?—zapytał oglądając się po pokoju.—Czy wyjechała z Paryża?

— Nie, przeniosłem ją do piwnicy.

— Dlaczego?

— Bo tutaj niebezpiecznie. Bomba mogłaby paść na dach i zburzyć wyższe piętro. Właśnie o mojej żonie pragnąłem pomówić z panem. Dziwi go to, prawda? lecz wkrótce zrozumiesz pan.

Wprowadził gościa do pokoju stołowego i wskazał mu krzesło, przystąpił do interesu.

— Żona moja ubiegłej nocy powiła dziecko.

— Winszuję panu ojcowstwa.

— Dziecko to w kilka chwil zmarło...

— Do dyabła!

— A teraz przystępuję do rzeczy. Stryj mojej żony, stary dziwak, przed pół rokiem sporządził testament śmieszny, ale tak prawny, że zwalić go nie można.

— Jaki mianowicie?

— Cały swój majątek zapisał na rzecz dziecka.

Rozumiesz pan teraz?

— Doskonale,—odrzekł Duplat.

— Testament ten dawał żonie mojej i mnie pra-

wo korzystania z majątku do czasu pełnoletności lub małżeństwa dziecka.

— Bez różnicy płci?

— Bez różnicy.

— Ile wynosi majątek?

— Cztery miliony i pół.

Były furyer rzucił się na krzesło.

— Te cztery miliony pięćset tysięcy dają docho-  
du sto siedmdziesiąt tysięcy.

— Które zagarnąłbyś pan, gdyby stary wycią-  
gnął nogi a dziecko żyło.

— Tak. Stary nienawidzi mnie i stosunki nasze  
są bardzo złe...

— Oho! Musi być bardzo wymagającym!

— Dodam nadto, że tylko na prośby jednego z  
krewnych mojej żony zgodził się zapisać majątek jej  
dziecku. Gdyby ona wówczas nie spodziewała się zo-  
stać matką, byłby ją wydziedziczył.

— Z czego wynika—przerwał Duplat, pragnąc  
dać dowód swej domyślności,—że gdy stryj dowie się  
o śmierci dziecka, może zmienić ostatnią swoją wolę,  
a w takim razie dostaniesz pan figę...

— Tak jest.

— Ależ to głupi stary! ile on ma lat?

— Siedmdziesiąt pięć.

— No, proszę pana, czyż nie lepiejby zrobił,  
gdyby był zmarł nie bawiąc się w pisanie testamentu?  
I bydlę zapewne zdrowe?

— Miał atak apoplektyczny i dla tego to sporzą-  
dził testament.

— Głupiec! No, ale drugiego ataku nie wytrzy-  
mał! Powiedziałeś mi pan rzecz ciekawą... Ale dotych-  
czas nie rozumiem, co ja w tem mogę pomódz?

— Potrzeba znaleźć jakiegokolwiek płci dziecko  
nowonarodzone i podstawić je na miejsce zmarłego.



— Czyż pan myślisz, że mam skład nowonarodzonych dzieci?

— Nie, ale mogę wskazać panu miejsce, w którym znajdziesz jedno.

— Więc pomyślałeś już pan o tem?—zapytał Duplat, zachwycony sprytem Gilberta.—Winszuję, jesteś pan dzielny!

— Pomogło mi pewne wspomnienie.

— Jakie?

— Przypomniałem sobie pewnego żołnierza, poległego w bitwie pod Montretout i jego żonę, Janinę Rivat.

Duplat, usłyszawszy to nazwisko, odrazu zrozumiał sytuację.

Powoli przysunął krzesło do stołu, oparł się na nim łokciami, złożył pod brodę dłonie i rzekł:

— Powtarzam: jesteś pan dzielny... Oddawna już musiałeś ułożyć ten plan. Prawda?

— W zarysach ogólnych—rzeczywiście; ale Janina Rivat przyszła mi na myśl dopiero przed kilkoma godzinami.

— Z jakiego powodu?

— Przypomniałem sobie pewien wypadek, z którego wyprowadziłem wniosek, że powinna odbyć słabość jednocześnie z moją żoną.

— Wniosek pański był trafny, gdyż rzeczywiście odbyła ją.

— Miała córkę czy syna?

— Nie wiem, wiadomo mi tylko, że dziecko to żyje, dowiedziałem się zaś o tem, jak również i o chorobie matki wczoraj wieczorem.

— Więc Janina Rivat jest chora?

— Nawet bardzo niebezpiecznie.

— W takim razie popełnimy czyn miłosierny

uwalniając tę biedną, chora kobietę od kłopotów i troski o dziecko.

— Phil jaki pan jesteś filantrop!—rzekł Duplat śmiejąc się. Zdaje mi się, że chodzi panu więcej o dziecko niż o matkę.

— Mniejsza o to, dość, że daję panu sto tysięcy franków, jeżeli przyniesiesz mi to dziecko jeszcze dziś w nocy.

Duplat, nagle zmienił ton i zapytał brutalnie:

— Pokaż pan te sto tysięcy franków.

Pytanie to zmieszało Gilberta, chociaż powinien był przewidzieć, że będzie mu ono postawione wyraźnie.

Duplat korzystając z jego zakłopotania, mówił dalej:

— Nie masz ich pan i żądasz bym pracował dla niego na kredyt.

— Możemy się porozumieć—rzekł Gilbert.

— Przedewszystkiem, ile jest prawdy w opowiadaniu pańskiem a testamencie?

— Ależ...

— Tylko bez wykrętów,—przerwał Duplat.— Zanim się zobowiązę, potrzebuję przeczytać testament. Kuzyn żony pańskiej, który wstawiał się za nią do stryja, musiał wręczyć panu kopię. Proszę pokazać mi ją, tylko prędko, gdyż nie mam czasu.

Gilbert wyjął z szufladki biurka pozostawioną mu przez księdza d'Areynes kopię testamentu i podał ją Duplatowi.

Ten po uważnem odczytaniu jej namarszczył brwi i rzekł:

— Rzeczywiście; ze wszystkiego widać, że stary nie zachwyca się panem. Gdyby testament ten został wykonanym, to dostałbyś pan kiedyś za ledwie dwanaście tysięcy franków renty, co na takiego kata pienię-

dzy, byłoby nieco zamało. W zapustach miałbyś pan post.

— Ale—odparł Gibert,—do pełnoletności dziecka lub do dnia jego małżeństwa, ja i żona moja otrzymywalibyśmy sto siedmdziesiąt tysięcy franków rocznie.

— Wiem, że to cyfra ładna, ale kiedy ją pan dostaniesz? Stryj żyje i może żyć długo.

— Mówilem panu, że miał atak apoplektyczny, a rozumiesz, że po takim wstrząśnieniu nie pociągnie długo.

— Kto wie?

— To rzecz niemożliwa.

— Za nic nie należy ręczyć. Znam dziadów mających duszę przysrubowaną do ciała! Stryj pańskiej żony może pożyć lat pięć, a nawet dziesięć, a dopóki nie umrze, nie dostaniesz ani grosza... Mówmy rozsądnie... Dajesz mi pan sto tysięcy franków z hipoteką na świstku, nie mającym w chwili obecnej najmniejszej wartości. Tymczasem ja, przychodząc mu z pomocą, musiałbym popełnić zbrodnię, to jest naraziłbym się na zesłanie do ciężkich robót, gorzej nawet—na rozstrzelanie przez wersalczyków, gdyby nie udało mi się jeszcze dziś w nocy opuścić Paryża. I co zyskałbym za to?

— Mogę wystawić panu formalny oblig na sto tysięcy franków z obowiązkiem wypłaty natychmiast po otrzymaniu sukcesyi.

— Oblig!... Pański podpis!... co on wart? Nie pan zapłacisz, tylko żona pańska, gdyż ona jest sukcesorką... Czy żona pańska podpisze oblig?

— Nie; żona moja nie powinna wiedzieć o niczem.

— Tak?

— Ona nie wie o śmierci dziecka.

— A to jakim sposobem?

— Od chwili rozwiązania znajduje się w gorączce i jest nieprzytomną.

— A więc, mówił Duplat powoli, ważąc każde słowo—interes ten ułożyłby się tylko między nami dwoma.

Duplat powstał, namarszczył brwi i zaczął chodzić po pokoju.

— Będę go miał w rękach—myślał—gdyż posiadam jego tajemnicę: Stryj może umrzeć niedługo, a z jego śmiercią obywatelka Rollin zacznie pobierać swą rentę. Mąż jej wymoże na niej co zechce... a obawiając się skandalu, będzie musiał wypełnić zaciągnięte względem mnie zobowiązania... Nie mam więc potrzeby obawiać się, że będę pracował na próżno... Ten interes powinien udać się.

Gilbert zaniepokojony długim namysłem Duplata zaczynał już tracić cierpliwość.

— No, decyduj się pan—rzekł—czas nagli.

— Masz pan słuszność—odrzekł Duplat.—Czy masz pan pięć blankietów wekslowych?

— Mam—odrzekł Gilbert i wyjąwszy je z szuflady, położył pa stole.

— Ażeby nie popsuć ich, napisz pan naprzód na papierze zwyczajnym to, co podyktuję.

Gilbert ujął pióro i zaczął pisać:

„Ja niżej podpisany winien jestem panu Serwacemu Duplat sumę sto pięćdziesiąt tysięcy franków...”

Gilbert rzucił się na krzesło.

— Powiedziałem: sto tysięcy franków—zawołał.

— A ja mówię: sto pięćdziesiąt tysięcy—odrzekł kapitan komuny.

— Zgadzam się zostać pańskim wspólnikiem i przynieść jeszcze dzisiejszej nocy dziecko dla podstawienia go na miejsce zmarłego, lecz żądam za to sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Jeżeli ta cena wydaje się

panu za wysoką, to nic z naszej umowy... nie mówmy o tem i bywaj pan zdrow!... Szkoda czasu i tak dużo straciliśmy go...

— Ależ to wyzyski!

— Tak się panu zdaje... Zastanów się tylko... Co pan ryzykujesz? Nic! Tymczasem ja stawiam na kartę wszystko!... Żandarmi, sąd, Nowa Kaledonia i może gorzej!... Widzisz pan... Nie targuj się! Postawiłem cenę tak przystępną, że dla rodzonego brata nie spełniłbym tej roboty taniej! Nie trać pan czasu i pisz dalej.

Gilbert ujął pióro, a były furyer dyktował:

„Ja niżej podpisany winien jestem panu Serwacemu Duplat sumę sto pięćdziesiąt tysięcy franków, które zobowiązuję się wypłacić za okazaniem podpisanych przezemnie czterech obligów, każdy po trzydzieści siedm tysięcy pięćset franków, w terminach cztero-miesięcznych, rachując od dnia, w którym pani Henryka Rollin z domu d'Areynes zostanie użytkowniczką majątku swego stryja, hrabiego Emanuela d'Areynes.

Paryż, 27 maja 1871.“

— Zgadzasz się pan na to?—zapytał kapitan.

— Niezupełnie,

— Dlaczego?

— Na wypłatę całkowitej sumy dajesz mi pan tylko szesnaście miesięcy.

— A ile pan chcesz?

— Dwa lata.

— Mniejsza o to. Jestem człowiekiem zgodnym. Zamiast w terminach cztero-miesięcznych napisz pan półrocznych... wyjdzie dwa lata.

Gilbert zrobił na brulionie poprawkę.

— A teraz—mówił Duplat—przepisz pan to na papierze stemplowym i wystaw cztery obligi, każdy po trzydzieści siedm tysięcy pięćset franków.

Mąż Henryki skopiował akt, podpisał go, następnie rozłożył przed sobą cztery blankiety wekslowe



XXV

Dyktuję dalej—rzekł Duplat.

„W dniu piętnastym marca 1872 r. zapłacę ja niżej podpisany...

— Po co ta ścisła data?—przerwał Gilbert—prze-  
cież pan wiesz, że wypłata zależna jest od terminu ob-  
jęcia w posiadanie spadku.

— Daję panu więcej czasu—odrzekł były fu-  
ryer—mamy teraz maj, więc do marca roku przyszłe-  
go zyskujesz pan dziesięć miesięcy... Jestem twoim do-  
broczyńcą, nie kapryś więc i pisz dalej.

Gilbert pochylił głowę, by ukryć błyskawicę gniewu, jaka po tych słowach trysnęła z jego oczu.

Gdyby Duplat był ją spostrzegł i z jego twarzy mógł wyczytać myśli ukryte, byłby się rzucił na niego i udusił na miejscu.

Ale nie widział, nie domyślił się niczego i dyk-  
tował dalej:

„Zapłacę ja niżej podpisany, za tym moim wła-  
snym Sola Wekslem, panu Serwacemu Duplat lub na  
jego zlecenie, sumę trzydzieści siedm tysięcy pięćset  
franków. Walutę w gotowiznie otrzymałem.“

— Dobrze, a teraz podpisz pan i wystaw jeszcze  
trzy takie same weksle z terminem wypłaty każdy o  
pół roku później.

Gdy Gilbert skończył pisanie, Duplat uważnie od-  
czytał weksle i rzekł:

— Zachowaj je pan teraz u siebie, a gdy przy-  
niosę bębna, dopełnimy wymiary. Ach! zapomniałem  
zapytać coś pan zrobił z ciałem dziecka zmarłego?

— Zostawiłem w piwnicy przy matce.

— Dobrze; zajmijmy się niem po moim powrocie.

Czy zastanę pana tutaj?

Siostry bliźniacki.

— Nie, będę pana czekał przed domem, pod drzwiami wiodącemi do piwnicy. Jak prędko spodziewasz się pan powrócić?

— Nie pytaj pan nawet o to. Nie wiem jeszcze jakim sposobem zabiorę dziecko Janiny Rivat. Rozumiesz pan doskonale, że powinienem uczynić to zrećznie i tak, by nikt mnie nie widział. A teraz w drogę.

Wyszli z mieszkania, poczem Duplat pobiegł ulicą, Gilbert zaś udał się do piwnicy.

Były furyer nie wiedział w jaki sposób dokona swego zobowiązania, przewidywał jednak, że największą przeszkodą może być Weronika.

Po rozstaniu się z Gilbertem zaczął zastanawiać się nad trudnościami, które w pierwszej chwili nie przyszły mu do głowy. Ale powiedział sobie, że musi je przewyciężyć, chociażby zamiast jednej, potrzebował popełnić dwie zbrodnie.

Na ulicach ogłuszająca kanonada trwała ciągle i drobny przenikający deszcz nie ustawał padać.

Przedewszystkiem należy zabrać moje pieniądze.

Rzucił w otwór kanału swój uniform wojskowy i udał się na ulicę Saint-Maur, ale zaledwie uszedł paręset kroków, przecięła mu drugą barykada, strzeżona przez kilkunastu rewolucjonistów.

— Kto idzie?—zapytał szyldwach, powstając nagle z za kupy kamieni. usłyszawszy zbliżające się kroki.

Jednocześnie kilka innyce głów pokazało się na wierzchu barykady. Duplat podszedł do żołnierza i rzekł go cichu:

— *Paryż.*

— *Dąbrowski*—odrzekł szyldwach.

Było to hasło wydane rano i niezmienione dotychczas.

Gdy przedzierał się przez barykadę, jeden z żołnierzy zapytał go.

— Dokąd idziesz obywatelu?

— Do jedenastego okręgu, do Komitetu Ocalenia publicznego.

— Ach, to ty, obywatelu Duplat!—rzekł żołnierz poznając go.—Po cywilnemu! Myślałem, że jesteś u bramy św. Gerwazego.

— Byłem tam, lecz otrzymałem rozkaz przybycia do Komitetu.

— Po cywilnemu?

— Tak.

— Oho! to musiało się stać coś ważnego!

— Rzecz bardzo ważna. Mam zdać raport i otrzymać instrukcje.

— To idź kapitanie, bo tutaj będzie zaraz gorąco. Patrz, co się dzieje na Saint-Martin i na przedmieściu Temple. Oczekujemy na posiłki, ale, przyjdą czy nie przyjdą, będziemy się bronili do ostatniego tchu. Może zginiemy, lecz i Paryż zginie wraz z nami! Patrz, wszędzie się pali!... i wskazał ogromną, łunę krwawem światłem rozjaśniającą ciemność nocy.

Duplat, nic nie odrzekłszy, oddalił się pośpiesznie.

Po kilku minutach przybył do niedokończonego domu, zszedł do piwnicy, odgrzebał pugilares z biletami bankowemi i schował go do kieszeni.

Poczem wyszedł na ulicę.

Odgłos strzałów dochodził ze wszystkich stron, działa grzmiały bez przerwy.

Pociski, zakreślając na ciemnem niebie półkola, pękały nad ulicami, rozdzierały powietrze i wzniewały pożary. Nowe łuny zjawiały się na zachmurzonym horyzoncie, snopy iskier, jak bukiety olbrzymich fajerkow, ulatywały w przestrzeń.

Walka zbliżała się coraz więcej.

Ogromną barykada na Château-d'Eau została wzłętą, równa jej rozmiarami na ulicy Voltaire wkrótce miała uleść takiemuż losowi.

Powstańcy na ulicy św. Antoniego musieli bronić się na raz z trzech stron; wojska regularne, po zajęciu czwartego i piątego okręgu, rozpoczęły gwałtowny ogień kartaczowy, pod którym obrońcy komuny padali gromadami.

Duplat minął jeszcze parę barykad i zatrzymywany równie jak przy pierwszej, ocalał dzięki niezmiennemu hasłu.

U barykady wzniesionej naprzeciwko kościoła św. Ambrozego usłyszał znowu głos sztyldwacha:

— *Kto idzie?*

— *Paryż i Dąbrowski*—odrzekł,—lecz uciekajcie! Wersalczycy zbliżają się!—Jesteśmy zdradzeni! Otańczają nas!

Powstańcy przerażeni tą wiadomością w popłochu zaczęli uciekać w stronę ulicy Voltaire.

Już tylko dwadzieścia kroków dzieliło Duplata od jego domu, ale niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejszym.

Wokoło głowy jego świstały kule, pociski armatnie pękały na dachach.

— Do pioruna! jeżeli z pod tego gradu wyjdę cały, to zapracuję dobrze na te sto pięćdziesiąt tysięcy franków—szeptał kapitan, przytulając się do ściany domu.

Nagle jakaś postać ludzka ukazała się na opuszczonej przez komunistów barykadzie św. Ambrozego.

Duplat rozpoznał w niej księdza.

— No—pomyślał—ten klecha może pochwalić się odwagą.

Od dwudziestu czterech godzin matka Weronika drżała o życie Janiny Rivat, bredzącej bez przerwy w najstraszliwszej gorączce, i z powodu niemożności znalezienia lekarza, pozbawionej wszelkiej pomocy.

— Co ja pocznę z temi dziećmi—zapytywała siebie—jeżeli Janina umrze.

Miała jeszcze dla nakarmienia niemowląt odrobinę mleka z dnia poprzedniego, ale jak zaopatrzyć się w nowy zapas podczas tej strasznej walki, grożącej zagładą całej stolicy?

Biedna kobieta cały ten dzień przepędziła w niewymownym niepokoju.

Wieczorem, gdy zdawało się jej, że nieco ucichło na ulicy, odważyła się wyjść do apteki i po żywność.

Z trudnością dostała tylko chleba, gdyż wszystkie sklepy były pozamykane; nadto udało się jej dostać do apteki, gdzie przyrządzono jej lekarstwo dla złagodzenia gorączki.

Po przyjęciu go Janina zasnęła snem twardym.

### XXXI.

Tymczasem na ulicach walka wrzała coraz gwałtowniejsza, kościelne dzwony złowieszczym jękiem powoływały ludność do obrony.

W ubogim, oświetlonym nocną lampką pokoju, matka Weronika siedząc obok śpiącej Janiny i dwojga spokojnie śpiących niemowląt, drżała z przerażenia.

Z ulicy dochodziły dzikie krzyki, nawoływania do broni, huk bębnow, śpiewy i od czasu do czasu łoskot pękającego granata. Osłabiona ciągłym czuwaniem, pragnęła zasnąć choć na godzinę, by pokrzepić wyczerpane siły, lecz nieustanny hałas piekielny nie pozwolił skleić powiek ani na chwilę.

Wtem usłyszała jakieś szybkie kroki na schodach.

Czyżby to było złudzenie?

Podeszła do drzwi i otworzyła je.

W tejże chwili Janina przebudziła się i wsparłszy się na łokciu, spojrzała wokoło siebie.

— Moje dzieci!...—szepnęła głosem osłabionym.

Weronika, nie zamykając drzwi, podbiegła do chorej.

— Czy lepiej ci, Janino?—zapytała.—Może chcesz...

Straszny huk przerwał jej słowa.

Spadający granat przebił dach, sufit i pękł w pokoju.

Jeden jego odłam ugodził w piersi matkę Weronikę i powalił na podłogę.

Janina krzyknęła przeraźliwie i z twarzą zakrwawioną opadła na poduszkę.

Prawie w tejże chwili drugi pocisk padł na ten sam dach i wzniecił ogień.

I rzecz dziwna, pomimo podwójnego wstrząśnienia powietrza, wywołanego dwoma wybuchami, oświetlająca pokój lampa nie zgasła, lecz świeciła dalej wśród dymu, rzucając słaby blask na kołyskę, w której spały bliźnięta.

Słyszane przez Weronikę kroki na schodach zbliżyły się i stawały się szybsze, wkrótce rozległy się w korytarzu i za chwilę ksiądz Raul d'Areynes, zadyuszany i z twarzą łociekającą potem, stanął na progu pokoju.

Przybywający z Wersalu wikary od św. Ambrożego, dowiedziawszy się, że rząd postanowił skończyć ostatecznie z komuną, zapragnął wrócić do Paryża i wraz z wojskiem generała Vinoy wkroczył do stolicy przez bramę św. Gerwazego.

Pamiętając o swem przyrzeczeniu, danem umierającemu Pawłowi Rivat i nie zważając na grożące

mu niebezpieczeństwo, udał się wprost do mieszkania Janiny.

Przez otworzone drzwi wszedł do pokoju i spostrzegłszy wśród dymu kołyskę, trupa na podłodze i leżącą na łóżku zakrwawioną kobietę, miał już się rzucić ku niej, gdy wtem usłyszał rozlegające się w korytarzu kroki.

Przyszła mu myśl, że może to jego szukają, może to ten oficer komuny, który w mieszkaniu Gilberta zaprzysiągł mu zemstę, widział go wchodzącego do tego domu i ściga go, by oddać w ręce bandytów?

Ksiądz d'Areynes nie lękał się śmierci, ale nie chciał umierać przed spełnieniem danego Pawłowi Rivat przyrzeczenia: rozciągnięcia opieki nad jego żoną i dzieckiem...

Wszedł do drugiego pokoiku i stanął za uchyloną drzwiami.

Mały pokój napełniał się coraz więcej dymem, ogniste języki zaczynały pokazywać się na ścianach.

Z za uchylonych drzwi wikary zobaczył wchodzącego człowieka i poznał w nim Serwacego Duplat.

Kapitan komuny, spostrzegłszy trupa Weroniki i nieprzytomną, oblaną krwią Janinę, wstrzymał się zdziwiony, lecz w tejże chwili oprzytomniał, pochwycił kołyskę i uciekł z nią.

Pożar rozszerzał się.

Księdzu d'Areynes nie przyszło na myśl, że kapitan komuny popełnił zbrodnię.

Mieszkał on w tym samym domu i znał położenie biednej kobiety.

Zmiana ubrania dowodziła, że nie miał udziału w ostatnich walkach komuny.

Widocznie, pomimo pozorów, zachował on w głębi duszy nieco uczucia ludzkości, gdyż przybył z pomocą nieszczęśliwej wdowie.

— Uratował dziecko—pomyślał.—Zobaczymy, może matka żyje.

Podszedł do łóżka i przyłożył ucho do ust Janiny. Chora oddechowała, a więc żyła.

Dym stawał się coraz gęstszym, ogień obejmował już meble.

Wikary pośpiesznie obwinał chorą w kołdrę, poczem wziął ją na ręce i wybiegł z pokoju.

Z trudnością przebył wązkie schody i po kilku minutach znalazł się na ulicy, w tej chwili dość spokojnej.

Raul zamierzał zanieść Janinę do siebie i powierzyć ją swej służącej Magdalenie, która przez czas pobytu jego w Wersalu nie opuszczała mieszkania, ale zaledwie stanął na chodniku, spostrzegł przechodzący pluton marynarzów z oficerem na czele.

— Pan Kernoël!

— Ksiądz d'Areynes!

Dwa te nazwiska wypadły jednocześnie z ust dwóch ludzi znajomych a nieprzygotowanych do spotkania się.

— Dokąd ksiądz idzie?—zapytał zdziwiony kapitan okrętu.

— Chciałem z tego palącego się domu uratować tę biedną kobietę umierającą i dotrzymać zobowiązania danego w pańskiej obecności w szpitalu wersalskim.

— Potrzeba ją zanieść do ambulansu.

— A gdzie jest najbliższy?

— Bardzo blisko, na ulicy Servan. Przed cbwilą zostawiłem tam na straży dwudziestu pięciu ludzi. Moi marynarze zanosą ją.

Na rozkaz kapitana czterej żołnierze wystąpili z szeregu i urządzili noszę z swych karabinów.

— Niech ksiądz wraca do domu,—rzekł hrabia Kernoël, bo wkrótce kule zaczną tu świstać na dobre.



Wypierają komunistów z przedmieścia Temple, będący mieli zaraz z nimi robotę. O świcie będzie już wszystko skończone. Jutro może ksiądz przyjsć do ambulan-  
su dowiedzieć się o swej protegowanej.

Czterej marynarze odniesli Janinę, ksiądz zaś po-  
legnał się z kapitanem i udał się w stronę ulicy św.  
Ambrożego.

Już tylko trzysta kroków dzieliło go od mieszka-  
nia, położonego, jak wiemy, przy rogu ulicy Papin-  
court.

Na przecięciu bulwaru Woltera i Richard-Leno-  
re armaty grzmiały bez przerwy.

Powstańcy zajmowali ciągle ogromną, wzniesioną  
w tem miejscu barykadę, uzbrojoną w dwa działa po-  
lowe i gęstym ogniem odpowiadali na strzały wer-  
salczyków.

Kanonada wznosiła się ze stron obu; wojska  
wersalskie, w celu otoczenia barykady wzniesionej na  
ulicy Woltera, bronionej z dziką zawziętością, weszły  
na ulicę Papincourt.

Ksiądz d'Areynes znalazłszy się wśród tege huraga-  
nu kartaczy, zwąpiał czy uda mu się dotrzeć do domu.

Nakoniec doszedł do rogu ulicy Papincourt i  
miał już tylko przekroczyć jej szerokość.

Wikary polecił Bogu duszę i przyspieszonym kro-  
kiem puścił się ku wpółotwartym drzwiom swego domu.

Miał przekroczyć próg, gdy wtem padł na oba  
kolana.

— Boże mój! — jęknął — jestem ranny...

Powstał z największym wysiłkiem, miał tyle przy-  
tomności, że przymknął za sobą drzwi i powoli, krwią  
znacząc ślad za sobą, doszedł do schodów.

Chciał wejść na nie, lecz zdawało mu się, że  
zabrakło mu gruntu pod nogami i że szerokie koła

jasne, podobne do kręgów ogni sztucznych, migają wokoło niego w ciemności.

Jednocześnie jakiś wielki szum, podobny do szumu wzbierającego morza, nappełnił jego uszy.

Później już nic nie widział i nie słyszał i nieprzytomny padł na schodach.

### XXXII.

Powiedzieliśmy już, że Gilbert Rollin po rozstaniu się z Duplatem udał się do podziemia, gdzie od trzech dni zajmował z żoną piwnicę na piętrze niższem, gdy tymczasem inni lokatorowie tegoż domu mieszkali na miejscu.

W mieszkaniu zastał Henrykę wprowadzie żyjącą, lecz nieprzytomną, i leżącą w tak mocnem odrętwieniu, iż przestraszył się o jej życie.

Nachylił się nad nią i ujął jej dłonie.

Były rozpalone, co dowodziło, że gorączka nie ustąpiła.

Gilbert nalał nafty do lampki, poczem wyszedł na korytarz, stanął przy uchylonych drzwiach, wychodzących na ulicę i nasłuchując, wyczekiwał powrotu swego współnika.

Z rozlegających się na ulicy nierównych i pośpiesznych kroków domyślał się ucieczki powstańców, następnie rozróżnił miarowy regularny krok wojsk wersalskich.

Od czasu do czasu rozległ się w powietrzu pojedynczy strzał.

Czas uchodził, zimny pot występował na skronie Gilberta.

Serwacy Duplat nie przybywał.

Może nie przyjdzie?

Może nie udało mu się?

Może padł w drodze od kuli wersalczyków lub komunistów?

Słyszał zapytania brutalne i drżące odpowiedzi zatrzymywanych na ulicy ludzi.

— Stój!

— Dokąd idziesz o tej porze?

— Co robisz tutaj?

— Ruszaj!

— Do posterunku!

— Do muru!

I następnie strzały, krzyki i odgłos na bruk padających ciał...

Rozpoczynał się odwet!

To znowu następowała cisza, przerywana dochodzącymi zdala wystrzałami karabinowymi, lub armatniami.

Wkońcu nastąpił spokój zupełny.

Zwycięzcy i zwyciężeni oddalili się.

Nagle Gilbert drgnął.

Jakiś człowiek szedł po błocie i zatrzymał się przed drzwiami.

Gilbert wychylił głowę i spostrzegł swego współnika z kołyską w rękach.

— Czekań—rzekł—idź pan po cichu, aby nie usłyszeli nas lokatorzy.

Zamknął drzwi, oświetlił schody latarką i poprowadził Duplata do swego mieszkania w piwnicy.

Henryka, nic nie widząc i nie słysząc, leżała jak w letargu.

— Uf!—rzekł kapitan komuny, stawiając kołyskę na podłodze i ocierając pot z czoła.—Dziwię się, że wyszedłem cały... Mogę się pochwalić, że zapracowałem.

Gilbert nachylił się nad kołyską, odkrył prześcieradło i spostrzegłszy spoczywające obok siebie dwie główki z przymkniętymi oczami, zawołał zdziwiony:

— Dwoje!

— To być nie może!—odrzekł Duplat.

— Patrz pan!

Z kolei lotr nachylił się nad kołyską.

— Ach! do kroćset piorunów!—zawołał—prawda!

— Dwie dziewczynki—rzekł Gilbert po chwili.—

Co robić?

— Potrzeba wziąć obie.

— Zwaryowałeś pan!

— Cóż panu szkodzi zachować je? Zbytek dobrego nie zawadzi.

— Mogłoby to skłonić hrabiego d'Areynes do zmiany testamentu. Musiałby podzielić majątek. Zresztą zdaje mi się, że to skomplikowałoby interes na moją szkodę. Nie mogę wziąć obu! Potrzeba znaleźć jakiś sposób...

— Jest bardzo łatwy...

— Jaki?

— Zaniosem dziecko do merostwa, powiem, że z narażeniem własnego życia uniosłem je z płonącego domu, zmyślę jaką historyjkę, za którą mogą mi przyznać nagrodę Monthyona; słowem, bądź pan spokojny, urządzę się tak, że nikt nie domysli się prawdy.

— Jesteś pan pewnym?

— Najpewniejszym, tembardziej, że dom, w którym mieszkałem, spalił się.

— Cóż się stało z Janiną Rivat?

— Nie przemówi. Widziałem ją zakrwawioną na łóżku... Odlamek granatu trafił ją w głowę.

— Nie żyła już?

— Chociażby i żyła, to w tej chwili pozostał z niej już tylko popiół, jak również i z matki Weroniki, która w kałuży krwi leżała na podłodze. Dzięki właśnie tej okoliczności udało mi się tak łatwo zabrać dzieci. Żadna z tych kobiet nie upomni się...

— Więc nikt nie wie o tem porwaniu?

— Rzecz prosta, że nikt. Tylko my dwaj wiemy.

— W takim razie śmiało możesz pan to dziecko podać za córkę Janiny Rivat.

— Za nic w świecie!—energicznie odparł Duplat.

— Dlaczego.

— Bo mógłbym się załapać. Zaraz zrozumiesz pan. Kancelarye urodzeń i zgonów były ciągle czynne w merostwie jedenastem, być może więc, że Weronika złożyła już deklaracyę o przyjściu na świat tych dzieci. Przypuściwszy nawet, że nie uczyniła tego, to przecież inne osoby muszą wiedzieć o rozwiązaniu Janiny Rivat. Gdybym zadeklarował tylko jedno dziecko mogliby zapytać mnie, co uczyniłem z drugim... Ponieważ dom spalił się, mogą więc przypuszczać, że dzieci wraz z matką zginęły w płomieniach. Czy mam słusność?

— Rzeczywiście,—odrzekł Gilbert.—Cóż pan z jednym z nich będziesz robił do jutra?

— Jużci nie dam mu piersi, bo ich nie mam; ale delikatnie napoję wodą z cukrem, aby przeżyło dopóki nie nakarmi je mamka, wyznaczona przez Towarzystwo dohroczynności.

— Dalej, nie możesz pan pozostawać dłużej w piwnicy.

— I ja tak uważam.

— Dokąd więc pójdziesz?

— Do pańskiego mieszkania na piętro.

— Dobrze—odrzekł Gilbert—zaraz pójdziemy razem, lecz pierwszej musisz pan pomódz mi ukryć zmarłe dziecko mej żony.

— Chętnie; wykopiemy jamę w tej piwnicy, pochowamy je i żywa dusza nie będzie wiedziała. Czy masz pan szpadel, lub jakie inne narzędzie?

— Mam tylko siekierkę do łupania drzewa.

— Wystarczy... Daj pan ją. Tymczasem przyrządź trochę ciepłej wody z cukrem, aby była gotowa gdy dziecko przebudzi się.

— Czy jesteś pan pewnym, że żona pańska nie słyszy nas?

— Jestem o to spokojnym; w każdym razie staraj się robić jak najmniej hałasu.

### XXXIII.

Duplat rozpoczął swą smutną czynność, gdy tymczasem Gilbert zajął się przyrządzeniem posiłku dla bliźniąt.

Ponieważ ziemia nie była ubita, więc ex-kapitan z łatwością wykopał jamę na metr głęboką, poczem Gilbert obwinał dziecię w prześcieradło i bez jednej łzy żalu, bez wyrzutu sumienia, rzucił je w dół i przysypał ziemią, którą następnie udeptał nogami.

— Skończyliśmy—rzekł Duplat,—zaprowadź mnie pan teraz do swego mieszkania. Ufl jak jestem zmęczony! Ale wybierz pan pierwszej jedną z dziewczynek... Jako ojciec masz prawo wyboru, lecz staraj się trafić szczęśliwie.

Gilbert nachylił się nad kołyską i wskazująco dziewczynkę, leżącą po stronie prawej, rzekł:

— Biorę tę...

— A więc ja drugą...

Duplat wziął dziecko na ręce i udał się za Gilbertem do jego mieszkania, w którym znalazł tylko jeden materac i kołdrę, reszta bowiem pościeli zniesiona była do piwnicy.

Obwinał dziewczynkę w kołdrę i położył ją przy materacu na podłodze.

W tej chwili dziecina zakwilila, lecz nie przebudziła się.

— W kuchni znajdziesz pan cukier, wodę, węgle, zapalki—rzekł Gilbert.

— Dobrze, znajdě.—A teraz uregulujmy nasze rachunki... Kochajmy się jak bracia, rachujmy się jak żydzi... Przyniosłem panu dziecko, oddaj mi więc weksie.

Gilbert wyjął z kieszeni papiery i podał je Duplatowi.

— Co zamierzasz pan robić, skoro porządek zostanie przywrócony?

— Nie myślałem jeszcze o tem...

— Czy pozostaniesz pan w Paryżu?

— Nie mam ochoty. Wolę prowincyę...

— Pytam o to dla tego, że mogę potrzebować pana. Gdzie więc mam cię szukać?

— Przyślę panu swój adres. Teraz pragnę przede wszystkim ukryć się na czas odwetu i skoro tylko odniosę to dziecko do merostwa, postaram się jak najprędzej drapnąć po za fortyfikacye. Nie chcę czekać, aż zadenoncyuje mnie który z sąsiadów, a muszę przyznać się, że niewdzięcznicy ci nie bardzo kochają mnie.

— Masz pan jaką bezpieczną kryjówkę?

— Mam w Champigny pewną starą przyjaciółkę, dobrą dziewczynę, która chętnie ukryje mnie u siebie i przechowa, dopóki nie uspokoi się wszystko. Gdybyś mnie pan potrzebował, to znajdziesz mnie u niej. Posiedzę tam ze dwa tygodnie.

— Jak się nazywa?

— Palmira, praczka.

— Adres jej?

— Ulica Bretigny, nr 9. A teraz życzę dobrej nocy. Wracaj pan do siebie, a ja prześpię się tutaj.

W chwili gdy Gilbert wszedł do piwnicy, Henryka przebudziła się ze snu głębokiego i usiłowała podnieść się na posłaniu.

— Moja córka,—moja córka—szepnęła.

— Czy lepiej czujesz się, Henryko?—zapytał Gilbert troskliwie.

— Lepiej—odrzekła.—Podaj mi moją córkę,—może płakała... może chciała pić.

Gilbert spokojnie wziął dziewczynkę z kołyski i położył ją na rękach Henryki, która, usłowowszy je, chciała nakarmić, ale dziecina zaledwie dotknęła ustami jej piersi, poczęła krzyczeć.

Gorączka i cierpienie pozbawiły Henrykę pokarmu.

— Daj jej mleka—rzekła—nie mogę już karmić jej sama.

Gilbert nalał w szklanekę trochę wody ocnkrzonej i wlał w usta dziecku.

Wzruszenie to tak osłabiło Henrykę, iż zemdlona opadła na poduszkę. Wtedy mniemany ojciec dziecka ułożył je w kołysce, poczem w usta Henryki wlał łyżkę lekarstwa, po którym cбора zapadła znowu w sen twardy, letargiczny.

Dnia następnego 28 maja pogoda była pochmurna.

Od samego rana padał deszcz drobny i gęste chmury przeciągały nad spalonym i zboczonym krwią Paryżem, wzruszonym aż do podstaw ostatniemi podrygami komuny, która konając jak dzikie zwierzę, kąsała śmiertelnie.

Plac przed Bastylią przedstawiał widok straszny: zajmował go cały park artylerji, a na każdej ulicy, na każdym wychodzącym na ten centralny punkt bulwarze, wznosiły się z zaciekłością bronione barykady.

W ambrazurach sterczącej na ulicy św. Ambrożego trzy armaty wyszczerzały swe groźne, ziejące ogniem paszcze, a w pewnej odległości za nimi druga barykada zasłaniała ulice Charenton i la Roquette.

Wzdłuż domów ułożone były zapasy amunicji.



Na przecięciu ulicy Bourdon z bulwarem Richard-Lenoir wznosiła się olbrzymia barykada, ułożona z wywróconych wozów, worków z piaskiem, kamieni brukowych i pak starej bielizny, przeznaczonej dla szpitali.

Naczynia z naftą, otoczone słomą trzęsioną, oczekiwały na podpalaczy i podpalaczki.

Za oknami wszystkich domów, zamienionemi na strzelnice, ukrywali się gotowi do walki powstańcy. Były to resztki wszystkich korpusów wszelkiej broni; oficerowie i żołnierze, wygalonowani, przybrani w pióropusze, tworzyli istną maskaradę piekielną, śmieszną, lecz zarazem straszną.

Na środku placu wznosiła się odrapana od pocisków kolumna Lipcowa z geniuszem wolności, deptającym jedną nogą kulę złotą i otoczony dymem pożarów.

U jej to stóp miał zakończyć się ten krwawy melodramat.

Nagle na wszystkich frontach wojsk regularnych zagrzmiała kanonada.

Powstańcy odpowiedzieli z zapalem, godnym lepszej sprawy.

Lecz, podczas gdy na każdej barykadzie nachyleni nad działami kanonierzy nabijali działa i strzelali bez przerwy, gdy walczący: mężczyźni, kobiety, dzieci stojąc, klęcząc, lub leżąc sypali salwami strzałów karabinowych na wojska regularne, a z za domów, okien, ze wszystkich pięter padały kule z ukrycia—jeden batalion strzelców, wpadłszy na tyły powstańców, rozwinął się w tyralierkę i rozpoczął morderczy ogień.

Ogromny wrzask podniósł się z szeregów komunistów.

— Jesteśmy zgubieni! Jesteśmy zgubieni!--wrzasnęły setki głosów.

Słosty bliźniaczki.

Powstańcy, wzięci w dwa ognie, musieli się poddać lub zginąć.

Wojska wersalskie przy dźwiękach trąb i huku bębnow przyspieszyły marsz ściśniętymi szeregami.

Wtedy oczom wszystkich przedstawił się widok straszny.

Domy obrzucone materyałami palnemi i oblane naftą buchnęły płomieniem od piwnic aż do dachów.

Wszystkie nieszczęścia, jakie wściekłość szatanów w postaci ludzkiej wymyślić zdolna, zwały się na tę nieszczęśliwą dzielnicę.

Na szczęście, trwało to krótko.

Wkrótce nawet najzawzięciej bronione barykady owładnięte zostały przez wojska regularne.

Z wybrzeży, ulic i bulwarów nadbiegli naraz żołnierze liniowi, marynarze i żandarmi.

Wyrwane, podarte i rzucone pod nogi czerwone sztandary zniknęły w zmieszaniem z krwią błocie.

Powstanie było stłumione i komuna zduszoną.

Wojska regularne zajęły Paryż.

Zamknięci w swych domach obywatele, instynktem odczuwając upadek anarchii, odważyli się uchylać okna i wyjrzeć na ulicę.

Widok stojących na ulicach żołnierzy uspokoił ich.

Najśmielsi i niemający nic na sumieniu, zaczęli wychodzić z piwnic.

Gilbert Rollin był jednym z pierwszych, którzy opuścili podziemne mieszkanie, inni lokatorzy domu poszli za jego przykładem.

Wszyscy ci paryżanie, uspokojeni przez oficerów i żołnierzy, odetchnęli nareszcie po tylu dniach przestraszu i chętnie zgodzili się na rewizję swych domów, wybadania mieszkańców i oddania pod sąd wojenny wszystkich podejrzanych o utrzymywanie stósunków z komuną.

Serwacy Duplat, ukryty za muslinowemi firankami okna, śledził wypadki, zachodzące na ulicy.

Widział jak żołnierze i przebrani po cywilnemu agenci policyjni zatrzymywali przechodniów i aresztowali nie umiejących wytłumaczyć się, lub których odpowiedzi nie były zadawalające.

Widział wyciągane z okien ręce, wskazujące agentom ludzi, umykających chyłkiem pod ścianami domów.

Policyja zatrzymywała ich i uprowadzała.

Prosta denuncyacya sąsiada wystarczała za dowód oskarżający.

Były kapitan komuny zaczął drżeć ze strachu.

Był zanadto dobrze znany w całym okręgu, przez prawie dwa miesiące siał postrach i przerażenie, był zmorą spokojnych mieszkańców, zresztą dowodził plutonem, który w dziedzińcu więzienia la Roquette wymordował zakładników.

Jeżeli jaka ręka wskaże go na ulicy, nie oddadzą, nawet pod sąd, a wprost postawią pod murem i rozstrzelają.

#### XXXIV.

Niewesołe te uwagi zasepiły czoło nikczemnikowi.

Umrzeć, być rozstrzelanym,—a cóż się stanie z pieniędzmi leżącymi w kieszeni, co z majątkiem, jaki miał otrzymać od Gilberta Rollina?

I wszystko to zagrzebanoby w ziemi wraz z jego kośćmi i to w chwili, w której życie zapowiadało się tak pięknie?

Co czynić?

Jeżeli opuści dom w celu odniesienia do merostwa jednej z córek Janiny Rivat, to nim zrobi dwadzieścia kroków, zostanie zadenuycyowanym...

Nagle wejście męża Henryki powiększyło jego przestrasz.

— Jak stoi sprawa?—zapytał głosem zdławionym

— Wszystko skończone—odrzekł Gilbert.—Komu na nie żyje, wersalczyki są panami Paryża, ogłoszono stan oblężenia i administrację miejską oddano w ręce merów... Trzeba uciekać...

— Dlaczego?

— Gdyż we wszystkich domach odbywają rewizye, zabierają broń i uprowadzają skompromitowanych. Z pewnością przyjdą i do mnie.

Przeniosę żonę. Rozumiesz pan, iż nie możesz bawić tu dłużej.

Duplat zbladł jak płótno.

— Na ulicy mogą mnie poznać, zaaresztować, rozstrzelać?

— Lękasz się pan?

— Ludzie lękają się nawet mniejszych rzeczy.

— A jednak pozostając tutaj, oddasz się sam w ich ręce. Czem wytłómaczysz pan swoją obecność? I sam nie ocalisz się i mnie skompromitujesz... Powinieneś pan pomyśleć o spełnieniu zaciągniętych względem mnie zobowiązań.

— Pańskie sto pięćdziesiąt tysięcy franków nie warte mojej głowy—gwałtownie odrzekł Duplat.

Teraz Gilbert przestraszył się.

Co będzie, jeżeli wspólnik ten nie zechce dokończyć tak pięknie rozpoczętego dzieła, od którego zależy przyszłość jego?

— Dziwię się, iż nie rozumiesz pan—odrzekł—iż pozostając tutaj, narażasz się sto razy więcej, niż gdzieindziej! Jeżeli zastaną pana z drugą córką Janiny Rivat, to czem wytłómaczysz się? Jakież ja mogę dać objaśnienie? Cała sprawa wyda się!... Prędko dowiedzą się kim jesteś, gdyż znają cię w całym domu,

a i ja będę oskarżony o ukrywanie komunistów. Wtedy wszystkie nasze projekty wezmą w łeb! Jeżeli gdzie grozi panu niebezpieczeństwo, to właśnie tutaj. Tymczasem na ulicy prędzej uda ci się przemknąć niepostrzeżenie. Tak przyzwyczajono się do twego munduru, że nikt cię nie pozna w ubraniu cywilnem. Zresztą, powód skłaniający pana do udania się do merostwa, czyż nie przemawia za twoją uczciwością? Ocalenie dziecka i odniesienie go do kancelaryi Towarzystwa dobroczynności jest czynem tak chwalebnym, iż nikomu na myśl nie przyjdzie, iż przed kilkoma godzinami walczyłeś w szeregach komunistów. Zdecydowałeś się pan dobrowolnie, przyjąłeś względem mnie zobowiązania, mam więc prawo wymagać, byś dotrzymał słowa.

— Masz pan słuszość—odrzekł Duplat, odzyskawszy zimną krew podczas długiej przemowy Gilberta.— Kto nie ryzykuje, nic nie ma! Przyrzekłem i dotrzymam, ale biada tobie, jeżeli wyjdę cały, a ty w terminie wypłaty wyprzesz się podpisul Do stu piorunów! nie chciałbym wówczas być w twojej skórze.

— Bądź pan spokojnym—odrzekł mąż Henryki—zapłacę.

— I ja mam nadzieję.

Duplat, nie namyślając się już dłużej, wziął na ręce dziewczynkę owiniętą w kołdrę, opuścił mieszkanie Rollina i udał się do merostwa.

— Ach, żeby go zabili wraz z dzieckiem!—myślał Gilbert, spoglądając za odchodzącym.

Nie bez śmiertelnego strachu były kapitan komuny postawił nogę na ulicy po wyjściu z domu przy ulicy Servan.

Nie posiadał on odwagi, ale był szalenie zuchwałym, nadto obdarzony umysłem bogatym w pomysły, rachował, że potrafi wybrnąć z grożącego mu niebezpieczeństwa.

Pragnął żyć, ażeby użyć uciech, jakich doznać można za piętnaście tysięcy franków już posiadanych i sto pięćdziesiąt tysięcy franków, spoczywających w kieszeni w formie obligów.

Naprzeciw domu ulica była pustą, ale na przecięciu z ulicą Zieloną Duplat spostrzegł grupę żołnierzy, którą otaczało kilkanaście osób z ludu, przeważnie kobiet.

Duplat nie ufał szczególnie kobietom i bał się ich długiego języka.

Będąc znanym i znienawidzonym, zwłaszcza przez sklepikarzy, nie odważył się pójść w tym kierunku, byłoby to bowiem szaleństwem, zawrócił więc na ulicę Roquette, gdzie również stała gromadka żołnierzy, ale mniej towarzyskich.

Nasunął kapelusz na oczy, wcisnął głowę w ramiona i przytuliwszy dziecko do piersi, jak prawdziwy ojciec, przyspieszał kroku drżąc ze strachu przed każdym spotkanym przechodniem.

Na placu Roquette jeden pułk piechoty zamykał wszystkie wyjścia i pilnował bram dwóch więzień, do których setkami spędzano pochwyconych komunistów.

Chciał minąć placówkę, lecz zatrzymano go.

W tych chwilach strasznych, zaledwie po ukończeniu walki zajadłej, żołnierze nie przebierali w wyrażeniach i traktowali przechodniów bardzo brutalnie.

— Z kąd idziesz, podpalaczu?—zapytał sierżant.

— Dokąd uciekasz?—zawtórował drugi.

— Śmierdzisz prochem...

— Pokaż ręce...

— Umyj pysk i odsłoń go...

— Co niesiesz?

— Czemu nie odpowiadasz?

— Nie odpowiadam, bo wszyscy naraz krzyczącie i nie dajecie czasu na odpowiedź—z zimną krwią

odrzekł ex-kapitan. Widzicie, że niosę dziecko i idę do merostwa jedenastego okręgu zapisać je do akt stanu cywilnego. Ukrywaliśmy się w piwnicy z obawy pocisków.

I mówiąc to, pokazał dziewczynkę, która, odkryta nagle, zaczęła płakać.

— Dobrze... możesz iść!

Nieco dalej zatrzymano go powtórnie i znowu badano.

Dziecko Janiny Rivat było dla niego listem bezpieczeństwa.

Szedł dalej, co kilka kroków spotykając pikiety żandarmów prowadzących więźniów, lub nosze z ranymi i trupami zbieranemi z ulicy.

Na placu Woltera zatrzymano go po raz ostatni, zadowolono się odpowiedzią i przepuszczono.

Parter merostwa zajęty był przez dwie kompanie piechoty; wszędzie połyskiwały szable i bagnety.

Żołnierze, utrudzeni od tygodnia trwającą uporczywą walką, mieli twarze blade, wynędzniałe, okopcone dymem prochu, mundury podarte i zabłocone.

Niektórzy skrzyżowawszy ręce na lufie karabina, spali stojąc, inni uwijali się na chodnikach około kotłów.

W rynsztokach leżały kupy mundurów powstańczych, czapki, szable połamane, kolby karabinowe i lufy pokrzywione, a nieco dalej znowu trupy, lub ranni ociekający krwią.

Obok stały grupy kobiet płaczących, z dziećmi czepiającemi się ich spódnic, matek i wdów domagających się chleba, oddania mężów lub braci, zaginionych, może aresztowanych.

Duplat uczył dreszcz przebiegający po całym ciele.

Przychodziła mu myśl, że dobrowolnie wpadł w paszczę wilka, ale już nie czas było cofać się.

Szedł dalej, udając pewnego siebie i przebył bramę merostwa.

Dziedziniec przepelniony był żołnierzami, policją i szpiegami.

— Dokąd idziesz?—zapytano go.

— Idę złożyć deklarację o urodzeniu tego dziecka.

— Możesz iść.

Wszedł na schody, następnie na korytarz i korzystając z chwili, w której nikt na niego nie patrzył, otarł pot z czoła.

Nagle drzwi, przed którymi zatrzymał się, otworzyły się i jakiś człowiek, spostrzegłszy go, wydał okrzyk zdziwienia.

Był to Merlin, tajny agent wersalski.

— Czyś ty zwaryował?—zapytał zdumiony.—Więć chyba sam chcesz by rozstrzelali cię? Pociąg przyszedł tutaj, gdzie tyle osób cię zna?

Dupłat z zieleniał.

— Przyszedłem złożyć deklarację o znalezieniu tego dziecka—rzekł odkrywając je.

— Powiedz prawdę, gdzieś je ukradł?

— Nie ukradłem, lecz uratowałem—rzekł.

### XXXV.

— Tyś uratował? No, no! Gdzie?

— Na ulicy la Roquette.

— Jakim sposobem?

— Szedłem tam do jednego z przyjaciół, u którego chciałem się ukryć, ażeby przeczekać najgorętsze chwile, a następnie opuścić Paryż. Myślałem, że tam jest spokojnie, tymczasem natknąłem się na toczącą w pobliżu walkę. Pociski padały naokoło i domy za mną zaczęły się palić. W chwili gdy dochodził do mej kryjówki, grad kartaczy przegrodził mi drogę. Ca-



la ulica la Roquette stała w płomieniach. Musiałem zawrócić. Mieszkańcy uciekali z płonących domów jak waryaci. Zebrałem wszystkie siły i pędziłem wśród gęstego dymu i kul świszczących. Naokoło mnie rozlegały się przeraźliwe wrzaski i wołanie o pomoc... Kobiety z dziećmi na rękach uciekały z płaczem. Jedna z nich wypadłszy na mnie z gorejącego domu, trafiona kulą w piersi, padła u nóg moich. Był to widok tak okropny, że choć przede wszystkim myślałem o ocaleniu własnej głowy, wstrzymałem się, a ona wtedy podając mi dziecko, jęknęła.

— Ocal... ocal...

Wziąłem więc, trudno bowiem było rzucić na bruk i uciec; nieprawdaż? Byłoby to zbyt nikkzemnie. Powiedziałem sobie tylko, iż skoro je wziąłem, to powinienem ocalić. A ponieważ kule padały dalej, popędziłem do swego mieszkania. Ale i mój dom już stał w płomieniach! Wypadłem na ulicę Zieloną i ukryłem się w piwnicy pustego domu, w którym umawiałem się z tobą, w pewnym interesie. Myśl była dobra. Przesiedziałem spokojnie kilka godzin, a ponieważ sam nie mogłem nakarmić dziecka, wyszedłem, by odnieść je do przytułku.

Duplat całą tę naprzód obmyślaną anegdotkę opowiedział tonem tak naturalnym, że nawet znający go dobrze Merlin<sup>o</sup> uwierzył mu zupełnie.

— Na ten raz popełniłeś czyn uczciwy. Jesteś więcej wart, niż myślałem. Ale narażasz tutaj życie. Twoi sąsiedzi już zadenuncyowali. cię...

— A lajdaki! Ratuj mnie! Przybyłem tutaj by ocalić to dziecko. Ratuj!

— Uczynię wszystko co mogę. Czy nie znałeś matki tego dziecka?

— Nie znałem i nigdy nawet nie widziałem jej.

Siostry bliźniacki.

Dziecko to ma najwyżej dwa lub trzy dni życia, więc jak raz do przytułku...

— Czy wiesz numer domu spalonego, z którego wybiegła matka?

— Zmilkuj się, czy ja mogłem wtedy myśleć o numerze domu? Zresztą wszystkie domy paliły się naraz.

— To prawda. Ale to mała rzecz. Dziecko uratowane ma takie samo prawo do opieki co i znalezione.—Radź.—Znają mnie tutaj o tyle, że uwierzą mi na słowo. Tylko nie wymieniaj swego nazwiska. Wiedzą już, że kapitan Serwacy Duplat dowodził plutonem który rozstrzelał zakładników. Zgubiłbyś siebie i mnie skompromitowałbyś.

Merlin zaprowadził Duplata do biura urodzeń i wskazując urzędnikowi dziecko rzekł:

— Człowiek ten uratował z płomieni dziecię. Matka i ojciec nieznani. Niech pan będzie łaskaw zapisze objaśnienia jego, a ja tymczasem pójdę do pana mera powiadomić go o wypadku i zapytać co zrobić z dzieckiem?

Po chwili powrócił z gabinetu z oświadczeniem, że mer prosi ich wszystkich do siebie.

Gdy weszli, Merlin przedstawił swego przyjaciela.

— Pan Juliusz Servaize, o którym panu merowi mówiłem. Znam go oddawna. Udało mu się opuścić Paryż i wrócił dopiero z nami.

— Panie—odrzekł mer, podając rękę współnikowi Gilberta—winszuję panu takiego poświęcenia. Pan Merlin opowiedział mi wszystko. Uczynię wszystko co będę mógł dla tej biednej sieroty.

Poczem zwróciwszy się do urzędnika, rzekł:

— Panie Bertin, wiesz co należy uczynić w takich wypadkach. Postaraj się, aby dziecko to bezzwłocznie oddano mamce. Porozumiej się pan w tej kwestyi z zarządem przytułku. Spisz protokół, który za-

stąpi metrykę, prawdopodobnie bowiem nie składano deklaracji urodzenia. Urządź się wreszcie tak, aby nawet po dwudziestu latach można było udzielić objaśnień osobom, które chciałyby zasięgnąć wiadomości o dziecku,

— Dobrze, panie merze, ale kancelarya przytułku jeszcze nie funkcjonuje.

— A nie masz pan listy kobiet, którym powierzą dzieci podrzucone?

— Mam.

— Więc wybierz pan jaką, mieszkającą najbliżej Paryża, dziecko bowiem zapewne potrzebuje szybkiej pomocy.

— Lecz kto je odwiezie?

Bystry Merlin skorzystał z tego pytania:

— Może odwieźć sam wybawca—rzekł.

— Czy zechce pan spełnić ten czyn dobry?—zapytał mer, zwracając się do Duplata.

— Bardzo chętnie, panie merze—rzekł ex-kapitan, a w duchu pomyślał:—Ach, szelma Merlin, jaki sprytny! Daje mi najlepszy sposób opuszczenia Paryża i dostania się do Champigny.

— Odwiozę go—mówił dalej Merlin—do bramy Bharenton, lecz będę prosił pana mera o wydanie w tym celu listu bezpieczeństwa, który następnie zawizuję w komisaryacie.

— Dobrze—odrzekł mer.—Żegnam panów.

Urzędnik wraz z Merlinem i Duplatem wyszli z gabinetu i udali się do biura, gdzie zajęli się sporządzeniem protokołu.

— Pańskie imię, nazwisko?—zapytał Duplata.

— Juliusz Servaize.

— Gdzie pa mieszka?

— Przy ulicy la Roquette, nr 22, dom spalony—odrzekł Merlin.

— A pan, panie Merlin?

— Alfons Izydor Merlin, ulica Boulets, nr 14.

— Czy nie wiecie panowie numeru spalonego domu, z którego wyszła matka tego dziecka?

— Nie, panie. Cały szereg domów stał w płomieniach, zresztą trudno było pod gradem kul myśleć o numerze.

— I o matce nic pan nie wie?

— Nic.

— Czy dziecko, gdyś pan 'je podjął, zawinięte było w tę samą kołderkę i bieliznę co teraz?

— W tę samą.

— Niech pan podyktuje mi szczegółowy jej opis. Duplat spełnił żądanie.

— Czy na bieliznie dziecka niema jakiego znaku?

— Nie wiem.

— Proszę zobaczyć.

Merlin odsłonił dziecko, które zaczęło płakać.

Biedna istotka miała na sobie tylko koszulkę perkalową.

— Na bieliznie jest znak R.

— Czy niema na ciele znaków szczególnych?

— Niema—odrzekł Merlin po obejrzeniu dziecica.

— Ile może mieć życia?

— Najwyżej trzy dni i musi mieć rogatą duszę, skoro jest tak spokojne i ma się dobrze, choć przez tyle godzin pozostaje bez pokarmu.

— Panie Merlin, niech pan uda się z niem do apteki i poprosi o przygotowanie mu jakiego napoju, a ja tymczasem z panem Servalze dokończę protokół.

— Masz pan słuszność—odrzekł agent i wyszedł.

Po dziesięciu minutach powrócił z jakimś płynem mlecznym i łyżką.

— Przeczytam panom protokół i poproszę o podpisanie go—oświadczył urzędnik.

— Słuchamy—rzekł agent.

„Dnia 28 maja 1871 r. o godzinie jedenastej rano, w kancelaryi mera okręgu jedenastego stawili się: p. Juliusz Servaize, zamieszkały przy ulicy la Roquette w domu nr 22, obecnie spalonym, oraz p. Alfons Izidor Merlin, zamieszkały przy ulicy Boulet nr 14, i przedstawili dziecię płci żeńskiej, znalezione na ulicy Roquette przez p. Juliusza Servaize, w chwili gdy jakaś kobieta, prawdopodobnie matka, wybiegłszy z płonącego domu, trafiona kulą, padła bez życia na bruk ulicy. Dziecię to, jak się zdaje urodzone przed trzema dniami, owinięte było w kołderkę białą i miało na sobie koszulkę, oraz czepeczek, oznaczone wyhaftowaną czerwoną bawełną literą R.“

Akt ten podaje powyższe szczegóły w celu udzielenia wskazówek osobom, któreby w przyszłości poszukiwały tego dziecięcia.

Dziecku temu dano imię...

Urzędnik przerwał czytanie i zapytał:

— Jakie imię chcecie panowie dać temu dziecku?

— To mała rzecz—odrzekł Duplat—niech pan da pierwsze lepsze.

— Na białiznie znajduje się litera R,—wtrącił Merlin—więc dajmy imię zaczynające się od niej.

— Więc niech będzie Róża—rzekł Duplat.

Urzędnik wpisał imię i czytał dalej.

„Dziecko to staraniem administracji miejskiej oddane będzie [do mamki, wdowy Franciszki Leroux, zamieszkałej w Saint-Maur, pod opieką Rady dobroczynności publicznej, która zostanie o tem powiadomiona i otrzyma kopię niniejszego protokołu deklaracji, zapisanej w rejestrze urodzeń na str. 158“.

Paryż, 28 maja 1871 roku.

Niech panowie podpiszą—rzekł urzędnik, podając pióro Duplatowi.

Ex-kapitan podpisał nazwisko: Juliusz Servaize.

— Dopuszcilem się fałszerstwa w dokumencie urzędowym—pomyślał—a to gruba sprawa... Ale jam temu nie winien... to Merlin. Zresztą po oddaniu dziecka do przytułku, nie będzie o niem mowy...

Z kolei podpisał Merlin.

— A teraz—dodał urzędnik—niech pan uda się do pana mera po papiery potrzebne do umieszczenia dziecka u mamki.

Duplat i Merlin zabierali się do wyjścia, gdy wtem na progu kancelaryi stanął Gilbert, w towarzystwie swego sąsiada p. Launay i akuszerki, niosącej dziecko na rękach.

Gilbert wymienił z Duplatem szybkie spojrzenie.

— Więc dotrzymał słowa—pomyślał mąż Henryki.

Duplat i Merlin udali się teraz do mera i znaleźli papiery gotowe.

— Zawizuj pan ten list bezpieczeństwa u komisarza wojskowego—rzekł urzędnik, wręczając papiery agentowi, następnie na koszt merostwa weźmiesz powóz i odwieziesz pana Servaize do bramy Charenton. Tamtędy będzie najbliższa droga do Saint-Maur, gdyż pociągi na kolei żelaznej jeszcze nie kursują.

A zwróciwszy się do Duplata, dodał:

— Jeszcze raz winszuję panu tak pięknego czynu. Gdyby nie pan, to dziecie nie żyłoby już. Postąpiłeś pan jak człowiek z sercem i honorowy... czyn pański przyniesie mu szczęście.

I uściskał rękę lotra, który podając swoją, myślał:

— Jaki ty głupi jesteś mój panie! zdaje ci się, żeś bardzo przenikliwy i rozumny.

Merlin i kapitan Komuny po wyjściu z merostwa pojechali na plac Roquette, gdzie Merlin, mający

wszędzie znajomych, udał się do komisaryatu dla za-  
wizowania listu bezpieczeństwa, zaś Duplat wcisnąwszy  
się w róg powozu, starał się ukryć swą twarz przed  
oczyma przechodniów.

Po kilkunastu minutach agent powrócił i dorożka  
potoczyła się szybko do bramy Charenton.

Gilbert po wyjściu Duplata z drugą córeczką Ja-  
niny Rivat nie stracił ani minuty i z pomocą swych  
sąsiadów lokatorów przeniósł Henrykę z piwnicy do  
mieszkania, następnie wyszedł na miasto dla znalezie-  
nia lekarza dla matki i mamki dla dziecka.

Po długich poszukiwaniach udało mu się znaleźć  
jednego, za to z akuszerką poszło o wiele łatwiej.

Po udzieleniu Henryce pierwszej pomocy lekar-  
skiej Gilbert wraz z jednym z sąsiadów, akuszerką  
i dzieckiem udał się do merostwa.

Widzieliśmy go tam przestępującego próg kance-  
laryi w chwili gdy Duplat i Merlin już opuszczali ją.

Gilbert był tem spotkaniem zachwycony, przeko-  
nał się bowiem, że ex-kapitan spełnił swe zobowiąza-  
nie sumiennie i że odtąd nie groziła mu żadna kom-  
plikacya i żadne niebezpieczeństwo.

Złożył deklaracyę, na mocy której dziecko Jani-  
ny Rivat zapisane zostało jako urodzone dnia 25 maja,  
o godzinie drugiej po północy, przy ulicy Servan pod  
nr. 39 z małżonków Gilberta Rollin i Henryki z domu  
d'Areynes.

Dziecku temu dano imię Marya Blanka.

Dziwnym zbiegiem okoliczności na pozór niepra-  
wdopodobnych i zmyślonych, a które przecież wyda-  
rzają się w życiu rzeczywistem częściej niż się zdaje,  
obie córeczki bliźniaczki Janiny Rivat zapisane zostały

w księdze urodzeń merostwa, jednego dnia, na jednej stronicy i jedna po drugiej.

Gilbert przekonał się o tem dowodnie, czytając przez ramię urzędnika deklarację, podpisaną przez Juliusza Serwaize i Alfonsa Izydora Merlin.

— Duplat nie podpisał nazwiska własnego—myślał mąż Henryki.—Bał się i wziął sobie współnika. „Juliusz Servaize“ dobrze wiedzieć o tem.

Po otrzymaniu kopii aktu urodzenia, przyznającego Maryę Blanę za jego córkę legalną, Gilbert odetchnął swobodnie.

Przyszłość jego, na chwilę zaciemniona, nareszcie rozjaśniła się.

Pełen otuchy powrócił do domu i polecił akuszerce wyszukać mamkę.

W chili tej, w której wszystko zdawało mu się uśmiechać, niepokoiła Gilberta jedna tylko myśl, mianowicie posiadanie współnika; powiedział sobie jednak, że pozbędzie się go niedługo.

W jaki sposób?—nie wiedział jeszcze, ale będąc przygotowanym do użycia wszelkich środków, był pewnym, że nie dozna zawodu.

Powóz unoszący Merlina i Duplata z dziewczynką nie przybył bez trudności do bramy Charenton. Co kilkaset kroków musiał agent wersalski dawać objaśnienie naczelnikom posterunków i pokazywać list bezpieczeństwa.

— Zrozumiałem—rzekł Duplat podczas przejazdu—dlaczego dałeś mi nazwisko zmyślane; ale jeżeli fałszerstwo to zostanie kiedy odkryte?

— Przez kogo?—odrzekł Merlin,—kto będzie sprawdzał deklarację? To sprawa już skończona. Zresztą, z dwóch niebezpieczeństw zawsze należy wybierać mniejsze... Gdyby nazwisko twoje zostało wymienione, byłbyś rozstrzelany. Teraz już nie potrze-



bujesz obawiać się. Dziecko znajduje się pod opieką Towarzystwa dobroczynności, nikt również nie będzie zaprzętał sobie głowy Juliuszem Servaize. Dzięki mej przezorności możesz opuścić Paryż najbezpieczniej. Jeszcze raz wydobędę cię z biedy. Jeżeli po wyjściu za fortyfikacye potrafisz się urządzić rozumnie, to możesz spać spokojnie.

— Bądź pewnym, że nie popełnię żadnego głupstwa.

— Radzę ci nie pokazywać się przez czas jakiś i ukryć się dobrze. Pamiętaj, że zadenuncyowano cię jako kapitana komuny i oskarżono o rozstrzelanie zakładników, a więc z pewnością będą cię poszukiwali. Dopóki nie otrzymasz odemnie wiadomości, zachowaj nazwisko Juliusza Servaize—jest ono zupełnie czyste.

— Tak, ale nazwisko to przecież należy do kogoś.

— Nie należy do nikogo, gdyż zmyśliłem je.

— A gdybym został aresztowany?

— Dlaczego? To nieprawdopodobne.

— Na tym świecie wszystko jest możliwe. Otóż czy w takim razie mogę powołać się na ciebie i na usługi wyświadczone armii wersalskiej przez wydanie bramy św. Gerwazego.

-- Ani myśl o tem!—przerwał mu Merlin.—Stanowczo wyparłbym się ciebie, choćbyś Bóg wie jakie przedstawiał dowody. Powiedziałem ci już i powtarzam raz jeszcze, że rząd zna tylko mnie, mnie zapłacił i pozostawił wybór środków i ludzi. Nie chciałbym aby wiadano, że byłeś moim współpracownikiem. Mimo to wdzięczny ci jestem i dowodzę tego, pomagając ci do ucieczki, choć jako agent rządowy powinienem wydać cię w ręce policyi. Zresztą, jeżeli będziesz rozumnym, to nie masz powodu obawiać się aresztowania.

Siostry bliźniaczki

Powiedz mi, co myślisz robić na prowincyi do czasu aż przestaną myśleć o tobie.

XXXV.

— Myślę ukrywać się w Champigny—odrzekł Duplat.

— Czy znasz tam kogo pewnego? Prawda, zapomniałem... pannę Palmirę, praczkę.

— Tęga dziewczyna i kocha mnie! U niej będę bezpiecznym.

— Czy przyjmiesz odemnie radę?

— Chętnie. Ufam ci.

— Staraj się bawić u niej jak najkrócej.

— Dlaczego?

— Bo Champigny leży za blisko Paryża. Policya wytropi cię z pewnością. Ja na twoim miejscu puściłbym się w podróż zagranicę, ukryłbym się w Szwajcaryi lub Belgii i oczekiwałbym amnestyi, która prędzej lub później musi nastąpić; a ponieważ masz pieniądze i nie jesteś głupim, więc wybrniesz z kłopotu.

— Może masz słuszość...

— Z pewnością mam. Przeczekaj trzy lub cztery dni i umykaj do Szwajcaryi.

— Ale jak przekroczę granicę, nie posiadając paszportu?

— Nic łatwiejszego.

— Jakim sposobem?

— Wsiądź z pociągu na parę stacyj przed punktem, na którym agenci czuwają już od kilku dni i pieszo przejdź boczną ścieżką granicę, spacerem, z laską w rękę, jak mieszkaniec miejscowy.

— Dobrze, uczynię tak!

Przybyli do bramy Charenton.

— Pożegnam cię już, gdyż muszę wracać do Pa-

ryża. Ty zaś jedź dorożką do Graneville, a ztamtąd możesz już dojść pieszo.

Brama Charenton była strzeżoną przez kompanię strzelców i przez żandarmów.

Agent wersalski wszedł do biura, przedstawił dowody i uzyskawszy wizę, powrócił do oczekującego w powozie Duplata.

— Masz papiery w porządku. A teraz ruszaj i nie zapominaj moich rad.

— Dziękuję ci—odrzekł Duplat i pojechał dalej.

W godzinę po tej rozmowie, Duplat, złożywszy dziecko u wdowy Leroux i otrzymawszy od niej pokwitowanie, puścił się w drogę do Champigny.

Ostatnie wypadki paryzkie wiadome już były wszystkim i Duplat co krok spotykał osoby, które przez czas panowania komuny ukrywały się w wioskach sąsiednich, obecnie zaś śpieszyły z powrotem do Paryża.

Ponieważ przed oblężeniem wysadzono w powietrze most pod Champigny, przeto ex-kapitan zmuszony był przebyć Marne łodzią.

Przyjaciółka Duplata, Palmira, była dziewczyną bardzo przystojną, ale dzięki lekkomyślnemu postępowaniu swemu miała opinię oplakaną.

W Champigny, gdzie mieszkała od pięciu lat, posiadała wielu wielbicieli, a żaden z nich nigdy nie skarżył się na jej surowość, mimo to jednak, choć serce miała otwarte dla wszystkich, zachowała szczerą przyjaźń dla swego pierwszego kochanka, Serwacego Duplat.

Poznali się w Paryżu przed sześcioma laty i od tego czasu, pomimo osiedlenia się Palmiry w Champigny, widywali się niekiedy.

Palmira wiedziała o udziale Serwacego w rewolucyi paryzkiej. Widząc się z nim ostatni raz w dniu

18 marca, radziła mu, by nie mieszał się do spraw tak niebezpiecznych, lecz niezdolała go przekonać.

Obdarzona zdrowym rozsądkiem, rozumiała doskonale, że cel, do którego dążyli komuniści, był chimerą, marzeniem niemożliwym do spełnienia.

W Champigny prawie nikt nie znał Duplata, na-przód, że bywał tam rzadko, a powtóre, iż jeszcze rzadziej pokazywał się na ulicy wraz z Palmirą; gdy chcieli się widzieć, naznaczali sobie schadzkę w Paryżu.

Podczas oblężenia przebywała ona wraz z swą pracodawczynią w stolicy i dopiero po zawarciu zawieszenia broni powróciła do Champigny, gdzie przez sześć dni w tygodniu pracowała z żelazkiem w ręku a w niedzielę flirtowała z chłopcami i towarzyszkami, wolnemi od przesądów zarówno jak i ona.

Zajmowała przy ulicy Bretigny mały, z trzech pokoiów złożony domek włościański, położony w ogródku, otoczonym ze wszystkich stron palisadą drewnianą.

28 maja, w dzień Zielonych świąt cały poranek przepędziła w pracowni i odchodząc przyrzekła jednej z towarzyszek udać się wieczorem na obiad do utrzymywanej przez miejscowego rybaka restauracyi nad brzegiem rzeki. O godzinie trzeciej po południu, zaledwie ukończyła porządek w mieszkaniu, utrzymywany zwykle z wielką starannością, ktoś zadzwonił u drzwi.

Otworzyła je i spostrzegłszy Duplata, krzyknęła ze zdziwienia.

— Co ty tu robisz?—zapytała.

— Cicho!—odrzekł, wchodząc pośpiesznie i zamykając drzwi za sobą.

— Założyłabym się, że ścigają cię—rzekła, przewidując niebezpieczeństwo.

— Nie ścigają, ale jestem zagrożony i dla tego

pragnąłbym, aby nikt nie wiedział, że jestem w Champigny i w twoim mieszkaniu.

— A mówiłam ci, że to źle się skończy! Nie chciałaś mnie słuchać.

— Miałaś słuszość... lecz stało się... Nie mówmy o tem.

Palmira objęła ramionami szyję Iotra i ze współczuciem patrząc mu w oczy mówiła:

— Szczerze mi ciebie żał.—Więc szukają cię... Ach, czemu nie słuchałaś mojej rady? Wiedziałam, że cała ta wasza komuna była blagą i nie mogła trwać długo! Wszyscy jej przywódcy byli to błazny, myślący tylko o napchaniu swych kieszeni! Nie rozumiem co z tobą się stało, żeś przyłączył się do nich. Ot, do czego doprowadzili cię!

I znowu uścisnęła go serdecznie.

— Powtarzam, że popełnił głupstwo—odrzekł— lecz cóż chcesz, moja droga, ufałem im. Dziś trudno już to cofnąć, należy czekać aż zapomną...

— Cóż teraz? Odwet?

— Straszny!

— To samo mówią ci, co przybyli z Paryża.

— Czy bardzo jesteś skompromitowany?

— Dość mocno... Byłem głupi i rwałem się narzęd... Zadenuncyowano mnie...

— Zadenuncyowano! — powtórzyła przestraszona Palmira.—A to niktzemni! I gdyby cię ujęto, co zrobiono by?

— Rozstrzelanoby.

— Boże miłosierny! Cóż myślisz uczynić dla zmylenia pogoni za sobą.

— Chciałem przez kilka dni ukryć się u ciebie.. Nie wiem czym dobrze zrobił licząc na ciebie...

— Kpisz czy o drogę pytasz?—Zawsze rachuj na mnie. Uczynię dla ciebie wszystko, chociażbym sama

miała narazić się... Nie puszczę cię od siebie... Ale,—  
dodała po chwili—czy sądzisz, że mogą cię szukać tutaj?

— Nie zdaje mi się, ale ponieważ należy przewidywać wszystko, więc po kilku dniach powinniśmy wyjechać.

— Dokąd?

— Do Szwajcaryi.

— Oboje?

— Rozumie się. Czyż sądzisz, że przybyłem dla tego, byś wyciągnęła mnie z biedy i naraziwszy cię, następnie opuścić? Byłoby to nikiemnością! Pojedziemy do Genewy, założysz tam pralnię i będziemy żyli spokojni, szczęśliwi, nie obawiając się nikogo...

Duplat myślał, że Palmira propzycę tę przyjmię z zachwytem, ale ta odrzekła:

— Zapewne, że byłoby to dobrze. Wiem, że jestem robotnicą dobrą i potrafiłabym kierować zakładem, ale nie mam ani grosza oszczędności, żyję z dnia na dzień, a urządzenie takiego zakładu wymaga sporo pieniędzy...

— Jak myślisz—przerwał Duplat—czy pięć tysięcy franków wystarczy na taki interes?

— Nawet za wiele—odrzekła Palmira zdziwiona.

— Więc niech ci się zdaje, że sumę te posiadasz w kieszeni.

— Więc ty myślisz, że ją dostaniesz?

— Nie potrzebuję dostawać, gdyż mam.

— Nie żartujesz?

— Skoro nie wierzysz, więc patrz!

I powiedziawszy to, Duplat wyjął z kieszeni przygotowane naprzód pięć tysięcy franków i pokazał je Palmirze.

Uszczęśliwiona dziewczyna uścisnęła go serdecznie.

Duplat jako człowiek praktyczny i przezorny, przyznał się tylko do trzeciej części posiadanego ma-

jątku i ani słowa nie wspomniał o spodziewanym w przyszłości, to jest o zahypotekowanych na przyszłej sukcesji Henryki stu pięćdziesięciu tysiącach franków

— Pomówimy później o naszych projektach—rzekła Palmira—a teraz myślmymy o najpilniejszym. Czy przypuszczasz, że mogą cię szukać u mnie?

— Nie sędzę, ale należy być ostrożnym.

— Czy który z twoich przyjaciół zna mój adres w Champigny.

— Tylko Merlin.

Duplat zapomniał o Gilbercie.

— Co to za jeden ten Merlin?

— Towarzysz, którego widziałem raz w Paryżu i który dopomógł mi do ucieczki.

— Czy jesteś pewnym jego?

— Ufam mu jak sobie.

— Więc dobrze.

— Przez czas bytności u ciebie nie pokażę nosa na ulicy. Ty zaś nie zmieniaj systemu życia, tylko zamiast stołować się w restauracyi, jadaj zemną w domu.

— To łatwa rzecz... ale...

— Co takiego?

— W niedzielę odwiedzają mnie przyjaciółki, nie mogę zaś, nie wzbudzając podejrzewania, zamknąć drzwi przed niemi.

— Za tydzień już tu nas nie będzie.

— To też o niedzielę przyszłą nie obawiam się, ale dziś wieczorem, miałam pójść z jedną z przyjaciółek do restauracyi nad rzekę, a wieczorem na zabawę tańczącą. Jeżeli nie pójdę, to ona gotowa przyjść po mnie.

— Do dyabła!—zawołał Duplat—obiad nad brzegiem rzeki—pyszna rzecz.

— Tylko nie myśl o tem.—Na krok nie puszczę cię z domu.

— Bo widzisz, jeść mi się chce, od wczoraj nie miałem w ustach.

— Czy możesz poczekać jeszcze z godzinę?

— Jeżeli ścisnę brzuch, to może wytrzymam.

— Pójdę do mojej przyjaciółki, powiem jej, że wypadł mi nagły interes, zmuszający mnie do wyjazdu na parę godzin i, że powrócę do domu późno. Powracając przyniosą ci obiad.

— Dobrze, idź i wracaj jak najprędzej.

Palmira wzięła koszyk i wyszła, zamknawszy za sobą drzwi na dwa spusty.

Duplat nabrał otuchy, ale będąc z natury przezornym, natychmiast po odejściu swojej przyjaciółki wyjął z kieszeni papiery, między którymi znajdowały się obligi podpisane przez Gilberta Rollina, list bezpieczeństwa wydany na nazwisko Juliusza Servaize, pokwitowanie mamki Leroux, wreszcie dziesięć biletów tysiącfrankowych, otrzymanych za zdradę komuny i rzekł:

— Trzeba to zachować w miejscu bezpiecznym, ale tak, aby Palmira nie wiedziała o tem. Zabiorę przed wyjazdem do Szwajcaryi... Ale gdzie ukryć?

Rozglądając się po pokoju spostrzegł w szafce kuchennej kilka próżnych butelek.

— Mam już moją kasę ogniotrwałą.

Wziął jedną z nich, przekonał się, że była wewnątrz suchą, zwinął papiery w trąbkę, wsunął ją do butelki i zakorkował starannie.

Przy sobie pozostawił tylko kilka franków w złocie.

Poczem udał się do położonego za domem ogródka, wybrał jedno z większych drzew orzechowych i znalezionym pod palisadą szpadlem wykopał pod niem jamę głęboką na sześćdziesiąt centymetrów, następnie wpuścił butelkę i starannie zasypał jamę ziemią.



— Niech teraz szukają,—szepnął—zachwycony swym pomysłem.

\* \* \*

Pozostawiliśmy księdza Raula d'Areynes padającego od kuli w cówili, gdy wchodził do domu, w którym mieszkał.

Dom ten obejmował trzy piętra i zajęty był przez trzech lokatorów: ksiądz d'Areynes mieszkał na piętrze pierwszym, pewien stary dymisyonowany chirurg wojskowy na drugim i pewna rodzina mieszczańska, przebywająca na prowincyi od wybuchu powstania—na trzeciem.

Odźwierny zmarł od miesiąca, zaś właściciel domu, również nieobecny w Paryżu, nie wiedział o jego śmierci i nie naznaczał następcy.

Tym sposobem dom pozostawał pod opieką lekarza drugiego piętra i Magdaleny, wiernej służącej księdza d'Areynes, która stosownie do rozkazu swego pana, nie opuszczała mieszkania.

P. Lebland dymisyonowany chirurg wojskowy, żonaty, utrzymywał z księdzem Raulem stosunki przyjacielskie.

Tego wieczora żaden z lokatorów nie myślał iść na spoczynek, cały dom bowiem drżał aż do fundamentów i zdawało się, groził zawaleniem.

Huk dział i strzały karabinowe zbliżały się do domu.

Chirurg wojskowy, stojąc w ciemnym pokoju u okna, przez żaluzye śledził wypadki na ulicy.

— Ciagle idą naprzód—mówił.—Nasze wojsko wkrótce powinny zająć całą dzielnicę.

Rzeczywiście walka zbliżała się w kierunku kościoła św. Ambrożego.

Siostry bliźniaczki.

Trzej nasi lokatorzy z zapartym oddechem oczekiwali jej rezultatu.

Pomimo wyteżonej uwagi, z jaką przysłuchiwan się zgłębki ulicznemu, żaden z nich nie słyszał krzyku padającego na schodach księdza.

Kanonada i huk dział głużyły wszystkie inne głosy.

Nagle rozległy się uderzenia kolbami strzelb w drzwi wiodące na ulicę i głosy:

— Otwórzcie! to wojsko wersalskie...

Pan Lebland uchylił żaluzye i wyjrzawszy na ulicę, odrzekł:

— Poczekajcie, zaraz otworzę!

— Prędeż!—zawołał oficer.—Potrzebujemy zając wasze okna!

— Idę...—rzekł chirurg i zamknął żaluzye.

Boże mój! Boże!—wołała pani Lebland na pół żywa,—będą się bili w domu... Wszyscy zginiemy!

— Jezu miłosierny! ulituj się nad nami!—szepiała Magdalena.

— Nie lamentujcie, owszem cieszcie się—rzekł chirurg—bo to nasi obrońcy. Magdaleno, weź świecę i chodź zemną, otworzyć im.

Wyszli z pokoju, lecz na schodach pan Lebland natknąwszy się na jakieś ciało, cofnął się o krok.

— Trup!... Jakiś ksiądz...

Magdalena uklękła przy ciele i oświetliła jego głowę.

— Ksiądz wikary... Nie żyje!.. Boże wielki!..

Uderzenia w drzwi wznowiły się gwałtowniej.

— Otwórzcie!—wołano już groźnie.

Pan Leblond podbiegł do drzwi i otworzył je.

— Dlaczego zwlekałeś pan tak z otwarciem?—surowo zapytał oficer.

— W całym domu jest nas tylko troje—odrzekł chirurg—ja i dwie stare kobiety. Nie posiadamy mło-

dzieńczej szybkości, a przytem baliśmy się wpaść w pułapkę komunistów. Niech więc pan daruje, że nie otworzyliśmy natychmiast.

— Czy niema w tym domu powstańców? — zapytał oficer.

— Daję panu słowo starego żołnierza, że niema... Mamy tylko trupa, którego znaleźliśmy w tej chwili na schodach.

— Powstaniec?

— Nie; niech pan patrzy — rzekł wskazując ciało, przy którym klęczała Magdalena.

— To ksiądz!... To te lotry zamordowali go jak tylu innych. Czy znasz pan tę nieszczęśliwą ofiarę?

— Znam; jest to ksiądz Raul d'Areynes i mieszka w tym domu, klęcząca zaś przy nim kobieta to jego służąca. Przed miesiącem wyjechał do Wersalu i nie rozumiem jakim sposobem znalazł się dzisiaj tutaj.

— Miałem zaszczyt poznać się z księdzem d'Areynes w Wersalu — rzekł oficer — i powziętem dla niego wielki szacunek. Więc pan mówisz, że mieszka w tym samym domu?

— Tak, kapitanie.

— W takim razie trzeba przenieść go do mieszkania.

Wezwał kilku żołnierzy, którzy poprzedzani przez Magdalene, oświetlającą im drogę, odnieśli wikarego do jego lokalu i złożyli na łożku.

Chirurg zajął się księdzem, kapitan zaś ustanowił żołnierzy w oknach i sam przy jednym z nich zajął stanowisko obserwacyjne.

Ale powstańcy, naciskani przez wojsko i dziesiątkowani kartaczami, uciekali w popłochu.

Tymczasem chirurg rozebrał wikarego i zmywszy z górnej części ciała warstwę skrzepłej krwi, odkrył ranę od kuli karabinowej, która, trafiwszy w prawą

zęść piersi, przeszła ją na wylot i wyszła pod skórę.  
Trudno było przekonać się w tej chwili, jakie  
organa były najwięcej uszkodzone, ciało bowiem po-  
siadało sztywność trupa.

Magdalena jęczała i zlorzeczyła komunistów.

— Zamordowali go, zbrodniarze!

— Uspokój się—odezwał się chirurg, podrażnio-  
ny krzykami służącej.—Nie oplakuj go, bo może je-  
szcze żyje!

Pan Lebland zanadto był oswojony z ranami  
od kul, by nie wiedział, że stan wikarego jest groźny,  
mimo to z udanym spokojem dodał:

— Nie takie rany widziałem. Nie raz zdarzało  
mi się postawić na nogi żołnierzy, po pół tuzina kul  
mających w ciele, a o połowę słabiej zbudowanych od  
księdza. Starajmy się naprzód przywrócić go do przy-  
tomności, jeżeli jeszcze można.

Stary chirurg udał się do swego mieszkania i we  
własnej apteczce przyrządził lekarstwo, które nastę-  
pnie wlał w usta rannemu.

Dwa razy jeszcze co pół godziny ponawiał taką  
samą dozę, z niepokojem oczekując skutku, ale dopie-  
ro nadedniem wikary poruszył się otworzył oczy i  
westchnął.

Magdalena padła na kolana i z płaczem dzięki-  
wała Bogu.

— Panie doktorze, pan ocali księdza?—zawołała,  
całując rękę chirurga.

— Mam nadzieję,—odrzekł wzruszony.

\*

\*

W dwa dni po tych wypadkach, spokój, przyują-  
mniej na pozór, zapanował w Paryżu; część wojska po-

wróciła do koszar, część zaś rozlokowała się w okolicy w promieniu dziesięciu kilometrów.

Należało trzymać się na ostrożności i mieć pod ręką środki obrony.

Paryż, choć wyczerpany krwawymi walkami, powoli się uspokajał i przybierał powierzchowność zwykłą.

Otworzono sklepy, teatry, sale koncertowe i balowe, wreszcie wszystkie miejsca rozrywek i publiczność zaczęła je nawiedzać.

Paryż zapomina prędko!

### XXXVI.

Pani Henryka Rollin, po przeniesieniu jej do mieszkania, nie uległa żadnemu gwałtowniejszemu paroksyzmowi, grożącemu niebezpieczeństwem bezpośrednim, ale pozostawała w stanie odretwienia, budzącym w lekarzu obawy poważne.

Ten ostatni nie chciał opinii swej wypowiedzieć stanowczo, miał przecież nadzieję, że młodość i mocna budowa pacjentki przewycięży chorobę.

Malutka Marya-Blanka była zdrową.

Gilbert, patrząc na to dziecko czerstwe, mające dra niego wartość milionów, wesoło spoglądał w przyszłość i zawczasu snuł tysiące projektów.

Ale jeden cień czarny psuł mu harmonię obrazu na tem pogodnem niebie, a tym był Serwacy Duplat, jego wspólnik, człowiek mogący jednym słowem zmienić jego egzystencję, zburzyć plany, zrujnować całe dzieło.

Mysł ta wracała mu do głowy bezustannie.

Gilbert żałował, że nieobezwładnił go tak, by groźny ten wróg nie pokazał się mu więcej.

Nie myślał w tej chwili ani o hr. Emanuelu d'Areynes, ani o wikarym od św. Ambrożego, których

z całej duszy nienawidził, gdyż postanowił zająć się nimi później.

Obecnie najpilniejszą i niecierpiącą zwłoki rzeczą było oczyszczenie drogi, którą sobie wykreślił, a na której zawadzał mu były komunista, grożący pozabawieniem go stu pięćdziesięciu tysięcy franków.

Gilbert miał ochotę nie dać mu ani grosza.

Wybiła godzina dziesiąta rano.

Lekarz po odbyciu zwykłej wizyty wyszedł, mamka siedząc przy łóżku Henryki, czuwała zarazem nad uspioną w kołysce Blanką, zaś Gilbert, siedząc w pierwszym pokoju przy stole, powoli pisał list pismem zmienionem.

Powiedzieliśmy wyżej, że porządek w stolicy został przywrócony, wszelako dodać winniśmy, że policja w dalszym ciągu dokonywała dzieła odwetu.

Każdy podejrzany dom oddany był pod nadzór, na każdej ulicy poszukiwano ukrytej broni.

Wszyscy, mający jakikolwiek udział w działaniach komuny, byli ścigani za przywłaszczenie sobie władzy.

Było to rzeczą sprawiedliwą, potrzeba było bowiem oczyścić miasto z żywiołów szkodliwych, ale należy wykazać i odwrotną stronę medalu, a mianowicie, że wiele osób, pod pozorem służenia sprawie porządku, myślało tylko o zaspokojeniu swej nienawiści lub uraz osobistych.

Denuncyacje imienne i anonimowe napływały do prefektury policyjnej tysiącami, rozpoczęło się polowanie na winnych i niewinnych.

Stacje kolei żelaznych były przepelnione żandar-mami i agentami policyjnymi, nikt nie mógł wyjechać z Paryża bez listu bezpieczeństwa lub pasportu, granice były dozorowane szczerze.

Tylko człowiek bardzo zręczny mógł i to z wiel-

ką trudnością, omylić czujność policyi i uciec do kraju sąsiedniego.

Powróćmy teraz do Gilberta i przeczytajmy przez ramię list napisany pismem zminionem.

Oto co on pisał:

Panie!

„Każdy człowiek uczciwy powinien wskazać władzy ludzi, którzy przed kilkoma jeszcze dniami terroryzowali, zalewali krwią i palili Paryż.

Porządek społeczny nie miał zawziętszego wroga nad niejakiego Serwacego Duplata, kapitana komuny, wykonawcy najhaniebniejszych postanowień Komitetu centralnego.

Wygalonowany ten zbrodniarz przez dwa miesiące siał przestach w jedenastym okręgu, prześladując uczciwych ludzi swą zemstą nieubłaganą; znieważając kapłanów, zatrzymując zakładników, rabując sklepy, mordując opierających się jego samowoli.

Złoczyńca ten zdołał umknąć z Paryża i w oczekiwaniu na sposobność opuszczenia Francji, ukrywa się dzisiaj pod nazwiskiem Juliusza Servaize w Champigny u praczki, niejakiej Palmiry, zamieszkałej przy ulicy Bretigny.

Serwacy Duplat nie powinien unikać zasłużonej kary.“

Gilbert odczytał list i nieczytelnie podpisał go jakimś przybranem nazwiskiem.

Achl gdyby mu było wiadomem, że tenże Duplat na czele bandy pijanych komunistów rozstrzelał zakładników trzymanych w więzieniu la Roquette, z jaką przyjemnością uczyniłby o tem wzmiankę—ale nie wiedział o tym czynie potwornym.

Zresztą przytoczone przestępstwa wystarczały do skazania Serwacego Duplata co najmniej na deportację.

Gilbert włożył list w kopertę, zaadresował do ko-

misarza policyi dzielnicy la Roquette, poczem wyszedł na miasto i rzucił go do skrzynki reklamacyjnej, zawieszanej przy bramie ratusza.

W powrocie do domu, przechodząc około kościoła św. Ambrożego, oczyszczanego w tej chwili po znieważeniu go przez komunistów, wszedł do świątyni i zapytał zakrystyana:

— Czy ksiądz Raul d'Areynes powrócił już do Paryża?

— Powrócił 28 maja, w nocy...

— I objął już obowiązki wikarego?

— Nie, panie—odrzekł zakrystyan westchnąwszy.

— Dlaczego?

— Ksiądz d'Areynes jest umierającym.

— Umierającym? Czyż to być może?

— Tak jest. Ksiądz proboszcz, który odwiedzał go dziś rano, mówił, iż lęka się o życie księdza wikarego.

— Cóż się stało? Proszę powiedzieć mi...

— Ksiądz wikary, powróciwszy do Paryża wraz z wojskiem w nocy z dnia 28 na 29, został ugodzony kulą w piersi na progu swego domu.

Gilbert podziękował zakrystyanowi i wyszedł z kościoła.

Usłyszana wiadomość przestraszyła go, gdyż śmierć Raula d'Areynes mogła przynieść mu w przyszłości szkodę niczem niepowetowaną: hr. Emanuel uwolniony od wpływu bratańca, mógłby zmienić testament.

Nagle oczy Gilberta zajaśniały blaskiem szczególnym i twarz jego rozjaśniła się.

Przyszła mu do głowy myśl szatańska i wróciła utraconą na chwilę nadzieję.

— Przeciwnie—pomyślał—śmierć wikarego może przyspieszyć objęcie majątku hrabiego. Jeżeli p. d'Areynes dowie się o niej niespodzianie, to pod wpływem



tego ciosu nie przeżyje paroksyzmu drugiego. Należy wywołać go!

Po przybyciu do domu, nie zasięgając bliższych wiadomości o stanie zdrowia wikarego, siadł do stolika i napisał list następujący.

Paryż, 1 czerwca 1871 r.

„Panie hrabio, czcigodny stryju nasz!

Dziś, gdy oczy moje nie patrzą już więcej na straszne wypadki, które ojczyznę naszą wydały na łup barbarzyńców, gdym przestał drzeć na widok tylu ofiar krwawych, gdym już oplakał dymiące gruzy spalonego Paryża, uważam sobie za obowiązek powiadomić pana hrabiego o położeniu naszej rodziny, podziękować za jego dobroć dla nas i zapewnić o wdzięczności, którą zachowam przez całe życie.

Droga Henryka moja, a pańska bratanica, osłabiona wskutek niedostatku oraz moralnych i fizycznych cierpień, powiła przed trzema dniami, w piwnicy, gdzie szukaliśmy schronienia podczas bombardowania Paryża, zdrową i dobrze zbudowaną córeczkę, którą pan hrabia, jestem tego pewnym, będzie kochał tak, jak kochał dotychczas jej matkę.

Henryka była bardzo chora, przez jakiś czas życiu jej zagrażało niebezpieczeństwo, lecz dzięki Bogu przeszło już i lekarz zapewnia, że nie wznowi się. Otoczona jest jak największą troskliwością i mam nadzieję, że wkrótce osobiście zawiezie panu nasze drogie dziecko.

Lecz niestety! panie hrabio, na ten obraz szczęścia rodzinnego padł cień żałoby. Nasz ukochany kuzyn, ksiądz Raul d'Areynes, który, powodowany wrodzoną mu szlachetnością i miłością chrześcijańską, wstawił się do pana hrabiego za naszym dzieckiem, dogorywa na łożu boleści.

Gdy list ten dojdzie rąk pańskich, dusza jego będzie już w niebie.

Wracając do Paryża wraz z armią wersalską w zamiarze objęcia stanowiska, którego pozbawiła go komuna, trafiony został w piersi kulą na progu swego mieszkania. Był jedną z ostatnich ofiar zbrodniarzy wichrzycieli.

Uważałem sobie za obowiązek powiadomić pana hrabiego o tem okropnem nieszczęściu. Łączymy naszą bolesć z bolescią pańską, mieszamy lzy nasze z jego łzami i prosimy Boga o zachowanie pana hrabiego przy życiu przez długie jeszcze lata.

Racz panie hrabio i czcigodny stryju nasz przyjąć zapewnienie głębokiego szacunku, przywiązania i dozgonnej wdzięczności.

Gilbert Rollin.“

List ten obmyślany na chłodno, wystarczy czytelnikom, jeżeli dotychczas jeszcze nie wiedzieli—za dowód, że niegodziwość męża Henryki przekraczała granice pospolitej przewrotności ludzkiej.

Napisać podobny list, było to, według nas, to samo, co popełnić zbrodnię wstrętniejszą od pchnięcia nożem.

W dziesięć minut po ukończeniu swego dzieła nیکezemnego Gilbert rzucił list do skrzynki pocztowej przekonany, że zadał hr. Emanuelowi cios w samo serce i że cios ten będzie śmiertelnym.

### XXXVII.

Wracając do domu Gilbert myślał:

— Czy tylko nie zanadto pośpieszyłem się? Co będzie, jeżeli lekarz omylił się i wikary nie umrze?

Ale obawa ta niepokoiła go nie długo.

— Więc cóż?—odrzekł sobie—jeżeli cios ten będzie

dzie śmiertelnym, to zyskam w każdym razie, jeżeli zaś chybi, mogę powiedzieć tylko, że żem zapatrywał się pesymistycznie. Nie pisałem przecież, że Raul d'Areynes już umarł, a to gruba różnica. Jak mogłem nie wierzyć słowom zakrystyana od św. Ambrożego, mającego wiadomość od proboszcza, który tylko co powrócił od wikarego. Mogą mnie co najwyżej oskarżać o to, że na własne oczy nie przekonałem się o stanie chorego... Ale to nie jest zbrodnią. Mając serce czułe, za nic nie odważyłbym się patrzeć na męczarnie konania.

Teraz należy tylko czekać na wiadomość z Fene-stranges. Jeżeli hr. Emanuel przeżyje cios—co wydaje mi się nieprawdopodobnem, będę miał dość czasu na zajęcie się wikarym i jeżeli ten żyć będzie, wyrazić mu moją radość z jego ocalenia. Jeżeli zaś przeciwnie, hr. Emanuel zdecyduje się odejść do nieba po nagrodę za swej cnoty, wtedy nie dbam o Raula d'Areynes, bo cokolwiekbądź z nim się stanie, nic nie przeszkodzi Henryce objąć majątek po stryju!



Złożona w komisaryacie przy ulicy la Roquette przez Gilberta przeciwko Duplatowi anonimowa denuncyacja, wywarła wrażenie.

Denuncyacja ta, w połączeniu z poprzednio nadesłanemi od osób innych, przekonywała, że kapitan komuny odgrywał podczas powstania rolę wielką.

Wszystkie wskazywały go jako zbrodniarza bardzo niebezpiecznego, ale dopiero ta ostatnia udzielała policji wiadomości ułatwiających odszukanie go.

Agenci, mający rozkaz śledzenia go, otrzymali natychmiast wskazówki zawarte w liście Gilberta.

Należało było działać pośpiesznie, by nie dozwolnić Duplatowi umknąć zagranicę.

Dwaj starzy, wytrawni agenci, wyćwiczeni w swym zawodzie jeszcze za czasów cesarstwa, chłopcy silne jak dęby, a sprytni jak lisy, niejacy Boulard i Duclot wysłani zostali do Champigny.

Gilbert umyślnie nie wskazał szczegółowego adresu Palmiry, nie chciał bowiem, aby Duplat, w razie ujęcia go, powziął podjrzenie na niego. Będąc człowiekiem niezmiernie przezornym i przygotowanym zawsze na wszelkie niespodzianki, zawczasu zabezpieczał siebie furtką do odwrotu.

Nadszedł czwartek.

Boulard i Duclot, przebrani za mularzy poszukujących roboty, o ósmej rano wysiedli z pociągu w Champigny, zarówno jak Duplat przed czterema dniami przebyli Marne łodzią i stanawszy na drugim brzegu, zaczęli się orientować.

— Gdzie teraz dowiemy się o naszej praczce?— zapytał Boulard.

— Gdzie? W tej pralni—odrzekł Duclot, zostawiając u brzegu statek będący własnością niejakiego Bordier, mającego cztery farchy, był bowiem właścicielem pralni, kąpieli zimnych, rybakiem i restauratorem.

— Masz słuszność. Chodźmy tam.

Weszli po drewnianym pomoście na statek, na którym klęcząc przy swych ławeczkach pracowały praczki, urozmaicając sobie robotę wesołą rozmową i śpiewem.

— Czego panowie życzą sobie?—zapytał właściciel pralni, podchodząc ku nim.

— Chcielibyśmy co przekąsić i wypić. Co pan masz?

— Mam chleb, ser, wino białe...

— A dobre?

— Jak najlepsze, po franku butelka.

Prosimy podać.

— Niech panowie idą na górę, a ja zaraz przyniosę sam, gdyż żona jest w pralni a córka przy łaźniach.

Boulard i Duclot przebyli schody, następnie długi korytarz, ciągnący się wzdłuż kabin kompielowych i weszli do obszernej sali, zastawionej stolikami i krzesłami.

Na jednym ze stolików Bordier postawił swym gościom butelkę wina i przekąskę.

— Jesteście panowie mularzami? zapytał, spoglądając na poplamione wapnem ich bluzy.

— A tak—odrzekł Boulard.

— Cóż, roboty jest dość?

— A jest trochę.

I u nas jej nie brak. Prusacy i komuniści napałili wiele domów.

— To prawda.

Boulard napełnił szklanki i jedną z nich podsuwając gospodarzowi zakładu, zapytał:

— Napijesz się pan z nami?

— Dobrze, takiej propozycji nie odrzuca się.

— Więc przynieś pan jeszcze jedną butelkę i szklankę.

Boulard spełnił żądanie i wszyscy trzej zajęli miejsca i stuknęli się szklankami.

— Nie gniewasz się pan chyba, że komuna została zduszoną... Jesteś pan przynajmniej teraz spokojnym?

— Nie widzieliśmy jej tutaj—odrzekł Bordier—i handel jakoś szedł. Ludzie tak samo jedli i kąpali się i praczki prały bieliznę jak gdyby nic nie zaszło. Nie zarabiało się wiele, ale też i nie traciło się, a to rzecz najważniejsza.

— Ba! pan miałbyś tracić? będąc na raz restauratorem, rybakiem, właścicielem łaźienki i pralni!

— A jak się wie dzie mojej siostrze?—zapytał

Duclot. Nieraz musiałeś pan smażyć dla niej rybę lub królika...

— Nie mam szczęścia i zaszczytu znać pańskiej siostry.

— Jest praczką i mieszkała dawniej w Champigny, a może i dotychczas mieszka.

— Jeżeli tylko mieszkała w Champigny, to ją znam, gdyż znane mi wzystkie praczki. Jak się nazywa?

— Palmira odrzekł Duclot.

— Palmira!—powtórzył Bordier—znam doskonale! Szykowna dziewczyna! Ale ona nie jest praczką, lecz prasowaczką.—Mieszka w Champigny dotychczas...

— Rad jestem z tego gdyż nie widziałem jej od początku wojny, a to już kawał czasu.

— Podczas oblężenia przebywała w Paryżu,—mówił Bordier—wraz ze swymi pracodawcami, którzy lubią ją bardzo, gdyż jest robotnicą doskonałą. Prawda, że zanadto lubi bawić się, ale po zatem dzielna dziewczyna. Chłopcy waryują za nią. Często przychodzi tutaj.

— Więc jesteś pan pewnym, że mieszka w Champigny?

— Jak nie mam być pewnym? Była u mnie zeszłej niedzieli. Naznaczyła sobie schadzkę z jedną ze swych przyjaciółek, niejaką Elodią, ale później wypadł jej jakiś interes i przyszła odwołać...

— To znaczy—pomyślał agent,—że tego dnia przybył Serwacy Duplat i z tego powodu odwołała schadzkę.

A głośno dodał:

— Powiedziałeś mi pan przyjemną wiadomość. Gdzież ona mieszka?

— Bardzo blisko ztąd, przy ulicy Bretigny nr 9.

— A nie wiesz pan w której godzinie wychodzi z pracowni?

— Późno, zwykle w nocy.

— Dziękuję panu,—rzekł Duclot.—A teraz wypijemy jeszcze po szklance i chodźmy.

Stuknęli się szklankami po raz ostatni, poczem zapłaciwszy należność, wyszli z zakładu i udali się na ulicę Bretigny.

— Widać, że to denuncyacja poważna—rzekł Boulard do swego towarzysza, gdy znaleźli się sami.—Palmira istnieje, a więc i nasz kapitan musi przebywać u niej. Oby tylko nie chciał stawić oporu...

— Ba! na to mamy nasze rurki—rzekł Duclot, spoglądając na kieszeń, w której ukryty był rewolwer wielkiego kalibru.

Duplat od czasu przybycia do Palmiry nie pokazał się ani razu na ulicy, nawet rzadko kiedy wychodził do ogródka, by odetchnąć świeżem powietrzem.

Oboje stosowali się ściśle do ułożonego planu.

Palmira wychodziła do pracowni o siódmej rano, o jedenastej wracała na śniadanie, przynosząc z sobą żywność na cały dzień, w południe wychodziła znowu i ostatecznie zjawiała się w domu o pół do ósmej wieczorem.

Wieczór schodził jej na rozmowie z Duplatem i na układaniu planów na przyszłość, stanowczo bowiem postanowili opuścić Champigny w końcu tego tygodnia i osiedlić się w Szwajcaryi.

Palmira wystarała się o przewodnika na kolejach żelaznych, który Duplat wystudował starannie, wybrał najdogodniejszą linię kolei i stację, na której miał wsiąść i obliczył szanse powodzenia.

Uradzili, że on wsiądzie o dwie stacje od granicy i boczną ścieżką przejdzie je pieszo, ona zaś pojedzie wprost do Genewy, gdzie oczekiwać go będzie w hotelu Mont-Blanc.

Z Champigny mieli wyjść pieszo i bez żadnych pakunków, wsiąść do pociągu o kilka stacyj dalej i ro-

złączyć się przed granicą; dzień wyjazdu oznaczyli na sobotę.

Nadszedł czwartek.

Wybiła godzina dziesiąta rano, gdy agenci Boulard i Duclot opuścili restaurację na statku.

Po wyjściu Palmiry Duplat sam pozostał w mieszkaniu, a ponieważ nie miał nic do roboty, leżał więc jeszcze w łóżku i palił papierosa, oczekując na dzienniki, które Palmira przynosiła mu, wracając na śniadanie.

Wstał nareszcie, ubrał się i rozmyślał, jakim sposobem zabije nudy w ciągu całego dnia.

### XXXVIII

Boulard i Duclot weszli na ulicę Bretigny i zatrzymali się pod nr 9.

- Tutaj—rzekł Boulard, wskazując tabliczkę z numerem.

Podszedł do drzwi, zastukał.

Duplat wyteżył słuch i zaniepokoił się.

— To nie Palmira—pomyślał—gdyż wzięła klucz z sobą. Może ktoś omylił się, a może jaka jej znajoma. Niech puka, jak zabolą go palce, odejdzie.

Agenci zapukali ponownie i nie otrzymawszy odpowiedzi, zaczęli się niecierpliwić.

— A może w domu niema nikogo?—zapytał Boulard.

— Zaraz przekonamy się,—rzekł Duclot i zawołał głośno. Panie Servaize!... Panie Servaize!...

Duplat zerwał się z krzesła jak oparzony.

— Servaize...—szepnął—wymieniono nazwisko, dane mi w merostwie przez Merlina... Co to znaczy?

— Panie Servaize!—zawołano po raz trzeci.



Duplat nie miał już wątpliwości: ktoś miał interes do niego.

Podszedł do drzwi, otworzył je po cichu i nie odpowiadając, obserwował furtkę, do której stukano.

Przez szeroką szparę pomiędzy drzwiami i nierówną w tem miejscu ziemią dojrzał parę grubych trzewików, na które zwieszały się pantaloney z płótna niebieskiego.

Duclot utłyszał szelest otwiersnych drzwi domu.

— Któs jest—szepnął do ucha Boularda.

A głośno zawołał znowu:

— Panie Servaize! otwórz pan! Interes pilny i ważny!

— To nie głos Merlina—myślał Duplat.— A może to jaki posłaniec od niego?

Kapitan drżał od stóp do głowy, ale dręczony niepewnością, odważył się zapytać?

— Kto pan jesteś? Czego chcesz?

I popełnił ogromne głupstwo, Duclot bowiem, pewny już powodzenia, odrzekł:

— Przychodzę od jednego z pańskich przyjaciół

— Od Merlina?—naiwnie zapytał Duplat.

Sprytny agent wlot skorzystał z tej niezręczności.

— Od Merlina—odrzekł.—Otwórz pan; chodzi o rzecz bardzo ważną dla pana... potrzebuje pomówić z nim natychmiast...

— Poczekaj pan chwilę, pójdę po klucz—odrzekł i udał się do mieszkania.

— A teraz baczność!—szepnął Duclot do Boularda.—Skoro tylko otworzy drzwi, pięścią między oczy i za kark! Gdybyśmy nie mogli dać mu rady, to kulą w nogę... wtedy nie ucieknie.

— Bądź spokojny, ułatwimy się z nim...

Boulard wyjął z kieszeni jedwabny sznurek i wsunął go w rękaw.

Z za furtki w palisadzie dały się słyszeć kroki, zaskrzypiał klucz w zamku i drzwi otworzyły się.

W tejże chwili Duclot rzucił się na Duplata i chwycił go za ręce, zaś Boulard wrzucił mu sznurek na szyję i zaciągnął.

Hultaj krzyknął z bólu i padł na ziemię.

W pół minuty miał już łańcuszki na rękach.

—Mamy cię ptaszku!—rzekł Boulard, zdejmując mu pętlę z szyi.

Bądź grzecznym, jeżeli nie chcesz, bym ci strzaskał łapy. Pójdiesz z nami pieszo do stacy, gdzie posadziwszy cię, jak porządnego obywatela, do przedziału klasy drugiej i odwieziemy do Paryża.

Duplat z trudnością podniósł się z ziemi.

Wściekłość na kilka sekund pozbawiła go przeczności.

— Podłe policyanty!—zawołał—nie mieliście odwagi jak uczciwi ludzie zaatakować mnie jawnie, lecz uciekliście się do podstępu. Najemnicy cesarscy!

— Cicho, gaduło!—odrzekł Duclot,—jeżeli nie chcesz bym ci stulił pysk. Idź spokojnie, bo nie będziemy z tobą żartowali.

Duplat odzyskał nareszcie zimną krew i zrozumiał, że wszelki opór bądź w czynie, bądź w słowach może tylko pogorszyć jego pozycję.

Widział, że dał się złapać jak ostatni głupiec.

Pochylił głowę i postępował z rezygnacją.

Wszystkie projekty, nadzieje, marzenia przepadły!

Było rzeczą wyraźną, że został zdradzony.

Ale przez kogo?

Przez kogóż, jeżeli nie przez Merlina, tego szpiega, fałszywego przyjaciela, Judasza!...

Tak, nikt inny, tylko Merlin oddał go w ręce sądu wojennego, bo on jeden tylko znał jego przybrane nazwisko i miejsce schronienia.

Nawet nie przyszło mu do głowy, że denuncyantem jego był Gilbert Rollin, jakim sposobem bówiem mógł się domyśleć, że współnik jego przeczytał w księdze urodzeń w merostwie jego nazwisko Servaize?

— Pośpieszaj!—zawołał Duclot—bo inaczej...

I nie kończąc frazesu pokazał mu lufę rewolweru.

Duplat przyspieszył kroku, pozostawiając w ogrodzie Palmiry zakopaną pod drzewem butelkę, zawierającą cały jego majątek.

Na co mu on teraz?

Wszystko dla niego skończyło się...

Upominać się u Merlina?

I cóż z tego, skoro on sam oświadczył, że wyprze się go stanowczo.

Nie mógł spodziewać się pomocy od nikogo i ta myśl rodziła w nim przeczucia najstraszniejsze.

— Wszystko przepadł!...—szepnął.—*Do muru?* Trudno.—Raz człowiek umiera...

Pośpiesznie uczynił kilka kroków, jak gdyby chciał uciec.

— Wolniej!—zawołał Duplot, wstrzymując go za ramię.—Zdążysz jeszcze do la Roquette.

Słowa te przestraszyły Duplata. W Roquette bówiem dowodził plutonem, który rozstrzelał zakładników.

Jeżeli go tam zaprowadzą—będzie poznany!

— Nie męczcie mnie napróżno—rzekł do agentów.—Zaprowadźcie mnie wprost do Wersalu, gdzie zasiada sąd wojenny; niech mnie sądzą i rozstrzelają.

A w duszy myślał:

— W Wersalu mogą skazać mnie tylko na deportację, a to głupstwo... Niepodobna, by nie ogłoszono kiedyś amnestyi...

Polną ścieżką doszli do Marny, przeprawili się łodzią i następnie pociągiem kolei żelaznej ruszyli do Paryża.

W wagonie Duplat pograżył się w milczeniu.

Pomimo pozornej rezygnacji, pragnął żyć i szukał sposobności do ucieczki, ale nadzieja zawiodła go.

Przywieziono go do Paryża i osadzono w więzieniu, lecz nie w la Roquette, jak spodziewał się, a w Mazas.

Następnego dnia rano wraz ze stu pięćdziesięcioma komunistami, otoczonymi licznym konwojem, wyprawiono Duplata do Wersalu.

### XXXIX.

List Gilberta Rollna do hr. Emanuela, rzucony do skrzynki pocztowej w Paryżu d. 1 czerwca, przybył do Fenestranges dnia następnego.

Po częściowem ustąpieniu wojsk niemieckich w Lotaryngii, mieszkańcy jej powrócili do dawnych zajęć i w pracy szukali zapomnienia doznanych cierpień i nieszczęść.

Stryj Henuyki, otoczony troskliwością i pędząc życie spokojne, nie doznał żadnego nowego wstrząśnienia, mimo to przecież stan jego zdrowia budził obawy w doktorze Portuisset.

— Hrabia—mawiał ten ostatni do Rajmunda Schlosera i Piotra Renaud—może pożyć jeszcze czas jakiś, ale pod warunkiem unikania wszelkich wzruszeń. Bóg pozwolił mi uratować go po ataku pierwszym, ale drugi zabije go. Pamiętajcie, że ma siedmdziesiąt pięć lat, a w tym wieku życie wisi na włosku. Powinniśmy wszelkiemi środkami usuwać od niego wzruszenia.

Rozumie się, obaj wierni słudzy stosowali się ściśle do tego zalecenia i czynili wszystko, byle oszczędzić starcowi najmniejszej przykrości lub wzruszenia.

Postępowano z nim jak z dzieckiem słabowitem.

Hrabia Emanuel boleśnie odczuwał nieszczęśliwe skutki wojny, przypuszczalne oderwanie Alzacyi i Lotaryngii, ale dawny gniew jego już upadł.

Z listu ks. d'Areynes, pisanego z Wersalu, dowiedział się o krwawej tragedyi komuny i bez uniesienia rozmawiał o niej z d-r'em Portuiset, z dzienników zaś wersalskich był poinformowany o kolejach powstania.

Rajmund Schloss każdego poranka udawał się do wsi Fenestranges i przynosił z poczty adresowane do hrabiego dzienniki i listy.

W dniu 3-im maja hrabia otrzymał paczkę korespondencyi wleńszą niż dni innych, składała się bowiem z pięciu czy sześciu listów i kilku pism codziennych i peryodycznych.

Zasiadł przy wielkiem oknie w sali, w której widzieliśmy go na początku tego opowiadania, rażonego apopleksyą, na wiadomość o klęskach wojsk francuzkich, wziął przyniesione listy i zaczął rozcinać koperty, usiłując wprzód rozpoznać pismo i pragnąc znaleźć list od Raula.

Adres jednego z nich zastanowił go; przyjrzał się pieczętce i przeczytał: „Paryż“.

— Paryż...—szepnął.—To nie od Raula. A jednak pismo to nie jest mi obcem... podobne do pisma Rollina. Ale wątpię, przecież on wie co o nim myślę... Po co pisałby do mnie?...

Przyszła mu na myśl Henryka, więc przeciął kopertę, spojrział na podpis i wyczytał nazwisko męża swej bratanicy.

— Nie omyliłem się—szepnął.

Przy czytaniu pierwszych wierszy uśmiechnął się ironicznie i myślał:

— Co za obłuda! Czyż on myślał, że mu uwierzę?

Ale wrażenie to znikło po odczytaniu wiadomości o chorobie Henryki i przyjsciu na świat jej córki. Łza rozczulenia stoczyła się po policzku hrabiego. Czytał dalej:

„Lecz niestety! panie hrabio, na ten obraz szczęścia rodzinnego padł cień żałoby. Nasz ukochany kuzyn, ksiądz Raul d'Areynes...

Oblicze hrabiego zmieniło nagle wyraz i zbladło. Zdawało mu się, że serce w nim bić przestało, że żelazne kleszcze ścisnęły mu piersi. Zaczął drżeć całym ciałem.

Nie czytał już dalej listu, lecz przeciągał go wzrokiem błędnym. Gdy oczy jego padły na frazes: „Ksiądz Raul d'Areynes dogorywa na łożu boleści“, krew uderzyła mu do twarzy, jakiś ciężar, jak młot spadł mu na czaszkę.

Powstał i chciał wezwać służącego, ale nie zdołał już przemówić i padł na posadzkę, trzymając zbójcecki list w rękę.

Katastrofa stała się wiadomą dopiero w pół godziny, gdy Piotr Renaud wszedł do sali.

Spostrzegłszy leżącego na posadzce swego pana z twarzą czarną i nabrzmiałą, krzyknął z przerażenia i ukląkł przy ciele hrabiego.

Na krzyk jego nadbiegli służący inni i prawie jednocześnie z nimi, ze zwykłą wizytą przybył doktor Portuiset.

Ten ostatni nachylił się nad ciałem, podniósł powieki i przyjrzawszy się im, oświadczył:

— Nie żyje!...

Dopiero gdy podniesiono ciało, doktor, spostrzegłszy zmięty w tęku list, rozwinał go i przebiegł wzrokiem.

— Raul—zawołał.—I on także!

— Ksiądz Raul!—zapytali jednocześnie Rajmund Schloss i Piotr Renaud.—Co się stało?

— Nie żyje!

— Ksiądz nie żyje?...Taki młody!... Taki zdrowy!

— Któż tak nieostrożnie przysłał tę wiadomość?—zapytał Schloss.

— Gilbert Rollin—odrzekł doktor.

— Ach, niegodziwy! Zabił stryja i dobroczyńcę własnej żony!—zawołał Renaud.

## XL.

Pomimo głębokiej bólesci i przerażenia, wywołanego temi dwiema katastrofami, doktor Pertuiset nie utracił zimnej krwi, jaką umiał zachować zawsze w najtrudniejszych nawet okolicznościach.

— Przenieście ciało do pokoju sypialnego—rzekł a następnie w merostwie złożył deklarację o zgonie. Ty Rajmundzie odniesiesz na stację telegraficzną depeszę do p. Gilberta Rollina, gdyż chciałbym, aby jak najprędzej dowiedział się o śmierci hrabiego i przybył jako legalny przedstawiciel swej żony. Zresztą przypuszczam, że zechce być na pogrzebie. Będziemy mogli dowiedzieć się od niego szczegółów o śmierci księdza Raula.

Ułożono ciało hrabiego na łóżku, ustawiono wielką liczbę świec, cały pokój zmieniono w kaplicę.

Gdy służba krzątała się około tych przygotowań doktor napisał depeszę następującą:

„Gilbert Rollin, ulica Tervan nr 39, Paryż.

Hrabia Emanuel d'Areynes zmarł czytając list pana. Obecność pańska konieczna.

Pertuiset.“

Rajmund Schloss bezzwłocznie odniósł depeszę na stację.

W Paryżu Gilbert z niepokojem oczekiwał wiadomości z Lotaryngii.

Trzeciego czerwca przez cały dzień nie wychodził z domu, chciał bowiem sam odebrać telegram, którego spodziewał się z Fenestranges.

Niepokój nie dozwolił mu zasnąć przez całą noc; wstał z głową ociężałą, utrudzony i zdenerwowany bezsennością.

Henryka miała się nieco lepiej, gdyż gorączka ustąpiła i pielęgnujący ją lekarz wróżył szybki powrót do zdrowia.

Gilbert z roztargnieniem wysłuchiwał tej wiadomości, która przecież powinna była napełnić go radością. Umysł jego przejęty był w tej chwili jedną tylko myślą

— Hrabia Emanuel żyje, czy umarł?

Nakoniec o godzinie trzeciej po południu otrzymał tak niecierpliwie wyczekiwaną depeszę.

Przez parę minut spoglądał na nią jak zahypnotyzowany, nie mając odwagi otworzyć.

Wreszcie rozdarł kopertę i odczytał:

— Nie żyje!—szepnął, a ocierając pot z czoła.—  
Nie żyje!—powtórzył.

Uspokoił się i powtórnie, ważąc każdy wyraz, odczytał upragnioną wiadomość.

— Stawilem na kartę wszystko—rzekł—i wygrałem. Zresztą skutek był przewidziany... taki cios nie mógł chybić. Nim upłynie miesiąc, zagarnę wszystkie dochody hr. d'Areynes, gdyż ostatni frazes depeszy wyraźnie o tem mówi,—„Obecność pańska konieczna“—pisze doktor. A skoro tak, więc hrabia nie zmienił swej woli ostatniej; doktor był jego powiernikiem, więc wie o tem dobrze i wzywa mnie jako przedstawiciela interesów mej żony i legalnego opiekuna córki, w celu uregulowania spadku.

Zamyślił się.



„Obecność konieczna“—powtórzył.—A mimo to nie pojedę do Fenestranges... Choroba Henryki posłuży mi za pretekst bardzo dobry. Nie chcę okazać, że tak mi pilno objąć sukcesyę, której teraz już jestem pewnym. Odpowiem naprzód doktorowi depeszą, a następnie wyprawię list.

Nie zwlekając napisał telegram następujący:

„Doktor Pertuiset, Fenestranges. Lotaryngia.

„Wiadomość niespodziewana i okropna. Bolejemy. Henryka zapadła powtórnie. Nie mogę opuścić jej. Zajmij się pan wszystkiem. List wysyłam.

Gilbert Rollin.“

— Wieczorem, gdy odpocznę, napiszę list—pomyślał—naprzód należy wyprawić depezę.

Powstał i przygotował się do wyjścia.

\* \* \*

Chirurg Leblond dokonał prawie cudu.

Po dokładnem zbadaniu rany księdza Raula przekonał się, że żaden ważniejszy organ nie był naruszony, a wskutek tego życia pacyenta nie zagraża niebezpieczeństwo natychmiastowe.

Ale, aby uniknąć możliwej komplikacyi, należało zachować jak największą troskliwość i ostrożność.

Młody ksiądz, jak wiemy, miał organizm bardzo krzepki i posiadał siłę wyjątkową.

Na tę okoliczność rachował chirurg najwięcej i na niej opierał nadzieję ocalenia swego pacyenta.

Przez pierwszych kilka dni stan chorego był tak groźnym, iż można było obawiać się katastrofy.

Ale powoli, dzięki umiejętnym środkom, przedsiębranym przez zdolnego lekarza, stan ten zmienił się na lepsze.

Chory nie utracił przytomności, niemniej jednak  
Siostry bliźniaczki.

nie zdawał sobie sprawy z tego co zaszło. Myśli jego były niejasne, niewyraźne i w chwilach gorączki objawiała się maligna.

Żona chirurga i stara Magdalena czuwały nad wikarym nieustannie i z największą ścisłością stosowały się do przepisów lekarza.

Gdy stan chorego dawał już nadzieję wyleczenia, stary chirurg postanowił powiadomić rodzinę.

— Moja Magdaleno—rzekł tego dnia, w którym Gilbert otrzymał wiadomość o śmierci hr. Emanuela,—dzisiaj jestem już pewnym, że nasz kochany ksiądz wzdrowieje.

— Ach !dzięki Bogu i panu doktorowi!—zawołała uradowana służąca.

— Otóż należy powiadomić o tem krewnych księdza wikarego. Dotychczas nikt z wyjątkiem proboszcza od św. Ambrożego, nie wiedział, że ksiądz Raul był ranny niebezpiecznie. Potrzeba więc uprzedzić rodzinę i zapewnić, że niebezpieczeństwo już minęło. Wszak ksiądz ma podobno stryja w Lotaryngii?

— Ma, panie doktorze, hrabiego d'Areynes, u którego wychowywał się i bawił podczas oblężenia.

— Otóż należy do niego napisać.

— Napisać! Jezus Maryja! więc pan doktor chce chyba zabić go!—zawołała przestraszona Magdalena wznosząc obie ręce do góry.

— Dlaczego?—zapytał chirurg zdziwony.

— Hrabia d'Areynes ma siedmdziesiąt pięć lat i przed kilkoma miesiącami uległ atakowi apoplektycznemu. Tylko dzięki niezmiernym staraniom udało się ocalić go, ale atak drugi z pewnością zabiłby go odrazu. Hrabia kocha księdza wikarego jak własnego syna i wiadomość o jego chorobie byłaby dla niego ciosem śmiertelnym.

— Skoro tak, to pisać nie można. Ale ksiądz wikary ma podobno krewnych w Paryżu?

— Ma kuzynkę, która również wychowywała się w domu hrabiego.

— Żameźna?

— Tak, pani Rollin.

— Czy państwo Rollin przebywają obecnie w Paryżu?

— Nie wiem napewno.

— A czy nie mogłabyś przekonać się?

— Owszem.

— Znasz adres p. Rollin?

— Mieszka przy ulicy Servan. Chodziłam tam raz z polecenia księdza wikarego. Ksiądz nie często bywał u nich, gdyż nie bardzo lubi męża swej kuzynki, ale do niej jest bardzo przywiązany.

— Otóż trzeba ich powiadomić.

— Skoro pan doktor uważa to za potrzebne, więc pójdę.

— Jestto nie tylko potrzebnem, ale nawet jest moim obowiązkiem. Księdzu wikaremu nie grozi już żadne niebezpieczeństwo.

## XLI.

Magdalena przypasała nowy fartuszek, nałożyła na głowę świeży czepek, na ramiona narzuciła szal wełniany i udała się na ulicę Servan.

Gilbert, jak wiemy, po napisaniu depeszy do doktora Pertniset przygotował się do odniesienia jej do biura telegraficznego, gdy w tem u drzwi rozległ się dźwięk dzwonka.

Schowwał telegram do kieszeni i poszedł otworzyć. Spostrzegłszy służącą wikarego, nie zdziwił się, będąc bowiem przekonany na podstawie słów zakry-

styana, że księdzu d'Areynes pozostawało zaledwie kilka chwil życia, spodziewał się wiadomości o jego śmierci.

Prawdopodobnie Magdalena przysłała go o niej powiadomić.

Będąc doskonałym komedyantem, zawsze gotowym do odgrywania wszelkiej roli, uważał za właściwe udać żdziwienie.

— Magdalena! Co cię sprowadza do mnie? Czy może ksiądz Raul powrócił z Wersalu do Paryża?

— Niestety—odrzekła do Iez wzruszona—ksiądz już od pięciu dni powrócił na swoje nieszczęście.

— Dlaczego? Cóż się stało? Tylko proszę mówić ciszej, bo żona moja chora i przed chwilą zasnęła.

— Przyniosłam panu wiadomość o księdzu wikarym...

Gilbert nie spodziewał się takiego frazesu.

Słowa: „Przyniosłam panu wiadomość o księdzu wikarym”, w żadnym razie nie mogły oznaczać—„ksiądz wikary nie żyje“!

Ale nie dał poznać po sobie zawodu i zapytał:

— Jaką wiadomość? Nie dręcz mnie dłużej, mów prędzej. Czyżby ksiądz był chory?

— Stał już nad grobem!

— Nad grobem?—powtórzył Gilbert.—Wielki Boże! cóż się stało?

— Ksiądz wikary po powrocie z Wersalu został ranionym niebezpiecznie u progu swego mieszkania.

— Okropna rzecz!

— Tak jest proszę pana, i byłby umarł, gdyby go nie ocalił lokator tego samego domu, stary chirurg wojskowy.

— Ocalił go?—zapytał Gilbert ze drżeniem w głosie, które mogło być poczytane za wzruszenie.

Tak, dzięki Bogu, doktor zapewnia, że niebezpie-

czeństwo już minęło i dla tego kazał mi powiadomić pana o tem co zaszło, by pan z swej strony przesłał wiadomość tę hrabiemu Emanuelowi d'Areynes, rozumie się, z zachowaniem wszelkich ostrożności.

Gilbert nie słuchał dalszych słów Magdaleny.

Więc ksiądz d'Areynes, którego uważał za zmarłego, żyje i nawet nie grozi mu już niebezpieczeństwo.

Zapytywał w przestachu, co teraz uczyni, by uchylić od siebie podejrzenie o działanie z obmyślanym z góry zamiarem zadania śmiertelnego ciosu stryjowi swej żony.

Wprawdzie hr. Emanuel już nie żył, a to była rzecz najważniejsza, niemniej jednak należało zachować pozory.

Przedewszystkiem uważał za właściwe ukryć przed Magdaleną śmierć starca, o której ksiądz d'Areynes dowie się później; o tej kwestyi należy pomyśleć gruntownie.

Na razie należało zjednać sobie służącą.

— Moja dobra Magdaleno—rzekł głosem słodziutkim,—nie będę ci robił wyrzutów, ale powiem, że mogłaś przecież zawiadomić wcześniej o nieszczęściu mego kochanego kuzyna.

— Ma pan słuszną rację, powinnam była, ale byliśmy wszyscy tak stroskani, że nie przyszło nam to do głowy.

— Pomuję i nie gniewam się. Proszę cię tylko, odpowiedz mi otwarcie, jak to się stało?

— Było to w nocy z 27-go na 28-my maja.—Nie wiedzieliśmy o niczem i niespodziewanie znaleźliśmy księdza wikarego, leżącego bez życia na schodach domu, w chwili, gdy otwieraliśmy drzwi żołnierzom wersalskim.

— Któż strzelił, komuniści, czy wersalczycy?

— Niewiadomo; doktor sądząc z kuli, mówi, że strzał musiał paść z karabinu Chassepot.

— A ksiądz d'Areynes nie objasnił, w jaki sposób został ranionym?

— Ksiądz przez cztery dni znajdował się między życiem i śmiercią, był nieprzytomnym.

— A dzisiaj?

— Do dzisiejszego dnia nie wyrzekł jeszcze ani słowa.

— Lecz mówisz, że niebezpieczeństwo już minęło?

— Przynajmniej tak zapewnia doktor.

— Czy będę mógł zobaczyć go?

— Jeżeli pozwoli doktor, ale wątpię; w każdym razie, choćby nawet pozwolił, to ksiądz wikary nie pozna pana. Przytem doktor zabrania mówić do niego i wydał rozkaz stanowczy, by nie wpuszczać nikogo.

— Więc trudno, zastosuję się do życzeń lekarza, ale proszę cię, Magdaleno, zrób mi jedną grzeczność...

— Jaka?

— Powiadamiał mnie jak najczęściej o stanie zdrowia mego kuzyna.

— Bardzo dobrze i tem chętniej, że będę przynosiła wiadomości coraz lepsze.

— I ja mam nadzieję, ale proszę przynosić mi je wszelkie, choćby były złe.

— Zgoda, będzie pan je miał. Więc pan mówi, że pani miała córeczkę?

— Tak, przed sześcioma dniami. Dałiśmy jej imię Blanka i będziemy czekać z chrztem, dopóki ksiądz wikary nie wyzdrowieje.

— To dobrze pan zrobi, bo ksiądz wikary będzie z tego zadowolony.

— Jak się ma pani?

— Chora... Naprzód wycieńczył ją niedostatek podczas oblężenia, następnie słabość odbyła ciężką.

— Ale teraz już niema niebezpieczeństwa?

— Niema prawie żadnego.

— Chwała Bogu! A mała Blanka?

— Zdrowa jak ryba.

— Przyjął pan mamkę?

— Przyjąłem i do tego bardzo dobrą kobietę,

Gilbert, wiedząc już wszystko co potrzebował wiedzieć, powstał i rzekł:

— Wracaj teraz do domu i nie zapominaj jak najczęściej zawiadamiać mnie o stanie zdrowia księdza wikarego. Doktorowi, który go pielęgnuje, oświadczyć odemnie moją serdeczną wdzięczność. Później przyjdę sam podziękować mu.

Magdalena odeszła zachwycona żwczliwym przyjęciem Gilberta.

— W parę minut po jej wyjściu Gilbert pobiegł do biura telegraficznego, gdzie napisał i wysłał natychmiast następującą depeszę, zaadresowaną do hr. Emanuela d'Areynes, jak gdyby nie wiedział o jego śmierci i nie otrzymał telegramu d-ra Portuisset:

„Hrabia Emanuel d'Areynes. Fenestranges. Lotaryngia.

Cud! Raul żyje, lekarz ręczy.

Gilbert Rollin.“

— Telegram ten będzie dowodem, że nie wiem o niczem—myślał—nikczemnik.—Za godzinę poślę telegram poprzedni. Tym sposobem powiedzą, że depeszę d-ra Pertuisset otrzymałem po wysłaniu depeszy mojej, naprawiającej niezręczność, którą popełniłem będąc mylnie poinformowanym.

Po wysłaniu depeszy Gilbert udał się do sąsiedniej kawiarni, przeczekał w niej godzinę, potem wyprawił telegram drugi, przygotowany w domu przed przybyciem Magdaleny.

O piątej powrócił do domu i napisał list, zapowiedziany w telegramie wysłanym do doktora Pertuisset.

Ten ostatni skutek nieobecności rodziny zmar-

tego zajął się sam przygotowaniami do pogrzebu, odłożył go na jedną dobę, ażeby dać Gilbertowi czas do przyjazdu i możliwość uczestniczenia w smutnej ceremonii.

Nie wątpił, że Rollin ze względu na interesa majątkowe nie zaniedba pośpieszyć na wezwanie.

## XLII.

Wszyscy przyjaciele i sąsiedzi zmarłego, bądź listownie, bądź za pośrednictwem telegrafu zaproszeni zostali na obrzęd żałobny.

Pomimo stanowiska i wielkiego majątku hrabiego, pogrzeb, stosownie do wielokrotnie wyrażonej woli nieboszczyka, miał odbyć się skromnie, bez żadnej ostentacyi.

Doktór Pertuiset, wykonawca jego woli, polecił aby po wyjściu z kościoła miejscowi włóścianie na barkach zaniesli trumnę do rodzinnego grobu, w którym spoczywał już długi szereg zmarłych przodków hrabiego.

W pałacu z niecierpliwością oczekiwano przybycia Gilberta Rollina i przygotowano dla niego apartament.

Spodziewano się naprzód telegramu, mającego być odpowiedzią na depezę d-ra Pertuiset i zawiadamiającą go o rychłym przybyciu Rollina; obliczano, że ponieważ depeza ta wyprawioną została o dziesiątej rano, musiała przybyć do Paryża przed południem, więc odpowiedź powinna nadejść około godziny drugiej. Przypuszczano nawet okoliczności nieprzewidziane, jak chwilową nieobecność Gilberta w mieszkaniu i spodziewano się ostatecznie nadejścia odpowiedzi na godzinę piątą.

Jeden z lokajów, już od południa oczekujący na nią w biurze telegraficznem, powrócił o godzinie czwar-



tej i przyniósł telegram zaadresowany do hr. Emanuela d'Areynes.

Doktór długi czas nie chciał go otwżyć, tłumacząc się, iż nie ma prawa do tego, lecz nakłoniony przez Rajmunda Schlossa, rozdarł wreszcie kopertę.

Przeczytali depeszę ze zdziwieniem,

— Więc nie omyliło mnie przeczucie,—rzekł Schloss.—Spodziewałem się, że ta depesza przyniesie nam jakąś dobrą wiadomość. Ksiądz d'Areynes żyje! Skłamano przed nami...

— A tymczasem, kłamstwo zabiło hrabiego!—odrzekł doktor.

— Nikczemnik!—mruknął Rajmund.

A po chwili namysłu dodał.

— Ale nie odpowiada na pańską depeszę.

— Tak jest i nie rozumiem dlaczego, chyba, że wyprawił ten telegram przed otrzymaniem mojego.

Rajmund z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Doktor przyjrzał się depeszy i rzekł:

— Przyjęto o drugiej minut pięćdziesiąt, więc Rollin był nieobecnym w domu, gdy przyniesiono mu mój telegram. Chodził zapewne do księdza Raula i otrzymawszy wiadomość pomyślną, udał się wprost do biura telegraficznego i zakomunikował ją nam.

— To rzecz możliwa—odrzekł Rajmund—choć ja nie wierzę... dlaczego przysłał tak pośpiesznie i tak stanowczą wiadomość o śmierci księdza, skoro po upływie dwudziestu czterech godzin okazała się ona mylną!

— Mógł lekarz omylić się. Takie wypadki zdarzają się często.

— Zobaczymy!

O godzinie siódmej wieczorem posłaniec z biura telegraficznego przyniósł depeszę, zaadresowaną do doktora Pertuiset.

Stary przyjaciel nieboszczyka po przeczytaniu jej namarszczył brwi.

— Czy to od pana Rollina?—zapytał Rajmund.

— Tak.

— Zapewne zapowiada swój przyjazd?

— Przeczytaj!—odrzekł doktor, podając depeszę.

Rajmund odczytał znany już nam telegram:

„Wiadomość niespodziewana i okropna. Bolejemy. Henryka zapadła powtórnie. Nie mogę opuścić jej. Zajmij się pan wszystkim. List wysyłam. Gilbert Rollin“.

— Kłamstwo! Kłamstwo! Kłamstwo! — zawołał Schloss.—Nie chce przyjechać, gdyż lęka się spojrzeć na swą ofiarę... mógłby się zdradzić!

— Cóż pan przypuszczasz?—zapytał doktor zdziwiony.

— Przypuszczam, że w Paryżu dzieje się coś, co przed nami ukrywają. W przekonaniu mojem pan Gilbert Rollin jest łotrem, a postępowanie jego wydaje mi się mocno podejrzanem.

Doktor Pertuiset oddawna znał wartość moralną Rollina, niejednokrotnie bowiem rozmawiał o nim z nieboszczykiem hrabią, nie miał odwagi jednak sformułować przeciw niemu tak stanowczego oskarżenia.

— Może się mylisz...—odrzekł.

— Wkrótce będę wiedział na pewno—rzekł Rajmund.—Pojadę do Paryża i zobaczę się z księdzem d'Areynes. We dwóch łatwiej rozświetlimy tę intrygę.

— Dobrze, jedź, ale dopiero po pogrzebie.

— Naturalnie.

— Zresztą musimy czekać na zapowiedziany list pana Rollina.

List ten otrzymano następnego dnia rano, lecz nie dowiedziano się z niego nic nowego, był bowiem

tylko rozwałkowaniem Irazesów, zawartych w telegrafie z dnia poprzedniego.

Gilbert zapewniał w nim o swym głębokim żalu, mówił o inderesach swej żony, nad ktoremi nie mógł czuć przykuty do łóżka ksiądz d'Areynes; w imieniu chorej Henryki i prawnej sukcesorki całego majątku, Blanki, błagał doktora o poczynienie właściwych kroków u władz i oświadczał, iż gotów jest natychmiast wysłać wszelkie potrzebne dokumenty, jak metryki, plenipotencye i t. p.

Rajmund po odczytaniu tego listu rzekł:

— Tak przemawia tylko spadkobierca. Człowiek ten myśli tylko o jednym: objąć jaknajprędzej majątek hrabiego. To wyraźne!

Rzeczywiście, było to tak wyraźne, że gdyby nie wzgląd na Henrykę, doktor byłby odmówił prośbie Gilberta.

Przyjął więc narzucony na siebie ciężar, wiedząc, że ksiądz d'Areynes, który tak gorąco bronił przed hrabią sprawy jego bratanicy, będzie mu za to wdzięcznym.

Co go obchodził Gilbert?

Znając warunki testamentu hrabiego, wiedział, że Gilbert i jego żona będą tylko użytkowali z majątku, zapisanego na własność ich córce, bez prawa naruszenia kapitału.

Pod wpływem tych uwag postanowił przyspieszyć załatwienie spraw spadkowych.

W południe odprowadzono zwłoki hrabiego na miejsce wiecznego spoczynku i tegoż dnia wieczorem Rajmund odjechał do Paryża.

### XLIII.

Następnego dnia doktor udał się do sędziego pokoju w Fenestranges i wyjaśniwszy mu powód swej

wizyty, prosił o przyspieszenie postępowania spadkowego.

Wskutek tego, tegoż dnia jeszcze spisano inwentarz i nałożono pieczęcie.

Sędzia pokoju zabrał złożony przez hrabiego w biurku testament i wręczył go prezesowi trybunału pierwszej instancji w Nancy.

Na żądanie doktora Piotr Renaud mianowany został dozorcą opieczętowanych ruchomości.

Ponieważ wykonawca testamentu ksiądz Raul d'Areynes, nie mógł z powodu choroby przybyć dla spełnienia swego mandatu, należało więc w krótkim przeciągu czasu usprawiedliwić odpowiednim aktem jego nieobecność, a jednocześnie uzyskać metryki urodzenia Maryi-Blanki i jej rodziców.

Wysłano do przebywającego w Paryżu notaryusza list z prośbą o nadesłanie złożonej w jego ręce kopii testamentu hr. Emanuela i wykazu wymienionych w testamencie walorów, pozostawionych u niego w depozycie.

\*

Zasiadający w Wersalu sąd wojenny rozwijał czynność niezmierną i codziennie wydawał setki wyroków przeciw osobom oskarżonym o udział w powstaniu komunistów.

Dziwny zbieg okoliczności! Tego dnia, o tej samej godzinie, w której zwłoki hr. Emanuela złożone zostały w grobie, Serwacy Duplat stawiony był przed sądem, złożonym z oficerów znających tylko kodeks wojenny, nieubłagany w swej sprawiedliwości.

Umysły uspokoiły się już nieco, oburzenie pierwszych chwil złagodniało, zbiorowe egzekucje ustały.

Rozbierano sprawy, ale szybko, bez szczegółowego badania, niepotrzebnego zresztą, oskarżeni bowiem,

ujęci zostali z bronią w ręku, lub aresztowani na podstawie popartych dowodami osób innych.

Duplat miał czas do zastanowienia się nad swem położeniem. Choć w pewnych chwilach pod wpływem rozpaczki mówił:

— Raz tylko człowiek umiera! Przegrałem, tem gorzej dla mnie! To obecnie, po głębszej rozwadze myślał:

— Nie wszyscy stawający przed sądem wojennym, zostają rozstrzelani... Niektórzy uzyskują nawet wolność, a wielu skazanych zostaje na deportację. Zrobiłbym głupstwo, nie podejmując wszelkich środków dla uniknięcia kuli.

Hultaj pragnął żyć koniecznie.

Wszak życie jest tak przyjemne!

Umierać i pozostawić majątek zakopany w ziemi!

— Nie! nie chcę!—wołał.—Będę się bronił wszystkimi siłami! Oni są chytry, ale ja będę chytrzejszym!

Duplat wszedł do sali posiedzeń pełen nadziei, choć otoczenie w jakim się znalazł, nie było zbyt obiecującym.

Ściany sali, oświetlonej przez dwa wielkie okna, pokryte były jakimś ciemnym, brudnym obiciem.

W głębi, przymocowany do muru zwieszał się pęk chorągwi trójkolorowych, nad którym wielkimi literami wypisana była dewiza: „Honor-Ojczyzna-Obowiązek“.

Pod temi trofeami wznosiła się estrada, na którą wstępowało się po trzech schodkach, a na jej środku stał długi stół, pokryty sukniem zielonym.

Po obu węższych bokach stołu stały biurka przeznaczone dla sekretarza i pisarza sądu, a za niemi siedziało kikunastu różnego wieku oficerów, składających sąd wojenny.

Prezydował pułkownik, człowiek stary, o długich siwych wąsach i twarzy surowej.

Przed nim leżał kodeks wojenny i stosy papierów, oraz wyciągi praw, stosowanych do miast ogłaszanych w stanie oblężenia.

Wokoło gęstym szeregiem stali żołnierze z nabitą bronią i nałożonemi bagnetami, zaś dowodzący nimi oficerowie trzymali szable obnażone.

W sali panowała cisza głęboka.

Duplat, stanąwszy przed sądem, szybkim wzrokiem obrzucił sędziów, pragnąc z twarzy wyczytać ich myśli, ale twarze te były zimne, obojętne, nieme.

Prezydujący przerzucił kilka kartek leżących przed nim aktów i zapytał:

— Pańskie nazwisko?

— Serwacy Duplat.

— Służyłeś pan w wojsku?

— Tak panie pułkowniku, w 17 pułku piechoty.

Podczas wojny byłeś sierżantem-furyerem 57-go batalionu gwardyi narodowej.

— Tak, panie pułkowniku. Miałem udział w bitwie pod Montretant i walczyłem mężnie, mogą zaświadczyć towarzysze...

— Dlaczego nie złożyłeś broni po zawarciu rozejmu?

— Ponieważ nie ogłoszono rozkazu rozbrojenia, więc zachowaliśmy broń i działa, aby nie wpadły w ręce nieprzyjaciół.

— Wystąpiłeś do walki z rządem..

— Nie zastanawiałem się nad tem, panie pułkowniku... uczyniłem to przez patryotyzm, jak wielu innych.

— Staraleś się o stanowisko w wojsku Komuny...

— Właściwie przyjąłem je tylko.

— Byłeś kapitanem kompanii?

— Tak, panie pułkowniku.

Ostatnie pytanie prezesa przstraszyło Duplata.

Co będzie, jeżeli zacznie mówić o żołnierzach tej kompanii, którzy w dziedzińcu więzienia la Roquette pod jego dowództwem rozstrzelali zakładników?

— Dla czego zwróciłeś broń przeciw wojsku regularnemu, przeciw ojczyźnie, przeciw braciom własnym?

Duplat odetchnął.

Widocznie sąd nie wie o zakładnikach.

— Dałem się wciągnąć, a przytem nie miałem z czego żyć...

— Mogłeś, zamiast łączyć się z powstaniem, udać się do Wersalu i zaciągnąć się do wojska regularnego.

— Nie zastanowiłem się nad tem... Zresztą, nie miałem za co wyjechać z Paryża.

— Powiedz raczej, że wolałeś zostać w Paryżu, aby korzystać z bezrządu i zaspokoić swoje złe instynkta. Przez dwa miesiące w najbrutalniejszy sposób terroryzowałeś całą dzielnicę. Mam tutaj wydawane przez ciebie bony rekwizycyjne, które wręczałeś przemocą, z bronią w ręku, grożąc rozstrzelaniem kupcom, nie chcącym ich przyjmować.

Duplat pochylił głowę.

Więc Merlin nie kłamał, zapewniając o licznych na niego denuncyacyach.

— Czy przyznajesz się do tych zbrodni?—zapytał prezydujący.

— Przyznaje się, panie pułkowniku.

— I uznajesz się być winnym?

— Uznaję się, panie pułkowniku, nawet bardzo winnym... Lecz czyż ja mogę być odpowiedzialnym?

— A któż?

— Ci, którzy wywołali powstanie,—odrzekł Duplat z dziką wymową.—Naczelnicy, przywódcy, co pragnęli zamętu, by zagarnąć władzę i zbogacić się, co

pchali nas naprzód pięknymi słowami, pobudzali, upajali kłamliwymi teoryjami... a my głupcy, wierzyliśmy im!... Zapewniali nas, że powstanie wytworzy jedność i siłę, że po usunięciu rządu, który czynili odpowiedzialnym za wszystkie porażki armii, zawieszenie broni, poddanie Paryża, bronionego przez dwieście tysięcy ludzi—rozgromimy Niemców do szczytu i wypędzimy za granicę Francji... Wtykano nam w ręce broń i pełne szklanki... Zbrojono się i upijano... Jakiś szal ogarnął wszystkich... Jak dzieci lubowali się w pióropuszech, galonach, wstęgach czerwonych... Szczęk szabli ciągnionych po bruku, dźwięk trąb i huk bębnow wszystkim sprawił jakiś zawrót głowy! Brałiśmy to wszystko na seryo... i w dobrej wierze gotowiśmy byli poświęcić życie. Ja przynajmniej, panie pułkowniku, przysięgam, iż byłem przekonany, że poświęcam się dla chwały Francji! Dziś przejrzałem i widzę, że źle czyniłem, a jeśli służyłem komunie, to jedynie z głodu i dla tego, że sprawę jej uważałem za dobrą.

Popelnilem błąd... na nieszczęście był on zbrodnią!

Dziwna ta, lecz zręczna obrona, wysłuchana uważnie przez członków sądu, wywarła na nich pewne wrażenie, nawet korzystne. Ex-kapitan spostrzegł je i lekceważąc rady Merlina, postanowił użyć argumentu decydującego.

— Czy masz co więcej na swoją obronę?—zapytał prezydujący.

— Mam, panie pułkowniku.

— Co takiego?

— Pomimo powszechnego szalu, miewałem chwilami wyrzuty sumienia.

— Wyrzuty sumienia, ty—z ironią rzekł prezydujący.—ciekawym?

— Dałem dowody...

— Jakie?



— Czy znane jest panu pułkownikowi nazwisko oficera komuny, który, nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo, otworzył wojsku regularnemu bramę św. Gerwazego?

— Nie ciekawiśmy go—odrzekł prezydujący sucho.

— Nie wymienię go więc, lecz zdaje mi się, że oficer ten czynem tym odkupił w części swą winę.

— W każdym razie za późno, gdyż dwie trzecie części Paryża były już w naszych rękach.

— Nie mógł uczynić tego wcześniej...

— Dość!—zawołał prezydujący.

#### XLIV.

Pułkownik, rozkazawszy milczenie oskarżonemu, nachylił się do siedzącego obok komendanta i szepnął mu kilka słów.

Komendant podał mu jakiś papier i palcem wskazał dwa wyrazy ołówkiem podkreślone nazwisko Serwacego Duplat, obok którego czerwonym atramentem napisana była notatka:

„Serwacy Duplat, kapitan wojsk komuny, komendant straży u bramy św. Gerwazego, podstępem i z narażeniem własnego życia wydał ją Generalowi Vinoy“.

Tuż obok w rubryce „Uwagi“ ręką generała Valentin, generalnego dyrektora służby bezpieczeństwa podczas oblężenia i komuny, skreślone były słowa:

„Nie przyznać tego za zasługę, gdyby oskrżony powołał się na nią, ale jeżeli będzie rzeczą możliwą, zastosować okoliczności łagodzące“.

Kilka słów wystarczy czytelnikom do zrozumienia, jakim sposobem i dla czego uwagi te znalazły się

naprzeciw nazwiska Serwacego Duplat, wniesionego do listy więźniów, mających tego dnia stanąć przed sądem.

Wszystkie raporty agentów podrzędniejszych koncentrowały się w biurach generała, przy którym Merlin pełnił obowiązki inspektora i przez którego za swą gorliwość i zasługi był wielce cenionym.

Merlin, dowiedziawszy się z tych raportów o ujęciu Duplata u Palmiry w Champigny, postanowił po raz drugi ocalić mu życie i w tym celu powiadomił generała o jego przysłudze, wyświadczonej przez wydanie bramy św. Gerwazego.

Duplat doznawał śmiertelnej trwogi, widząc, jak sędziowie w milczeniu podawali sobie powyższą notatkę.

Czyżby w ostatniej chwili nadeszła jaka nowa denuncyacya, straszniejsza od poprzednich?

Zimny pot wystąpił na skronie lotra.

Pięć minut tego niemego porozumiewania się sędziów wydawały się Duplatowi pięcioma godzinami.

Nakoniec prezydujący, zamieniwszy kilka słów z sędziami, wygłosił wyrok następujący:

— „W imieniu Rzeczypospolitej francuzkiej i na mocy udzielonej sobie władzy, sąd wojenny na posiedzeniu d. 7 czerwca 1871 r., skazuje Serwacego Duplata na deportacyę do miejscowości ufortyfikowanej.

Ex-kapitan doznał wrażenia, jak gdyby kamień spadł z jego piersi.

Deportacya to życie!

— Kpię sobie z niej—pomyślał uradowany.— Niech wysyłają mnie choćby na koniec świata i z tamtąd powrócę. Prędzej lub później ogłoszą amnestyę.

W kilka dni później Duplat na fregacie wojennej *Danaé*, wraz z trzystu towarzyszami wyprawiony został do Nowej-Kaledonii.

Gilbert Rollin, dowiedziawszy się o skazaniu Duplata, doznał przykrego zawodu, spodziewał się bowiem, że współnik jego będzie rozstrzelauym.



W Paryżu, od samego początku oblężenia, zarówno z inicjatywy władzy miejskiej jak i osób prywatnych, gorliwie rzucono się do urządzania ambulansów.

Wszyscy pragnęli zapewnić schronienie rannym żołnierzom, przewidywano bowiem walkę długą, uporczywą, straszną.

Ógromna liczba wystawionych w oknach chorągwi Czerwonego Krzyża dozwalała przypuszczać, że wiele osób wystawiało je jako tarcze zabezpieczające od gwałtów w razie wejścia wojsk niemieckich do stolicy.

Wielu mężczyźni zapisywało się do służby sanitarnej, pragnąc tym sposobem uniknąć służenia w gwardyi narodowej.

Panowie ci paradowali po ulicach Paryża w czapce, ozdobionej krzyżem czerwonym i z tego powodu nazywano ich ironicznie „Kzwalerami krzyża“.

W nocy z dnia 27-go na 28-my maja, około godziny trzeciej kompania marynarzów pod dowództwem kapitana Kernoëla objęła ambulans przy ulicy Servan i pozostawiła przy nim złożony z dwudziestu ludzi posterunek z porucznikiem na czele.

Było to w ostatnich chwilach zawziętej walki z wojskami komuny, więc i liczba rannych ze stron obu wzrastała z każdą godziną.

Pomiędzy rannymi były trzy kobiety, z których jedna Janina Rivat, przyniesioną została przez marynarzy kapitana Kernoëla.

Nikt nie znał jej nazwiska i z tego powodu nie zapisano go w rejestrze ambulansowym, przytem pa-

nujący podczas tej strasznej nocy nieład nie dozwolił zasięgnąć jakichkolwiek o niej informacji.

Złożono ją na materacu na podłodze, udzielono pierwszej pomocy i dopiero następnego dnia wieczorem, nieprzytomną i pozostającą w ciągłej gorączce, przewieziono do szpitala przy ulicy Lacepède i umieszczono na łóżku nr 17 z napisem „Nieznana.“

Miała ona na czole powyżej brwi ranę niewielką i na wierzchołku czaszki drugą głęboką, sprawioną odłamkiem pocisku.

Naczelny lekarz szpitala doktor Besson, chirurg bardzo zdolny i poważany w świecie naukowym, nie dowierzając dyagnozie wyrażonej w raporcie, zapragnął obejrzeć ranę własnymi oczami.

W tej chwili jednak, ze względu na niebezpieczeństwo sondowania, zadowolnić się musiał badaniem powierzchownem, mimo to jednak przekonał się, że o ile rana nad okiem nie groziła niebezpieczeństwem, o tyle głębokie naruszenie czaszki na środku głowy wywoływało poważną obawę o życie rannej.

Chodziło przedewszystkiem o to, czy odłamek pocisku, który przedziurawił czaszkę był wyjęty, czy też pozostawał w ranie, a na pytanie to nikt nie mógł udzielić chirurgowi odpowiedzi.

Należało czekać, aż zapalenie zmniejszy się i wtedy dopiero dokonać sondowania, ażeby zdać sobie sprawę z uszkodzeń, sprawionych odłamkiem pocisku.

Wobec tej przeszkody dr Besson poprzestał na zastosowaniu środków, mających złagodzić zapalenie i przeszedł do badania innych rannych.

Gdy wikary od św. Ambrożego odzyskał przytomność, której pozbawiony był przez tydzień i mógł

dać sobie sprawy ze swego stanu, dr Lebland, jego  
ona i Magdalena znajdowali się przy jego łóżku.

Z niepokojem oczekiwali oni przesilenia, od któ-  
tego zależało życie chorego; gdyby było gwałtowne,  
powodowałoby śmierć, w razie przeciwnym dozwala-  
oby oczekiwać wyzdrowienia.

Należało więc oszczędzać jakiegokolwiek wzru-  
szenia i niedozwolić mu mówić.

Wikary, odzyskawszy przytomność, powiódł wzro-  
kiem wokoło siebie i usiłował zebrać wspomnienia.

Doktor Lebland, oczekujący na tę chwilę, spo-  
zregłszy pracę jego umysłu, by przerwać ją, rzekł:

— Niech ksiądz nie wysila swych myśli i prze-  
wszystkiem o nic nie pyta, jeżeli nie pragnie pogor-  
ć swego stanu. Proszę posłuchać rad starego prak-  
ka, który pielęgnował księdza w chorobie i ma na-  
leję ocalić mu życie. Niech ksiądz pozwoli mi na ja-  
czas myśleć i mówić za siebie. Żądam tego w imie-  
wszystkich, którym zależy na życiu księdza.

— Raul uważnie wysłuchał doktora, wzrokiem  
razil mu swą wdzięczność, lecz nie odrzekł ani  
ywa.

Doktor mówił dalej:

— Był ksiądz raniodym niebezpiecznie... Kula  
eszyla piersi na wylot... Ocalał ksiądz cudem. Tyl-  
unikanie najmniejszego ruchu i najmniejszego sło-  
może przyspieszyć wyzdrowienie. Ręczę za nie,  
musi ksiądz ściśle stosować się do moich rozpo-  
rządzeń.

Wikary lekko uściśnął dłoń doktora, przymknął  
i usuwając wszelkie myśli, zaczął modlić się  
milczeniu.

W tej samej chwili, w której scena ta odbywa-  
się w pokoju księdza d'Areynes, Rajmund Schloss  
chodził z pociągu kolei żelaznej.

## XLV.

Przywiązanie Rajmunda do rodziny swego zmarłego pana, nakłaniało go do porzucenia biernej roli, wynikającej z jego podrzędnego stanowiska i do odbycia popróży do Paryża.

Korzystając z pięknej pogody, po wyjściu z wagonu udał się na ulicę Papincourt.

Jakże zmienionym wydał mu się Paryż od owego czasu, gdy widział go po raz ostatni przed samem obłożeniem!

Nieporządek na ulicach nie został jeszcze zupełnie usunięty, na domach wszędzie widoczne były ślady kul karabinowych i armatnich, resztki barykad utrudniały komunikację, połamane, zbroszone krwią karabiny kupami leżały na bruku.

Schloss ze ściśniętem sercem spoglądał na to zniszczenie.

— Biedny Paryż!—szeptał.—I to uczynili francuzi, w oczach Niemców... ach! nikczemni!.

Gdy zadzwonił u drzwi mieszkania wikarego, stary chirurg, obawiając się by dźwięk dzwonka nie przebudził chorego, zapytał niezadowolony.

— Kto to może być?

— Pójdę i zobaczę—odrzekła Magdalena.

— Ktokolwiekby był, proszę powiedzieć, że ksiądz wikary nie przyjmuje nikogo.

Magdalena otworzyła drzwi i spostrzegłszy Rajmunda, krzyknęła ze zdziwienia.

Doktor, usłyszawszy jej głos podniesiony podbiegł ku niej.

— Proszę mówić ciszej, Magdaleno. Wszak wiesz, że ksiądz wikary zasnął.

— To Rajmund Schloss, proszę pana doktora,— nadleśny hr. Emanuela, stryja księdza. Przybywa z Fenestranges... Chodź, panie Schloss.

Wzięła z jego ręki walizkę, którą położyła na krześle w przedpokoju i wprowadziła gościa do pokoju stołowego.

— Jak to dobrze, żeś pan przyjechał! Ale pewno jesteś głodny? Siadaj do stołu, zaraz przyniosę nakrycie... To pan doktor Leblond który ocalił życie naszemu księdzu... Ach mój panie co za nieszczęście! Raniony był śmiertelnie, ale pan doktor zapewnia, że wyzdrowieje...

Wobec tego potoku słów, których ton przez zapomnienie, stawał się coraz wyższym, chirurg uważał za właściwe przywołać Magdalенę do porządku.

— Mów ciszej—rzekł.

Ostatnie wyrazy Magdaleny zdziwiły Rajmunda.

— Wiemy o okropnym wypadku, jakiemu uległ ksiądz wikary—rzekł Schloss przytłumionym głosem, zwracając się do doktora.—Wiadomość tę otrzymaliśmy od p. Gilberta Rollina, kuzyna księdza... Ale wysłane przez niego depesze zawierają w sobie sprzeczność co do czasu wyprawienia... Przybyłem z największą trwogą w sercu... Ksiądz wikary żyje, gdyż Magdalena powiedziała, że pan doktor ręczy za wyzdrowienie, ale niech pan nie ukrywa przedemną prawdy...

— Rzeczywiście, życie księdza wisiało na włosku, ale dziś, jeżeli nie zajdzie jaka komplikacja, niebezpieczeństwo nie zagraża.

— Ach! więc go zobaczę!—rzekł Rajmund ze łzami w oczach.

— Nie zobaczysz go pan—odpowiedział doktor.

— Dlaczego?

— Dla tego, że najmniejsze wzruszenie, zarówno bolesne jak przyjemne, może zaszkodzić choremu... Aż

do zupełnego wyzdrowienia nie powinien widzieć niko-  
go, a tembardziej pana.

— A jednak—odrzekł Schloss—muszę widzieć się  
z nim, muszę rozmówić się...

W tej chwili Mgdalena, spostrzegłszy krepę czar-  
ną na rękawie Rajmunda rzekła głosem drżącym.

— Przybywasz pan z jakąś złą wiadomością...

Schloss nie odpowiadając jej zapytał:

— Czy widziałaś się z p. Rollinem.

— Widziałam się. Chodziłam do niego z wiado-  
mością o chorobie księdza.

— Kiedy to było?

— Przed trzema dniami.

— I on nic ci nie mówił?

— Powiedział tylko, że żona jego miała córeczkę.

— Nic więcej?

— Nic więcej.

— Czy był w żałobie?

— Nie widziałam.

— Ach, moja Magdaleno, nie omyliłaś się mó-  
wiąc, że przyjechałem ze złą wiadomością. Hr. Ema-  
nuel nie żyje!

— Nie żyje!—powtórzyli na raz doktor, jego żo-  
na i Magdalena.

— Padł rażony apopleksją, dowiedziawszy się  
o śmierci swego ukochanego bratańca, księdza d'Areynes.

Wiadomość ta wywarła na zebrane w pokoju  
osoby wrażenie spadającego pioruna.

— Co pan mówisz?—zapytał doktor Rajmunda,  
jak gdyby źle usłyszał.

— Mówię, że list p. Rollina, pisany d. 1 czerw-  
ca, otrzymany w Fenestranges 3-go, powiadamiający  
o śmierci księdza d'Areynes, zabił hr. Emanuela tak  
dobrze, jak uczyniłaby to kula karabinowa, wymierzo-  
na w serce. Niech pan doktor przeczyta ten list...



Rajmund wyjął z pugilaesu list Gilberta i podał go chirurgowi.

— Boże wielki!—jęknęła Magdalena.—Ulituj się nad nami!

— Jaki cel mógł mieć p. Rollin, pisząc list podobny?—zapytał doktor po odczytaniu go.

— Chciał prędzej objąć dochody z majątku, zapisanego jego żonie.

— Potwór!—zawołała Magdalena.

— Jest w tem wszystkiem coś, czego nie rozumiem—rzekł doktor.

— Co takiego?—zapytał Schloss.

— Pan Rollin, pisząc swój list dnia 1-go czerwca, nie widział się jeszcze z Magdaleną.

— A gdy byłam u niego, nie wiedział jeszcze, że ksiądz d'Areynes był ranionym niebezpiecznie.

— A raczej udawał, że nie wie—zauważył Schloss.

— Bardzo być może—mruknęła Magdalena.

## XLVI.

— Pamiętam dobrze,—mówił dalej doktor,—że Magdalena chodziła do pana Rollina w d. 3-im czerwca... Ja sam ją wysłałem. Wyszła około drugiej po południu.

— A byłam na ulicy Servan punkt o drugiej—dodała służąca.

— Tego samego dnia właśnie—rzekł Rajmund,—o godzinie dziewiątej rano hrabia otrzymał ów list zabójczy.

— Czy wysyłano do pana Rollina telegram o śmierci hrabiego?

— Wysyłano. Ponieważ wszyscy byli przekonani, że ksiądz Raul nie żył, więc w godzinę po śmierci

hrabiego telegraficznie wezwano p. Rollina do Fenestranges, jako przedstawiciela rodziny.

— O której godzinie depesza ta była wysłana?

— O dziesiątej. Ja sam odwoziłem ją do biura telegraficznego.

— O której mogła być otrzymana?

— O dwunastej, tak przynajmniej zapewniano mnie w biurze telegraficznym.

— Skoro tak, to p. Rollin, widząc się z Magdaleną, wiedział już o śmierci hrabiego.

— Nie ulega wątpliwości.

— Dla czegoż nie powiedział mi o tem?—zapytała służąca.

— Musiał mieć swoje powody, lotr jakiś!—odrzekł Schloss.—Wiedząc, że wymierzony przez niego cios nie chybił, po twojem odejściu wyprawił do Fenestranges depeszę pierwszą, powiadamiającą o uratowaniu księdza d'Areynes, a w dwie godziny później drugą, w której oświadczał, że nie może, z powodu choroby swej żony, przybyć na pogrzeb hrabiego. Oto obie depesze, niech pan doktor przeczyta je.

— Nie sądźmy zbyt pośpiesznie—rzekł chirurg po odczytaniu depesz.—W depeszy pierwszej, wyprawionej z Paryża o godzinie trzeciej minut trzydzieści pięć, Rollin zawiadamia hrabiego, że ksiądz d'Areynes nie umarł i może wyzdrowieć... W drugiej, wyprawionej o piątej minut cztery, odpowiada doktorowi Pertuiset, że nie może przybyć do Fenestranges. To dowodzi, że p. Rollin, widząc się z Magdaleną, nie wiedział jeszcze o śmierci hrabiego i pragnął złagodzić jego boleść, sprawioną fałszywą wiadomością, pochodzącą zapewne z mylnej informacyi. Depeszę d-ra Pertuiset musiał otrzymać po wyprawieniu pierwszej.

— To nieprawdopodobne.

— A ja powiem, że możliwe, z powodu naprzy-

kład opóźnienia, zajęcia linii telegraficznej, urzędników

— Wszystko to bardzo piękne—wtrąciła Magdalena—ale dlaczego pan Rollin tak mocno zdziwił się, gdy mu powiedziała, że ksiądz wikary był raniony? Przecież wiedział o tem, gdyż na trzy dni przed widzeniem się zemną sam pisał o jego śmierci.

Uwaga Magdaleny była bardzo logiczną.

— Może dowiedział się na probostwie, zauważył doktor.

— Mniejsza o to gdzie—odrzekł Schloss—ale faktem jest, że wiedział, iż hrabia, będący w tak podeszłym wieku, może żyć jedynie pod warunkiem unikania silniejszych wrażeń, wysyłając więc list o śmierci Raula, był przekonany, że zada mu cios śmiertelny. Pismo jego niczem nie różni się od noża zabójcy! Utrzymuję stanowczo, że człowiek ten na zimno obmyślił swą zbrodnię! Pan doktor nie zna go jeszcze, ale mój pan, hr. Emanuel wiedział co on wart! Człowiek ten, pozbawiony odrobiny serca i wszelkiego czucia szlachetniejszego, tylko w użyciu widzi cel życia! Zabił hrabiego, gdyż pragnął zagarnąć jego majątek! Niech pan doktor pozwoli mi zobaczyć się z księdzem i powiedzieć mu, że stryj jego został zamordowany!

— Jeżeli pan chcesz zabić go, to idź—odrzekł doktor.

— Ja, chcę go zabić?—zawołał Schloss przerażony!

— Tak silne wzruszenie zabiłoby go z pewnością. Zgadzam się, że powinien wiedzieć prawdę i będzie ją wiedział. Odkryjesz mu ją sam, ale wtedy gdy nie będzie zagrażała jego życiu! Ale do tego czasu nie pozwolę panu przystąpić do niego! Przyznaję, że misya pańska, dowodząca przywiązania dla rodziny księdza, jest piękną, ale i na mnie ciąży obowiązkiem! Obaj mamy do spełnienia zadanie ciężkie! Gdy spełnię moje, wtedy przystąpisz pan do swojego!

— Więc przynajmniej zobaczą się z tym lotrem!—  
zawołał Rajmund ze ściśniętymi zębami.

— Nie mam nic przeciwko temu,—rzekł doktor—to już rzecz pańska. Ale pozwól dać sobie jedną radę... ! Zanim wmiszasz się w tak drażliwe interesa rodzinne, pomyśl, że ksiądz d'Areynes kocha i szanuje swoją kuzynkę, p. Henrykę Rollin i może wziąć ci za złe, że bez jego upoważnienia postąpiłeś gwałtownie z jej mężem.

— Pan doktor ma słuszość—wtrąciła Magdalena—należy czekać, niech ksiądz sam postanowi.

— A więc—szepnął zniechęcony Rajmund—będę mógł zobaczyć się z księdzem dopiero po jego powrocie do zdrowia?

— Złeś pan zrozumiał mnie. Pozwolę panu zobaczyć się z nim i wcześniej, ale pod warunkiem, że nie powiesz mu ani o śmierci stryja, ani o swych podejrzeniach względem męża jego kuzynki. Nadto, podczas rozmowy z nim, nie będziesz pan miał na sobie żałoby.

— Ha, cóż robić, ale przynajmniej zobaczą go.

Podczas śniadania doktor zapytał.

— Jak długo zabawisz pan w Paryżu?

— Nie wiem, zapewne aż ksiądz wikary wyzdrowieje. Ale mogą mnie wezwać do powrotu.

— Rekonwalescencya potrwa długo, może więc byłoby lepiej, gdybyś pan powrócił do Fenestranges: gdy chory wyzdrowieje, zawiadomię pana listownie.

— Zobaczę.—W każdym razie muszę zabawić w Paryżu kilka dni, gdyż potrzebuję zobaczyć się z notaryuszem nieboszczyka hrabiego, następnie uzyskać świadectwo choroby księdza Raula, niedozwalającej mu przybyć do Fenestranges, w celu uregulowania interesów spadkowych.

— Ułatwię to panu dziś jeszcze—oświadczył doktor.

— Będę panu bardzo wdzięczny—odrzekł Schloss,

a zwróciwszy się do Magdaleny, zapytał:—Nie wiesz, czy niema tu w pobliżu jakiego hotelu, w którym mógłbym nająć sobie pokój?

— Jest obok, zaprowadzę pana.

Po śniadaniu Rajmund udał się wraz z Magdaleną do hotelu, zamówił pokój, następnie załatwił interesy z notaryuszem i o godzinie czwartej powrócił do mieszkania księdza d'Areynes.

Doktor tymczasem napisał przyrzeczone świadectwo i zalegalizował je w merostwie.

Świadectwo to stwierdzało, że ksiądz Raul d'Areynes, pierwszy wikary parafii św. Ambrożego, nie może z powodu ciężkiej choroby udać się na wezwanie prezesa trybunału pierwszej instancji, jako egzekutor testamentu zmarłego hr. Emanuela d'Areynes.

Dokument ten i list, powiadamiający o stanie zdrowia księdza d'Areynes, tegoż dnia jeszcze wyprawił do Fenestranges.

## XLVII.

Umówiono się, że podczas pobytu swego w Paryżu Rajmund codziennie będzie przychodził do mieszkania wikarego, z warunkiem wszakże, iż nie będzie usiłował zbliżyć się do chorego księdza, bez zezwolenia doktora.

Ksiądz d'Areynes, jak wiemy, odzyskał już przytomność.

Około godziny szóstej stary chirurg dał mu nie wielką dozę opium, uważał bowiem, że to bezzwłocznie przeszkodzi utracie sił i przyczyni się do szybszego zagojenia rany.

O siódmej, sprawdziwszy pomyślny stan zdrowia księdza, wraz z żoną i Schlossem zasiadł do obiadu.

Zawieszona u sufitu naftowa lampa oświetlała

stół, pozostawiając w cieniu dalsze części pokoju, nie objęte jej promieniami.

Rozmawiano półgłosem i rzecz naturalna, tylko o księdzu d'Areynes.

Żadna z tych osób nie mogła oderwać swych myśli od tego człowieka, tak młodego, dobrego, szlachetnego, tak drogiego wszystkim, który nie żyłby już, gdyby Opatrzność nie umieściła w tym samym domu, tuż obok niego, d-ra Leblond.

Obiad był krótki i miano już wstawać od stołu, gdy ktoś u drzwi zadzwonił gwałtownie.

Była wtedy godzina ósma wieczorem.

Magdalena wyszła do przedpokoju i otworzyła

— Dobry wieczór Magdaleno—przemówił gość.

Zdziwiona służąca, poznawszy po głosie Rollina, cofnęła się o krok.

— Tak dziwi cię moja wizyta?—zapytał Gilbert

— Rzeczywiście—wyjąkała Magdalena.

— Dlaczego?

— Późno już...

— Nie mogłem przyjść wcześniej... Potrzebuję zobaczyć się z moim kuzynem, księdzem Raulem.

— Ksiądz wikary nie przyjmuje nikogo.

— Ale mnie przyjmie.

— Ksiądz wikary śpi teraz.

— Więc cóż to przeszkadza!—odrzekł imponująco.—To obudzisz go!

— Obudzić!

— Powtarzam ci, że potrzebuję zobaczyć się z nim natychmiast! Mam zakomunikować mu wiadomość bardzo ważną, a nadto potrzebuję porozumieć się z nim bezwzględnie. Nie mam czasu na rozmowę z tobą... Zanonsuj!

Magdalena była oburzona. On, zabójca hrabiego

Emanuela, on, nieprzyjaciel wikarego, on, bezwstydy. odważył się przyjść tutaj!

Zapanowała jednak nad gniewem i zagroziła mu drogę.

— Nie mogę puścić pana—rzekła tonem stanowczym—bez pozwolenia pana doktora.

— Jak ty śmiesz mówić mi coś podobnego?—zawołał niecierpliwie i postąpił krok naprzód.

Ale ona nagłym ruchem zamknęła drzwi i wbiegła do pokoju stołowego.

— To pan Gilbert Rollin!—zawołała przestraszona.

— Czego on chce?—zapytał Rajmund, zrywając się z krzesła.

— Pragnie koniecznie zobaczyć się z księdzem wikarym... Chciał wejść przemocą, ale zamknęłam mu drzwi przed nosem!

— Czego chce ten nikczemnik?—zawołał Schloss, ściskając pięście.—Radzę mu, niech lepiej nie wchodzi!

— Dla czego?—zapytał chirurg.

— Bo go zabiję!

— Pojmuję, że zuchwalstwo jego może pana oburzać, ale uspokój się.—Powinniśmy przyjąć pana Rollin. Być może, że istotnie ma interes wczny. Ja sam rozmówię się z nim. Magdaleno poproś p. Rollin.

Służąca otworzyła drzwi.

— Przecież!—zawołał Gilbert.—Przyznam się, że tego zanadto!

Rollin z dumnie podniesioną głową wszedł do pokoju stołowego.

Stary chirurg podszedł ku niemu i rzekł:

— Nie mam zaszczytu znać pana i dopiero od Magdaleny dowiedziałem się kim pan jesteś. Życzył pan sobie widzieć się z księdzem d'Areynes, podobno w ważnym interesie... Otóż ksiądz wikary znajduje się obecnie w stanie niedozwalającym na najmniejszą ro-

zmowę... Jestem jego lekarzem i przyjacielem... mieszkam w tym samym domu... Udzieliłem mu pierwszej pomocy, gdy był prawie konającym, następnie pielęgnowałem go do tej chwili, to znaczy, że mam prawo rozporządzać się w tem mieszkaniu, jak w swoim własnym. Jakkolwiek ważnym może być pański interes, nie mogę pozwolić na rozmowę z chorym, ale, jeżeli uważasz mnie pan godnym zaufania, racz mi go powierzyć, a ja mu go zakomunikuję.

Doktor widział, że podczas jego przemowy Gilbert drżał z niecierpliwości, lecz nie dbał o to.

— Potrzebuję widzieć się z moim kuzynem!—zawołał Rollin tonem ostrym.

— Proszę pana mówić ciszej,—odrzekł doktor spokojnie—gdyż możesz obudzić chorego, a co do widzenia się, powtarzam, że to rzecz niemożliwa!...

— Co takiego?

— Stanowczo niemożliwa!

— Nie jest przecież chorym tak ciężko, by nie mógł zobaczyć się zemną.

— Ja jestem innego zdania.

— Przychodzę z wiadomością, o której powinien dowiedzieć się natychmiast, zarówno we własnym jak i moim interesie.

— Bywają wiadomości zabójcze!—odrzekł doktor kładąc nacisk na słowa i patrząc w oczy Gilbertowi.

Rollin zadrżał.

Czy doktor wymówił te słowa przypadkiem, czy pragał uczynić aluzję do tragicznej śmierci hrabiego d'Areynes?

Nie wiedział, ale zlagodniał i zmieszał się.

Doktor jakby nie spostrzegając tego, rzekł, wskazując mu krzesło:

— Raczy pan spocząć i powiedzieć mi, jakiego rodzaju jest pański interes.



— Ależ—odrzekł Gilbert, usiłując zapanować nad wzburzeniem—jaki masz pan prawo do wdzierania się w sprawy familjne?

— Nie mam do tego pretensyi, lecz sądzę, iż działałam na zasadzie przysługującego mi prawa.

— Jakiego?

— Prawa lekarza, które dozwala rozporządzać się tylko jemu, gdy chodzi o zdrowie i życie chorego

— Prawo bardzo wątpliwe...

— Jednak nie radzę panu zapominać o niem. Żebyś pan wyszedł i dowiodę tego.

Ciekawym w jaki sposób?

— Wizyta pańska ma związek ze śmiercią hrabiego Emanuela d'Areynes?

Gilbert zdziwiony nie zdołał ukryć wrażenia.

— Zkąd pan wie, że hr. Emanuel nie żyje?—zapytał.

Doktor wskazał ręką spokojnie siedzącego w cień Schlosa.

— Rajmund Schloss!—zawołał Gilbert zdziwiony.

— Ja—odrzekł lotaryńczyk.—Przybyłem z Fene-stranges, by powiadomić księdza d'Areynes o śmierci jego nieodżałowanego stryja.

— I kuzyn mój—ze sztucznym drżeniem w głosie zapytał Gilbert,—wie już o tym bolesnym wypadku?

— Nie wie, gdyż bywają wiadomości zabójcze, jak słusznie powiedział pan doktor, a taką byłaby i wiadomość moja. Ksiądz Raul, dowiedziawszy się o śmierci hrabiego, mógłby umrzeć, jak umarł hr. Emanuel, czytając list pański fałszywie powiadamiający go o tragicznej śmierci bratańca!

Gilbert spostrzegł, że go podejrzewają; przynajmniej ostatnie słowa lotaryńczyka uchylały pod tym względem wszelką wątpliwość.

Piszac mój list, byłem przekonany, że kuzyn mój nie żyje.

— Któż pana tak poinformował?

— Poinformowano mnie w kościele św. Ambrogiego. Zaszedłem tam, by dowiedzieć się, czy ksiądz wikary powrócił do Paryża i dowiedziałem się od zakrystyana, że jest ranionym śmiertelnie i konającym. On sam zaś słyszał o tem od proboszcza. Widzisz pan więc, że wiadomość miała wszelkie cechy prawdy.

— A pan, nie sprawdzwszy jej—odrzekł doktor surowo—nie zadawszy sobie trudu odwiedzenia chorego, do którego powoływała pana sama przyzwoitość, nie mówiąc już o życzliwości, brutalnie zawiadomiłeś hrabiego, wiedząc, że jest chorym, w wieku podeszłym i że po ataku pierwszym drugi będzie dla niego ciosem śmiertelnym. Moznaby przypuszczać, że działałeś pan z celem i osiągnąłeś go.

— Podejrzenia pańskie obrażają mnie—wyniosłe odrzekł Gilbert.

### XLVIII.

— Jeszcze raz proszę pana mówić ciszej—rzekł dr. Leblond.—Postępowanie pańskie obchodzi mnie tyle, o ile dotyczy zdrowia księdza d'Areynes, za które uważam się odpowiedzialnym. Wszakże mam prawo oświadczyć panu, że dzisiejsza wizyta jego jest zbyt spóźnioną. Powinieneś pan być zjawić się zaraz po otrzymaniu wiadomości o śmierci hr. Emanuela, po bytności Magdaleny u pana i wtedy powiadomić nas o katastrofie!...

— Nie wiedziałem jeszcze wtedy—odrzekł Gilbert

— Jesteś pan tego pewnym?

— Jako, jestem pewnym?

— Czy pamięć nie zawodzi pana w tej chwili?

— Pamiętam dobrze!

— Depesza z Fenestranges wyprawiona była rano.

— Ale otrzymałem ją dopiero po wyprawieniu do hrabiego Emanuela telegramu, uspokajającego o życie Raula.

— Nie chcę panu zaprzeczać, lecz uważam to za nieprawdopodobne.

— A jednak...—zaczął Gilbert

— A jednak—przerwała Magdalena, nie mogąc powstrzymać się dłużej—nie byłeś pan wtedy szczerym jak nie jesteś i dzisiaj. Dlaczego, po zawiadomieniu hr. Emanuela o śmierci jego bratańca, odgrywałeś pan przedemną komedię zdziwienia, gdy powiedziała panu, że ksiądz wikary był rannym, lecz doktor ocalił go? Udawałeś pan, iż nawet nie wiesz, że ksiądz powrócił do Paryża.

Uwaga ta zmieszała Gilberta.

Przyparto go do muru i dowodnie wykazywano jego hipokryzyę i zamiary zbrodnicze.

Pozycya była przykra; należało z niej wyjść jakimkolwiek sposobem.

— Cóż to—odrzekł Rollin udając obrażonego,—czy znajduję się przed sędzią śledczym i podlegam badaniu? A to dobre! Nie przywykłem do zdawania rachunków nikomu z mego postępowania i nie pozwolę by komentowano je w sposób znieważający mnie. Przeszedłem do tego domu dla spełnienia obowiązku... Stałaś pan na przeszkodzie, więc cofam się. Nie będę się widział z księdzem d'Areynes, ponieważ pan lekarz jego, nie zezwala na to; ale odchodząc stąd, nie mogę powstrzymać się, by nie wyrazić zdumienia wobec podobnego postępowania! Widzę, że znajduję się wśród ludzi uprzedzonych dla mnie nieprzychylnie, gotowych oskarżać o jakąś nieistniejącą zbrodnię! Pogardzam podobnem oskarżeniem! Jestem mężem i ojcem, przybyłem zaś tutaj jako przedstawiciel mej żo-

ny i córki, sukcesorek hrabiego Emanuela d'Areynes, w ich interesie wspólnym... Nie pan, lecz ksiądz d'Areynes mógłby mi dostarczyć potrzebnych w tym celu dokumentów.

— A może i ja—odrzekł doktor.—O jakich dokumentach pan mówi?

Gilbert odrazu zmienił ton.

— Może panu niewiadomo—rzekł,—że stosownie do ostatniej woli hr. Emanuela, ksiądz d'Areynes przyjął na siebie obowiązki egzekutora testamentu; nadto jest spadkobiercą testatora w tym samym stopniu co i moja żona. Z tego powodu powinien być obecnym przy otwarciu testamentu. Skoro zaś nie może udać się do Lotaryngii na wezwanie prezesa sądu, obowiązany jest bezwzględnie przedstawić świadectwo choroby i dać upoważnienie swemu zastępcy.

— To już zrobione—odrzekł doktor.

— Zrobione!—powtórzył Gilbert zdumiony.

— Świadectwo i upoważnienie dziś wieczorem zostały wysłane na ręce doktora Pertuiset, który potrafi bronić interesu sukcesorów hr. Emanuela.

— W takim razie skłamałeś pan przedemną!—zawołał Gilbert gwałtownie. Więc kuzyn mój wie o śmierci swego stryja!

Doktor chciał odpowiedzieć, lecz nie miał czasu, gdyż drzwi nagle otworzyły się i na progu, blady, zmieniony, ledwie trzymający się na nogach w narzuconej naprędce sukni czarnej, stanął ksiądz d'Areynes.

Na szmer otwieranych drzwi wszyscy zwrócili się w tę stronę i, z wyjątkiem Gilberta, krzyknęli ze zdziwienia.

Doktor rzucił się ku choremu, Rajmund i stara Magdalena nie mieli siły poruszyć się, Gilbert pobladył.

Nagle zjawienie się księdza przestraszyło go.

Wikary groźnie wyciągnął ku niemu rękę i zawołał:

— Wiem o wszystkim, panie Rollin.—Precz ztąd, Gilbert, zmieszany w najwyższym stopniu, cofnął się parę kroków.

— Precz ztąd!... powtórzył Raul,—precz zabójco! Nie mógł przemówić więcej, gdyż niezmierne wzruszenie odebrało mu siły.

Zachwiał się i padł na ręce doktora.

Magdalena jęknęła, zaś Rajmund Schloss rzucił się ku Gilbertowi, pochwyił go za ramię i zawołał:

— Jeżeli on umrze, ty będziesz winien jego śmierci! Precz zabójco!

Gilbert cofnął się ku drzwiom, otworzył je i uciekł.

— Teraz tylko cud może go ocalić!—zawołał doktor z rozpaczą.

## XLIX.

Pół roku upłynęło od owej okropnej nocy, w której wikary od św Ambrożego został raniony.

Recydywa, jakiej uległ, dowiedziawszy się od Gilberta o śmierci hr. Emanuela, była straszną i tylko najwyższe wysiłki starego chirurga zdołały ocalić go po raz wtóry.

Dzięki żelaznemu organizmowi swemu powrócił nareszcie do zdrowia, ale przez pięć miesięcy walczył ze śmiercią.

Rekonwalescencya trwała cały miesiąc.

Przez te pół roku zaszło wiele wypadków nywych.

Henryka Rollin, zdrowa już zupełnie, nie mając najmniejszego podejrzenia co do zamiany dziecka, pokochała je głęboką miłością macierzyńską jak własną krew, własne ciało, jak część duszy własnej.

Jednocześnie ze zdrowiem odzyskała i majątek, który, uwalniając ją od niegostatku, dozwolił bez niepokoju spoglądać w przyszłość.

Boleśnie odczuła śmierć stryja, lecz zajęcie dzieckiem prędko złagodziło smutek.

Gilbert Rollin, pragnąc jak najspieszniej objąć dochody z majątku zapisanego Henryce, uzyskał od niej pełnomocnictwo i udał się do Fenestranges, gdzie doktor Pertuiset czuwał nad interesami bratanicy swego zmarłego przyjaciela.

Po załatwieniu formalności prawnych objął w zarząd majątek ziemski, nadto po zdaniu rachunków przez notaryusza, otrzymał czek na dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy franków, stanowiących dochód z dóbr, procent za rok bieżący, oraz zaległy za czas wojny i komuny.

Po załatwieniu tych spraw wyraził służącym zmarłego hrabiego chęć pozostawienia ich na służbie, ale ci, powiadomieni przez Schlossa i Piotra Renaud o jego przeszłości i charakterze, wszyscy dali odpowiedź odmowną.

Renaud powrócił do swojej okolicy rodzinnej, gdzie miał kawałek ziemi, zaś Rajmund Schloss, posiadający, dzięki hr. Emanuelowi środki zabezpieczające mu niezależność, postanowił osiąść w Paryżu, aby być bliżej księdza d'Areynes.

Pozostali służący przyjęli służbę w domach innych

Powszechna ta odmowa zirytowała Gilberta, ale ponieważ zamierzał on często nawiedzać Fenestranges, gdzie nęciło go polowanie w obszernych lasach, nie chciał więc umniejszyć personelu służby i na miejsce ustępującej przyjął nową.

Posiadłszy tak poważną sumę, powrócił do Paryża, gdzie, zapominając o dniach niedostatku, w których dla utrzymania się musiał do wspólni ze swym fure-

rem Duplatem, okradać żołnierzy, rozpoczął życie wesołe i zbyt kowne.

Osiadł w pałacu przy ulicy Vaugirard, tym samym, w którym Henryka jako młoda dziewczyna, pierwszy raz poznała go i pokochała, powiedzielibyśmy na swe nieszczęście, ale ona nie nazywała się nieszczęśliwą i pozostawała wierną swej miłości.

Znajomi, którzy przed kilkoma jeszcze miesiącami odwracali się od niego, dowiedziawszy się, że żona jego została dziedziczką wielkiego majątku, powrócili z wyciągniętymi dłońmi i słowami przyjaźni na ustach.

Co do tego dziedzictwa, Gilbert nie wyprowadzał ich z błędu i nigdy nie wspominał o warunkach testamentu.

Wkrótce do liczby dawnych przybyli nowi przyjaciele i pałac przy ulicy Vaugirard stał się miejscem schadзки towarzystwa mieszanego, pragnącego skorzystać z hojności pana domu.

Mówimy „pana“, gdyż Henryka, pogrążona całkowicie w swej miłości macierzyńskiej i zajęta tylko myślą o małej Blance, zostawiła mężowi zupełną swobodę i nie mieszała się do niczego.

Zresztą, znając treść testamentu swego stryja i wiedząc, że Gilbert nie może naruszyć kapitału, myślała, że otrzymywane od niego dochody wystarczą na utrzymanie domu.

Rozumie się, że o proponowanej niegdyś przez księdza d'Areynes oszczędności i odkładaniu pewnej części dochodów na kapitał, nie było nawet mowy.

Henryka, po zainstalowaniu się w pałacu, zapragnęła zobaczyć się z swym kuzynem Raulem.

Gilbert powiadomił ją o wypadku, jakiemu uległ wikary po powrocie do Paryża i o długiej jego rekonwalescencji, ale ani jednym słowem nie wspomnia o recydywie, której sam był sprawcą.

Doktór Portuisset, pragnąc naocznie przekonać się o stanie zdrowia wikarego, przybył do Paryża, gdzie korzystając z gościnności p. Leblond, który w mieszkaniu swem ofiarował mu pokój, podzielał jego trudy nad wyleczeniem chorego.

Skoro tylko ksiądz d'Areynes odzyskał siły, zapragnął zobaczyć się z swą kuzynką i powiadomił ją o tem listownie.

Przybyła natychmiast z córeczką na rękę.

Wikary powitał ją serdecznie, ucałował dziecinę, jednak pomimo rozrzewnienia na jej widok, nie cofnął się od powziętego postanowienia i powiadomił o haniebnym liście Gilberta który spowodował śmierć hrabiego Emanuela.

Henryka wiedziała, że wikary nigdy nie rzucił słów na wiatr, więc musiał posiadać dowody winy Gilberta, ale kochając swego męża, usiłowała bronić go.

— Gdyby chodziło tylko o mnie—odrzekł ksiądz—przebaczyłbym mu chętnie, ale nie mam prawa przebaczyć zabójcy naszego stryja.

— On nie popełnił tego ze świadomością!—zawołała zrozpaczona.—Gdybyś uważał go za zabójcę, zatruliś życie moje i przyszłość mej córki. Znękany niedostatkiem i cierpieniami, nie zastanowił się nad swym czynem i działał lekkomyślnie, lecz jestem najmocniej przekonana, że bez planu z góry obmyślanego. Znasz jego słaby charakter, więc powinienś być dla niego wyrozumiałym. Wierzył w to co pisał. Wiadomość ta pochodziła od proboszcza, więc miała wszelkie cechy wiarogodności. Gilbert uwierzył, jak uwierzyli wszyscy inni. Zapewne, powinien był przyjść do ciebie i sprawdzić, ale skoro nie uczynił tego, postąpił lekomyślnie. Gilbert nieraz sprawił mi wiele cierpie-



nia i przebaczałam mu zawsze, a ty Raulu miałbyś dla tego być nieubłaganym.

— Przebacz mu...

Wikary zawahał się.

Od początku tej rozmowy trzymał on na rękach Blknkę.

Wtem dziecina podniosła swe drobne rączęta i wyciągnęła je ku Raulowi, jak gdyby chciała prosić swe połączyć z matczynemi.

Ksiądz ucałował ją i rzekł:

— Przebaczam mu ze względu na twą córkę.

— Ale przebaczenie nie jest zapomnieniem—dodała pani Rollin.

— Zapomnę.

Tym sposobem nastąpiła zgoda.

Po kilku dniach Gilbert odwiedził wikarego i wyraził żal za swe postąpienie lekkomyślne.

Odtąd stosunki pomiędzy nimi zostały wznowione

Pomiędzy osobami, które na wieść o wyzdrowieniu wikarego pośpieszyły do niego z wizytą, był hrabia Kernoël z żoną i synem Lucyanem.

Tegoż dnia i Henryka z swą córeczką, odwiedziła swego kuzyna.

Państwo Kernoël ujęci wdziękami pięknnością młodej kobiety zwłaszcza jej przywiązaniem macierzyńskim, powzięli wielką dla niej sympatyę i po kilku następnych widzenia, chętnie zgodzili się trzymać do chrztu jej córeczkę.

W kościele św. Ambrożego odbywała się ceremonia religijna.

Długi szereg powozów z woźnicami owiniętymi w futra, stał wzdłuż ulicy po obu stronach kościoła, tłum ludzi, zdziwionych tym widokiem, rzadko zdarza-

jącym się w ubogiej robotniczej dzielnicy, z ciekawością tłoczył się na chodnikach.

Z przybywających ciągle karet wysiadali mężczyźni o arystokratycznej postawie, wystrojone kobiety z dziećmi i wchodzili do wnętrza świątyni.

Dzwony kościoła wesołym rytmem obwieszczały jakąś ceremonię.

Wewnątrz ściany, ja podczas wielkich uroczystości, pokryte były aksamitnymi oponami, wielki ołtarz prawie gorzał od światła niezliczonych świec.

Stojące po obu stronach ołtarza rzeźbione stalle zajęte były przez księży.

Po stronie prawej, w samym środku stalli, pod baldachimem purpurowym siedział arcybiskup, następca męczennika, zamordowanego przez siepaczy komuny.

Pierwsze ławki głównej nawy zajmowali wojskowi rozmaitych stopni i broni, następne—delegaci rozmaitych towarzystw pomocy rannym podczas wojny, w końcu przedstawiciele wielkich rodzin francuzkich i parafianie dzielnicy św. Ambrożego. Za ławkami stali mężczyźni i kobiety z ludu.

Przestrzeń pomiędzy pierwszymi ławkami zastawiona była krzesłami, na których siedzieli: Henryka Rollin, jej mąż, hr. Kernoël z żoną i synem, chirurg Leblond z żoną, dr. Pertuiset, stara Magdalena, Rajmund Schlos i Piotr Renaud.

Obok ubranej w żałobną suknię Henryki, siedziała mamka z kilkomiesięcznym dzieckiem na rękach, ubranem białą i owiniętem w białe futerko, obszyte koronkami.

Co znaczył ten tłum, ten przepych w kościele, położonym w dzielnicy ubogiej? Dlaczego ta obecność arcybiskupa, generałów, oficerów, żołnierzy i duchowieństwa, przybyłego ze wszystkich parafij okolicy? Co znaczyła ta uroczystość, w jakiej myśli wspólnej

zebrali się przedstawiciele armii, szlachty, mieszczaństwa i ludu?

Oto—w celu złożenia hołdu człowiekowi uczciwemu, podziękowania Opatrzności za cudowne zachowanie go przy życiu.

Ksiądz Raul d'Areynes, organizator szpitali wersalskich, którego cała dzielnica Popincourt kochała jako dobroczyńcę i czcila jak świętego, miał odprawić pierwszą mszę dziękczynną z powodu powrotu do zdrowia, a następnie udzielić sakramentu chrztu świętego małej Maryi Blance, dzieciciu skradzionemu Janinie Rivat, które Henryka uważała za własne.

Wybiła godzina dziesiąta.

Do świątyni wszedł szwajcar kościelny, za każdym krokiem uderzając halabardą w posadzkę kamienną, za nim postępował ksiądz d'Areynes w otoczeniu dyakonów, subdyakonów i dzieci z chóru.

Szedł wolno, był blady, na obliczu nosił ślady długiego cierpienia.

Ukląkł przed wielkim ołtarzem, odmówił krótką modlitwę, poczem powstawszy ze złożonemi rękami, pochylił głowę przed arcybiskupem i zgromadzeniem wiernych.

Z organów rozległy się poważne dźwięki pieśni „Gloria in excelsis Deo i ksiądz Raul rozpoczął ofiarę świętą.

Po ukończeniu mszy udał się do kaplicy Matki Boskiej gdzie dokonał ceremonii chrztu Blanki.

Powróciwszy do zakrystyi, zastał oczekującego nań arcybiskupa, który zwróciwszy się do niego rzekł:

—Rząd francuzki powierzył mi wielce przyjemną memu sercu misję wyrażenia ci w jego imieniu czci za uorganizowanie w Wersalu szpitali dla rannych i następnie założenie wiekopomnej instytucyi „Towarzystwa kobiet, niesienia pomocy rannym podczas wojny“—

w dowód uznania swego przesyła ci krzyż Legii honorowej.

Po tych słowach dostojny prałat wyjął z pudełeczka order i przypiął go do sutany księdzu, poczem uścisnął go.

— Robłogosław mnie, ojcze—szepnął Raul wzruszony, klękając przed arcybiskupem.

Ten wyciągnął nad jego głowę ręce i rzekł:

— W imieniu Boga sprawiedliwości i dobroci błogosławię cię, mój synu!

Wikary powstał.

— Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego,—dodał arcybiskup, podając mu wielką kopertę.— Minister sprawiedliwości i wyznań mianował cię jałmużnikiem więzienia la Roquette.

Ksiądz d'Areynes uczynił gest zdziwienia i przestachu.

— Przyjmij mój synu—rzekł prałat—tam są ludzie zbłąkani z prawej drogi, potrzebujący ulgi w cierpieniach, tam wiele możesz uczynić. To piękne i szlachetne zadanie. Przyjmij!

Przyjmuję—odrzekł Raul.

## L.

W kilka dni później wikary od św. Ambrożego, korzystając z wizyty kapitana Kernoëla, zapytał go czy niemógłby udzielić mu wiadomości o młodej kobiecie rannej, którą żołnierze jego odnieśli do ambulansu.

Kapitan nic nie wiedział o niej, lecz poradził, by wikary udał się do władzy wojskowej, która nakazała rannych z ambulansów przewieźć do szpitali paryzkich.

Młody ksiądz pragnął za jakąkolwiek cenę dotrzymać obietnicy, danej mężowi Janiny przed jego śmiercią i wrazie jeśliby ona żyła, rozciągnąć nad nią opiekę.

Co do dziecka, które, jak widział, uniósł Serwacy Duplat, łatwo było powziąć wiadomość po odszukaniu go; ksiądz bowiem nie wątpił, że ex-kapitan komuny ocalił mu życie, idąc za popędem serca.

Rozumie się, wikary nie domyślał się nawet, że w pochwyconej przez Duplata kołysce spoczywały dwie siostry bliźniaczki.

Przywołał Rajmunda i powierzył mu misję odszukania Janiny Rivat.

Schloss, usłyszawszy to nazwisko, przypomniał sobie młodą kobietę, żonę gwardzisty, z którą odbywał podróż do Paryża.

Zapytał wikarego o bliższe szczegóły i przekonał się, że towarzyszka jego była osobą poszukiwaną przez księdza.

Następnego dnia rano Rajmund wybrał się na poszukiwania i rozpoczął je od domu, w którym mieszkała Janina, lecz pod wskazanym sobie numerem znalazł kamienicę nową i jeszcze nieukończoną.

Wszedł do sąsiedniego składu trunków, poprosił o szklanekę wina i rzekł do kupca:

— Chciałem prosić pana o pewne objaśnienie.

— Służę panu.

— Czy zajmował pan ten sklep podczas komuny?

— Zajmuję go już od pięciu lat.

— W takim razie musiał pan znać choć niektórych lokatorów spalonego domu sąsiedniego, na miejscu którego budują nowy.

— Znałem ich wszystkich, zarówno mężczyzn jak i kobiety, gdyż kupowali u mnie wino.

— A znał pan niejaką Janinę Rivat?

Znałem; porządna kobieta i jej mąż był dzielnym człowiekiem. Nie żyją już oboje.

— Oboje, jesteś pan pewnym?

— Najpewniejszym! on zabity został w bitwie pod Montretaut.

— A ona?

— Zginęła w płomieniach domu wraz z dwiema swemi córeczkami i sąsiadką, matką Weroniką.

— Z dwiema córeczkami?—powtórzył Schloss zdziwiony.

— Tak, bliźniętami, które powiła na parę dni przed śmiercią.

Widocznie kupiec nie wiedział, że Janina Rivat była wraz z dzieckiem uratowaną z płomieni.

— Czy pan jesteś pewnym, że Janina Rivat miała bliźnięta?

— Wiem to od matki Weroniki.

— A nie wie pan przypadkiem, czy złożono w merostwie deklarację o urodzeniu tych dzieci?

— Tego nie wiem...

Schloss zapłacił należność, podziękował i wyszedł.

— Bliźnięta!—pomyślał—a ksiądz wikary sądził, że w kołysce było tylko jedno dziecko... Zrobiłem odkrycie ważne... Należy dowiedzieć się, kto był dyrektorem owego ambulansu.

Udał się do domu, w którym podczas komuny mieścił się ów szpital tymczasowy, lecz dowiedział się tylko tyle, że w kilka dni po stłumieniu rewolucyi, wszyscy ranni przewiezieni zostali do szpitali miejskich.

Z powodu spóźnionej pory nie mógł już iść do ratusza, powrócił na ulicę Papincourt i zdał wikaremu raport z rezultatu swych poszukiwań.

Wiadomość o bliźniętach Janiny Rivat zdziwiła wikarego.

— Co Duplat mógł z niemi uczynić? Należy to sprawdzić—odrzekł ksiądz.—Pójdiesz jutro do merostwa jedenastego okręgu i dowiesz się, czy złożona była deklaracja o przyjściu na świat dzieci Janiny Rivat.

Być może, iż złożyła ją matka Weronika. Jeżeli zaś deklaracyi nie było, w takim razie odszukamy Serwacego Duplat i od niego dowiemy się, co uczynił z temi dziećmi. Ale przed pójściem do merostwa należy zasięgnąć wiadomości w szpitalach.

Następnego dnia pomocnik wikarego rozpoczął swe poszukiwania od szpitala położonego przy ulicy Lacepède.

— Czem mogę panu służyć?—zapytał dyrektor szpitala.

Rajmund odrzekł, iż przybywa w imieniu księdza d'Areynes z prośbą o sprawdzenie w aktach szpitalnych, czy pomiędzy rannymi kobietami, przeniesionymi przed pięcioma miesiącami z ambulansu przy ulicy Servan, nie było jakiej Janiny Rivat.

Dyrektor wezwał pisarza i polecił mu przejrzeć rejestr chorych.

— Czy pan ją zna osobiście?—zapytał następnie Rajmunda.

— Znam.

—To dobrze, gdyż jeżeli nie znajdziemy jej w rejestrze, co jest rzeczą możliwą z powodu, iż posiadamy kilka kobiet chorych, których osobistość nie została sprawdzoną, to zaprowadzę pana do nich, a może pan w której z nich pozna poszukiwaną.

Po kilku minutach pisarz powrócił z oświadczeniem, że z przyjętych do szpitala 20 kobiet rannych, zapisanych w rubryce „Nieznane“, zdołano sprawdzić osobistość zaledwie pięciu, lecz pomiędzy nimi niema Janiny Rivat, osiem zmarło a pozostałe siedm znajdują się na sali.

— Proszę pana za mną—rzekł dyrektor do Rajmunda,—mam nadzieję, że w liczbie tych siedmiu pozna pan protegowaną księdza d'Areynes.

Jedna z siostr miłosierdzia, obsługująca chorych.

na prośbę dyrektora o wskazanie pacjentek nieznanych, zaprowadziła go i Schlossa do łóżka nad którym widniała tabliczka z napisem nr. 4.

— Ta nieszczęśliwa jest stracona—rzekła.—Pozostaje jej zaledwie parę dni życia.

— Nie, to nie ona—rzekł Schloss.

Podeszli do nr. 6.

— I tej dni są policzone—szepnęła zakonnica.

— Nie ona.

Na łóżku oznaczonym nr. 16, leżała chora z głową prawie całkowicie obwiązaną bandażami.

— Ta—rzekła infirmierka—miała szczękę strzaskaną pociskiem. Dotychczas nie wymówiła ani słowa, przytem nie umie ani pisać, ani czytać.

Schloss spojrzał na chorą, poczem rzucił wzrok na numer łóżka sąsiedniego i drgnął.

W bladej jak płotno twarzy chorej poznał Janinę Rivat.

— To ona, panie dyrektorze—zawołał uradowany i przybliżywszy się do łóżka dodał:—Janino! Janino!

Kobieta otworzyła oczy, uniosła się na pościeli i spojrzała wkoło siebie wzrokiem bez wyrazu.

— Janino, powtórzył Schloss—przychodzę w imieniu księdza d'Areynes, pierwszego wikarego parafii św. Ambrożego.

Oczy chorej pozostały błędnymi.

— Ona nie odpowie panu—rzekła zakonnica.

— A jednak słyszała...

— Słyszy, ale nie rozumie.

— Dlaczego?

— Ponieważ straszna rana pozbawiła ją zmysłów.

Jest obłąkana.

— Obłąkana!

— Pocisk ugodził ją w głowę, przedziurawił czaszkę i naruszył mózg.



— Ach, nieszczęśliwa!

— Dwa razy robiono już operację. Długi czas lękano się o jej życie, wyzdrowiała wreszcie, lecz utraciła rozum. Czy pan dyrektor otrzymał raport głównego chirurga?—dodała,—prosi on, ażeby nr 17 odesłany został do zakładu obłąkanych.

— Otrzymałem i odślę go dzisiaj dyrektorowi rady dobroczynności publicznej.

Czy niema nadziei wyleczenia jej?—zapytał Schloss.

— Nie ma żadnej, chociaż kto wie, czy nie wyzdrowiałaby w zakładzie dla obłąkanych pod troskliwą opieką specjalistów.

— Kiedy pan dyrektor odesła ją?

— Za pięć lub sześć dni, gdy otrzymam rozkaz i wyznaczony będzie zakład. Ale proszę mi powiedzieć, czy pan jesteś pewny, że to Janina Rivat?

— Jestem najpewniejszy.—Poznaję ją doskonale pomimo zmiany w rysach oblicza, wywołanej cierpieniem. To ona! Zresztą i ksiądz d'Areynes znał ją dobrze, gdyż dawał jej ślub. Jeżeli pan dyrektor życzy sobie, to przyjdzie i potwierdzi moje słowa.

— Owszem, bardzobym pragnął. Niech siostra będzie, maskawą—dodał zwracając się do zakonnicy napisze na tabliczce nazwisko „Janina Rivat“.

Rajmund podszedł zuowu do łóżka chorej, ujął jej ręce i pragnąc obudzić w jej umyśle wspomnienia zapytał:

— Janino, czy przypominasz sobie wojnę?—

Blady uśmiech pokazał się na ustach chorej.

— Niebo bardzo wysoko...—odrzekła.—Jak ja się tam dostanę?

— Rzeczywiście, nie ma nadziei—rzekł ze łzami w oczach.—Biedna kobieta!...

Wypuścił z dłoni jej rękę i podszedł do dyrektora szpitala, poczem obaj pożegnali zakonnice i opuścili salę

Siostry bliźniaczki.

Janina opadła na poduszkę i zamykając oczy, szepnęła jeszcze raz:

— Niebo bardzo wysoko...

Schloss podziękował dyrektorowi i wyszedł ze szpitala, ale przed powrotem do księdza d'Areynes postanowił udać się do merostwa jedenastego okręgu, w zamiarze przekonania się, czy dziewczynki Janiny Rivat były zapisane w księdze urodzeń.

I tutaj, zarówno jak w szpitalu, dość było Schlossowi wymienić nazwisko księdza d'Areynes, by uzyskać gorliwe poparcie władzy w poszukiwaniach, ale były one bezowocne.

Od 24 do 28 nie było ani jednej deklaracji o przyjściu na świat dziecka płci żeńskiej,

Dnia 28 zapisanych było dwoje dzieci płci żeńskiej: jedno, córka Gilberta Rollina i jego żony Henryki; drugie rodziców niewiadomych, znalezione przy ulicy la Roquette.

Deklarację ostatnią złożył pan Juliusz Servaize w asystencji p. Merlina.

Pod datami następnymi nigdzie nie było wzmianki o siostrach bliźniaczkach.

Z merostwa Rajmund udał się do księdza d'Areynes.

— Jak ci się powiodło?—zapytał wikary.

— Odszukałem Janinę Rivat—odrzekł Rajmund—lecz lepiej byłoby, gdybym był jej nie znalazł między żyjącymi.

— Dlaczego? Cóż jej się stało?

— Jest obłąkaną!

— Biedna kobieta!

— Rozmawiałeś z nią?

— Próbowałem, lecz nic nie rozumiała.

— Cóż z nią uczynią?

— Za kilka dni mają odesłać do zakładu dla obłąkanych.

— Więc niema nadziei wyleczenia? —

— Lekarze zapewniają, że tylko cud może jej powrócić zmysły. Przyrzekłem dyrektorowi szpitala, że ksiądz wikary odwiedzi ją przed wysłaniem.

— Uczyniłeś bardzo dobrze, odwiedzę ją.

— Dyrektor pragnął i z ust księdza usłyszeć potwierdzenie jej osobistości i przytem ma prosić o pewne objaśnienia.

— Jutro pojedziemy tam obaj. Może choć na chwilę odzyska przytomność, gdy usłyszy głos kapłan który dawał jej ślub. Nie masz nic więcej do powiedzenia mi?

— Owszem.

— Cóż takiego?

— Po wyjściu ze szpitala udałem się do merostwa jedenastego okręgu, gdzie dowiedziałem się, że nikt nie składał deklaracji o przyjściu na świat córek Janiny.

— Przekonałeś się sam?

— Własnymi oczyma, dzięki uprzejmości urzędnika, który dowiedziawszy się, że jestem przysłany przez księdza wikarego, pozwolił mi przejrzeć rejestra i księgę deklaracyj urodzeń od 24 maja do końca miesiąca.

— To dziwne...—szepnął ksiądz.

— W księdze znalazłem deklarację p. Rollina o przyjściu na świat jego córki.

— Pod jaką datą?

— 28-go maja, a zaraz po niej deklarację znalezionej na ulicy la Roquette dziecka jakiejś kobiety, zabitej w chwili ucieczki z płonącego domu.

— Boże mój! ileż ofiar spowodowała ta nieszczęśliwa komuna! Jeżeli dzieci Janiny nie zostały zadeklarowane, więc cóż się stało z niemi? Co z niemi uczynił Serwacy Duplat?

— Należałoby odszukać go.

— Należy koniecznie. Muszę dotrzymać przyrzeczenia, danego Pawłowi Rivat.

— Dziś jeszcze rozpocznę poszukiwania. Czy wiadomo księdzu gdzie on mieszkał?

— Nie wiem, lecz dowiem się on mego kuzyna Gilberta.

— Czy mam pójść do niego?

— Nie potrzeba— Gilbert jest człowiekiem zderwowanym, mogłyby go drażnić niektóre kwestye.— Podczas wojny utrzymywał on z nim stosunki blizkie.— Poproszę go, by brzybył do mnie.

Zaledwie wikary dokończył tych słów, gdy u drzwi rozległ się dźwięk dzwonka i za kilka chwil Magdalena zaanonsowała Rollina.

Ksiądz odprawił Rajmunda i kazał wprowadzić swego kuzyna.

Od czasu objęcia dochodów swej żony Gilbert zmienił się niedopoznania. Nie był to już ten sam wykolejony, zmuszony do rachowania się z wydatkami, zużywający swe ubranie aż do zdarcia barwy z sukna, czyszczący sam swe kamasze; obecnie był to światowiec, prześcigający w modzie najwytworniejszych elegantów.

— Siadaj, kuzynie—rzekł ksiądz do gościa—i powiedz mi przedewszystkiem, jak mają się Henryka i Blanka.

— Są zdrowe. Blanka rośnie w oczach i staje się coraz piękniejszą. Nie uwierzy ksiądz, ile sprawia mi ona szczęścia.

— I ja jestem uszczęśliwiony, że tak na seryo bierzesz swe stanowisko ojca. Nakłada ono wielkie obowiązki, lecz wierzę, że pomimo rozrywek światowych nie zaniedbujesz ich.

— Rzeczywiście, rola ojca ma dla mnie ogromny urok, wskazuje mi drogę postępowania, z której nie

zejdę już nigdy. Daje mi szczęście dotychczas niezna-  
ne, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem. Moja  
malutka Blanka jest teraz dla mnie wszystkim!

Po kwadransie rozmowy na ten temat, gdy Gil-  
bert chciał już odchodzić, wikary zatrzymał go i rzekł:

— Mój kochany kozynie, pragnę prosić cię o pe-  
wne objaśnienie.

— Słucham księdza.

— Przedewszystkiem muszę cię przeprosić, że  
pytaniem mojem może wywołam w tobie przykre wspo-  
mnienie. Nie chciałbym przypominać ci tego nazwiska,  
ale przysięga, uczyniona człowiekowi umierającemu,  
zmusza mnie do mówienia o tym człowieku.

Gilbert nieco zaniepokojony tak tajemniczym wstę-  
pem, zapytał:

— O kogóż to chodzi?

— O Servacego Duplat.

Mąż Henryki, usłyszawszy to nazwisko uczuł prze-  
biegający po ciele dreszcz.

Postanowił trzymać się na ostrożności.

— O Serwacym Duplat!—powtórzył.—Był to hul-  
taj zdolny do wszystkiego, z którym, z powodu smu-  
tnych okoliczności, musiałem, na moje nieszczęście  
utrzymywać stosunki. Z jakiego powodu zajmuje on  
księdza?

— Z powodu bardzo ważnego. Posłuchaj. Podczas  
wojny, gdy byłeś kapitanem gwardyi narodowej, mia-  
łeś w swojej kompanii żołnierza, niejakiego Pawła Rivat.

Gilbert zaniepokoił się naprawdę, jednak zapano-  
wał nad mieszczeniem i odrzekł:

— Rzeczywiście... O ile przypominam sobie, ten  
Rivat był śmiertelnie raniony w bitwie pod Montretout.

— I wskutek tej rany zmarł po miesiącu w szpi-  
talu wersalskim.

— Więc kuzyn go znalazł?

— Dawałem mu ślub w kościele św. Ambrożego. Zapewne słyszałeś o jego młodej żonie?

— Być może, że słyszałem, lecz nie pamiętam,— odrzekł Gilbert, niewiedząc dokąd Raul zniierza.

— Ponieważ Pawł Rivat nie mógł przed śmiercią widzieć się z żoną, zobowiązałem się więc czuwać nad nią i jej dzieckiem i po powrocie do Paryża zobaczyć się z nią.

— I dotrzymał książ słowa?

— Dotrzymałem.

Drobne krople potu wystąpiły na skronie Gilberta.

— Widziałem ją w nocy z d. 27-go na 28-my maja. Przybyłem do Paryża wraz z wojskiem wersalskim i wprost udałem się do mieszkania Janiny Rivat. Gdy wchodziłem do domu, granat padł na dach, przebił go i wzniecił pożar. Pomimo niebezpieczeństwa wszedłem na schody, gdy wtem usłyszałem idącego za mną człowieka. Sądząc, że to ścigają mnie komuniści, przyspieszyłem kroku. W mieszkaniu Janiny Rivat zastałem leżącą na podłodze zabitą jakąś kobietę starą i na łóżku zakrwawioną Janinę i obok niej kołyskę. Miałem podjąć do niej, gdy wtem ścigające mnie kroki stały się głośniejszemi. Ukryłem się za drzwiami drugiego pokoju i widziałem przez szybę, jak jakiś człowiek wszedł pośpiesznie, pochwycił kołyskę i uciekł z nią. W człowieku tym ze zdziwieniem poznałem Serwacego Duplata.

Opowiadanie to przeraziło Gilberta, który sądził przez chwilę, że wikary wie o wszystkim.

— Serwacy Duplat wybawca—odezwał się z uśmiechem wymuszonym,—to rzecz niemożliwa!

— A jednak to prawda.

— W takim razie należałoby przypuścić—rzekł Gilbert, odzyskując zimną krew, że musiał znać Janinę Rivat i dla niej uczynił to.

— I ja tak sądziłem.

— A dziś ksiądz innego zdania?

— Rzeczywiście.

Gilbert pragnąc wybadać wikarego, zapytał:

— A matka? Co z nią się stało?

— Ja uratowałem ją.

— Ksiądz!—zawołał Gilbert przerażony, gdyż był przekonany, że Janina nie żyje.—Jakim sposobem?

— Pochwyciłem ją z pośród płomieni, wyniosłem na ulicę i oddałem marynarzom kapitana Kernoëla, którzy odnieśli ją do ambulansu przy ulicy Servan.

— I tam zapewne zmarła...

— Nie. Z Ambulansu odesłano ją do szpitala, gdzie Rajmund Schloss odszukał ją dziś rano.

— Wyleczoną?

— Wyleczoną, lecz obłąkaną.

Gilbert odetchnął swobodnie.

— Teraz nic już nie mogę dla niej uczynić—mówił dalej wikary—lecz pozostają dzieci.

Nowy przestрах ogarnął Gilberta. Raul powiedział: *dzieci*, wiedział więc, że Janina miała bliźnięta.

— Dzieci!—powtórzył z udaniem zdziwienia.—

— A tak, gdyż na trzy dni przed tem powiła dwie dziewczynki.

— Cóż się z niemi stało?

— Nie wiem, ale myślałem, że dowiem się od ciebie.

— Odemnie?—zawołał Gilbert zdumiony.—Zkąd ja mogę wiedzieć?

— Rozumiem, że nie wiesz, lecz możesz pomódz mi do odszukania ich.

— A to jakim sposobem?

— Dzieci te nie były zapisane w księdze urodzeń merostwa jedenastego okręgu.

— Czy jest ksiądz pewnym?

— Zupełnie.

— Więc cóż się z nimi stało?—zapytał Gilbert już uspokojony

— Jeden człowiek tylko mógłby o tem objaśnić, mianowicie Duplat, który uratował je z płomieni.

— Zapewne...—Ale czy go ksiądz znajdzie?

— Dlaczego nie miałbym znaleźć?

— Dla bardzo prostej przyczyny. Duplat prawdopodobnie został zabity w obronie barykady, lub wzięty do niewoli i rozstrzelany.

— To prawdopodobne—odrzekł ksiądz—ale przypuszczenie to nie uwalnia mnie od dalszych poszukiwań. Ten Duplat przecież gdzieś mieszkał, i kto wie czy nie powierzył dzieci jakiemu lokatorowi tego samego domu... Przecież nie poszedł na barykadę z dwojgiem niemowląt na rękach!—Jeżeli aresztowano go w mieszkaniu i miał dzieci u siebie, to zabrała je władza. Nie mogę przerwać poszukiwań, dopóki mam ślad, nie pozwala mi na to sumienie... Wszak pan musisz wiedzieć gdzie mieszkał ten Duplat?

Gilbert nie chciał odrzec przecząco, mógł bowiem w wikarym wzbudzić podjrzenie, ale bojąc się również wyznać, że ex-kapitan komuny mieszkał w jednym domu z Janiną, wskazał jego adres dawniejszy, mianowicie ulicę Zieloną nr 149.

Wikary [zapisał go sobie i na tem zakończył rozmowę.

Po kilku minutach Gilbert pożegnał wikarego i wyszedł.

Gdy znalazł się na ulicy i otrząsnął się ze wzruszenia, jakie wywołała w nim rozmowa z księdzem d'Areynes, zastanowił się głęboko nad wszystkim co słyszał i w rezultacie powiedział sobie, że niema powodu lękać się o przeszłość.



Janina Rivat, którą na podstawie słów Duplata uważał za zmarłą, żyła wprawdzie lecz jest obłąkana.

Sam Duplat przebywał w Nowej-Kaledonii, na końcu świata i choćby nawet powrócił, nie przyznałby się do swej zbrodni.

Ale śmierć nie oszczędzi go, jak nie oszczędziła tylu innych komunistów, których akta zgonu codziennie przybywają do Francji.

Wspólnik Duplata nie miał więc powodu do obawy.

Raul d'Areynes nie dowie się nigdy, co stało się z dziećmi obłąkanej Janiny.

Po odejściu Gilberta wikary wezwał Schlossa i rzekł:

Oto masz adres domu, w którym podczas wojny mieszkał Duplat: Ulica Zielona nr 149. Udaj się tam, rozpytaj i staraj się powrócić z wiadomością pomyślną.

W dziesięć minut Rajmund był już pod wskazanym adresem.

Był to dom stary, ponury, od suteryn do poddasz zajęty jedynie przez robotników.

Rajmund wszedł w brudny korytarz, odszukał łóżkę odzwiernej i zapytał:

— Czy mieszka tu pan Serwacy Duplat?

Odzwierna, usyszawszy to nazwisko, jak oparzona zerwała się z krzesła, ujęła się pod boki i zawołała:

— Czy i pan należysz do bandy komunistów? Musisz być jego kolegą, skoro go szukasz! Strzeż się bo przywołam sierżanta i każę cię aresztować! Łajdak ten mieszkał przez trzy miesiące i nie zapłacił ani grosza! Nabrał w moim sklepiku na kredyt, a później chciał nas rozstrzelać, by pozbyć się długów!

Rajmund spokojnie wysłuchał tej gwałtownej odpowiedzi i dopiero gdy odzwierna umilkła na chwilę by nabrać tchu, odrzekł:

Siostry bliźniacki.

— Przychodzę w imieniu księdza wikarego d'Areynes, który prosił mnie, bym zasięgnął wiadomości o Serwaćym Duplat.

— Czemuż nie powiedział pan tego odrazu.

— Nie dałaś mi pani czasu.

— Rzeczywiście, jestem trochę prędka... Więc przychodzisz pan od księdza wikarego?

— Tak, ksiądz pragnie wiedzieć, czy ten Duplat mieszka tu jeszcze.

— Wyrzuciłam go już oddawna.

— Kiedy?

— Jeszcze na miesiąc przed wejściem wojsk wersalskich... w kwietniu.

— Nie wie pani, dokąd się wtedy przeniósł?

— Na ulicę Saint-Maur... ale go pan tam nie znajdziesz.

— Dlaczego?

— Dla tego, że ten dom spalił się, a choć jestem uboga, dałabym franka, gdyby mnie kto zapewnił, że i on się w nim upiekł.

— A od czasu wejścia wojsk wersalskich nie widziała go pani więcej?

— Nie widziałam i to jego szczęście, gdyż byłabym go oddała w ręce policyi.

Rajmund podziękował za objaśnienie i wyszedł.

Idąc, rozmyślał dokąd zwróci się teraz, gdy wtem na rogu nlicy Saint-Maur spostrzegł sklep, w którym dnia poprzedniego uzyskał wiadomość o Janinie Rivat.

Wszedł i zasiadł przy stoliku.

— Czem mogę panu służyć?—zapytał gospodarz podchodząc ku niemu:

— Przyszedłem jeszcze raz prosić pana o objaśnienie.

— I owszem.

— Czy podczas komuny nie znał pan przypadkiem niejakiego Serwacego Duplat?

Kupiec skrzywił się, lecz odrzekł:

— Znałem go, na nieszczęście! Był on kapitanem komuny i zrabował mnie na kilkaset franków.

— Czy nie wie pan, co stało się z nim?

— Nie wiem, lecz przypuszczam, że został rozstrzelany, bo zasłużył na to. Teroryzował całą dzielnicę dopuszczał się nadużyć i dokuczył każdemu.

— Kiedy widział go pan ostatni raz?

— Ostatni raz widziałem go 25-go maja. Pamiętam ten dzień dobrze, gdyż zabrał mi wtedy pięćdziesiąt litrów wina i wydał na nie bon rekwizycyjny, który chowam jako pamiątkę owych pięknych czasów.

— Nie wie pan, czy znał on Janinę Rivat?

— Znał i był jej postrachem.

— Podczas wojny Paweł Rivat, człowiek bardzo porządny, był żołnierzem w kompanii, w której Duplat pełnił obowiązki furyera. Otóż lotr ten dokuczał biednemu Pawłowi przy każdej sposobności.

— Więc pan nie przypuszcza, by pani Rivat powierzyła Duplatowi swe dzieci?

— Nigdy nie uczyniłaby tego!

Rajmund ze smutną miną powrócił do księdza d'Areynes i zdał mu raport o swem niepowodzeniu.

Dobre chęci wikarego rozbiły się o fizyczne niepodobieństwo, mimo to postanowił następnego dnia odwiedzić Janinę Rivat.

\* \* \*

I rzeczywiście następnego dnia już o godzinie dzi-wiątej rano ksiądz d'Areynes wraz z Rajmundem zjawił się w gabinecie dyrektora szpitala.

— Dziękuję księdzu za ten pospiech,—rzekł prze-

łożony zakładu—gdyż wiele zależy mi na stwierdzeniu tożsamości Janiny Rivat.

— Chętnie powiem wszystko, co wiem o niej.

Dyrektor usiadł przy stole dla zapisania słów wikarego.

— Przed ośmiastu miesiącami—zaczął ten ostatni—dawałem ślub Janinie Rivat w kościele św. Ambrożego. Ścisłą datę oraz imiona jej rodziców znajdzie pan w księdze parafialnej. Mąż Janiny zmarł w szpitalu wersalskim przed siedmioma miesiącami.

— Więc ta biedna kobieta jest wdową?

— Wdową.

— Czy zna pan ścisłą datę śmierci jej męża?

— Paweł Rivat umarł 18-go kwietnia.

— Lekarz nasz stwierdził, że Janina Rivat odbyła słabość na kilka dni przed przybyciem do ambulansu.

— Rzeczywiście na trzy dni przedtem miała bliźnięta.

— Co stało się z niemi?

Nie wiadomo; wszystkie poszukiwania nasze okazały się bezskutecznymi.

## LI.

Ksiądz d'Areynes opowiedział dyrektorowi szpitala znane czytelnikom wypadki.

Gdy kończył opowiadanie, do biura wszedł mężczyzna mający około czterdziestu pięciu lat, z odkrytą głową i przepasany białym fartuchem.

Skłonił się księdzu i podał rękę dyrektorowi, który uściskawszy ją z uszanowaniem, rzekł:

— Doktor Perrin, jeden z naszych lekarzy,—ksiądz d'Areynes, pierwszy wikary od św. Ambrożego.

— Kochany dyrektorze—zaczął lekarz, wymie-

niwszy ukłon,—Czy otrzymałeś dzisiejszy mój raport o numerze 17-ym z mej sali?

— Otrzymałem.

— Prosiłem w nim o odesłanie tej biednej kobiety do zakładu okłakanych. Czyniłem wszystko co mogłem i nie mogę dłużej trzymać jej w szpitalu.

— Raport pański przesałem radzie dobroczynności publicznej i oczekuję tylko rozkazu odesłania Janiny Rivat.

— Mówisz pan: Janiny Rivat!—zawołał doktor zdziwiony.—Więc wiadome już jej nazwisko?

— Wczoraj pan Schloss—odrzekł dyrektor, wskazując na Rajmunda—a dzisiaj ksiądz d'Areynes stwierdzili, że chora nr 17-ty jest Janiną Rivat, uratowaną z płonącego domu w nocy 28-go maja.

— Więc ksiądz zna tę nieszczęśliwą kobietę?—zapytał lekarz, zwracając się do wikarego.

— Znam.

— Czy może mi ksiądz opowie 'zieć wszystko, co mu wiadome o niej?

— Owszem.

Wikary powtórzył szczegóły opowiedziane przed chwilą dyrektorowi.

Lekarz po wysłuchaniu za proponował księdzu by udał się z nim do chorej, w celu ożywienia w niej pamięci i wywołania wspomnień.

Wszyscy czterej udali się do sali, w której pomieszczona była chora nr 17.

Janina ze złożonemi rękami i oczyma utkwionemi w przestrzeni siedziała na łóżku.

Ksiądz, spostrzegłszy jej twarz zbiedzoną, nie mógł powstrzymać się od okrzyku litości.

— Cóż, poznaje ją ksiądz?—zapytał dyrektor.

— Poznaje. Schloss nie omylił się, to Janina Rivat.

— Niech ksiądz powie jej swoje nazwisko, wspomni o przeszłości i stara się obudzić w niej pamięć.

Wikary podszedł do łóżka i rzekł łagodnym głosem:

— Janino...

Chora bezwiednie podniosła głowę.

— Janino—powtórzył ksiądz głośniejszym głosem.

Jakieś światło błysnęło w błędnych oczach chorej, otworzyły się usta i dreszcz przebiegł po ciele.

— Niech ksiądz do niej mówi! Niech ksiądz mówi!—rzekł lekarz.

— Janino—odezwał się znowu wikary—czy poznajesz mnie? Jestem ksiądz d'Areynes, wikary od św. Ambrożego. To ja połączyłem cię związkiem małżeńskim z Pawłem Rivat.

Głęboka fałda zarysowała się między brwiami obłąkanej, usta poruszyły się, jak gdyby pragnęły wypowiedzieć myśl jakąś, lecz nie wydały dźwięku.

— Paweł Rivat!—mówił dalej Raul.—Przypomnij sobie... był żołnierzem podczas wojny... walczył z Niemcami... Długo czekałaś na niego, lecz nie powrócił.

Janina wyciągnęła rękę, pochwyciła dłoń księdza ścisnęła ją nerwowo i następnie głosem głuchym szepnęła:

— Paweł... Paweł Rivat...

— Niech ksiądz mówi—niech wywołuje najkrwawsze wspomnienia, chociażby nawet paroksyzm miał się objawić... będzie on dla niej zbawiennym, gdyż obudzi duszę.

-- Paweł nie żyje—mówił ksiądz—słyszysz Janino? Paweł umarł!

Janina drgnęła, wypuściła rękę wikarego i opadła na poduszkę.

— Paweł nie żyje—byłem przy jego skonaniu i przysiągłem opiekować się tobą i twojami dziećmi.

Dopiero po tych słowach Janina utraciła dotych-

czasową bezwładność. Ogarnął ją jakiś niepokój, czoło pokryło się zmarszczkami, oczy w orbitach poruszyły się, krople potu wystąpiły na skronie.

Widocznem było, że straszna praca odbywała się w jej przyćmionym mózgu.

Doktor Perrin widząc ten wysiłek, nachylił się nad chorą i tonem rozkazującym zawołał:

— Przypomnij sobie! Czy pamiętasz swe dzieci, dwie małe dziewczynki... bliźnięta... uspięne w kołysce objętej płomieniami.

Janina podniosła ręce do gardła i krzyknęła głosem chrapliwym.

— Przypomnij sobie!—powtórzył Perrin z okrucieństwem chirurga, uzbrojonego w skalpel lub sondę i nie myślącego o cierpieniu pacyenta, byle tylko ocalić go.— Dzieci twoje może żyją... należy odszukać je...

— Potrzeba odszukać Serwacego Duplata, który je porwał—dodał ksiądz d'Areynes.

Janina, usłyszawszy nazwisko Serwacego Duplata jęknęła żałośnie.

— Duplat!—zawołała głosem chrapliwym i z dziwnym wyrazem oczu—jest mordercą! On zabił Pawła... zabił moje córki!

Jednocześnie nerwowy paroksyzm konwulsyjnie wstrząsnął jej ciałem.

Przyglądający się ze ściśniętym sercem świadkowie tej sceny rzucili się z pomocą lekarzowi, nie mogącemu powstrzymać gwałtownych rzutów chorej.

Po kilku minutach paroksyzm zmniejszył się, w końcu ustał zupełnie.

— Co pan z tego wnosi?—zapytał ksiądz lekarza.

— Wnoszę, że wyleczenie jej jest możliwe.

— Więc zacznij pan ją leczyć?

— Nie. Należy powierzyć ją specjaliście... on

miałby więcej szans powodzenia. Dołączę do mego raportu szczegółowy protokół moich usiłowań i gorąco pańską protegowaną zalecę chirurgowi, któremu będzie powierzona.

— Czy nie uważa pan, że może lepiej byłoby ulokować ją w zakładzie prywatnym? Byłaby otoczona większą troskliwością...

## LII.

Doktor przecząco potrząsnął głową.

— Poniosę wszelkie koszta jej kuracyi—dodał wikary.

— Niech ksiądz nie nalega—odrzekł lekarz—gdyż byłoby to ze szkodą chorej. Nie ufam prywatnym domom zdrowia i mam do tego powody ważne. Janina Rivat może wyzdrowieć, ale tylko w zakładzie rządowym, pod nadzorem rady dobroczynności publicznej i kierunkiem najznakomitszych specjalistów.

— Dobrze—rzekł wikary—pragnąłbym tylko wiedzieć nazwę przytułku, w którym będzie pomieszczoną.

— Zawiadomię księdza o tem.

Wikary opuścił szpital, pozostawiwszy dyrektorowi pięćset franków dla rekonwalescentów, wychodzących z zakładu bez środków do życia.

W kilka dni po tej wizycie ksiądz d'Areynes otrzymał od dyrektora szpitala list z zawiadomieniem, że Janina Rivat pomieszczoną została w zakładzie dla obłąkanych w Blois.

Rozstaniemy się teraz z księdzem d'Areynes i powrócimy do wypadków nieco dawniejszych.

Tego dnia, w którym agenci Duclot i Boulard ujeli Serwacego Duplata, Palmira, jak wiemy, udała się rano do roboty.

W południe wyszła z zakładu do domu, po dro-



dze zaopatrzyła się w żywność dla swego gościa i gdy podeszła do drzwi, wyjęła z kieszeni klucz by je otworzyć.

Ale nie mogła tego uczynić, gdyż w dziurce zamku znajdował się klucz którym Duplat otwierał drzwi agentom.

— Pewnie ulicznicy włożyli kamyk—mruknęła ze złością.—Ach gdybym złapała którego, wydarłabym za uszy...

Wzywać Serwacego głosem wydało się jej nieostrożnością, jednak, nie mając innego sposobu, musiała zdecydować się na to.

Miała już zawołać, gdy w tem, położywszy rękę na klamce i nacisnąwszy ją nieco, spostrzegła, że drzwi otwierają się same.

Zbladła, zobaczywszy w zamku klucz pozostawiony Serwacemu i pośpiesznie podbiegła do mieszkania.

Drzwi domu otworzone były na rozciernie.

— Serwacy!—Serwacy!—gdzie ty jesteś?—wołała przestraszona.

W domku panowała cisza.

— Ach, lotr! Oszukał mnie i uciekł sam!..

Ale podejrzenie to trwało tylko krótką chwilę, gdyż natychmiast pomyślała:

— Może go ujeli...

Powróciła do furtki w palisadzie i przyjrząwszy się ziemi, spostrzegła odciski kilku nóg różnej wielkości i ślady walki.

— Tak jest... ujeli go! Musieli go przywołać, zmyślili jaką bajkę a on głupiec otworzył im furtkę i wpuścił do ogrodu.

Palmira, jak widzimy, odgadła prawdę.

Ze ściśniętym sercem i nie bez obawy za udzielenie schronienia komuniście weszła do mieszkania,

Siostry bliźniaczki.

ledwie dotknęła posiłku i o zwykłej porze powróciła do roboty.

Przez cały tydzień była w śmiertelnej trwodze o bezpieczeństwo własne, mimo to, znajdując się w obecności towarzyszek, udawała zwykłą wesołość.

Gdy i w ciągu drugiego tygodnia nie zaszło nic szczególnego, uspokoila się i rzekła sobie:

— Tem gorzej dla niego! Uczyniłam wszystko co mogłam! Nie moja będzie wina, jeśli go wysła, lub rozstrzelają! Po co przystawał do tej bandy łotrów i podpalaczy?

Jakiś czas miała nadzieję otrzymania listu, ale Duplat nie pisał.

Zanadto zajęty był ocaleniem swej szanownej osoby, by zaprzętać sobie głowę Palmirą.

Dopiero gdy znalazł się na parostatku, unoszącym go do Nowej-Kaledonii, uczuł niejaki wyrzut sumienia, ale niewielki.

— Cóż ja jej napiszę?—myślał.—Ażeby nie zapomniała o mnie? Romansel... Gdy powrócę, będzie już starą i zużytą jak miotła stróża ulicznego. Niema co o niej myśleć... skończona historia...

I rzeczywiście, obraz Palmiry powoli zatarł się w jego pamięci.

Uwożąca Duplata fregata *Danaé* opuściła Belle-Isle d. 1-go lipca i przybyła do Numeś d. 27-go października, więc po stu dwudziestu dziewięciu dniach żeglugi. W drodze zatrzymywała się tylko dwa razy: u Las-Palmas, jednej z wysp Kanaryjskich, przez pół dnia i drugi raz u wyspy św. Katarzyny w pobliżu wybrzeża Brazylii, w celu zabrania bydła na pokarm dla więźniów.

Nowa-Kaledonia, położona na Oceanie Spokojnym na wschód od lądu australskiego, ma długości sto sześćdziesiąt i szerokości pięćdziesiąt kilometrów.

Po zarzuceniu kotwicy w porcie natychmiast w sadzono więźniów na ląd, lecz przy odczytywaniu nazwisk z listy okazało się, iż wielu z nich zmarło podczas podróży.

Gubernator wygłosił przemowę, której treść da się zawrzeć w słowach następujących:

— Od waszego zachowania się zależeć będzie postępowanie rządu. Wszelkie usiłowanie buntu lub ucieczki karane będzie surowo.

Przybyłych do Numei dwustu ośmdziesięciu więźniów rozdzielono na dwie partye, z których jedną wysłano na półwysep Ducos, drugą, zatrzymano na miejscu, w celu wyprawienia jej później na wyspę Sosnową.

Do partyi pierwszej, złożonej z członków komuny i komitetu centralnego, oraz oficerów sztabu i osób wpływowych, zaliczony został i Serwacy Duplat.

Partya druga składała się z awanturników podrzędnych.

Pierwsze chwile wygnania były dla Duplata bardzo ciężkie.

Nie posiadając żadnego fachu, nie mógł, jak inni towarzysze jego, znaleźć zajęcia korzystnego.

Przez dwa miesiące służył u pewnego dystylatora, gdzie powierzono mu płukanie butelek, następnie przyjął służbę u kupca, u którego oprócz mieszkania i życia pobierał trzydzieści franków na miesiąc.

Miał nadzieję, iż tak przebieduje jakoś aż do amnestyi, która w przekonaniu wygnańców miała być niedługo ogłoszona.

Ale ucieczka kilku głośniejszych komunistów pogorszyła sytuację pozostałych.

Gubernator otrzymał dymisyę, a jego następcą zaczął stosować przepisy z największą surowością.

Przebywający w Numei wygnańcy wysłani zostali na miejsce przeznaczenia, jedni a wraz z nimi i Duplat na półwysep Ducos, drudzy na wyspę Sosnową.

Byłemu kapitanowi komuny udało się po kilku miesiącach znaleźć zajęcie w składzie win.

Tak upłynęło siedm lat w tęsknocie i wyczekiwaniu amnestyi.

Jednostajność tę przerwało dopiero powstanie krajowców w 1887 r.

Gubernator, nie posiadając dostatecznych sił zbrojnych do utrzymania ich w posłuszeństwie, zmuszony był uciec się do pomocy wygnańców, którzy w nadziei uzyskania przebaczenia i pozwolenia powrotu do Francyi, ofiarowali rządowi swe usługi.

Rzecz prosta, że Serwacy Duplat był pierwszym na liście ochotników.

Walczył więc z powstańcami, on, sam powstaniec i o wiele winniejszy, gdyż rozlewał krew własnych braci!

Po uśmierzeniu powstania spotkał wygnańców zawód, gdyż amnestya, na którą liczyli, nie była im udzieloną, zaś Serwacy Duplat zarobił na niem dziesięć lat ciężkich robót i z wygnańca politycznego stał się najzwyczajniejszym więźniem kryminalnym.

O to w kilku słowach powód tej degradacyi.

Powstanie z największą furją objawiło się w północnej części wyspy, gdzie ciągly zabór ziemi i napływ kolonistów poszukujących niklu i pokładów złotonosnych, skłonił krajowców do oporu zbrojnego.

Dla zabezpieczenia zagrożonych kolonij wysłano oddział piechoty i wygnańców uzbrojonych.

Nastąpił szereg walk drobnych, ale dzikich i trasznych.

Zaraz na początku powstania kilku żołnierzy z podficcerem na czole, wysłanych do plemienia Oebeas

dla najęcia przewodników, zostało zamordowanych i zjedzonych, a w tydzień później dwudziestu ludzi pod dowództwem podporucznika, otoczonych przez kilkuset kanaków, zginęło w płomieniach podpalonej osady.

Powodem zemsty krajowców miało być podobno postępowanie przedsiębiorcy, niejakiego Piotra Delphisa: który ciesząc się protekcją gubernatora wojennego i dyrektora kolonii poprawczej, zabierał krajwcom ziemie, obfitujące w cenne minerały.

Dzięki niestrudzonej pracowitości, dorobił się on w krótkim czasie wielkiego majątku i wraz z żoną i dwiema zrodzonymi na wyspie córkami od 1860 roku mieszkał w kolonii Outbache.

Obszerny i fundamentalnie zbudowany dom jego otoczony mocnymi palisadami, położony był obok płukalni złota.

Liczba robotników kopalni, składająca się z ludzi najętych i wygnańców, była znaczną, wszelako niedostateczną do skutecznego stawienia oporu zrewoltowanemu krajowcom.

Wyprawiony na żądanie Delphisa oddział wojska w którym znajdował się i Serwacy Duplat, pobity po za Outbache, zmuszony był cofnąć się do kolonii i wyczekiwać posiłków, by wznowić walkę z powstańcami.

Rozstawiono strażę wokoło domu, w którym oprócz mieszkania właściciela mieściły się składy niklu i złota, przygotowanego do wysłania do Nancy, gdzie znajdowały się magazyny centralne kruszców, nadsyłanych ze wszystkich okolic Nowej-Kaledonii.

Przed i za palisadą rozstawiono łańcuch straży czuwających bezustannie.

Duplat miał wyznaczone sobie stanowisko podczas nocy u drzwi pawilonu, w którym przechowywane było złoto już przepłukane.

Wiedział on, nad jakimi skarbami polecono mu czuwać, gdyż rozstawiając straż w dzień, był świadkiem, jak robotnicy w obecności właściciela kopalni, wnosząc baryłki ze złotem, upuścili jedną.

Jedna klepka baryłki pękła i przez otworzoną szparę trochę drogocennego proszku wysypało się na ziemię.

Zebrano go starannie, pękniętą zaś baryłkę postawiono na uboczu, w celu naprawienia w czasie swobodniejszym.

— Gdybym miał kilka garści tego proszku—pomyślał—nie wegetował bym tak marnie w Nowej-Kaledonii! W Numei albo i na półwyspie łatwobym wymienił go na luidory.

Były kapitan komuny nigdy nie krępował się skrupułami i nie umiał opierać się pokusie.

Zamknięto drzwi, ale Duplat miał czas przyjrzeć się budowli. Jedno tylko okno i do tego bez kraty przepuszczało światło do wnętrza magazynu.

Następnego dnia o godzinie dziesiątej wieczorem wyznaczono Duplatowi to samo stanowisko.

Ogarnęła go pokusa jeszcze gwałtowniejsza.

Dość nacierpiał się biedy przez czas pobytu w kolonii, nieraz cierpiał głód i żałował tych szczęśliwych czasów, gdy będąc kapitanem komuny, dość mu było podpisać bon rekwizycyjny, by mieć wszystkiego wbród bez sięgania do kieszeni.

Duplat, jako człowiek przezorny, zasięgnął naprzód wiadomości o oddziale, mającym w nocy strzedz pawilonu i dowiedział się, że składał się on z żołnierzy utrudzonych, osłabionych wysoką temperaturą, do której nie byli przyzwyczajeni i zazwyczaj drzemających w pozycji stojącej, oparłszy się na karabinie.

Nadto byli to zaciągnięci do szeregów krymina-

liści, nie dbający o służbę i deportowani, zabijający czas gawędką o ostatnich walkach komuny.

Wogóle był to żywioł jak najgorszy, nie dający najmniejszej gwarancji bezpieczeństwa kolonii.

Noc była gorąca i ciemna, na czarnem jak atrament niebie ani jedna chmurka nie pokazała się od samego wieczora.

Zdala tylko błyskawice przerzynały horyzont, słychać było ryk fal morskich rozbijających się o rafy koralowe i świst gwałtownego wiatru.

Był to sezon burz i deszczów ulewnych.

Grube krople wody zaczynały padać na ziemię, zmuszając sztyldwachów do szukania kryjówki przed nadchodzącą nawałnicą.

Jeden tylko Duplat czuwał sumiennie, to jest wyteżał słuch na każdy szelest i wyczekiwał chwili odpowiedniej do spełnienia obmyślanego planu.

Wreszcie podszedł do okna pawilonu.

Wiemy, iż było ono niezakratowane, ale należało stłuc szybę.

Duplat przeczekał chwilę, poczem korzystając z największego huku burzy, rozbił szkło, włożył rękę w otwór, odsunął zasówkę, następnie po karabinie opartym o ścianę wdarł się przez okno do magazynu.

Dostawszy się do wnętrza, omackiem wzdłuż ściany doszedł do miejsca, w którym robotnicy złożyli pękniętą baryłkę.

Uchylił złamaną klepkę i czerpiąc garściami złoto, wypełnił niem kieszenie.

Uradowany tak łatwym powodzeniem, zabierał się już do odwrotu, gdy wtem tuż za nim rozległ się donośny krzyk:

— Złodziej!

Schwytany na gorącym uczynku, pochwyił przygotowały naprzód nóż i rzucił się do okna.

Ale zarówno ucieczka jak i obrona była już niemożliwą, odwróciwszy się bowiem spostrzegł żołnierza z latarnią i podoficera z wymierzonym ku sobie rewolwerem.

— Mógłbym cię zabić—zawołał podoficer—i miałbym prawo, lecz niech sąd rozprawi się z tobą. Wychodź łotrze tą samą drogą, jaką wszedłeś.

Duplat przekroczył okno i ciężko osunął się na ziemię.

— Ty, przestępca polityczny!—mówił podoficer z pogardą.—Ty! wygnaniec, coś urągał pospolitym zbrodniarzom, a jesteś podlejszym od nich, bo kradniesz to, co obowiązany byłeś pilnować! Ruszaj do posterunku.

Sierżant zamknął okno, postawił przy nim nowego szyjdwacha i z rewolwerem, wymierzonym w głowę Duplata, odprowadził go do dowódcy oddziału.

### LIII.

Duplat, zazwyczaj pokorny, gdy czuł się słabszym, ukląkł przed oficerem i prosił o przebaczenie, ale ten, nie rzekłszy mu ani słowa, kazał go uwieźć i następnego dnia pod strażą żandarmów odesłał do Numei.

Po upływie miesiąca sąd wojenny skazał Duplata na dziesięć lat ciężkich robót, to jest na karę najniższą, według kodeksu wojskowego.

Przestępca polityczny Serwacy Duplat spadł do sfery pospolitych przestępców kryminalnych i wysłany został na wyspę Nau, do robót przy budowie szosy.

W trzy lata później w roku 1881-ym telegraf przyniósł tak długo i z takim upragnieniem oczekiwaną wiadomość o ogłoszeniu amnestyi zesłanym komunistom.



Wtedy dopiero Duplat zrozumiał cały ogrom swej głupoty.

Gdyby był oparł się pokusie, opuściłby wraz z innymi wyspę i powróciłby do Paryża, gdzie mógłby się pysznić wobec gruzów nie odbudowanych jeszcze domów.

Tymczasem musiał pozostać w Nowej-Kaledonii aż do ukończenia długich, okrągłych dziesięciu lat robót przymusowych.

Owładnięty wtedy gorączką odzyskania wolności, zaczął rozmyślać o ucieczce, ale pozbawiony środków pieniężnych, co mógł uczynić?

Z rezygnacją podał się losowi i oczekiwał już tylko cudu.

W trzy lata po ogłoszeniu amnestyi opuścił nareszcie wyspę Nou.

Przez sześć lat od skazania go do robót starał się być wzorem uległości i dzięki takiemu postępowaniu uzyskał pewne ulgi w swem położeniu.

Po przeniesieniu do Numei użyty został przez inżynierję wojskową do robót w porcie, jako nadzorca nad partją robotników i powierzone mu obowiązki spełniał sumiennie.

Nie potrzeujemy dodawać, że smutny nasz bohater przez trzynaście lat pobytu w kolonii zestarzał się wielce.

Głębokie zmarszczki zarysowały się na jego czole i policzkach, włosy zbielały, silny dawniej organizm zeszczupełiał i zwiadł.

Duplat zaczął tracić nadzieję.

W r. 1888-ym t. j. w epoce swego wyzwolenia, miał by wprawdzie dopiero czterdzieści osiem lat, ale ciężka praca i nędza zużyły go tak dalece, iż życie zaczęło dlań tracić urok.

Słostry bliźniaczki.

— Kto wie, czy nie lepiej—myślał z goryczą— umrzeć w Kaledonii, niż wracać do Francji. Co ja tam będę robił? Rozciągną nademną nadzór policyjny i na mieszkanie wyznaczą miejsce, gdzie nie znając nikogo, nie znajdę nawet pracy. Mam wprawdzie pieniądze zakopane w ogrodzie Palmiry, ale ażeby je dostać potrzeba uciec z wyznaczonego mi miejsca zamieszkania i nadzoru policyjnego.

A chociażbym je i odnalazł, to czternaście tysięcy franków wystarczą nie na długo; bo upomnieć się u Gilberta Rollina o sto pięćdziesiąt tysięcy franków nie wiem czy byłoby bezpiecznie. Zresztą, kto mi zaręczy, że pieniądze te są dotychczas na miejscu, czy nawet domek Palmiry istnieje? Mogli go zburzyć i wystawić na tem miejscu kamienicę, a w takim razie majątek mój, mogący zapewnić mi byt wygodny, nazawsze pozostanie pod ziemią.

Duplat czynił sobie na przemiany te niewesołe uwagi, lub wściekał się na Merlina, w którym upatrywał sprawcę swej niedoli.

— Ach! gdybym go zastał jeszcze przy życiu. Niema cierpienia któregobym mu nie zadał! Z lichwą zapłaciłby mi za moją nędzę!

I po chwilowem oburzeniu wpadł znowu w rozpacz i zniechęcenie.

Do wyznaczonego wyrokiem terminu robót pozostawało mu już tylko trzynaście miesięcy.

Niewiele brakło, by śmierć uwolniła go i od tej reszty kary.

Rusztowanie, wzniesione przy latarni morskiej w celu naprawienia jej, runęło i przywaliło go deskami.

Dającego słabe oznaki życia, z rozbitą głową i złamaną ręką odniesionego do szpitala w Numei i oddano pod opiekę sióstr miłosierdzia i infirmerów prze-

stępców kryminalnych, których kara nie przenosiła pięciu lat wygnania.

Rana była poważną i chirurg przebąkiwał o amputacji ręki, ale niechcąc narazić Duplata na kalectwo, wstrzymał się z operacją, zaleciwszy tymczasem troskliwość nad rannym.

Klimat Nowej-Kaledonii jest zdrowym i gorączki epidemiczne zdarzają się tam rzadko, ale wysoka temperatura utrudnia wielce leczenie ran.

Duplat wiedział o tem i gdy odzyskał przytomność, oraz możność myślenia, doszedł do wniosku, że jest zgubionym i wpadł w rozpacz.

Dozorująca go siostra Łucya usiłowała uspokoić go, tłumaczyła mu, że lękał się niepotrzebnie, gdyż stan jego nie jest tak groźny i zdołała natchnąć go nadzieją.

Pomiędzy infirmerami, dodanymi siostrze Łucyi do pomocy, znajdował się przystojny dwudziesto-trzyletni chłopak, niejaki Gaston Duprety.

Skazany za fałszerstwo na pięć lat ciężkich robót, miał w aktach swych notę, zalecającą go względności dyrektora kolonii poprawczej. Z tego powodu pomieszczono go w służbie sanitarnej, przeznaczonej zazwyczaj dla przestępców zasługujących swem postępowaniem na względy administracyi.

Pochodząc z rodziny ucziwej, osiadłej w departamencie Sekwany i Marny, gdzie ojciec jego, dymisyonowany kapitan jazdy, żył ze szczupłej emerytury, Gaston Duprety tylko dzięki wpływowi uzyskał w wyroku okoliczności łagodzące i skazany został na najmniejszą karę pięciu lat robót.

Ale osoby bliżej znające Gastona wiedziały, że nie zasługiwał on na to pobłażanie sądu.

Ukończył studia prawne w Paryżu, lecz jednocześnie uległ gorączce życia wielkiego miasta, tak nie-

ezpięć j dla charakterów słabych, gotowych do  
stępstw w rozrachunku z sumieniem.

Uzyskawszy stopień licencyata, powrócił do ro-  
zinnego miasta i zaczął pracować przy adwokacie,  
rzyjacielu swego ojca.

Obdarzony inteligencją wyjątkową i ogromną  
łolnością, sumiennie spełniał dzienną pracę swoją, ale  
większą część nocy spędzał na uciechach, nie odpowia-  
ających jego szczupłym dochodom.

Nie mając szczęścia w grze, lecz wielkie powodze-  
e u kobiet z półświatka, nie zawahał się dla zaspo-  
ojenia namiętności dopuścić się kilku fałszerstw na  
my dość znaczne.

Osobiście nie zasługiwał więc wcale na współ-  
ucie, ale osoby wpływowe, przyjaciele ojca, pragnąc  
zczędzić wstydu szanowanemu powszechnie staremu  
ojakowi, czynili wszystko, by złagodzić los syna, co  
dało im się tylko w połowie.

Po ogłoszeniu wyroku kapitan wyrzekł się syna,  
matka umarła z rozpaczy.

Gaston Duprety nie odczuł najmniejszego wyrzu-  
sumienia, chyba ten tylko, że działał niezręcznie  
dał się ująć.

— Pięć lat wygnania—mówił sobie cynicznie—  
dzie kuracją dla mego zdrowia mocno nadszarpnię-  
go nocną grą w karty i zabawą z kobietami. W chwi-  
uwolnienia będę miał dwadzieścia osiem lat... Ależ  
wiosna życia! Odbiję sobie za te lata wstrzemięźli-  
ości, a mając już doświadczenie, nie dam się złapać  
raz drugi!...

Postanowił osiąść w Paryżu, a chociaż nie posia-  
ł środków żadnych, był jednak o nie spokojnym, nie  
próżno bowiem prawie cztery lata przebywał pomię-  
y zbrodniarzami i z opowiadań ich czerpał dla sie-  
naukę.

— Społeczeństwo, mówił sobie, składa się z wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Tylko głupcy i bogaci są wyzyskiwanymi, a ponieważ nie jestem ani pierwszym ani drugim, więc będę wyzyskiwał.

Od takiego osobnika można spodziewać się wszystkiego i wszystkiego obawiać się.

Ze zdumiewającą jednak hypokryzyą ukrywał tę usposobienia, był najuleglejším ze wszystkich infirmarów i dawał dowody bezgranicznej łagodności i współczucia dla powierzonych mu chorych.

#### LIV.

Naczelny chirurg szpitalny, oceniając przymiot młodego infirmiera, powierzył mu nadzór nad Duplatem, którego rana pod względem naukowym zajmowała go wielce.

Ex-kapitan komuny widział jego niezmierną troskliwość o siebie i nie miał dość słów na wyrażenie mu swej wdzięczności.

— To tyś ocalił mnie—mówił, ściskając ręce infirmiera.—Nie zapomnę ci tego.

Duprety odpowiedział uściskiem ręki, lecz domyślał:

Wynagrodzisz mi to „mimo twej woli“. Na tym świecie nic darmo! to moja dewiza!..

Podkreślone przez nas trzy wyrazy „mimo twej woli“, miały znaczenie tajemnicze.

Duprety pamiętał wszystkie fazy gorączki, przez które przechodził Duplat podczas pierwszych dni pobytu w szpitalu.

Były komunista bredził w malignie, a Duprety siedząc u jego łóżka, starannie notował w pamięci każde jego słowo.

— Champigny—mówił ranny—ulica Bretigny..

dom Palmiry... pod drzewem orzechowem... cały mój majątek w butelce... Czternaście tysięcy franków biletami bankowymi... Sto pięćdziesiąt tysięcy franków w weksłach Gilberta Rollina... Musi wypłacić mi je gdy będę wolnym... a jeżeli odmówi, zagrozę mu wyjawieniem wszystkiego... sekretu, dotyczącego piwnicy przy ulicy Servan... Musi zapłacić!...

Uspakajał się i znowu gdy gorączka wracała, szeptał:

— Champigny... ulica Bretigny... nr 9... dom Palmiry... Czternaście tysięcy franków w ziemi... Zabiję Merlina... zgubił mnie lotr... zadenuncyował...

Gdyby Duprety jeden raz tylko słyszał te zdania urywane, może niezwróciłby na nie uwagi, w przypuszczeniu, iż wyrażają one wizje wyobraźni rozgorączkowanej, ale Duplat powtarzał je nieustannie i prawie w jednej i tej samej formie.

Były pisarz adwokata wywnioskował z tego, że w przeszłości komunista tkwi jakaś tajemnica, z której należy skorzystać.

Nazwiska: Gilbert Rollin, Champigny, Palmira... wyrazy: czternaście tysięcy, sto pięćdziesiąt tysięcy franków... piwnica przy ulicy Servan—były dla niego zagadką, której na razie nie mógł rozwiązać, niemniej jednak doszedł do przekonania, że Duplat zakopał butelkę z pieniędzmi pod drzewem orzechowem w ogrodzie domu Palmiry przy ulicy Bretigny pod nr 9 w Champigny.

Była to dostateczna wskazówka dla niego.

Postanowił skorzystać z niej po powrocie do Francji.

Oto dla czego gdy Duplat oświadczył: „Nie zapomnę ci tego“. Duprety pomyślał: „Wynagrodzisz mi mimo twej woli!“

Ex-kapitan komuny przeleżał w szpitalu całe pięć

miesiący, po czem do czasu zupełnego wyzdrowienia wysłany został na wieś do pewnego kolonisty rolnika, który zażądał od administracyi człowieka do prowadzenia ksiąg gospodarczych.

Duprety miał już gotowy plan na przyszłość.

Postanowił mianowicie opuścić jak najprędzej, po powrocie do Francyi, wyznaczone mu miejsce nadzoru policyjnego i osiaść w Paryżu, gdzie łatwiej niż w mieście małym, ukrywać się przed okiem policyi, zwłaszcza pod nazwiskiem przybranem.

Ale znaleźć takie nazwisko, czyste, zabezpieczające od wszelkich przypuszczeń, było rzeczą niełatwą.

Duprety oddawna poszukiwał go napróżno, gdy wtem wypadek przyszedł mu z pomocą.

Do portu numeiskiego przybyła fregata Le Var i wysadziła na brzeg około stu kolonistów dobrowolnych i przestępców.

Żegluga była wyjątkowo trudną, wielu pasażerów po wysadzeniu ich na ląd, odstawiono natychmiast do szpitala.

Pomiędzy nimi znajdował się młody człowiek, któremu strzaskany podczas burzy maszt rozbił czaszkę.

Pomieszczono go na tem samym łóżku, które zajmował przedtem Serwacy Duplat.

Gaston Duprety otrzymał polecenie rozebrania go i udzielenia pierwszej pomocy.

Wraz z chorymi przysłano do szpitala ich papiery, ale zawierały one tylko wskazówki podane przez nich samych przy wsiadaniu na statek, a więc imię i nazwisko, gdyż pasażerowie wolni, nie byli obowiązani do podawania bliższych szczegółów, dopiero po wyjściu na ląd składali gubernatorowi paszporty lub inne dowody, stwierdzające ich osobistość.

Duprety, zabierając ubranie i rzeczy rannego, nie zapomniał zrewidować kieszeni, by znalezione w nich

rzeczy wartościowe złożyć wraz z deklaracją w kancelaryi szpitalnej.

Znalazł w nich zegarek złoty z łańcuszkiem, portmonetkę zawierającą około pięciuset franków, wypchany papierami pugilares i jakiś złożony w czworo papier z pieczęcią urzędową.

Rozwinął go i przeczytał:

„Rzeczpospolita Francuzka“.

My, prefekt departamentu Indry i Loary, prosimy władze cywilne i wojskowe o ułatwienie wolnego przejazdu p. wicehrabiemu Jerzemu de Grancey z bronią myśliwską przez terytorya, na których ma prawo polować, z zobowiązaniem go do stosowania się do praw i przepisów policyjnych dotyczących polowania i posiadania broni.“

„Okaziciel niniejszego obowiązany jest na każde zażądanie merów, żandarmów, stróżów polowych i wszelkich przedstawicieli władzy okazać pozwolenie na prawo posiadania broni.

Tours, d. 28 sierpnia 1886 r.“

W rubryce obok marginesu znajdował się rysunek wice-hrabiego:

Wiek—28 lat.

Wzrost—jeden metr wzeszcziesiat pięć cent.

Włosy—ciemne.

Czoło—wysokie.

Brwi—ciemne.

Oczy—czarne.

Nos—prosty.

Usta—średnie.

Podbródek—okrągły

Twarz—podłużna.

Cera—brunatna.

Znaki szczególne—niema

Duprety czytając ten dokumen. uśmiechnął się z zadowolenia.



Wszystkie te cechy prawie w zupełności odpowiadały rysopisowi jego.

Schował dokument wraz z pugilaresem do swej kieszeni w zamiarze przejrzenia pozostałych papierów w czasie swobodniejszym.

Gdy po ukończeniu zajęcia otworzył go, znalazł akt urodzenia Jerzego de Grancey, dwa akty zgonu: Karola Pawła wice-hrabiego de Grancey i Maryi Heleny de Grancey z domu Bonnerile, różne notatki i kilka nieznaczących listów.

Ukrył to wszystko w miejscu bezpiecznem.

Następnego dnia Jerzy Grancey zmarł, nieodzykawszy przytomności i po dwudziestu-czterech godzinach pochowany został na cmentarzu numejskim.

Do aktu zgonu jego wpisano tylko imię i nazwisko, więcej bowiem szczegółów władza nie posiadała.

Po upływie miesiąca Duprety wezwany został do dyrektora kolonii poprawczej.

— Jesteś pan wolny—oświadczone mu.—Czy pragniesz pozostać w kolonii?

— Nie—odrzekł—chcę powrócić do Francji.

— Będziesz pan przez dwadzieścia lat pozostał pod nadzorem policyi.

— Wiem o tem.

— Wyznaczą panu miejsce zamieszkania, ale będziesz miał prawo wybrać jedno z miast, przeznaczonych dla uwolnionych przestępców.

— Czy mogę wybrać Tours?

— Możesz pan.

— Więc niech pan dyrektor każe wydać mi paszport do Tours. Mam tam krewnych... u nich osiądę.

— Jutro rano otrzymasz pan swój zarobek i paszport, który po przybyciu do Brestu obowiązany jesteś zawizować w prefekturze policyi. Odjedziesz za trzy dni na parowcu Loire.

Suma, zapracowana przez Gastona przez czas pobytu w kolonii, wynosiła sześćset siedmdziesiąt dziewięć franków.

Następnego dnia Duprety po otrzymaniu pieniędzy i paszportu, zrzucił ubranie więzienne, przebrał się w elegancki garnitur, kupiony w jednym z magazynów numejskich, a w trzy dni opuścił Nową-Kaledonię.

## LV.

Przez lat siedmnaście Serwacy Duplat pokutował w ciężkich robotach za swe zbrodnie, i tyleż czasu Janina Rivat, niewinna ofiara fatalizmu, żyła, a raczej wegetowała w zakładzie dla obłąkanych.

Ksiądz d'Areynes nie zapomniał o niej i nawiedzał ją od czasu do czasu, ale po każdej wizycie odchodził z coraz mniejszą nadzieją na jej wyzdrowienie.

Lekarz orzekł, iż obłąkanie Janiny jest nieuleczalnem.

— Janina Rivat—utrzymywali—zgaśnie powoli, nie odzyskawszy przytomności ani na chwilę.

Tak upłynęły lata.

Dwa razy w ciągu tego czasu naczelnii lekarze szpitala, w którym pomieszczoną była Janina, zmieniali się i personel służbowy ulegał niejednokrotnym zmianom.

Pod koniec 1887 roku rada dobroczynności publicznej zamianowała na stanowisko głównego lekarza szpitala d-ra Boroet, cieszącego się już pewnym rozgłosem zdolnego specjalisty w zakresie chorób umysłowych.

Był to człowiek młody, liczący lat trzydzieści pięć, zamiłowany w swym fachu, starannie śledzący postęp nauki i wielce inteligentny.

Objąwszy powierzone mu stanowisko, szczegółowo

przejrzał raporty swych poprzedników, porobił sobie notatki i podczas swych wizyt u chorych drobiazgowo badał ich stan.

Janina Rivat była najstarszą pacjentką zakładu.

Tak długi szereg lat pobytu w szpitalu zdziwił nowego dyrektora.

— Obląkana od siedemnastu lat i jeszcze żyje?— pomyślał.—Szczególny wypadek! Waryaci prawie nigdy nie żyją dłużej nad dziesięć lat... Pierwszy raz zdarza mi się widzieć coś podobnego.

Zadzwoił na służącego i kazał mu poprosić swego pomocnika d-ra Verdier, jednego z najdawniejszych lekarzy zakładu.

— Szanowny kolego—rzekł—naruszę na ten raz porządek szpitalny i zamiast na sali, poproszę pana, byśmy w gabinecie moim zbadali niektórych chorych. Będzie nam tu dogodniej, gdyż mamy pod ręką raporty lekarskie, których trudno zabierać z sobą na salę.

— I owszem.

— Zacznijmy od Janiny Rivat.

— Janina Rivat. Sekcja pierwsza. Uszkodzenie czaszki odłamkiem pocisku. Nieuleczalna.

— Czy jesteś pan pewnym?

— Najpewniejszym. Siedmnaście już lat przebywa w zakładzie, dwa razy robiono jej operację i najznakomitsi lekarze uznali ją za nieuleczalną, Z tego powodu jestem przekonany, że zmiana w jej stanie jest niemożliwą. Ma mózg sparaliżowany...

— Zobaczymy...

Pomocnik uśmiechnął się ironicznie.

Niedowierzanie szefa wydało mu się nonsensem i zarozumiałością.

— Niech pan każe przyprowadzić ją do gabinetu.

Zakład obłąkanych w Blois, niezależny od szpitala ogólnego i pozostający pod wyłącznym zarządem re-

dy dobroczynności publicznej, położony jest za miastem przy drodze wiodącej do Vendôme.

Powierzchność jego jest dla oka przyjemną, wszystkie budynki bowiem są otoczone drzewami i klombami kwiatów, gęsto rozsadzonymi na zielonem tle trawników.

Zakład obejmuje tylko sześćdziesiąt łóżek, mieszczących się w celach pojedynczych, w pokojach oddzielnych i w sypialniach ogólnych.

Sypialnie przeznaczone są wyłącznie dla osób dotkniętych obłąkaniem łagodnem; pokoje zajęte przez chorych wymagających ścisłego stosowania przepisów, w celach zaś mieszczą się waryaci, ulegający napadom gwałtownym.

Obsługa składa się z kobiet i tylko roboty cięższe powierzane są mężczyznom.

Główna infirmerka ma nadzór nad całym personelem kobiecym, liczącym dwadzieścia pięć osób, mianowanym przez radę dobroczynności publicznej i wybieranym z młodych dziewcząt, które w wieku niemowlęcym powierzane są jej opiece, bądź jako podrzutki, bądź jako sieroty pozbawione rodziców i krewnych.

Infirmerka, mająca nadzór nad sypialnią, w której mieściło się łóżko Janiny Rivat, była dziewczyną siedmnastoletnią, wzrostu słusznego i uderzająco piękną.

Nazywano ją tylko Różą, gdyż nazwiska nie miała i jako dziecko znalezione, od niemowlęctwa wychowywała się w przytułku.

Obowiązki infirmerki pełniła dopiero od trzech miesięcy.

Róża kończyła ubierać Janinę, gdy otrzymała rozkaz przyprowadzenia jej do gabinetu głównego ordynatora.

Biedna Janina, jak ona zmieniła się od owej chwili, w której ksiądz d'Areynes, konającą uratował z pło-

ącego domu. Czarne jej niegdyś włosy zbieleły, twarz żółkła jak stara kość słoniowa, w rysach oblicza odmalował się wyraz długoletnich cierpień.

A przecież miała dopiero lat czterdzieści.

Tylko postawa pozostała tą samą, ramiona nie wygięły się, wzrok był błędny, ale nie idiotyczny, zresztą blady, niewyraźny uśmiech rozchyłał niekiedy wargi i ukazywał zawsze piękne zęby.

Często wznosiła ręce i dotykała niemi miejsce na ławie, w którym otrzymała ranę.

Róża od pierwszego dnia przejścia do zakładu czuła dziwny pociąg do Janiny Rivat.

Janina mówiła mało, lecz te kilka wyrazów, jakie zdolna była wypowiedzieć, wywierały na młodej enfermerce wrażenie, którego nie umiała określić. Nie były to nawet wyrazy, lecz dźwięki głosu, który, choć pozbawiony ironii, poruszał ją do głębi duszy i wywołowały bicie serca.

Róża nie zaniebowała innych powierzonych jej obowiązków, piece chorych, ale wyjątkową troskliwością otaczała biedną ofiarę losu od lat siedemnastu.

Z swej strony Janina okazywała bezwiedną, lecz głęboką sympatię dla tego pięknego dziecka, otaczając ją troskliwością rodzonej córki.

Nie spuszczała oczu z Róży, gdy ta siedziała przy niej i była posłuszną na każde jej słowo, na każdy jej gest.

Róża przywykła nazywać ją „mama Janiną“.

Te dwa wyrazy czyniły na biednej obłąkanej wrażenie pieszczoty. Jakiś ogień wtedy błyskał w jej mrocznych oczach, chwytala rękę Róży i niosła ją do swych ust.

Lekarze szpitalni nie umieli wytłómaczyć sobie tej dziwnej sympatii.

Gdy młoda dziewczyna otrzymała rozkaz przypro-  
wadzenia Janiny do gabinetu naczelnego lekarza, ujęła  
jej rękę i rzekła głosem łagodnym.

— Mamo Janino, chodźmy.

Chora powstała i udała się za swą opiekunką.

## LVI.

Doktór Bordel ujął rękę Janiny, podprowadził  
ją do fotelu i posadził na nim.

— Jak się nazywasz?—zapytał.

Janina spojrzała na niego i nic nie odrzekła, jak  
gdyby pytanie to zwrócone było nie do niej.

Doktór spojrzał na swe notatki, poczem zapytał:

— Gdzie są twoje dzieci?

I tym razem twarz chorej pozostała obojętną.

Lekarz zwrócił ją do pełnego światła i długo  
przyglądał się jej oczom.

Podczas tego badania Janina dwa razy podniosła  
ręce i nacisnęła niemi wierzchołek głowy.

Ten gest nienormalny zwrócił uwagę lekarza  
i wydał mu się wskazówką jakiejś myśli, czy cierpienia.

Odszukał ranę, zadaną odłamkiem pocisku przed  
siedmnastu laty, co łatwem było z powodu, iż włosy  
na tem miejscu nie porosły i, dotykając jej palcami,  
uczul wypukłość, wielkości ziarnka grochu.

Janina krzyknęła z bólu.

— Boże mój—szepnęła Róża.

— Cicho, zawołał doktor, którego twarz nagle  
spowaźniała.

— Co doktor dostrzegł? — zapytał pomocnik  
zdziwiony zmianą jego twarzy.

Pan Bordel, zamysłony, rozważający w myśl mo-  
żliwe skutki tego odkrycia, nie słyszał pytania.

Powtórnie nacisnął znalezione wypukłość, lecz silniej.

Tym razem Janina wydała jęk podobny do ryku zwierzęcia zarzynanego i zemdląca.

Pomocnik doktora rzucił się ku niej, by udzielić pomocy, lecz p. Bordel usunął go.

— To nic—rzekł—owszem, niech pozostanie zemdloną, gdyż łatwiej przekonam pana, że domysły moje były uzasadnione i że ta biedna kobieta, obłąkana od lat siedmnastu, mogła być wyleczoną po pierwszej operacji.

— Wyleczoną!—powtórzył pomocnik zdziwiony tak śmiałym twierdzeniem.

— Tak jest, kochany kolego; ale niema co o tem mówić, należy działać.

Zbadał szczegółowo wypukłość na czaszce chorej, poczem zwróciwszy się do Róży zapytał:

— Od jak dawna, moje dziecko—pełnisz obowiązki infirmerki w tym zakładzie?

— Od trzech miesięcy, panie doktorze.

— A jak dawno jesteś przy tej chorej?

— Od samego wejścia do zakładu,

— Czy czeszesz ją codziennie?

— Codziennie, panie doktorze.

— Czy przeciągając grzebieniem, nie zauważyłaś jakiej narośli na ranie?

— Zauważyłam. Mama Janina często kładzie ręce na głowę... Pragnąc zrozumieć powód tego, zaczęłam przyglądać się i odkryłam narośl, o której pan doktor mówi.

— Czy mówiłaś o tem komu?

— Nikomu, gdyż nie przywiązywałam do tego żadnego znaczenia.

— Dobrze—odrzekł dr Bordel, a zwróciwszy się do swego pomocnika, dodał:—Kochany kolego, należy

pomieścić chorą w pokoju oddzielnym i następnie użyjemy wszelkich środków, by wrócić jej zmysły. Skoro kobieta ta żyła przez siedmnaście lat, to dowodzi, że czaszka jej nie była tak bardzo narażoną, jak zaznaczają raporty moich poprzedników, następnie, że operacye nie były dokonane jak należy, lub lękano się ich. Sprawiona odłamkiem pocisku rana nie była zbadaną gruntownie i jakaś cząstka jego nie została wyjęta. Należy więc jeszcze raz dokonać operacji. Istniejący pod skórą guz wykaże nam powód obłąkania... Jestem najmocniej przekonany, że uda się nam wyleczyć ją.

Infirmierce zaś doktor wydał polecenie:

— Skoro tylko chora odzyska przytomność, odprowadzisz ją do pokoju oddzielnego.

Róża rozplakała się.

Doktor ujął jej ręce, uściśnął je życzliwie i zapytał:

— Dlaczego płaczesz?

— Bo pan doktor chce nas rozłączyć—wyjąkała łkając.

— Nie lękaj się—odrzekł wzruszony lekarz—wydam głównemu infirmierowi polecenie, by pozostawił cię przy Janinie Rivat. Widzę, że jesteś do niej przywiązana... Wzajemna wasza sympatya może mi dopomóc do wyleczenia jej. Jeżeli wyzdrowieje, to część zasługi należeć się będzie tobie.

Róża w uniesieniu pochwyciła rękę doktora i pocałowała ją.

— Dziękuję panu doktorowi—rzekła.—Jaki pan dobry!

Janina poruszyła się i powoli zaczęła przychodzić do przytomności.

Gdy odzyskała nieco sił, Róża odprowadziła ją do wyznaczonego dla niej pokoju.



Wskutek odpowiedniego traktowania, guz na głowie Janiny Riwat, początkowo wielkości ziarnka grochu, powiększył się w przeciągu tygodnia do rozmiarów jajka gołębiego.

Tak spokojna i łagodna dotychczas Janina stała się dziwnie rozdrażnioną.

Nawet obecność Róży męczyła ją i denerwowała.

Młoda infirmerka boleśnie odczuwała tę zmianę, mimo to jednak zachowała dla niej dawne przywiązanie i otaczała ją tą samą pieczołowitością.

Po tygodniu Janina dostała gorączki, przeplatanej maligną.

Doktor Bordet uznał tę chwilę za właściwą dla dokonania operacji, na którą tak wiele rachował.

## LVII.

W oznaczonym dniu przeprowadzono Janinę Riwat do sali operacyjnej, gdzie oczekiwali już: naczelny lekarz zakładu, jego pomocnicy i upoważnieni do uczestniczenia przy operacji studenci wydziału medycznego.

Na prośbę Róży dr Bordet zezwolił pozostać jej przy chorej.

Położono Janinę na stole operacyjnym i uspiono ją.

Doktor obmacał narośl, oraz czaszkę i z rąk pomocnika wziął nóż.

Na widok ostrego błyszczącego narzędzia, Róża zadrżała, upadła na kolana i zasłoniła twarz rękami.

Gdy po kilku sekundach odjęła je i spojrzała na Janinę, spostrzegła całą jej twarz zbroszoną krwią.

Dr Bordet, nachylony nad chorą, z lupą w ręku przyglądał się ranie.

Nagle twarz jego rozpromieniła się.

— Miałem słusność!—zawołał.

Siostry bliźniaczki.

Wziął podane sobie szczypczyki, przyłożył je do szwu czaszki, w którym tkwił jakiś przedmiot czarny, uchwycił go, pociągnął, lecz napotkał opór.

Okazała się potrzeba dokonania trepanacyi.

Przez trzy sekundy zęby piły okrągłej skrzypiały na czaszce.

Teraz dopiero czarny przedmiot mógł być wyjętym.

Był to mały odłamek pocisku, pozostały w ranie od pierwszej operacyi.

— Ta kobieta wyzdrowieje—oświadczył uradowany dr Bordet.—Za parę tygodni odzyska pamięć, a następnie zmysły.

Róża przez cały czas operacyi modliła się klęcząc.

— Czuwaj nad nią starannie, moje dziecko,— rzekł do niej dr Bordet. Nie opuszczaj jej ani na chwilę i staraj się zapamiętać wszystko, co będzie mówiła.

Janina przebudziła się, lecz natychmiast zapadła w sen głęboki.

Odniesiono ją do pokoju szpitalnego, gdzie przez kilka dni spoczywała w stanie odrętwienia.

Dopiero szóstego dnia przebudziła się, siadła na posłaniu i zdumionym wzrokiem powiodła wokoło siebie.

Róża, która wyszła na chwilę i powróciwszy spostrzegła ją w tym stanie, krzyknęła z radości.

— Gdzie ja jestem?—zapytała chora.

Róża położyła jej dłoń na usta.

— Proszę cię mamó Janino nie mów nic. Jesteś jeszcze zbyt osłabioną... Zawiadomię lekarza, on sam ci odpowie.

Czysty metaliczny głos i nachylona piękna twarz Róży wprowadziły w zachwyt Janinę.

Powiedz mi, moje dziecko, czy zastępujesz matkę Weronikę?

Róża powtórnie zaleciła jej milczenie, poczem przywołała drugą infirmerkę i posłała ją do doktora

Bordet z prośbą o natychmiastowe przybycie do chorej.

Janina ujęła głowę w dłonie i zamyśliła się głęboko.

Jakaś wielka praca odbywała się w jej mózgu.

Przeszłość byłych lat siedemnastu zarysowała się w jej umyśle niejasno, jak sen w chwili przebudzenia się, lecz w miarę rozświetlania się myśli, zaczęła przybierać kształty wyraźniejsze.

Nagle coś przypomniała sobie i krzyknęła.

W tej chwili do pokoju wszedł doktor Bordet.

Chora wyciągnęła ku niemu ręce i rzekła głosem złamanym:

— Moje dzieci... moje córki... nie widzę kołyski.. gdzie one są?

Doktor pośpiesznie podszedł ku niej.

— Uspokój się—rzekł łagodnie—jesteś chorą, bardzo chorą i jeżeli chcesz zobaczyć swe dzieci, to powinnaś naprzód wyzdrowieć.

Doktor z raportów i od księdza d'Areynes znał jej przeszłość, ale z obawy pogorszenia jej stanu, nie mógł dać objaśnienia.

— Nie mogę ci teraz powiedzieć—powtórzył.

— Dla czego?

— Gdyż musiałbym odnieść się do Paryża.

— Alboż ja nie jestem w Paryżu?—zapytała.

— Nie; jesteś w Blois.

— W Blois! A to jakim sposobem? Ja tu nie znam nikogo i mnie nikt nie zna. Byłam w swoim mieszkaniu, z matką Weroniką, która pielęgnowała mnie i moje dzieci... Było to po wojnie, w której mój mąż został zabity... Podczas komuny... Przypominam sobie... było to wczoraj... choć zdaje mi się, że wiele czasu upłynęło od owych chwil... Byłam chorą... słyszałam huk dział, wybuchy granatów padających na

dach, a matka Weronika siedziała przy kołysce. Jakim sposobem znalazłam się w Blois? Proszę mi powiedzieć.

— Dom w którym mieszkałaś pani, spalił się... Uratowano cię z płomieni i odniesiono do ambulansu przy ulicy Servan.

— A moje dzieci? moje dzieci?

— Uratowano je również.

Janina doznała wrażenia, jak gdyby wielki kamień spadł jej z piersi.

— Ponieważ wiadomo, że córki moje są uratowane, a więc musi być wiadomem, co się z nimi dzieje. Niech pan doktor powie mi teraz i nie każe mi cierpieć dłużej.

— Przysięgam pani, że nie wiem, skoro tylko pani wyzdrowiejesz, wtedy będzie można rozpocząć poszukiwania.

Czoło Janiny zachmurzyło się.

— Skoro wyzdrowieję — powtórzyła. — Prawda, powiedział pan, że jestem bardzo chorą... sama to czuję... Zdaje mi się, jak gdyby mi kto czaszkę ścisnął obręczą żelazną i jakiś ciężar pałacy przytłacza mi wierzchołek głowy... Więc ja nie jestem w Paryżu?

— Nie, przeniesiono panią do Blois.

— I to pan doktor pielęgnował mnie ciągle?

— Nie, przedemną leczyli panią lekarze inni.

Janina podniosła ręce do głowy, jak gdyby chciała stłumić dolegający jej ból, lub rozproszyć ciemności, w których błąkały się jej myśli.

— Ależ—rzekła z rozpaczą—nie rozumiem... niech pan doktor pomoże mojej pamięci... Od czasu wydania na świat moich dzieci straciłam przytomność... Wszystko co działo się w około mnie, wydaje mi się jakimś snem okropnym.

— Proszę cię, uspokój się,—rzekł doktor, widząc

wzrastające jej ożywienie. Pogarszasz swój stan i wytężając pamięć, wyczerpujesz swe siły... Jeżeli chcesz wyzdrowieć i żyć, powinnaś zachować spokój bezwarunkowy...

— Dobrze—odrzekła—będę spokojną, lecz niech pan doktor powie mi, co się stało.

— Byłaś pani ciężko ranną odłamkiem granatu, który jednocześnie wzniecił pożar domu. Cudem ocalono cię od śmierci.—Pomieszczono cię naprzód w ambulansie, a następnie w szpitalu, gdzie dokonano operacji, później przewieziono do Blois, gdzie znajdujesz się dotychczas. Jesteś tutaj oddawna...

— Oddawna... powtórzyła zdziwiona Janina.

### LVIII.

Nakoniec przed pięcioma dniami, pragnąc cię wyleczyć, dokonałem nowej operacji.

— Więc ja jestem w szpitalu?—zawołała przestraszona.

Doktor Bordet zawahał się nad odpowiedzią.

— Niech pan doktor powie!—błagała.

— Znajdujesz się w zakładzie obłąkanych—odrzekł wreszcie, patrząc w jej oczy, by ocenić wrażenie, wywołane temi słowami.

— Więc ja byłam obłąkana!—zawoła nieszczęśliwa.—Domyślałam się... Czuję to... Ale dziś już nią nie jestem... Odzyskałam zmysły, gdyż wróciła mi pamięć... Niech pan doktor powie mi... błagam go, jak długo byłam obłąkana?

— Przeniesiono panią do ambulansu 28 maja 1871 roku, w trzy dni później odesłano cię do szpitala la Pitié, a w grudniu tegoż roku przewieziono cię do Blois.

— A któryż rok mamy teraz?

— Dziś mamy 3 kwietnia 1888 r.

Janina zadrżała konwulsyjnie.

— 1871...—szepnęła po chwili:—1888! Siedmnaście lat! Miałam dwie dziewczynki, bliźnięta... Co stało się z nimi? Czy żyją, czy umarły?

— Nie umiem odpowiedzieć pani—odrzekł lekarz.

— A moja matka?—mówiła nieszczęśliwa—a matka Weronika?... wszyscy, których znałam i kochałam? Siedmnaście lat!

Rozplakała się.

Uspokoiwszy się po kilku minutach, rzekła:

— Powiedział pan doktor, że wyniesiono mnie z płonącego domu... Kto dał dowód takiego poświęcenia? kto ocalił mnie?

— Pewien ksiądz.

— Ksiądz?—zapytała Janina zdziwiona.

— Tak, ten sam, który w kilka miesięcy później poznał panią w szpitalu i powiedział kim jesteś.

— Jak ten ksiądz nazywa się?

— Ksiądz d'Areynes.

— Ksiądz d'Areynes!—zawołała — wikary od św. Ambrożego! Niech Bóg będzie błogosławiony! Ponieważ to on ocalił mnie, więc uratował i moje dzieci. on nie opuścił ich! Znam go! To najszlachetniejszy człowiek na świecie! On dawał mi ślub...

Nagle twarz Janiny spochmurniała.

— Ale to już siedmnaście lat! kto wie, czy żyje... i czy dzieci moje nie pomarły...

— Nie trać nadziei—rzekł doktor wzruszony.—Może dzieci twe żyją... może Bóg zachował ci to szczęście i pozwoli kiedyś uścisnąć je. Możesz napisać, a jeśli będzie to niedostatecznym, to po powrocie do zdrowia rozpocząć poszukiwania.

— Napiszę... Chcę jak najprędzej opuścić ten zakład.

— Uczynię wszystko, co w mojej mocy, by wrócić ci zdrowie, a i ta dobra dziewczyna—dodał doktor, wskazując Różę, będzie pielęgnowała cię jak dotychczas.

— Mamo Janino—zawołała młoda infirmerka—będę troskliwą o ciebie jak o rodzoną matkę. Pan doktor wyleczy cię... nie długo będziesz mogła rozpocząć poszukiwania.

Janina pociągnęła ją ku sobie i złożyła pocałunek na jej czole.

Ale wyczerpana wzruszeniami, przymknęła oczy i zemdlna osunęła się na ręce Róży.

— To nic nie szkodzi—uspokoił doktor przeleknioną infirmerkę.—Przewidywałem to. Zapiszę jej lekarstwo, które jej dasz po odzyskaniu przytomności.

Powoli gorączka opuściła Janinę, rana na głowie zablizniła się i rozpoczął się peryod rekonwalescencji.

Doktor Bordet pomieścił ją wtedy na stole posilniejszyk i polecił codziennie jadać mięso pieczone i pić wino Bordeaux.

Róża uszczęśliwiona tą zmianą, której skutki prawie z dnia na dzień spostrzegała coraz wyraźniejsze, podwoiła swą troskliwość i poświęcenie, okazując tyśiące tych drobnych przysług, które przenikają do serca i wywołują wdzięczność.

Janina w zupełności już odzyskała pamięć i jasność myśli.

Jakże wzruszające obrazy wywoływała w niej ta przeszłość, tak odległa, zapomniana przez lat siedemnaście!

Widziała pierwsze lata życia, opromienione szczę-

sciem i pieszczotami matki w pięknej okolicy na prowincyi.

Następnie drzwi świątyni otworzyły się przed nią; oświetlona i woniejąca kwiatami kaplica; ołtarz, u stopni którego ucrana w białą suknię, z wieńcem na głowie, klęczała obok narzeczonego i otrzymywała od młodego kapłana błogosławieństwo na przyszłą drogę życia.

Jakże się oni kochali! jak byli szczęśliwymi!

Niestety, szczęście to trwało krótko.

Wkrótce czarne chmury pokryły horyzont.

Rozległ się huk dział, i jęki, krew popłynęła potokami, a wśród tego [obrazu] postać Pawła Rivat walczyła ze śmiercią.

Później—ciemny, duszący dym rozpostarł się nad Paryżem i trysnęły czerwone języki pożarów.

Obraz zmienił się.

Teraz widziała wewnątrz poddasza.

Na łóżku wiła się w bólach młoda kobieta, a obok niej druga o białych włosach i twarzy noszącej ślady pracy i lat, kładła w kołyskę dwie, przybyte na świat małe istotki, rozpoczynające życie, gdy wokół nich śmierć rozpościerała swą władzę.

W końcu straszny huk i oslepiająca jasność, okropny i krótki ból, i później już nic więcej.

Wspomnienia te, często nawiedzające jej sen niepokojny, podtrzymywały w niej smutek, którego wszelkie wysiłki Róży usunąć nie były w stanie.

Pewnego poranka Janina pozostając pod wrażeniem tych wizyi, rzekła do swej infirmerki:

— Czuję się już znacznie lepiej, chciałabym więc dowiedzieć się, czy moja matka żyje i co stało się z mojami córkami. Napiszę do Château-sur-Marne, gdzie matka mieszkała podczas wojny, oraz do księdza d'Areynes, wikarego przy kościele św. Ambrożego. On



objaśni mnie, co powiniam uczynić dla odszukania  
mych dzieci... A jeżeli matka i ksiądz już nie żyją...

Tegoż dnia Janina napisała dwa listy, jeden do  
księdza d'Areynes, zaadresowany do parafii św. Am-  
brożego w Paryżu i drugi do pani Lamblin w Châteaus-  
sur-Marne.

### LIX.

Po wyprawieniu listów należało cierpliwie czekać  
na odpowiedzi.

Ażeby ten czas wydał się Janinie krótszym, mło-  
da infirmerka czytała głośno książki, otrzymywane  
z biblioteki zakładu, a gdy czytanie nie zawsze odry-  
wało Janinę od jej smutnych myśli, brała jaką ro-  
bótkę do ręki i wesołą rozmową usiłowała rozproszyć  
jej troski.

W takich chwilach rekonwalescentka nie spuszcza-  
ła oczu z młodej dziewczyny i zachwycała się nią  
w milczeniu.

Wogóle Janina mówiła bardzo mało, pewnego  
dnia jednak zapytała:

— Powiedz mi moje dziecko, ile masz lat?

— Siedmnaście—odrzekła Róża.

— Siedmnaście!—I moje córki, gdyby żyły, były-  
by w tym wieku. Możeby równie jak ty były piękne,  
łagodne i dobre... Ach! gdyby one były podobne do  
ciebie.

— Nie martw się mamo Janino, odszukasz je...  
Wycierpiałaś wiele, ale przecucie mówi mi, że Bóg  
ci to nagrodzi.

Janina westchnęła i wzrokiem podziękowała dzie-  
wczyni za tę pociechę.

— Czy pochodzisz z Blois?—zapytała.

— Nie, urodziłam się w Paryżu.

— Czy masz tam rodziców?

— Nie mam rodziców—odrzekła Róża głosem zmienionym.

— Jesteś sierotą! Biedne dziecko! Moje pytania wywołały w tobie przykre wspomnienia... Przebacz mi...

Ujęła rękę Róży, przyciągnęła ją ku sobie i ucałowała serdecznie.

— Więc i ty, choć tak młoda, wycierpiałas wiele.

— Nie, ja nie cierpiałam, ale bardzo mi smutno. Nie wyobrazisz sobie, matko Janino, jak przykro jest żyć bez żadnych przyjemnych wspomnień. Nie znalazłam nigdy ani ojca, ani matki.

— Więc jesteś dzieckiem opuszczonem?

— Nie, znalazionem.

— Jakim sposobem?

— Było to podczas ostatnich dni komuny. Matka moja, uciekając zenną z domu objętego ogniem, została śmiertelnie ranioną na ulicy i przed skonaniem oddała mnie jakiemuś człowiekowi, który zaniósł mnie do merostwa [jedenastego okręgu, gdzie sporządzono protokół, mający służyć za metrykę urodzenia i wskazówki dla tych, którzyby kiedyś chcieli mnie odszukać. Wychowano mnie kosztem dobroczynności publicznej. Naprzód oddano mnie do mamki w okolicy Paryża, a później wysłano do klasztoru w Blois i w końcu umieszczono w tym zakładzie. Tak dożyłam siedemnastego roku życia, bez rodziny, przyjaciół, podpory, z duszą i sercem zboleiałem, ze smutną zawsze myślą: Nikt nie troszczy się o mnie, nikt mnie nie kocha!

— Ja ciebie kocham—odrzekła Janina, obejmując ją ramionami, a i ty powiedziałaś, że kochasz mnie także.

— Kocham cię—jak gdybyś była moją matką rodzoną. Ale nie jesteś nią!... Ach, jak ja pragnęłabym poznać moją matkę, jak ja bym ją kochała, jak chcia-

Łabym żył z nią, jak chętnie oddałabym dla niej życie.

Janina zamysliła się, poczem zapytała:

— Kiedy matka twoja została zabita?

— Dnia 28-go maja, w ostatnią noc istnienia komuny, gdy prawie cały Paryż gorzał.

— 28-go maja... powtórzyła Janina.—A gdzie matka mieszkała?

— Zapewne przy ulicy la Roquette, gdyż tam była zabita, gdy wybiegła z domu.

— W jakim wieku byłaś wtedy?

— Miałam trzy dni życia.

— Zkąd wiesz o tem?

— Opowiadała mi niania, a później zażądałam pokazania mi protokołu znalezienia mnie. Miałam do tego prawo, gdyż był on zarazem metryką urodzenia.

— A człowiek, który cię wziął z rąk matki i odniósł do merostwa, nie zgłaszał się nigdy?

— Nigdy.

— Znasz jego nazwisko?

— Znam, gdyż podpisał protokół.

Jak on nazywa się?

— Juliusz Servaize, a drugi świadek nazywał się Merlin.

— A później gdyś dorosła, nie starałaś się odszukać tych świadków?

— Na co? Nie wiedzieli oni nic więcej nad to, co zeznali do protokołu.

— Rzeczywiście! Co za dziwny zbieg okoliczności! 28-go maja, ostatniego dnia komuny zabrano i moje dzieci... Ach co się z nimi dzieje! Komu je powierzono?

— Dlaczego matko Janino dręczysz się niepotrzebnie? Poczekajmy na odpowiedź księdza d'Areynes.

— Jeżeli żyje jeszcze... Pomyśl tylko, siedmnaście lat! Ileż zmian mogło zajść przez czas tak długi... Ach, jak pragnęłabym, jak najprędzej opuścić ten zakład.

— A ja zostanę sama!—ze łkaniem w głosie rzekła Róża.

— Muszę, moje dziecko.

— Wiem, ale ja wtedy będę bardzo nieszczęśliwą... Wtedy dopiero odczuję moje położenie... Sama jedna na świecie... opuszczona... Nieraz mówiłam ci matko Janino, że kocham cię jak matkę rodzoną i wierz mi, że pragnęłabym nie rozstawać się z tobą nigdy... Przy tobie czuję się szczęśliwą... Nie rozumiem tego uczucia, nie umiem zdać sobie sprawy, dlaczego tak potrzebną mi jesteś do życia.

Wzruszona Janina uściśnęła Różę i twarz jej pokryła pocałunkami.

Ach gdyby ta biedna matka wiedziała, że tuli do swego serca jedną z swych córek...

Ale niestety, nawet nie domyślała się tego.

I ona także odczuwała dziwny pociąg do tej młodej dziewczyny, kochała ją instynktownie, nie wiedząc dla czego i znajdowała rozkosz w tej wzajemnej sympatii.

— Różyczko moja—odrzekła—i ja kocham cię całą duszą, ale pomimo gorącego pragnienia posiadania cię przy sobie, rozsądek mi mówi, że nie mam prawa korzystać z twego poświęcenia. Czy ja wiem, co mnie spotka po wyjściu z tego zakładu! Świat! Nie znam go już! Wiele rzeczy zmieniło się przez te siedmnaście lat. Jeżeli moja matka i ksiądz d'Areynes nie żyją, to co ja z sobą pocznę? Może będę zmuszona żebrać... Mam do spełnienia trudne zadanie, ale nie cofnę się przed żadnymi przeszkodami, dopóki będę miała choć odrobinę nadziei.

Czyż ja mogę powiedzieć ci: „Różo zostań moją córką?” Nie mam do tego prawa. Tutaj jesteś zabezpieczoną od niedostatku, wszyscy kochają cię i szanu-

ja, popełniłabym czyn niegodziwy, wiążąc twe życie z mojem, z przyszłością, może pełną zawodów i smutku. Nie zapomnę o tobie nigdy... Pozostaniesz naza- wsze w mej pamięci i sercu i drzysiągam ci, że tego dnia, w którym będę mogła powiedzieć ci: „Odszuka- łaam moje córki“! dodam, a Bóg widzi, że z prawdziwą radością: Oczekuję trzeciej... ciebie... przybywaj droga Różo!

Biedna sierota była zbyt inteligentną, by nie ro- zumiała słuszych powodów Janiny, ale nie zmniejszy- ło to jej cierpienia.

## LX.

Dni ciągnęły się długie, nieskończenie smutne.

Janina, nie otrzymując odpowiedzi na swe listy, zaczęła tracić nadzieję.

Tak upłynęły dwa tygodnie.

Nakoniec, piętnastego dnia rano wręczono jej dwa listy.

Wzięła je drżącemi z radości rękami, lecz dozna- ła zawodu.

Były to jej własne listy, zwrócone z powodu niezna- lezienia adresatów, przytem na liście do matki widniał napis czerwonym atramentem: „Pani Lamblin zmarła 15 marca 1877 r., na liście zaś zaadresowa- nym do księdza d'Areynes, napisano: „Nieznany“.

Janina zdumiała się.

Człowiek, który uczynił tyle dobrego, człowiek tak poważany w całym Paryżu, nieznany jest we własnej parafii.

Być może, że ksiądz d'Areynes nie mieszka już przy ulicy Papincourt, może już nie jest wikarym przy kościele św. Ambrożego i jakiś głupi, czy niedba- ły urzędniczek pocztowy, niechcąc zadać sobie trudu poszukiwania, napisał na kopercie: „Nieznany“.

Ostatnia nadzieja, oparta na odpowiedzi księdza d'Areynes, została utraconą.

Wszystko już dla niej skończyło się!

Do kogo teraz zwróci się zresztą, z czego żyć będzie w tym świecie, z którego wyrugowało ją obłąkanie przed siedmnastu laty.

Ogarnęło ją zniechęcenie tak wielkie, że nawet Róża nie miała odwagi wystąpić ze słowami pociechy.

Znowu upłynęły dwa miesiące, w ciągu których Janina powróciła do zdrowia w zupełności, a jednocześnie odzyskała nieco nadziei. Nie mogąc rachować na nikogo, zaczęła liczyć na wypadek, na Opatrzność, na zbieg nieprzewidzianych okoliczności.

— Skoro tylko wypuszczą mnie stąd, przetrząsnę cały Paryż, choćby po kolei dom po domu. Kierowana instynktem macierzyńskim odszukam moje córki!

Młoda infirmerka, widząc coraz więcej zbliżającą się chwilę rozstania się z mamą Janiną, stawała się z każdym dniem smutniejszą.

Nakoniec chwila ta nadeszła i Janina zażądała uwolnienia.

Doktór podpisał je, zaś administracya zakładu wypłaciła koszta podróży i dodała dwadzieścia franków na pierwsze potrzeby w Paryżu.

Róża, troskliwa o swą „mamę Janinę“, urządziła składkę, ofiarując pierwsza pięćdziesiąt franków, stanowiących rezultat oszczędności kilkoletnich, za jej przykładem poszedł cały personel zakładu i dr Bordet, który też na prośbę swej infirmerki wręczył odjeżdżającej zebraną sumę w ilości sto dziewięćdziesiąt pięć franków.

— Zabierasz z sobą duszę moją—z płaczem mówiła Róża, żegnając po raz ostatni Janinę.

Przemocą oderwano ją z ramion Janiny i odprowadzono do zakładu.

# CZĘŚĆ TRZECIA



## I.

Tego dnia, w którym Janina Riwat opuszczała dom zdrowia w Blois, płynący z Numei parowiec La Loire wszedł do portu Brest.

Po odbyciu rewizyi sanitarnej pozwolono kapitanowi wysadzić pasażerów na ląd.

Grono ich liczne i wielce różnorodne składało się z oficerów, żołnierzy, amerykańców, anglików, murzynów, hiszpanów, włochów i francuzów.

Długa podróż dała Gastonowi Dupréty czas do zastanowienia się nad swem położeniem i do obmyślenia planu, jaki zamierzył wykonać po przybyciu do Francyi.

Po wyjściu na ląd, zamiast udać się do prefektury policyjnej, jak mu polecono, w celu zawizowania paszportu, pośpieszył do restauracyi, gdzie kazał podać sobie śniadanie i zażądał przewodnika po kolejach żelaznych.

Chodziło mu o wybór pociągu, któryby jak najprędzej zawiózł go do Amboise.

Marszruta tej podróży była dość skomplikowaną.

Ażeby dostać się do Amboise, Depréty musiał na-przód udać się do Mans, ztamąd do Angers, gdzie przesiadłby się na pociąg paryzki, przechodzący przez Tours i Amboise.

Wogóle miał przed sobą ośmnaście godzin podróży.

Wynotował sobie stacje, oraz godziny przybycia i odejścia potrzebnych mu pociągów, zjadł śniadanie i udał się na dworzec kolejowy.

Powiedzieliśmy już, że Depréty był mężczyzną przystojnym, obecnie zaś odrośnięta przez czas kilkotygodniowej podróży ciemna, jedwabista, pięknie utrzymana broda, uczyniła oblicze jego jeszcze okazalszem, a brązowa cera skóry, przyciemniona promieniami australijskiego słońca, doskonale pasowała do jego inteligentnej fizyonomii i zdawała się powiększać blask jego wielkich oczu, zmieniających wyraz z niesłychaną szybkością.

Ubrany był w szary garnitur letni i miał na głowie kapelusz słomiany, przepasany szeroką wstążką czarną.

Miał powierzchowność tak szykowną i sympatyczną, iż nikt nie mógłby domyśleć się w nim uwolnionego kryminalisty, lub niewierzyć zapewnieniu, że nazywa się wice-hrabią Grancey i pochodzi z jednej z najstarszych rodzin prowincyi Touraine.

O trzy kwadranse na trzecią, siadł do przedziału klasy drugiej i odjechał do Mans.

Następnego dnia około godziny dziesiątej rano przybył do Amboise.

Podróżując bez bagażów, nie miał żadnego kłopotu przy wysiadaniu z pociągów.



Zatrzymał się w hotelu i gdy nadszedł czas śniadania, udał się do sali restauracyjnej.

Wypadkiem, tego dnia pusto w niej było, przy jednym stoliku siedział jakiś mężczyzna, liczący lat pięćdziesiąt, ubrany starannie, lecz wyglądający więcej na bogatego wieśniaka, niż na mieszkańca miasta.

Depréty siadł przy stoliku sąsiednim i natychmiast zawiązał rozmowę ze służącą.

— Czy panna pochodzisz z tych okolic?—zapytał.

— Z tych proszę pana: Urodziłam się w Tours, wychowałam w Amboise i od dziesięciu lat służę w tym hotelu.

— Dużo panna zna tutaj osób?

— Znam wszystkich, od najstarszego do najmniejszego dziecka.

Po tej odpowiedzi wyszła z talerzami do kuchni.

— Małgorzata, to prawdziwa gazeta—rzekł gość siedzący przy drugim stoliku.—Ciekawa jak nasza babka Ewa i język ma ostry, ale w gruncie dziewczyna dobra.

— I pan zapewne pochodzi z tych stron—rzekł Depréty.

— A tak; mieszkam w Bléré, gdzie posiadam winnicę. Często przyjeżdżam do Amboise i również znam prawie wszystkich.

— W takim razie, czy nie może pan udzielić mi objaśnień o pewnej rodzinie, zwłaszcza o jej stanie majątkowym?

— O jakiej?

— O rodzinie de Grancey.

— Jeżeli przyjechał pan po to,—odrzekł właściciel winnicy, by odebrać należność, to napróżno odbył pan podróż. Była to rodzina niegdyś najbogatsza w tej okolicy, lecz dziś nic nie posiada. Pani de Grancey, wskutek przegranej w karty wielkiej sumy przez jej

meża, dostała obłąkania i przed sześcioma laty zmarła w szpitalu; w dwa lata później vice-hrabia Jerzy Paweł Grancey, utraciwszy resztę majątku, odebrał sobie życie.

— Zdaje mi się, że mieli oni syna...

— Mieli Jeżego de Grancey.

— Co się z nim stało?

— Nie wiem napewno. Ostatni raz widziałem go na pogrzebie ojca. Miał od wtedy najwyżej dwadzieścia trzy lata życia. Litowali się nad nim wszyscy, gdyż był to dobry chłopak i chciał naprawić błędy ojca, ale było już zapóźno. Nie miał ani grosza i nic nie umiał robić. wychowywali go w kolegium w Tours i uczyli go rzeczy, które chleba nie dają. Niby to coś umiał, ale z temi wiadomościami mógł umrzeć z głodu. My takich ludzi nazywamy tu wykolejonymi, do niczego!

Wchodząca w tej chwili Małgorzata, usłyszawszy ostatnie słowa, zapytała:

— O kim pan mówi?

— O vice-hrabi de Grancey.

— Biedny chłopak—rzekła, stawiając talerz przed Deprétym.—Wiem od jednego z gości naszych, który spotkał go przed półrokiem w Brescie, że wyjechał do Australii z zamiarem dorobienia się majątku...

— No, to poczekasz pan trochę na odbiór swych pieniędzy—śmiejąc się rzekł właściciel winnicy.

— Rzeczywiście niema co o tem myśleć—odrzekł Depréty.—No, ale musieli pozostać jacy krewni z linii ojca lub matki?

— Był stryj tylko—rzekła Małgorzata—lecz umarł w roku zeszłym.

— Bezpotomnie?

— Był to stary, samotny kawaler, nie miał majątku i utrzymywał się z niewielkiej renty dożywotniej.

Wszyscy Granceyowie mieli złote serca i byli najlepszymi ludźmi, ale zawsze utracyuszami.

— Czy vice-hrabia Jerzy Grancey, oprócz Tours i Amboise, mieszkał jeszcze, gdziekolwiek?

— Nie. Sam słyszałem, jak mówił, że nigdy nie podróżował, a nawet ani razu nie był w Paryżu. Był z natury nieśmiałym i posiadał dwie namiętności.

— Jakie?

— Polowanie i rybołówstwo, ciągle też przebywał w lesie lub przesiadywał nad rzeką.

Właściciel winnicy skończył śniadanie, zapłacił należność i opuścił salę.

Depréty posiedział jeszcze trochę, wypytał Małgorzatę o niektóre inne szczegóły i wyszedł z postanowieniem przepędzenia reszty dnia w Amboise.

Następnego dnia odjechał do Paryża.

Z otrzymanych w Numei pieniędzy pozostało mu jeszcze trzysta dziewięćdziesiąt siedm franków.

Na czas jakiś mogło to wystarczyć.

Depréty znał Paryż i wiedział w jaki sposób w oczekiwaniu środków większych, urządzić się wygodnie i tanio.

Z dworca kolejowego udał się do hotelu Taylor przy ulicy tejże nazwy, najął dość przyzwoity pokój za dwa franki dziennie, złożył w ręce rządcy akt urodzenia i kartę wyborczą—oba dokumenty wydane na nazwisko Jerzego Grancey, poczem wyjechał na miasto, by zaopatrzyć się w bieliznę i ubranie.

Tak załatwiwszy najpilniejsze interesa, następnego dnia pociągiem, wychodzącym o dziesiątej rano wyruszył do Champigny.

Nie potrzebujemy mówić, że miasteczko to przez ciąg lat siedmnastu zmieniło się wielce.

Zburzone przez pruskie bomby budowle zostały

odbudowane; uprawne dawniej grunta podzielono na małe działki i wzniesiono na nich kamienice.

Kilka domów zaledwie nosiło na sobie ślady walki z r. 1870.

Jedna ulica Bretigny prawie nie zmieniła swej powierzchowności. Grancey odczytał napis na tabliczce umieszczonej na domu narożnym i śmiało puścił się ku domowi oznaczonemu nr 9-ym.

Dom ten znajdował się w stanie zupełnego opuszczenia, otaczająca ogród palisada znikła, kasztany uschły, zaś na spruchniałych drzwiach widniał na pół zatarty napis: „Nieruchomość do sprzedania“.

Sciany domku były popękane, przez odarty dach widać było sterczące krokwie iłaty.

Grancey, spostrzegłszy w rogu ogrodu wielkie drzewo orzechowe, pomyślał:—To zapewne o niem Duplat mówił w gorączce.

Tuż obok domku Palmiry wznosiły się otoczone rusztowaniem mury nowo wznoszonego domu.

Grancey podszedł do niego o kilkanaście kroków, siadł na trawie i zaczął się przyglądać pracy robotników.

Przy domu tym, na przestrzeni, przeznaczonej na ogród, druga partya robotników zajęta była oczyszczaniem gruntu z gruzów i kopaniem ziemi.

Stosy cegieł i innych materiałów budowlanych ułożone były wzdłuż drogi i zajmowały znaczną jej część, ale administracya tolerowała to nadużycie, z warunkiem by dla uniknięcia wypadków podczas nocy, zaraz z nastąpieniem wieczora oświetlano to miejsce latarnią.

Żaden z tych szczegółów nie uniknął uwagi ex-kryminalisty.

Wybiła godzina siódma.

Mularze i kopacze przerwali robotę i narzędzia swe pozostawili na miejscu.

Jeden z robotników zapalił latarnię i zawiesił ją na słupku przy stosie cegły.

Poczem rozeszli się wszyscy.

— Mam więc narzędzia i latarnię — pomyślał Grancey — nie będę potrzebował kupować. A teraz chodźmy na obiad.

Nie chcąc pokazywać się w miasteczku, udał się do restauracyi położonej nad brzegiem Marny i posilwszy się, o dziewiątej powrócił do Champigny.

Noc była ciemna i powietrze przepelnione elektrycznością.

Wielkie, czarne, z miedzianym odbłyskiem chmury przesuwaly się po niebie, południowo-zachodni wiatr nachylał wierzchołki drzew i miotał rozłożystemi gałęziami topoli.

— Będzie burza — szepnął Grancey. — Zły interes dla mego ubrania, ale doskonały dla operacyi. Należy śpieszyć, bo zmoknę jak pies, a trudno w takim stanie wracać do Paryża.

Zaledwie wymówił te słowa, jaskrawa błyskawica oświetliła horyzont i w parę sekund, rozległ się huk pioruna.

Przyspieszył kroku, zdjął zo słupka pozostawioną przez pobotników latarnię, poczem wszedł do ogrodu, z kąd zabrał motykę i szpadel i tak przygotowany wszedł za palisadę domku Palmiry.

## II.

Zwrócił się wprost w róg ogrodu, gdzie wśród gęstego, wysokiego zielska, wznosiło się drzewo orzechowe, obejrzał się dla przekonania czy nie widzi go kto z okien domów sąsiednich, ale ciemność zupełna wskazywała, że nikt nie dojrzy i nie usłyszy jego pracy. Mógł kopać i w ciemności, ale dla zorientowa-

nia się potrzebował choć na chwilę obejrzeć miejsce; w tym celu chciał oświetlić je latarką i zapalił zapalną.

Wiatr zgasił mu ją w tejże chwili, ale ten jeden moment pozwolił mu przekonać się, iż znajduje się o dwa kroki od drzewa.

Pod gwałtowną siłą wiatru wszystkie drzewa, wstrząsane i łagane jak trzcina, trzeszczały od wierzchołków do korzeni i zagrażały powaleniem.

Wicher ten był zapowiedzią burzy, zbliżającej się z niesłychaną szybkością.

Grancey postawił latarnię na ziemi i zabrał się do roboty.

W tej chwili oslepiająca błyskawica, oświetlając część ogrodu, w którym pracował ex-kryminalista, rozdarła horyzont i potężny grzmot, jak huk dziesięciu dział wielkiego kalibru, rozległ się w powietrzu.

Odtąd błyskawice i pioruny następowały po sobie bez przerwy.

Przez pół godziny szalała burza, mimo to Grancey nie ustawał w robocie.

Po usunięciu za pomocą motyki bujnego zielska z wierzchniej warstwy ziemi, Grancey uchwycił szpadel i wziął się do kopania.

Jama była już dość głęboką, gdy wtem lunął deszcz ulewny i zalał ją wodą.

Kopać w takich warunkach było niepodobieństwem.

Grancey wysadził spróchniałe drzwi domku i ukrył się w nim przed ulewą.

Gdy burza uspokoiła się nareszcie, ustały pioruny i grzmot huczał już tylko zdala, nocny pracownik wziął się znowu do roboty.

Wykopana i złożona nad brzegiem jamy ziemia osunęła się i zapełniła ją błotem, które należało usunąć.

Była to praca długa.

Grancey wykopał już dół głębokości pięćdziesięciu centymetrów i nie znalazł jeszcze, czego szukał.

Ogarnęło go zniechęcenie.

Może nie trafił na właściwe miejsce, a może słowa Duplata były halucynacją rozgorączkowanej wyobraźni?

Wtem szpadel zawadził o jakiś przedmiot twardy.

Czyżby to było prawdą?

Więc ukryty skarb istniał rzeczywiście i Grancey miał go pod ręką?

Fala krwi napłynęła mu do mózgu, upajając go jak najmocniejszym trunkiem.

Nie zastanawiając się nad tem, że zabłoci ubranie, ukląkł na wyrzuconej ziemi i zapuścił ręce w jamę.

— Mam ją—szepnął uszczęśliwiony.—Więc Duplat mówił prawdę!

Nagle spowaźniał.

— Gdyby to było wino—szepnął,—to spoczywając siedmnaście lat pod ziemią, mogłoby nabrać smaku, ale papiery... Zobaczymy później, teraz zaś należy usunąć ślady mej gospodarki.

Zasypał jamę ziemią, ubił ją stopami, nakrył zielonym, poczem, oczyściwszy z przylgniętej ziemi butelkę i wcisnąwszy ją do kieszeni paltota, odniósł narzędzia i latarnię na dawne ich miejsce i udał się na stację Champigny.

W dwie godziny później był już w swem mieszkaniu.

Łatwo zrozumieć niecierpliwość, z jaką pragnął przekonać się o zawartości butelki.

Zamknął za sobą drzwi na klucz, poczem owinawszy butelkę serwetką, w celu stłumienia brzęku, rozbił ją.

Po odjęciu serwetki spostrzegł paczkę biletów.

Pochwyił je drżącą ręką i przerachował.

Było ich czternaście, stanowiących razem tyleż tysięcy franków, w dobrym stanie, lecz nieco wilgotnych.

— Zaraz wyschną—myślał,—rozkładając je na stole.—Dziwna rzecz, jak dobrze przechowały się... Zobaczymy resztę.

Wziął skręconą w trąbkę resztę papierów i rozwinał je.

Były to cztery obligi wystawione przez Gilberta Rollina na rzecz Duplata, ale bez daty.

— Dziwna rzecz!—szepnął Grancey, zdziwiony tą pozorną nieformalnością.—Dla czego nie ma daty? Zobaczymy resztę.

W ostatnim dokumencie przeczytał:

„Ja niżej podpisany winien jestem p. Serwacemu Duplat sumę sto pięćdziesiąt tysięcy franków, którą zobowiązuję się wypłacić w czterech ratach, po trzydzieści siedm tysięcy pięćset franków każda, co miesięcy cztery, poczynawszy od dnia, w którym p. Henryka Rollin z domu d'Areynes obejmie w użytkowanie spadek po hr. Emanuelu d'Areynes“. Paryż, 27 maja 1871 r. Gilbert Rollin.

— Ach!—rzekł Grancey, zacierając ręce—rozumieć teraz, dlaczego na weksłach nie ma daty wystawienia ich. Ażeby wyznaczyć termin wypłaty, należało czekać, aż pani Rollin obejmie spadek... Chytry Duplat miał sam wystawić daty po śmierci hr. d'Areynes. Uplęnęło lat siedmnaście i hrabia zapewne nie żyje oddawna, ale przepis o przedawnieniu do weksłów nie odnosi się. Te cztery papierki nie utraciły swej wartości. potrzebują tylko dowiedzieć się, dlaczego p. Gilbert Rollin wystawił je na nazwisko b. kapitana komuny... Nie będzie to łatwym, ale ja zawsze miałem zamiłowanie w odgadywanlu zagadek i rebusów. A ta



zagadka jest tak dobrą jak każda inna. Źle byłoby gdybym jej nie odgadł.

Tymczasem mam czternaście tysięcy franków, które pozwolą mi działać bez pośpiechu i poprawić się nieco po tej przekłętej Numei. Schował majątek swój pod poduszkę, położył się i prawie natychmiast zasnął snem twardym.

Pozostawmy go śpiącego i wróćmy do Janiny Rivat.

Po przybyciu do Paryża udała się ona przede wszystkim do kościoła św. Ambrożego, dla podziękowania Bogu za odzyskanie zdrowia i w celu zasiągnięcia wiadomości o księdzu d'Areynes.

Zwrot listu, wysłanego z Blois, z napisem „Nieznany“, zaniepokoił ją, ale jakiś głos tajemniczy mówił jej, że wikary musi żyć.

Jakim sposobem mógł być nieznanym w parafii, w której znali go wszyscy do najmniejszego dziecka?

Weszła do kościoła, umoczyła palce w wodzie święconej, poczem zwróciła się do kaplicy Matki Boskiej i uklękła.

Na widok tej kaplicy cała jej przeszłość stanęła przed oczami i wywołała łzy.

W niej ksiądz d'Areynes błogosławił jej związek z Pawłem Rivat, którego kochała nad życie, w niej po raz ostatni widziała go przed bitwą, w której został zabity.

W niej pragnęła wysłuchać mszy dziękczynnej po odbyciu ceremonii chrztu swych dzieci..

Niestety! Paweł nie żył, dzieci zaginęły, i nie było nawet nadziei odszukania ich.

Kłęcząc u stóp ołtarza, modliła się długo i prosiła Boga o powrót jej córek.

Wreszcie powstała i udała się do zakrystyi, gdzie zastała jakiegoś młodego księdza.

— Przepraszam—rzekła, zwracając się do niego,—czy ksiądz należy do parafii św. Ambrożego?

— Należę—odrzekł i jestem drugim wikarym.

— Czy ksiądz znał księdza d'Areynes?

— Naturalnie; mam zaszczyt znać go.

— Więc on żyje!—zawołała uradowana.

— Dzięki Bogu żyje, i to wielkie szczęście, gdyż takich ludzi niewiele i niełatwo mogą być zastąpionymi.

Janina ze wzruszenia zachwiała się, co widząc ksiądz podsunął jej krzesło i prosił by spoczęła.

— Niech pani będzie spokojną o życie i zdrowie księdza d'Areynes, gdyż jest zdrowym zupełnie.

— Żyje!—szepnęła, ocierając łzy—i jest tutaj wikarym jak dawniej?

— Nie, pani..., ksiądz d'Areynes jeszcze przed siedmnastu laty opuścił naszą parafię.

— I gdzież jest teraz?

— Jest jałmużnikiem więzienia la Roquette, ale przychodzi tu niekiedy odprawiać mszę.

— Jakież Bóg jest dobry!—szepnęła Janina, składając ręce.

Młody ksiądz, zaciekawiony jej pytaniami i wzruszeniem, zapytał:

— Czy pani знаła księdza d'Areynes.

— Przed siedmnastu laty dawał mi ślub w tym kościele, w kaplicy Matki Boskiej.

— Więc od tego czasu musiała pani widywać go często.

— Nie widziałam ani razu.

— Ani razul...

— Tak, ale straszne wspomnienie wiąże go z moim życiem. Zdaje mi się, że czuwał nademną zdala i jeżeli nie zmarłam śmiercią straszną, to temu to zawdzięczam.

— Żaden czyn odwagi i szlachetności z jego strony nie zdziwi mnie. To wielka dusza i wielkie serce!

A po chwili milczenia dodał:

— Więc pani przybyła tu w przekonaniu, że ksiądz d'Areynes nie żyje?

— Tak, proszę księdza.

— Któż mógł panią w błąd wprowadzić?

— Przed dwoma miesiącami pisałam do księdza d'Areynes, lecz zwrócono mi list z napisem: „Nieznany“.

— Może pani źle zaadresowała?

— Zaadresowałam do kościoła św. Ambrożego.

— Więc to вина listonosza, który, nieznalazłszy tu księdza d'Areynes, oddał go do zwrotu. Rozumiem teraz niepokój pani i jestem szczęśliwy, mogąc ją zapewnić, że łatwo może pani w każdej chwili zobaczyć się z nim.

— W więzieniu la Roquette?

— Nie, w jego mieszkaniu przy ulicy Tournelles numer 20.

— Serdecznie dziękuję księdzu za tę wiadomość. Pójdę tam natychmiast. Jeżeli ksiądz chce pomodlić się za nieszczęśliwe kobiety i matki, niech modli się za mnie.

— Pomodłę się.

Młody ksiądz odprowadził Janinę aż do drzwi kościelnych, udzielając jej słów pociechy i nadziei.

Z kółka bliższych znajomych księdza d'Areynes wiele osób w przeciągu lat siedmnastu przeniosło się do wieczności.

Pan Leblond, stary chirurg wojskowy, który ocalił życie wikaremu, zmarł w kilka miesięcy po śmierci żony; dr Pertuiset połączył się ze swym przyjacielem, hr. Emanuelem d'Areynes; stara Magdalena, wierna służąca wikarego, zgasła powoli, wreszcie i Piotr już nie żył.

Jeden tylko Rajmund Schloss, zawsze zdrow i pełen energii, nie chcąc rozstawać się z księdzem d'Areynes, osiadł przy nim jako jego sekretarz.

Miejsce Magdaleny zajęła pochodząca z Fene-stranges i zalecana przez Rajmunda, niejaka Pelagia.

### III.

Raul wraz z Rajmundem zajęty był przeglądaniem korespondencji, gdy weszła Pelagia z oświadczeniem, że jakaś kobieta pragnie zobaczyć się z księdzem.

Nie był to dzień, w którym Raul przyjmował osoby, zgłaszające się z prośbą, najczęściej o pomoc, więc niezadowolony z tej wizyty, odrzekł:

— Moja Pelagio, wiesz, że nie lubię, gdy mnie kto odrywa od zajęcia, powinnaś więc była powiedzieć, że nie przyjmuję.

— Mówiłam jej to, ale gdyby ksiądz był ją widział, jak ze łzami w oczach prosiła o tę łaskę, nie odmówiłby.

— Jak się nazywa?

— Nie pytałam o nazwisko.

— Nie mówiła czego żąda?

— Powiedziała tylko, że przyjechała z Blois, szedła do kościoła św. Ambrożego, lecz nieznalazszy tam księdza, przybyła tutaj.

— Z Blois!—powtórzyli jednocześnie ksiądz d'Areynes i Rajmund, spoglądając na siebie ze zdziwieniem.

— Tak, proszę księdza—odrzekła Pelagia.

— Wprowadź ją—rzekł ksiądz.

Pelagia wyszła.

— Z Blois!—mówił ksiądz.—Może kto przychodzi z wiadomością o Janinie Rivat?

— A może to ona sama?

— Ona!—To być nie może.

Pelagia wprowadziła przybyłą kobietę i cofnęła się. Janina była tak zmieniona, że ksiądz d'Areynes nie poznał jej, lecz Rajmund, który odbył z nią podróż koleją do Paryża, niezawahał się ani chwili.

— To Janina Rivat!—zawołał—To ona!

Janina wyciągnęła ku księdzu ręce i ze łzami w oczach rzekła:

— Ksiądz ocalił mi niegdyś życie, wiem o tem... Przybyłam dziś błagać księdza o pomoc w odszukaniu mych dzieci.

Raul do głębi serca wzruszony jej widokiem, podszedł ku niej i ujął jej ręce.

— Więc pani w Paryżu—rzekł—a my myśleliśmy, że jesteś...

Nie śmiał dodać „obłąkaną“, i podprowadził ją do fotelu.

— Ksiądz myślał, że nie żyję—odrzekła—i może lepiej byłoby, gdybym nie żyła, jeżeli nie uda mi się odszukać mych córek.

— Uspokój się, Janino. Twoja niespodziewana wizyta tak zdziwiła mnie, że potrzebuję zebrać myśli, by ci odpowiedzieć.

— Jedno słowo tylko. Czy ksiądz wie, gdzie są moje dzieci?

— Jeszcze raz proszę cię, uspokój się. Nic nie wiem.

— Ach! mój Boże!

— Mimo to nie powinnas tracić nadziei...

— Rzeczywiście?

— Jeżeli wróciła ci pamięć, to możesz udzieleniem wskazówek ułatwić nam poszukiwania.

— Ja!

— Tak, ale powtarzam, jeżeli możemy już rachować na twoją pamięć.

— Prawda, byłam obłąkaną—odrzekła Janina.—

Ale nie jestem już nią. Wyleczono mnie... Przed trzema miesiącami nowy lekarz w Blois robił mi straszną i niebezpieczną operację i dziś jestem zupełnie zdrową.

Pamiętam wszystko... Mówiono mi, że ksiądz uratował mnie z palącego się domu, gdy byłam prawie konająca, i przy łóżku mem czuwała nad memi córkami pewna dobra sąsiadka, zwana matką Weroniką.

Ponieważ ksiądz był w tym pokoju, więc musiał ją widzieć nachyloną nad kołyską... Wiedząc o tem pomyślałam, że może ksiądz ocalił i dzieci moje, lub wie, co się z nimi stało. Dla tego z taką ufnością przybyłam do księdza...

Janina mówiła tak logicznie, iż ksiądz d'Areynes nie miał wątpliwości, iż odzyskała zmysły, ale jakież objaśnienie mógł dać o jej córkach, pochwyconych przez Serwacego Duplata?

— Moje dziecko—odrzekł,—błogosławię Boga, iż pozwolił nauce powrócić ci rozsądek. Widzę cię zdrową, ufającą w Bogu i taką jaką byłaś wtedy, gdy w kościele św. Ambrożego łączył cię z mężem według wyboru twego serca. Posiadałaś wtedy wiarę, wolę i energię, nie trać ich teraz, choćby się dowiedziała odemnie rzeczy smutnych.

— Nie stracę odwagi, niech ksiądz mówi, wysłucham bez łez i rozpaczy... Niech ksiądz nic nie ukrywa, powie wszystko co mu wiadome, choćby mi serce miało pęknąć.

— Paweł Rivat, twój mąż ukochany, o którym myślałaś, że poległ w bitwie pod Montretout, był wtedy tylko ranionym.

Janina zadrżała całym ciałem i utkwiała w księdza wzrok pełen zdziwienia i nadziei.

— Żył—zawołała,—żył i może jeszcze żyje dotychczas...

— Zmarł na moich rękach.

Janina pochyliła głowę i westchnęła.

— Znaleziony na polu bitwy ciężko ranionym, odniesiony został do szpitala wersalskiego, gdzie zmarł. Przynależem mu przed śmiercią, że będę czuwał nad tobą i nad mającem przyjść na świat dzieckiem. Tej samej nocy, w której powróciłem do Paryża, a który musiałem opuścić, by oszczędzić komunie jednej zbrodni więcej, udałem się wprost do twego mieszkania. Gdy wszedłem do pokoju, do którego przed chwilą wpadł pocisk, spostrzegłem leżącego na podłodze trupa kobiety, tej samej, która czuwała nad kołyską.

— Więc matka Weronika nie żyje!—ze łzami w oczach zawołała Janina.

— Ty zaś—mówił dalej ksiądz—zbroczona krwią, bez życia leżałaś na łóżku. Ten sam pocisk, który zabił twoją sąsiadkę, dosięgnął i ciebie.

Podszedłem do łóżka, gdy w tem usłyszałem rozlegające się na schodach a następnie na korytarzu czyjeś kroki i, sądząc, że komuniści ścigają mnie, ukryłem się za drzwi pokoju sąsiedniego.

— No, a dalej?—zapytała Janina, oddechając z trudnością.

Ksiądz nie odpowiedział odrazu, lecz zapytał:

— Czy znałaś lokatora tego samego domu, mianującego się kapitanem komuny?

— Jak on się nazywał?—zapytała głosem zdławionym.

— Serwacy Duplat.

Janina zbladła i zerwała się z fotela.

— Serwacy Duplat! powtórzyła—furyer 57-go batalionu gwardyi narodowej podczas wojny!... Ten potwór, który najuczciwszych ludzi znieważał i terroryzował!... Ten nikczemnik, który chwalił się, że nie wierzy w Boga! Serwacy Duplat, wróg mego męża! Ach,

dłaczego ksiądz mówi mi o tym wyrzutku, tchórze i złodzieju? Dlaczego ksiądz zapytuje, czy znalazłam go.

— Powiem ci dlaczego, lecz naprzód proszę cię uspokój się.

— Nie wiem czy potrafię... Czyż to rzecz możliwa wobec pytania, czy znam Serwacego Duplata?

— A jednak potrzeba.

Uczyniła wysiłek nad sobą i po kilku chwilach rzekła:

— Widzi ksiądz, jestem już spokojną i mogę słuchać. Niech więc ksiądz mówi dalej.

— Serwacy Duplat mieszkał w tym samym domu.

— Ach!—krzyknęła Janina zdziwiona.

— Nie wiedziałas o tem?

— Nie wiedziałam.

— Będąc ukrytym za drzwiami drugiego pokoiku, spostrzegłem Duplata wchodzącego, pomimo iż na ścianach i sprzętach poczęły pokazywać się płomienie. Nachylił się nad kołyską, pochwycił ją i uciekł z nią.

— On!—wyjąkała przerażona Janina.—Więc to on porwał moje dzieci. Jakim sposobem ksiądz mógł znać tego łotra?

— Poznałem go pewnego dnia i zmuszony byłem nawet rozbroić go, gdyż chciał mnie zabić.

— Co on uczynił z memi dziećmi? Porywając je, musiał mieć jakiś cell! Ale jaki? komu on oddał je? Jaka szkoda, że ksiądz nie poszedł za nim.

— Należało przedewszystkiem ocalić ciebie.

— Ale później mógł ksiądz kazać szukać go.

— Byłem raniony i przez długi czas nie opuszczałem łóżka, ale Rajmund Schloss szukał.

— I cóż?

— Nie odkrył żadnego śladu.

— A Duplat? Cóż z nim się stało. Nie można było odnaleźć go?



— Serwacy Duplat nie żyje.

— Nie żyje!

— Został rozstrzelany.

— Więc biedne córki moje stracone są nazawszel  
Pewnie, że nie żyją! Ach czemuż i ja nie umarłam,  
czemuż nie pozostałam obłąkaną? Dlaczego powróco-  
no mi rozum, skoro ma on mi służyć do pojmwania  
ogromu moich cierpień! Pozostawszy obłąkaną, byłabym  
szczęśliwą... nie myślałabym o niczem, nie żałowa-  
łabym i nie spodziewała się niczego! Odzyskałam zmysły  
to, by jednocześnie utracić całą nadzieję... Za wielki na  
moje siły ciężar przytłoczył mnie... Moje córki nie  
żyją!... Niech ksiądz daruje, ale Bóg jest za okrutnym,  
nieubłagany!... jest niesprawiedliwym!...

— Janino, nie bluźnij!—poważnym tonem rzekł  
ksiądz d'Areynes.—Mylisz się, Bóg nie jest nieubłaga-  
nym, a jeśli zsyła na nas cierpienia, to dla tego, by  
doswiadczyć i umocnić nasze dusze. Bóg dotknął cię,  
lecz zamiast buntować się przeciw jego prawicy karzą-  
cej, błogosław ją!... Błagaj Go i prosz o litość, a jestem  
pewny, że jak powrócił ci rozum, tak wróci spokój  
i szczęście, które w tej chwili wydaje ci się stracon-  
nem na zawszel

— Tyle cierpię, że nie mam siły modlić się. Cóż  
ja teraz pocznę, sama pozbawiona nadziei?

— Rachuj na mnie! ja nie opuszczę cię! Rajmund  
Schloss, natknawszy się na takie przeszkody, musiał  
zaprzestać poszukiwań. Ale rozpocniemy je znowu,  
pomimo siedmnastu lat ubiegłych, i może powiedzie się  
nam. Nie rozpaczaj, nie poddawaj się smutkowi i wierz,  
że zawsze będziesz miała we mnie nietylko opiekuna,  
lecz i przyjaciela wiernego.

Janina wzruszona do głębi duszy ucałowała rę-  
kę księdza.

— Od jak dawna jesteś w Paryżu?—zapytał ksiądz.

— Od kilku godzin zaledwie.

— Czy masz co pieniędzy?

— Mam trochę ze składki, zebranej przed wyjazdem z Blois.

— Cóż zamierzasz robić?

Pragnęłabym znaleźć jaką pracę, by zarobic na utrzymanie i na koszta poszukiwań mych dzieci.

— Poszukiwania ja biorę na siebie... łatwiej mi to przyjdzie niż tobie. Powiedz mi co potrafisz robić?

— Szyć... Dawniej pracowałam przy matce, następnie będąc zamężną, trochę zarabiałam szyciem.

— Musiałaś stracić wprawę przez te siedmnaście lat?

— Zapewne, odrzekła pochylając głowę.

— Zresztą igłą tak mało można zarobić—dodał ksiądz.—Czy zgadzasz się, bym ja wyszukał ci zajęcie?

— Byłabym bardzo wdzięczną księdzu.

— Przychodzi mi taka myśl: W kościele św. Sulpicyusza, w którym mieszkam czasami kazania i którego proboszcz jest moim przyjacielem, mogę wyrobić ci pozwolenie na sprzedaż różnych przedmiotów, jak książki do nabożeństwa, katechizmy, obrazki, medaliki, różańce i t. p. Zbyt ich będzie łatwy i klientela pewna, choćód zaś, jakkolwiek skromny, będzie jednak większy niż z pracy igłą... Do kościoła św. Sulpicyusza uczęszczają najbogatsze rodziny z przedmieścia Saint-Germain, które często składają datki dość znaczne.

— Ależ—zawołała Janina—przyjmowanie takich datków byłoby żebranią!

— Nie moje dziecko, gdyż nie prosiłabyś o nie. Te oznaki rzeczywistego miłosierdzia nie powinny obrażać twej dumy. To rzecz tak naturalna, gdy bogatszy przychodzi z pomocą uboższemu, a mniejsza o to w ja-

kiej formie ją okazuje. Tego rodzaju jałmużna nie ma w sobie nic ubliżającego. Zresztą, nie będzie ona stanowiły jedyne go twego dochodu. Zarekomenduję cię pewnej fabryce bielizny kościelnej, ornatów i innych przedmiotów, od której będziesz mogła brać roboty łatwiejsze, co także przyniesie ci pewien dochód. Czy zgadzasz się?

— Z największą wdzięcznością.

— Nie mów o niej... Przyrzekłem twemu mężowi opiekę nad tobą, spełniam więc tylko obowiązek. Dziś jeszcze zajmę się tem. Za kilka dni obejmiesz miejsce, o którym ci mówiłem i nadto dostaniesz pracę. Tymczasem Rajmund wyszuka ci w okolicy św. Sulpicyusza mieszkanie i umebluje je według twoich wskazówek. Następnie pójdzie z tobą do magazynu w którym wybierzesz sobie przedmioty do swego sklepiku przenośnego, ustawianego codziennie w rogu wielkiego portyku kościoła. Rozumie się, że biorę na siebie wszystkie wydatki, jak również opłatę mieszkania, dopóki nie będziesz mogła opłacać je sama.

— Jakiż ksiądz jest dobry!—ze łzami w oczach zawołała Janina.

— Powtarzam ci jeszcze raz, że nic nie czynię osobliwego, spełniam tylko mój obowiązek. Zaciągnąłem go względem twego męża, człowieka, który zginął dla kraju i którego ostatnie technienie przyjąłem. On z nieba widzi, że z radością spłacam mój dług!... Nie trać nadziei, biedna matko! Bóg, który pozwolił mi spełnić ten obowiązek, może nie odmówi mi i szczęścia większego—powrócenia ci dzieci.

— To mój biedny Paweł opiekuje się mną... to on postawił na mej drodze człowieka, jak sam Bóg dobrego... Ach kiedyż będę mogła uklęknąć na jego grobie...

— Jutro zawiozę cię sam na cmentarz wersalski i pomodłę się razem z tobą.

W tej chwili do gabinetu weszła Pelagia i podała księdzu przyniesiny przez posłańca list.

Raul otworzył go i przeczytał co następuje:

„Kochany kuzynie!

Dziś o godzinie dziewiątej wieczorem ma przybyć do nas notaryusz, w celu zdania sprawy z delikatnej misji, jaką poruczyliśmy mu oboje, oczekuję więc ciebie, pragnęłabym bowiem byś był obecnym podczas jego wizyty.

Henryka Rollin“.

Ksiądz schował list do szufladki biurka, poczem rzekł do Pelagii.

— Podasz obiad o pół do siódmej z jednym więcej, nadto w gabinecie obok twego pokoju przygotujesz łóżko dla pani Janiny Rivat, która na kilka dni zamieszka u nas i razem z nami będzie jadła.

— Dobrze, proszę księdza—odrzekła służąca i zaprowadziła Janinę do jej pokoju.

Ksiądz d'Areynes siadł z Rajmundem do przerwanej pracy, ale pod wpływem otrzymanego przed chwilą listu był zamysłony i pochmurny.

#### IV.

W małym, zbyt kownie umeblowanym saloniku, należącym do apartamentu, zajmowanego przez panią Rollin i jej córkę w pałacu przy ulicy Vaugirard, trzy osoby siedziały przy stole oświetlonym lampą, której wielki abażur różowy ozdobiony był wstążkami i koronkami.

Osobami temi były: Henryka, Marya Blanka i Lucyan de Keruoël, młody człowiek, którego przed siedemnastu laty, gdy był jeszcze dzieckiem, poznaliśmy

w towarzystwie ojca w szpitalu wersalskim przy łózkach rannych marynarzy.

Henryka milcząca i zamysłona haftowała, Marya Blanka wyszywała na kanwie własnego układu deseń kolorowy, Lucyan z zajęciem czytał głośno jakąś powieść Dickensa.

Biedna Henryka wielce zmieniła się od czasu, w którym widzieliśmy ją prawie umierającą w piwnicy domu przy ulicy Servan.

Gęste przedwcześnie zbielałe włosy otaczały jej czoło, pokryte licznymi zmarszczkami; blade rysy nosiły piętno długich cierpień; smutne jak gdyby mgłą lez zasnuły oczy zbladły od płaczu.

A przecież miała dopiero czterdzieści trzy lata!

Ale biedna męczennica tak wiele wycierpiała!

Opuszczona przez męża, zajętego tylko rozrywkami, znajdowała tylko pociechę jedynie w towarzystwie Maryi Blanki.

Zajęta wychowaniem tego dziecka, które uważała za własne, otaczając je bezustanną troskliwością, żyjąc zdala od hałaśliwego życia, tak ulubionego przez Gilberta, Henryka zdołała uczynić z Maryi Blanki istotę, nie tylko wykształconą, lecz i obdarzoną wszystkimi przymiotami duszy i serca.

Usiłowała ona wszelkimi środkami nawrócić Gilberta, dać mu do zrozumienia, jak jego wybryki były dla niej ubliżającymi i mogły szkodzić szczęściu ich córki, ale wszelkie prośby, lzy, błagania, pozostały bezowocnymi.

Gilbert opanowany namiętnością użycia, dobrawszy się pieniędzy, myślał tylko o odwecie za dawne chwile niedostatku i używał ich w sposób, który prędzej lub później musiał sprowadzić katastrofę.

Na nieśmiałe i rozsądne uwagi Henryki odpowiadał tylko zniewagami.

Pod wpływem takiego postępowania Henryka powoli utraciła swą miłość a następnie i wszelki szacunek dla niego.

Doszła do tego, iż mówiła sobie:

— Mój stryj i kuzyn znali go dobrze!... Ten człowiek nie ma ani serca, ani sumienia!... Ach jakaż ja byłam zaślepiona!...

Henryka pod ciężarem tych cierpień byłaby uległa, gdyby widok córki nie dodawał jej odwagi i siły.

Lucyan Kernoël był młodzieńcem przystojnym, liczył lat dwadzieścia ośm, miał włosy ciemne, wielkie czarne o aksamitnym odblasku oczy, przemawiające łagodnością i siłą, woli, twarz inteligentną i postawę szlachetną.

Marya Blanka, piękna jak anioł, przez dziwny kaprys natury, uderzająco była podobną do swej siostry bliźnięcej, młodej infirmerki z zakładu obłąkanych w Blois—może tylko nieco węższą i delikatniejszą, co zresztą było wynikiem otoczenia, w którym się wychowała.

Widząc je obok siebie, możnaby było dopatrzeć pewne pomiędzy nimi różnice, wynikające z odmiennego sposobu wychowania i przyzwyczajień, ale spotykając je oddzielnie, niepodobna było odróżnić jednej od drugiej.

Marya Blanka miała to samo spojrzenie, ten sam uśmiech, ten sam głos łagodny i harmonijny, te same ruchy naturalne i przyjemne.

Dusze ich i serca, zarówno jak kształty, były te same; obie były jednakowo łagodne, litościwe, gotowe do poświęceń.

Marya Blanka ubóstwiała Henrykę, którą uważała za swą matkę i w jej towarzystwie czuła się najszczęśliwszą, a szczęście to stawało się jeszcze wię-

kszem, gdy do pałacu przybywał Lucyan de Kernoël, co zresztą zdarzało się dość często.

Oprócz jego wizyt obie kobiety nie miały innych rozrywek, chyba—jeżeli godzi się rzeczy świeckie stawiać obok świętych—nabożeństwo w kościele św. Sulpicyusza, do którego chodziły codziennie i często z Lucyanem.

Marya Blanka szczerze kochała i szanowała księdza Raula, za to dla Gilberta Rollina odczuwała niechęć, graniczącą prawie ze wstrętem.

I jak mogło być inaczej, jakim sposobem mogła ofiarować część swego serca człowiekowi, który nigdy nie miał dla niej serdecznego słowa, pieszczoty, uśmiechu, pocałunku ojcowskiego?

Zwrócony na nią wzrok jego przejmował ją przestraszeniem.

Od najmłodszych lat widziała jak brutalnie postępował z jej matką i bolesne to wrażenie pozostało w niej na zawsze.

Obecność Lucyana de Kernoël w towarzystwie obu mieszkanek pałacu przy ulicy Vaugirard, nie była przypadkową.

Rodzice jego, jak czytelnikom wiadomo, trzymali do chrztu Maryę Blankę i od tego czasu utrzymywał przyjacielskie stosunki z rodziną Rollinów, a właściwie z Henryką, gdyż o ile ją szanowali, jak na to zasługiwała, o tyle surowo potępiali Gilberta za jego ogoizm i postępowanie.

Po wojnie i stłumieniu powstania pan Kernoël otrzymał posadę w ministerjum marynarki, a gdy po kilku latach żona jego zmarła, wyjechał do Brestu, gdzie powierzono mu dowództwo nad pułkiem, przeznaczonym do wzmocnienia wojsk, zajmujących Kochinhinę.

Było to w r. 1876.

Lucyan miał wtedy lat szesnaście i kształcił się

w liceum św. Ludwika, opiekę zaś nad nim miał, uproszony przez hrabiego, ksiądz d'Areynes.

Lucyan był chłopcem pracowitym, zdolnym, rokującym najpiękniejsze nadzieje i już wtedy wszystkie wolne od pracy godziny spędzał w domu Rollina, w towarzystwie Maryi Blanki, której piękność i urok dziecinny pociągały go z nieprzepartą siłą.

Po ukończeniu liceum, pozostając pod wpływem kilku przeczytanych książek, wybrał karierę lekarza i postanowił poświęcić się psychiatrii.

W tym czasie ojciec jego przeniesiony został do Guyany.

W chwili, w której spotykamy Lucyana w towarzystwie pani Rollin i jej córki, był on już doktorem medycyny i pomocnikiem d-ra Charet, naczelnego lekarza w szpitalu Salpêtrière.

Henryka domyślała się uczuć Lucyana dla jej córki i była z nich uszczęśliwioną, a myśl połączenia ich węzłem małżeńskim stanowiła jej najpiękniejsze marzenie.

Zapytany o radę ksiądz d'Areynes chętnie zgodził się na ten projekt, lecz dodawał:

— Nic niema pilnego, Marya Blanka jest jeszcze za młodą; poczekajmy niech się rozwinie.

Tymczasem zaszły nowe wypadki: cierpienia Henryki wzmagały się, bolesne przecucia ogarniały ją coraz mocniej, postępowanie męża przejmowało ją przestrawieniem.

Zdarzało się, że Gilbert pędząc życie po za domem, całymi tygodniami nie pokazywał się wcale.

Henryka nie mogła, przez szacunek dla samej siebie, spoglądać obojętnie na podobne zachowanie się, najłagodniejsze zaś wymówki wywoływały ze strony Gilberta coraz gwałtowniejsze zniewagi.

Do pałacu zaczęli zgłaszać się wierzyciele z ża-



daniom wypłaty zaciągniętych przez Gilberta długów, napływały listy anonimowe, odsłaniające skandaliczne życie jego po za domem, lub powiadamiające o sumach przegranych w karty i utrzymywanych kochankach.

Henryka widząc zagrożoną przyszłość swej córki i wychyliwszy już do dna czarę cierpień, zdobyła się nareszcie na energię i uciekła się do środków, których dotychczas użyć nie miała odwagi.

## V.

Notaryusz rodziny d'Aseynes, posiadający w depozycie pozostały po hr. Emanuelu majątek, pierwszy powiadomił Henrykę o smutnym stanie interesów Gilberta.

Następnie uproszony przez nią o przeprowadzenie sekretnego śledztwa i wykazania ścisłej cyfry jego długów, wywiązał się w ciągu miesiąca z tego zadania i pragnąc powiadomić Henrykę o rezultacie, zapowiedział jej swą wizytę, o której już wiemy z listu jej do księdza d'Areynes.

\* \* \*

Lucyan od czasu do czasu dla odpoczynku przerywał czytanie i spoglądał na Blanę, która odczuwając jego spojrzenie, zwracała również swój czysty wzrok na niego.

Młodzi ludzie kochali się i wiedzieli o tem, choć nigdy ze swą miłością nie zwierzali się sobie.

Nieraz Lucyan miał ma ustach wyrazy wyznania, lecz nie śmiał ich wypowiedzieć, bał się bowiem, aby pani Rollin nie wzięła to za nadużycie udzielonej mu swobody.

— Naprzód matce wyznam mą miłość—myślał— i poproszę ją o otworenie mego serca przed Blaną.

Słostry bliźniaczki.

Miał wznowić czytanie, gdy weszła pokojowa i zaanonsowała wizytę księdza d'Areynes.

Pani Rollin, jej córka i Lucyan pośpieszyli na przeciw księdza, który uściskał dłonie swej kuzynki i młodego lekarza, zaś Blankę pocałował w głowę.

— Kochany kuzyn—rzekła Blanka z udaną powagą—nie zasługuje, abyśmy kochały go tak jak kochamy.

— I dla czegoż to mianowicie?—zapytał ksiądz z nśmiechem.

— Zapomina o nas. Prawie cały miesiąc nie widziałyśmy kuzyna.

— Widziałas mnie zeszłej niedzieli w kościele św. Sulpicyusza na kazaniu.

— To się nie liczy... należy przyjść do nas.

— Mam wiele zajęcia i wierz mi, jeżeli nie przychodzę tak często jak pragnąłbym, to dla tego tylko iż brak mi czasu.

A zwróciwszy się do Lucyana dodał:

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość.

— Od mego ojca?

— Nie, od rady dobroczynności publicznej.

— Czy w kwestyi posady lekarza pomocnika w zakładzie dla obłąkanych.

— Tak.

— Cóż, jest nadzieja?

— Więcej niż nadzieja,—pewność.

— Dziękuję księdzu serdecznie. Kiedyż mam ob-  
jąć obowiązki?

— Nie prędko, dopiero za pół roku.

— Rzeczywiście...

— A cóż to znaczy! Przez ten czas dopełnisz studyów w Salpêtrière i będziesz odwiedzał moją kuzynkę. Zdaje mi się, że to skróci ci czas. Ale jest jeszcze jedna rzecz,

— Cóż takiego?

— Obejmując tę posadę będziesz musiał opuścić Paryż.

Lucyan usłyszawszy te słowa zbladł.

— Opuścić Paryż!—powtórzył.—Dla czego?

— Dla tego, że zakład do którego zostałeś przeznaczony, znajduje się na prowincyi, w Joigny.

Zmieniona twarz Lucyana odzyskała dawny wyraz

— Przestraszył mnie ksiądz naprawdę—odrzekł śmiejąc się.—Myślałem, że wysła mnie na koniec świata, tymczasem tylko do Joigny.—To prawie to samo co w Paryżu... Spacer...

— Jednak nieco za długi—wtrąciła Marya Blanka.

— Lucyan—rzekł ksiądz—będzie mógł raz na tydzień przyjeżdżać pociągiem, zjeść z wami obiad, wyruszyć z powrotem o dziesiątej wieczorem i o pół do pierwszej być w Joigny.

— Tylko raz na tydzień—zauważyła niezadowolona Blanka—to niewiele.

— W tem życiu—należy umieć kontentować się małym—odrzekł ksiądz, spoglądając na Henrykę wzrokiem, który oznaczał:—Jak oni się kochają!

— Jakież to zakład, czy rządowy?

— Nie, prywatny, zostający pod kierunkiem jednego z najuczestniejszych specjalistów.

— I pod zarządem Rady dobroczynności publicznej?

— Wcale nie. Otrzymałeś tę posadę dzięki stosunkom przyjacielskim dyrektora Rady dobroczynności publicznej z dyrektorem zakładu w Joigny. Dyrektor Rady nie mając na razie żadnej posady wakującej w szpitalach rządowych, pragnąc zrobić mi przyjemność, prosił swego przyjaciela o posadę w jego zakładzie.

— Ciesz się mnie to tem więcej—odrzekł Lucyan,— że naczelnym lekarzem zakładu prywatnego jest zupełnie

niezależnym i nie doznaje przeszkód od administracyi, często niezgadzających się z potrzebami zakładu. Tem łatwiej będę mógł uzupełnić me studia. Jak się nazywa dyrektor tego szpitala?

— Doktor Giroux. Czy znasz go?

— Tylko ze słyszenia. Rzeczywiście, jest podobno bardzo uczony.

— Będziesz musiał pojechać do Joigny dla umówienia się o pensję... Doktor Giroux jest już uprzedzony.

Rozmowę przerwał wchodzący do salonu notaryusz.

— Moja Blanko—rzekła Henryka—ponieważ mamy pomówić o interesach, a rozmowa może przeciągnąć się długo, idźcie więc do biblioteki i czytajcie sami. Pan Lucyan zaś—dodała zwracając się do niego—ma o godzinie dziesiątej pożegnać Blankę i powrócić do domu. Oto mój rozkaz!

— Wypełnię go święcie.

Po wejściu do biblioteki Blanka usiadła na fotelu przy stole, założonym książkami i broszurami i po chwili milczenia rzekła:

— Więc wkrótce wyjedziesz pan z Paryża i od-tąd rzadko będziemy się widywali... a kto wie, czy jakie przeszkody nie powstrzymają pana od przyjazdu. Przepadły nasze zebrania i rozmowy, jedyna rozrywka w naszej samotności.

I dla Lucyana to blizkie rozstanie się było bolesne, lecz z udanym spokojem odrzekł:

— Nie potrwa to długo... rok, najwyżej dwa lata. Zresztą Joigny jest niedaleko, często więc będę mógł przyjeżdżać na kilka godzin.

— Praca może panu przeszkodzić—smutnie odrzekła Blanka.—Będziesz pan myślał tylko o nauce i zapomnisz o tych, co cię kochają.

— Ja miałbym zapomnieć—zawołał Lucyan, bo-

leśnie dotknięty takim przypuszczeniem.—Jak pani może pomyśleć coś podobnego. To jest okrucieństwem!

— Czy sądzisz pan, że ja nad tem nie cierpię?

— Ale to nie powód do powątpiewania o mnie.

Więc pani może zapomnieć?

— Ja! nigdy!

I nie mając siły dłużej panować nad sobą, rozplakała się.

Lucyan zmieszał się niezmiernie, gdyż te łzy Blanki były wymownem wyznaniem miłości.

Zapomniał o postanowieniu i pozwolił swobodnie przemówić swemu sercu.

— Blanko—rzekł siadając przy niej—przez wiele lat żyliśmy obok siebie i poznaliśmy się dobrze. Pomny na obowiązek względem rodziny, która uczyniła mi zaszczyt, obdarzając mnie zaufaniem, milczałem dotychczas o nadziejach i marzeniach przepelniających moje serce. Do dnia dzisiejszego nie śmiałem wypowiedzieć ci tego, o czem nie mogę zamilczeć już teraz. Łzy twoje zmusiły mnie do wyznania. Kocham cię Blanko... nie jak brat, lecz jak narzeczony. Blanko droga, powjedz, czy kochasz mnie tak samo?

— Lucykanie—szepnęła zmieszana, lecz uszczęśliwiona.

— Odpowiedz mi droga Blanko—mówił z zapalem—czy kochasz mnie o tyle, byś mogła przysiąc, że będziesz tylko moją? że serce twoje będzie uderzało tylko dla mnie? Powiedz!...

Podniosła zarumienioną twarz i głosem jak szept cichym odrzekła:

— Wiedziałam, że kochasz mnie... i ja kocham ciebie...

— I będziesz kochała zawsze?

— Zawsze.

— Przysięgasz mi to?

— Przysięgam.

Lucyan ujął jej ręce i pokrył je pocałunkami.

— I ja, Blanko, przysięgam, że będę cię kochał do ostatniej chwili życia... że będziesz ostatnią moją myślą. A teraz powiem ci, że jeżeli mój wyjazd sprawia ci tyle cierpienia, że wywołuje aż łzy z oczu, to zrzekam się posady, o którą ksiądz d'Areynes wystarał się dla mnie... Znajdę jakiś pretekst... a będzie najlepiej gdy wyznam prawdę, że cię kocham, że nie mam odwagi rozstać się z tobą...

— Nie czyni tego, Lucyane—odrzekła Blanko,—powinieneś myśleć o naszej przyszłości... Mówmy rozsądnie... Czego mamy się lękać, będąc pewnymi siebie? Co znaczy chwilowe rozstanie, skoro wiemy, iż będziemy należeli do siebie? Owszem, jedź do Joigny. Przykro mi będzie żegnać cię, ale pozostanie mi nadzieja powrotu twego i wspomnienie dzisiejszego wieczoru. Cierpliwie będę czekała dnia, w którym mając już sławę na polu naukowem, oświadczysz mojej matce i księdzu d'Areynes: Dajcie mi Blankę za żonę... kochamy się!..

— Blanko droga—zawołał Lucyan upojony miłością—czy zawsze będziesz tak myślała?

— Zawsze!

— Cokolwiekby nastąpiło?

— Bezwarunkowo. A zresztą cóż mogłoby stać na przeszkodzie do naszego związku? Wierz mi, że nie w świecie nie zmieni mego serca i nie złamię mej woli!.. Należę do ciebie, jak ty do mnie, na zawsze.

Lucyan powtórnie ucałował ręce Blanki.

— Ufam ci...

Wybiła dziesiąta.

— Naznaczony nam przez matkę czas upłynął,—rzekła Blanko powstając.—Użyliśmy go dobrze... A teraz będziemy posłuszni i rozejdziemy się.

Do widzenia... do jutra.

Lucyan złożył pocałunek na czole Blanki i oddalił się.

\* \* \*

Notaryusz rodziny d'Areynes, obejmując zarząd spadku po hr. Emanuelu, wziął na siebie zadanie czuwania nad nim z troskliwością ojcowską.

Korzystając z udzielonej sobie plenipotencji, polokował kapitały korzystnie, zarządził cięcia wyrębów leśnych i tym sposobem znacznie powiększył dochody.

Ale co to wszystko znaczyło?

Marnotrawstwo Gilberta, któremu żona, pomimo doświadczenia, pozwoliła rozporządzać się dochodami, doprowadziło interesa do takiego stanu, że notaryusz postanowił powiadomić o nim Henrykę.

Nie chciała mu wierzyć i zażądała dowodów.

Zebrał je i przybył przedstawić.

— Przedewszystkiem — oświadczyła Henryka, — muszę podziękować panu za pośpiech, z jakim spełniłeś moją prośbę. Przez pamięć na mego stryja zachowałeś pan przyjaźń i dla mnie i to ośmieliło mnie prosić cię o pomoc. Wdzięczną jestem panu nie-skończenie...

— Niech pan i odemnie przyjmie serdeczne podziękowanie—rzekł ksiądz d'Areynes.

Te szczere dowody wdzięczności wzruszyły notaryusza.

— Czy może mi pan udzielić szczegółów, o które prosiłam?—zapytała Henryka.

— Mogę, ale...

— Ale co?

— Nie wiem, czy będę mógł powiedzieć o wszystkim, są bowiem rzeczy zbyt bolesne dla serca kobiety i matki.

— Może pan mówić wszystko—smutnie odrzekła pani Rollin.—Serce moje przywykło do cierpień i chyba nie może już być większych nad te jakie przeżyłam.

Powiem więc całą prawdę, choć ona będzie bolesną.

Otworzył portfel, wyjął z niego pokryty pismem i cyframi arkusz papieru i rzekł:

— Dzięki usiłowaniom, przedsięwziętym przed ośmioma laty, dochody z majątku, legowanego pani przez nieodżałowanego klienta mego, hr. Emanuela d'Areynes, udało mi się powiększyć o trzydzieści tysięcy franków rocznie. Tym sposobem otrzymała pani zamiast stu siedmdziesięciu, dwieście tysięcy franków, które [mimo chęci musiałem wręczać panu Gilbertowi Rollin, na mocy plenipotencyi, tak nieroztropnie udzielonej mu przez panią.

— Czyż mogłam postąpić inaczej? — szepnęła Henryka.

— Mogłaś kochana kuzynko — odrzekł ksiądz d'Areynes—gdyż znałaś go już. Ta słabość twoja przecież już przed śmiercią, naszego stryja doprowadziła was do nędzy.

Henryka pochyliła głowę.

Wiedziała, że wyrzut księdza był sprawiedliwy.

— Tak więc—mówił dalej notaryusz—pan Rollin przez ośm lat wybrał milion sześćset tysięcy, a przez lat siedmnaście, trzy miliony sto trzydzieści tysięcy franków... Jak pani widzi, suma okazała!

— Zdaje mi się, że sto siedmdziesiąt tysięcy franków rocznie wystarczyłyby na utrzymanie domu—zauważyła Henryka.

— Zapewne, ale pan Rollin był innego zdania.

— Mąż mój zapewniał mnie, że jego konie wyścigowe przynosiły mu wielkie dochody.



— Mąż pani rzeczywiście wygrywał znaczne sumy, ale one nie pokrywały wydatków, ponoszonych na utrzymanie stajni. Krótko mówiąc, długi męża pani wynoszą obecnie czterysta dwadzieścia sześć tysięcy franków.

— Czterysta dwadzieścia sześć tysięcy franków!— powtórzyła przestraszona Henryka.

— Dług ten byłby o wiele większym, gdyby pan Rolin nie wygrywał w karty sum, większych niż jego dochody ze stajni.

— Co pan przez to rozumie?

— Ze mąż pani jest bardzo szczęśliwym w grze, że po wielkiem niepowodzeniu przez czas jakiś, służy mu obecnie szczęście tak wielkie, iż pozwoliło mu ono spłacić część długów.

Notaryusz odczytał pojedyncze cyfry długów, należnych fabrykantom powozów, handlarzom koni, siodlarzom, kupcom zbożowym, krawcom, szewcom, wekslarzom i t. p. potem zatrzymał się.

— Czy to już wszyscy?—zapytała Henryka.

— Nie, pani.

— Dla czegoż pan zawahał się?

— Bo nie śmiem...

— Jestem przygotowaną na wszystko.

— Więc czytam dalej: P. Rollin pożyczył sto pięćdziesiąt tysięcy franków na cztery procent, na kupno pałacyku przy ulicy Prony.

— Pałacykul powtórzyli jednocześnie ksiądz dAreyne i Henryka.

— Który ofiarował swej oficjalnej kochance, pannie Oktawii.

— Boże mój!— wyszeptała Henryka, zakrywając twarz rękami.

— Której regularnie wypłaca co miesiąc pięć tysięcy franków, nie licząc rozmaitych prezentów.

Siostry bliźniaczki.

— Pieniądze żony, do których nie ma najmniejszego prawa, rozrzuca pomiędzy dziewczęta!—zawołał oburzony ksiądz d'Areynes. Ależ to jest nikczemnik!

— Wolałabym umrzeć!—zawołała Henryka.

— Nie—przerwał notaryusz,—powinna pani uzbroić się w odwagę i żyć, nie zostawić swego dziecka na łasce ojca marnotrawnego i wyrodnego.

— Na szczęście, nie może naruszyć samego majątku Blanki, gdyż kontrakt ślubny ustanowił separację dóbr.

— Jest opiekunem panny Maryi Blanki—odrzekł notaryusz.

— Zgoda, lecz nawet jako opiekun jest bezsilnym wobec zastrzeżeń zawartych w testamencie hr. Emanuela.

— Tak ksiądz myśli?

— Rozumie się.

— Więc muszę go wyprowadzić z błędu. Przypuśćmy na chwilę, co nie daj Boże, że pani Rollin umiera przed zamążpójściem panny Blanki.

— W takim razie—przerwała Henryka—córka moja odziedzicza majątek po moim stryju.

— Bezwątpienia, lecz ojciec jej, jako opiekun, może rozpocząć proces o unieważnienie testamentu.

— W jakim celu?

— W celu niedopuszczenia dziecka do użytkowania z majątku, które przysługiwało matce.

— To rzecz niemożliwa!—zawołał ksiądz.

— Na nieszczęście, bardzo możliwa! Czy p. Rollin zna tekst testamentu?

— Posiada kopię jego.

— Otóż, jeżeli p. Rollin zna kodeks, to musiał oddawna odkryć w testamencie słaby punkt jego, dający podstawę do unieważnienia.

— Do unieważnienia!—powtórzyła przestraszona Henryka.

— To ja na żądanie mego stryja redagowałem ten testament, i byłem przekonany, że nic nie może go obalić.

— Ksiądz temu nie winien. Nawet najzdolniejszemu prawnikowi, przy pisaniu najprostszyc na pozór zastrzeżeń, zdarza się nieraz zostawić furtkę do procesu. Ksiądz pragnął zabezpieczyć prawa swej kuzynki i jej dziecka, lecz nie znał prawa, nie wiedział o pewnym artykule kodeksu cywilnego, który mówi, że wszelkie użytkowanie traci moc swoją po trzydziestu latach.

— Nie wiedziałem o nim.

— Naturalnie, i nic w tem dziwnego.

— Jakież mogą być skutki tego?

— Zastrzeżenie testamentu, przyznające dziecku prawo użytkowania majątku, zatrzymuje się na temże dziecku. Przewidział ksiądz wypadek jego śmierci przed dojściem do pełnoletności lub zawarciem związku małżeńskiego, ale nie pomyślał o tem, co będzie, jeżeli ta śmierć nastąpi po objęciu użytkowania na mocy bądź pełnoletności, bądź małżeństwa. Nadto, nic nie powiedziano, co ma być po latach trzydziestu. Oto są furtki otwarte dla procesu. Opiekun lub mąż może, z nadzieją na zupełne powodzenie, wytoczyć proces o unieważnienie testamentu i żądać wydania mu majątku. Jeżeli pan Rollin odkrył ten słaby punkt, w takim razie co nastąpi na wypadek śmierci pani Rollin? Ten niegodziwy mąż i zły ojciec wyznaczy pannie Blance męża według własnego wyboru, porozumie się z nim jak o towar i dziecko pani obędzie z majątku.

— Pan mnie przeraża!—zawołała Henryka.

— Mówię pani, jak jest, otwieram jej oczy na to co nastąpi, jeżeli nie zdobędzie się pani na jakieś sta-

nowcze postanowienie, jeżeli nie położę pani tamy hańbiącemu postępowaniu swego męża.

— Ma pan słuszość—odrzekła Henryka.—Nie będę już tak słabą i zdobędę się na energię, by zabezpieczyć przyszłość i majątek mej córki. Przysięgam, iż nie dam naruszyć go, dopóki żyć będę. Co zaś do człowieka, którego przeznaczam jej na męża, to jestem spokojną, iż nie stanie się on spółnikiem swego teścia. Ręczę za jego uczciwość jak za swoją. Ale nie mogę pozwolić, by nazwisko jakie nosimy ja i córka moja, zostało splamione. Należy zapobiedz temu jak najprędzej! Niech pan poda sposób!

— Nie śmiem proponować pani rozwodu—rzekł notaryusz.

— I ma pan słuszość—odrzekł ksiądz d'Areyne.—Rozwód obraża prawa boskie i społeczne. Jestem pewny, że moja kuzynka odtrąci tę myśl.

— Naturalnie, że nie zgadzam się na nią. Będę i nadal nosiła nazwisko Gilberta Rollina, ale pragnę, by ten, który mi je dał, szanował je. Znadto byłam słabą i pokutuję za to. Ale zdobędę się na energię. Więc pan mówi, że długi mego męża wynoszą...

— Czteryście dwadzieścia sześć tysięcy franków.

— Należy zapłacić tę sumę.

— Czem?

— Pieniędźmi jakie pan posiada i jakie otrzyma ze sprzedaży moich brylantów.

— To nie wystarczy. Rozporządzam w tej chwili czterdziestu pięcioma tysiącami franków, których odmówiłem wczoraj p. Rollinowi, ażeby je zachować dla pani. Stanowią one resztę dwustu tysięcy franków, należnych pani za ten rok.

— Mamy dopiero lipiec, a pan już wypłacił mi sto pięćdziesiąt pięć tysięcy franków!

— Tak, pani.

Henryka zamysliła się, poczem zapytała:

— Czy nie wie pan, jaką sumę możnaby uzyskać ze sprzedaży stajni mego męża?

— Owszem, myślałem o tem i mogę pani odpowiedzieć.

Wyjął z portfelu drugi arkusz papieru, rozejrzył się w cyfrach i rzekł:

— Za budynki i materyał stajenny można dostać około trzystu siedmdziesięciu tysięcy franków, a za dwadzieścia dwa konie wyścigowe, z których kilka jest bardzo dobrych, może udałoby się na publicznej licytacji uzyskać sto dwadzieścia tysięcy franków.

— Razem?

— Czterysta dziewięćdziesiąt pięć tysięcy franków.

— Więc różnica aktywów i pasywów wynosi?

— Sześćdziesiąt dziewięć tysięcy franków na korzyść aktywów.

— Dobrze. Teraz proszę mi powiedzieć, co winnam uczynić, aby niedozwolić memu mężowi pobierania dochodów z majątku?

— Zawiadomić mnie urzędownie o odwołaniu danej panu Rollinowi plenipotencji. Mogę to pani ułatwić... potrzeba do tego tylko podpisu pani.

— Niech pan będzie łaskaw uczyni to niezwłocznie.

— Kuzynko kochana! — zawołał ksiądz d'Areynes, — cieszę się słysząc cię mówiącą w ten sposób. Stań się nareszcie kobietą, energiczną, jaką powinnaś być! Naprawisz choć w części błąd, jaki popełniłem sądząc, że zaprojektowałem testament niewzruszony. Należało poradzić się prawnika, lecz nie było czasu. Za sześćdziesiąt tysięcy franków na rok możesz żyć bardzo wygodnie i oszczędzisz tym sposobem sto czterdzieści tysięcy franków, które do dnia pełnoletności Blanki utworzą kapitał pięćset sześćdziesiąt tysięcy franków.

Co się zaś tyczy owego nieszczęśliwego punktu w te-  
stamencie.

— Niech ksiądz o tem nie mówi, na razie nie-  
bezpieczeństwa niema, pomówimy o tem później. Teraz  
chodzi o to, by pani Rollin wystąpiła stanowczo.

Henryka przywołała służącego i zapytała:

— Czy pan Rollin w domu?

— Przybył w tej chwili.

— Poproś go, by był łaskaw przybyć do mnie.

Służący wyszedł.

— Co zamierzasz uczynić? — zapytał ksiądz  
d'Areynes. |

— Chcę w obecności panów ośwadczyć mu moją  
wolę... chcę, by widząc mnie z panami, zrozumiał, że  
mam przyjaciół, którzy wystąpią w obronie mojej.

— Ach czemuż nie byłaś zawsze taką! — rzekł  
ksiądz.

Wszedł Gilbert.

Ex-kapitan 3-ej kompanii 57-go batalionu gwar-  
dyi narodowej, były spółnik Serwacego Duplata, przez  
ostatnie kilkanaście lat postarzał się znacznie.

Postać jego pozostała sztywną, ale twarz nosiła  
ślady zmęczenia, życia gorączkowego i rozpusty.

Nadużycie uciech przygasiło wzrok, pofałdowało  
policzki i czoło.

Wprawdzie niezmierna dbałość o swą osobę, uży-  
cie kosmetyków, farb do włosów, pudru, i welutiny  
urzymywały pozory młodości, ale złudzenie to zniknęło  
prędko po bliższem przyjrzeniu się.

Zyczenie Henryki rozmówienia się z nim o tak  
późnej porze zdziwiło go, lecz nie wywołało niepokoju.

Jednak gdy wszedł do salonu i spostrzegł księdza  
d'Areynes i notaryusza, poczytał obecność ich za złą  
wróżbę.

— Szanowny ksiądz i kochany notaryusz—zawo-

łał podchodząc ku nim.—Czemuż mam zawdzięczać tę przyjemną wizytę? Dziękuję ci, Henryko, żeś zawiadomiła mnie.

Wyciągnął do księdza rękę prawą, do notaryusza lewą, ale jak jeden tak i drugi skłonili się tylko i dłoni nie podali.

Było to wyraźne wypowiedzenie wojny.

Gilbert namarszczył brwi.

## VI.

— Kuzyn mój Raul i mój przyjaciel pan notaryusz—rzekła Henryka chłodno, przybyli nie przypadkiem, lecz na moją prośbę. Zapewne nie domyślasz się, dla czego wezwałam cię.

— Więc objaśnij mnie—rzekł ironicznie.

— Właśnie chcę to uczynić. Pragnęłam w obecności tych panów, których prosiłam o radę, wyrazić ci moją wolę, do której mussiz się na przyszłość zastosować.

Gilbert, usłyszawszy te słowa, tak niezgodne ze słabym, łagodnym charakterem Henryki, domyślił się, iż musiało zajść coś bardzo ważnego.

— Co to jest?—odrzekł, udając obrażonego,—chcesz mi dyktować prawa! wymagasz odemnie uległości? Co znaczy ten ton imponujący, którego powodu nie rozumiem?

— Bo nie chcesz zrozumieć...—odrzekła Henryka.—Oddawna powinnam była zająć względem ciebie postawę, która tak razi cię dzisiaj. Gdybym tak postępowała od początku, oszczędziłabym sobie wiele cierpień i łez i może nie dozwoliłabym ci upaść tak nisko, jak upadłeś!...

Gilbert oburzył się, zapanował jednak nad gniewem i odrzekł pogardliwie.

— Nie wiem jak dalece upadłem, ale nie wiedziałem również, że kobieta naszej sfery może upaść tak nisko, by wobec świadków wyprawiać mężowi scenę domową. Jeżeli ci panowie dali taką radę, to winszuję im. Pozwól, że się oddalę i pozostawię ci możliwość spiskowania z ludźmi dla mnie obcymi i tem samem nie mającymi prawa mieszania się do spraw moich.

I zwrócił się ku drzwiom, ale Henryka powstrzymała go imponującym gestem.

— Nie wyjdiesz—zawołała—i musisz wysłuchać mnie! Nie unikniesz tego, co podobało ci się nazwać sceną domową, aby zapewne udać się do pałacyku przy ulicy Prony, do swej kochanki Oktawii!

Gilbert nie przypuszczał, że Henryka wie o tem. Pozycya jego stawała się krytyczniejszą niż sądził.

— Widzisz,—mówiła dalej pani Rollin—że czas skończyć z tem. Czas ze względu na nazwisko i na przyszłość mej córki. Czy wiesz ile wynoszą długi twoje?

— Długi moje obchodzą mnie tylko!—wyniośle odrzekł Gilbert.

— I mnie także, gdyż wieźciele twoi przychodzą do mnie upominać się o wypłatę, sądząc, że ze względu na honor nazwiska oddam własne fundusze.

— To jest twoim obowiązkiem—rzekł Gilbert.—Wszystko co żona posiada należy do męża.

— A coś uczynił z temi funduszami? korzystając z plenipotencyi, którą tak nierozważnie udzieliłam ci, wybrałeś przez lat siedmnaście przeszło trzy miliony franków, które nie tylko roztrwonileś w całość, lecz nadto zaciągnąłeś długi! Nic dziwnego, ulicznice kosztują drożej niż żony prawe!.. Wiem w jaką przepaść błota stoczyłeś się! Ale nie pozwolę byś tarzał się



w nim dłużej! Długi twoje wynoszą prawie pół miliona... To hańba.

— Jeżeli długi moje upokarzają cię, to spłać je!— odrzekł szyderczo.

— Uczyniłabym to, choćby dla uwolnienia się od wierzycieli i komorników, nachodzących pałac z pozwami; ale nie mogę... Czyż posiadam co własnego? Wszystkie dochody obracasz nie na potrzeby domu, ale na zbytki i kochanki!

— Widać, że masz dobrą politykę—odrzekł Gilbert śmiejąc się.—Zaraz znać, że w liczbie szpiegów twoich muszą znajdować się prawnicy i księża, ludzie najbieglejsi w tem rzemiośle.

Książd d'Areynes i notaryusz zerwali się z siedzenia.

Raul podszedł do Gilberta i tonem surowym, patrząc mu w oczy rzekł:

— Nie myślę się bronić, ale odpowiem na pańskie zuchwalstwo. Księża, o których poświęceniu, litości i pobłażliwości wiadomo panu lepiej, niż komu innemu, nie są stworzeni do rzemiosła, o którym mówisz. Oburzają ich tylko zbrodnie spełniane przez innych; oni starają się powstrzymać od nich, jeżeli mogą... to ich obowiązek! Ale mówią głośno i działają jawnie. Księża towarzyszą przestępcom do podnóża gilotyny i o ile mogą, usiłują wywołać w nich żal za popełnione zbrodnie. I na tem tylko ograniczają się ich stosunki ze sprawiedliwością i polityką. Przypominam to panu, gdyż zdaje się, nie wiedziałeś o tem.

Nie potrzebuję nauk od nikogo!—Zawołał Gilbert rozwścieczony—jestem u siebie i proszę pana stąd wyjść!

— Mylisz się pan—po raz pierwszy gwałtownie odezwała się Henryka.—Nie jesteś pan u siebie, lecz

u mnie i powinienes szanować odwiedzających mnie przyjaciół.

— Pan Rollin—rzekł z kolei notaryusz—wypowiedział przed chwilą, pod mym adresem słowa, jak zdawało mu się—złośliwe. Mógłbym odpowiedzieć na nie, lecz do czego to posłuży?—pogardzam niemil. Uczyniłem co uważałem za obowiązek, jak to czynię zawsze i szczytę się tem!

— Przekroczyłeś pan swoje prawa! — odparł Gilbert.

— W czym, jeśli łaska?

— Księgi notaryusza powinny być tajemnicą jak kontesyonął kapłański. Żaden sekret klienta nie powinien być rozgłaszany!

— Pan nie jesteś moim klientem. Znam pana tylko jako pełnomocnika pani Rollin, upoważnionego do odbierania jej dochodów, więc nie jestem obowiązany względem pana zachowywać tajemnicy. Będąc upoważnionym do zarządzania majątkiem, którego bratanica nieboszczyka hrabiego Emanuela d'Areynes jest użytkowniczką i z którego dochodów nie potrzebuję zdawać panu rachunków, byłem obowiązany czuwać nietylko nad tym majątkiem i dochodami, lecz i nad użyciem tych dochodów. Potrzebuję wiedzieć, czy osoba, której wypłacam, wręcza je właścicielce prawej. Zasięgnąłem więc wiadomości i przekonałem się, że obawy moje były uzasadnione. Jeżeli zawiniłem, to tylko tem, żem zapóźno odkrył przemieszczenie mandataryusza i wcześniej nie powiadomił panią Rollin o niebezpieczeństwie, na jakie naraża ją i przyszłość jej córki niegodziwe postępowanie pańskie. Radziłem jej, by wszelkiemi środkami usiłowała zawrócić pana z drogi, u końca której spotkałbyś się z sądem! Wiem, że może jestem zbyt otwartym, lecz otwartość ta, człowieka uczciwego obrażać nie powinna!

Gilbert zzieleniał, ale nie utracił zimnej krwi i zwróciwszy się do Henryki, rzekł tonem szyderczym:

— Pan notaryusz wspomniał o sądzie.—Więc to przed sąd policyi poprawczej pragnęłaś mnie pani postawić, wzywając mnie do siebie.. Bo widzę, że mnie sądzą!

— Jak zasłużyłeś pan na to.

— Ja sam jestem odpowiedzialnym za moje czyny i nikomu nie pozwolę roztrząsać ich!

— Nawet mnie?—zapytała pani Rollin.

— Nawet pani!—zuchwale odrzekł Gilbert.

— Więc biorę sama to prawo i położę temu koniec! Dziś jeszcze odwołuję udzieloną panu plenipotentcyę. Ja sama odtąd będę odbierała dochody z majątku i będę niemi roporządzała! Ale nie będę dawała na zbytki i na utrzymanie kochanek. Masz pan długi—więc sprzedaj stajnie, konie i spłać je. Oprócz wydatków na dom, które zmniejszą znacznie, przeznaczam panu dwanaście tysięcy franków na rok, które otrzymywać będziesz do czasu pełnoletności lub zamążpójścia Blanki, a następnie już ona, stosownie do warunków testamentu, będzie obojgu nam wypłacała taką sumę i będziemy musieli zadowolnić się nią. Tymczasem będę mogła z oszczędności złożyć jaki kapitał na przyszłość. Taką jest moja wola!

— Wola twoja nie obowiązuje mnie—odrzekł Gilbert.

— Więc nie chcesz pan spłacić długów?

— Nie myślę nic sprzedawać. Nie zwykłem ustępować przed pogroźkami.

— Cóż mam uczynić, by zabezpieczyć przyszłość dziecka?

— Przedewszystkiem wyrzec się tego tonu imponującego, z którym ci tak nie do twarzy i następnie nie zmieniać nic w naszym obecnym położeniu.

— Ach! jak słusznie stryj mój pogardzał tobą!—  
zawołała Henryka—i jakiż mi dzisiaj wstyd, że cię  
kochała!

— Panie Rollin—odezwał się ksiądz, podchodząc  
ku niemu.—Od lat siedmnastu z obowiązku, jako jał-  
mużnik więzienny obracam się wśród szumowin społe-  
czeństwa, a jednak wśród tych wyrzutków wszelkiego  
rodzaju, złodziejów i zabójców, spotykałem serca mniej  
zepsute niż pańskie.

— Więc niech ksiądz powróci pomiędzy tych  
wyrzutków—odrzekł Gilbert szyderczo,—tam właściw-  
sze dla niego miejsce, aniżeli w tym domu, gdzie, mam  
nadzieję, nie zobaczę pana więcej.

— Noga moja tu nie postanie.

— Pozostaje mi więc tylko pożegnać pana.

— Nie pożegnać, lecz powiedzie: do widzenia,  
gdyż zobaczymy się jeszcze.

— Nie przypuszczam.

— A ja jestem pewnym!

— Gdzie?

— W la Roquette.

Gilbert drgnął, ale nie dał poznać tego po sobie.

— Dziękuję za kazanie, panie Jałmużniku!—rzekł  
tonem drwiącym.—Ustępuję panu miejsca. Powrócę tu  
gdy ukończysz pan spowiedź.

Zawrócił się na pięcie i nucąc jakąś aryę z ope-  
retki, wyszedł z pokoju.

— Ach! nizezemiak!—zawołała Henryka, pada-  
jąc na krzesło.

— Niech pani nie traci odwagi i myśli o przy-  
szłości—rzekł notaryusz.

— A przedewszystkiem, kochana kuzynko—do-  
dał ksiądz—nie czyn żadnego ustępstwa.

— Bądź o to spokojnym—odrzekła—ale nie opu-  
ścisz mnie?

— Nie mogę przychodzić do domu, do którego twój mąż zabronił mi wstępu i dopóki on będzie tutaj, nie pokażę się nigdy. Ale możesz z Blanką przychodzić do mnie.

— Niech pani pamięta, dorzucił notaryusz—że zawsze będę czuwał nad jej interesami i bronił ich.

— Dziękuję z całego serca... Rachuję na pana...

Było już około północy, gdy ksiądz d'Areynes i notaryusz opuścili pałac przy ulicy Vaugirard.

## VII.

Gilbert odważnie a raczej zuchwale stawiał czoło burzy.

Z kolei, o ile uważał za właściwe, wyniosły, złośliwy, lekceważący, pozostał panem siebie i nie utracił zimnej krwi.

Niemniej jednak był mocno zaniepokojony.

Pewne strony jego życia, starannie ukrywane przed Henryką, zostały odkryte.

Żona jego, podtrzymywana radami księdza d'Areynes i notaryusza, z pewnością nie cofnie swego postanowienia.

Wróciwszy do swego pokoju, był tak wzburzony, iż tłukł i łamał wszystko co popadło pod rękę.

Dopiero ulżywszy sobie w ten sposób, zaczął rozmyślać nad położeniem, jakie zamierzyła zgotować mu żona.

Dwanaście tysięcy franków na rok!

Ależ to godne śmiechu!

Od siedemnastu lat przywykł na miesiąc wydawać daleko więcej.

Co czynić?

Sprzedać konie wyścigowe i spłacić długi? Opuścić swą kochankę Oktawię, która pochlebiała jego

miłości własnej i zręcznem odgrywaniem miłości trzymała go pod swą władzą? Zadowolnić się nudnem życiem domowem, wyrzec się rozrywek i powoli umierać z nudów?

Za nic w świecie!

— Gdyby Henryka umarła—myślał—wtedy Blanka zostałaby na mojej łasce i mógłbym nadal prowadzić dotychczasowe życie. Wtedy i notaryusz musiałby milczeć, gdyż jako opiekun mej córki, miałbym prawo kontroli jej dochodów.

Zamyślił się, lecz po chwili odrzekł sobie:

— Nie... niebezpieczeństwo zbyt wielkie... należy czekać... Może wygram w karty...

Przywołał lokaja i kazał mu dla pośpiechu sprowadzić powóz, następnie wyjął z szufladki biurka paczkę biletów tysiącfrankowych i przeliczył je.

— Trzydzieści trzy tysiące—szepnął—co to znaczy... to na kilka tygodni...

Odłożył pięć biletów, które schował do pugilaresu, resztę zamknął w biurku i odjechał do klubu.

Szczyście na ten raz sprzyjało mu, gdyż wrócił nad ranem do pałacu z wygraną, wynoszącą dwadzieścia tysięcy franków.

Następnego dnia wypadły wyścigi, na których dwa konie jego były zaangażowane.

Przybyły one do mety pierwsze i zdobyły dwie nagrody, które wraz z zakładami uczyniły mu znowu piętnaście tysięcy franków.

Korzystając z powodzenia, tegoż wieczora jeszcze wyruszył do Monte Carlo, unosząc z sobą sześćdziesiąt tysięcy franków i nie zawiadomiwszy żony o wyjeździe.

\* \* \*

Rajmund Schloss, stosując się do życzenia księdza d'Areynes, wyszukał dla Janiny Rivat mieszkanie, po-

łożone przy ulicy Fereu w pobliżu kościoła św. Sulpicyusza, składające się z dwóch pokoików i malutkiej kuchenki.

W trzy dni później Janina otrzymała pozwolenie na umieszczenie w kruchcie świątyni sklepiku przenośnego, według rozmiarów przepisanych. Do przywożenia i odwożenia towarów Rajmund kazał zrobić skrzynię lekką, składaną i wózek ręczny.

Po kilku dniach Janina zasiadła już przy swym sklepiku i rozpoczęła życie nowe.

Osoba kupcowej w kruchcie kościoła św. Sulpicyusza, jej stosunkowo młody wiek, przy białych jak śnieg włosach, łagodna i melancholijna twarz, przez pierwszych kilka dni mocno zajmowały parafian.

Polubiono ją i chętnie kupowano w jej sklepiku służące do nabożeństwa przedmioty, dorzucając po nad cenę, ofiary, wynoszące niekiedy po parę franków.

Janina była na raz uszczęśliwioną i smutną: uszczęśliwioną, gdyż miała nadzieję zebrać środki na poszukiwanie swych córek; smutną—gdyż przyjmowanie tych ofiar upokarzało ją.

— Jest to jałmużna—mówiła sobie, ocierając łzy;—nie proszę, a jednak jestem żebraczką!

I rzeczywiście w całej parafii nazywano ją powszechnie „żebraczką od św. Sulpicyusza“.

Lucyan, zajęty obowiązkami w szpitalu Salpêtière, przez dwa dni nie miał czasu odwiedzić pałacu przy ulicy Vaugirard i pobiegł tam dopiero trzeciego dnia wczorazem.

Ale spotkał go zawód, gdyż odźwierna oświadczyła mu, że pani Rollin nie przyjmuje nikogo.

— Nawet mnie?—zapytał.

— Nikogo!

— Dlaczego?

— Pani od dwóch dni jest chora. Panienka nie opuszcza jej ani na chwilę. Lekarz był dzisiaj już dwa razy.

— Na co pani Rollin chora?

— Nie wiem.

— A pan Rollin w domu?

— Niema go; wyjechał.

— Kiedy powróci?

— I tego nie wiem.

Lucyan zaniepokoił się.

Zostawił bilet wizytowy i udał się do księdza d'Areynes.

— Co się stało?—zapytał Raul, spostrzegłszy jego twarz zmienioną.

— Wracam z ulicy Vaugirard—odrzekł Lucyan głosem drżącym.

— I zapewne pan Rollin zabronił wstępu... Rozumiem cię...

— Pan Rollin wyjechał. Nie przyjęto mnie, dla tego, że pani Henryka jest chora.

— Od jak dawna?

— Od dwóch dni.

— Któż ci to powiedział?

— Odźwierna, przytem dodała, że lekarz był dzisiaj już dwa razy: Blanką nie odchodzi od łóżka matki. Myślałem, że ksiądz wie o tem i dla tego przyszedłem zasięgnąć wiadomości bliższych.

— Nie alarmuj się, moje dziecko—odrzekł ksiądz... Henryka jest nerwową, być może, że po gwałtownej scenie, jaką przed dwoma dniami miała z mężem z powodu interesów pieniężnych, zachorowała ze wzruszenia. Dowiemy się zresztą od jej lekarza, d-ra Germain.

— A ksiądz nie mógłby udać się do niej?



— Nie, i dopóki pan Rollin będzie mieszkał w pałacu, noga moja tam nie postanie.

— Co ksiądz mówi?—Zapytał Lucyan zdumiony.—Nie będzie ksiądz odwiedzał swojej kuzynki?

— Nie będę i tobie radzę przerwać swe wizyty na czas jakiś.

Lucyan zdrętwiał.

Miał przestać widywać się z Maryą Blanką?

— Wiem dobrze, jak wiadomo i tobie, że pałac należy do mojej kuzynki, że ona tylko ma prawo rozporządzać się w nim i przyjmować kogo się jej podoba, ale dalsze wizyty twoje mogłyby pomiędzy tą nieszczęśliwą, bobiętą i jej mężem wywołać konflikt bardzo dla niej groźny... To nie wszystko! Gilbert Rollin nienawidzi cię dla tego, że ja ciebie kocham i prędzej lub później znieważy cię tak, jak znieważył mnie... Ale ty nie zapanujesz nad sobą, jak ja, kapłan, odpowiesz mu słowami pogardy, a wtedy zamknie przed tobą drzwi domu, które pragnąłbym, by zawsze dla ciebie były otwarte.

— To nad moje siły... Gdyby ksiądz wiedział...

— Wiem o wszystkim—przerwał mu ksiądz.

— Co ksiądz wie?

— Że kochasz Maryę Blankę.

— Prawda, kocham całą duszą moją!

— I że Marya Blanka kocha cię również—mówił dalej ksiądz.

— Ksiądz i o tem wie?

— Domyśliłem się. Nie trudno to było... A teraz powiedz mi, czyście wyznali sobie miłość?

— Wyznaliśmy i uważamy się za narzeczonych.

— Czy pani Rollin wie o tem?

— Nie wie.

— Dlaczego?

Siostry bliźniaczki

— Dla tego, że wyznanie to uczyniliśmy sobie przed dwoma dniami, wtedy, gdy i ksiądz był w pałacu. Od tego czasu nie widziałem się z panią Rollin, i właśnie w celu zwierzenia się przed nią chodziłem tam dzisiaj... I ksiądz chce, bym przestał widywać Blankę, która ma zostać moją żoną?

— Gdyż bywając, zaszkodziłbyś swym zamiarom.

— To będzie nad moje siły!

— Mój drogi, to są słowa niewłaściwe, skoro chodzi o cierpienie chwilowe. Przestań być dzieckiem i postępuj jak człowiek. Pojmiesz ją za żonę, przyrzekam ci to, i moja kuzynka wybrała cię na zięcia.

— Więc wie o tem?—zapytał Lucyan uradowany.

— Nie byłaby kobietą i matką, gdyby nie spostrzegła waszych uczuć, i gdyby nie pragnęła waszego związku. Czyż pozwoliłaby ci przebywać tak często w swym domu? Od nas więc nie potrzebujesz obawiać się niczego, ale pozostaje Gilbert Rollin... Marya Blanka jest jego córką, musi mieć więc zezwolenie ojca.

— Czy ksiądz sądzi, że on odmówi go?

— Jestem tego pewnym.

— Dlaczego?

— Dla tego iż wie, że nie byłbyś mu uległym.

— Nie rozumiem.

— Wszak musisz mieć wyrobioną opinię o panu Rollinie.

— Oplakaną...

— Otóż z wyjątkiem kilkunastu tysięcy franków, jakie pobierać będzie moja kuzynka, wszystkie dochody z majątku, pozostałego po hr. Emanuelu d'Areynes, należeć będą do Blanki od dnia jej ślubu. P. Rollinowi bardzo chodzi o to, aby mąż jego córki pozwolił mu rozporządzać się wszystkimi dochodami, a wie, że ty nie zgodzisz się na to.

— Cóż mnie obchodzą pieniądze?—rzekł Lucyan.—

— Mam odziedziczony po matce niewielki majątek i ten wystarczy nam.

— Ale nie możesz pozwolić na roztrwonienie majątku twojej żony. Zresztą wola zmarłego powinna być wykonaną święcie. Nie mogąc prowadzić walki z Gilbertem, pozostaje ci więc tylko jedno: czekać, aż Blanka dojdzie do pełnoletności i będzie rozporządzała tą osobą.

— Czekać tak długo?

— A cóż to znaczy, gdy chodzi o przyszłość? Tymczasem będziesz pracował i wyrobisz sobie poważne stanowisko w świecie. Wierz mi moje dziecko, doradzę ci radzę.

— I usłucham rad księdza—odrzekł serdecznie ściskając dłoń kapłana—ale ciężko mi będzie żyć zdaleka od Blanki i jej matki.

— Przecież nie mówię, że nie zobaczysz ich nigdy. Owszem, będziesz je widywał częściej niż myślisz.

— Gdzie?

— Tutaj. Ponieważ ja nie mogę chodzić do nich, więc one będą innie odwiedzały. U mnie kuzynka moja powie ci, że pragnie nazwać cię swym synem.

— Księdzu będę zawdzięczał moje szczęście!—zawołał Lucyan powstając.

— Kiedy zamierzasz jechać do Joigny dla porozumienia się z dyrektorem szpitala?

— W końcu tego tygodnia.

— Przez ten czas otrzymam wiadomości o Henryce i Maryi Blance, jeżeli więc przyjdiesz, to ci zakomunikuję.

Lucyan podziękował księdzu i pożegnał go.

Były wikary od św. Ambrożego nie mylił się przypuszczając, że choroba Henryki wywołaną została gwałtowną sceną z Gilbertem.

Pani Rolin udała się na spoczynek w gorączce i z mocnym bólem głowy.

Nie spała całą noc i nie mogła się podnieść, gdy następnego rana córka weszła do jej pokoju, by ułować ją na dzieńdobry.

Blanka, nie wiedząc o scenie zaszłej pomiędzy rodzicami poprzedniego wieczora, nie mogła zrozumieć nagłej choroby matki.

Posłała po lekarza i kazała zawiadomić ojca.

Lokaj oświadczył jej, że pan Rollin śpi jeszcze, gdyż wrócił do domu dopiero nad ranem, ale na nagłanie Blanki odważył się obudzić swego pana.

Gilbert, nie chcąc wywoływać plotek wśród służby, ubrał się pośpiesznie i udał się do pokoju Henryki, gdzie zastał przed chwilą przybyłego lekarza.

Henryka niepoznała go.

Gilbert oddalił z pokoju Blankę i zapytał lekarza:

— Czy to coś niebezpiecznego?

— Nie—odrzekł doktor—ale system nerwowy jest mocno wstrząśnięty. Jestto początek anemii mózgowej, która, jeżeli będzie zaniedbaną, może w przyszłości wywołać w mózgu zaburzenia poważne i doprowadzić do utraty pamięci i rozumu.

Błyskawica mignęła we wzroku Gilberta.

— Czyli, mówiąc wprost, do obłąkania?—zapytała

— Tak jest, niestety!

— Nie, nie!— To być nie może... Nie wierz doktorowi!—odrzekł z udaniem wzruszenia.

— Powiedziałem panu co myślę i na nieszczęście nie myślę się. Pani Rollin potrzebuje przedewszystkiem spokoju i unikania wzruszeń... Powtarzam, że niebezpieczeństwa niema, ale potrzeba zawczasem myśleć o przyszłości.

Gilbert stojąc z pochyloną głową i wyrazem smutku na twarzy, myślał:

— Gdyby dostała obłąkania, utraciłaby wszystkie swoje prawa i ja zostałbym jedynym panem mej córki... Dobrze wiedzieć o tem.

Lekarz zapisał receptę i wyszedł, zaleciwszy Lancelo jak najusilniej zastosować się do jego instrukcyi.

Następnego dnia gorączka zmniejszyła się, a zaraz z nią znikła obawa zapalenia mózgu.

Wtedy Gilbert, nie potrzebując już odgrywać komedyi męża troskliwego o żonę, odjechał do Monte Carlo w celu sprobowania szczęścia w grze.

Przepędził tam dwa tygodnie i przywiózł z sobą do Paryża dwieście tysięcy franków.

Sumę tę podzielił na dwie równe części, z których jedną przeznaczył na wydatki osobiste, drugą zaś uspokoił najnatarczywszych wierzycieli.

Szulerzy prawie zwykle ludzą się, więc i Gilbert upojony wygraną, wierząc, że szczęście zawsze będzie do niego sprzyjało, miał nadzieję wygranemi w karty spłacić powoli wszystkie swe długi, zachować stajnię i nie odstawać się z Oktawią.

Od tego czasu wszystkie wieczory i noce przepędzał w domach gry i klubach.

Henryka miała się coraz lepiej.

Pozostawiona w spokoju i nie widując męża, powstała z łóżka i miała nadzieję rozpocząć wkrótce wraz z Maryą Blanką swe codzienne wycieczki do kościoła św. Sulpicyusza.

## VIII.

Czas to pieniądz—mówią Anglicy.

Gaston Depréty, mniemany vice-hrabia Grancey, chwilą powrotu z Numei zabrał się do zastosowania czynnie przysłowia powyższego.

Widzieliśmy go w Amboise i Champigny, działa-

jącego z szybkością i energią, stanowiącą miarę jego inteligencji.

Posiadłszy majątek Duplata, powiedział sobie:

— Teraz mogę pokazać się światu, przenieść się z hotelu i ubierać się u dobrego krawca. Tylko szkielem można ludziom zamydlić oczy i w błąd wprowadzić policję.

Najął przy ulicy Caumartin mieszkanie na partę, składające z przedpokoju, salonu i pokoju sypialnego, umeblował je, kupił pościel, zaopatrzył się w garderobę, sowitym datkiem zyskał sobie względy od zwiernej i po dwóch dniach był już przygotowanym do rozpoczęcia kampanii głównej.

Przedewszystkiem należało przekonać się czy Gilbert Rollin istniał na świecie i gdzie mieszkał, a następnie czy może spełnić swe zobowiązanie i przyjąć warunki szantażu, jakiego miał zostać ofiarą.

Pierwszą część tego zadania ułatwiło mu biuro adresowe miejskie, drugą prywatne agencje wywiadowcze.

Wstał o dziewiątej rano, ubrał się bardzo starannie, schował do pugilaresu weksle Gilberta i wyszedł o dziesiątej.

Postanowił pieszo udać się na ulicę Vaugirard, pragnął bowiem obmyślić plan postępowania, a przekonany był, że nic tak nie pomaga do namysłu, jak piesza przechadzka ranna po ulicach Paryża.

O jedenastej zadzwonił u bramy pałacu d'Areynes.

— Czy zastałem p. Gilberta Rollin?—zapytał od zwiernego.

—Pan jest w domu.

— Proszę wręczyć mu bilet mój.

— Niech pan będzie łaskaw przejdzie dziedzińcem i uda się przez tamten peron. Zaraz uprzedzę lokaja.

Dwa razy dotknął palcem dzwonka elektrycznego, gdy tymczasem Grancey wkroczył na peron.

Lokaj otworzył drzwi oszklone i wzięwszy od gościa bilet, poprosił go, by udał się za nim.

Przepych wewnętrznego urządzenia pałacu oczarował oczy byłego dependenta, lecz jednocześnie wywoływał w nim niejakię zakłopotanie.

— Mam zaatakować człowieka, należącego do sfery wyższej—myślał,—bardzo bogatego więc potężnego. Może niełatwo pójdzie z nim sprawa... Należy działać rozważnie, ostrożnie..

Lokaj wprowadził go do saloniku, poczem z biletem gościa udał się do gabinetu Gilberta.

— Pan vice-hrabia Grancey—zaanonsował, podając bilet.

Wizyta ta mocno zdziwiła Rollina; nierozumiał jej celu, gdyż nigdy nie słyszał tego nazwiska.

Nie miał racyi odmówienia przyjęcia, tem bardziej, iż imponował mu tytuł.

— Powiedz, że zaraz przyjdę—odrzekł lokajowi

Gdy po paru minutach wszedł do salonu, z przyjemnością zauważył szykowną i dystygowaną powierzchowność gościa.

— Czemu mam przypisać zaszczyt wizyty pańskiej?—zapytał, wskazując fotel.

— Przedewszystkiem raczy mi pan przebaczyć, iż zwracam się do niego osobiście, w interesie dość dawnym, niemniej jednak nieprzedawnionym i ważnym. Może należało powiadomić pana listownie, ale zdawało mi się, że charakter mego interesu wymaga porozumienia się na cztery oczy.

Ten wstęp zdumiał Gilberta.

Jakiego rodzaju może być interes tego dystygowanego vice-hrabiego, człowieka nieznanego mu zu-

pełnie, wymagający porozumienia się osobistego i do tego w tajemnicy?

— Nie rozumiem pana—odrzekł—proszę o wyjaśnienie bliższe.

— Przybywam z prośbą o wypłatę długu, zaciągniętego przez pana przed siedmnastu laty.

Gilbert zbladł.

— Jeżeli zgłaszam się z moją<sup>7</sup>pretensją tak późno—mówił dalej vicé-hrabia—to dla tego, iż niewiedziałem adresu pańskiego, gdyż w Paryżu przebywam dopiero od kilku dni.

— Zaszło zapewne jakieś nieporozumienie, być może wskutek podobieństwa nazwiska—rzekł Gilbert.— To rzecz niemożliwa, abym był pańskim dłużnikiem.

— Być może, ale nie sądzę. Zresztą łatwo będzie przekonać się, jeżeli pan pozwoli postawić sobie kilka pytań.

— Owszem, gotów jestem odpowiedzieć.

— Wszak jesteś pan żonatym?

— Rzeczywiście.

— Żona pańska z domu hrabianka d'Areynes.

— Prawda.

— Bratanica hr. Emanuela d'Areynes?

— Tak.

— Już nieżyjącego?

— Tak, od lat siedmnastu.

— Żona pańska ze śmiercią swego stryja została użytkowniczką pozostałego po nim majątku?

— Prawda.

— Ma pan dowód, że nie mylę się. Więc nie kto inny, lecz pan podpisał weksle, o których spłatę przybyłam prosić.

Gilbert, choć nie rozumiał jeszcze tej dziwnej zagadki, jednak zaniemiał z przestachu.



— Nie przekonałem pana?—zapytał mniemany vice-hrabia.

— Ażebym się przekonał, potrzebuję wiedzieć co to za dług.

— Na dług ten, wynoszący sto pięćdziesiąt tysięcy franków, wystawił pan, na zlecenie Serwacego Duplata, byłego kapitana komuny, cztery weksle, podpisane dnia 27 maja 1871 r., płatne w terminach sześciomiesięcznych od dnia, w którym pani Rollin. z domu d'Areynes, obejmie w użytkowanie pozostały po swym stryju spadek.

Gilbert przez kilka sekund podobny był do człowieka, w którego uderzył piorun.

Nazwisko Serwacego Duplata wywołało przed jego oczami całą przeszłość, traszną, groźną, którą uważał już za zapomnianą, na zawsze.

Serwacy Duplat, jego spółnik! Duplat, co skradł dzieci Janiny Rivat, z których jedno uchodzi dzisiaj za córkę jego, Gilberta! Duplat, którego zadenucyował w nadziei, że go rozstrzelają i że tym sposobem wszystkie, łączące go z nim węzły będą zerwane!— Duplat, deportowany, o którym myślał, że nie żyje, gdyż nie wrócił po ogłoszeniu amnestyi!

Więc były furyer 3-ej kompanii 57-go batalionu gwardyi narodowej, żyje!

Co to za jeden ten vice-hrabia de Grancey, zgłaszający się o zapłatę za zbrodnię, popenioną przed siedmnastu laty?

Zkąd on przybywa, co wie o przeszłości, jaką bronią może poprzeć swe pretensye?

Gilbert doznał zawrotu głowy i przez kilka chwil nie był zdolny sformułować żadnej myśli.

Grancey przypatrywał się mu uważnie i cieszył się z jego przestrawu.

Siostry bliźniaczki.

— Sądziłem, że sprytniejszy—myślał.—Mam go w rękach... zdradził się swem przerażeniem. Widocznie pomiędzy nim a Duplatem musiało zajść coś strasznego.

A głośno rzekł:

— Niepodobna, by zapomniał pan o rzeczy tak ważnej. Wyjawiłem szczegóły, które powinny przekonać pana o słuszności mej pretensyi.

Tymczasem Gilbert odzyskał przytomność i postanowił bronić się do upadłego.

— Nie zaprzeczę mego podpisu, jeżeli pokaże mi pan weksle—odrzekł—ale weksle te dałem osobie, której już nic nie winienem i która zresztą już nie żyje...

— Myli się pan, Serwacy Duplat żyje.

— Żyje, powtórzył Gilbert przestraszony.

— I jest zdrowym!—Skazany za popełnioną w Numei kradzież na dziesięć lat ciężkich robót, nie mógł skorzystać z amnestyi, udzielonej komunistom. pozostał na miejscu. Niemniej jednak prawa jego nie utraciły swej mocy.

— Poczekam z zaspokojeniem ich do jego powrotu.

— On nie powróci. Ja reprezentuję go!

— Na mocy jakiego prawa?

— Kupiłem u niego te weksle.

— Jaki dowód ma pan na to?

— Najlepszy dowód, gdyż mam je w swych rękach.

— To nie dowodzi, że nabył je pan prawnie.

Były kryminalista, usłyszawszy te słowa, rzucił się jak człowiek mocno obrażony.

— Paniel to zniewaga!—zawołał.—Nie pozwolę mówić sobie takich rzeczy!

— Postaw-że się pan na mojem miejscu... Potrzebuję wiedzieć, kim pan jesteś.

— Jestem vice-hrabią de Grancey, urodziłem się w Amboise, w departamencie Indry i Loary... Amboise

nie za górami... Niech pan zasięgnie wiadomości, jak ja zasięgnąłem o panu...

— Zasięgał pan o mnie wiadomości?

— Będąc pańskim wierzycielem, nic dziwnego, iż pragnąłem dowiedzieć się, czy jesteś pan wypłacalnym. W poszukiwaniach tych dowiedziałem się wielu rzeczy.

— Jakich?—zapytał Rollin, zdobywając się na energię i zimną krew.

Były dependent postanowił zaryzykować, widział niedawny, chwilowy przestach Gilberta i zapragnął z niego skorzystać.

— Dlaczego zmuszasz mnie pan do przykrego dla mnie oświadczenia mu, że przeszłość pańska nie jest bez skazy?

— Panie!

— Niech pan się nie unosi! Gniew niczego nie dowodzi i do niczego nie doprowadzi. Mówmy jak ludzie dobrze wychowani. Upewniam, że zyskasz pan na tem.

Gilbert chciał nadrobić zuchwalstwem.

— Dość tego!—zawołał.—Interes pański daje się zawrzeć w kilku słowach. Utrzymujesz pan, że jesteś przedstawicielem praw Serwacego Duplata i żądasz wypłaty niby to ustąpionych przez niego weksli. Odpowiadam panu na to, iż nic nie jestem winien Duplatowi.

— Posiadam dowody.

— Po upływie dziesięciu lat następuje przedawnienie.

Grancey roześmiał się.

— Jesteś pan w błędzie—odrzekł.—Przedawnienie następuje dopiero po latach trzydziestu... Możesz mi pan wierzyć, gdyż znam kodeks na palcach, mog dosłownie zacytować panu wszystkie artykuły, odnoszące się do tej kwestyi, ale nie spierałbyś się pan z

mną, gdybyś pozwolił mi dokończyć tego, co zacząłem mówić o pańskiej przeszłości. A byłaby to dla pana rzecz ciekawa...

Gilbert nic nie odrzekł.

Zaczynał się przekonywać, że człowiek przemawiający do niego w ten sposób, musiał posiadać tajemnicę jego przeszłości.

Grancey, korzystając z jego milczenia, mówił dalej:

— Staralem się naprzód dowiedzieć, jaką przysługę wyświadczył panu Serwacy Duplat, przysługę zapewne bardzo wielką, skoro zgodziłeś się wypłacić mu sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Nie mogło być nowy o pożyczce, gdyż były kapitan komuny nigdy nie posiadał złamanego szeląga. Wydało mi się dziwnem, że czekałeś pan na sukceryę po hr. d'Areynes, aby wyznaczyć termin spłaty pierwszego wekslu i przysuszczałem z początku, że Serwacy Duplat, człowiek dolny do wszystkiego, pomógł panu przyspieszyć mierc hrabiego.

Rollin zaprotestował energicznie.

— Ale spostrzegłem mój błąd i puściłem się za ladem innym, trudniejszym, gdyż Duplat nie chciał mówić, by nie skompromitować pana. Nie zniechęcając tę i będąc przekonany, że dopuściliście się panowie zegoś bardzo poważnego, co chcielibyście ukryć za jakąbądź cenę, z kilku słów, jak... „jak pod ziemią w łwnicy“ zrozumiałem...

Grancey z naciskiem wymówił ostatnie wyrazy, wielokrotnie wypowiedziane przez Duplata w malignie.

— Dość—wyjąkał Gilbert, blady jak płótno,— te mów pan dalej.

— Cóż mnie obchodzi zaprzeczenie pańskie?— odrzekł kryminalista tryumfująco.—Jeżeli pan chcesz, tym się wyraził jeszcze jaśniej, powiedz tylko.

Mąż Henryki zmuszony był złożyć broń.

Frazes: „pod ziemią w piwnicy“, zręcznie wypowiedziany w związku z innymi myślami, przekonał go że Grancey znał całkowitą jego tajemnicę.

Niepodobieństwo było zaprzeczać dalej.

Należało porozumieć się i uzyskać warunki jak najdogodniejsze.

— W końcu, panie vicehrabio—rzekł ocierając pot z czoła—czego pan żądasz?

— Jakto, czego żądam? Zdaje mi się, że wiesz pan dobrze. Żądam byś pan wypłacił mi przyznane Duplatowi sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Cóż naturalniejszego?

— W tej chwili jestto dla mnie fizycznym niepodobieństwem.

— Będę wyrozumiałym! Jakkolwiek termin wypłaty upłynął oddawna, zgodzę się na raty wyrażone w wekslach. Wypłacisz mi pan czwartą część natychmiast, a następne trzy raty co sześć miesięcy.

— Zwrócisz mi pan weksle.

— Zwrócę, lecz w zamian za pieniądze.

Grancey wyjął z pugilaresu skradzione w ogrodzie Palmiry weksle i nie dając Gilbertowi do rąk, podsunął mu je pod oczy.

Rollin odrazu poznał swe pismo.

— Powiedz pan otwarcie, ileś za nie zapłacił Duplatowi?

— Zdaje mi się, iż rozumiesz pan, że nie mogłem interesu tak wątpliwego nabywać bez dobrego zarobku. Zapłaciłem mu za te papiery pięćdziesiąt tysięcy franków.

— W Numei?

— Tak.

— Więc pan tam był?

— Jako turysta—z uśmiechem odrzekł Grancey.

— I Duplat zwierzył się, lub raczej sprzedał moją tajemnicę.

— Cóż dziwnego, że biedak pragnął wyciągnąć z niej jak największą korzyść.

— Ponieważ zdradził mnie przed panem, to może zdradzić i przed innymi.

— I cóż mu z tego przyjdzie, skoro nie ma nic więcej do sprzedania! Oskarżałby bez dowodów... niktby mu nie uwierzył.

— To nic nie znaczy; dopóki ten człowiek żyje, nie jestem bezpieczny.

— Na to nic nie poradzę. Choć zdaje mi się, że niebezpieczeństwo to jest pozorne. Gdy wyjeżdżałem z Nowej-Kaledonii, gdzie próbowałem szczęścia w eksploatacyi kopalni niklu, na którą posiadam koncesyę. Duplat opuszczał szpital, gdzie przez pół roku leżał niebezpiecznie chory. Tak się zestarzał i tak jest złamanym, że nie dożyje terminu uwolnienia, a choćby i dożył to nie wytrzyma trudów podróży do Paryża. Zresztą, przypuściwszy nawet, że powróciłby do Francyi, zmuszony mieszkać w którym z miast prowincjonalnych, nie odważyłby się przybyć do Paryża. Wierz mi pan, niepotrzebnie obawiasz się swego dawnego spółnika, któremu nic nie winienesz, gdyż kupiłem od niego weksle i mam je w swych rękach.

— Wszakże—odrzekł Gilbert nie dość przekonany—gdyby Duplat powrócił i wystąpił z pogrózkami, czy będziesz pan mnie bronił?

— Gdyby zaszła potrzeba, jestem gotów nawet uprzętnąć go!

— Dajesz pan słowo?

— Słowo vice-hrabiego de Grancey!

Gilbert pochylił głowę i zamyslił się.

— O czem pan tak myślisz?—zapytał były de-

pendent

— O pann...—odrzekł mąż Heuryki, podnosząc głowę i patrząc mu w oczy.

— O inniel

— Tak. Czy jesteś pan zdolnym do postanowień stałych?

— O ile tylko można nim być.

— I człowiekiem czynu?

— Jestem gotów na wszystko.

— Masz pan piękne nazwisko...

— Historyczne i bez skazy. Możesz pan sprawdzić... nie lękam się.

— Masz pan rodzinę?

— Nie mam nikogo. Ostatni członek mej rodziny zmarł przed rokiem. Jestem ostatnim z rodu.

— Posiadasz pan aspiracye?

— Jak jakie. Nie pragnę władzy lub jakiegokolwiek roli w polityce, ale chcę używać życia w całym znaczeniu tego wyrazu.

— Do tego potrzeba posiadać majątek.

— Dałem sobie słowo, że zdobędę go i dotrzymam...

— Pańskie sumienie?

— Dość elastyczne.

— Skrupuły?

— Uważam je za bagaż zbyt ciężki.

— Serce?

— Zupełnie wolne i mam nadzieję, że pozostanie niem zawsze.

— Źródło dochodów?

— Wygrane w karty i należne mi od pana sto pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Które wypłacę panu.

— Nie wątpię o tem.

— Gdybym uczynił pana posiadaczem dwustu ty-

sięcy franków rocznego dochodu, czy ustąpiłbyś mi pan połowę?

— Z wdzięcznością... Ale jakim sposobem?

— Pomówimy o tem później—przerwał Gilbert.—  
Na teraz uregulujmy.

Rollin otworzył szufladkę biurka, wyjął paczkę biletów bankowych, odliczył z niej trzydzieści siedm tysięcy pięćset franków i rzekł:

— Oto masz pan czwartą część należności; a ponieważ pragnąłbym wycofać weksle, na ich miejsce więc wystawię panu trzy obligi na taką samą sumę.

Napisał je i podał vice-hrabiemu, który w zamian zabrał ze stołu pieniądze i zwrócił cztery weksle.

Gilbert po obejrzeniu ich zawołał zdziwiony:

— Ależ na nich nie ma cesy!

— Niema, gdyż Duplat miał wówczas rękę zlamaną i nie mógł pisać. Ale w tym wypadku główną rzeczą jest posiadanie. Zresztą cóż pana to obchodzi skoro papiery, tak mocno kompromitujące cię, są w twoich rękach? Rzecz bardzo naturalna, że winienes vice-hrabiemu de Grancey. Co odpowiedziałbyś w danym razie, gdyby cię zapytano, jakim sposobem kryminalista Serwacy Duplat może być pańskim wierzycielem na sto pięćdziesiąt tysięcy franków?

Ze słów tych Gilbert wyprowadził wniosek, że ostatni potomek szlchetnego rodu Granceyów nie kupił, lecz skradł te weksle byłemu kapitanowi komuny.

Zresztą, mało go to obchodziło, czy vice-hrabia jest łotrem, i owszem, gdyż to ułatwiłoby mu wykonanie pewnego projektu.

Schował papiery do szufladki biurka i zamknął ją na klucz.

— A teraz, skoro uregulowaliśmy interes—rzekł Grancey—podajmy sobie dłonie.

— Jak przyjaciele.



— Tak, i wierzę, że pozostaniemy nimi na długo. Obserwowałem cię panie Rollin i doszedłem do przekonania, że rozumiemy się i pasujemy do siebie.

— Jedność wytwarza siłę: związawszy się z sobą możemy być pewnymi najśmielszych przedsięwzięć.

— I ja tak myślę...

Graucey spojrział na zegarek.

— Dwunasta—rzekł.—Czy śniadanie jadasz pan w domu?

— Nie.

— W takim razie zapraszam pana na nie.

— Przyjmuję.

— Dziękuję, podczas śniadania pomówimy o różnych sprawach i o przyszłości.

Gilbert kazał zaprządz do powozu i wpół godziny później wraz z nowym przyjacielem siedział w gabinecie „Cafe anglais“.

## IX.

Powrót Henryki do zdrowia przeciągnął się dłużej, niż doktor spodziewał się.

Od miesiąca matka i córka samotne żyły w pałacu, niewidując nikogo, pozbawione wizyt księdza d'Araynes i Lucyana Kernoël.

Gilbert od czasu powrotu z Monte Carlo dwa razy dla zachowania pozorów wobec służby zjawiał się w apartamencie żony i zamieniwszy kilka wyrazów obojętnych, wychodził, nie pożegnawszy nawet Maryi Blanki.

Opuszczenie to i obojętność sprawiały im wiele cierpienia.

Nakoniec lekarz pozwolił Henryce odbywać niewielkie wycieczki po mieście, pod warunkiem wszelako by nie męczyły ją.

Korzystając z pozwolenia, Henryka postanowiła zaraz nazajutrz udać się wraz z Blanką naprzód do kościoła św. Sulpicyusza, a następnie do księdza d'Areynes.

Następnego dnia obie kobiety o godzinie dziewiątej wyszły z pałacu i pieszo, wolnym krokiem, poszły do kościoła.

Janina już od dwóch godzin znajdowała się na swem stanowisku pod wielkim portykiem świątyni.

Wystawa jej sklepiku dobrym gustem i elegancją pociągała oczy widzów.

Nieszczęśliwa kobieta, nurtowana ciągłym smutkiem, zestarzała się wielce, tracąc z każdym dniem coraz więcej nadzieję odszukania dzieci, prosiła Boga, by połączył ją z Pawłem, jej mężem ukochanym, zmarłym, jak jej się zdawało dopiero wczoraj, gdyż siedmnaście lat pobytu w szpitalu przeszły jej jak sen długi. Ach! jak przeciągłym wzrokiem spoglądała na przestępujące próg świątyni dziewczęta młode, będące w wieku jej córek—gdyby żyły! Jak zazdrościła ich matkom, ileż łez polykała w milczeniu, gdy klęcząc w ciemnym zakątku portyku modliła się o litość nad sobą!

Henryka, utrudzona przechadzką, przed wejściem do wnętrza świątyni, pragnąc odpocząć, siadła na ławeczce w przedsionku.

— Jeżeli mama chce, przywołam powóz i powrósimy do domu.

— Nie moje dziecko, pomodlimy się i pojedziemy na ulicę Tournelle.

— Proszę mamy, przyszła mi pewna myśl...

— Jaka?

— Chciałabym na pamiątkę wyzdrowienia mamy kupić sobie medalik. Dam księdzu do poświęcenia, zawiążę go na szyi i nigdy nie będę rozstawała się

z nim. Zdaje mi się, mateczko, że to obu nam przyniesie szczęście.

— Dobrze, kup kochanko, ale dwa. I ja będę go nosiła, a gdy nie stanie mnie na ziemi, zachowasz go sobie na pamiątkę matki, która kochała cię nad życie.

— Mateczko... ze łzami w oczach — odrzekła Blanka.

Niechcąc powiększać smutku matki, dodała:

— Czy kupić srebrne?

— Nie, złote. Sklepy z takimi przedmiotami są blisko, na tej samej ulicy.

— Nie potrzebuję chodzić do sklepu—odrzekła Blanka—gdyż jakaś kupcowa sprzedaje medaliki w przedsiönku.

Podala matce ramię i po schodach podprowadziła ją do sklepiku Janiny.

Ta spostrzegłszy podchodzące ku niej dwie kobiety, powstała ze swej ławeczki i spojrziała na nie.

Nagle drgnęła całym ciałem, otworzyła usta i wyciągnęła przed siebie ręce.

Henryka i Blanka zdziwione nagłą zmianą twarzy kupcowej, podeszły ku niej.

— Róžo! Róžo droga!...

Pani Rollin i Blanka, przestraszone zachowaniem się Janiny, sądziły, że jest obłąkaną.

— Róžo droga! nie poznajesz mnie?—mówiła dalej nieszczęśliwa wdowa.—Przypatrz mi się, moje dziecko, pielęgnowałaś mnie w przytułku w Blois, jak żadna córka nie pielęgnowałaby matki. To ja, którą nazywałaś „mamą Janiną“...

— Myli się pani—odrzekła Henryka łagodnie,—to moja córka i nie nazywa się Róža, lecz Marya Blanka.

— Marya Blanka... Marya Blanka...—dwa razy

powtórzyła Janina zawiedziona.—Więc to nie Róża...  
a jednak...

— Wprowadziło panią w błąd podobieństwo...

— Podobieństwo...

— Muszę być podobną do jakiej znajomej pani—  
dodała Blanka—i dla tego wzięła mnie pani za nią...

Janina usłyszawszy głos młodej dziewczyny, poruszyła się znowu.

— Ależ to nietylko twarz ta sama—wyjąkała—  
lecz i głos, wzrok, uśmiech... Dwie istoty tak podobne  
do siebie... czyż to być może?

— A jednak tak musi być... Więc pani nie jest  
Różą?

— Nie, pani, nazywam się Marya Blanka.

— Wierzę pani, wierzę... a jednak słuchając i  
patrzając na panią, zdaje mi się, że widzę i słyszę ją...  
To dziwne.

— Gdzie pani znalazła tę osobę, o której mówi?—  
zapytała Henryka.

— W Blois, w przytułku, gdzie była infirmerką  
i pielęgnowała mnie jak córka.

— Więc pani przebywała w przytułku?

— Tak, przez siedmnaście lat.

— Na co pani chorowała?

— Byłam obłąkaną—szepnęła Janina z bolesnym  
uśmiechem.

— Obłąkaną!... Biedna kobieta!

— Tak, pani... Ale nie jestem już nią... Odzyska-  
łam zmysły i niech pani wierzy mi, że jeżeli przed  
chwilą wzięłam córkę pani za Różę, biedne dziecko  
opuszczone, to nie pod wpływem halucynacji lub roz-  
stroju umysłowego, ale dla tego, że spostrzegłszy ją,  
byłam przekonana, że widzę dobrą, serdeczną infirmer-  
kę z Blois... Bo ona dobra i piękna jak anioł...

— I tak podobna do mojej córki?

— Pani, dwa kwiaty wykwitłe na jednej łodydze nie mogą być podobniejszemi do siebie... I gdyby pani nie zapewniała mnie, to jeszcze i teraz wieżyłabym, że to ona.

— Biedna kobieta!

— Kocham ją bardzo, bo ona taka dobra była dla mnie. Matka, mająca taką córkę jak Róża, byłaby szczęśliwą... Powinnam była napisać do niej i nie uczyniłam tego... Będzie miała żal do mnie... Ale ja tak jestem nieszczęśliwa!... Napiszę do niej...

Rozplakała się.

Henryka i Marya miały łzy w oczach.

— Dawno pani wyszła z przytułku w Blois?

— Półtora miesiąca temu.

— Tak niedawno!

— Tak, pani.

— Pani pochodzi z Paryża?

— Nie, urodziłam się na prowincyi, ale nikogo już nie mam z rodziny. Wyszłam za mąż w Paryżu i mieszkałam w nim, a po opuszczeniu przytułku powróciłam, powoływały mnie bowiem smutne wspomnienia i obowiązek. W Paryżu doznałam nowego cierpienia, gdyż utraciłam nadzieję, która mnie tu sprowadziła i nie żyłabym już, gdyby nie pewien człowiek szlachetny, prawdziwy przedstawiciel Boga na ziemi ksiądz d'Areynes, który pospieszył mi z pomocą.

Henryka i Marya Blanka, usłyszawszy nazwisko swego kuzyna, spojrzwały po sobie.

— Pani zna księdza d'Areynes?—zapytała pani Rollin.

— Jemu zawdzięczam ten sklepik, dający mi możliwość utrzymania się, gdyż on wyrobił mi pozwolenie na założenie go.

— Dawno już zna go pani?

— Oddawna, od dziewiętnastu lat. Ksiądz d'Areyn-

nes dawał mi ślub w kościele św. Ambrożego, gdzie był pierwszym wikarym.

Henryka od kilku chwil zaczęła uważniej przyglądać się Janinie, lecz dopiero słowa: „w kościele św. Ambrożego“, rozjaśniły jej wspomnienia.

— Jak pani nazywa się?—zapytała.

— Janina Rivat.

— Janina Rivat!—powtórzyła Henryka,—żona gwardzisty, który podczas wojny służył w kompanii p. Gilberta Rollin?

Z kolei Janina spojrzała z zdziwieniem na Henrykę.

— Tak, odrzekła.—Pani знаła mego męża?

— Bardzo zmieniłyśmy się obie, skoro niepoznałyśmy się.

— Alboż pani znała mnie?

— Jestem żoną p. Rollina.

— Pani jest panią Rollin? Tą samą, którą widziałam w kościele św. Ambrożego, modlącą się o życie męża? Było to w dzień bitwy pod Montretout.—I Bóg wysłuchał panią? p. Rollin żyje?

— Żyje.

— Była pani szczęśliwszą odemnie, gdyż Paweł został zabity. Był zbyt dobrym i ja zanadto go kochałam... więc Bóg zabrał go...

— Zdaje mi się, że była pani wówczas, również jak i ja, przy nadziei.

— Tak, pani, miałam dwie córeczki bliźniaczki.

— Żyją?

Janina wybuchła łkaniem.

— Nie wiem—wyjąkała. Bolesna to historia... Gdyby pani wiedziała...

— Jestem szczęśliwą, ze spotkania cię Janino—rzekła Henryka biorąc jej rękę.—Pragnęłabym poznać twoje koleje i cierpienia... Uczynię wszystko, by ulżyć

ci w bóleści, ale teraz nie pora mówić obszerniej...  
Czy możesz przyjść do mnie?

— Mogę.

— Więc pamiętaj, każdego piątku będę czekała na ciebie rano o dziesiątej.

— Dziękuję pani, współczucie pani będzie dla mnie pociechą.

— I ja będę razem z mamą—z uśmiechem dorzuciła Blanka.—Patrzac na mnie, będzie pani zdawało się, że widzi swą ukochaną Różę, do której jestem tak podobną.

— Jakie panie dobre,—tak dobre jak Róża; pozwolicie, będę was kochała równie jak ją.

— Nie tylko pozwalamy, lecz prosimy... nie trafi pani na niewdzięczne.

— Dziękuję pani z całego serca.

— Oto mój adres—rzekła Henryka, podając bilet wizytowy.—Uprowadzę odźwiernego i powiem mu, aby wprowadził panią natychmiast gdy przybędziesz.

Janina wzięła bilet, chciała mówić, dziękować jeszcze, lecz wzruszenie stłumiło w niej głos.

— A teraz—wesoło rzekła Blanka,—chcemy spuścić sklep pani. Ma pani złote medale z wizerunkiem Matki Boskiej?

— Mam, proszę—odrzekła podając je.

Maryja Blanka wybrała dwa medale.

— Ile należy się?

— Po piętnaście franków.

Blanka wyjęła z portmonetki dwa luidory i podała je Janinie.

Ta chciała wydać reszty dziesięć franków, lecz Blanka pośpiesznie rzekła:

— Niech pani to zachowa.

— Ależ, pani...

— Proszę panią...

— W takim razie przyjmuję—odrzekła zmieszana Henryka i Blanka—podały jej rękę i odeszły do kościoła, gdzie zabawiły wadzieścia minut, poczem odjechały na ulicę Tournelle.

\* \* \*

Ksiądz d'Areynes cieszył się bardzo zobaczywszy swe kuzynki.

Po zwykłych zapytaniach o zdrowie i sprawy rodzinne Blanka rzekła:

— Dziś pierwszy raz wyszliśmy z domu po całomiesięcznem zamknięciu. Byliśmy naprzód w kościele i następnie postanowiliśmy odwiedzić księdza. Widziałyśmy tam protegowaną kuzyna i nasłuchaliśmy się słów uwielbień dla niego.

— Janinę Rivat—dodała pani Rollin.

— Jest to nieszczęśliwa istota, [ciężko dotknięta przez los—odrzekł ksiądz d'Areynes.

— Jak ona zmieniła się—rzekła Henryka—gdyby nie powiedziała swego nazwiska, nigdybym jej nie poznała.

— Więc ty ją znałaś?

— Znałam.

Pani Rollin opowiedziała swą rozmowę z nią w kościele św. Ambrożego w dzień bitwy pod Montretout.

— Podobno była obłąkana?—dodała.

— Tak, przez siedmnaście lat, lecz dziś jest już wyleczoną zupełnie.

— Zdaje się, choć z początku wątpiłam.

— Dlaczego?

— Wyobraź sobie, kuzynie, gdy przechodziłyśmy obok jej sklepika, ona, spostrzegłszy Blanę, zdumiała



się, wyciągnęła ku niej ręce i nazwała ją Różą. Przestraszyłam się nieco i myślałam, że jest obłąkaną, lecz wkrótce przekonałam się że jest ofiarą złudzenia.

— Złudzenia?—powtórzył ksiądz d'Areynes.

— W zakładzie dla obłąkanych w Blois pielęgnowała ją jakaś młoda infirmerka, imieniem Róża, tak podobna do mojej Blanki, nie tylko z rysów twarzy, lecz i z głosu, że Janina Rivat spostrzegłszy Blankę, wzięła ją za tamtą.

— To dziwne — szepnął ksiądz d'Areynes zamysłony.

— Rzeczywiście dziwne... Takie podobieństwo zdarza się rzadko i tylko wśród dzieci pochodzących od jednego ojca i matki, zwłaszcza bliźniąt.

Ostatni wyraz zastanowił księdza.

— Więc Róża ta, mówisz, jest dzieckiem znalezione?

— Tak mi mówiła Janina Rivat.

— Czy długo rozmawiałaś z nią?

— Z kilkanaście minut. Prosiłam ją, by przyszła kiedy do mnie... pragnęłabym jej pomódz w czem.

— Mówiła o swych dzieciach?

— Wspomniała tylko, że to bardzo smutna historia. Miała bliźnięta.

— Rzeczywiście—odrzekł ksiądz zamysłony pod wpływem jakiejś dziwnej i strasznej myśli.

## X.

Gdy przestano mówić o Janinie, Marya Blanka zapytała o wiadomości o Lucyanie.

— Spodziewam się go dzisiaj—odrzekł ksiądz—gdyż ma zdać mi sprawę ze swej podróży do Joigny i umowy z dyrektorem zakładu. Miałem od niego list, w którym zapowiedział swój przyjazd.

— Więc umówił się?

— Umówił się i na warunkach bardzo korzystnych. To dzielny człowiek i zajdzie bardzo daleko... Jestem pewny, że zdobędzie sławę uczonego i dobroczyńcy ludzkości.

— I ja w to wierzę i to napawa mnie dumą— rzekła Blanka.

— Więc kochasz go bardzo?

— Całą duszą... prawie tak, jak matkę i księdza.

— Masz słuszość... Lucyan to człowiek bardzo szlachetny, a przytem uczciwy i użyteczny. Zanim wyznał mi swą miłość dla ciebie, rozmawiałem z twoją matką i oboje wyraziliśmy życzenie, by związek wasz doprowadzić do skutku. Napisałem wtedy do jego ojca i powiadomiłem go o naszych projektach. Nie mam jeszcze odpowiedzi, lecz jestem pewnym, że zgodzi się na nie. Ale Lucyan ma dwadzieścia siedm lat i jest już człowiekiem, gdy ty dopiero małą dziewczynką...

— Wcale nie małą dziewczynką—odrzekła Blanka zgorzozona.

— Rozumie się, pod względem wieku—dodał ksiądz d'Areynes—gdyż co do rozumu i przymiotów uważam cię za kobietę. Ale to nie dość... Jesteś zbyt wątłą, by zostać matką rodziny, a przytem pragnęlibyśmy, aby Lucyan wyrobił sobie stanowisko niezależne. Musisz więc poczekać do dwudziestego roku życia.

— Więc będę czekała...—odrzekła Blanka—i Lucyan poczeka... Przyrzekł mi uroczyście.

— I dotrzymam słowa—rzekł młody lekarz, wchodząc do pokoju. Zdziwiona Blanka nie mogła powstrzymać okrzyku radości.

— Jak się masz, kochany Lucyaniel—zawołał ksiądz, podając mu rękę.—Przybywasz w sam czas.

— Jestem szczęśliwy, zastając panią Rollin już zdrową—rzekł Lucyan.

— Co u ciebie słyhać?—zapytał ksiądz.

— Zawarłem już umowę, jak donosiłem księdzu, i na warunkach bardzo korzystnych. Będę miał pensyi sześć tysięcy franków na rok, mieszkanie i stół.

— To bardzo dobrze!—rzekła Henryka.

— Tem bardziej, że to na początek, dla tego też jestem zachwycony. Zresztą nie zobowiązałem się na długo, tylko na dwa lata.

— Bardzo dobrze uczyniłeś, gdyż nie potrzebujesz więcej czasu dla dokompletowania swych studyów.

— Doktor Giroux jest specjalistą bardzo doświadczoneym... Jest doskonałym obserwatorem i ciągle walczy z rutyną. Mam mu tylko do zarzucenia jedno

— Cóż takiego

— Postępuje z chorymi zbyt surowo. Ja uważam, że z tymi biedakami, pozbawionymi rozumu, o wiele więcej można zrobić cierpliwością i łagodnością, niż środkami gwałtownymi.

— Podzielał twę zdanie. Zakład wielki?

— Pierwszorzędny. Mieści w sobie dwustu chorych i posiada czterech lekarzy stałych. Ja będę pierwszym pomocnikiem.

— A pod względem wartości moralnej?

— Co ksiądz przez to rozumie?

— Ponieważ dr Giroux nie podlega kontroli ze strony władzy i jest niezależnym, to czy nie wchodzi, jak wielu innych jego kolegów, w porozumienie z rodzinami, pragnącemi pozbyć się niedogodnych im osób w celu zagarnięcia majątku?

— Nie sądzę—odrzekł Lucyan,—zresztą cóż mnie to obchodzi? Jeżeli dr Giroux ma jakie tajemnice, ja nie będę odpowiedzialnym za nie. Chociaż to rzecz możliwa, gdyż Jego Królewska Mość Pieniądz, może popchnąć człowieka do wszelkich niegodziwości. Ale przez te trzy dni pobytu, w przytulku nie spostrzegłem

nic podejrzanego. Dziwi mnie wszelako jeden oddział, którego dr Giroux nie chciał mi pokazać... Nie wiem powodów, a nie chciałbym podejrzewać niesłusznie.

— W danym razie nie byłbyś skomprowitowanym.

— W każdym razie. Dyrekto zakładu prywatnego jest sam odpowiedzialnym za swe czyny, pomocnicy zaś jego, choćby najzasłużeńsi spełniają jego rozkazy i liczą się jako urzędnicy płatni.

— To bardzo dobrze.

— Kiedy odjeżdżasz do Joigny?—zapytała Henryka.

— W końcu stycznia, gdyż w tym czasie dopiero ustępuje mój poprzednik.

— Więc za pięć miesięcy.

Henryka i Blanka pożegnały księdza i Lucyana i odjechały do domu.

Wkrótce za nimi i młody lekarz opuścił mieszkanie byłego wikarago.

— Ksiądz d'Areynes, pozostawszy sam, dręczony myślą, jaka nasunęła mu się podczas rozmowy z swą kuzynką, oparł głowę na dłoni i szepnął:

— Henryka ma słusność; tylko dzieci zrodzone z jednej matki i jednego ojca i do tego bliźnięta, mogą być tak podobne jak Róża i Blanka, sądząc ze słów Janiny Rivat.

— Nie, to być nie może—mówił powstawszy.— Co mi przychodzi do głowy! A zresztą jaki cel podobnej zbrodni? Natura objawia dziwne i niepojęte nieraz wybryki... Niesłusznie podejrzewam Rollina.

\* \* \*

Po dwóch tygodniach bliższych stosunków z mianym vice-hrabią Granceyem, Gilbert doszedł do przekonania, że stał się ofiarą własnego przestrachu

i że człowiek, który tak zręcznie złapał go w sidła, nie wiedział nic o jego tajemnicy i skorzystał tylko z kilku niejasnych zwierzeń Duplata.

Sprytny łotr, nieposiadając żadnego dowodu spełnionej zbrodni, zmistyfikował go i wyeksploatował świetnie.

Gilbert nie miał do niego żalu; przeciwnie, z zachwytem spoglądał na tego mistrza i utrzymywał z nim stosunki serdeczne, chcąc go mieć pod ręką, w razie potrzeby.

Czytelnicy domyślili się już zapewne jego projektów.

Pragnął on z pomocą Granceya zagarnąć część dochodów, jakie dostałyby się jego córce po przyjściu do pełnoletności, albo wraz z śmiercią jej matki, lub z dniem zamażpójścia.

Ażeby przyspieszyć tę chwilę, Gilbert uważał za najpraktyczniejszy środek wydać Blankę za vice-hrabiego Granceya, który z pewnością zgodziłby się na wszelkie warunki.

Ale postanawiając przyjąć go za zięcia, pragnął przekonać się, czy ten potomek historycznego rodu, posiadający sumienie tak elastyczne, nie był wplątany w jaką sprawę nieczystą, która mogłaby w dzień ślubu wywołać jaki skandal.

Zasięgnął od prywatnych agencji wiadomości i z zadowoleniem stwierdził, że zapewnienia vice-hrabiego były prawdziwe.

Dowiedział się, że rodzina Granceyów była bardzo starożytną, że niegdyś posiadali oni wielki majątek, lecz ostatni potomkowie, wielce rozrzutni i lekko-myślni, roztrwonili go do szczętu.

Ostatniej latorośli zamożnego domu pozostało tylko pięknie brzmiące nazwisko i akta stanu cywilnego bez najmniejszej plamy.

Gilbert niczego więcej nie pragnął.

Nikt nie ośmielił się powiedzieć, że w jakimś celu podejrzanym wydał córkę za człowieka wątpliwego charakteru.

Z swej strony i były kryminalista starannie szperał w przeszłości Gilberta, ale dowiedział się tylko tyle, że lubił używać życia, stracił majątek własny i posag żony, czas jakiś cierpiał niedostatek, lecz poprawił interesa przez bogate ożenienie się z hrabianką d'Areynes.

Czynu hańbiącego nie odkrył żadnego.

Z tem wszystkiem Grancey był przekonany, że jakaś straszna tajemnica, zapewne zbrodnia, ciążyła na przeszłości tego człowieka, czego dowodem było jego zobowiązanie względem Duplata.

Ale tajemnicy tej przeniknąć nie zdołał.

Zresztą nie wiele mu na tem zależało.

Był pewnym, że potrafi panować nad nim i uczynić go powolnym na swe żądania.

— Nic dziwnego, że mi nie ufa—myślał.—Łotry rawsze niedowierzają sobie, z obawy spotkania się ze sprytniejszym. Zwierzy się, gdy będzie mnie potrzebował.

W takim wzajemnem usposobieniu względem siebie spotykamy ich, w pałacu przy ulicy Vaugirard, w tym samym gabincie, w którym Gilbert po raz pierwszy przyjmował vice-hrabiego Granceya.

Rollin wydał lokajowi rozkaz nie wpuszczać nikogo, następnie siadł naprzeciw gościa, podał mu cygaro i zamyślił się.

Zdaje się, że nadszedł *moment psychologiczny*—rzekł do siebie vice-hrabia—i, że nareszcie zrozumie plany tego poczciwca.

XI.

Po kilkunastu sekundach namysłu Gilbert zapytał:

— Wszak znasz pan moją córkę Blankę?

— Miałem zaszczyt już parę razy widzieć pannę Rollin podczas mych wizyt u pana.

— Czy podobała się panu?

— Jest cudownie piękną! Winszuję panu takiej córki. Powinieneś pan być z niej dumnym!

— Wcale nie jestem nim!

— Co pan mówisz?

— Prawdę. Uczucie ojcowskie bardzo mało rozwinięte we mnie i nie lubię życia rodzinnego.

— Więc pocóż żeniłeś się pan?

— Byłem zrujnowany i zadłużony. Żona wniosła mi posag i świetne nadzieje na przyszłość.

— To argument ważny—śmiejąc się odrzekł vice-hrabia.

— Więc Marya Blanka podoba się pann?

— Powtarzam, że jest zachwycającą. Nie mam wyrazu na określenie jej piękności.

— Co za zachwyt!

— Jest najszczerzym!

— Tem lepiej... Ośmiela mnie to do uczynienia panu pewnej propozycji.

— Jakiej?

— Byś został moim zięciem.

Grancey osłupiał.

Niechciał wierzyć swym uszom i sądził, że źle usłyszał.

— Coś pan powiedział?

— Że pańska osoba i nazwisko podobają mi się i że jestem gotów oddać panu swą córkę.

— Ja miałbym zostać mężem panny Rollin!—zawołał były kryminalista...—Ja!

— Namyślasz się pan?

— Namyślać się nigdy w życiu!... ale nie chce mi się wierzyć, że mówisz pan na seryo.

— Dlaczegoż by nie? Czyż vice-hrabia jest złą partya?

— Pod względem pozycyi społecznej—bardzo dobrą... Ale może panu nie wiadomo, iż nie posiadam majątku.

— Nie dbam o to, gdyż córka moja będzie bogatą.

— W jakim wieku jest panna Blanka?

— Skończyła siedmnaście lat. urodziła się podczas komuny.

— W iwnicy... dodał Grancey z naciskiem.

Gilbert namarszczył brwi i groźnie spojrzał na swego przyjaciela.

— Kochany vice-hrabio—rzekł ostro—nieraz slyszalem od ciebie te wyrazy: *w piwnicy*, które powtarzasz w jakimś zamiarze złośliwym. Skończmy z tem raz na zawsze. Jakiekolwiek znaczenie przywiązujesz do urodzenia mej córki w piwnicy, co jest rzeczą naturalną, gdyż w owych czasach było to jedyne miejsce bezpieczne, to mogę zapewnić cię, że jest ono mylne. Nie wiem jakie podejrzenia wysnułeś z niejasnych zwierzeń Duplata, ani jakie plany zbudowałeś na powodach, które zmusiły mnie do wystawienia temu łotrowi obligu na sto pięćdziesiąt tysięcy franków, ale i pod tym względem omyliłeś się grubo: Przyznaję, że spostrzegłszy pana niespodziewanie jako pełnomocnika byłego kapitana komuny, przestraszyłem się na chwilę; sądziłem bowiem, że Duplat był tak głupim, iż odkrył ci pewien ciemny punkt z mej przeszłości. I omyliłem się, a raczej pan wprowadziłeś mnie w błąd. Przybyłeś pan z zamiarem wyzyskania mnie drogą



szantażu i zastawiłeś paluch, w którą stronę się zła-  
pać jak ostatni głupiec.

Otóż, była rzeczywiście między nami pewna tajem-  
nica, ale nie ma ona żadnego związku z pańskimi  
podejrzeniami. napróżno będziesz pan błąkał się w do-  
mysłach! Nie odkryjesz jej nigdy, a gdybyś nawet ja-  
kim dziwnym wypadkiem posiadał ją, sam staniesz się  
jej ofiarą.

Gilbert mówił to z taką mocą, że Grancey, mimo  
poczucia swej wyższości, uczuł dreszcz przebiegający  
po ciele.

— Już podczas pierwszego widzenia się pytałem  
pana, czy gotów byłbyś bronić mnie w razie niebezpie-  
czeństwa, i odpowiedziałeś mi twierdząco. Moje postę-  
powanie z tobą powinno było przekonać cię, że wysoko-  
cenię twoją inteligencyę, że umiem czytać pańskie my-  
śli i przenikać do głębi duszy.

Twoja dusza? Dość będzie, gdy powiem, że podob-  
na do mojej. Warcimyś jeden drugiego. Nie cieka-  
wym wiedzieć kim byłeś i kim jesteś, więc i ty nie  
grzebaj w mej przeszłości. Nie oszukujmy się wz-  
ajemnie, gdyż nie doprowadzi to do niczego! Wiem pa-  
nie vice-hrabio, że jesteś dobrym hultajem, ale nie  
zmuszaj mnie do prześcignięcia ciebie. Zrozumiałeś  
mnie pan?

— Doskonale!—odrzekł Yotr zachwycony i ujęty  
tem cynicznym wyznaniem wiary.—Uważałem się za  
dzielnego, lecz widzę, że jesteś pan dzielniejszym. Pro-  
rastasz mnie o głowę.

— Opinia ta wielce mi pochlebia, gdyż pochodzi  
z ust takiego jak pan znawcy. A teraz powróćmy do  
przedmiotu, o którym mówiliśmy.

— Słucham.

— Otóż pragnę byś został moim zięciem.

— Musisz pan mieć w tem jakiś interes.

Siostry bliźniaczki.

— Naturalnie!

— Domyślam się, ale radbym dowiedzieć się z ust pańskich.

— Pragnę otrzymać połowę dochodów jakie posiadzie córka moja z chwilą śmierci swej matki, lub z chwilą dojsia do pełnoletności, albo w dzień swego małżeństwa.

— Zdaniem mojem, tylko małżeństwo może przyspieszyć objęcie majątku.

— Więc zgadzasz się pan na ten interes?

— Najchętniej, ale zmuszony jestem uczynić pewną uwagę...

— Jaka?

— Łatwo jest powiedzieć:—, „chcę wydać za mąż mą córkę“, ale czy córka przystanie na ten projekt?

— Blanka uczyni wszystko, czego od niej zażądam.

— Przypuszczam, lecz pozostaje matka...

— Ona nie zgodzi się.

— Więc cóż wtedy? Wiadomo panu, iż zezwolenie matki jest konieczne.

— Wiem, lecz poradzę sobie z nią.

— Przypuścmy, że zmusisz pan panią Rollim do zastosowania się do twej woli, lecz co zrobisz z córką jeżeli się oprze?

— Dlaczego ma się oprzeć? Zdaje mi się, że powinienes pan podobać się jej.

— Dziękuję za komplement, ale może kochać innego...

— Moja córka nie koeha innego.

— Zkąd pan mozesz wiedzieć? Zresztą pani Rollin mogła już za zgodą córki ułożyć jakiś projekt.

— To nie dość, wola ojca znaczy więcej.

— Znaczyłaby więcej, gdyby matka nie żyła, ale skoro żyje, to powaga jej znaczy tyle co i pańska.

— Dam sobie z tem rady.

— Usuniesz pan przeszkodę?

— Tak.

— Jakimi środkami?

— To już moja rzecz. Chodzi o to, by projekt się udał i uda się. Nie marszcz pan brwi i nie podejrzewaj mnie o jakieś plany zbrodnicze. Czyż wyglądam na zabójcę, czy myślisz pan, że chciałbym narażać się na gilotynę? Życie pani Rollin nie będzie ani na chwilę zagrożone! Wracam do rzeczy: Skoro tylko Marya Blanka zostanie pańską żoną, obejmie natychmiast w użytkowanie majątek po hr. d'Areynes, z obowiązkiem wypłacania nam dwunastu tysięcy franków rocznie. Majątek ten wynosi cztery milony pięćset tysięcy i daje dochodu około dwustu tysięcy franków. Zostawszy mężem mej córki, łatwo będziesz mógł z moją pomocą uzyskać od niej plenipotencję do odbioru dochodów i swobodnego rozporządzania niemi.

— Więc kontrakt ślubny zawarty będzie na zasadzie podziału majątków?

— Tak.

— Dla czego?

— Jest to jeden z warunków testamentu.

Grancey zamyślił się.

— O czym pan myślisz?—zapytał Gilbert.

— Mówiłem już panu, że studyowałem prawo i znam kodeks na palcach.

— Słyszałem.

— Niema takiego artykułu, którego bym nie znalazł o każdym z nich mogę rozprawić jak notaryusz lub adwokat.

— A więc?

— To, co mówiłeś pan o testamencie hr. d'Areynes wydaje mi się niejasnym i niebezpiecznym. Radbym go zobaczyć... Czy masz go pan?

— Mam tylko kopię.

— Będzie dostateczną. Czy możesz pan powierzyć mi ją?

— W tej chwili?

— Tak.

— Nie mam jej teraz pod ręką. Musiałbym długo szukać, ale wynajdę ją dzisiaj. Przyjdź pan jutro rano, a rozpatrzmy się w niej. Nadto zostaniesz pan u mnie na śniadaniu, gdyż chciałbym przedstawić cię mej żonie i przyszłej twej narzeczonej.

— Czy to nie będzie za pośpiesznie?

— Nie.

— Więc dobrze. Przyjdę jutro o tej samej porze.

— Teraz muszę pożegnać pana, gdyż mam pewną schadzke na drugim końcu Paryża.

— Do widzenia.

Były dependent wyszedł z pałacu i myślał:

— Przyjaciel mój jest dzielniejszym niż przypuszczałem!... Zdolny do wszystkiego, literalnie do wszystkiego! Jestem pewny, że myśli o jakiejś zbrodni, nie podpadającej pod artykuły kodeksu... Ciekawym dokąd on mnie zaprowadzi? Mniejsza o to, pójdę za nim. Jeżeli w błoto, to jestem zbyt zręcznym, bym dał się obryzgać niem.

Gdy mniemany vice-hrabia odszedł, Gilbert z swej strony rzekł do siebie:

— Chytry hultaj... ale jam chytrzejszy i dowiodę mu tego!

Poczem wziął kapelusz i wyszedł na śniadanie do swej kochanki Oktawii.

Gdy przechodził około łoży odźwiernego, ktoś zadzwonił u bramy.

Wstrzymał się, by zobaczyć kto przybywa.

Była to kobieta skromnie, lecz czysto ubrana, w białym czepku na głowie.

— Idę do pani Rollin—rzekła do odźwiernego.

— Dobrze... wiem o tem... pani czeka na panią. Kobieta udała się na dziedziniec.

— Co to za jedna?—zapytał Gilbert odźwiernego.

— To jakaś uboga, której pani pozwoliła przychodzić w piątki. Ma być dobra i nieszczęśliwa kobieta... Mąż jej służył w gwardzi narodowej i zabity został podczas oblężenia Paryża w 1870 r.

Gilbert drgnął.

— Czy nie wiesz jak się nazywa?

— Janina Rivat.

Krople zimnego potu wystąpiły na skronie Gilberta. Zbladł tak mocno, że służący zapytał:

— Czy panu źle zrobiło się? Może zawołać lokaja?

— Nie, nie potrzeba—odrzekł odzyskując zimną krew.—Mam migrenę, ale to przejdzie.

Wyszedł na ulicę, lecz był tak wzruszony, że chwiała się pod nim nogi.

Udał się do ogrodu Luksemburskiego, odszukał miejsce ustronne i siadł na ławce.

— Janina Rivat!—myślał, ocierając pot z czoła—więc żyje! A Duplat zapewniał mnie, że pogrzebana pod gruzami spalonego domu! Oszukał mnie lotr, albo może omylił się... Janina Rivat... wdowa po gwardziście, zabitym podczas oblężenia... nie ulega wątpliwości, że to ta sama!... Ona u Henryki i Blanki, swe córki!... kto mógł to urządzić? Jestem zgubiony, jeżeli ona dowie się, że Blanka jest jedną z jej córek, porwany przed siedmnastu laty, a Henryka, że oszukałem ją, podstawiając dziecko obce na miejsce jej zmarłego... Nie przebaczy mi tego! Zdolna będzie zaskarżyć mnie do sądu, sprowadzić policję do piwnicy domu przy ulicy Servan, gdzie zakopałem zwłoki jej córki: Jestem zgubiony!...

Pochylił głowę na piersi i drżał nerwowo.

Powoli jednak zaczął się uspokajać i chłodniej zastanawiać nad swem położeniem.

Po kilku minutach zerwał się z ławki i przechadzając się pod drzewami, myślał:

— Czy ja zwaryowałem? Czego ja się przestraszam za najmniejszym zdarzeniem? Co się stało z moją zimną krwią? Janina Rivat nie wie, nie może wiedzieć, kto porwał jej dzieci. Jest przekonana, że poniosły śmierć w ogniu. Jakim sposobem może domyśleć się, że Blanka jest jej córką?

Złąkłem się jak dzieciak i wstyd mi tego. Wprost żona moja jakimś wypadkiem spotkała się z Janiną Rivat, którą znała dawniej, Henryka pozwala jej przychodzić każdego piątku i udziela jałmużnę jako ubogiej. Nie mam się czemu dziwić, gdyż Henryka zwaryowawszy na punkcie miłosierdzia, zamieniła pałac w filię przytułku Towarzystwa dobroczynności. Wizyty Janiny Rivat nie mają w sobie nic niebezpiecznego. Trzeba być pozbawionym zdrowego sensu, by przeczuwać groźbę. Należy jednak dowiedzieć się co się stało, że Janina Rivat żyje i czy Henryka zna historię jej dzieci.

Przez całą godzinę Gilbert przechadzał się pod drzewami układając plan, z zamiarem wykonania go bez zwłoki.

Postanowił na śniadanie powrócić do domu.

Wszedł do stołowego pokoju w chwili gdy Henryka i Blanka siadały do stołu.

Jakkolwiek Gilbert często przez wiele dni z rzędu nie pokazywał się w pałacu, jednak nakrycie dla niego zawsze było przygotowane.

— Będę jadł dzisiaj śniadanie z wami—rzekł siadając.

Bywał on zwykle w takich wypadkach milczą-

cym i zaledwie kilka słów zamieniał z rodziną, ale na ten raz stał się mowniejszym.

— Moja droga Henryko—rzekł—jeden z moich przyjaciół vice-hrabia de Grancey, świeżo przybyły z prowincyi z zamiarem osiedlenia się w Paryżu, złoży mi wizytę jutro. Pozwól więc, że ci go przedstawię i zatrzymam na śniadaniu. Mam nadzieję, że przyjmiesz go uprzejmie.

— Dla czegoż nie?—odrzekła pani Rollin,— jeżeli pan Grancey należy do ludzi, których można przyjmować.

— Jest człowiekiem bardzo dystyngowanym i ostatnim potomkiem rodu wielce starożytnego.

— Gdzieżeś go poznał?

— Przedstawiono mi go na wyścigach. Jest bogaty i posiada własną stajnię, a ponieważ słyszał o mnie, jako o znawcy w kwestyach wyścigowych, więc chce zasięgnąć mojej rady.

— Możesz go przedstawić. O której godzinie ma być śniadanie?

— O zwykłej porze, w południe.

Rozmowa urwała się.

— Ale, ale—odezwał się Gilbert po kilku chwilach. Zdaje mi się, miałaś dziś rano wizytę?

— Wizytę? powtórzyła Henryka.

— Jakiejś kobiety, którą spotkałem wychodząc z domu. Odźwierny nawet mówił mi jej nazwisko.

— Zapewne Janina Rivat?

— Tak. Nazwisko to wywołało w mej pamięci dawne wspomnienia. Czy ona nie jest czasem wdową po jakim Pawle Rivat gwardziście z kompanii, której kapitanem byłem w r. 1870?

— Ta sama.

— Wydała mi się ubogą...

— I jest nią rzeczywiście... Nieszczęśliwa kobie-

ta zasługuje na litość, gdyż wiele wycierpiała, nie zasłużywszy na to. Smutna jest jej historia.

— Zdawało mi się, że zmarła podczas pożaru domu.

— Została ocaloną cudownie.

— Tak!...

— Będąc ciężko ranioną w głowę odłamkiem pocisku, poddała się operacji, po której dostała obłąkania.

— Obłąkania!

— Tak, i w stanie tym przebyła siedmnaście lat w szpitalu waryatów, z którego, zupełnie już wyleczona, wyszła dopiero przed kilkoma tygodniami.

— Biedna kobieta!

— Bardzo nieszczęśliwa!

— Z czegoż ona żyje?

— Dzięki wstawieniu się pewnego dobrego człowieka, pozwolono jej w portyku jednego z kościołów urządzić sprzedaż przedmiotów służących do nabożeństwa; a ponieważ osoby kupujące często ofiarują jej nadatki, z tego powodu nazywają ją powszechnie żebraczką od św. Sulpicyusza, choć ona sama nigdy nie prosi o nic. Właśnie tam ją poznałam, idąc do kościoła.

— Zresztą to bardzo dobra, zacna istota—dorzuciła Blanka. Od czasu poznania jej mieliśmy sposobność ocenić ją. Od pierwszej chwili czułam ku niej jakiś pociąg, a teraz prawie kocham ją.

— Bo zasługuje na to. Była i jest bardzo nieszczęśliwą! Kochaj ją, nie będę o nią zazdrośna!

— Zdaje mi się—rzekł Gilbert—w owym czasie, w którym omal nie zginęła w płomieniach, miała zostać matką?

— Rzeczywiście, miała dwie córki...



— Dwie córeczki!—zawołał z udanem zdziwieniem.

— Tak, bliźnięta.

— Cóż z nimi stało się? Czy mieszkają przy matce?

— Niestety! skradziono je.

— Skradziono? kiedy? gdzie?

— Wtedy gdy leżała bez życia w płonącym domu.

— Dziwna historia, prawie nieprawdopodobna!

— A jednak prawdziwa.

— I naturalnie, niewiadomo, kto dopuścił się tego czynu niegodziwego?

— Owszem, wiadomo, gdyż widziano go. Janina знаła go.

— I ty go znałaś—dodała Henryka, patrząc mężowi w oczy.

— Ja znałem tego złodzieja dzieci? Jaj!

— Nawet bardzo dobrze.

— Któż to taki? nie domyślałam się.

— Były furyer podczas wojny, ten sam, który podczas komuny przychodził do nas z pogrózkami.

— Serwacy Duplat!

— On.

— Był to łotr zdolny do wszystkiego!—rzekł Gilbert z udanym wstrętem.—Ale czy to rzecz pewna?

— Mówiłam ci, że widziano go

— Kto go widział?

— Świadek, którego słowom można wierzyć.

Henryka przyrzekła sobie nigdy w obecności męża nie wymieniać nazwiska księdza d'Areynes, nieraz bowiem z tego powodu miała sceny w domu.

— Janina Rivat nie powiedziała mi jego nazwiska.

— To nieprawda, w tem wszystkim niema odrobiny sensu. Jeżeli Duplat dopuścił się tego, to mu-

siałby mieć jakiś w tem interes. A jakież interes mógł mieć w porywaniu dzieci? Żadnego...

— Janina Rivat przypuszcza, że uczynił to przez nienawiść i zemstę, gdyż nienawidził jej męża, i ją.

— I to nie jest jeszcze powód. Nienawiść do rodziców, nie mogła być pobudką do bezcelowej zbrodni. Dla czego raczej nie przypuścić, że człowiek ten jakkolwiek niegodziwy, tknięty widokiem niewinnych istot, uratował je przez litość.

— I ja mówiłam to Janinie Rivat.

— I cóż ona na to?

— Odpowiedziała, że nie wierzy, aby Duplat miał w sobie choć iskierkę jakiego uczucia ludzkiego.

## XII.

Po chwili milczenia Gilbert zapytał:

— Czy Janina Rivat po odzyskaniu zmysłów i przyjeździe do Paryża, starała się odszukać swe córki i Duplata?

— Duplat już nie żyje—odrzekła Henryka.

— Nie żyje?

— Zapewniano ją, że został rozstrzelany po stłumieniu komuny.

— A córki?

— Nie mogła odszukać ich. I jakim sposobem? Żadnego śladu, najmniejszej wskazówki!

Gilbert odetchnął swobodnie.

— Janina nic nie wie—pomyślał—więc i Henryka nie dowie się. Jestem spokojny!

Po śniadaniu Gilbert pożegnał Henrykę i Blanę i odszedł do swego gabinetu, gdzie zajął się odszukiwaniem kopii testamentu hr. Emanuela.

Henryka nie domyślała się nawet, jak ważnych informacji dostarczyła swemu mężowi.

Następnego dnia vice-hrabia Grancey już o dziewiątej rano przybył do pałacu przy ulicy Vaugirard.

Był tak starannie ubrany, że Gilbert spostrzegłszy go, pomyślał:

— Szykowny! Byłoby dziwnem, gdyby nie poruszył serca takiej gąski jak Blanka.

Po przywitaniu się vice-hrabia odrazu przystąpił do interesu:

— Cóż znalazłeś pan testament?

— Znalazłem,—oto jest! siadaj pan i czytaj. Może zapalisz cygaro?

— Nie... później... Robiłoby mi to dystrakcyę.—  
A po chwili dodał:

— Co za bazgranina!

— Co chcesz, mój drogi, pismo księżowskiel

— Ach! więc to ksiądz kopiował ten testament?

— Nie tylko kopiował, lecz i dyktował, Jestto kuzyn mojej żony, ksiądz d'Areynes, nieprzyjaciel mój.

— W takim razie należy czytać z uwagą podwójną.

Grancey zasiadł w fotelu wygodnie i zaczął czytać półgłosem, powtarzając każdy frazes dwa razy i zastanawiając się nad każdym wyrazem.

Początek aktu nie nastreczył mu spobności do żadnych uwag, dopiero gdy doszedł do słów: „dający dochodu sto siedmdziesiąt tysięcy franków“, podniósł głowę i zapytał:

— Mówiłeś pan, że dochód wynosi dwieście tysięcy franków, tymczasem mowa tutaj tylko o stu siedmdziesięciu tysiącach?

— Notaryusz zarządzający majątkiem podwyższył opłaty dzierżawne, korzystnie polokował kapitały i tym sposobem powiększył dochody o trzydzieści tysięcy franków.

— Porządny człowiek!—odrzekł Grancey, śmiejąc się.—Chętnie powierzyłbym mu zarząd moich dóbr.

Poczem czytał dalej:

„Powyższy kapitał cztery miliony pięćset tysięcy franków zapisuję mającemu przyjść na świat dziecku mojej bratanicy Maryi Henryce Rollin z domu d'Areynes.

„Jeżeli dziecko to będzie żyło, obejmie w użytkowanie kapitał z dniem dościa do pełnoletności, lub małżeństwa, z warunkiem w tym drugim razie, iż kontrakt ślubny sporządzony będzie na podstawie separacyi majątkowej.

„Dziecko to po dościu do pełnoletności obowiązane będzie wypłacać swej matce dwanaście tysięcy franków renty dożywotnej.

„W razie gdyby mające przyjść na świat dziecko Maryi Henryki Rollin zmarło przed objęciem kapitału w użytkowanie, kapitał ten nie może być ustapiony lub cedowany osobie innej; Marya i Henryk Rollin ma pobierać i nadal aż do śmierci całkowitą od niego rentę.

„Gdyby zaś Henryka Rollin zmarła bezpotomnie, całkowity kapitał ma być podzielony na cztery części jak następuje“.

Były dependent pośpiesznie odczytał pozostałe wiersze i gdy skończył, gwałtownie uderzył pięścią w stół.

— Ten testament jest niedorzecznym!—zawołał.

— Wiem o tem oddawna—odrzekł Gilbert.

— Ale nie w tem znaczeniu, w jakim pan rozumiesz! Kuzyn pańskiej żony może być człowiekiem bardzo inteligentnym i księdzem wielce uczonym, ale nie ma pojęcia o prawie i przepisach testamentowych. Ostatni pisarzyna adwokata lub notaryusza napisał-

by lepiej! Co za naiwność! Trzeba to czytać, aby uwierzyć!

— Cóż takiego?—zapytał Gilbert.

— Szereg nonsensów i sprzeczności! Przedewszystkiem potrzebuję jednego wyjaśnienia. Stosunki pańskie z hr. Emanuelem musiały być nieosobliwe?

— Nawet bardzo zle!

— Jest to widoczne! Testator obawiał się, byś pan nie zagarnął całego lub części kapitału. Ztąd pochodzą oburzające niedorzeczności z poważnego punktu widzenia, a co za tem idzie, zupełna nieważność aktu. Bo proszę pana, weźmy tylko punkt pierwszy:

„Powyższy kapitał cztery miliony pięćset tysięcy franków zapisuję mającemu przyjść na śwat dziecku mojej bratanicy Maryi Henryce Rollin z domu d'Areynes. Jeżeli dziecko to będzie żyło, obejmie w użytkowanie kapitał“... No: a dalej?

— Jakto dalej?

— Tak, a dalej? zapis zatrzymuje się na dziecku. Jeżeli dojdzie do pełnoletności lub zawrze związku małżeński, będzie miało prawo jedynie użytkowania kapitału, bez prawa przekazania go. A jeżeli umrze pozostawwszy dzieci, co im da? Nie może im dać użytkowania, które samo przez się może upaść po trzydziestu latach. Testator odmawia mu wszelkich praw, wiąże mu ręce...

— To być nie może!

— Właśnie, że tak jest! Dziecko niema prawa rozporządzać użytkowaniem, ponieważ testator przeznacza je na cele inne. W razie śmierci dziecka, o którym testator mówi, a którym jest panna Blanka, użytkowanie wraca do matki. Gdyby zmarła matka, majątkiem podzielał się lotaryńczycy, szpitale, zakłady dobroczynne i t. d. Przyznaj pan, że projekt pański, który bardzo mi się uśmiechał, wygląda trochę inaczej!

Zaślubiam pańską córkę. Bardzo pięknie. Tymczasem żona moja umiera po kilku mieciącach, roku czy kilku latach... Wszak to rzecz możliwa, prawda? Cóż nam wtedy pozostanie, t. j. panu i mnie?—Nic, literalnie nic!..

— Chyba mylisz się pan—odrzekł Gilbert.

— Zastanów się pan dobrze nad tym stekiem nedorzecznosci, przeczytaj z uwagą, a przekonasz się, że nie potrzeba być doktorem prawa, aby zrozumieć nieważność tego aktu,

Gilbert przestraszył się.

Jeżeli vice-hrabia mówił prawdę, wszystkie jego marzenia runęłyby, musiałyby poprzestać na sytuacji, narzuconej mu przez Henrykę i księdza d'Areynes.

Zastanowił go jednak wymówiony przez Granceya wyraz nieważność.

Wsparł głowę na dłoniach i pograżył się w czytaniu testamentu.

Nagle były kryminalista zawołał uradowany:

— Nie czytaj pan dalej, nie szukaj! Znalazłem!

— Coś pan znalazł?

— Sposób objęcia czterech milionów pięciuset tysięcy franków, pozostawionych przez hr. d'Areynes!

Oczy Gilberta zaiskrzyły się.

— Znalazłem, i nie sto tysięcy franków zobowiązuje się wypłacać panu rocznie, jeżeli zaślubię pannę Blanę, ale dam dwa miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków jednorazowo, które będziesz mógł użyć jak ci się podoba.

— Wytłumacz pan jaśniej.

— Powiedziałem przed chwilą wyraz „nieważność“ i nie cofam go; to znaczy, że testament może być zwalony, gdyż jest nieważny.

— Ach gdyby tak było!

— Tak jest! Punkt, przyznający pannie Blance użytkowanie kapitału od dnia pełnoletności lub mał-

żeństwa, ale nie mówiący nic, co ma nastąpić po jej śmierci w razie gdyby pozostawiła dzieci, czyni testament nieważnym. Mąż pańskiej córki, opierając się na fakcie, że testator działał na szkodę potomków jego żony, może wystąpić z procesem, zażądać unieważnienia testamentu i gardło dam, że wygra.

— Nie łudzisz się pan?

— Nie. Idę dalej: wyraźny warunek separacyi dóbr, stanowi drugi powód nieważności... Użytkowanie, upadające po trzydziestu latach, nie może być przekazywane, nawet bez zastrzeżenia... Kontrakt słubny, podpisany dla uszanowania warunków narzuconych przez testatora, byłby punktem wyjścia procesu, wytoczonego przez męża, domagającego się dla swej żony majątku, do którego ma prawo. Powtarzam panu, że testament jest nieważnym i mocno dziwię się notaryuszowi rodziny d'Areynes, że milczy, skoro to tak wyraźne!

— Jest przyjacielem pani Rollin.

— Skoro tak, to nic dziwnego. Zresztą nie jest obowiązany mówić, gdyż testament pisany był bez jego wiedzy.

— Jednym słowem, cóż nam pozostaje uczynić?

— Trzymać się ściśle planu pierwszego i usuwać z drogi przeszkody.

— Moją żonę...—mruknął Gilbert.

— Mówiłeś pan, że ona nie zgodzi się na mój związek z panną Blanką.

— To nie ulega wątpliwości.

— Ale dodałeś, że potrafisz usunąć tę trudność... Nie chcę wiedzieć za pomocą jakich środków... Użyj ich pan... Gdy droga będzie wolną, skorzystasz z swych praw ojcowskich.

## XIII.

Po kilku sekundach milczenia, Grancey odezwał się.

— A teraz pozostaje nam czekać cierpliwie... Daj mi pan czas do działania... I sam bądź ostrożny, aby nikt nie domyślił się twych projektów.

— Nie lękaj się pan o to. A teraz posłuchaj mnie. Zapowiedziałem pańską wizytę i przedstawiłem cię bardzo pochlebnie. Otóż postaraj się, aby żona moja i Blanka przyznały mi słuszność. Mówiłem o twojej rodzinie i dodałem, że poznałeś się ze mną w celu zasięgnięcia rad moich w sprawie urządzenia stajni wyścigowej.

— Bardzo dobrze.

— Rzuć niby niechcący kilka słów o tem i w ogólnu staraj się zyskać opinię dżentelmana.

— Bądź pan o to spokojnym. Nie powstydzisz się przyszłego zięcia swego.

— Cicho, ktoś idzie...

I rzeczywiście, za parę sekund lokaj otworzył drzwi gabinetu i oświadczył, że pani i panna czekają w salonie.

Gilbert i jego gość udali się do nich bezwzględnie.

— Kochana Henryko, kochana Blanko—rzekł— przedstawiam wam pana vice-hrabię de Grancey.

Były dependent ukłonił się, zachwycony pięknością młodej dziewczyny.

Blanka ubrana w białą suknię z delikatnej materii, uwydatniającą jej kształty dziewicze, była idealnie piękną.

Biała cera jej twarzy i wspaniałe włosy ciemne cudownie harmonizowały z żywym blaskiem jej wiel-



kich łagodnych oczu szafirowych i z długimi ciemnymi rzęsami.

Henryka ubrana czarno, była jeszcze piękną, pomimo przedwcześnie zbielałych włosów.

Przedstawiony przez Gilberta gość posiadał wszelkie pozory człowieka światowego.

Po kilku minutach lokaj oświadczył, iż podano do stołu.

Wtedy Grancy podał ramię pani Rollin, Gilbert Blance i wszystkie cztery osoby weszły do pokoju stołowego, gdzie gość zajął przy stole miejsce pomiędzy matką i córką.

Henryka miała wszelką rację z niedowierzaniem spoglądać na każdego, kogo Gilbert nazywał swym przyjaciелеm.

Mimo to, musiała wyznać przed sobą, że Grancey był człowiekiem wielce przyjemnym. Był wesołym w miarę i umiał opowiadać zajmująco. Parę razy wywołał uśmiech na bladą jej twarz, co zaś do Blanki to ta śmiała się z całego serca i była gościem zachwycona.

Gdy po śniadaniu wice-hrabia prosił o pozwolenie złożenia od czasu do czasu swego szacunku, Henryka odrzekła, iż będzie zawsze przyjętym z przyjemnością.

Jednym słowem, opuszczając salon, mógł pochlebiać sobie, iż wywarł jaknajlepsze wrażenie.

Gdy Gilbert znalazł się sam na sam z Granceyem zapytał:

— No, cóż, jesteś pan zadowolony?

— Jestem zachwycony! Panna Blanka jest cudowną! Co zaś do pani Rollin, to zdaje mi się, że nie umiesz jej ocenić. Sądzę, że wzięwszy się zrećźnie, można uzyskać od niej zgodę, która uwolniłaby od użycia środków gwałtownych.

— To nie znasz pan **mojej** żony... Zresztą, gotów  
Siostry bliźniaczki.

Jestem spróbować... lecz z góry jestem pewny, że się nie uda...

— Kto nie rezykuje, nic nie ma!



Pięć miesięcy upłynęło od dnia, w którym Janina Rivat osiadła ze swym sklepikiem w przedsiönku kościoła św. Sulpicyusza.

Stęskniona do swej małej przyjaciółki, Róży, młodej infirmierki w Blais, napisała do niej list, lecz nie otrzymała odpowiedzi.

Nadszedł październik.

Pewnego dnia o godzinie pierwszej po południu, jakiś człowiek z siwą brodą, długimi włosami, spadającymi na kołnierz surduta, którego barwa znikła pod działaniem czasu, w nasuniętym na oczy kapeluszu o szerokim rondzie, pochylony, podpierając się kijem sękatym, ociężale postępował drogą, wiodącą z Paryża do Varenne.

Twarz wędrowca, tak podobnego z powierzchowności do żebraka, była zmęczoną, wyniszczoną i nie dawała możności domyslenia się jego wieku.

Przybywszy do Joinville, przebył most i udał się wzdłuż Maray, w kierunku Champigny.

Drogę musiał znać dobrze, gdyż szedł śmiało, bez namysłu.

Z wyjątkiem kilku rybaków siedzących na łodziach i obserwujących pływaki na wędkach, okolica była pusta.

Człowiek z brodą i kijem sękatym szedł ciągle krokiem wolnym i zmęczonym, zadumany, z głową opuszczoną na piersi.

Podszedłszy do pierwszych domów Champigny, powiódł dokoła wzrokiem i szepnął:

— Jakie zmiany! Ile tu nowych domów!

Gdy wszedł na ulicę Bretigny i spostrzegł wielką pustą przestrzeń przed sobą, zatrzymał się i zadrzał.

Krople zimnego potu wystąpiły mu na porane zmarszczkami czoło.

Spostrzegł robotników i mularzy, pracujących w ogrodzie domu, oznaczonego numerem 9-ym.

— Wszystko przepadło!... — szepnął zdławionym głosem.

Podszedł jednak do zajętych pracą robotników.

Z zajmowanego niegdyś przez Palmirę domku pozostały już tylko fundamenta; palisada znikła, wycięto ciągnący się pod nią szpaler i na ich miejscu stawiano mur.

Wędrowiec rzucił wzrokiem na ogród i odetchnął.

— Drzewo orzechowe na miejscu—rzekł do siebie.—Nie kopali tam jeszcze, więc i moja butelka spoczywa pod ziemią.

Nagle przyszła mu pewna myśl.

Podszedł do dozorczy robotników i uklonił się.

Ten spojrział na niego podejrzliwie, gdyż ani twarz wędrowca, ani znoszone ubranie nie usposobiały na jego korzyść.

— Czego chcesz?—zapytał.

— Proszę pana o robotę. Spełni pan dobry uczynek, dając mi możność zarobienia na życie.

— Masz narzędzia?

— Nie mam. Przybywam zdaleka... Byłem chory i leżałem w szpitalu.

— Nie wiem, czy podolasz...

— Posiadam wolę i wytrwałość.

— Ile chcesz zarobić?

— Ile pan da... Cokolwiek pan ofiaruje mi, będę zadowolony. Abym tylko zarobił na chleb...

— Półtrzecia franka, zgadzasz się?

— Z wdzięcznością.

— Więc bierz się do roboty! Weź z magazynu taczkę, motykę i łopatę i wywóz gruz z pod rusztowania.

Nowy robotnik złożył na ziemię surdut, kij i kamizelkę, zawinał rękawy koszuli i wziął się do roboty.

Dozorca spoglądał na niego jakiś czas i widocznie był zadowolony, gdyż poszedł, dał mu dwa franki i rzekł:

— Widzę, że masz ochotę do pracy. Weź to na obiad i nocleg. Robota kończy się o szóstej wieczorem i zaczyna o pół do ósmej rano.

Robotnik podziękował i sumiennie pracował dalej, dopełniając energią słabnące siły.

Czytelnicy oddawna zapewne poznali w nim Serwacego Duplata byłego kapitana Komuny, zesłanego do Nowej Kaledonii.

Gdy Gaston Depréty—obecnie wice-hrabia Jerzy de Grancey—opuszczał Numeę, Duplatowi pozostawało jeszcze około dziesięciu miesięcy do ukończenia dziesięciu lat przymusowych robót, na które skazany był za usiłowanie kradzieży.

W cztery miesiące po wyjeździe dependenta Duplat uwolniony został od reszty kary, ze względu na rany otrzymane przy pracy.

Będąc schorowanym i wycieńczonym, nieraz zapytywał siebie, czy nie lepiej byłoby, po uzyskaniu uwolnienia, pozostać na resztę życia w Nowej Kaledonii, aniżeli powracać do Francji.

Ale gdy niespodzianie odczytano mu rozkaz uwalniający go, przestał się wahać.

— Czy chcesz osiąść w Numei? — zapytano go w kancelaryi.

— Nie—odrzekł.

— Więc pragniesz powrócić do Francji?

— Tak.

— Może nie wiesz, że oddany będziesz pod nadzór policyjny na dwadzieścia lat, rachując od dnia uwolnienia.

— Wiem o tem.

— Nie pozwolę ci mieszkać w Paryżu, miejscu twego urodzenia, chyba, że poręczy za tobą taka osoba wpływowa.

— Nie znam już nikogo w Paryżu.

— Krewni?

— Żaden już nie żyje. Niech pan sam wyznaczy mi miejsce zamieszkania... jakiegokolwiek... potrafię zapracować na życie.

— Chcesz osiąść w Caen?

— Niech będzie Caen. I tam znajdę pracę.

#### XIV.

Tak więc na miejsce zamieszkania wyznaczone zostało Duplatowi miasto Caen.

W kilka dni później eks-kapitan komuny, zaopatrzone w paszport, z uzyskanemi z zarobku przez czas przebywania w robotach czterystu frankami w kieszeni wyruszył do Francji.

Postanowił udać się do Caen, zawizować tam paszport, złożyć go w prefekturze w zamian za upoważnienie na pobyt stały i po kilku tygodniach, przez Paryż, ale nie zatrzymując się w nim, drapnąć do Champigny, dla odkopania swego skarbu.

Następnie zajmie się odszukaniem Gilberta Rollina.

Obliczył, że powinien przybyć do Paryża na początku września, ale zawiódł się.

Przejazd do Europy, z powodu wiatrów, był długi i tak męczący, że Duplat, po przybyciu do Brestu, musiał udać się do szpitala, gdzie przeleżał cztery tygodnie.

Podreperowawszy nieco zdrowie, zaopatrzony w świadectwo szpitalne, pojechał do Caen, gdzie uregulował papiery i zaczął szukać pracy.

Wiemy, że nie imponował postawą.

Będąc cierpiącym, osłabionym, nie posiadającym żadnego fachu, Duplat napróżno pukał do wszystkich drzwi.

Przywiezione czterysta franków wyczerpywały się tymczasem trzeba było żyć i mieszkać.

— Nie mogę dłużej zwlekać... trzeba jechać do Champigny.

I był czas, gdyż po opłaceniu kolei żelaznej pozostało mu tylko trzy franki.

Gdy najął się do roboty przy ulicy Bretigny, miał w kieszeni nie więcej nad dwadzieścia centymów.

Dane mu przez nadzorcę dwa franki przydały mu się bardzo.

O godz. szóstej robotnicy złożyli narzędzia i opuścili robotę.

Duplat z jednym z ostatnich udał się na obiad

Był tak utrudzony, że ledwie włókł nogi.

Duszką wypił szklanekę wina, zjadł chleba z dwa sous, następnie wziął się do zupy,

Gdy posilił się, zapytał towarzysza:

— Czy jesteś miejscowym?

— Miejscowym. Tu się urodziłem i wychowałem. Pamiętam ostatnią wojnę i prusaków... Choć byłem wówczas bardzo młodym, gdyż mam dopiero trzydzieści pięć lat, ale szkodziłem im, ile mogłem. Rodzice moi spoczywają na tutejszym cmentarzu...

— I nie opuszczałeś nigdy Champigny?

— Nigdy. Wolałem siedzieć na miejscu.

— Więc musisz znać tutaj wielu ludzi?

— Ba! Znam wszystkich, od najstarszego do najmłodszego.

— Czy też istnieje jeszcze rodzina Lagier?

— Właściciele pralni?

— Tak.

— Znasz ich?

— Znałem dawniej samego Lagier.

— Wszyscy żyją. Porządny zakład i robotnikom tam dobrze. Nabawiłem się ja z nimi każdej niedzieli, gdy byłem młodszym. Widzisz ten dom, co rozwalają, przy ulicy Bretigny? Tam mieszkała jedna ich robotnica, którą nieraz odwiedzałem... Co za dziewczyna!... w Paryżu niema takiej!

Wychylił łyk wina i mlasnął językiem.

Nie wiedząc, sam naprowadził rozmowę na najważniejszy dla Duplata przedmiot.

— Tęga dziewczyna! — powtórzył. — Nazywano ją powszechnie „piękną Palmirą“.

— Znałem ją — rzekł Duplat.

— Gdzie mogłeś poznać ją? Nie widziałem cię tutaj nigdy.

— Znałem ją w Paryżu, podczas oblężenia. Schroniła się tam wraz ze swymi pracodawcami.

— Rzeczywiście, ale później wróciła do Champigny. Co prawda, zanadto lubiła życie wesole, ale też była robotnicą doskonałą!

— Czy mieszka dotychczas w Champigny?

— Nie. Znalazła pewnego kochanka, który ją zaślubił, ale naprawdę, przed merem i księdzem!

Duplat rzucił się na stołku.

— Palmira wyszła za mąż! — zawołał.

— Mówię ci, że wyszła i wcale dobrze, gdyż za

właściciela hotelu i restauracji w Paryżu, niejakiego Potonnier. Waryował za nią i w końcu ożenił się

— I jest szczęśliwą?

— Bardzo, tem więcej, że mąż po dwóch latach pożycia umarł, pozostawiwszy jej zakład i wcale pokaźny kapitalik. A pracuje, jak wtedy, gdy była praczką... Parę lat temu, będąc w Paryżu, zachodziłem do niej na szklanekę wina... Nic się nie zmieniła. zawsze taka sama dobra i przystępna...

— Więc nie wiesz, że mieszka przy ulicy Boulets?

— Tak, pod nr. 23. Zakład niebardzo okazały, ale robi interesy świetne.

— Cieszy mnie to, gdyż to dobra kobieta i zasługuje, by jej się powodziło.

— Naturalnie, taka wesola i z takim dobrym sercem!

Duplat wstał, uregulował rachunek i pożegnał towarzysza.

Wyszedłszy na ulicę, udał się do sklepiku, kupił świecę i paczkę zapalek, poczem powolnym krokiem wrócił do rozwalonego domku Palmiry.

Na zegarze miejskim wybiła godz. ósma.

Pod wystawą, przeznaczoną na skład narzędzi, siadł na pęku słomy i wyciągnął zdrętwiałe nogi.

— Zawsze brać się do roboty—szepnął—mógłby mi kto przeszkodzić. Zasnę trochę i nabiorę sił...

Rozesłał słomę, położył się i zasnął.

Gdy przebudził się o północy, był znacznie wzmocnionym.

Zapalił świecę, wziął potrzebne mu narzędzie i podszedł do drzewa orzechowego, pod którem przed siedemnastu laty zakopał butelkę.

Uważnie przyjrzał się miejscu i rzekł.

— Tu należy kopać...



Zgasił świecę, położył pod ścianą, by znaleźć w razie potrzeby, ujął rydel i zabrał się do pracy.

Z początku szło mu ciężko, gdyż ziemia była zeschnięta i twarda, ale pracował gorliwie.

Po upływie pół godziny, zaniepokojony, iż nic dotychczas nie znalazł, nachylił się nad jamą i rękami wygrzebał ziemię.

Znowu zaczął kopać, pogłębił jamę do półtora metra, wreszcie obalił drzewo orzechowe, a butelki ani śladu!

Wtedy zapalił świecę, rękami przebrał wykopaną ziemię, sądząc, że wraz z nią wyrzucił i butelkę, lecz wszelkie poszukiwania były bezowocne.

— Nie mogłem zakopać głębiej... ktoś ją skradł. Straciłem wszystko!... wszystko!... wszystko!... — zawołał, załamując ręce w rozpacz.

Drżał całym ciałem i był tak złamany, że musiał usiąść na obalonem drzewie.

— Ktoś musiał kopać tutaj i odkrył mój skarb... A jednak, jestem pewnym, że nikt mnie nie widział, gdym go ukrywał... Musiałem zostawić jakiś ślad po sobie... W domu mieszkała tylko Palmira, więc chyba ona!... Poznam z jej twarzy, gdy zobaczę się z nią...

Po raz dziesiąty przetrząsnął ziemię i nic nie znalazł.

Na zegarze merostwa wybiła godzina trzecia.

Dupłat rzucił szpadel i zamyślił się.

— Jechać do Paryża... o czym? Nie mam ani grosza... Ale to nic... Palmira nie odmówi mi przytułku i będzie żywiła, dopoki nie odzyskam Gilberta Rollina.

I z miejsca puścił się w drogę.



XV.

Wyszedszy z Champigny o trzeciej rano, o szóstej był już na ulicy Boulets.

Dzień zaczynał dopiero świtać.

Objaśnienia, udzielone mu przez robotnika, okazały się dokładnemi, na domu bowiem, oznaczonym numerem 23, zobaczył szyld z napisem: „Pontonnier—Restauracya.“

Duplat całą godzinę czekał na ulicy, zanim otworzono zakład.

Jednocześnie z nim weszło do wnętrza i kilku innych robotników.

— Proszę o kieliszek rumu — rzekł do usługującego chłopca.

Gdy podano mu go, zapytał:

— Czy pani jest już w zakładzie?

— Jeszcze nie. Przyjdzie za trzy kwadransy. Czy chce pan najać pokój?

— Chcę widzieć się z nią.

— Więc niech pan poczeka.

Wdowa Potonnier przybyła o ósmej i zajęła miejsce za kontuarem.

Nie będziemy utrzymywali, że ubiegłe siedmnaście lat nie pozostawiły śladów na twarzy prasowaczki z Champigny, zwanej *piękną Palmirą*. Wogóle jednak zmieniła się ona niewiele; zachowała swe gęste włosy, piękne zęby, ten sam wyraz oczu i przyjemny uśmiech.

Tylko kolor szyi nieco zciemniał, przybyło trochę tuszy, biust stał się pełniejszym

— Jakiś gość chce się z panią rozmówić — oświadczył jej chłopak—i czeka od godziny.

Pani Potonnier powstała z za kontuaru i podeszła Duplata.

— Czy pan chciałeś się ze mną widzieć? — zapytała.

— Tak... pani...—nieśmiało wyjąkał Duplat.

— Czego pan sobie życzysz?

— Chciałem rozmówić się z panią na osobności— odrzekł po cichu.

Palmira, nie odznaczająca się nigdy lepszymi manierami, oparła ręce na biodrach i stanawszy w pozycji wyzywającej, zaczęła się śmiać na cały głos.

— Na osobności!... ze mną!...—zawołała.—Musisz być wielce zarozumiałym, mój poczciwczu! Ha, ha, ha! Najszybszy jesteś! Idź naprzód do fryzjera, kaź ostrzyz sobie włosy i ogolić brodę, następnie wymyj się szabłem mydłem i przebierz się, a wtedy zobaczymy...

Duplat zdjął z głowy kapelusz i rzekł tonem

mutnym:

— Wiem, że się bardzo zmienił, ale nie przyuszczalem, iż tak dalece, że nie poznasz mnie.

Palmira, oburzona tonem poufałym, spojrziała uważnie na gościa, usiłując w zwiędłej twarzy jego dostrzedz znajome sobie rysy.

— Nie—odrzekła po chwili—nie znam cię wcale.

— Serwacy Duplat—szepnął.

— Ty! ty! tutaj!... — zawołała prawie przestraszona.

szona.

— Ja.

— To być nie może!

— A jednak tak jest! Potrzebuję pomówić z tobą.

Palmira odwróciła się do chłopca i rzekła:

— Pilnuj kontuaru... Rozmówię się z tym panem i zaraz powrócę.

Zaprowadziła Duplata do swego mieszkania na pierwszym piętrze i zamknęła drzwi za sobą.

Następnie podprowadziła go do okna i przyjrzała mu się, rzekła:

— Poznaję cię teraz... Ależ zmieniłeś się niezmiernie... Więc ty żyjesz?

— Zdaje się, że żyję.

— Myślałam, że rozstrzelali cię...

— Może i lepiej byłoby dla mnie.

— Gdzież przebywałeś? Zkąd wracasz?

— Z Numei.

— Więc ujęli cię w Champigny, w domu przy ulicy Bretigny?

— Tak; ktoś zadenuncyował mnie... Agenci oszukali mnie i wyciągnęli z domu.

— Domyślałam się tego, choć z początku myślałam, że uciekłeś do Genewy bezemnie, ale później, spostrzegłszy pod drzwiami ślady walki, przekonałam się, że podejrzywałam cię niesłusznie.

— Nie mogłem nawet opierać się, gdyż lotry byli silniejsi odemnie. Przytem zarzucili mi pętlę na szyję i mało nie udusili, a nadto przyłożyli rewolwery do głowy. Zawieziono mnie następnie do Wersalu, gdzie sąd skazał mnie na deportację do Nowej Kaledonii.

— Czemużeś ztamtąd nie pisał?

— Bałem się skompromitować cię.

— Nie było obawy.

— Nie wiedziałem o tem.

— Dlaczegoż nie powróciłeś do kraju za amnestją?

— Popoiniłem jedno głupstwo.

— Jakie?

— Pchnąłem nożem w bok dozorcę, który dokuczał mi — odrzekł, nie chcąc przyznać się do kradzieży. — Skazano mnie za to na dziesięć lat robót przymusowych.

- Słownie wyglądasz, niema co mówić, jak za-  
rak...
- Poprawię się...
- Czy oddano cię pod nadzór policyi?
- Na dwadzieścia lat.
- I pozwolono mieszkać w Paryżu?
- Nie. Pobyt w Paryżu wzbroniony. Wyzna-  
cono mi Caen.
- Więc wydaliliś się samowolnie?
- Musiałem... Potrzebowałem koniecznie dostać  
się do Champigny, do domu, w którym mieszkałaś.
- Nie rozumiem cię. Po co, skoro wiedziałeś,  
że nie mieszkam tam?
- Chciałem zabrać pieniądze schowane.
- Schowane u mnie?
- Tak. W ogrodzie, pod drzewem orzechowem.
- Dużo?
- Czternaście tysięcy franków biletami banko-  
wymi i sto pięćdziesiąt tysięcy franków w walorach.
- Sto pięćdziesiąt tysięcy franków!—powtórzyła  
almira zdumiona.
- Tak jest.
- Za bilety bankowe miałem założyć ci pralnię  
w Genewie, jak umówiliśmy się. Bojąc się trzymać  
pieniądze przy sobie do czasu ucieczki, włożyłem je w  
butelkę, którą zakorkowałem starannie i zakopałem w  
ogrodzie pod drzewem.
- No i dostałeś się teraz do ogrodu.
- Dostałem się.
- Kiedy?
- Tej nocy.
- I znalazłeś pieniądze?
- Niel
- Jakim sposobem? Przecież musiałeś kopać  
pod drzewem?

— Ktoś odkopał przedemną.

— Kto? Przecież nikt nie mógł wiedzieć, tam ukrył je? Musiałeś źle szukać.

— Szukałem dobrze. Nawet przesiewając przeszło sito, nie możnaby lepiej przetrząsnąć ziemi, jak ja przetrząsałem. Powiedz mi, czy nigdy nie używałeś ogrodnika?

— Nigdy! Wyprowadziłam się z tego domu rok po twojem zniknięciu i od tego czasu nikt w nim nie mieszkał. Wiem o tem od moich dawnych pracowników. Mówili mi oni nawet, że dom ten został sprzedany i mają go rozebrać, a na jego miejsce mają postawić nowy.

— Prawda... kochają go teraz i właśnie tylko dzięki tej okoliczności mogłem swobodnie dokonać poszukiwań. Pieniądze te były całą moją nadzieją... Tyś ko ta myśl, że je odnajdę, podtrzymywała mnie w tym mes. Dziś nie pozostało mi nic... nic...

— Czy nikomu nie mówiłeś o nich?

— Nikomu! Byłbym chyba głupim lub waryatem

— Więc cóż teraz poczniesz?

— Przybyłem prosić cię o radę i pomoc.

— Chętnie uczynię wszystko, co będę mogła, moiodny stary—odrzekła, podając mu rękę.

— Zawsze jesteś taka sama dobra!—odrzekł ekskapitan komuny, z rozrzewnieniem ściskając jej dłoń.— Posiadasz złote serce i dla tego jesteś szczęśliwą.

— Kto ci dał mój adres?

— Jakiś robotnik w Champigny. Przytem dowiedziałem się od niego, żeś wyszła za mąż, następnie owdowiałaś i że masz hotel i restaurację przy ulicy Boulets.

— Rzeczywiście, wyszłam za bardzo dobrego człowieka i przytem zamożnego. Żył ze mną tylko dwadzieścia lat, nie chwając się, mogę powiedzieć, że był szczę-

śliwym... tak szczęśliwym, że umierając, zapisał mi cały swój majątek.

— To dobrze... Jesteś już teraz spokojna o przyszłość...

— Zdaje mi się... Ale wracajmy do twego interesu, gdyż muszę iść do zakładu. Czego więc żadasz ode mnie?

— Oto czego: zachowane w butelce papiery były to obligi. Otóż potrzebuję wiedzieć, czy człowiek, który je wystawił, zaprzę się tego długu i czy nie mógłbym, ustąpiwszy cośkolwiek, odzyskać choć część jego.

— Powiedz mi, czy na seryo winien ci on taką sumę?

— Czyżbym kłamał przed tobą?

— Jakim sposobem mogłeś pożyczyć ją, skoro nigdy nie miałeś ani grosza?

— Jest to nagroda za pewną, bardzo wielką przysługę.

— Jeżeli dłużnik twój jest człowiekiem uczciwym, to skoro jesteś gotów ustąpić mu coś, porozumie się; ale jeżeli jest łotrem, to wyrzuci cię za drzwi.

— Wiem, że radby pozbyć się mnie, ale mogę go zmusić.

— Więc posiadasz jakąś jego tajemnicę?

— Posiadam.

— Ważną?

— Ogromnie ważną.

— Pewno jakie szelmostwo?

— Rozumie się.

— Więc zamierzasz posłużyć się nią?

— Tak i zmusić go do wypłacenia choć części

długa. Widzisz, jaki jestem zgodny!

— Próbój. Gdzież mieszka ten jegomość?

— Zapewne w Paryżu; zresztą, gdziekolwiekby był, znajdę go, jeżeli tylko nie odmówisz mi swej pomocy.

— Najchętniej, lecz cóż ja mogę uczynić?

— Pojmujesz, że pragnąc odszukać tego pana i porozumieć się z nim, muszę pozostać w Paryżu.

— Ależ zapominasz, nieszczęśliwy, że wydaliwszy się samowolnie z miejsca zamieszkania, będziesz poszukiwany i aresztowany.

— Otóż zależy to od ciebie, aby mnie nie ujęto. Zmienię nazwisko i zamieszkam w twym hotelu. Będę siedział, jak mysz pod miotłą... Zresztą, ponieważ zapiszesz mnie pod innym nazwiskiem, więc w danym razie nie możesz być odpowiedzialną za Serwacego Duplata.

— Ażebym cię zapisała do księgi, to muszę mieć twoje papiery.

— Znajdziesz jakiś wykręt!...

A jeżeli przyjdzie inspektor policyi i zechce przejrzeć moją księgę lokatorów?

— Moja droga, wiesz dobrze, iż jesteś tak piękną, że gdy przyjdzie inspektor policyi, to chętniej będzie patrzył w twoje oczy, niż w księgę.

Palmira była zawsze wrażliwą na wszelkie pochlebstwo, więc i komplement Duplata wywarł swój skutek.

— Co mam z tobą robić?—odrzekła z uśmiechem. Zapiszę cię pod obcym nazwiskiem i zamieszkaszesz u mnie, jako znajomy z prowincyi. Obiad będziesz jadł ze mną. Czy zgadzasz się?

— Czy zgadzam się? — odrzekł zachwycony. — Niema na ziemi istoty równej tobie! Pozwól ucałować cię.

Pani Potonnier roześmiała się i wyciągnawszy rękę, by nie dopuścić go do siebie, rzekła:



— Pocałujesz mnie wtedy, gdy będziesz ostrzyżony, ogolony, umyty i niepodobny do żebraka! Idź natychmiast i kup sobie ubranie i trochę bielizny.

— Za co?—zapytał Duplat głosem żalonym.

Wdowa podeszła do szafy, wyjęła z niej bilet pięćsetfrankowy i podając go Duplatowi, rzekła;

— Za to.—Oddasz mi, gdy będziesz miał.

— A jeśli nie będę miał?

— To nie oddasz mi.

— Ach! jakaż ty jesteś kobietą!—ze łzami w oczach szepnął Duplat.

— A teraz ruszaj, oporządź się i wracaj na śniadanie punkt o dwunastej.

— Przyjdę.

— Ale pod jakim nazwiskiem mam cię zapisać?

— Pod nazwiskiem Juliusza Servalze.

— A inne szczegóły?

— Pisz co chcesz.

Duplat udał się do wielkiego magazynu na placu Bastylli, zaopatrzonego we wszystkie przedmioty służące do ubrania, kupił całkowity garnitur, bieliznę i obuwie, na tym samym placu znalazł fryzjera, który go ostrzygł i ogolił brodę, następnie poszedł do łazienki, wymył się się starannie i na pięć minut przed dwunastą był już z powrotem w restauracyi swej przyjaciółki.

Palmira, zobaczywszy go tak zmienionego, pomyślała:

— Wygląda jeszcze wcale nieźle! — a głośno rzekła:

— Jesteś słownym... Ponieważ nie widzieliśmy się dawno, możesz mnie więc pocałować.

Duplat skorzystał z pozwolenia.

Gdy wstawali od stołu, Duplat przyznał się go-

spodyni, że od ostatnich dni komuny nie widział podobnej uczyty.

Nie zwlekając, wyszedł natychmiast na miasto w celu odszukania Gilberta Rollina.

Wiedział, że nie łatwo mu to przyjdzie, ale trudności nie przestraszały go.

Przyszło mu myśl udać się naprzód do kościoła św. Ambrożego i u księdza d'Areynes zasięgnąć wiadomości o Gilbercie.

— Pozna mnie—myślał—ale przecież nie zje. Nie wie żkąd wracam... Pokierowawszy rozmowę zręcznie, dowiem się, czy stary hrabia zdecydował się nareszcie umrzeć, czy p. Rollin odziedziczył po nim majątek i gdzie teraz mieszka. Zresztą przez te siedmnaście lat zmieniłem się tak dalece, że może klecha nie przypomni mnie sobie.

Wszedł do kościoła i zwróciwszy się do szwajcara, zapytał:

— Proszę mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć księdza wikarego?

— Czy księdza Debreuil?

— Nie, księdza d'Aryenes.

— Mówi pan o dawnych czasach. Ksiądz d'Areynes jeszcze przed siedmnastu laty opuścił parafię.

— Umarł?

— Nie, dzięki Bogu, ale jest w więzieniu la Roquette.

— W więzieniu la Roquette!—powtórzył Duplat zdumiony.

— Tak, jałmużnikiem. Tam możesz go pan zastać codziennie do godziny dziesiątej rano, a przynajmniej uzyskać adres jego mieszkania prywatnego.

Duplat podziękował i opuścił kościół.

— Nie głupim iść do więzienia la Roquette—my-

ślał—mogliby zamknąć drzwi za mną i nie wypuścić więcej. Należy szukać innego sposobu.

Tak rozmawiając z sobą, wszedł na bulwar Woltera.

Tymczasem niebo pokryło się chmurami i zaczął padać drobny deszcz.

Duplat, nie chcąc zniszczyć nowego ubrania, wszedł do restauracyi i kazał podać sobie kufel piwa.

Wziął ze stołu dziennik i zaczął go przeglądać.

Polityka nie zajmowała go nigdy—pogardzał nią.

— Wszyscy politycy—mawiał—to blagerzy. Udują, że walczą o idee, a im chodzi o dobry obiad lub posadę.

Przebiegł wzrokiem kronikę sądową oraz drobne wiadomości i zatrzymał go na rubryce „Sport“.

Tytuł: „Wścigi w Maison Lafitte“ zwrócił jego uwagę.

Był on wielkim zwolennikiem totalizatora i niegdys uprawiał go starannie.

Z zajęciem więc odczytał dość długie sprawozdanie z wścigów dnia poprzedniego, nazwiska koni oraz ich właścicieli.

Miał już odłożyć dziennik, gdy wzrok jego padł na wyrazy.

„Nagroda Triela 5,000 fr., przestrzeń 2,500 metrów. Pierwszy dobiegł do mety w 5 m. 1 sek. Piórun, należący do p. Gilberta Rollina“.

Odczytawszy te słowa ex-kapitan drgnął całym ciałem, sądząc, że się omylił, przeczytał je po raz drugi.

Nie, nazwisko męża Henryki d'Areynes wydrukowane było wyraźnie.

— To ten sam — myślał.—Posiada konie wścigowe, więc musiał oddziedziczyć majątek... Nie wie-

działem gdzie go znaleźć, tymczasem wypadek posłużył mi widocznie. Udam się na wyścigi i znajdę go, a przynajmniej łatwo dostanę jego adres.

Złożył na stole dziennik, zapłacił za piwo i opuścił restaurację.

O siódmej był już w mieszkaniu wdowy Potonnier.

— Jakże ci się udało?—zapytała go.

— Cudownie—i opowiedział jej o rezultacie wyścigów.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, poczem udali się do stołu.

## XVI.

Mówiliśmy już, że Roza, młoda inżynierka w Blois, tak odczuła rozstanie się z Janiną Rivat, iż żegnając ją, zemdląca.

Lekarz myślał, iż wypadek ten nie pociągnie groźniejszych następstw, lecz omylił się.

Róża po odzyskaniu przytomności dostała gorączki, a w dwa dni później chorą na zapalenie mózgu pomieszczono w szpitalu.

Ponieważ była lubianą przez wszystkich, więc polegnęła ję ze szczególną troskliwością.

Dwa miesiące walczyła ze śmiercią i gdy narecznie odzyskała siły, spotrzeżono w niej wielką zmianę.

Znikł uśmiech z jej twarzy, ogarnął ją smutek, którego nawet nie starała się ukryć.

— Zabierasz moją duszę, mówiła do odjeżdżającej Janiny i mówiła prawdę.

Tęskniła i nie mogła wyobrazić sobie, jak potrafi żyć bez tej, którą nazywała mamą Janiną.

Opanowała ją myśl porzucenia przytułku, udania się do Paryża i połączenia się z nią.

Ale jak znaleźć ją w tak ogromnem, nieznanem sobie mieście?

Z rezygnacją odłożyła to marzenie na przyszłość i w pracy około chorych usiłowała zlagodzić swą tęsknotę.

Pewnego rana wręczono jej zaadresowany do niej list...

Serce Róży uderzyło gwałtownie.

Jedna osoba tylko mogła do niej pisać, a była nią Janina.

Pobiegła do swego pokoju, zamknęła się i otworzyła kopertę.

Pod listem był podpis Janiny.

Drżącą ręką zbliżyła papier do ust i ucałowała go.

Janina pisała:

„Droga, ukochana moja Różyeczko! Przysiękałam napisać do ciebie i często wyrzucałam sobie, że nie dotrzymałam obietnicy, ale ty jesteś tak dobrą i masz tak złote serce, że przebaczysz mi.

„Nie miej do mnie żalu, gdyż od czasu opuszczenia cię wszystkie myśli moje pogrążone są we wspomnieniach o mych biednych córkach. Miałam nadzieję, że Bóg dobry ulituje się nademną i wróci mi je, lecz wszystko skończone... moje marzenia rozwiały się i serce pokryło się żalobą... Chociażby córki moje żyły, pozostaną dla mnie zmarłemi.

„A jednak nie mam prawa skarżyć się, gdyż od przyjazdu do Paryża otoczono mnie taką życzliwością, że ja, com nic nie miała, jestem dziś zabezpieczona od niedostatku.

„Ksiądz D'Areynes, o którym ci wspomniałam i na którego pomoc w odszukaniu swych dzieci rachowałam, przekonał mnie, że to jest rzeczą niemożliwą, za to był dla mnie prawdziwą Opatrznością. Dzięki jemu, otrzymałam pozwolenie na sprzedaż w portyku kościoła św. Sulpicyusza przedmiotów służących do nabożeństwa i to zapewnia mi utrzymanie... Ludzie myślą, że jestem szczęśliwą, a nie wiedzą, że gdy nikt na mnie nie patrzy, łzy płyną mi z oczu i ból rozrywa serce.

„Po co mnie wyleczono? Czyż nie lepiej byłoby, gdybym pozostała obłąkana? Nie myślałabym o niczem... zmarłabym bez wspomnień, które mnie dziś zabijają...

„Naprawdę dobrzy ludzie usiłują złagodzić me cierpienia i pocieszyć. Niema na nie lekarstwa!

Byłam szczęśliwszą, pozostając z tobą. Miałam przed oczami miłą twarz twoją... widziałam twój uśmiech przyjemny... słyszałam twój głos serdeczny...

„Dziś żał mi tych czasów, żał mi chwil, w których nazywałeś mnie *mamą Janiną*. Pragnęłabym, by mi wróciły się... ale to rzecz niemożliwa...

„Masz przed sobą długą, spokojną i pracowitą przyszłość, w której, jeżeli nie znajdziesz szczęścia, to przynajmniej zadowolenie ze spełnienia obowiązku.

„Ja muszę żyć we łzach, dopóki Bóg dobry nie powoła mię do siebie.

„Nie zapominaj, Różyczko, o *mamie Janinie* i wierz, że ona kochała cię, jak gdybyś była jej córką, że myśli o tobie i będzie myślała zawsze.

„Napisz do mnie, drogie dziecko; będę szczęśliwą, gdy dowiem się, że pamiętasz o mnie, jak ja o tobie.

„Całuję cię serdecznie, droga, jedyna moja Różyczko, twoja

Janina Rivat.

Paryż, ulica Férou nr 6.“

Róża, odczytawszy ten list, powtórnie ucałowała go i rozplakała się.

Gdy uspokoili się, pragnienie zobaczenia się z mamą Janiną przybrało w niej formy wyraźniejsze.

— Tęsknimy obie do siebie—myślała—ona tam, ja tutaj. Ona niknie i zamrze, nie zobaczywszy mnie... Ja również zatęsknię się za nią... Nie, tak być nie może!... Pozostawienie jej w samotności byłoby zbrodnią!... Odszukam ją, pocieszę... Może pod wrażeniem moich pieszczot zapomni o swych cierpieniach... Będę ją kochała jak matkę rodzoną, a ona pokocha mnie jak córkę...

Pójdę, to mój obowiązek!

Po tem uniesieniu chwilowem przysła chwila rozwagi.

— Alboż ja mogę pójść?—rzekła przestraszona— Nie należę do Siebie. Opiekunką moją jest Dobroczynność publiczna, która mnie przygarnęła, wychowała, zastąpiła mi matkę i której powinnam zdawać sprawę z każdego czynu mego! Jeżeli zażądam zerwania tych węzłów, odmówią mi napewno! Jeżeli zaś wydalę się, nie uprzedziwszy nikogo, będzie to ucieczką, dezercją... Będą mnie poszukiwali, zatrzymają i każą drogo odpokutować za bunt przeciwko prawu...

Zresztą, czy nie stałabym się ciężarem dla mamy Janiny?... Nie mam ani grosza... Mogłabym pracować i zarobić na życie, ale nie znam w Paryżu nikogo... Ażeby znaleźć pracę, potrzeba pokazać się, tymczasem ja, ażeby nie odesłano mnie z powrotem, musiałabym ukrywać się.

Uklękła przed łóżkiem, na którym na ścianie zawieszony był krzyż i zaczęła modlić się:

— Boże mój!—szeptała przejęta wiarą — oświeć mnie, natchnij mnie myślą... Wskaż mi drogę postępowania... Powiedz mi, co mam uczynić!...

Modliła się długo i zdawało się jej, że na prośbę swą otrzymała odpowiedź z nieba.

Gdy powstała, była już zdecydowana.

— Idź w spokoju!—mówił jej głos — zanieś kobiecie, którą ukochałaś, pociechę... Chociaż odejście twoje wydaje się nagannem, to przecież pobudki jego chwalebne... nikt nie weźmie ci za złe...

Od tej chwili młoda infirmierka przejęta była już tylko myślą: uciec z zakładu, udać się do Paryża i połączyć się z Janiną Rivat.

Ale do wykonania postanowienia tego stały na zawadzie trudności materyalne.

Jak odbędzie tę podróż, posiadając zaledwie jedenaście franków?

W godzinach wolnych od obowiązku udała się na stację kolei żelaznej, gdzie z zawieszzonego na ścianie rozkładu jazdy dowiedziała się, iż przejazd z Blois do Paryża klasą trzecią kosztuje dwanaście franków.

Biedaczka miała tylko jedenaście.

Postanowiła dojechać tylko do stacji Juvisy, odległej od Paryża o dwadzieścia kilometrów i pozostałą drogę odbyć pieszo.

Bilet do Juvisy kosztował tylko dziesięć franków i siedmdziesiąt pięć centymów.

Wybrała pociąg odchodzący o pół do dziewiątej rano.

Powróciła do przytułku, zdecydowana wykonać plan swój zaraz dnia następnego.

Z obiadu swego odłożyła kawałek mięsa i chleba na dzień następny, zawiązała w tłomoczek trochę bieleziny i pomodliwszy się, udała się na spoczynek.

Nazajutrz wstała o porze zwykłej, zrobiła porządek w należącej do niej sali, o pół do ósmej zabrała ze swego pokoju tłomoczek i poszła na stację kolejową.



Zaledwie miała czas wykupić bilet i siaść do wagonu, gdy pociąg ruszył w drogę.

Ale teraz ogarnął ją przestach: lękała się, by dyrektor zakładu, spostrzegłszy jej ucieczkę, nie wysłał listu gończego na całą linię.

A tu pociąg szedł wolno, zatrzymując się na każdej stacyi.

Biedaczka przez całą drogę drżała z przerażenia.

Nakoniec na stacyi rozległ się okrzyk: Juvisy!...

Juvisy!...

Wysiadła.

Przy wyjściu z sali stał żandarm.

Róża struchlała i przez jedną sekundę nie wiedziała co z nią się dzieje.

Przedstawiciel władzy, zobaczywszy ładną dziewczynę, przyglądał się jej uważnie (żandarmi wogóle są wielce wrażliwi na wdzięki niewieście), a ona myślała, że porównywał jej rysy twarzy z nadesłanem drogą telegraficzną rysopisem i lada chwila spojrzy straszny wzrokiem, ujmie za ramię i zagzmi basem:

— Aresztuję cię w imieniu prawa!

Tymczasem on zakręcił wąsa i uśmiechnął się zwycięzko.

Róża, tłumiąc w sobie przestach, podeszła do oficjalisty, odbierającego bilet i podała mu swój.

Teraz dopiero odetchnęła nieco wolniej i zwróciwszy się do jakiegoś przechodnia, zapytała o drogę do Paryża.

Zostawmy ją postępującą szybkim krokiem i powróćmy do Serwacego Duplata.

Były kapitan, odpocząwszy w wygodnem łóżku, wstał o dziesiątej rano, wypił kawę i ubrany w swój nowy garnitur, w cylindrze na głowie i rękawiczkach, z kwiatkiem w butonierce, około południa odjechał na wyscigi.

Pogoda była piękna, więc publiczności zebrały się tłumy.

Rozprawiano z ożywieniem, zakładano się, bito oklaski koniom, ale cała ta wrzawa nie obchodziła Duplata, nie interesowały go również i same biegi, nie chciał bowiem ryzykować reszty otrzymanych od Palmiry pieniędzy.

Uważnie przyglądał się twarzom wścigowców i szukał swego dłużnika.

Na przeglądzie takim Duplat spędził parę godzin, lecz nie dostrzegł ani jednej twarzy, która przypominałaby mu dawnego spółnika.

Widząc, że w ten sposób nie osiągnie celu, podszedł do bookmakera i ukłoniwszy się uprzejmie, rzekł:

— Pozwoli pan zapytać się, gdzie znajdują się stajnie wścigowe p. Rollina?

— W Lamorlaye pod Chantilly.

— Czy i on sam mieszka tam?

— Bywa tam często, ale stale mieszka w Paryżu.

— Czy może pan wskazać mi adres?

— Mieszka w swoim pałacu, a raczej w pałacu żony, przy ulicy Vaugirard.

— Numer?

— Nie pamiętam, choć byłem tam wiele razy. Blisko ulicy Bonapartego. Niech pan tylko zapyta o pałac d'Areynes, a każdy wskaże go.

— Dziękuję panu — rzekł Duplat, skłonił się i odszedł.

Zabawił jeszcze parę godzin i zadowolony z tak łatwego zdobycia adresu Gilberta, powrócił do Paryża.

Róża bez zmęczenia przebiegła pięć kilometrów, dzielących Juvisy od Ablon, ale na połowie drogi od tego ostatniego miejsca do Choisy-le-Roi, nogi jej zaczęły chwiać się i żołądek domagać się pokarmu.

Musiała zatrzymać się, by odpocząć.

Siadła na trawie przy drodze, wyjęła z tłomoczka kawałek suchego chleba, zjadła go chciwie, ale było to niedostateczne dla wzmocnienia sił po tak długiej wędrówce pieszej.

Z niepokojem też mówiła sobie.

— Nie wiem, czy dojdę do Paryża... A jednak muszę dojść... nie mogę przecież zatrzymać się w drodze...

Była godzina czwarta, a pozostawało jeszcze jedenaście kilometrów.

Odpocząwszy nieco, puściła się znowu w drogę, ale po upływie pół godziny nogi jej odmówiły posłuszeństwa, tak, że z trudnością mogła postępować naprzód.

Wtem usłyszała za sobą turkot.

Odwróciła się i spostrzegła nadjeżdżającą karyolkę, zaprzęzoną w jednego konia.

— Gdybym się odważyła poprosić tego człowieka, by mnie podwiózł, odpoczęłabym nieco, ale nie śmiem...

Biedna zaczęła już kuleć, gdyż na stopach potworzyły się pęcherze i dolegały jej dokuczliwie.

Karyolka zbliżała się i za parę chwil minęła ją.

Róża nie odważyła się poprosić o podwiezienie.

Jadący karyolką włościanin, człowiek nie młody liczył bowiem około sześćdziesięciu lat, widząc dziewczynę tak utrudzoną, wstrzymał konia i czekał.

W serce Róży wstąpiła nadzieja.

A jeżeli on sam zaproponuje to, o co ona prosić nie śmiała?

Gdy zrównała się z nim, zapytał:

— Daleko panna idzie?

— Do Paryża.

— Do Paryża! To jeszcze kawał drogi! Zdaje mi się, że nogi już nie służą panie?...

— Rzeczywiście, jestem bardzo zmęczoną.

— Wprawdzie jadę tylko do Vitry, ale zawsze trochę panna odpocznie. Ztamtąd pozostanie jeszcze ośm kilometrów.

— Dziękuję panu i przyjmuję pańską propozycję.

Usadowiła się przy nim i pojechała.

Około piątej włościanin zatrzymał się na początku wioski i wskazał Różę drogę dalszą.

— Za trzy kwadransy będzie panna w Ivry, a ztamtąd już niedaleko do Paryża.

Dziewczyna podziękowała i puściła się w dalszą drogę.

Nogi bolały ją nieco mniej, jednak z wielką trudnością doszła do Ivry.

Była wycieńczoną, mimo to zmuszała się i automatycznie szła ciągle naprzód.

Zapadła noc i pusta droga pogrążyła się w ciemności.

Róża chwiejąc się na nogach, zmuszona była co kilkanaście kroków zatrzymywać się dla nabrania oddechu.

Nakoniec na ciemnym dotychczas niebie zjawiono się światło podobne do zorzy północnej.

Było to odbicie oświetlających Paryż niezliczonych płomieni gazowych.

Róża przebyła fortyfikacje, następnie rogatki i szła ciągle przed siebie.

Sklepy były oświetlone, ulice pełne przechodniów, na chodnikach bawiły się dzieci.

Ruch ten, do którego nie przywykła, ożywił ją nieco, lecz i przestraszył.

Im bardziej zbliżała się do środka Paryża, tem więcej spotykała snujących się ludzi i tembardziej ogłuszał ją turkot powozów.

Wtem spotrzegła przed sobą kilkanaście krzyżujących się ulic.

Nie wiedząc, którą wybrać, zbliżyła się do jednego z przechodniów i zapytała:

— Niech pan będzie łaskaw powiedzieć mi, którądy należy iść na ulicę Férou?

— Proszę iść ulicą Denfert aż do bulwaru, a tam poinformować się znowu.

— Dziękuję panu?

Poszła, ale już z największym wysiłkiem ciągnąc nogi za sobą.

Głód szarpał jej wnętrzności i zimny pot oblewał twarz.

Przybywszy do przecięcia ulicy Denfert i bulwaru Port-Royal, zapytała znowu o drogę i gdy jej wskazano ją, powlokła się, podpierając się o ściany domów.

Weszła na ulicę Vaugirard i zapytała o ulicę Férou.

— Piąta z kolei na prawo.

— Daleko to?

— Pięć, sześć minut drogi.

Odpowiedź ta zgalwanizowała ją.

Więc za kilka minut padnie w objęcia swej ukochanej mamy Janiny.

## XVII.

Róża zapomniała o jedzeniu i nie szła, lecz biegła, rachując ulice z prawej strony.

Nareszcie spostrzegła oświetloną płomieniem gazu tabliczkę z napisem: „Ulica Férou,“ a za kilka chwil numer 6 domu.

Pociągnęła guzik dzwonka i gdy drzwi otworzono, weszła.

Słaniając się, zbliżyła się do łoża i głosem gasnącym zapytała odźwierną:

— Pani Janina Rivat?...

Ale nie zdołała dokończyć zapytania, gdyż zachwiała się i padła na posadzkę.

Odźwierną przestraszona, w pierwszej chwili nie wiedziała, co robić, Róża bowiem nie dawała znaku życia.

Na szczęście przypomniała sobie, że dziewczyna, zanim upadła, zapytywała ją o jedną z jej lokatorek.

Weszła więc na dziedziniec i z całej siły zawołała:

— Pani Rivat! pani Rivat!

— Po kilku chwilach otworzyło się okno na czwartym piętrze i pokazała się głowa Janiny.

— Czy pani woła mnie?

— Tak... niech zejdzie... prędko!

— Co się stało?

— Jakaś dziewczyna przyszła do pani i zachorowała.

— Idę...

Donośny głos odźwiernej wywołał ciekawość w kilku lokatorach, którzy zeszli na dół dla powiadomienia się o wypadku, między innymi mieszkającego w tymże domu studenta medycyny.

Ten nie czekając na wezwanie o pomoc, wziął Różę na ręce i zaniósł do łoża odźwiernej, gdzie posadził na fotelu.

W tej chwili nadeszła Janina i spostrzegłszy Różę bladą, z przymkniętymi oczami i głową w tył odrzuconą, krzyknęła przestraszona i rzuciła się ku niej.

— Boże mój! to Róża! Miałam przeczucie gdyś pani zawołała mnie—mówiła, pokrywając pocałunkami twarz zemdlonej.—Różo, dziecko kochane, odpowiedz mi... to ja, mama Janina...

Róża nie dawała znaku życia.

— Czy ma pani wodę melisową?—zapytał student odzwiernej.

— Mam—odrzekła i wzięwszy z szafy fiaszeczkę podała ją swemu lokatorowi.

— A teraz proszę o łyżeczkę do kawy.

Gdy podano mu ją, nalał na nią płynu, rozchylił ściśnięte zęby Róży i wlał w usta.

Dziewczyna leżała ciągle bezwładna, jak gąsior nieżywa.

Janina zanosila się od płaczu.

— Niech pani będzie o nią spokojna—rzekł improwizowany lekarz—gdyż serce bije regularnie. Zda je mi się, że omdlenie to jest skutkiem niemiernego utrudzenia. Ale to przejdzie... Coś ciepłego, zwłaszcza bulion, podziałałby lepiej niż wszelkie lekarstwa, gdyż jeśli się nie mylę, chora jest nadto osłabioną z głodu.

— Co pan mówi! — zawołała Janina przestraszona.

— Tak jest. Widzę na kuchence garnek z gotującym się rosółem... może pani odzwierna nie odmówi filiżanki.

— Ależ Boże drogi! dam ile tylko potrzeba.

— Dobrze. Teraz należy chorą rozebrać i położyć do łóżka.

— To proszę przenieść ją do mnie — rzekła Janina.

Obie kobiety wzięły Różę na ręce i zaniosły do mieszkania wdowy, która ją rozebrała i ułożyła na swem łóżku.

Teraz dopiero spostrzeżono, że biedna dziewczyna miała nogi skrwawione i pokryte pęcherzami.

— Czyżby ona pieszo szła aż z Blois? — ze łzami w oczach szepnęła Janina.

Wtem usta Róży poruszyły się, na twarz wystąpił blady rumieniec i podniosły się powieki.

— Różo... Różo kochana — zawołała Janina, nachylając się nad nią—to ja, jesteś u mnie.

Dziewczyna, usłyszawszy dźwięk tego głosu kochanego, uniosła się nieco i jak człowiek budzący się ze snu, powiodła wzrokiem wokoło siebie.

Spostrzegłszy Janinę, wyciągnęła ku niej ręce.

Wdowa przycisnęła ją do serca i obie przez kilka minut pozostawały w tym uścisku.

— Dziecko moje ukochane—mówiła wdowa.—Jak ja jestem szczęśliwą widząc cię... Jakim sposobem znalazłaś się w Paryżu?

— Nie mogłam żyć bez ciebie, mamó Janino.

Podczas tej sceny weszła odźwierna z garnuszkiem bulionu, kawałkiem chleba i butelką wina, przysłanego przez studenta.

— No, chwała Bogu, jest już lepiej — rzekła — skoro panna otworzyła oczy i siedzi już na łóżku. Teraz proszę wypić ten bulion z chlebem, a następnie szklanekę wina i zasnąć. Sen wzmocni najlepiej. Do widzenia, gdyż muszą wracać do łoży.

— Dziękuję pani serdecznie — rzekła Janina, odprowadzając ją do drzwi.

Róża zjadła bulion z chlebem, wypila szklanekę wina Bordeaux i uczuła się wzmocnioną, ale nie mogła rozmawiać, gdyż nieprzeparty sen mrużył jej powieki.



— Zażnij teraz, moje dziecko—rzekła Janina —  
pomożemy jutro.

— A gdzie ty, mammo Janino, będziesz spała?

— Nie troszcz się o to, mam drugie łóżko.

Róża była tak senną, że w parę chwil już spała.  
Janina, która skłamała, mówiąc, że ma łóżko  
drugie, siadła w fotelu i również wkrótce zasnęła.

Następnego dnia wstała wcześniej niż zwykle,  
aby przed udaniem się ze sklepikiem do kościoła św.  
Sulpicyusza, przyrzadzić dla swego gościa śniadanie.

Gdy wróciła z miasta z produktami, zastała Różę  
ubraną i robiącą porządek w mieszkaniu.

Dziewczyna, zobaczywszy wchodzącą Janinę, rzu-  
ciła się jej na szyję.

— Mammo Janino... kochana mammo Janino, jakaż  
ja szczęśliwa widząc cię... Już nie jestem zmęczona...  
Mam ciebie, więc nie jestem już dzieckiem opuszczo-  
nem... bez matki. Skończył się już mój smutek. Przy-  
szłam do ciebie i już cię nie opuszczę...

— Nie opuścisz mnie, naprawdę?—zapytała ura-  
dowana Janina.—Zostaniesz już ze mną?

— Na zawszel...

— Więc opuściłaś przytułek?

— Opuściłam bez żalu. Dla ciebie wszystko opu-  
ściłabym.

— I pozwolono ci odejść?

— Nie prosiłam o pozwolenie, gdyż odmówiliby  
mi. Uciekłam.

— Uciekłaś!—powtórzyła Janina przestraszona.

— Tak, ale nikt nie wie, gdzie jestem, gdyż nie  
uprzedziłam nikogo. Od chwili otrzymania twego listu,  
czułam, że nie mogę żyć dłużej bez ciebie... i gdybym  
musiała opuścić cię teraz, zwaryowałabym chyba. Ma-  
mmo Janino, chcesz mnie pozostawić u siebie? Ja nie  
będę ci ciężarem, będę pracowała... a przytem będę ci

Siostry bliźniaczki.

usługiwała. Będę cię uważała za matkę i zastąpię ci dzieci, których szukasz napróżno.

Janina ujęła w dłonie jej głowę i ucałowała serdecznie.

— Czy ja chcę pozostawić cię? Ależ bardzo pragnę. Mieszkanie moje należy do ciebie i mam nadzieję, że będziemy szczęśliwymi... Będę dla ciebie matką, a ty jedną z mych córek, zesłaną mi przez Boga dla złagodzenia mych cierpień... Kocham cię, Różyczko, jak tylko kochać można i powiem ci, że gdyby mi przyszło rozstać się z tobą, umarłabym z tęsknoty.

— Będiesz żyła, mamó, gdyż ja nie opuszczę cię.

— Nie dokuczy nam niedostatek, gdyż znajdziemy dla ciebie pracę. Poznam cię z księdzem d'Areynes.

— Nie można—pospiesznie przerwała jej Róża.— Niech nikt nie wie o mnie, ani gdzie przebywam...

— Ale ksiądz zna ciebie... nie raz mówiłam mu o tobie... On wie, że tylko twej troskliwości zawdzięczam życie...

— To nic, ale nie powinien wiedzieć, że ucieklam i mieszkam u ciebie... Nie chcę nikomu pokazywać się.

— Dla czego?

— Bo jak się dowiedzą w Blois, że jestem tutaj, to zabiorą mnie od ciebie.

— Któż ma prawo zabrać cię?—zapytała Janina zdumiona.

— Rada dobroczynności publicznej.

— Dla czego?

— Ma prawo.

— Nie rozumiem cię...

— Powierzono mnie jej, a ona mnie wychowała i ma nademną opiekę aż do pełnoletności. Do tego czasu może rozporządzać się mną według własnego uznania. Ponieważ ucieklam z domu, w którym mnie umieściła, więc może poszukiwać mnie. W takim razie

musiałabym opuścić cię... I nie wiem, co uczynionoby zemną... może osadzonoby w więzieniu...

— Więc dobrze, nie powiem nikomu o twoim pobycie w Paryżu. Znajdę ci pracę, którą będziesz odraabiała w domu, gdy tymczasem ja będę siedziała u św. Sulpicyusza.

Tak rozmawiając Janina nakryła do stołu i podała śniadanie, podczas którego Róża opowiedziała o swej ucieczce z Blois.

Po śniadaniu udała się na swe stanowisko w przedsiönku kościoła.

## XVIII.

W pałacu przy ulicy Vaugirard Gilbert wyczekiwał chwili sposobnej do wymierzenia Henryce ciosu stanowczego.

Nazajutrz tego dnia, w którym Duplat poznał na wyścigach swego dłużnika, fałszywy Grancey i Rollin przepędzili z sobą całe popołudnie i uprojektowali udać się we środę do Lamorlaye dla obejrzenia stajni wyścigowej.

Były dependent miał przybyć do Gilberta o dziesiątej rano.

Na godzinę przed tym terminem do gabinetu Rollina wszedł lokaj z oświadczeniem, że jakiś pan chce się z nim widzieć.

— Czy dał swój bilet?

— Nie dał, ale powiedział, że przybył w interesie bardzo ważnym i że nazywa się Juliusz Servaize. Gilbert zbladł.

Przypomniał sobie, iż nazwisko to przeczytał

w dniu 28 maja 1871 roku na akcie w merostwie jedenastego okręgu, gdy składał deklarację o urodzeniu Maryi Blanki jako swej córki — i że ukrywa się pod niem Serwacy Duplat.

— Czego on chce odemnie? — zapytywał się — wszak sprzedał swą wiarygodność za pięćdziesiąt tysięcy franków. Czy pragnie wyzyskać tajemnicę urodzenia dziecka? Wprawdzie trzymam go w rękę, ale i ja trzymam go. Będąc skazanym jako pospolity kryminalista, wydalili go samowolnie z wyznaczonego mu miejsca zamieszkania i przebywa w Paryżu, gdzie mu mieszkać nie wolno. Ma więc czego obawiać się, a tacy ludzie skłonni są do ustępstw.

Nagle przyszła mu do głowy myśl, która wywołała w nim dreszcz.

— A jeżeli on widział się z Janiną Rivat i porozumiał, w takim razie groziłoby mi niebezpieczeństwo ogromne! Muszę go przyjąć.

Lokaj milczał i czekał na odpowiedź.

Rollin zwrócił się ku niemu i kazał wprowadzić gościa.

Po chwili ex-kapitan komuny, wygolony, wystrojony i pewny siebie wszedł do gabinetu.

Gilbert spoglądał na niego zdziwiony.

— Kochany panie Rollin—rzekł Duplat, podchodząc z uśmiechem na ustach—widzę, iż nie poznaje mnie pan...

— Owszem — odrzekł Gilbert chłodno — poznaje ciemniej, iż głos pański nie zmienił się i zresztą, gdy lokaj mój zaanonsował pana Juliusza Servaize, wiedziałem, że to pan nim jesteś.

Przez głowę Duplata przemknęło podejrzenie.

— Wiedziałeś pan, że pod nazwiskiem Juliusza Servaize ukrywa się Serwacy Duplat?

— Wiedziałem.

— A to jakim sposobem?

— Cóż pana to obchodzi? Wiedziałem i dość.

— Dość dla pana, ale nie dla mnie. Proszę pana powiedzieć mi to wyraźnie. Potrzebuję wiedzieć, od kogo dowiedział się pan o zmianie nazwiska.

— Nie widzę racji odpowiadać panu. Ale zapytam, jaki powód sprowadza go do mnie?

— Więc to tak?—zawołał Duplat.—Tem gorzej dla pana... Ale o tem pomówimy później. Zdaje mi się, że wiesz pan dobrze, co mnie tu sprowadza...

— Nie domyślał się.

— Do dyabła krótką masz pan pamięć! Ale do odświeżenia jej wystarczy mi zapytanie: *Czy córka Janiny Rivat zdrowa?*

— Nie rozumiem co pan chcesz przez to powiedzieć—odrzekł Gilbert.

— No, nie spodziewałem się tego... Więc skoro pan chcesz, bym powiedział...

— Mam bardzo mało czasu—przerwał Gilbert — więc mów pan krótko.

— Powiem jak najkrócej... Siedmnaście i pół lat temu, w dniu 28 maja 1871 roku dostawiłem na pańskie żądanie małą dziewczynkę, mającą około trzech dni życia, dla zastąpienia nią zmarłej córki pańskiej...

— Stara historia—przerwał Rollin. — Przypuszczam, iż nie po to przyszedłeś pan, by mi ją opowiedzieć. Pomiń ją...

— Dobrze. Dzięki dziecku temu, żona pańska objęła w użytkowanie dochody z sukcesyi po stryju.

— Tak.

— Po upadku komuny byłem zadenuncyowany i aresztowany. Nie wiedziałem kto zadenuncyował mnie, ale dzisiaj mógłbym wymienić nazwisko tego pana.

— Mało mnie ono obchodzi.

— Tak pan sądzisz? Niech i tak będzie. Pomówimy o tem później. Mogli mnie rozstrzelać, ale wysłali tylko do Numei. Dla czego nie powróciłem po ogłoszeniu amnestyi, to kwestya inna, dość, że dziś jestem... Zawdzięczasz mi pan swój majątek i winienesz sto pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Patrzą na pana—odrzekł Gilbert—i przychodzi mi myśl, czyś nie utracił zmysłów.

— Dla czegoż to?

— Dla tego, że nic ci nie winienem.

Duplat rzucił się.

— Coś pan powiedział?

— Powiedziałem, że nie winien panu ani grosza. Chyba nie przypuszczasz, iż jestem tak głupi, bym płacił dwa razy...

— Dwa razy! Więc pan jeszcze kpisz sobie! Złe pan robisz, postępując w ten sposób ze spółnikiem, który w potrzebie wyświadczył ci taką przysługę. Więc zaprzeczasz, żeś wystawił oblig na sto pięćdziesiąt tysięcy franków?

— Niczem nie zaprzeczam.

— A więc? Termin wypłaty nadszedł... albo dawaj pan pieniądze, albo...

— Mów pan ciszej!—zawołał Gilbert.

— Będę mówić ciszej, jeżeli oświadczysz, że zapłacisz dług...

— Pokaż pan oblig, a zapłacę.

Duplat spodziewał się tego żądania, i miał odpowiedź gotową.

— Nie mam pańskiego obligu, zniszczyłem przed aresztowaniem mnie, bałem się bowiem, że gdy go znajdą przy mnie, będziesz pan skompromitowany. Ale to nic nie znaczy, gdyż pan przyznajesz dług. Jeżeli nie masz pan teraz pieniędzy, mogę trochę poczekać... Nawet nie będę żądał procentu w razie koniecznym.

mogę coś opuścić... Przecież można ułożyć się po przyjacielsku. Daj pan sto tysięcy franków, a pokwituję go. Czy zgoda?

— Nie tylko sto tysięcy franków, ale nie dam nawet stu sou! Nie pozwolę oszukać się.

— Oszukać się?

— A tak, gdyż chcesz mnie pan obedrzeć! Całe opowiadanie twoje jest kłamstwem, gdyż nie zniszczyłeś obligu przed aresztowaniem.

— Ależ...

— Powtarzam panu, że kłamiesz, a na dowód patrz!

Mówiąc to, Gilbert wysunął szufladkę biurka, wyjął z niej wykupione u Granceya obligi i pokazał je Duplatowi, nie dając mu ich do ręki.

Duplat rzucił się ku niemu jak jaguar, ale Rollin cofnął się o krok, pochwycił rewolwer i wymierzył ku niemu.

## XIX.

Duplat, oślepiiony wściekłością, nawet nie spostrzegł zwróconej ku sobie broni.

Podejrzenie, powzięte na początku rozmowy, zmieniło się w nim teraz w pewność.

— Ach ty złodzieju i donosicielu! Więc to ty ukradłeś mi te papiery! Tyś zadenuncyował mnie policyi, bo jakim sposobem dowiedziała się, że ukrywałem się pod nazwiskiem Juliusza Servaize? Śledziłeś mnie jak szpieg! Widziałeś gdym zakopywał butelkę w ogrodzie Palmiry w Champigny, której adres dałem ci wówczas, gdyż ufałem ci! Po ujęciu mnie udałeś

się tam, odkopałeś ją i skradłeś nietylko swoje obligi, lecz i moje bilety bankowe. Ach ty złodzieju! Ale oddasz mi je, bo inaczej, pójdę do twojej żony i powiem jej, że córka, którą ona uważa za swoją i otacza taką miłością, jest dzieckiem Joanny Rivat... I niedosć tego, dowiodę jej, gdyż zaprowadzę do piwnicy przy ulicy Servon.

Były kryminalista mówił głosem tak podniesionym, iż łatwo mogli go słyszeć domownicy.

Gilbert znowu zwrócił rewolwer w głowę Duplata.

— Panie Duplat—rzekł chłodno — jeżeli nie powstrzymasz się od pogroźek, zabiję cię jak psa. Przybyłeś do mego mieszkania, znieważasz mnie, wyzywasz... więc przysługuje mi prawo obrony. Przybędzie policya i gdy jej oświadczę, że zabiłem deportowanego komunistę, skazanego następnie za zbrodnię kryminalną na dziesięć lat robót przymusowych, który nadto samowolnie wydalili się z wyznaczonego mu miejsca zamieszkania, usprawiedliwi mnie z tego zabójstwa, jako spełnionego w obronie własnej.

Duplat widząc wymierzony rewolwer i słysząc cichy, ale stanowczy ton głosu i niewzruszone postanowienie w oczach Gilberta, cefnął się o krok.

— Powtarzam, że nic ci nie winienem! Papiery te nabyłem prawnie. Wiesz o tem dobrze, że nie ukradłem ich, lecz kupiłem za sto pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Od kogo?—wyjąkał Serwacy.

— Od człowieka, który zapłacił ci za nie w Nu-mej pięćdziesiąt tysięcy franków.

Były kryminalista, usłyszawszy tę odpowiedź, osłupiał.

Doznał wrażenia, jak gdyby kto uderzył go pałką w głowę.



— Ja, sprzedałem te papiery za pięćdziesiąt tysięcy, ja? ja?

— Nie staraj się pan oszukać mnie, bo to na próżno!

— Ależ ja pana nie oszukuję, mówię prawdę! Papiery te wraz z biletami bankowymi były zakopane w ogrodzie Palmiry w Champigny, w butelce, pod drzewem! Przysięgam panu!

W głosie Duplata było tyle szczerości, że Gilbert zachwiał się w swem przekonaniu.

— Czy znasz pan wice-hrabiego de Grancey?—zapytał Gilbert.

— Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

— Jemu sprzedałeś pan te papiery i zarazem odkryłeś część naszej tajemnicy.

— To kłamstwo! Nic nie sprzedawałem nikomu!.. Zresztą, jakim sposobem mogłem sprzedać, skoro nie miałem ich w Numei?

— Więc od kogo Grancey dostał je?

— Nie wiem, ale chce pan dowodu, że mówię prawdę?

— Proszę o niego.

— Jeżelibym sprzedał, to powinna być na nich cesya...

— Niema jej.

— Więc widzi pan:

— Byłeś pan wtedy podobno chory na rękę.

— Rzeczywiście — odrzekł Duplat zdziwiony, nie mogąc pojąć, z kąd Rollin może o tem wiedzieć.—Miałem prawą rękę złamaną, ale to nie przeszkadzało mi podpisać się lewą.

— Przypomnij pan sobie...

— Nie mogę przypomnieć sobie faktu, który nie istniał. Nie sprzedałem nikomu i nikomu nie zwierzyłem się z naszą tajemnicą.

Słosty bliźniaczki.

Gilbert spojrział na zegarek i utkwivszy wzrok w Duplata, zapytał:

— Co pan powiesz, jeżeli za chwilę postawię ci na oczy wice-hrabiego Granceya?

— Ależ owszem, proszę o to.

Ktoś zapukał we drzwi.

— Proszę wejść — rzekł Gilbert, chowając rewolwer do kieszeni.

Lokaj zaanonsował:

— Pan wice-hrabia Grancey.

Przyjaciół Gilberta przestąpił próg i wszedł do pokoju.

Wtedy nastąpiła scena isticie teatralna.

Obaj towarzysze wygnania poznali się od pierwszego spojrzenia.

— Depréty!... — zawołał były komunista.

— Serwacy Duplat! — jednocześnie wyrzekł były infirmier.

Gilbert przyglądał się im obojętnie i czekał na rozwiązanie zagadki.

— Więc pan mówisz — odezwał się Duplat do Rolina — że ten zuch jest wice-hrabią de Grancey? Ależ on pana oszukał! On, wice-hrabią! Ha, ha, ha! On nazywa się Gaston Depréty... Był infirmierem w robotach! To były kryminalista, tak samo jak i ja! Niech zaprzeczy mi!

— Tak? — odrzekł Gilbert, wpatrując się w byłego dependenta.

Ten zmieszał się, ale tylko na chwilę.

Rozumiał, iż zaprzeczenie było niemożliwe.

Duplat, wściekły z gniewu, krzyknął:

— Cóż, odpowiadaj, bandyto, złodzieju! Czy nie jesteś Gastonem Depréty?

— Prawda — odrzekł zapytany, podnosząc głowę i śmiało stawiając czoło niebezpieczeństwu — jestem Ga-

ston Depréty, kryminalista i tak samo jak ty, samowolnie opuściłem miejsce zamieszkania. Więc cóż w tem złego? Zdarzyła mi się sposobność przybrania nazwiska innego, więc przybrałem je. Każdy na mojem miejscu uczyniłby to samo. Przybrałem je, aby przebywać wśród uczciwych ludzi i nie sądzę, że jesteś tak głupim, aby wleźć na dach i krzyczeć, że skazany na pięć lat robót za takie głupstwo, jak jakieś fałszerstwo bagatelne, byłem towarzyszem twojej niedoli w Nowej Kaledonii!

Gaston Depréty nie żyje! Jestem dzisiaj wicehrabią Jerzym de Grancey i nikt nie może zaprzeczyć mi tego nazwiska i tytułu, z wyjątkiem ciebie i pana Rollina, który, dzięki tobie, wie już, kim jestem. Ale i wy obaj nie uczynicie tego, a to z powodów bardzo ważnych. Tworzymy trójkę doskonale dobraną. Warciśmy siebie pod każdym względem, a wilcy przecież nie pożerają się wzajemnie!

Gilbert udał obrażonego.

— Proszę nie porównywać mnie z sobą — rzekł dumnie. — Nadużyłeś pan mego zaufania, oszukałeś mnie...

— Nie kłóćcie się naprózno — wmieszał się Duplat. — Ja najwięcej jestem oszukany i do tego okradziony. Depréty sprzedał panu moje obligi. Zapłaciłeś mu pan, przynajmniej tak utrzymujesz, lecz pomówimy o tem później; teraz pragnę wiedzieć, jakim sposobem papiery te dostały się do rąk *pana wice-hrabiego*?

— Bardzo prostym — odrzekł Grancey. — Pamiętasz, jak leżałeś ranny na sali, w której byłem infirmierem i pielęgnowałem cię tak, jak rodzony syn nie pielęgnowałby ojca? Miałeś gorączkę, bredziłeś i skrzeczałeś, jak sroka na płocie. Przysłuchiwałem się, bo mówiłeś rzeczy ciekawe, o jakiejs tajemnicy, o piwnicy, o szantażu, a najwięcej o jakimś skarbie, zakopa-

nym pod drzewem orzechowem w ogrodzie niejkiej Palmiry w Champigny. Gdy zostałem uwolniony, zapragnąłem dowiedzieć się, ile było prawdy w twem gadaniu. Zrobiłem wycieczkę do Champigny i znalazłem. Następnie zobaczyłem się z p. Rollinem i porozumiałem się z nim od razu tak dobrze, że dziś jesteśmy przyjaciółmi. On nie mógłby już obejść się bezemnie i jestem pewny, że przebaczy mi przywłaszczenie sobie godności szlacheckiej, tak jak i ty przebaczysz, że bez twego pozwolenia skorzystałem z twych mimowolnych zwierzeń. Oto masz, jak było... Czy dość ci tego?

Wcale nie.

— Czegóż potrzeba ci więcej?

— Pieniądzy... W butelce, oprócz papierów, było czternaście tysięcy franków biletami bankowemi.

— Przyznaję..

— Więc oddaj je.

— Jestem zgodnym człowiekiem... oddam.

— Kiedy?

— Choćby nawet dzisiaj.

— Dobrze. Następnie pomówimy o sprawie drugiej...

— Jakiej?—zapytał Grancey, udając zdziwienie.

— O odebranych przez ciebie stu pięćdziesięciu tysiącach franków. Wiem, że bedziesz się wykręcał, ale ja cię zmuszę...

— Zmusisz... Iatwo to powiedzieć... Uciekłeś z miejsca zamieszkania, jak i ja... Denuncyując mnie, zadenuncyujesz i siebie... Będziesz musiał opowiedzieć historię o piwnicy przy ulicy Servan... Oskarżysz p. Rollina, a tem samem i siebie, gdyż byłeś jego spółnikiem! I wszystkich trzech wpakują nas do uła! Piękna perspektywa! Chyba masz ochotę wracać do Numei?...

Duplat uczuł óreszcz, przebiegający po ciele.

Nie mam ochoty—odrzekł.

— I ja także... więc nie gadaj głupstw!

— Skończmy z tem—rzekł Gilbert.—Zapłaciłem, a przynajmniej zobowiązałem się wypłacić p. Granceyowi i wypłacę. Z nim mam interes.

— Gastonowi Depréty—poprawił Duplat.

— Mało mnie to obchodzi. Porozumiej się pan z nim... Wierzcie mi, nie bawcie się w pogróżki, gdyż ja nie lękam się ich. Myślcie raczej o swych nieprzyjaciółach w Paryżu.

— Jakich?—zapytał Duplat.

— Naprzód o Janinie Rivat.

— Janinie Rivat! — powtórzył Duplat przestraszony.

Ale po chwili zastanowienia dodał:

— Nie wiesz pan, co mówisz... Janina Rivat nie żyje oddawna, zginęła w płomieniach 27 maja 1871 r.

— Mówiłeś mi pan to i przypuszczam, że w dobrej wierze... Ale myliłeś się...

— Więc Janina Rivat żyje?

— Uratowano ją.

— Kto uratował?

— Człowiek, który widział, jak porywał jej dzieci i który, zarówno jak i ona, pozna cię, gdy spotka gdzie.

— Jak on się nazywa?

— Niewiem, ale to rzecz groźna. Janina Rivat mieszka w Paryżu i ma sklepik pod portykiem kościoła św. Sulpicyusza. Rzecz prosta, że chodzi po ulicach i możesz spotkać się z nią kiedy, jak również i z księdzem d'Areynes. Myślę, że dla bezpieczeństwa powinieneś jaknajspieszniej opuścić Paryż.

— To znaczy że moja obecność w nim krępuje pana.

— A przynajmniej jest dla mnie kompromitująca. Chyba pojmujesz pan to. Nasz wspólny interes wymaga pańskiego wyjazdu.

ΔΔ.

— Zgadzam się na to—odrzekł Duplat—mimo to zostanę w Paryżu, dopóki nie uregulujemy naszych rachunków. W kwestyi tej postanowię później, ale chcę odebrać swoje pieniądze. Mam do czynienia z wami dwoma, a przypuszczam, iż nie uważacie mnie za takiego mazgaja, bym dał się wam oszukać. Otóż, jeżeli krępuję was, tem gorzej... Zapłaćcie, a przestanę krępować.

Gilbert chciał odpowiedzieć, lecz Grancey nie pozwolił mu.

— Wyplacę ci sto pięćdziesiąt tysięcy franków, ale potrzebuję wiedzieć wszystko, potrzebuję wyjaśnić sytuację. Jakim sposobem p. Rollin został twoim dłużnikiem? Jaką usługę wyświadczyłeś mu za tak pokąźną sumę? Odpowiedz mi wyraźnie, bez wybiegów.

Duplat wzrokiem pytającym spojrział na męża Henryki, ale ten nic nie odrzekł.

— Och! och! — z uśmiechem rzekł były dependent — widocznie spowiedź niełatwa. Porzućcie ten wstyd fałszywy! Powiedziałem przed chwilą, że tworzymy doskonale dobraną trójkę zuchów, wolnych od przesądów... Nie powinniśmy więc mieć sekretów między sobą... Czy chcecie, bym wam pomógł?... Mówiliście o dzieciach porwanych Janinie Rivat... Otóż chyba nie mylę się, przypuszczając, że właśnie porwanie to jest węzłem, łączącym was z sobą i że

sto pięćdziesiąt tysięcy franków były nagrodą, za te dzieci?

— Rzeczywiście—odrzekł Duplat—tak było.

— W takim razie rozumiem wszystko, a testament hrabiego d'Areynes jest kluczem do całej zagadki. Potrzeba było dziecka, któreby odziedziczyło majątek, gdyż pańskie zmarło i zakopane zostało w piwnicy przy ulicy Servan. Zastąpiłeś je pan innym, dostarczonym przez Duplata.

— Tak... — odrzekł Gilbert więcej gestem, niż głosem.

— Tym sposobem panna Marya Blanka, pańska córka, jest w rzeczywistości córką Janiny Rivat.

— Tak...—potwierdził Rollin.

— Do dyabła! Ależ w takim razie, kochany kolego Serwacy, p. Rollin ma zupełną słusność. Jeżeli Joanna Rivat dowie się, że to ty skradłeś jej dzieci i jeżeli jaki świadek dowiedzie ci tego, to nie chciałbym być w twojej skórze; a nadto zawarta pomiędzy mną a p. Rollinem umowa nie może przyjść do skutku. Zaślubiłbym chętnie pannę Maryę Blankę, prawą córkę państwa Rollinów, ale nie mogę zaślubić córki podstawionej, dopóki będzie żyła jej matka rzeczywista!...

— Wierzę, że obecność moja jest dla was niebezpieczną—odrzekł Duplat.

— Więc opuść pan Paryż.

— Ani myślę. Pozostanę, ale dla tego, by ocalić pana.

— By mnie ocalić?—powtórzył Gilbert.

— I jednocześnie wyświadczyć przysługę naszej spółce, gdyż sądzę, iż zgodzicie się na przemianowanie naszych stosunków pieniężnych na dobre i solidne Towarzystwo anonimowe z kapitałem, wynoszącym kilka milionów franków.

— Nie rozumiem—mruknął Gilbert.

— A ja domyślam się—rzekł Grancey.

— Dowodzi to wysokiego stopnia twojej inteligencji... A teraz wyjaśnię wam. Nie trudno pojąć, dla czego p. Gilbert Rollin wybrał na zięcia czcigodnego wicehrabiego de Grancey, znanego poprzednio pod skromnym nazwiskiem Gastona Depréty. Pragnął on, żeniąc go z panną Maryą Blanką, podzielić się z nią jej dochodami. Ale na przeszkodzie do tego może stanąć Janina Rivat. Otóż postarajmy się, aby Janina Rivat nie mogła nam szkodzić.

— Jaki będzie twój udział?—zapytał były dependent.

— Bardzo skromny... jak i moje gusta.

— W cyfrze?

— Dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków, rozumie się, oprócz należnych mi stu pięćdziesięciu tysięcy.

— Czyli razem: czterysta tysięcy.

— Tak... Posiadając je, będę już mógł żyć od biedy...

— W jakich terminach płatne?...

— Po twoim ślubie, gdy, otrzymawszy plenipowenność od żony, będziesz mógł rozporządzać jej majątkiem. Do tego czasu zadowolę się niewielką zaliczką.

— Co o tem myślisz, kochany teściu? — zapytał Grancey.

— Nim odpowiem, pragnąłbym wiedzieć, do czego pan zmierzasz?

— Do urzeczywistnienia naszego projektu, to jest do mego ożenienia się z Maryą Blanką i jak trafnie domyślił się nasz towarzysz Duplat, do podziału majątku mej żony przyszłej.

— Cóż więc myślicie uczynić dla osiągnięcia tego celu?

— Uprzątnąć przeszkodę—dodał Duplat.



— Przeszkodą jest Janina Rivat.

— Więc uprzątnąć Janinę Rivat

— Zamierzacie popełnić zbrodnię! — szepnął Gilbert przestraszony.

— Nie lękaj się pan. Nikt o niej nie myśli. Trzeba być głupcem, by odważać się na zbrodnię, gdy tyle wypadków zdarza się codziennie. Weź pan pierwszy lepszy dziennik i przeczytaj: *Wiadomości różne*.

— Interesa nasze są związane z sobą — wtrącił Grancey. — Nie mamy innego wyjścia i musimy odważyć się na to, chyba że chcesz pan zerwać z nami.

— Nie zrywam — odrzekł Gilbert — ale uważam, że wymagania Duplata są zbyt uciążliwymi.

— Uciążliwymi! — zawołał ex-kapitan. — A to zabawnel Zapominasz pan, że mogę cały interes postawić na dobrej drodze, albo zepsuć! Nie wymagaj pan odemnie rabatu! Powiedziałem cenę ostateczną! Czteryście tysięcy franków, bo inaczej... straciecie wszystko!

— Znowu gadasz głupstwa — rzekł Grancey.

A zwróciwszy się do Gilberta, dodał:

— Nie targuj się pan. Rola Duplata w naszej spółce będzie ważną i niebezpieczną. Interes jego jest zarazem interesem naszym. Sprawiedliwa więc rzecz, by został dobrze wynagrodzonym.

— Powiedziałeś bardzo rozumnie! — zawołał Duplat.

— Ja zgadzam się na jego warunki — mówił dalej Grancey — i pan dobrze uczynisz, przyjmując je. Daj mu pan dwieście tysięcy franków, a drugie dwieście dam ja.

— Ha, skoro nie może być być inaczej... — mruknął Gilbert.

Duplat zatarł ręce.

— Więc spółka ukonstytuowana, panie Rollin? — zapytał.

— Dobrze.

— W takim razie należą do was duszą i ciałem. Nie obawiajcie się Janiny Rivat... Uważajcie ją za nie-  
stniejącą...

— Co pan zamierzasz uczynić z nią?

— Nie wiem jeszcze... pomyślę...

— Pomyślmy nad tem razem—rzekł Grancey.—  
Błorę ją pod swój nadzór sekretny. Duplat nie powi-  
nien narażać się na spotkanie z nią i niech unika o-  
kolicy kościoła św. Sulpicyusza. Poproszę cię tylko,  
kochany teściu, o bliższe szczegóły, abym mógł przy-  
gotować wypadek, którego ma się stać ofiarą.

— Niewiele mogę dodać nad to, co powiedzia-  
łem—odrzekł Gilbert. — Ma sklepik pod portykiem św  
Sulpicyusza... Była obłąkaną przez siedmnaście lat...  
Zresztą, dość często przychodzi do mojej żony po jał-  
mużnę.

— Więc ona widuje się z panią Rollin! — zawo-  
łał Grancey przestraszony.

— Widuje się... i to, co o niej mówiłem, wiem  
od mojej żony.

— Mówiła o swych córkach?

— Mówiła.

— Czy jesteś pan pewnym, że pani Rollin nicze-  
go nie domyśla się?

— Jestem najpewniejszym. Jakim sposobem mo-  
że podejrzewać, skoro nie wie, iż córka jej zmarła?

— To prawda, ale najmniejsza rzecz może wywo-  
łać w niej podejrzenie. Śpieszmy się więc!

— I ja jestem tego zdania—poparł Duplat.—Ale  
przedewszystkiem uregulujemy mój rachunek.

— Jaki?

— Naprzód czternaście tysięcy franków.

— Masz słusność—odrzekł Grancey.

Wyjął z kieszeni pugilares, odliczył czternaście papierków tysiącfrankowych i podał je Duplatowi.

Ten odliczył je powtórnie i chowając rzekł:

— Nie powinienem ci dziękować, gdyż zwracasz tylko moją własność, lecz w każdym razie przyjmę podziękowanie. A teraz dajcie zaliczkę na nową sprawę.

— Ile?—zapytał Gilbert.

— Dziesięć tysięcy franków.

— Na rachunek przyrzeczonej przez nas sumy?

— Rozumie się.

Gilbert wyjął z biurka dziesięć biletów bankowych i wręczył Duplatowi, który dołączył je do poprzednich.

— A teraz, kochani spółnicy,—rzekł, podając obję dłonie—czekam waszych rozkazów.

I oddalił się zadowolony.

— Trzyma nas w rękach—odezwał się Grancey do Gilberta.—Nie mogliśmy nic zrobić bez niego i do brześmy uczynili, kupiwszy go sobie.

— Drogo kosztuje to nas...

— Trudno, mój drogi, kto chce coś zarobić musi czasem i stracić.

## XXI.

W kilka dni po zainstalowaniu się Róży przy ulicy Féron, Janina, spełniając jej życzenie, udała się do księdza d'Areynes z zamiarem znalezienia za jego pośrednictwem pracy dla swej rifimierki.

— Rad jestem z twego przybycia—rzekł ksiądz spostrzegłszy ją—gdyż chciałem już posyłać po ciebie by ci coś zaproponować.

I ja, proszę księdza, przyszedłam z prośbą.

— Pomówimy o tem. Powiedz mi przedewszystkiem jak idzie twój handel?

— Bardzo dobrze; daje mi nietylko utrzymanie lecz pozwala nawet robić oszczędności.

— Więc jesteś zadowolona?

— Bardzo. Dzięki księdzu jestem prawie bogatą. Ach gdybym miała przy sobie moje córki.

— Nie trać nadziei! Kto wie co Bóg ci przeznaczył? Tymczasem chcę zaproponować ci taką rzecz: Zbliża się zima i nieraz dobrze zmarzniesz, pozostając cały dzień na odkrytem powietrzu pod portykiem kościoła... I dochód w sklepiku będzie mniejszy w tej porze roku. Otóż czy nie przyjąłabyś innego na ten czas zajęcia? Pracując w domu, unikniesz przeziębienia. Za nadejściem wiosny będziesz mogła znowu zasiać przed kościołem.

— Jakież to zajęcie?

— Nadzór nad świecami w kaplicy Matki Boskiej i objaśnianie wiernych, pragnących ofiarować świecę. Osoba, pełniąca te obowiązki, odchodzi za dwa tygodnie. A ponieważ zapytywano mnie, czy nie znam kogo na jej miejsce, więc pomyślałem o tobie.

— Dziękuję księdzu z całego serca, ale...

— Nie przyjmujesz?

— Nie mogę. Wolę siedzieć pod portykiem, bo gdy okryję się dobrze, zimno mi nie dokuczy, a widok ludzi rozpędza moje smutne myśli. Tymczasem samotność i cisza kościelna jeszcze więcej przerażałyby mnie w rozmyślniach bolesnych.

— Więc nie mówmy o tem. Jakież ty miałaś interesy?

— Wieczory stają się coraz dłuższe pragnęłabym znaleźć jaką pracę w domu.

— Bardzo dobrze. Dam ci parę listów do wiel-

kich magazynów przedmiotów kościelnych przy ulicy Sévres. Udaj się tam, powiesz co możesz robić i dostaniesz robotę.

Ksiądz napisał dwa listy i wręczył Janinie.

Wdowa podziękowała i odeszła.

Nie zwlekając, jeszcze przed udaniem się do kościoła, zgłosiła się do jednego ze wskazanych sobie magazynów?

Przełożona zakładu po odczytaniu listu, rzekła.

— Pragnęłabym bardzo spełnić żądanie księdza d'Areynes. Więc pani życzy sobie roboty do domu?

— Tak, pani.

— Moge dać do haftowania ornaty i stuły... Zna pani tę robotę?

— To nie dla mnie, proszę pani.

— A dla kogo?

— Dla mojej córki przybranej, która nie robiła wprawdzie tego, ale haftuje ślicznie.

— Przyzna pani, że potrzebuję wiedzieć co ona potrafi i chciałabym ją widzieć przy robocie u mnie, w pracowni... Niech pani przyjdzie z nią wieczorem o ósmej, a może porozumiemy się.

Janina pożegnała przełożoną magazynu i udała się do sklepu drugiego, ale spotkało ją niepowodzenie, gdyż roboty do domu nie dawano tam wcale.

Z twarzą smutną wróciła do domu.

— Znalazłam dla ciebie robotę—oświadczyła Róża—ale nie wiem czy zgodzisz się na warunki...

I powtórzyła jej rozmowę z przełożoną.

— To rzecz niemożliwa—rzekła Róża.—Nie mogę pokazywać się na ulicy, gdyż mógłby mnie spotkać jaki przyjezdny mieszkaniec Blois...

— Niepotrzebnie się obawiasz—odparła Janina.—

Ulica Sévres, przy której położony jest ten magazyn, blisko stąd, a zakrywszy twarz woalką, mogłabyś przyjść

bezpiecznie. Skoro nie chcesz nie będę nalegała, lecz w takim razie musisz wyrzec się roboty w domu, gdyż każdy, powierzając ją, zapragnie wiedzieć co potrafisz robić.

Róża zamysliła się; była zbyt inteligentną, by nie pojmowała słuszności argumentu Janiny.

— Więc dobrze, pójdę—odrzekła.

O godzinie ósmej udały się obie do magazynu przy ulicy Sevre.

Przełożona zakładu, zobaczywszy artystyczną robotę Róży, bez namysłu powierzyła jej pracę do domu i przyrzekła zapłatę sowitą.

Obie kobiety miały już być zabezpieczone, gdy spółka Rollin, Grancey i Duplat postanowiła „uprzątnąć“ Janinę.

Grancey podjął się przygotować zasadzkę i nie tracąc czasu, zaraz nazajutrz po widzeniu się z Rollinem i Duplatem zabrał się do dzieła.

Przedewszystkiem należało dowiedzieć się, gdzie mieszka Janina, o której godzinie wychodziła z mieszkania i o której wrcała, następnie obeznać się z najdrobniejszymi szczegółami jej życia i zwyczajami i dopiero posiadając takie wiadomości, ułożyć odpowiedni plan.

Uprzątnąć kogoś bez wzbudzenia podejrzenia policyi—rzecz niełatwa.

Niema sensu popełniać zbrodnię nie mając pewności, że uniknie się niebezpieczeństwa.

Zabić dziś, by jutro pójść pod gilotynę — potrafi każdy głupiec.

Tak rozumował Grancey, postanawiając działać z jak największą ostrożnością i rozwagą.

Nie spieszył się też z ułożeniem planu, pojmował bowiem dobrze, że lepiej zwlec nieco, niż pośpiechem narażać sprawę.

Odkrycie mieszkania Janiny nie przedstawiło żadnej trudności.

Grancey ubrał się skromnie, nałożył na nos okulary niebieskie i około godziny jedenastej przed południem udał się do kościoła św. Sulpicyusza.

Janina Rivat zajmowała już miejsce pod portykiem.

Grancey z opisu udzielonego mu przez Gilberta, poznał ją odrazu, a będąc bystrym obserwatorem dostrzegł niejaki podobieństwo do Maryi Blanki.

Wszedł do kościoła, obejrzał obrazy i wyszedł drzwiami bocznymi.

Siedzi sama jedna—myślał—może nie chodzi na śniadanie do domu i zapewne wraca dopiero przed wieczorem.

Odszukał w pobliżu restaurację, wszedł do niej i usadowił się na straży przy oknie.

Janina przed udaniem się do kościoła zjadała śniadanie zwykle w domu i zabierała z sobą koszyk z posiłkiem popołudniowym.

Grancey z okna, przy którym obserwował ją, widział jak spożywała.

Przekonawszy się, że wniosek jego trafny, t. j. że wdowa nie opuści kościoła przed wieczorem, wyszedł z restauracji, przespacerował się pod galeryą Odeonu, zaszedł do pałacu Luksemsurskiego, wypił kawę, przejrzał kilka dzienników i przed nadejściem nocy wrócił na plac przed kościołem św. Sulpicyusza w zamiarze zajęcia obserwacyjnego stanowiska u okna restauracji.

Ale było to już zbyt późno, gdy nadszedł biewiem, Janina układała swój towar w skrzynię, którą, ustawivszy następnie na wózku, pociągnęła go do remizy przy ulicy Féron.

Grancey postępował za nią w oddaleniu dwudziestu kroków.

Gdy wdowa wciągnęła wózek w dziedziniec domu przy ulicy Féron, Grancey zanotował w pamięci jego numer i i oddalił się.

Śledząc ją jeszcze przez dwa dni następne w takiż sam sposób, przekonał się, że sposób życia wdowy był niezmienny i powtarzał się każdego dnia ze ścisłością zegara.

Pozostawało teraz dowiedzieć się, na którym piętrze położone było mieszkanie Janiny.

Była to rzecz nieco trudniejsza, ale nie dla takiego mistrza w sztuce podstępów, jakim był wicehrabia Grancey.

W sobotę, o godzinie drugiej po południu, młody ksiądz, w sutanie i z brodą, dowodząca, iż był członkiem Missyi zagranicznej, zjawił się przed lożą odzwiernej domu nr. 6 przy ulicy Féron.

— Co ksiądz sobie życzy?—z uszanowaniem zapytała wielka przyjaciółka Janiny Rivat.

— Należę do sekretaryatu arcybiskupstwa — odrzekł — i otrzymałem polecenie zasiągnięcia poufnych wiadomości o osobie bardzo gorąco zalecanej arcybiskupowi, a mieszkającej w tym domu. Chodzi o powierzenie tej osobie misyi dość ważnej...

— Jestem gotowa udzielić księdzu wszelkich informacyj. Zresztą o wszystkich lokatorach moich mogę mówić tylko z pochwałami. Niech ksiądz będzie łaskaw wejdzie do loży i spocznie.

— Dziękuję. Rozmowa nasza będzie krótką. Wszak tutaj mieszka wdowa Janina Rivat?

— Ach, więc to o nią chodzi?

— Tak.

— Mieszka tu już od pięciu miesięcy. To bardzo



dobra kobieta, proszę księdza. Proteguje ją ksiądz d'Areynes, jałmużnik z la Roquette.

— Wiemy o tem, jak również i to, że zasługuje na tę opiekę, ale potrzebujemy szczegółów jej życia.

— Biedna kobieta wiele wycierpiała w życiu...

— I to wiadome nam; lecz chodzi nam nie o przeszłość, a o czas bieżący.

— Mogę tylko powiedzieć, że zajmuje się sprzedażą przedmiotów służących do nabożeństwa, na co otrzymała pozwolenie od księdza d'Areynes.

Nie wiele zarabia, a mimo to pomaga jeszcze innym.

— Zapewne najwięcej przesiaduje w domu?

— Codziennie o godzinie ósmej rano udaje się ze swym wózkiem do kościoła św. Sulpicyusza i wraca do domu przed nocą.

— Jak wielkie jest jej mieszkanie?

— Zajmuje dwa pokoinki i kuchenkę na piętrze czwartem, z oknami wychodzącemi na dziedziniec.

— Czy mieszka sama?

— Dawniej mieszkała sama, ale od siedmiu tygodni ma przy sobie pewną młodą dziewczynę, niejaką Różę, robotnicę, liczącą może osmnaście lat.

— A z kąd ona pochodzi?

— Nie wiem. Przybyła tu pewnego wieczora, na pół żywa z utrudzenia i tak osłabiona, że zdołała tylko zapytać o Janinę Rivat i padła zemdlona.

— Pani Rivat znała ją?

— Znała, proszę księdza i była tak uszczęśliwioną zobaczywszy ją, że płakała z radości.

— Mówisz pani, że nazywa się Róża?

— Tak, proszę księdza.

— Nie znasz pani jej nazwiska?

— Nie ma go podobno, ale nie wiem napewno. 7

— Nie wie pani z kąd przybyła?

— Nie wiem, ale podobno z daleka.

— Czy ta dziewczyna zajmuje się czem?

— Haftuje dla jednego z magazynów przy ulicy Sévres.

— Więc wychodzi na cały dzień?

— Nie, gdyż dają jej robotę do domu, którą raz lub parę razy na tydzień odnosi wieczorem do magazynu.

— O której godzinie?

— O ósmej. Ale nie zatrzymuje się nigdzie, nie dzi jak strzała.

— Pani Rivat nie odprowadza jej?

— Nie, gdyż w tym czasie jest zajęta przygotowaniem obiadu.

Ksiądz zapisał w notatniku kilka objaśnień odzwiernej i schowawszy go do kieszeni, rzucił wzrokiem na dziedziniec, na którym złożone były deski, materiały budowlane i narzędzia mularskie, pod ścianą zaś wznosiło się rusztowanie.

— Macie, widzę robotników—zauważył ksiądz niby odniechcenia.

— A tak, proszę księdza. Obecnie pracują mularze, później będą robili blacharze, robotnicy z zakładu gazowego i malarze. Przez kilka miesięcy potrwa ten nieład. Wszyscy lokatorzy od dziedzińca wyprowadzili się, z wyjątkiem pani Rivat. Dom był tak zrujnowanym, że groził zawaleniem się, właściciel więc musiał przystąpić oo robót.

— Więc pani Rivat pozostała sama jedna?

— Prosiła o to, gdyż jej tu wygodnie. Gdy jakie sąsiednie mieszkanie będzie już gotowe, przeprowadzi się do niego, a tymczasem wyrestaurują jej lokal. Ale teraz pozbawiona jest światła i wcdy, gdyż zamknięto i rury gazowe i wodociąg.

— Robotnicv zaczęli już robotę?

— Od trzech dni.

Ksiądz wyszedł z łoży i wkroczył na dziedziniec, a za nim udała się i odźwierna.

Podniósł wzrok na czwarte piętro, na którym w jednym oknie były firauki.

— To zapewne tam mieszka ta wdowa z ową dziewczyną?

— Tam, proszę księdza.

— Dziękuję pani za udzielono mi wskazówki. Wszystkie one przemawiają za tą kobietą. Niech pani nie zapomina, że rozmowa nasza była poufną i nikt nie powinien wiedzieć o niej.

— Niech ksiądz będzie spokojnym.

Ksiądz pożegnał odźwierną i pojechał do biura telegraficznego, z kądem, pod adresem Gilberta Rollina i Juliusza Servaize wyprawił dwie jednobrzące depesze:

„Dziś o dziewiątej wieczorem, ulica Caumarten. Gaston.“

Czytelnicy oddawna zapewne w księdzu tym poznali fałszywego wicehrabiego de Grancey.

Spólnicy jego nie zaniedbali na oznaczoną godzinę stawić się na wezwanie.

— Cóż nowego?—zapytał Rollin — chciałeś pan zapewne udzielić nam wiadomości o Janinie Rivat?

— Tak jest. Rzecz okazuje się nie tak łatwa jak zdawało się i dla tego przed powzięciem postanowienia wezwałem was na naradę.

— Cóżżeś pan dowiedział się.

— Zachodzą okoliczności, których nie przewidywaliśmy... Janina Rivat, zwana w swojej dzielnicy *Zobraczką od św. Sulpicjusza*, mieszka przy ulicy Féron pod nr. 6, w domu obecnie restaurowanym, przepelnionym robotnikami i rozmaitemi materyałami budowlanymi. Okoliczność ta znakomicie ułatwiłaby wykonanie naszego planu, gdy nie pewna trudność...

— Jaka?

— Janina od kilku tygodni mieszka z jakąś młodą dziewczyną.

## XXII.

— Z młodą dziewczyną! — powtórzył Gilbert zdziwiony.

— Liczącą lat siedmnaście lub ośmnaście, niewiadomo z kąd przybyłą i znaną tylko pod imieniem Róży.

— Róża! — wtrącił Duplat — imię to dałem jednej z córek Janiny Rivat, złożonej w merostwie jedenastego okręgu w maju 1871 r., nazajutrz po wzięciu Paryża przez wersalczyków.

— Do dyabła! — odrzekł Grancey — brzydkie rozwiązanie zagadki...

— Jeżeli ta Róża jest jej córką... jeżeli ona odszukała ją...

— To rzecz niemożliwa... — zarzucił Duplat. — Od kogo mogła dowiedzieć się, że odniosłem dziecko do merostwa? — Nie nabijajcie sobie głowy niepotrzebnymi strachami.. Nie jedna Róża na świecie... Na każdej ulicy znajdziecie ich tuziny... Czy widziałeś ją?

— Nie i będę unikał spotkania z nią.

— Dlaczego?

— Diewczęta mają oczy przenikliwe, przecucie i pamięć... Nie chciałbym by widziała mnie, gdyż w danym razie mogłaby być świadkiem, jeżeli nie wyrzekamy się zamiaru pozbycia się Janiny Rivat...

— Nietylko nie wyrzekamy się — rzekł Duplat — ale musimy śpieszyć się, gdyż zdaje mi się, że ta kobieta stanie się dla nas powodem nieszczęścia.

— I ja jestem tego zdania — poparł Grancey — ale nie znalazłem jeszcze sposobu.

Duplat wrzucił ramionami.

— ro co szukać kombinacyi w fejletonach i romansach—odrzekł.

— Najlepiej iść prosto do celu... Jedno pchnięcie nożem w plecy, chociażby na ulicy — i sprawa skończona!

— Za nic w świecie—zawołał Grancey—naprzód, jestto sposób głupi, a powtóre niepraktyczny! W porze obecnej Janina Rivat opuszcza kościół około pół do szóstej. Z placu św. Sulpicyusza na ulicę Férou idzie się dwie minuty, ale wśród bardzo licznych przechodniów. Zabić w takich warunkach, byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną. Z pewnością ujęliby... Potrzeba działać w mieszkaniu Janiny.

— Więc powiedz swój plan—rzekł Duplat.

— Warunek najpierwszy: musimy działać wszyscy trzej... każdy powinien mieć udział, ponieważ jest to interes wspólny. Plan mój jeszcze nie gotów, gdyż brak mi niektórych informacji, ale jutro będziemy mogli oznaczyć już dzień. Powtarzam wam tylko, że trudności będą wielkie.

— Jakie trudności?—zapytał Duplat.

— Przedewszystkiem Janina powinna być w mieszkaniu samą.

— Czyż nie można upatrzeć takiej chwili?

— Można, ale jeszcze nie wiem kiedy.

— Skoro tak mało wiesz, więc po co wzywałeś nas?...

— Chciałem dowiedzieć się, czy trwacie w swym zamiarze.

— Niema co o to pytać!

Słowa Granceya: *Musimy działać wszyscy trzej*—przestraszyły Gilberta.

Lękał się mieszać do sprawy tak ryzykownej.

— Czy nie sądzicie, że trzy osoby łatwiej mogą skompromitować się, niż jedna?

Duplat i Grancey zrozumieli go i spojrzeli po sobie z uśmiechem.

— Boisz się pan?—zapytał ex-komunista.

— Umyjesz pan ręce później—dodał wicehrabia— ale musisz je pierwszej pobrudzić. Kto pomaga do spełnienia zbrodni myślami, powinien mieć odwagę pomódz czynem. Wierzę, że przyjemniej byłoby w chwili stanowczej pozostać w domu. Pójdiesz więc pan z nami, lub nie pójdziemy wcale.

Gilbert, widząc, że wszelka dyskusya z takimi zachami byłaby bezowocną, odrzekł:

— Więc pójdę.

— Tak, to rozumiem

Rozeszli się.

Mówiliśmy już, że Janina Rivat zajmowała na czwartem piętrze w podwórzu mieszkanie, złożone z dwóch pokoików i kuchenki.

Cała ta oficyna, obecnie restaurowana, zasłonięta była rusztowaniem, wznoszącem się aż do poddasza.

Janina, nie chcąc opuszczać domu, tak dogodnego dla niej z powodu blizkiego sąsiedztwa z placem św. Sulpicyusza, pomimo panującego nieładu, pozostała w mieszkaniu wraz z Różą.

Był już koniec listopada, ale trwająca pogoda pozwalała na prowadzenie robót budowlanych.

Mężczyzna, liczący około czterdziestu lat, z głową krótko ostrzyżoną i brodą siwą, z czarną teką pod pachą, wszedł na dziedziniec, obejrzał nagromadzone materiały i zaczął przyglądać się robocie.

— Musi być pomocnik budowniczego — szepnął

jeden z mularzy do swego towarzysza. — Przyszedł sprawdzić wartość materyałów.

Mężczyzna, nazwany pomocnikiem budowniczego, wszedł na rusztowanie pierwszego piętra, uważnie rozejrzał się wokoło, następnie udał się na piętro drugie, trzecie, gdzie również zlustrował rusztowanie, wreszcie wkroczył na piętro czwarte.

Podszedł do okna mieszkania zajmowanego przez Janinę Rivat, lecz zapuszczone firanki nie dozwoliły mu zajrzeć do wnętrza.

Przez kilka chwil stał zamyślony, poczem zawrócił na kurytarz, zbliżył do drzwi Janiny i przyłożył do nich ucho.

Nie usłyszawszy żadnego szmeru, powolnym krokiem zeszedł na dół i udał się w stronę pałacu Luksemburskiego.

»

\*

\*

Właścicielka magazynu, dla którego pracowała Róża, znalazła się chwilowo w wielkim kłopotcie, gdyż jedna z jej najlepszych robotnic zawiadomiła ją listownie, że z powodu choroby nie przyjdzie do zajęcia.

Robotnica ta miała powierzoną sobie robotę bardzo pilną i terminową.

Właścicielka zakładu, nie mając kim zastąpić jej, wezwała Różę.

Dziewczyna zasiadła natychmiast do roboty, o siódmej udała się na ulicę Férou, by zjeść obiad z Janiną, poczem wróciła znowu do zakładu, w którym miała pozostać do północy.

Następnego dnia już o godzinie siódmej rano była znowu w zakładzie.

Należało dobrze przysiąść fałdów, by ukończyć robotę przez ten drugi dzień i część nocy.

Dni były już krótkie i chociaż właściciel domu przy ulicy Férou pragnął jaknajprędzej ukończyć roboty mularskie — nie mógł przecież prowadzić ich przy świetle.

O godzinie piątej robotnicy opuścili zajęcia i głębokie milczenie zaległo cały dom.

Dziedziniec, którego brama miała być otwarta do godziny ósmej wieczorem, oświetlony był małą, o czerwonych szklach latarnią, ustawioną na wielkim stosie gruzów.

Odźwierna przez oszczędność zagasiła gaz w całym domu.

### XXIII.

Tego wieczora gęsta mgła zalegała ulice Paryża.

Trzech mężczyzn, postępujących jeden za drugim, pochylonych, z twarzami zakrytymi od góry przez szerokie rondo kapeluszy, a z dołu szalikami, sięgającymi aż do nosa, wyszło z ogrodu Luksemburskiego i zwróciło się przez Vaugirard na ulicę Férou.

Byli to przebrani za robotników trzej sprzymierzeni: Gilbert Rollin, wicehrabia Grancey i Serwacy Duplat.

Nadeszła chwila dokonania zbrodni.

Tego wieczora przeszkoda — Janina Rivat — miała być uprzątnięta.

Pora była dobrana doskonale: gęsta mgła nie dozwalała odróżnić przedmiotów, odległych o kilka kroków.

Drzwi w bramie domu były otwarte.

Weszli w dziedziniec.



Ustawiona na stosie gruzów latarnia rzucała słabą świecę jak gwiazda zamglona.

Musieli się ująć za ręce, by trafić do drzwi oficyny.

— Jest tu trzy schody—rzekł Grancey idący na przedzie—ostrożnie, żebyście się nie potknęli.

Gdy weszli na korytarz, zapalili słepą latarkę i zaczęli wstępować na schody, powoli przesuwając się pod belkami rusztowań.

Na czwartym piętrze Grancey zatrzymał się pod zamkniętymi drzwiami i przyłożył do nich ucho.

— Tutaj mieszka—szepnął—słyszałem jakiś szmer muszę być w domu. Zanim dziewczyna nadejdzie przygotujemy zasadzkę, którą obmyśliłem.

— A jeżeli nie wyjdzie z powodu mgły?—zauważył Gilbert.

— Jeżeli nie wyjdzie, tem gorzej dla niej... Nie nasza będzie wina...

— Co to jest?—zapytał Duplat, wskazując tuż przy drzwiach otwarte, wychodzące na dziedziniec okno.

— To wejście na rusztowanie, przez które wjdziemy w chwili stanowczej, aby następnie również przez okno mieszkania dostać się do Janiny Rivat.

— Czy rusztowanie mocne?

— Niema niebezpieczeństwa. A teraz chodźmy na piąte piętro i zabierajmy się do roboty.

Robota ta polegała na wyjęciu śrub z podpory, na której spoczywała wyższa część rusztowania, wielce ciężka sama przez się i obciążona nadto naczyniami z cementem i zapasem cegieł.

Po upływie godziny robota była ukończona.

Dość było pociągnąć przywiązany u góry sznurek, aby wyższa część rusztowania zawałiła się z czwartego piętra na dziedziniec.

Siostry bliźniaczki.

— A teraz chodźmy na poddasze, odpocznijmy i porozmawiajmy trochę

— Mów—rzekł Duplat, gdy znaleźli się w małej izdebce najwyższego piętra.

— Oto nasz program. Mieszkająca z Janiną dziewczyna wyjdzie stąd na dziesięć minut przed ósmą, gdyż punkt o ósmej musi być w magazynie. Nieobecność jej potrwa najmniej trzy kwadransy. Gdy powróci wszystko już będzie zrobione.

— I zrobione dobrze!—szepnął Duplat.

— Przed odejściem jej stanjemy na swych stanowiskach, a skoro ucichnie cicho jej kroków, wejdziemy do mieszkania Janiny.

— Kto zada cios?—drżącym głosem zapytał Gilbert.

— Broń Boże używać noża!—odrzekł Grancey.—Ścisnąć dobrze za gardło, a gdy ostygnie, zaniesiemy ją na dziedziniec, pociągniemy sznurek, a wtedy zawali się rusztowanie i zmiazdży ją. Nikt nie domyśli się zbrodni, co najwyżej będzie odpowiedzialny przedsiębiorca za złe ustawienie rusztowania.

— A gdyby dziewczyna nie wyszła?—zapytał Gilbert.

— Powiedziałem już, tem gorzej dla niej!

— Dwa trupy!...

— Po co te czułości!—Rzekł Duplat.—Jeżeli nie wyjdzie, więc i ją za gardło!

Powinniśmy przewidzieć wszystko—zauważył Gilbert—Janina Rivat zna mnie i Duplata. Gdyby wskutek jakiegoś nieprzewidzianego wypadku nie udało się nam, w takim razie bylibyśmy zgubieni.

— Myślałem o wszystkim—odrzekł Grancey, wyciągając z kieszeni trzy czarne jedwabne maski.—Nałożymy to na twarze i sam dyabeł nie pozna nas.

Grancey nie wiedział, że Róża wieczory spędzała w pracy w zakładzie i oczekiwał jej wyjścia, gdy mezasem ona lada chwila miała już powrócić.

Spojrzał na zegarek i przekonawszy się, że już o kwadransie na ósmą, rzekł do towarzyszków:

— Nałóżcie maski i chodźmy... już czas.

Powoli zeszli na czwarte piętro, poczem Duplat przez otwarte okno przelazł na rusztowanie i zniknął w mgłę, zaś Grancey i Rollin stanęli za stosem złożonych na korytarzu desek i cegieł.

Dwa kroki zaledwie dzieliły ich od drzwi mieszkania Janiny.

Grancey zakrył latarkę i schował ją do kieszeni.

— Za kwadrans przeszkoda będzie usunięta i może małżeństwo z Maryą Blanką stanie się możliwem— szepnął do ucha drżącego ze stracha Gilberta.

A jednak człowiek ten dzielnie walczył w bitwie pod Montretout.

Bo też co innego jest nadstawić pierś na kule nieprzyjacielskie, a co innego, widzieć w wyobraźni trójkatny nóż gilotyny.

Duplat nachylony podszedł do okna mieszkania Janiny i zaczął rozglądać się w pokoju, ale przez muslinowe firanki nie mógł przyrzeć się jej dokładnie.

Dopiero gdy zwrócona do niego twarzą zbliżyła się do okna, zdawało mu się, że ją poznał, pomimo siwych włosów i zmienionego oblicza.

— Nie widzę dziewczyny — pomyślał — zapewne jest w drugim pokoju.

Gdy Duplat czynił sobie tę uwagę, Janina podeszła do drzwi drugiego pokoju i utworzyła je.

W pokoju nie było nikogo.

— Co to znaczy?— pomyślał— do stołu nakryte, a jej niema... musiała więc wyjść. Janina jest sama, a my niepokoiny się jak głupcy, gdy tymczasem robo-

ta mogłaby być skończona oddawna. Trzeba ich powiadomić.

Prześliznął się pomiędzy słupami rusztowania i przez okno przelazł na korytarz.

Gilbert i Grancey z gorączkową niecierpliwością wyczekiwali chwili działania, zależnej od wyjścia Róży.

Obaj wyteżali słuch na najmniejszy szmer, ale w mieszkaniu Janiny panowała cisza zupełna.

Nagle Gilbert uchwycił ramię Granceya.

— Czy słyszysz?—zapytał.

— Co takiego?

— Ktoś idzie po schodach.

— Prawda.

Rzeczywiście odgłos kroków zbliżał się coraz więcej.

— Ktoś idzie—mówił Grancey i widocznie tutaj, gdyż z wyjątkiem Janiny Rivat, nikt więcej nie mieszka w tym domu... Tem gorzej dla niego, że przychodzi nie w porę... Nie wejdzie.

Wyjął z kieszeni nóż i przygotował się do uderzenia.

— Co myślisz robić?—zapytał Gilbert głosem zdławionym.

— Zaraz zobaczysz.

W tej chwili sylwetka Duplata zarysowała się na framudze okna.

— Schowaj się—schowaj—szepnął przez zęby Grancey—ktoś idzie po schodach... Bądź w pogotowiu.

Duplat umknął.

Czyjeś lekkie kroki rozlegały się w ciemności, lecz zbliżały się ciągle.

W mieszkaniu Janiny zegar wybił godzinę ósmą. Grancey dostrzegł postać kobiety.

Miał się już rzucić, lecz nagle powstrzymał się przerażony.

Otworzyły się drzwi i Janina z lampą w ręku stanęła progu oświetlając twarz nadchodzącej w tej chwili Róży.

— Marya Blankal—szepnął Grancey.

Nawet Rollin, złudzony dziwnem podobieństwem sióstr, nie mogąc zrozumieć co się stało, uczuł chwiałe się pod sobą nogi i oparł się na ramieniu swego towarzysza.

— Dobry wieczór, mamó Janino—rzekła Róża i wszedłszy do pokoju zamknęła drzwi za sobą.

— To ona... To Marya Blanka—powtarzał były dependent.

— To moja córka—szeptał Gilbert. — Jej twarz, jej głos, jej wzrok. Co to jest, co ona tu robi?... Czyżby... Muszę przekonać się natychmiast... chodźmy.

Grancey przywołał Duplata i rzekł:

— Sprawa na dziś chybiona...

— Z powodu?

— Marya Blanka przyszła do Janiny.

— Córka Rollina?

— Tak.

— To rzecz niemożliwa!

— Cicho i chodź z nami.

Pospiesznie zeszli ze schodów i przez dziedziniec wydostali się na ulicę.

Na chodniku, Duplat, któremu najwięcej zależało na śmierci Janiny, odezwał się:

— Wytłómaczcie mi, gdyż nic tego wszystkiego nie rozumiem. Co się stało?... Janina była sama... parła jej, zamiast wyjść, powróciła... Nie należało czekać do jej powrotu... w końcu dlaczego mówicie o Maryi Blance, córce Rollina.

— Powtarzam ci, że Marya Blanka weszła—odrzokł Grancey.

— Do Janiny Rivat! Nie rozumiem!... Więc to nie Róża?

— Jeżeli to Róża, to w takim razie jest tak podobną do Blanki, jak gdyby była jej siostrą bliźnięcą. Zaraz będę wiedział.

— Jakim sposobem?

— Wrócę do siebie i przekonam się, czy Blanka jest z matką.

— Nie możesz pan wracać w tem ubraniu i cały poplamiony wapnem—zazważył Grancey.

— Mała rzecz! Zmyślę jaką historyjkę. Wracaj pan do siebie z Duplatem i czekajcie na mnie. Przyjadę o jedenastej.

Odszedł, lecz napróżno szukał dorożki i pieszo musiał udać się do domu.

Gdy zadzwonił, odzwierny pociągnięciem sznurka otworzył drzwi i stanął w okienku łoży by zobaczyć przybysza, ale Gilbert powiedział swoje nazwisko i korzystając z mgły, pospiesznie przemknął się do mieszkania.

W przedpokoju nie zastał nikogo, służba bowiem spożywała obiad.

Zachwycony powodzeniem, nie spostrzeżony przez nikogo udał się do garderoby i zmienił ubranie.

Poczem udał się do salonika, w którym Henryka po obiedzie przesiadywała wraz z córką.

Gdy otworzył drzwi, obie kobiety odwróciły się ku niemu.

Gilbert spostrzegłszy je siedzące obok siebie drgnął ze zdumienia.

Więc to nie Marya Blanka była tam!...

Lecz w takim razie cóż to za dziewczyna tak podobna do niej?

— Czy chciałeś widzieć się zenną?—zapytała Henryka, zdziwiona tą niespodziewaną wioytą.

— Wiedziałem, żeś była cierpiącą, więc przyszedłem dowiedzieć się o twoje zdrowie.

— O moje zdrowie...—powtórzyła Henryka.

— Mógłby kto pomyśleć, że dziwi cię to... a przecieź to rzecz naturalna.

— Rzeczywiście... Mam się jednakowo, ani lepiej, ani gorzej—jestem osłabioną... dziękuję ci za pamięć...

Pani Rollin mówiła to powoli, głosem cichym złamanym.

Blanka spoglądała na nią ze smutkiem...

Powinnaś używać więcej ruchu... rzerwać się.

— Dokąd pojedę? I na co?

— Odetchnąć świeżem powietrzem, odwiedzić swych ubogich...

— Udzielam im jałmużnę.

— I Blanka nie powinna żyć jak zakonnica...

W jej wieku rozrywka konieczna.

— Nie chcę opuszczać mamy — odrzekła dziewczyna.

Rozumiem cię, aleś powinna uprosić matkę, aby codziennie wyjeżdżała na spacer.

— Nam dobrze tak—szepnęła pani Rollin. Pozwól nam urządzić się jak nam najdogodniej i sam żyj jak ci się podoba.

Gilbert nie mając żadnego powodu do przedłużenia wizyty, odszedł do siebie.

W pół godziny był już w mieszkaniu Granceya przy ulicy Caumartin.

— No i cóż—pośpiesznie zapytał były dependent.

— To nie Marya Blanka była na ulicy Feron.

— Jesteś pan pewnym?

— Najpewniejszym. Zastałem Blankę w domu przy matce.

— Skoro pan tak mówisz, więc wierzę. Ale co za ziwhe podobieństwo!

— Rzeczywiście dziwne, lecz zrozumiałe... Należy przypuścić, że Róża jest siostrą bliźniącą Blanki...

— W takim razie Janina Rivat musiała odszukać jedno z swych dzieci. No byłby to wypadek spotykany tylko w romansach i melodramatach—zauważył Duplat.

— To być może—dorzucił Gilbert.—Należy się przekonać...

— A ja powiem, że należało zadusić je obie.

Gilbert wzruszył ramionami.

— Nin chodzi tu o zabijanie dla przyjemności. Za nim powźmiemy postanowienie nowe, powinniśmy przede wszystkim zdać sobie sprawę z grożącego nam niebezpieczeństwa, powinniśmy przekonać się, czy Róża jest rzeczywiście córką Janiny Rivat i czy wspólny interes nie wymaga uprzątnięcia jej. Wtedy słusznie przyśleżniwać nam będzie prawo obrony; ale gdyby tak nie było, to po co powiększać liczbę ofiar...

— Widzę, że z pana dobry tchórz...— odrzekł Duplat.— Zresztą skoro panu tak chodzi o to, mogę dowiedzieć się.

— Jakim sposobem?

— Wprost zapytam się w biurze rady dobroczynności publicznej, co stało się z dzieckiem, złożonem przymownie przed kilkunastu laty. Jeżeli przygarnięta przez Janinę Rivat dziewczyna jest jej córką, to tem gorzej dla niej. bo wdowa z pewnością nie omieszka powiadomić ją o porwaniu w dzieciństwie i wymienić moje nazwisko. A ponieważ wtedy i dziewczyna będzie dla nas niebezpieczną, należy więc uprzątnać obie.

— Dobrze, dowiedz się,—zakonkludował Grancey.



XXIV.

Po odejściu Duplata, Grancey rzekł do Gilberta:

— Chciałbym pomówić z panem.

— Słucham.

— Zwłoka ta szkodzi naszym interesom. Postanowiłem nie zważać na nic i przystąpić do rzeczy. Należy przyspieszyć małżeństwo.

— Wątpię czy to chwila odpowiednia...

— Dla czego? Główna rzecz będzie dokonana, reszta robi się później. I po ożenieniu się z Maryą Blanką mogę myśleć o Janinie Rivat.

— Małżeństwo to sprawi wrażenie... będą o niem mówili.

— Cóż nam to szkodzi?

— Mogą podejrzewać...

— Kogo i o co? Nie bądź pan tchórzem!—Od niejakiego czasu wszystko widzisz w kolorach czarnych... Nie mamy powodów do zwłoki... Zobacz się z panią Rollin i pomów stanowczo.

— Widziałem się przed chwilą... jest cierpiącą. 3

— Tem lepiej... tem łatwiej na nią wpłyniesz. Wiesz przecież, że za trzy dni masz mi wypłacić trzydzieści siedm tysięcy pięćset franków. Masz je pan?

— Nie mam.

— Domyslałem się tego.

— Chciałem prosić pana o prolongatę.

— Chyba pan żartujesz! Jeżeli nie możesz ich mieć za trzy dni, to nie będziesz miał i za miesiąc. Pani Rollin wzięła cię na dyteę... Szczęście przestało sprzyjać ci, przegrywasz w karty, wszystkie twoje konie zostały zdystansowane... Słowem nie powodzi ci się... Wierzyście nie dają ci spokoju, kochanka grozi opuszczeniem, na koniec, jesteś w kłopotach po uszy

i jeszcze robisz trudności, gdy chcę wyciągnąć cię. Otóż tylko mój ślab z Blanką może wyprowadzić cię na czystą wodę!... Obaj potrzebujemy pieniędzy!... Duplat będzie wymagającym, a wiesz przecież, jaka to natura brutalna... Cóż u diabła, powinieneś zastanowić się nad tem wszystkim! Brak ci energii, inicjatywy... Potrzeba, aby małżeństwo to jak najprędzej doszło do skutku. Proszę cię, przyspiesz je.

— Przykładasz mi nóż do gardła!...

— Wcale nie. Mówię ci tylko, że potrzebuję pieniędzy.

— Dobrze. Zacznę działać.

— Już wielki czas. Niech Duplat zasięga potrzebnych nam informacji, a my tymczasem uregulujmy nasze sprawy rodzinne.

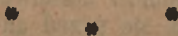
— Rollin powstał.

— Już odchodzisz?

— Muszę wracać do domu.

— Kiedy zobaczymy się?

— Jutro wieczorem w klubie.



Duplat, spełniając dane towarzyszom przyrzeczenie, zaraz dnia następnego udał się do Saint-Maur, w celu odszukania matki, której przed siedemnastu laty, w imieniu rady dobroczynności publicznej powierzył jedną z córek Janiny Rivat.

Znalazł ją z łatwością, lecz dowiedział się tylko tyle, że przywiezione przez niego dziecko do piątego roku życia pozostawało na wychowaniu u matki, poczem oddane zostało do jednego z przytułków paryskich, o którym można poinformować się w kancelaryi tejże rady przy ulicy Wiktorya.

Duplat poprócił do Paryża, zjadł śniadanie i u-  
dał się pod wskazany adres.

— Czy masz pan upoważnienie do zasiągnięcia  
wiadomości? zapytał urzędnik, wysłuchawszy żądania.

— Ja sam przyniosłem to dziecko do merostwa  
jedenastego okręgu i podpisałem protokół, mający słu-  
żyć za metrykę.

— Pańskie naswisko?

— Juliusz Servaize?

— Kiedy to było?

— 28 maja 1871 r.

— Czy odszukałeś pan rodziców tego dziecka?

— Odszukałem ojca.

— Dla czegoż on sam nie zgłosił się?

— Przebywa zagranicą.

— Dobrze... Niech pan spocznie; zaraz zarządę.

Wziął registr z r. 1871, odszukał wskazaną da-  
tę i rzekł:

— Mam... 28 maja... dziecko płci żeńskiej... Ró-  
ża... złożone przez pp Juliusza Servaize i Merlina...

— Tak, panie, o nią właśnie chodzi—odrzekł

Duplat.

— Więc chcesz pan wiedzieć co się z nim stało?

— Tak, panie.

— Dobrze... Dziecko to zostało powierzone wdo-  
wio Leroux mieszkającej w Saint-Maur, pozostawało  
u niej do piątego roku życia, następnie było odesiane  
do przytułku, zkąd w dwunastym roku życia oddane  
na naukę do szkoły infirmerów w Blois w r. 1883,  
zaś w r. 1888 umieszczone tamże w przytułku w cha-  
rakterze infirmerki płatnej. Ock! Ock!—zawołał urzę-  
dnik, przerywając czytanie i marszcząc brwi.

— Czy stało się coś?—zapytał Duplat.

— Stała się rzecz dziwna i Słuchaj pan... Znikła  
z przytułku d. 20 września i zapewne zmarła, gdyż

wszelkie poszukiwania pozostały bez skutku. Prawdopodobne jest samobójstwo z powodu melancholii.

— Zmarła!... Samobójstwo! powtórzył Duplat.

Tak napisano, a ponieważ napisano, więc musi być prawda.

— Ale napisano „prawdopodobne“.

— Tak.

— Więc to tylko przypuszczenie... Może w Blois objaśnionooby mnie lepiej.

— Nie panie, gdyż notatka ta napisana na podstawie raportu przytułku tamtejszego.

— Czy mogę prosić o wydanie mi kopii tej notatki?

— Dobrze.

— W pół godziny, Duplat zaopatrzony w kopię, odjechał do merostwa jedenastego okręgu w celu uzyskania wyciągu protokołu, będącego zarazem metryką urodzenia Róży, ale ponieważ wkrótce mieli już biuro zamykać, pozostawiwszy więc daty, prosił o przygotowanie wyciągu na dzień następny.

Interes więc pociągnął się jeszcze na jeden dzień, gdyż dopiero nazajutrz wieczorem mógł udać się po informację do Blois



Henryka przepędziła tę noc bardzo źle.

Blanka, która siedziała przy niej do godziny trzeciej rano, odchodząc na spoczynek, pozostawiła na swe miejsce pokojową zaufaną, z poleceniem powiadomienia jej, gdyby stan chorej pogorszył się.

Dziewczyna wstała nazajutrz bardzo wcześnie i zasiadła przy łóżku matki.

Henryka była ciągle senna i prawie nie pozna-

Blanka, przestraszona tym stanem, posłała po d-ra Germaina.

— To pan—rzekła chora, podając mu rękę.—Nie przybył pan wczoraj, choć prosiłam.

— Wczoraj? powtórzył lekarz zdziwiony.

Blanka spojrzała na niego oczyma zażawionemi.

Zrozumiał ją i nie żądał objaśnienia, lecz korzystając z podania mu ręki, zbadał jej puls.

Uderzał on regularnie, widocznie tylko mózg był chory.

— Czy wychodziła pani z domu w tych dniach? Henryka usiłowała przypomnieć sobie.

— Wychodziłam—odrzekła po chwili—odwiedzałam mych ubogich.

Na zapytujący wzrok lekarza Blanka odpowiedziała przeczącem poruszeniem głowy.

Stary praktyk miał zbyt wiele nauki i doświadczenia, by mógł pod tym względem łudzić się.

Zmiana w zdrowiu pani Rollin była wyraźną: umysł zaciemniał się, pamięć zanikała.

Uczynił jeszcze kilka pytań, by przekonać się dokładnie o stopniu rozwoju anemii mózgowej i doszedł do wniosku, że pomimo zdarzających się chwil jasnych, myśli chorej były wogóle zamglone.

Opuszczając Henrykę, dał znak jej córce, że pragnie pomówić z nią na osobności.

— Pragnąłbym zobaczyć się z twoim ojcem—rzekł do niej.

Na pozór, w żądaniu tem nie było nic dziwnego, Blanka jednak usłyszawszy je rozplakała się.

— Więc matka moja bardzo chora?—zapytała.

— Nie będę przed tobą ukrywał, że stan jej budzi we mnie obawę.

— Traci pamięć..

— Tak... Należy pomyśleć o kuracyi systematycznej i dla tego chciałbym zobaczyć się z p. Rollin.

Przywołany loka, oświadczył, że pana niema w domu wróci dopiero za parę dni.

-- Przyjadę jutro rano oświadczył lekarz i odszedł. Blanka powróciła do matki.

Smutne było teraz życie biednej dziewczyny.

Zawsze samotna, zboliała, nie wiedziała gdzie szukać pomocy i rady.

Na ojca rachować nie mogła, wiedziała bowiem, że nie lubił jej.

Mysł niedalekiej już może katastrofy przejmowała ją przestraszona.

Nie wiedząc co począć, wysłała do księdza d'Arnyes bilecik z powiadomieniem o stanie matki i prośbą o radę.

Ksiądz, wiedzący już dawniej od doktora Germain o chorobie Henryki, odczuł boleśnie tę wiadomość, lecz na razie nie wiedział jak postąpić.

Poczucie swej godności nie dozwalało mu udawać się do domu, z którego był wypędzony przez Gilberta, a z drugiej strony nie mógł kuzynki swej pozostawić bez ratunku.

Po namyśle przywołał Rajmunda Schlossa i kazał mu pojechać po lekarza Kerneol.

— Może doktor Germain przesadza — zauważył młody lekarz, wysłuchawszy opowiadania księdza.

— Nie, gdyż przewidywał to oddawna. Kuzynka moja wiele przecierpiała w życiu, zwłaszcza w latach ośmiatnich... Nie dziwi mnie jej stan dzisiejszy... Blanka wyjechała mnie, ale wiadomo ci, dla czego nie mogę tam pójść, a z drugiej strony niepodobna opuścić te kobiety... Ty powinienes zastąpić matkę...

— Ksiądz zabronił mi chodzić tam...

-- Ale teraz pozwalam... Udasz się nie jako Lu-

cyan Kernoël mój wychowaniec i narzeczony Maryli Blanki, lecz jako lekarz, człowiek, niemający ani przyjaciół ani nieprzyjaciół, spieszący wszędzie, dla niego nie ma go obowiązek.

— Dr. Germain, domowy lekarz pani Rolland, może obrazić się. Inna rzecz gdyby on sam wezwał.

— Doktor jest naszym przyjacielem wiec przyjdzie cię i chętnie przyjmie twoją pomoc. Czy jesteś wolny dziś wieczorem?

— Uzyskałem na noc zastępstwo, ale jutro rano muszę już być w szpitalu.

— Dobrze. Jedźmy do doktora Germain, Odjechali dorożką, którą przybył Lucyan.

Doktor powitał gości ze szczerem zadowoleniem.

— Gdyby ksiądz nie przyjechał dzisiaj, musiała księdza zawiadomić.

— Zawiadomiła, ale czy ona nie przesadza?

Nie. Objawy są bardzo wyraźne... Nastąpiło to, czego się obawiałem.

— I niema sposobu usunięcia choroby?

— Znalazłby się, gdyby można było zapewnić chorej spokój, uwolnić ją od myśli smutnych...

Henryki kolego---dodał, zwracając się do Lucyana---mogłbyś mi pomóc wiece, gdybyś nie odmówił swej pomocy, jesteś bowiem psychiatrą i pracujesz w szpitalu pod kierunkiem najznakomitszych specjalistów.

— Ależ z całego serca!—zawołał Lucyan

— Więc pojedźmy się jutro u chorej.

— O której godzinie?

— O jedenastej.

— Dobrze.

Lucyan zażądał niokropki objaśnień o chorobie Henryki, następnie polecił dorożkarzowi doktora Germaina odjechać wraz z księdzem.

## XXV.

Po chybnym zamachu na życie Janiny, Gilbert Rollin udał się do swej posiadłości Lamorlaye, gdzie posiadał stajnie i obok nich domek mieszkalny, w którym często przebywał dla odpoczynku, lub gdy potrzebował samotności.

Nie posiadając pieniędzy, nie mógł zjawić się w podarowanym swej kochance pałacyku przy ulicy Proeny; wyścigi zawiodły go, w grze również doznawał niepowodzenia.

Dostawcy, nieotrzymując należności, zasypywali go listami, nieraz bardzo niegrzeczными i grozili procesami.

Po przybyciu do Lamarlaye listów takich zastał cały stos.

Część nocy spędził na obliczaniu długów i zsumowawszy je, przestraszył się cyfry.

Położył się dopiero o trzeciej nad ranem, lecz nie mógł zasnąć i z bólem głowy, złamany, wstał o siódmej.

Zaledwie ubrał się, zaanonsowano mu kilkanaście oczekujących go osób: kupców, dostawców paszy, rybnarzy, i innych wierzycieli, zniecierpliwionych ciągłą zwłoką i nigdy niedotrzymywanemi obietnicami.

Wyszedł do nich, by porozumieć się, lecz sprawa była trudna.

Zawiedzeni wierzyciele, zapominając najpospolitszych form grzeczności, nie tylko nie wierzyli nowym obietnicom, lecz wprost nazywali go oszustem i nie chcieli zgodzić się na układy. Wkońcu zmęczeni spodem, przystali na dwutygodniową zwłokę, z zagrożeniem, że po tym terminie przyślą komorników.



Gilbert odetchnął i po dwóch dniach pobytu w Lamorlaye powrócił do Paryża.

Spdziawał się zastać jaką wiadomość od Granceya Duplata, lecz obaj nie dali o sobie znaku życia.

Znalazł za to kilka listów od wierzycieli pa-  
ryzkich.

Rzucił je w ogień i zły zadzwonił na lokaja.

— Czy pani w domu, zapytał.

— Leży chora... Panna Blanka wzywała wczoraj  
doktora Germain, który był u pani i później chciał  
wizdieć się z panem.

— Kiedy doktor będzie znowu?

— Zapewne dzisiaj...

— Dobrze, możesz odejść.

O godzinie jedenastej przybyli jednocześnie, sto-  
sownie do umowy, dr. Germain i Lucyan Kernoël,

Gilbert usłyszawszy dźwięk dzwonka, uchylił fi-  
rankę i poznał d-ra Germain.

— Dwóch—szepnął... więc będzie narada. Henry-  
ka musi być chora naprawdę... Doktor chciał wczoraj  
wizdieć się z zemną, trzeba poczekać.

Henryka, czując się tego dnia nieco lepiej, wsta-  
ła wcześniej i siedząc w saloniku wraz z Blanką, ma-  
chinalnie przerzucała kartki jakiejś książki.

Weszła pokojowa i zaanonsowała wizytę doktora.

Blanka pragnąc rozmówić się z nim przed wizde-  
niem się jego z matką, wyszła pośpiesznie.

Zobaczywszy Lucyana krzyknęła z radości.

— I pan przybył!—rzekła zarumieniona, podając  
mu rękę.

— Przybyłem wraz z doktorem—odrzekł.

— Dziękuję panu doktorowi. Sprawił mi pan  
wielką przyjemność...

— Jak się ma nasza chora?

Siostry bliźniaczk'

— Trochę lepiej. Odzyskała pamięć, gdyż przed chwilą rozmawiała zenną o Lucyanie.

— Jak przepędziła noc?

— Dość spokojnie, a dziś rano wstała o ósmej.

— Tak wcześnie! W jakim jest usposobieniu?

— Z początku była w dobrym, ale później z mojej winy uniosła się?

— Cóż to było?

— Byłam tak nieostrożną, że wspomniałam o moim ojcu.

— Czy możemy wejść?

— Proszę panów.

— Niech doktor idzie sam—rzekł Lucyan—ja wejdę później, gdyż chciałbym przekonać się jakie wrażenie na chorej sprawi moje przybycie.

Blanka weszła z doktorem do salonu.

— Kochana mamó—rzekła, podchodząc do niej—przybył doktor.

Henryka spojrzała wzrokiem błędnym i nie poznała go.

W tej chwili wszedł Lucyan Kernoöl.

Pani Rolln spostrzegłszy go, zdziwiła się, następnie namarszczyła brwi, jak gdyby szukała czegoś w pamięci.

— Po chwili rozpogodziła twarz i kładąc mu obie dłonie na ramieniu, zawołała.

— Lucyan!—Więc ty w Paryżu? a ja myślałam, żeś za oceanem, wraz z ojcem.

I przez chwilę jaśniejące w jej oczach światło przygasało znowu.

Błada, z drżącymi rękami, opadła na fotel i błędny wzrok utkwiała w przestrzeń.

— To obłąkanie—pomyślał Lucyan—i zdaje się nieuleczalne...

Doktor Germain usiadł obok Henryki i przemó-

wił do niej, ale nie odrzekła mu, nawet nie słyszała słów jego.

Z kolei przemówił Lucyan, lecz również nie otrzymał odpowiedzi.

Obaj lekarze wyszli do sąsiedniego pokoju na naradę,

— Cóż pan myślisz o tem?—zapytał Lucyan.

— Zdaje mi się, że niema nadziei ocalenia, chyba, że pomogłaby kuracja specjalna, mamy tu bowiem wypadek nie anemii mózgowej, lecz przejściowego paraliżu mózgu.

— Więc doktor radzi pomieścić chorą w domu zdrowia?

— Tak.

— Daruje pan doktor, że osmiełę się wyrazić zdanie odmienne. Przewiezienie do szpitala obłąkanych wywołałoby wrazenie, którego powinniśmy unikać wszelkimi środkami. Przed chwilą i mnie zdawało się, że niema nadziei. Ale teraz jestem innego przekonania sądzę, że naradziwszy się znajdziemy sposób złagodzenia rozdrażnienia nerwowego i powstrzymania rozwoju choroby. Tymczasem, jeżeli oddadimy chorą od jej otoczenia i pozbawimy dotychczasowego sposobu życia, zwiększymy jej rozdrażnienie i utracimy jedną z największych szans pomyslniej kuracji, mianowicie obecność Maryi Blanki i jej troskliwość, jakiej chora nie znajdzie w żadnym domu zdrowia. Niech mi doktor wierzy, jeżeli pani Rollin może być uratowana, to tylko z pomocą Maryi Blanki.

— Biedne dziecko nie będzie miało sił wydołać temu zadaniu.

— Znajdzie je w swem przywiązaniu.

— Być może, ale pozostawiając chorą w domu nie usuniemy głównego powodu jej cierpienia.

— Jakiego?

— Alboż nie słyszał pan, co panna Blanka powiedziała, że pani Rollin uniosła się na wzmiankę o jej mężu?

— Prawda—szepnął Lucyan—on jest głównym powodem jej choroby. No, ale można przemówić do jego serca, powiedzieć mu, że stan zdrowia pani Rollin jest groźnym i obecność jego przy niej pogorsza go i czyni bezskutecznymi nasze usiłowania.

— To rzecz bardzo delikatna i trudna...

— Nie odważy się pan powiedzieć mu tego?

— Powiem, ale potrzeba to uczynić bardzo ostrożnie.

Lekarze porozumieli się co do systemu kuracji, dr Germain napisał receptę i udzielił odpowiednich wskazówek Maryi Blance.

Następnie oświadczyli lokajowi, iż pragną zobaczyć się z panem domu.

Gilbert spostrzegłszy wchodzących do gabinetu, udając zdziwienie zawołał:

— Nasz kochany doktor i pan Kernoëll! Nie spodziewałem się wizyty tak przyjemnej! Co się stało, że od tak dawna nie był pan u nas? Ktoś panu źle poradził...

Lucyan zrozumiał, że ostatnie słowa wyrażone były pod adresem ks. d'Areynes.

— Jestem w tym wieku—odrzekł chłodno,—że nie potrzebuję cudzych rad. Dr Germain wezwał mnie na naradę, przybyłem więc tem chętniej, że zawsze byłem przyjmowany w tym domu życzliwie, za co jestem bardzo wdzięcznym. Nie przychodziłem od dość dawna, bo nie miałem czasu... Dziś przybyłem tylko jako lekarz i jako taki prosiłem o widzenie się z panem w celu pomówienia o stanie zdrowia pani Rollin.

— Jestem na rozkazy panów—odrzekł Gilbert, wskazując gościom krzesła.—Niech panowie spoczną

i raczą powiedzieć mi o co chodzi. Wiem, że żona moja jest cierpiącą, ale nie przypuszczałem, by stan jej zdrowia był tak poważnym, że aż wymagał konsultacyi.

— Stan zdrowia pani Rollin—rzekł dr Germain— jest niebezpieczny.

— Cóż to za choroba?

— Anemia mózgu.

— Anemia mózgu!—powtórzył Gilbert z udanem zdziwieniem.—Co pan mówi!

— Bardzo smutną prawdę—wtrącił Lucyan— i jeżeli nie przedsięwziemy wszelkich środków dla usunięcia jej, to może przejść w obłąkanie.

— I panowie jesteście pewni?—pytał z rozpaczą.—Żonie mojej grozi takie niebezpieczeństwo?

— Wszystkie objawy wskazują to.

— Ale panowie macie nadzieję uleczyć ją?

— Mamy, jeżeli pan zechce nam dopomódz.

— Uczynię wszystko co odemnie zależy. Niech panowie powiedzą mi co mam robić, a zastosuję się ściśle.

— Nie obrazi się pan, jeżeli będziemy mówili otwarcie?

— Wysłucham wszystkiego bez gniewu.

— Otóż, ażeby pani Rollin mogła być wyleczoną, należy oszczędzić jej wszelkiego wzruszenia, wszelkiego podrażnienia.

— Zdaje mi się, że to rzecz bardzo łatwa.

— Rzeczywiście, łatwa, ale zależy ona od pana.

— Odemnie?

— Z powodów, o których nie chcę mówić i wskutek często powtarzających się sporów, chora nasza pozbawiona została spokoju domowego. Od tego też czasu datują pierwsze objawy jej cierpienia. Nerwy jej zostały podrażnione, mózg pobudzony wywoływaue-

mi przez pana scenami gwałtownemi. Pan jest sprawcą choroby, na panu też ciąży obowiązek przyjscia nam z pomocą...

— A więc?—zapytał Gilbert.

— Potrzeba, aby obecnością swoją, nie wywoływał pan w chorej wzruszenia. Potrzeba, by pan unikał spotykania się z nią.

— Więc pani Rollin nienawidzi mnie tak dalece, że na mój widok może dostać obłąkania?

— Nie sędzę, by nienawidziła, ale wiadomo mi, że wymienione w jej obecności imię pańskie drażni ją w wysokim stopniu. Stwierdzamy fakt jako lekarze i wskazujemy jego skutki.

— Dobrze—rzekł Gilbert powstając—jakkolwiek zalecenie panów jest dla mnie bardzo przykre, spełnię je jednak.

— Dziękujemy panu—odrzekł Lucyan—i w takim razie ręczymy za pomyślny skutek kuracyi.

Obaj lekarze opuszczali pałac przekonani, że Gilbert dotrzyma danego im słowa.

Tego dnia Gilbert obiadował w domu, a ponieważ Henryka po odejściu lekarzy zasnęła, więc tylko Marya Blanka siadła z ojcem do stołu.

— Widziałem się z doktorem Germain i Lucyanem—rzekł do niej—i dowiedziałem się, że matka twoja jest cierpiącą.

— Rzeczywiście—odrzekła Blanka—jest bardzo chorą.

— Jak ma się w tej chwili?

— Po odejściu lekarzy uspokoiła się nieco i zasnęła.

— Czy zapisali lekarstwo?

— Zapisali i mama wzięła już jedną dozę.

— Czy leży w łóżku?

— Nie, siedzi w fotelu.

— Chciałbym pomówić z nią, gdy się przebudzi.  
Blanka usłyszawszy te słowa przestraszyła się.

— Nie wiem—odrzekła zmieszana—mama chwilami traci pamięć... może nie pozna ojca, a i dr Germain zalecił mi nikogo nie wpuszczać do mamy.

— Nikogo?—powtórzył Gilbert.

— Tak, proszę ojca.

— Nawet mnie?

— Doktor nie wspominał o ojcu...

Gilbert z tych słów wywnioskował, że Blanka nie wiedziała o zastrzeżeniu doktora względem niego.

Reszta obiadu przeszła w milczeniu.

## XXVI.

W pół godziny pokojowa zaanonsowała Henryce wizytę Gilberta.

— Proś—odrzekła pani Rollin.

Wszedł, podał rękę i z udną troskliwością zapytał o zdrowie.

— Jestem chorą—odrzekła.—Czuję jak z każdym dniem coraz więcej opuszczają mnie siły.

— Doktor Germain zapewniał mnie jednak, że niema nic niebezpiecznego i że twój powrót do zdrowia jest tylko kwestyą czasu.

— Więc widziałeś się z doktorem?

— Widziałem się i właśnie wskutek rozmowy z nim przybyłem do ciebie. Boję się tylko, czy wizyta moja nie nie sprawia ci przykrości.

Henryka nic nie odrzekła.

— Jeżeli nie utrudzi cię to, to pragnąłbym parę chwil rozmowy sam na sam—mówił dalej Gilbert.

— Sam na sam?

— Tak.

— Kochana Blanko, zostaw nas samych na chwilę.

Dziewczyna wyszła do sąsiedniego pokoju. ale powodowana ciekawością niezupełnie przymknęła drzwi za sobą zasłonięte opuszczoną poryerą.

— Moja droga Henryko—uprzejmym głosem rozpoczął Gilbert po wyjściu Blanki—pragnąłbym pomóc z tobą o rzeczy ważnej. Do rozmowy tej upoważnił mnie dr Germain.

— Słucham cię.

— Chodzi o Maryę Blankę...

— Moją córkę!

— Tak i o ciebie. Chociaż stan twego zdrowia nie jest tak niebezpiecznym, by budził obawy, doktor jednak oświadczył mi, iż należy wszystko przewidywać i zawczasu pomyśleć o przyszłości Blanki.

— Co przez to rozumiesz?—zapytała zaniepokojona Henryka.

— Przypuśćmy na chwilę, że nastąpi niespodziewana katastrofa i że żałoba nawiedzi nasz dom...

— Przypuśćmy, że umrę.—wszak to chciałeś powiedzieć?

— Alboż mówiłem o śmierci?

— Nie powiedziałeś tego wyrazu, lecz myślałeś o nim, i słusznie. Wiem, że pożyję niedługo... Och! nie zaprzeczaj... Znam mój stan. Otóż w obec przewidywanego przez doktora Germain i ciebie blizkiego zgonu mego, co myślisz?

— Co myślę? Powiedziałem przed chwilą. Myślę, iż obowiązkiem jest naszym zapewnić przyszłość Blance.

— W jaki sposób?

— Wydając ja za męża.

Henryka drgnęła.

— Gilbert nie dając jej czasu na odpowiedź mówił dalej:



— Czyż nie pragnęłabyś widzieć jej pod rozumną i troskliwą opieką męża? Pewność że dziecko, nasze, cokolwiek nastąpi, nie pozostanie samotne, lecz będzie się przez życie wsparte na ramieniu człowieka uczciwego, czyś nie ubezpieczy spokoju ostatnich lat twoich, które, oby Bóg dał były jak najdłuższe?

— Rzeczywiście—odrzekła Henryka głosem nieco drżącym—masz słusność... Blanka jest jeszcze młoda, ale rozsądek ma dojrzały... Będzie dobrą matką rodziny.—Myślałam już o tem...

— Ach!—zawołał Gilbert zdziwiony... Myślałaś już o tem?

— Bez wątpienia, lecz nie chcąc rozstać się z nią, nie spieszyłam się z wydaniem jej za męża.

— Czy uważasz, że gdyby Blanka została sierotą, to nie znalazłaby we mnie gorliwego opiekuna?

— Chyba rozumiesz...

— Rzeczywiście, rozumiem, gdyż znam siebie i oceniam sprawiedliwie. Mam wady nawet wielkie, ale pochodzą one nie ze złego serca, a z charakteru słabego, niezdecydowanego... Bywają wszakże chwile, w których człowiek zaczyna wnikać w siebie samego i żałować przeszłości. Taka właśnie chwila nadeszła dla mnie.

— Proszę cię, nie mówmy o tem—przerwała Henryka.

— W takim razie kochana Henryko, zgadzasz się zemną, że należy wydać Blankę za męża?

— Powtarzam ci, że od czasu mojej choroby często myślałam o tem.

— Więc mogę wymienić nazwisko, człowieka którego wybrałam dla niej za męża?

Henryka spojrziała na niego z przestradchem.

— Ach! więc i ty szukałaś dla niej męża?

— Szukałam.

— I znalazłeś? Jak się nazywa?

— Człowiek bardzo zacny i szanowany, ród sta-  
:ożytny, nazwisko nieskalane...

— Czy znam go?

— Znasz i poważasz.

— Któż to taki?

— Vice-hrabia Jerzy de Grancey.

Dreszcz przebiegł po całym ciele Henryki.

— Vice-hrabia Jerzy de Grancy!—zawołała—Za-  
nic w świecie!

Gilbert zbladł.

— I dla czegoż to?—zapytał zuchwale, nagle  
zmieniając postawę.

— Dlaczego?—odrzekła Henryka dumnie podno-  
sząc głowę.—Niechcę go.

— To nie racją, ale z jakich powodów? Proszę  
odmowę swą umotywować.

Nie uważam tego za potrzebne.

— Mam prawo wymagać...

— Wymagać? Proszę pana wyjść ztąd... Nie je-  
stem dość silną, by prowadzić z panem sprzeczkę zre-  
sztą bezcelową, gdyż nic w świecie nie zdoła zmienić  
mego postanowienia. Pozwól mi pan umrzeć spokojnie.  
Jeżeli córka moja wyjdzie zamaż za mego życia, to za-  
ślubi człowieka według mego wyboru, jeżeli zaś umrę  
przed jej zamażpójściem, to ostatnią wolą moją będzie,  
by zaślubiła człowieka wybranego przezemnie... i wiem,  
że wolę tę spełni.

— Zapominasz, że jestem ojcem Maryi Blanki.

— A ty zapominasz, że jestem jej matką.

— Widzę, że nie rozumiesz dobrze moich praw  
i za wielkie znaczenie przywiązujesz do swoich.

— Jeszcze raz proszę pana, pozwól mi umrzeć  
spokojnie—rzekła Henryka tonem gorączkowej niecier-  
pliwości.—Powiedziałam panu, że za nic w świecie

przyjaciel pański, vice-hrabia de Grancey, nie zostanie mężem mej córki... Dlaczego zmuszasz mnie pan powtarzać to?

— Strzeż się pani!

— Czego?

— Gdyż można przypuszczać, że powzięłaś to postanowienie w paroksyzmie obłąkania.

— Omyliłby się kto by tak przypuszczał. Jestem przy zdrowych zmysłach. Czasami umysł mój słabnie, ale tej chwili jest zupełnie jasnym, a dowodem tego jest mój opór przeciwko wydaniu Blanki za pana de Grancey.

— Zapytywałem dlaczego i żądam odpowiedzi!

— Skoro pan doniagasz się jej, więc dobrze. Ile pan Grancey zobowiązał się zapłacić panu za przyzwolenie na to małżeństwo, które odda w wasze ręce dochody Maryi Blanki?

Pod wrażeniem tych słów, które podziały na niego jak policzek, Gilbert zmieszał się na chwilę, przypuszczał bowiem, że Henryka dowiedziała się jakimś cudem o jego umowie z byłym kryminalistą numejskim, ale prędko odzyskał zinną krew i powie-  
dział sobie, że jestto rzeczą niemożliwą.

Wtedy ogarnął go gniew wściekły.

Stanął w postawie groźnej i chciał odpowiedzieć, lecz ona nie dając mu czasu, mówiła dalej:

— Czyż sądzisz, że nie znam cię dość, bym mogła odgadywać myśli twoje, że ja, twoja ofiara od lat dwudziestu, z jednego słowa twego nie domyślę się przewrotnych zamiarów twoich? Skoroś tylko usiadł przy mnie z kłamana troskliwością o moje zdrowie— i słodkimi słowami na ustach, zrozumiałam odrazu, że pod tą maską hypokryty, ukrywasz jakiś zamysł niegodziwy! I nie omyliłam się! Jeży Grancey mężem mojej

córkil... I ty myślałeś, że ja się zgodzę na haniebny układ, zawarty z tym człowiekiem? Łatwo zrozumieć cel pański, gdyż sam rzuca się w oczy.

Blanka jest jeszcze dzieckiem, więc łatwo da się oszukać. Prawda? Vice-hrabia de Grancay, pański przyjaciel i towarzysz rozpusty, zarówno jak pan potrzebuje pieniędzy, jak pan ma sumienie elastyczne, gdyż inaczej nie byłby twoim przyjacielem.

Blanka wniesie mu w posagu dochody z majątku mego stryja, któremi on podzieli się z tobą... I roztrwonicie je do wspólki, jak trwonileś, gdy należały do mnie, i zamęczysz pan swą córkę, jak zamęczyłeś mnie!

Henryka mówiąc to unosiła się coraz więcej.

Zadyszana, z oczyma tryskającymi pogardą, powoli podchodziła do niego i zbliżywszy się tak, że prawie go dotykała, cisnęła mu w oczy słowa:

— Ach! mój kuzyn, ksiądz d'Areynes, miał słuszość, mówiąc, że jesteś nikczemnikiem!

Gilbert, rozwścieczony, pochwycił jej rękę i zawołał głosem syczącym:

— Ksiądz d'Areynes jest hipokrytą, którego wypędziłem z mego domu!... Mimo to duch jego panuje tutaj... ale dam sobie z nim rady... Jestem twoim mężem a więc i panem. Odtąd będę postępował z tobą jako pan i zmuszę cię do podania się mej woli!...

— Woli nikczemnika!—odrzekła Henryka, wyrwijając rękę.—Nigdy się jej nie poddam!

— Milcz!

— Nie będę milczała! zdemaskuję cię i głośno by usłyszeli mnie wszyscy, będę mówiła, że jesteś lotrem nikczemnikiem!...

Gilbert nie posiadał się z wściekłości.

— Jesteś warwatka!—krzyknął, podnosząc rękę—

Waryatów należy biciem zmuszać do posłuszeństwa.  
I rzekłszy to uderzył ją w twarz.

XXVII.

— Henryka wydała jęk bolesny, następnie wybuchnęła śmiechem konwulsyjnym i uderzywszy w powietrzu rękami nieprzytomna padła na posadzkę.

W tej chwili drzwi sąsiedniego pokoja otworzyły się i Blanka, blada jak śmierć, z twarzą bólem skurczoną stanęła na progu.

Gilbert spostrzegłszy ją, uklęknął obok bezwładnie leżącego ciała swej żony, jak gdyby w zamiarze przyścia jej z pomocą.

— Boże mój!—co się stało mamie?—zawołała Blanka, podbiegając ku niej.

Gilbert nsunął ją ręką.

— Paroksyzm—odrzekł—przywołaj pokojową i idź do swego pokoju. Odtąd ja będę czuwał nad twoją matką.

Wymówił te słowa tonem tak rozkazującym, że Blanka nie miała odwagi oprzeć się jego woli.

Blanka słyszała tylko ostatnie słowa matki, a chociaż z ożywionej rozmowy domyślała się, że między rodzicami zaszła jakaś sprzeczka, ale pojedynczych jej słów przez przymknięte drzwi i grubą portyere usłyszeć nie mogła.

Zabroniono jej odtąd czuwania nad matką i rozkazano siedzieć w swoim pokoju.

Pokojowa z pomocą Gilberta zaniósła Henrykę do jej sypialni, rozebrała i ułożyła w łóżku.

Poczem Gilbert odprawił pokojową i pozostał sam przy zemdłonej Henryce.

Tegoż dnia rano Serwacy Duplat miał z mero-  
stwa jedenastego okręgu otrzymać wyciąg protokołu,  
zamówiony dnia poprzedniego, ale gdy przybył o ozna-  
czonej godzinie, doznał zawodu.

Akt nie był jeszcze gotów i kazano mu przyjść  
o czwartej po południu.

Gdy wreszcie otrzymał go, udał się na kolej że-  
lazną i około jedenastej w nocy stanął w Blois.

Zatrzymał się w hotelu.

Duplat ubrany porządnie, chociaż nie wyglądał  
na getlemana, nie miał już przecież powierzchowności  
bandyty.

Nikt nie domyśliłby się w nim byłego kryminali-  
sty z Numej.

Na drugi dzień wstał wczesnie, zjadł śniadanie  
i udał się do kancelaryi dyrektora zakładu dla obłą-  
kanych.

Przybyłem z Paryża prosić paaa dyrektora o pe-  
wne objaśnienie—rzekł, zaanonsowawszy pierwszej swe  
nazwisko.

Niech pan spocznie—odrzekł naczelnik zakładu,  
wskazując mu krzesło.—O co chodzi?

— O pewną infirmerkę.

— Służącą w tutejszym zakładzie?

— Tak.

— Cóż pan chce wiedzieć?

— Czy przebywa tutaj dotychczas

— Jak się nazywa?

— Róża.

— To dopiero imię.

— Osoba o której mówię, nie ma nazwiska. Jest  
ona dzieckiem znalezionem i oddanem na wychowanie  
radzie dobroczynności publicznej w r. 1871.

Wiem o kim pan mówi. Ale czyż nie powiadomio-  
no pana w Paryżu, że dziewczyny tej już niema?

— Powiedziano mi, że prawdopodobnie nie żyje ale nie dano mi na to najmniejszego dowodu.

— Po przeprowadzeniu śledztwa spisano protokół o zniknięciu jej, ale bez wyrażenia daty zgonu, [gdyż nie udało się odszukać ciała.

W takim razie, czy nieprawdopodobniejszy będzie wniosek, że dziewczyna ta uciekła?

— Róża po wyjściu z zapalenia mózgu stała się nadzwyczajnie smutną... wszyscy zauważyli w niej tę zmianę. Przypuszczam więc, że pod wpływem malancholii utopiła się.

— W takim razie wody Loary wyrzuciłyby jej ciało na brzeg.

— Nie, gdyż uniesiona prądem, mogła zatrzymać się w jakimś zagłębieniu, których jest wiele u wybrzeży.

— Zdaje mi się jednak, że zapośpiesznie wyprawdzono wniosek o samobójstwie.

— Nie... widocznem było, że dziewczynie tej dokuczyło życie. W oczach niknęła ze smutku...

— Może była zakochana?

— Wcale nie... Powodem jej smutku nie była miłość, lecz przyjaźń zerwana.

— Przyjaźń?

— Tak. Róża całą duszą przywiązała się do pewnej biednej kobiety, obłąkanej, przebywającej w przytułku od siedmnastu lat i której wyleczenie uważane było za niemożliwe. Kobieta ta, raniona w głowę pociskiem podczas ostatnich dni komuny, była ocalona przez pewnego księdza.

— Przez księdza? — powtórzył Duplat przestraszony.

— Tak, przez księdza d'Areynes, obecnie jałmużnika szpitala Grande Roquette, w którym komuniści zamordowali arcybiskupa paryzkiego. Kilka miesięcy temu Róża po ukończeniu szkoły profesjonalnej, przy-

słana nam na infirmerkę przez radę dobroczynności publicznej, przeznaczoną została do obsługi sali, w której znajdowała się owa obłąkana, o której mówiłem, Janina Rivat.

— Janina Rivat?—zawołał Duplat zapominając się.

— Janina Rivat—odrzekł dyrektor zdziwiony.—

Czy pan ją zna?

— Znałem jej męża, zabitego w bitwie pod Montretout—odrzekł Duplat, odzyskując zimną krew—lecz nie wiedziałem co się z nią stało:

— Więc ccóż Róża?

— Przywiązała się bardzo do Janiny Rivat i zdaje się udzieliła nowemu lekarzowi naczelnemu wskazówek, na podstawie których dokonał on operacji, bardzo śmiałej i niebezpiecznej, która jednak udała się. Chora odzyskała zmysły, a ponieważ jej powrót do zdrowia wymagał wielkiej troskliwości, więc powierzono ją opiece Róży, która dała wtedy dowody takiego poświęcenia, iż można powiedzieć, że najwięcej przyczyniła się do jej wyzdrowienia.

Janina Rivat myślała tylko o tem, aby jak najprędzej opuścić szpital i rozpocząć poszukiwania swych dzieci, dwóch dziewczynek bliźniaczek, porwanych przez kogoś w kilka dni po urodzeniu.

Postanowienie wyjazdu sprawiło na Róży wrażenie przynębiające. Dziewczyna strasznie odczuła ostatnie chwile rozstania, zemdląła a po odzyskaniu przytomności zapadła na zapalenie mózgu.

Po powrocie do zdrowia stała się jeszcze więcej ponurą i smutną, nie mogła pocieszyć się po stracie ukochanej kobiety, którą uważała za swą matkę. Czując się nieszczęśliwą, uciekła z przytułku i w końcu pod wpływem wywołanego rozpaczą obłędu, odebrała sobie życie...

— Ma pan słusność—odrzekł Duplat—według



tego co pan opowiada, samobójstwo jest bardzo prawdopodobnem—a w duszy pomyślał:—Mój Boże, jak ci ludzie są naiwni.—Do głowy im nie przyjdzie, że Róża zamiast topić się, mogła uciec do tej którą pokochała.

— Nietylko prawdopodobne rzekł dyrektor—ale powiedz pan pewne.

— Tak jest... Szkoda, że nie mogę dostarczyć rodzinie aktu zgonu tego dziecka... Zawsze pozostanie wątpliwość a ta jest gorszą od najstraszniejszej pewności.

— I ja jestem tego zdania, lecz nic na to poradzić nie mogę.

Duplat podziękował dyrektorowi i opuścił przytułek.

— Nie ulega wątpliwosci—myślał wracając do hotelu, że Róża jest córką Janiny Rivat i uciekła do niej. Róża ta jest siostrą Maryi Blanki, którą pani Rollinn uważa za swą córkę... Ksiądz jest ich protektorem i to on ocalił Janinę Rivat, on widział jak porywałem jej dzieci. Gdzie on u dyabła znajdował się wtedy, gdyż mógł ją wynieść dopiero po zniknięciu dzieci? Niebezpieczny to człowiek! Wczas dowiedziałem się o tem..

## XXVII.

Wywołana umyślnie przez Gilberta gwałtowna scena z żoną, doprowadziła do pożądanego przez niego rezultatu.

Henryka po wyjściu z zemdlenia, była ostatecznie obłąkana.

Obłąd jej objawiał się w bredzeniu i halucynacjach, ale wypowiedane przez nią bez myśli słowa nie zawierały w sobie najmniejszej aluzji do sceny z mężem.

Okoliczność ta uspokoiła Gilberta.

Siostry bliźniaczki.

— Jest obłąkana—myślał uradowany—zupełnie obłąkana. Odtąd wola jej nic nie będzie znaczyła... jestem panem położenia.

Udał się do swego gabinetu i wyprawił do Granceya depeszę wzywającą go do natychmiastowego przybycia.

Gdy ten bezzwłocznie pośpieszył na wezwani, Gilbert przywitał go słowami:

— Położenie uległo zmianie.

— W czym?

— Żona moja jest obłąkana.

— Obłąkanie można rozumieć bardzo rozmaicie.

— Bicz słowo to w znaczeniu najobszerniejszem.

— Niema nadziei wyleczenia?

— Zdaje mi się, że niema.

— Cóż mówią lekarze?

— Przewidywali katastrofę, więc nie zdziwi ich ona. Zresztą jeszcze nie wiedzą o niej, gdyż nastąpiła po ich wizycie rannej. Zalecili unikać wszelkiego wzruszenia,

— A pan wywołałeś je...

— Tak.

— Z powodu?

— Z powodu pańskiego.

— Co pan mówił—zawołał Grancey, udając zdziwienie.

— Tak jest. Oświadczyłem mej żonie, że wybrałem ciebie na zięcia... Niepotrzeba było więcej...

— Bardzo to dla mnie pochlebne—śmiejąc się odrzekł ex-kryminalista.

— Scena była straszna, ale wydała skutek pomyslny. Lecz przystąpmy do rzeczy. Co mam teraz zrobić?

— Wszak nie masz zamiaru pozostawić pani Rollin w domu?

— Naturalnie; odeszł do domu zdrowia.

— Łatwo możesz pan to uczynić po uzyskaniu świadectwa lekarskiego.

— Będę je miał jutro. Czy jesteś biegły wprawie?

— Pochlebiam sobie.

— Więc powiedz mi, jakie teraz będą prawa moje w tym domu?

— Będziesz prawnym opiekunem swej córki, a tem samem możesz rozporządzać jej majątkiem. Skoro tylko stan niepoczytalności pani Rolliu zostanie prawnie uznany, Będziesz miał wolne pole działania. Żona twoja wyzutą zostaje ze wszelkich praw i chociaż pozostaje przy życiu, będzie uważana za zmarłą. Gdy córka twoja dojdzie do pełnoletności, będziesz obowiązany zdać jej rachunek z zarządu majątkiem, lub jej mężowi, jeżeli wyjdzie zamaż. Oto wszystko.

— Więc mam prawo wolę mą narzucić córce.

— Do pewnego stopnia. Jeżeli nie zechce zastosować się do twej woli, może zarządać zwołania rady familijnej.

— Do dyabła! Czy jeden członek rodziny może zażądać ustnowienia rady familijnej?

— Naturalnie. Czy boisz się przeszkody ze strony jakiego krewnego?

— Boję się księdza d'Areynes, mego nieprzyjaciela.

— Czy wiadomy mu stan pani Rollin?

— Jeszcze nie wie, ale jutro będzie już wiedział.

— Jeżeli korzystając z swych praw, zechce zwołać radę familijną, to będzie głupi interes.

— W takim razie przewadliśmy.

— Rozumie się, gdyż wybierze swoje kreatury i będzie miał za sobą większość głosów... Należy uprzedzić go.

— Jakim sposobem?

— Pan powinienś zażądać utworzenia rady familijnej... Wszak musisz pan mieć wierzycieli...

— Niestety!—odrzekł Gilbert z westchnieniem.

— Bardzo dobrze! wierzyciele, te drapieżne zwierzęta, niczem nie nasycone, czasami przydadzą się na coś. Musisz ich mieć liczbę sporą?

— Za wielką nawet!...

— Niema złego, któreby nie wyszło na dobre! wysłuchaj mnie uważnie!... Jeżeli dozwolisz księdzu d'Areynes utworzyć radę familijną, do czego ma prawo niezaprzeczone, to powtarzam wybierze osoby dla niego dogodne i posiadając większość, postanowi co zechce. Jeżeli zaś uprzedzisz go, będziesz mógł wybrać kupców, twoich wierzycieli, którzy wiedząc, że córka twa posiada majątek, będą się spodziewali, że pieniędzmi jej popłacisz swe diugi i w tej nadziei będą ci posłuszni we wszystkim... Wybieraj takich, którym jesteś winien najwięcej. Ksiądz d'Areynes, jeżeli zechce, będzie członkiem rady, ale nic nie potrafi zrobić, gdyż oędzie miał większość przeciwko sobie. Co myślisz o moim rozumowaniu?

— Jest bez zarzutu. Pozostaje jeszcze kwestya wielce drażliwa.

— Jaka?

— Notaryusz rodziny i zarazem administrator majątku zmarłego hrabiego, nie zaszczyca mnie swą sympatją i będzie działał przeciwko mnie.

— Cóż cię to obchodzi? będzie musiał poddać się uchwałom rady familijnej. Uprzedź go zresztą, a jeżeli zechce robić jakie szykany, powiedz mu tylko, iż wiesz o pewnym punkcie testamentu hrabiego... a umilknie. Nie lękaj się niczego, jesteśmy panami położenia. I nie zwlekaj...

— Bądź o to spokojnym.

Rozstali się.

Grancey odjechał do siebie, Gilbert zaś powrócił do pokoju żony.

Henryka znajdowała się w tym samym stanie: od czasu do czasu wybuchala gwałtownie, poczem zapadała w odretwienie.

Gilbert, uważając, że Blanka może zasiąść przy matce, kazał ją przywołać.

— Gdy nadbiegła, ujął jej rękę i głosem złamanym, przemówił:

— Lękam się moje drogie dziecko, iż biedna matka twoja jest straconą... Doktor Germain przewidział to i nie robił mi nawet nadziei wyleczenia... Paroksyzm, który objawił się nagle, bez żadnego powodu, rokuje jak najfatalniejsze zakończenie.

I dla skuteczniejszego oszukania swej córki otarł łzy z oczu.

— Patrz—mówił dalej—ciało żyje, ale jasność umysłu znikła...—Jest zmarłą dla nas... Ty jedna pozostałaś mi, droga Blanko!... Jak ja cię będę kochał!... Twoje szczęście będzie odtąd celem mego życia... Zastąpię ci matkę.

Dla lepszego odegrania komedyi miłości ojcowskiej, przyciągnął ją ku sobie, przycisnął do serca łącząc łkania swoje z jej płaczem.

Gdy uwolnił ją z objęć, Blanka podeszła do matki, ujęła jej ręce i wyjąkała:

— Mamo... mammo moja droga.

Obląkana nagłym ruchem zerwała się z siedzenia

— Dla czego nazywasz mnie matką?—zawołała głosem chrapliwym. Ty nie jesteś moją córką... Idź sobie... nie znam cię!..

I gwałtownie odepchnęła Blankę, która utraciwszy równowagę, osunęła się na kolana.

— Widzisz—rzekł Gilbert podnosząc ją i odprowadzając od łóżka, jak gdyby dla zasłonięcia od gwał-

towności chorej.—Obląkanie niebezpieczne!—Może cię uderzyć. Niepowinnaś pozostawać tu dłużej... Wracaj do swego pokoju...

— Nie, ojciec—rzekła Blanka zalana łzami—pozwól mi pozostać przy mamie... ja uspokoję ją... Ja się nie lękam... Pozwól mi czuwać nad nią... kto wie czy moja troskliwość nie wróci jej zmysłów.

W tej chwili paroksyzm wznowił się.

Henryka krzyknęła przeraźliwie, jakby ją kto zarzynał i zaczęła rwać wiszące u łóżka draperye.

— Widzisz rzekł—popełniłbym występki, pozostawiając cię przy niej... Chodź moje dziecko... Przyślę tu pokojową dla czuwania nad nią a ty idź do siebie.

Blanka z rozdartem sercem odeszła do swego pokoju.

Gilbert przywołał pokojową i zabronił jej wpuszczać Blankę, sam bowiem zamierzał wyjechać na miasto dla spełnienia zaleceń Granceya.

Gdy wrócił do domu w godzinie obiadowej miał już zapewnionych posłusznych jego woli członków przyszłej rady familijnej.

Następnego dnia dr Germain i Lucyan przybyli do pałacu o godzinie dziesiątej rano.

Gilbert ze zbladłym obliczem wyszedł na ich spotkanie.

Lekarz, spostrzegłszy go, zapytał zaniepokojony:

— Czy stało się coś nieprzewidzianego?

— Tak jest, doktorze...

— Paroksyzm?

— Straszny. Jest zupełnie obląkaną.

Lucyan zbladł.

Gilbert zaprowadził ich do pokoju chorej.

Pani Rollin, siedząca z otoczonemi ciemną obwódka oczyma błędnymi, z drżącemi ustami i konwulsyjnie zacisniętymi palcami, usłyszawszy szmer kroków,

odwróciła ku podchodzącym głowę i wybuchła przerażliwym śmiechem.

Następnie, skoro Lucyan zbliżył się do łóżka, zawała się z posłania i groźnie wyciągnawszy rękę zawołała:

— Jesteś nikczemny! potworze bez serca i duszy! To ty porwałeś moją córkę lecz musisz oddać ją! Wróć mi ją natychmiast bo cię zabiję!

— Strzeż się pan!—zawołał dr Germain, widząc, że obłąkana chce rzucić się na niego.?

## XXVIII.

Lucyan, nie zważając na to ostrzeżenie, podszedł do Henryki, mocno ujął jej ręce i utkwivszy w jej oczy wzrok, zawołał głosem rozkazującym:

— Cicho! Patrz na mnie! Rozkazuję ci!

Obłąkana, zamiast uleść jego woli, rzuciła się w tył i wrzeszcząc przeraźliwie, zaczęła się wydierać.

— Zgubiona...—szepnęła Lucyan z rozpaczą.—  
Zgubiona...

Doktor Germain namarzczył brwi i podszedł do Gilberta.

— Poprzedni paroksyzm—odzwał się—o którym pan mówił, musiał być wywołanym...

— Nie, doktorze.

— To być nie może.

— A jednak tak jest... Objawił się bez powodu.

— Nie wierzę...

— Więc cóż pan przypuszcza?

— Wywołany był jakim gwałtownem wzruszeniem... Wszak był pan wtedy przy chorej?

— Byłem.

— A przecież prosiliśmy, byś pan nie widywał się z chorą wcale.

— Wiem o tem, ale szczególne względy nie pozwoliły mi zastosować się do polecenia panów.

— Żadne względy nie powinny były upoważnić pana do tego, gdyż wiedział pan, że stan zdrowia pani Rollin wymagał absolutnego spokoju. Cóż pan miał tak pilnego do zakomunikowania jej?

— Chciałem pomówić z nią o przyszłości naszej córki,

— O przyszłości córki!—powtórzył doktor—no, wybrał pan do tego szczególną chwilę!...

— Miałem prawo tak postąpić—wyniosłe odrzekł Gilbert.—Są kwestye, o których nie myślę z panem rozprawiać. Lekarz nie jest spowiednikiem.

— Nie żądam od pana spowiedzi, zresztą nie potrzebuję jej, aby być pewnym, że mocno obciążylesz pan swe sumienie.

— Sumienie moje nie mi nie wyrzuca... zresztą nie oto chodzi... Co panowie myślicie przedsięwziąć teraz.

Doktor zwrócił się do Lucyana, z trudnością powstrzymującego gniew.

— Kochany kolego—rzekł.—zajmijmy się lepiej chorą... Pozostawmy innym odpowiedzialność moralną... będzie ona straszną... Kto sieje wiatr, zbiera burze.—W domu tym przepisy nasze są lekceważone... uszanują je w innym, gdzie nikt nie będzie miał interesu w stawianiu przeszkód, uniemożliwiających wyleczenie chorej. Żądam, aby pani Rollin dziś jeszcze pomieszczoną została w domu zdrowia.

— Zgadzam się z pańskim zdaniem—odrzekł Lucyan.

— I ja również—oświadczył Gilbert.

— Byłem tego pewnym—z goryczą odrzekł stary lekarz.—Zaraz napiszemy świadectwo, które następnie należy zalegalizować i naznaczymy dom zdrowia do-



ktora Mercier w Auteuil. Jest to zakład pierwszorzę-  
dny, pozostający pod kierunkiem znakomitego specyja-  
listy... Przyjedziemy po chorą o godzinie czwartej.—  
Obecność pańska będzie potrzebna.

—Będę czekał na panów—odrzekł Gilbert.

Lekarze zredagowali świadectwo i opuścili pałac.

Na ulicy dr Germain zawołał:

— Ależ ten Gilbert Rollin to lotr!

— Nikczemnik!—odrzekł Lucyan Kernoël przez  
zęby.—Biedna Blanko!

— Będziemy czuwać nad nią...

— Cóż my możemy zrobić? Ten hultaj ma za so-  
bą prawo.

— W każdym razie należy dowiadywać się..

Pożegnaj pana... Zobaczymy się o czwartej...

Stary lekarz siadł do oczekującego nań powozu  
i odjechał, Lucyan zaś udał się do księdza d'Areynes.

\* \* \*

Gilbert po zalegalizowaniu świadectwa lekarskie-  
go pojechał wprost do notaryusza rodziny d'Areynes.

— Przybyłem zakomunikować panu wiadomość  
bardzo smutną.—rzekł, pokazując mu akt, napisany na  
papierze stemplowym.

Notaryusz wziął papier, przeczytał go i zbladł.

— Obląkana!—zawołał.—Achl biedna kobieta!

A po chwili, odzyskawszy spokój, rzekł:

— Radbym wiedzieć, czy przybył pan tylko dla  
zakomunikowania mi tej wiadomości?

— Nie, mam interes inny... Żona moja, jako oblą-  
kana, prawnie uważaną jest za zmarłą i sukcesorką jej  
zostaje moja córka.

— To jeszcze niewiadomo.

— Tak pan sądzi?

Siostry bliźniaczki.

— Naturalnie; pani Rollin może odzyskać zmysły.

— Przypuśćmy! niemniej przeto jestem prawnym opiekunem mej córki, a tem samem administratorem dochodów pani Rollin aż do jej wyzdrowienia lub do pełnoletności Blanki.

— Kwestyę te rozstrzygnie rada familijna.

— I ja tak myślę, dla tego też przybyłem uprzedzić pana, że po wyjściu od niego udaję się wprost do sędziego pokoju, któremu złożę listę bardzo szanownych osób, członków rady i poproszę o zwołanie jej.

— Będziesz pan żądał zwołania rady familijnej?— zapytał notaryusz?

— Cóż pana tak dziwi to? Chodzi mi o to, by prawa moje zostały określone i szanowane.

— Prawa te jasno są wyrażone w testamencie hr. d'Areynes.

— Czy jest pan tego pewnym?—ironicznie zapytał Gilbert.

— Ależ...

— Jesteś pan prawnikiem zanadto biegłym— przerwał Rollin—byś nie wiedział o pewnym punkcie testamentu, pociągającym za sobą nieważność jego.

Notaryusz nie chcąc przyznać słuszności Gilberto-odrzekł:

— Nie wiem o jakiej nieważności pan mówi.

— Przypuśćmy—odrzekł Gilbert śmiejąc się—że nie jesteś pan dość biegłym prawnikiem; wszakże nie będę wszczynał z panem dyskusyi w kwestyi, która rostrzygniętą będzie na drodze innej. Powiem tylko, że choroba pani Rollin pociągnie za sobą wydatki wielkie. Czy mogę wiedzieć, jaką sumę może mi pan teraz wręczyć?

— Żadnej—odrzekł notaryusz,—panu żadnej! rachunek zdam radzie familijnej.

— Ona sama zażąda go od pana—brutalnie rzekł Gilbert.

— Jest gotów. Nie mam nic więcej do powiedzenia panu...

— I ja również. Żegnam...

Po wyjściu od notaryusza Rollin udał się do sędziego pokoju, załatwił interes w sprawie zwołania rady familijnej i następnie powrócił na ulicę Vaugirard.

Notaryusz nie zdołał jeszcze otrząsnąć się z oburzenia, wywołanego w nim bezczelnością Gilberta, gdy służący powiadomił go przybyciem księdza d'Areynes.

— Czy wie ksiądz co się stało?—zapytał gościa

— Wiem. Przed chwilą widziałem się z Lucyanem Kernoëlem. Straszna rzecz... Pryyszedłem poradzić się pana, co robić dla zabezpieczenia interesów mojej kuzynki i jej córki.

— P. Rollin wyszedł odemnie przed pięcioma minutami.

— Po cóż on przychodził?

— Ależ to lotr! wszystko przewidział! Odemnie udał się wprost do sędziego pokoju z gotową listą członków rady familijnej, którą chce zwołać w interesie swej córki.

— Nie chodzi tu o córkę, lecz o matkę—odrzekł ksiądz d'Areynes.

— Matka jest obłąkaną.

— Ale czy nie mogłaby korzystać z swych praw do czasu wydania decyzji przez sąd i czy majątkiem nie mógłby zarządzać kurator mianowany przez trybunał?

— Zapewne, ale kurator nie przeszkodzi Rollinowi wydać córkę zamaż, gdyż z chwilą tą, Marya Blanka stanie się użytkowniczką na miejsce swej matki.

— Nie zgodzimy się na to małżeństwo!

— Proszę będzcie opór księdza, zwłaszcza, jeżeli P. Rollin mając poparcie posłusznej sobie rady familijnej, zechce zwać testament.

Co pan mówisz!

— Tak jest! P. Rollin wie, że testament zawiera w sobie pewien punkt słaby i zagroził mi procesem.

— Przegra go!

— Przeciwnie, wygra!

— Więc nic nie możemy poradzić?

— Nic.

## XXIX.

Po chwili milczenia ksiądz zapytał.

— No, ale jako krewny, mam prawo być członkiem rady familijnej?

— Naturalnie, lecz nie radzę księdzu korzystać z niego.

— Dlaczego?

— Gdyż mając większość przeciwko sobie, nie ksiądz nie zrobi. Niech ksiądz czuwa zdala nad panną Blanką i nie miesza się do konszachtów jej ojca.

— Henryka wpadła w obłąkanie tylko z jego winy.

— A to jakim sposobem?

— Umyslnie wywołał scenę gwałtowną z żoną, wiedząc, że mocniejsze wzruszenie może doprowadzić ją do utraty zmysłów. Widoczne jest działanie z planem... Ach co za nikczemnik! Zabił hrabiego d'Areynes, pozbawił rozumu Henrykę! Popelnia zbrodnię za zbrodnią i drwi sobie z prawa! Ale Bóg powstrzyma go kiedyś!...

Ksiądz był wzburzony, gniew tryskał z jego oczu.

Niech ksiądz uspokoi się—mitygował notaryusz.

— Jak mam się uspokoić widząc, że Marya Blanka pozostaje pod władzą tego człowieka, który chce poświęcić ją dla własnego interesu. Powiedz mi pan, co ja mam robić? Poruszę wszystkiesosunki moje, użyję całego wpływu mego.

— Ani wpływy pańskie, ani sposunki nic nie pomogą przeciwko prawu... Gilbert Rollin jest ojcem i opiekunem prawnym i dopóki sądownie nie będzie uznany za *niegodnego*, dopóty prawa jego będą miały moc niewzruszoną.

— I to jest prawo! To niesprawiedliwość!

— Często tak bywał *Dura lex, sed lex!* Należy czekać i czuwać.

— A przedewszystkiem prosić o pomoc Boga, skoro ludzie są bezsilnymi wobec takiej niegodziwości!

Opuszczamy kancelaryę notaryusza i prosimy czytelników udać się z nami do pałacu przy ulicy Vaugirard.

Punkt o godzinie czwartej, gdy już zapadał zmrok na dziezziniec pałacowy wjechała karetą, z której wysiedli dr Germain i Lucyan.

Lekarze udali się do pokoju Henryki, którą zastali nieruchomie siedzącą w fotelu, jak gdyby zahypnotyzowaną światłem stojącej obok niej lampy.

— Skorzystajmy z tego stanu odrętwienia—rzekł stary praktyk.—Paroksyzm utrudniłby nam wyjazd. Czy może pan z nami *ę*jechać? dodał, zwracając się do Gilberta.

— Służę panom.

— Czy panna Blanka wie, że matka jej ma opuścić ten dom?

— Nie mówiłem jej o tem, bałem się, by pożegnanie nie wywołało w chorej paroksyzmu.

— Może to i lepiej—szepnął doktor.

Poczem ujawszy ręce Henryki, rzekł głosem życzliwym:

— Niech pani idzie z nami, zawieziemy ją do domu przyjacielskiego, w którym znajdzie pani spokój i codziennie będzie mogła uściąć swą córkę.

Gdy doktor wymawiał te słowa, Blanka weszła do pokoju.

Dziewczyna usłyszawszy turkot powozu w dziedzińcu i zobaczywszy z niej wysiadających lekarzy, domyśliła się celu ich przybycia i przestraszona pobięła do pokoju matki.

— Więc panowie uprowadzacie moją matkę!—zawołała.

Wejście jej zmieszało lekarzy, zaś Gilbert rozgniewał się.

— Moje dziecko—rzekł stary lekarz—spełniamy obowiązek dla nas samych smutny, więc nie przeszkadzaj nam swemi łzami... Wiesz dobrze, że jestem waszym szczerym przyjacielem, więc nie powinnaś wątpić, że działamy w interesie twej biednej matki.

— Dokąd panowie chcecie ją zawieść?—zapytała tłumiąc łkanie.

— Do domu zdrowia.

— Więc i ja pójdę... nie opuszczę mej matki...

— To rzecz niemożliwa—odrzekł lekarz.

— Dlaczego?

— Gdyż dyrektor domu zgrowia nie przyjmie cię.

— Ja nie opuszczę jej—mówiła Blanka, biorąc ręce matki i przyciskając je do serca.—Mamo, mamo droga, słuchaj mnie... zrozumiej mnie... Powiedz im, że ja prędzej wyleczę cię, powrócę ci pamięć.

Henryka jak martwa patrzyła przed siebie.

— Blanko droga—rzekł Lucyan pocichu,—nie-

potrzebnie dręczysz się. Pozwól nam działać i mieć ufrość w Bogu.

Głos Lucyana dodał Blance odwagi.

— Masz pan słuszność, należy poddać się...

Doktor Germain pomógł Henryce powstać z fotela, Blanka ucałowała jej ręce i głowę i w kilka minut opuściła Henryka pałac.



Gilbert po odwiezieniu swej żony do domu zarowia w Auteil, udał się do Granceya, by zdać mu sprawę z wypadków zaszłych w ciągu dnia.

— Doskonale idzie—odrzekł były dependent, wysłuchawszy opowiadania.—Teraz masz ręce rozwiązane. Skoro zbierze się rada familijna, oświadczysz jej, że pragnąc prędzej spłacić wierzycieli, zamierzasz wydać zamąż swą córkę. Rzecz prosta, że zgodzą się na to najchętniej, wtedy rozmówisz się z panną Blanką.

— A jeżeli ona nie zgodzi się?—zapytał Gilbert.

— Nie przypuszczam. Nie jestem tak zarozumiałym, bym sądził, że córka pańska szaleje za mną, lecz wierzę, że podobałem się jej. Zresztą, panna w tym wieku, to miękki wosk, dający urabiać się według woli. W razie oporu zmusisz ją do posłuszeństwa powagą ojcowską.

Rozmowę wspólników przerwało nagle wejście Duplata.

— Co słyhać? zapytał Gilbert.

— To, że przebywająca u Janiny Rivat dziewczyna jest jej córką.

Poczem Duplat zdał sprawę z swojej wycieczki do Blois.

— Widzicie więc zakonkludował, że klecha jest naszym nieprzyjacielem, ale jeżeli Janina i Róża zostaną

uprzątnięte, to nie potrafi nam szkodzić. Pragnęliście mieć pewność, macie ją teraz... Skończmy więc z temi babami, a będziemy mogli spać spokojnie.

— Cierpliwościl — odrzekł Grancey, — skończmy pierwej interes ważniejszy. Zgadzam się na uprzątnięcie stojących nam na zawadzie osób, ale pamiętajcie, że kto dwa zające ściga, może nie uchwycić żadnego.

— A cóż mamy pilniejszego?—zapytał Duplat.

Grancey powiadomił go o wypadku z panią Rollin.

— Tak!—zawołał łotr zachwycony.—Jesteśmy na pięknej drodze! W takim razie oczekuję waszych rozkazów i... pieniędzy.

— Dziś mamy bardzo mało, tyle tylko, że ledwie wystarczy nam na uskutecznienie naszych projektów.

— Dobrze, jestem człowiekiem zgodnym. Będę czekał...

Koło jedenastej Gilbert powrócił na ulicę Vangirard i poszedł wprost do pokoju żony, gdzie dokonał rewizyi wszystkich szufladek i znalazłszy niewielką paczkę biletów bankowych i parę rulonów złota, jedyne z kilku lat oszczędności Henryki, przeznaczone dla Blanki, zabrał wszystko i zadowolony z poszukiwań, udał się na spoczynek.

Nazajutrz wstał wczesnie, zapłacił i odprawił pokojową swej żony, przywiązaną do swej pani starą i wierną służącą, która ze łzami w oczach opuściła pałac, pożegnawszy się z Blanką, oburzoną tak nagle i nieuzasadnionem wydaleniem jej ze służby.

Dziewczyna przewidywała wielkie cierpienia, ale powiedziała sobie, iż ostatecznie nikt jej nie zabroni płakać, myśleć o Lucyanie i odwiedzać matkę.

O pierwszej po południu ubrała się i zadzwoniła na swą pokojową.

— Anusiu—rzekła—ubierz się, pójdziemy do księżki.



— Panienska nie może wychodzić—odrzekła służąca zmieszana.

— Jakto nie mogę wychodzić! Dlaczego?

— Odźwierny otrzymał rozkaz niewypuszczania panienski z domu, gdyż w przeciwnym razie utraci służbę.

Blanka zbladła.

— Więc zostałam aresztowaną, jak winowajczyni!

Rozplakała się i z niecierpliwością wyczekiwała godziny obiadowej, spodziewając się, iż ojciec wyjawii jej powód takiego postępowania z nią.

O siódmej udała się do pokoju stołowego, gdzie zastała oczekującego już na nią Gilberta.

— Czy widział dziś ojciec moją matkę?—zapytała.

— Nie, moje dziecko—odrzekł tonem serdecznym.—Przez kilka dni nikomu niewolno odwiedzać jej, nawet mnie.

— A skoro będzie wolno, pozwoli mi ojciec odwiedzić matkę?

— Chętnie.

— Dziękuję. A teraz mam o coś zapytać. Czy to prawda, że ojciec zabronił odźwiernemu wypuszczać mnie z domu?

— Prawda.

Więc jestem uwięziona?

— Tak... jeżeli pałac ten może być uważany za więzienie.

— Z jakiego powodu spotkało mnie to upokorzenie?

— Nie widzę potrzeby tłumaczenia się... Tak mi się podobało...

Dziewczyna oburzona taką niesprawiedliwością, odrzekła:

— Tak ojcu podobało się! Jestem zawsze gotową z pokorą poddać się woli ojca, ale gdy wola ta upo-

Siostry bliźniaczki.

karza mnie, lub jest karą za nieznanę mi winy, to mam prawo zapytać się o powód.

— Nie popełniłaś nic złego, moje dziecko, a chociaż nie jestem obowiązany tłumaczyć się przed tobą, powiem ci wszakże, iż uważam za niewłaściwe, by panna w twym wieku biegała po ulicach ze służącą.

— Panna w moim wieku umie nakazać szacunek dla siebie.

— Być może, ale niechcę udzielać ci sposobności dla przekonania o tem. Dla tego też aż do nowego postanowienia musisz poddać się mej woli, chociaż wydaje ci się to niesprawiedliwością.

Gilbert wypowiedział te słowa tonem tak surowym, iż spodziewał się ze strony Blanki płaczu lub spazmów, ale zawiódł się.

Blanka zapanowała nad oburzeniem, zbladła tylko, lecz ani jeden mięsień nie drgnął na jej twarzy.

Gilbert obserwując ją z pod oka, zaczynał wątpić, czy uda mu się upokorzyć jej dumę i energię, których dotychczas w niej nie dostrzegał.

Reszta obiadu upłynęła w milczeniu.

Następnego dnia Blanka oświadczyła przez pokojową, że jest cierpiącą i nie wychodziła ze swego pokoju.

Napisała list do księdza d'Areynes i kazała służącej odnieść go na pocztę.

Z okien widziała, jak ta pobiegła do odźwiernego, wręczyła mu list i powróciła do garderoby.

— Więc nie odniosłaś listu?—zapytała jej.

— Odźwierny powiedział, że ~~go~~ odniesie.

Blanka spodziewała się odpowiedzi tegoż dnia jeszcze, lecz czekała napróżno.

List nie był wcale oddany na pocztę.

Gilbert zajęty ułatwianiem formalności w sprawie zwołania rady familijnej, nie pokazał się w d.o-

u, śniadał i obiadował na mieście.

Przy zielonym stoliku uśmiechnęło mu się szczęście, gdyż dzięki sumie zabranej z pokoju Henryki, w przeciągu trzech nocy wygrał około dwustu tysięcy franków.

Również i członkowie rady familijnej okazali się bardzo posłusznymi, wydali mu jak najszersze pełnomocnictwo i pochwalili jego zamiar jaknajspieszniejszego przeniesienia na Maryę Blankę użytkowania, przysługującego dotychczas Henryce.

Ale, ażeby uskutecznić to, należało wydać ją za mąż.

W kwestyi tej rada familijna oświadczyła, że góry zgadza się na wybór Gilberta, który, jako ojciec musiał przecież dla swego dziecka pragnąć człowieka porządnego

Tak przygotowawszy grunt, postanowił stanowczo rozmówić się z Blanką i czwartego dnia po wywiezieniu Henryki do domu zdrowia, wezwał córkę do swego gabinetu.

— Moje drogie dziecko—odezwał się tonem serdecznym—pragnę przedewszystkiem usprawiedliwić się przed tobą z kilkodniowej nieobecności mojej. Bardzo ważne interesa zmusiły mnie do wyjazdu z Paryża, a wypadły tak nagle, że nie miałem czasu powiadomić cie o tem.

— Czy widział ojciec moją matkę?—zapytała Blanka, myśląca o niej bezustannie.

— Miałem wiadomość, że stan jej nie uległ żadnej zmianie i wymaga, byśmy powstrzymali się od widywania się z nią.

— I długo ten zakaz potrwa?

— Lekarz nie powiedział mi wyraźnie.

— Czy wezwał mnie ojciec, by powiadomić o tym zakazie?

— Nie. Pragnę pomówić z tobą o kilku innych kwestiach, dotyczących naszych interesów i o twojej przyszłości.

— Mojej przyszłości? — powtórzyła Blanka zdziwiona.

— Siadaj przy mnie i słuchaj. Podczas nieobecności mojej pisałaś do księdza d'Areynes.

— i ojciec przejął ten list—odrzekła Blanka oburzona.

— Przejąłem.

— Dlaczego?

— Wiesz dobrze moje dziecko, że pomiędzy mną a księdzem d'Areynes, panuje pewne nieporozumienie z tego powodu i ty niepowinnaś utrzymywać z nim stosunków, dowodziłoby to bowiem, że niesłusznie zabroniłem mu wstępu do tego domu. Chyba rozumiesz to.

— Rozumiem, że wszystko mi zabronione. Uwięził ojciec moją osobę i nakłada więzy na moje myśli, ze służby uczynił dozorców więziennych i otoczył szpiegami, śledzącymi każdy mój postępek! W taki sposób postępuje się tylko z przestępcami! Nie chciałabym uchybiać ojcu, ale nie mogę powstrzymać się od oświadczenia, że podobne postępowanie jest haniebne, że ojciec nie ma prawa torturować mnie!

— Mam prawo postępować z tobą jak mi się podoba i zachowam je aż do pełnoletności twojej.

— Ach! jak odległa ona jeszcze!—odrzekła Blanka z płaczem.—Kiedyż nareszcie będę mogła rządzić sobą!

— Po co te wielkie słowa z powodu rzeczy tak bagatelnej?—odrzekł Gilbert z uśmiechem szyderczym.—Rozciągnąłem nad tobą nadzór z obawy, byś nie popełniła jakiego głupstwa. To rzecz tak naturalna że każ-

dy ojciec pochwaliby mnie za to. Ale, jeżeli pragniesz uwolnić się jak najprędzej z pod mojej władzy, którą uważasz za tyrańską, a która jest tylko troskliwością ojcowską, to możesz uczynić to bardzo łatwo... Wezwałem cię właśnie dla pomówienia o tem.

Blanka podniosła głowę i spojrzała ojcu w oczy.  
— Niy rozumiem... proszę o wyjaśnienie.

— Jesteś zbyt młoda, byś mogła zrozumieć niektóre kwestye prawne. Mimo to postaram się obeznać cię w krótkości z naszą sytuacją. Matka twoja, będąc obłąkaną, nie może otrzymywać dochodów z majątku, który ma należeć do ciebie po dojściu do pełnoletności.

— Cóż mnie obchodzi majątek? Co mnie obchodzi pieniądze? Niczego nie chcę... pragnę tylko powrotu do zdrowia mej matki.

— Zapewne, ale prawo ma pewne wymagania, którym musimy się poddać. Nie możemy pozostawać w sytuacji obecnej... Prawo nakazuje nam zażądać od trybunału mianowania kuratora i administratora majątku do czasu twej pełnoletności.

— Trybunał.. kurator...—odrzekła Blanka z przestraszeniem.—Po co to wszystko? Po co wtajemniczać publiczność w nasze sprawy rodzinne.

— Jesteś małoletnią i interesa twoje powinny być zabezpieczone.

— Wszak ojciec jest moim opiekunem naturalnym! Czyż to nie dosyć?

— Nie, a dowód masz w tem, że musiałem zebrać radę rodzinną, której zadaniem jest kontrola moich czynności jako opiekuna i która, w razie potrzeby, może narzucić mi swoją wolę. Niema w tem dla mnie nic ubliżającego... Rada ta, pozostająca pod przewodnictwem sędziego pokoju, składa się z ludzi bardzo szanownych, którzy przez życzliwość dla nas wzięli na siebie to niewdzięczne zadanie.

— To dobrze... ale mówił ojciec o jakimś środku uwolnienia się z dzisiejszego przykrego i upokarzającego mnie położenia. Jakkiż to środek?

— Zbliżam się do tej kwestyi, lecz uprzedzam cię, że środek ten prosty zaprojektowany zosał nie przeze mnie, lecz przez radę familijną. Jest nim małżeństwo.

### XXX.

— Małżeństwo—powtórzyła Blanka zdumiona.

— Tak, zapewni ci ono swobodę i prawa takie, jak gbybyś była pełnoletnią. Dodam, że i ja będę miał rozwiązane ręce. Narzucone mi przez opiekę obowiązki nie odpowiadają moim usposobieniom. | Małżeństwo więc da swobodę obojgu nam...

Blanka nie powiedziała co myśli o tem, choć rozumiała zamiary ojca.

— Więc ta rada familijna—odrzekła spokojnie—tak troskliwa o mnie, zapewne dała ojcu wskazówki pod względem wyboru męża, którego powinnam przyjąć z zamkniętymi oczyma?

— Rada familijna—odrzekł Gilbert—niema prawa narzucić ci męża, gdyż wola jej polega tylko na potwierdzeniu i odrzuceniu wyboru mojego. W tym drugim wypadku, t. j. gdybym wymagał, byś zaślubiła człowieka niegodnego ciebie, czego nie potrzebujesz obawiać się, odmowa jej byłaby przeszkodą stanowczą. Jest to jedna więcej gwarancya dla ciebie... Ale ufam radzie zupełnie i wiem, że nie odmówi swej aprobaty.

— Gdy ojciec oświadczy jej kogo wybrał?

— Tak.

— Te znaczy, że wybór już uczyniony?

— Tak jest.

— I któż to ma zostać moim mężem?

— Człowiek młody, bardzo dystyngowany, ele-

gancki, poważany, z wielką przyszłością i nazwiskiem historycznym. Majątek ma wprawdzie niewielki, ale wzamian za wniesiony przez ciebie posag da ci tytuł i stanowisko w świecie.

— A więc to jest handell—drżącemi ustami odrzekła Blanka.—Ponieważ znalazł się tytuł do sprzedania, więc mam go kupić!... Czy w dodatku mam jeszcze szanować sprzedawcę?

— Są to słowa nedorzeczne i niesprawiedliwe, których wkrótce będziesz żałowała... Gentleman o którym mówię, jest człowiekiem tak szanowanym, iż nikomu nie przyjdzie do głowy podejrzewać go o jakiś rachunek!—Czy znam go?

— Znasz i poważasz. Nieraz rozmawiałaś o nim z matką i zemną i nawet zauważyłem, że nie jest ci obojętnym... Młode dziewczęta mają zazwyczaj usposobienie romantyczne... więc może i ty marzyłaś, że zostaniesz jego żoną.

Blance przyszedł na myśl Lucyan Kernoël.

Czyż nie był u nich częstym gościem? Pochodził również z dawnego rodu i miał majątek mały, przytem odznaczał się przymiotami, które tak wysławiał jej ojciec.

Z oczu dziewczyny trysnęła radość i zmieniła jej dotychczasową sztywną postawę.

— Ma ojciec słuszność—odrzekła—nie mam już przy sobie matki, a usposobienie ojca nie pozwala mi ciągle przebywać w domu. Rozumiem dobrze, że nie chcąc pozostać samotną i bezustannie dręczyć się smutkiem, powinnam pomyśleć o przyszłości i stworzyć sobie nową rodzinę, którą może mi dać tylko małżeństwo. Potrzebuję tylko wiedzieć, jaki uczynił ojciec wybór, by go potwierdzić.

Gilbert tryumfował.

Blanka przyrzekała uległość bez najmniejszego oporu.

— Potwierdzisz go—zawołał i jestem pewny, że rzucisz mi się na szyję, skoro wymienię ci nazwisko przyszedłego męża twego.

Serce Blanki zaczęło bić gwałtownie.

— Niech więc ojciec wymieni je—wyjąkała.

— Jest nim, vice-hrabia Jerzy de Grancey.

Blanka tak była pewną, że usłyszy nazwisko inne, iż w pierwszej chwili osłupiała i niezdolna była wymówić słowa.

— Cóż, czy nie świetny wybór?—mówił dalej Gilbert, nie domyślając się rzeczywistego powodu jej zmieszania.—Matka twoja podczas ostatniej rozmowy ze mną zgodziła się na ten wybór.

Gilbert popełnił wielką nieostrożność.

Klamliwe zapewnienie, któremu Blanka w żaden sposób nie mogła uwierzyć, zdradziło zastawioną na nią pułapkę.

Oburzenie wróciło jej całą energię.

— To nieprawda!—zawołała drżącym od gniewu głosem.—Nigdy w to nie uwierzę! Jeżeli ojciec mówił z matką o tym projekcie, to potepiła go ona stanowczo. Ale zdradził się ojciec, wspominając o swej ostatniej z nią rozmowie! Teraz rozemniem wszystko! Zmuszając ją do potwierdzenia tego związku, doprowadził ją ojciec do rozdrażnienia, które zakończyło się obłąkaniem! Oto powód rzeczywisty!... Jesteś ojciec jej katem a teraz chcesz zamęczyć mnie!

Gilbert zerwał się z fotela i groźnie krzyknął.

— Dość tego! Masz milczeć i być posłuszną mej woli! Nie dyskutuję z tobą, lecz rozkazuję!

— Nie umilknę i nie będę posłuszną!—odrzekła Blanka.—Ani ojciec, ani urada familijna, ani nikt w świecie nie ma prawa rozporządzać moją osobą, sercem.



moją duszą! Możesz mnie ojciec zameczyć i uczynisz to zapewne, lecz nie osiągniesz celu! Nie poddam się. Nie zgodzę się za nic, gdyż popełniłabym krzywoprzysięstwo.

— Krzywoprzysięstwo...—powtórzył Gilbert zdziwiony takim uporem dziewczyny, którą uważał za dziecko słabe, nie posiadające woli.

— Tak, krzywoprzysięstwo! Nie należę do siebie, gdyż pod okiem mej matki i za jej zgodą oddałam swe serce komu innemu...

— Cóż mnie to obchodzi? Matka twoja jest waryatką, i ja jestem tutaj panem.

— Możesz mnie ojciec zabić, lecz nie zmusisz mnie, bym została żoną vice-hrabiego Grancey.

— A jednak zostaniesz nią!

— Nigdy! a jeżeli dla zmuszenia mnie uciekniesz się ojciec do środków gwałtownych, których nie znam, lecz które przeczuwam, wezwę na pomoc nie ową radę familijną, której nie ufam, ale ludzi rzeczywiście życzliwych mi! Zawezwę księdza d'Areynes i mego narzeczonego Lucyana Kernoël.

— Lucyana Kernoëla!...—zawołał Gilbert.

— Tak; oni uwolnią mnie od upokorzeń jakich tu doznaję i od cierpien, jakie mi ojciec przygotowujesz.

— Więc to na nich liczysz!—krzyknął Gilbert głosem chrapliwym z wściekłości—na nich, moich wrogów, których nienawidzę! Otóż drwię sobie z tej groźby i nie dbam o nich. Jeszcze raz ci powtarzam, że jestem twoim panem i zmuszę cię do posłuszeństwa!

— A ja odpowiadam: nigdy!! Może mnie ojciec zamknąć w pokoju, torturować, zabić—jednak nie nastopię!... Za trzy lata będę pełnoletnią, wolną... i do tego czasu nic nie złamię mego oporu... pozostanę

wierzą mej miłości i wykonanej przysiędze!.. Jeżeli zaś padnę w tej walce, będę miała mścicieli!..

I wyszła cała drżąca z oburzenia, z dumnie podniesioną głową, z pogardą patrząc na nikczemnika, zmieszanego tak niespodziewanym i niezłomnym oporem.

Gilbert pozostawszy sam, zastanowił się nad nowym położeniem.

Wszystkie tak dobrze obmyślane plany jego runęły.

Marya Blanka, którą uważał za wosk miękką, okazała mu się ukutą ze stali.

Będzie czerpała siły w swej miłości i nie ustąpi nigdy.

Więc uznać się zwyciężonym i opuścić ręce?

W takim razie czeka niedostatek, nawet nędza.

Gilbert szukał srodka ratunku i nie znajdując go, postanowił udać się do swego współnika byłego dependenta.

Zastał tam już Duplata.

— Co słyhać?—zapytał Grancey, spostrzegłszy smutną minę Gilberta.

Rollin opowiedział rozmowę swą z Blanką.

— W takim razie wszystko przepadło!—zawołał Duplat.

— Nie odrzekł Grancey—wszystko pójdzie dobrze, jeżeli usłuchacie mojej rady.

— Więc masz jaki projekt?

— Mam i nawet genialny.

— Ale niebezpieczny?

— Trochę.

— Dokąd on nas zawiedzie?

— Do celu, do którego dążyliśmy dotychczas.

— Więc górami nasil zawołał ex-kapitan komuny.—

Prawę ramię naprzód, biegiem, marsz! Rataplan, rataplan, plan, plan! hura!

— Jakież to jest ten projekt genialny—zapytał Gilbert.

Grancey wygodnie zasiadł w fotelu i wyjaśnił im swój plan.

Rezprawiano nad nim długo, w końcu przyjęto ze wszystkimi szczegółami.

Spólnicy rozebrawszy między siebie role, rozeszli się dopiero o ósmej.wieczorem.



Pałac przy ulicy Vaugirard posiadał małą apteczkę, złożoną ze środków pospolitych, którą Lucyan de Kernoël podczas swych studyów uniwersyteckich utrzymywał w porządku i zaopatrzył w wiele przedmiotów, których niemożna było nabyć bez recepty lekarza, jako niebezpiecznych, lub wymagających wielkich ostrożności.

Gilbert, często uciekający się do tej apteczki, znał prawie wszystkie składające ją środki.

Gdy wrócił do domu, udał się do niej, zamknął za sobą drzwi na klucz, poczem wziął z szafki mały flakonik z napisem: „Extrakt belladony“.

Sojrzał na flakonik pod światło świecy, schował go do kieszeni i wrócił do swego gabinetu.

Postawił flakonik na stoliku, wziął z biblioteki tom „Encyklopedyi powszechnej“, zawierającej w sobie przedmioty zaczynające się od litery B, odszukał wyraz „Belladona“ i czytał:

„Belladona“ (z włoskiego: „bella“ piękna i „donna“ pani) zwana pospolicie „wileczą jagodą“ jest rośliną z rodziny „psiankowatych“ (Solaneae), znaną ze swych własności trujących. Bardzo pospolita w krajach gorących i umiarkowanych, rośnie chętnie na wszelkich gruzach.

„Belladonna jest trucizną bardzo gwałtowną. Wzięta w małej ilości, wywołuje w przelyku uczucie suchości i sprawia rozszerzenie źrenicy. Po większych dawkach uczucie to suchości w ustach i w przelyku, oraz zaciśnienie gardła, połączone z utrudnionem przelykaniem i pragnieniem, występuje z daleko większem natężeniem, przyczem wzrok ginie nieraz zupełnie, głowa staje się ciężką i odurzoną, następuje bredzenie, trzęsienie członków, utrudniona mowa, częściowa lub ogólna beczulość skóry.

Dawki trujące sprowadzają powyższe zjawiska w daleko wyższym stopniu, mianowicie silne bredzenie, połączone z wesołością, drganie nerwów na twarzy, złudzenia zmysłowe, porażenie wzroku, zawrót głowy, wszystkie objawy pijaństwa, utrudniony oddech, przekrwienie mózgu, obfity pot, w końcu następuje śmierć“.

— Śmierć!—powrórzył Gilbert.—Vice-hrabia mówił prawdę! Ten dziwny człowiek wszystko wiel

„Dwie krople ekstraktu belladony—czytał dalej— użyte w chwili właściwej jako lekarstwo, skutecznie działają w niektórych chorobach; cztery lub pięć kropli, użyte w jakimkolwiek płynie, mogą wywołać po kilku dniach zawroty głowy, bredzenie i paraliż mózgu.“

Gilbert zamknął książkę.

— Tak jest—szepnął—to dobry środek, należy użyć go... Niepodobna wahać się dłużej... Ale jak dać go Blance?

Zamyślił się.

Po kilku chwilach uśmiechnął się z zadowolenia, gdyż przypomniał sobie, że Blanka codziennie, z polecenia doktora Germain, wypija podczas śniadania lampkę wina bordeaux z chininą.

Następnego dnia udał się wcześniej do pokoju stołowego i zastawszy obok nakrycia Blanki przygoto-

wana lampkę wina z chininą, wpuścił do niej cztery krople trncizny, poczem zająwszy przy stole swe zwykłe miejsce, oczekiwał przybycia córki.

Gdy weszła, podszedł ku niej i pocałował ją w głowę.

— Czy dobrze spałaś?—zapytał.

— Nie—odrzekła, nieoddawszy ojcu pocałunku.

— Masz przynajmniej apetyt?

— Zmuszam się do jedzenia, by nie utracić sił.

Siadła przy stole naprzeciw ojca.

— Wypij swoje wino z chininą—rzekł Gilbert.

Blanka wychyliła całą lampkę duszkiem, do ostatniej kropli.

Truciciel ani drgnął, był w dalszym ciągu uprzejmym, serdecznym, jak najlepszy ojciec.

Blanka zaledwie skosztowawszy śniadania, przeprosiła ojca i odeszła do swego pokoju na spoczynek.

\*

\*

Dom zdrowia d-ra Giroux, w Joigny, położony w bardzo malowniczej okolicy pod samem miastem, w niczem nie przypominał smutnego przeznaczenia swego, owszem, podobny był do wielkiej rezydencji pańskiej, otoczony wzpaniale utrzymywanym parkiem...

Jedyna rzecz tylko mogła nieco razić, mianowicie okna zaopatrzone w mocne kraty, z wyjątkiem okien prywatnego mieszkania dyrektora.

Dr Giroux, mający do pomocy trzech asystentów i liczny personel służbowy, liczył lat pięćdziesiąt i był kawalerem.

Kupił ten zakład za dwieście tysięcy franków, prowadził go od lat dwudziestu osmiu i postawił na stopie pierwszorzędných tego rodzaju przytułków.

Mówiono o nim wiele dobrego, ale byli i tacy,

którzy wprawdzie po cichu, opowiadali rzeczy niezbyt pochlebne.

Szeptano o uwięzieniach samowolnych, o usługach wyświadczanych bogatym rodzinom pragnącym, za jakąbądź cenę, pozbyć się niedogodnych im członków i pomieszczeniu w zakładzie ludzi zdrowych pod pozorem obłąkania.

Gawędy te doszły nawet do ucha władzy, która wyznaczyła komisję, przeprowadziła śledztwo, lecz nie znalazłszy nic podejrzanego, uznała d-ra Giroux za ofiarę zazdrosnych i niechętnych mu kolegów.

Dr Giroux jako specjalista ceniony był wielce i położonych zasług nikt mu nie odmawiał.

Był bogatym i miał jeden tylko cel w życiu, zaokrąglić cyfrę swego majątku do trzech milionów franków. Po urzeczywistnieniu tego marzenia, miał zamiar sprzedać zakład, wycofać się z interesów i oddać się zaspokojeniu jedynej namiętności, jaką były dalekie podróże.

Pomimo powodzenia w całym swym życiu miał on jednak jedno wielkie zmartwienie.

Młodszy brat jego, Piotr, również lekarz, bardzo inteligentny, strwoniwszy odziedziczoną po rodzicach schedę, skończył karierę smutnie, wplątany bowiem w sprawę o otrucie i dzieciobójstwo, został skazany przez sąd na dziesięć lat robót przymusowych.

Wyrok ten, dzięki milczeniu dzienników, nie był wiadomy nikomu w Joigny, a okoliczność ta ułatwiła doktorowi, po powrocie brata z Nowej-Kaledonii, uwolnienie go, za pośrednictwem swych stosunków, od dozoru policyjnego i uzyskanie pozwolenia, pozostawienia go przy sobie w charakterze sekretarza zakładu.

Zresztą, Piotr prawie nie pokazywał się nigdzie, pędził życie domowe i nikt ani w zakładzie, ani w mieście nie wiedział o jego przeszłości.

Od czterech lat zajmował tę posadę u brata i nie nie upoważniało do przypuszczenia, by spokój jego został kiedykolwiek naruszony. Nieszczęśliwy zapominał o swych towarzyszach numejskich.

Wybiła godzina trzecia po południu, gdy w tem u drzwi zakładu rozległ się dźwięk dzwonka.

Odźwierny otworzył drzwi, przez które wszedł człowiek młody, liczący lat około trzydziestu, przystojny i ubrany bardzo szykownie.

— Czy tu jest dom zdrowia d-ra Renego Giroux?—zapytał.

— Tak panie—odrzekł odźwierny.

— A pan Piotr Giroux mieszka tutaj?

— Tutaj?

— Zastałem go w domu?

— Jest u siebie. Niech pan będzie łaskaw idzie w te drzwi—odrzekł odźwierny, wskazując je gościowi.

W przedpokoju przybyły wręczył lokajowi swój bilet wizytowy i po chwili wprowadzony został do gabinetu.

— Pan vice-hrabia Grancey?—zapytał Piotr Giroux gościa.

Tak, panie.

Lekarz usłyszawszy te dwa wyrazy drgnął!

Zdawało mu się, że słyszał ten głos, ale gdzie?

— Raczy pan spocząć—rzekł do gościa—i objaśnić o celu swej wizyty.

W tej chwili wyjaśnię go, lecz pozwoli pan, że pierwszej zapytam o jedną rzecz.

— O co?

— Czy przed kilkoma laty nie przebywał pan w Nowej-Kaledonii?

Piotr Giroux spojrział na niego przestraszony i obejrzał się, jak gdyby dla przekonania się, czy nikt nie słyszał tych słów.

— Lęka się—pomyślał Grancey—więc go mam!

Giroux spoglądał na gościa, usiłował napróżno przypomnieć go sobie i zapytywał się, co to za człowiek, który zna jego przeszłość i przybywa zakłócić mu życie spokojne, poświęcone pracy i pokucie.

— Ależ... nie rozumiem pana...—wyjąkał z trudnością.—Myli się pan.

— Wcale nie myślę się—odrzekł Grancey.—Przebywałeś pan w Numei od 1874 do 1885 r.

— Proszę pana, mów pan ciszej—rzekł Giroux głosem zdławionym. Kto pan jesteś i czego chcesz odemnie?

— Uspokój się pan—z uśmiechem odrzekł Grancey—nie przychodzę w złym zamiarze i zachowam pańską tajemnicę i nadal jak zachowywałem ją dotychczas, chyba, że pan sam zmusisz mnie do ogłoszenia jej.

— Więc Pan grozisz?—wyjąkał Piotr.

— Wcale nie. Uważaj mnie pan za przyjaciela, jak uważałeś w Numei, a przekonasz się, że zasługuję na zaufanie.

Giroux dopiero po tych słowach poznał swego gościa i przypomniał sobie jego nazwisko.

— Ach!—zawołał—poznaję pana!

— Potrzebowałeś pan na to wiele czasu, lecz lepiej późno niż nigdy—odrzekł były dependent śmiejąc się.

— Pan nie jesteś vice-hrabią Granceyem, lecz Gastonem Deprety.

— Tak jest, i równie jak pan przestępcą kryminalnym. Obaj pełiliśmy w Numei obowiązki infirmerów i żyliśmy z sobą w najlepszych stosunkach. Przypomnij sobie.

Grancey powstał i podał rękę dawnemu towarzysowi, który uścisnął ją miękko i szepnął:

— Przestraszyles mnie bardzo...



— Rozumiem cię. Zapomniany, mieszkasz tu jak u Pana Boga za piecem, nic więc dziwnego, że zląkłeś się.

— Rzeczywiście.

— Otóż, bądź spokojnym, nic ci nie grozi.

— Jakim sposobem dowiedziałeś się, że przebywam tutaj?

— Zapomniałeś o swych zwierzeniach. Na kilka miesięcy przed uwolnieniem opowiadałeś mi, że brat da ci zajęcie w swoim zakładzie w Joigny. Było to nierozwagą z twojej strony.

— Rzeczywiście—odrzekł Piotr—popelnilem głupstwo.

— Z którego ja skorzystałem.

Sekretarz podniósł głowę z niepokojem, spojrział na byłego towarzysza.

— Nie nabijaj sobie głowy strachami i słuchaj mnie. Obaj jesteśmy ofiarami niedorzecznego prawa, które należałoby zreformować do gruntu, obaj ponieśliśmy zanadto surową karę za bagatelę, byliśmy wysłani do Nowej Kałedenii, i musieliśmy żyć, my ludzie, dobrze urodzeni, dobrze wychowani, wykształceni i dystyngowani, wśród najgorszych wyrzutków ludzkości I po odbyciu kary nie przestano prześladować nas gdyż powróciliśmy do Francji z kulą u nogi, z nadzorem policyjnym... Uważam to za niesprawiedliwość i dlatego postanowiłem uchylić się od jej skutków.

Moja wizyta u ciebie i nazwisko Grancey, którego nikt nie może mi zaprzeczyć, dowodzą, iż udało mi się. Odtąd jestem szczęśliwym, obracam się w wielkim świecie i mogę zaspokajać wszystkie moje zachcianki

Twój los jest mniej godnym zazdrości. Wegetujesz jak kret w norze. Wydajesz mi się, jak gdybyś doświadczał wyrzutów sumienia, a powiem ci pra-

wdę, że jest to bagaż zupełnie zbyteczny w życiu. Zresztą, zależy to od przekonania, a jeżeli ci z tem dogodnie, to cieszę się, gdyż zawsze miałem wiele sympatyj dla ciebie i ufam ci wielce.

Dam ci dziś dowód tego zaufania, wtajemniczając cię w historję mej metamorfozy. Mógłbyś zgnać mnie jednym wyrazem, ale zginałbyś i sam. Pomyśl-no tylko coby to nastąpiło, gdyby ludzie wiedzieli że sekretarzem domu zdrowia powszechnie szanowanego doktora Giroux jest jego brat, były kryminalista! Odkrycie tego sekretu pociągnęłoby za sobą upadek twego brata i twój. Ale zostawiam to na stronie i przystępuję do celu swej wizyty. Potrzebuję ciebie... Wiem, że mogę na ciebie rachować i przybyłem prosić cię o pomoc.

— Cóż ja mogę uczynić?—odrzekł Piotr.

Zaraz dowiesz się. Rozpocząłem interes wielki, bardzo wielki, który, jeżeli mi się powiedzie, uczyni mię milionerem. Ale, żeby być pewnym powodzenia, potrzebuję mieć wszystkie atuty w ręku. Rozumiesz mnie?

— Słucham.

— Czy twój brat przyjmuje do swego zakładu obłąkanych obu płci?

— Przyjmuje.

— Więc dobrze.

— Czy chodzi o ulokowanie obłąkanego?

— Obłąkanej.

— Zameężnej, czy panny?

— Panny.

— Czy wyleczenie jej jest możliwe?

— Chodzi o to, aby nie była wyleczoną — odrzekł Grancey pocichu.

Piotr rzucił się na krzesło.

— Uwięzienie nieprawne—odrzekł przestraszony—  
rodnia.

— Mój drogi, daj spokój tym wielkim słowom  
nie rób miny dramatycznej.

— Dobra sława zakładu mego brata...

— Lepiej nic nie mów o tem — przerwał Gran-  
ty.—Rozumiesz chyba, że zanim zgłosiłem się do ciebie,  
sięgnąłem wiadomości z dobrego źródła i dowiedzia-  
łem się wielu rzeczy ciekawych. Nie mówię, że brat  
mój gorszym jest od innych, ale niewiele wart wię-  
cej. Dyrektorowie domów zdrowia, korzystając z pra-  
wa z r. 1838, przemieniali zakłady swoje w więzie-  
nia, których każda cela przynosi im dochód pokaźny.  
Wiesz o tem tak dobrze jak i ja i nie zaprzeczysz mi  
tyba, ty, co żyjesz wśród tych tajemnic.

— Powinieneś rozmówić się z moim bratem.

— Nie chcę go widzieć.

— Jednak, ażeby się umówić.

— Sam porozumiesz się z nim. Oto moje wa-  
runki: zapłacę z góry należność za całoroczne utrzy-  
manie, a tego dnia, w którym doktor zawiadomi o  
śmierci pacjentki, wskazana przezemnie osoba wypłaci  
mi dwadzieścia tysięcy franków.

— Nie odważę się uczynić mu podobnej propo-  
zyty.

— Dlaczego? Te warunki bardzo korzystne.

— Naprzód, niema go teraz w domu.

— A gdzie jest?

— W Belgii.

— Od jakiego czasu?

— Od dwóch dni.

— Kiedy powróci?

— Za parę tygodni.

— Ależ to doskonałe! Więc interes skończony.

— Nie rozumiem cię.

— Rzecz bardzo prosta. Przypuśćmy, że jacyś zrozpaczeni rodzice, posiadający świadectwo lekarza zalegalizowane przez właściwą władzę, przywożą jedną z swych dzieci, dotkniętą obłąkaniem i domagają się natychmiastowego pomieszczenia go w zakładzie? Z kim musieliby porozumieć się?

— Ze mną—odrzekł Piotr.

— Cóż uczyniłbyś w takim razie?

— Zgodziłbym się w imieniu doktora przyjąć chorego, za złożeniem mi dowodów urzędowych, zaspokajających brata od odpowiedzialności.

— Bądź spokojnym, będziesz miał wszystkie potrzebne dowody. W tym tygodniu, więc jeszcze podczas nieobecności twego brata, otrzymasz wizytę osób mających interes w zamknięciu chorej i w przeszkodzeniu jej powrotu do zdrowia. Zapłacą ci sumę jaką sam wyznaczysz i oddzielnie pięć tysięcy franków gratyfikacji dla ciebie, a nadto zobowiążą się wypłacić dwadzieścia tysięcy franków w dniu zgonu pacjentki. Oto moje warunki. Radzę ci je przyjąć, tembardziej, że pod żadnym względem nie możesz ich odrzucić.

Grancey mówił prawdę. Piotr musiał zgodzić się na nie, gdyż w razie przeciwnym naraziłby na zgubę brata i siebie.

To też po kilku chwilach namysłu odrzekł:

— Przyjmuję. Jak się nazywa ta panna?

— Dowiesz się ze świadectwa lekarskiego.

— Ile ma lat?

— Ośmnaście.

— Rodzaj obłąkania?

— Opisany będzie szczegółowo w świadectwie

— Kto ją tu przywiezie?

— Zapewne ja.

— Dobrze

— Więc interes skończony?

— Pozostają jeszcze cyfry.

— Ach! więc chcesz targować się? Ile żądasz?

— Sześć tysięcy franków dla mnie, dwadzieścia tysięcy dla mego brata, ośm tysięcy franków opłac rocznej—wszystko w dzień przyjęcia pacjentki do kładu.

— Zgadzam się...

Deprety podał rękę byłemu towarzyszowi i pognął go.

Gdy powrócił do domu, zastał dwa bileciki.

Jeden pisany ręką Duplata, zawierał w sobie

dwa:  
„Wszystko dobrze. Wdowa nie zmieniła sposobu życia. Panna cały dzień przesiaduje w zakładzie haftuje stuły dla klechów.“

W bileciku drugim Gilbert pisał:

„Powodzenie zupełne. Przyjdę dziś wieczorem.“

Przez czas nieobecności Granceya w Paryżu, Wspólnicy jego nie stracili napróżno czasu.

Gilbert zwłaszcza, dolewając codziennie do szklanki swej córki po kilka kropel belladony, wkrótce dopatrywał fatalne skutki trucizny.

Już od drugiego dnia Blanka zaczęła doświadczać nowego bólu głowy. Myśli jej plątały się, pamięć osłabła, źrenice rozszerzyły się.

Dziewczyna nie skarżyła się, a Gilbert okazywał względem niej ogromną troskliwość ojcowską, ale nie przyzywał d-ra Germaina.

Wieczorem stosownie do zapowiedzi udał się na spotkanie Canmartin, gdzie zastał już Duplata.

Wspólnicy zebrali się w celu zdania sobie sprawy ze swej działalności.

Najpilniejszą teraz rzeczą było znalezienie dwóch kandydatów, potrzebujących zarobku i nierządzących się

skrupułam, którzy za pieniądze podpisałiby polecenie pomieszczenia obłąkanej w domu zdrowia.

Spełnienie tego zadania wziął na siebie Grancey.

W dalszym ciągu posiedzenia Duplat oświadczył iż znalazł odpowiednie miejsce.

— Gdzie?—zapytał Gilbert.

— W Bois-le-Roi.

— Miejsce bezpieczne?

— Jak gdyby specjalnie dla nas stworzono.

W piękne dni przychodzą tam amatorzy umyślnie to pić się dla przyjemności.

Następnie opowiedział szczegóły swej wycieczki i zyskał aprobatę spółników.

Upłynęło dwa dni.

Blanka straciła apetyt zupełnie i doświadczała ciągłego palenia w gardle, utraciła wzrok i przestała mówić.

Gilbert ciekawie obserwował te objawy, a ta była troskliwym i udawał tak wielką rozpacz, że oszukała ją komedya służba, litowała się nad tym mężem i ojcem dotkniętym tak strasznymi dwoma ciosami.

### XXXI.

Ażeby przekonać się, o ile trucizna wywaru wódki wpływa zabójczy, Gilbert postanowił pomówić z Blanką.

— Słuchaj mnie, moje dziecko—zaczął.

Blanka nie odwróciła nawet głowy, jak gdyby nie słyszała słów jego.

Wtedy nachylił się nad nią, ujął jej ręce i rzekł:

— Przynoszę ci dobrą wiadomość. Wkrótce będziesz mogła zobaczyć się z matką.

Na kilka dni przedtem, może jeszcze w wigiliach

tego dnia, Blanka słysząc te słowa rozplakałaby się z radości, ale teraz pozostała obojętną.

— Dziecię moje drogie, słyszysz—mówił dalej—wkrótce zobaczysz swoją matkę, którą tak kochasz... uściśniesz ją...

Na ten raz dziewczyna drgnęła, spojrzała na karta swego, przyłożyła obie ręce do czoła i głosem cichym, smutnym odrzekła:

— Zobaczę... uściśnę...—i dwie łzy stoczyły się z pod jej powiek.

Te łzy zaniepokoiły Gilberta.

— Czy przypominasz sobie?—zapytał.

Blanka zapadła znowu w stan odrętwienia.

Nikczemnik zapragnął próby ostatniej.

— Przyszedł Lucyan Kernoël — rzekł — Lucyan, twój narzeczony.

Blanka nie poruszyła się nawet, jak gdyby nie słyszała.

Teraz Gilbert nie miał już najmniejszej wątpliwości. Belladona spełniła swoje zadanie. Blanka utraciła pamięć.

Gilbert odszedł do swego gabinetu i napisał pod adresem Granceya następującą depeszę:

„Sprawa skończona“.

Następnie przywołał służących i głosem zmienionym ze wzruszenia, ze łzami w oczach oświadczył im, że zmuszony z polecenia lekarzy wyjechać natychmiast z chorą córką do Włoch na kilka miesięcy, uwalnia ze służby wszystkich.

Boleść Gilberta była tak widoczną, że ani jeden ze służących nie objawił najmniejszej pretensyi.

Wyplacił pensyę, dał hojną gratyfikacyę i polecił tegoż dnia najpóźniej do godziny czwartej po południu opuścić pałac.

Rozkaz ten był wykonany ściśle, służba z Tattersalu odprowadziła konie do stajni w Lancortaye i Gilbert pozostał samze swoją ofiarą.

Marya Blanka była już tylko cieniem siebie: jej pamięć i inteligencya znikły, śmierć wydawała się nieuchronną.

O godzinie piątej Gilbert opuścił mieszkanie, pozostawiając Blankę samą, nieprzytomną, nieruchomie leżącą na łóżku i udał się do Granceya.

Wkrótce po jego przybyciu nadszedł trzeci wspólnik Duplat. Gdy zjedli razem obiad i zapalili cygara, były dependent nakreślił im program następujący.

— Jutro rano jadę z panną Blanką do Joigny, zamów więc powóz kryty, który odwiezie ją na kolej żelazną. Zamówiłem przedział w pociągu pospiesznym, odchodzącym o godzinie jedenastej. O drugiej będę w Joigny, a o trzeciej w domu zdrowia. Powrócę do Paryża dopiero pojutrze o ósmej rano. Zatrzymam się w Bois-le-Roi, gdzie Duplat będzie na mnie czekał ze śniadaniem. Chciałbym miejscowość tę obejrzeć wraz z nim.

Ty zaś, kochany Gilbercie, jutro, zaraz po moim wyjeździe, udaj się którymkolwiek pociągiem do Feneustranges, gdzie czekaj na depezę odemnie i przygotuj wszystko na przyjęcie mnie i panny, mającej zastąpić Maryę Blankę. Czy w Feneustranges znają twoją córkę?

— Nigdy tam nie była.

— Tem lepiej. Zadanie nasze będzie tem łatwiejsze. Wyszukajno pokojową, jaką kobietę z nad granicy niemieckiej, nie znającej języka francuzkiego, a usprawiedliwisz ten kaprys oświadczeniem, że chcesz by córka twoja nauczyła się po niemiecku, rozmawiając ze służącą... Rozumiesz mnie?



— Rozumiem.

Wspólnicy rozstali się.

Następnego dnia sam Gilbert wysłał do Fenes-ranges depeszę z poleceniem przygotowania apartamentu na kilka dni dla niego, następnie ubrał Blanę do podróży i przygotował walizkę z podręcznymi rzeczami.

O godzinie dziesiątej przybyła zamówiona karetka.

Gilbert kazał woźnicy zajechać na dziedziniec, sprowadził, a raczej wyniósł Blanę na rękach, nieszczęśliwa dziewczyna bowiem nie była już zdolną postępować o sile własnej.

Podtrzymywana przez swego kata, szła chwiejąc się na nogach, automatycznie, z oczyma błędnymi, z kołyszącą się głową, gdyż mięśnie szyi nie miały siły utrzymać się pozycji normalnej.

Gilbert posadził ją w powozie, usiadł przy niej i odjechał na dworzec kolejowy, gdzie oczekujący na niego Grancey zaprowadził ją do wagonu i drzwi przedziału zamknął za sobą.

W sercu tego lotra nie objawił się ani jeden promyk litości dla tej nieszczęśliwej, którą chciał uczynić swą żoną, a którą teraz prowadził na śmierć.

Nie odczuł również najmniejszego wyrzutu sumienia i Gilbert, który oddawszy Blanę w ręce współnika poszedł do bufetu, z dobrym apetytem spożył śniadanie, poczem udał się na dworzec kolei wschodniej,

O godzinie drugiej pociąg stanął w Joigny, a w godzinę później Piotr Giroux wprowadził Blanę i Granceya do swego gabinetu.

— Czekalem na ciebie—rzekł, sadzając chorą przy oknie w pełnem świetle, dla zbadania jej.—Papiery w porządku?

— Oto masz—odrzekł Grancey podając mu je.

Piotr wziął świadectwo i urzeczytał półgłosem:

Słosty bliźniaczki.

„My niżej podpisani, doktorzy medycyny fakultetn paryzkiego, Józef Liray, zamieszkały przy ulicy Rochechouart pod nr 54 i Emil Despreaux przy ulicy Clignancourt pod nr 48, po dokładnem zbadaniu chorej, do której byliśmy wezwani, świadczymy, że panna Alina Eugenia Pertuis, ur. w Paryżu 1 sierpnia 1841 r., córka Jana Pawła Pertuis, zamieszkałego przy przy bulwarze Strasburskim pod nr. 56 i jego małżonki Klaudyi Pertuis, już nieżyjącej, cierpi na osłabienie mózgu objawiające się zanikiem wszystkich władz umysłowych i mogące w krótkim przeciągu czasu przejść w zupełne obłąkanie; z tego powodu, przez wzgląd na bezpieczeństwo publiczne, jako też w osobistym interesie chorej polecamy pomieścić ją w domu zdrowia, celem poddania kuracyi specjalnej.

Paryż, 2 grudnia 1891 r.“

— Dobrze—rzekł Giraux, skończywszy czytanie.— Jesteśmy zabezpieczeni. Ale—dodał, uważnie przypatrując się Blance—czy to ci sami lekarze tak leczyli chorą?

— A cóż cię to obchodzi?—odrzekł Gilbert śmiejąc się.

— Rzeczywiście... Chciałem tylko wiedzieć, czy to oni popełnili tę zbrodnię...

— Zbrodnię?—powtórzył Grancey zdziwiony.

— Naturalnie... Pozbawiono chorą władz umysłowych za pomocą belladony i robiono to tak gorliwie, iż zdaje mi się, iż niedługo ona pożyje.

— Może użycie belladony było potrzebne—odrzekł Grancey—i może jeszcze okaże się koniecznem—to zależy od ciebie...

Cynizm byłego towarzysza z Numei przestraszył Piotra.

— Ona jest bardzo chorą—rzekł — jeśli umrze...

— Jeżeli umrze—przerwał Grancey—to mając

w świadectwie datę urodzenia i imiona rodziców.łatwo będziesz mógł napisać akt zgonu.

Piotr przywołał służącego.

— Zaprowadź tę chorą do pokoju *osobnego* nr. 4 i powiedz infirmerce, niech ją przebierze w ubranie przytułku. Wkrótce przyjdę sam i zobaczę.—Lekarza asystenta wzywać nie potrzeba.

Służący odprowadził Blankę do wyznaczonej jej celi.

Gdy Grancey pozostał sam z Piotrem, wypłacił mu umówioną sumę, następnie pożegnał go i udał się do hotelu.

Czytelnicy zrozumieli zapewne potworny plan nikkczemuika.

Wiedząc, że nic nie przełamie oporu Blanki, wykreślono ją za pomocą fałszywego świadectwa z liczb żyjących i pod nazwiskiem Aliny Eugonii Pertuis dla dobicia ciała oddano ją do szpitala waryatów. Pozostało już tylko przedstawić inną Maryę Blankę, jstot nieświadomą, niczego i uległą, która odziedziczyłab prawa do sukcesyi po hr. Emanuelu i odgrywała rolę jakiej tamta przyjąć nie chciała.

Osobę taką wspólnicy upatrzyli w Różę, infirmerce przytułku w Blois, drugiej córce Janiny Rivat, która dzięki podobieństwu do swej siostry uniknęła noż Gustawa Deprety na korytarzu domu przy ulicy Féro

Od kilku dni w życiu Róży zaszła znaczna zmiana.

Wykonywane przez nią dla magazynu przedmioty, zalecały się tak wielką wartością, że zachwyconymi właścicielka postanowiła zjednać sobie Bóżę jako robotnicę stałą i ofiarowała jej miejsce zarządzającej o

lżiałem hafciarskim, zatrudniającym dwadzieścia kilka dziewcząt. Jednocześnie przeznaczyła jej wynagrodzenie tak znaczne, jakiego młoda robotnica nie otrzymałaby w żadnym innym zakładzie.

Zapytana o radę Janina Rivat nakłaniała swą młodą przyjaciółkę do przyjęcia tej korzystnej propozycji.

Róża, oswojona już z myślą, że Rada dobroczynności publicznej nie poszukuje jej, ofiarowane sobie ajęcie przyjęła i odtąd całe dni i część wieczorów rzepędziała w pracowni przy ulicy Sévres. Jadła tam nawet śniadania i dopiero o siódmej wracała do swej maiki przybranej na obiad.

O ósmej udawała się znówu do zakładu dla przygotowania roboty na dzień następny i pozostawała w nim do dziesiątej.

W sobotę, jako w dzień wypłaty zarobku, jadała obiad u swej pracodawczyni i powracała do siebie pół do dwunastej.

Duplat i Grancey wiedzieli o tych szczegółach.

Chociaż zarobek Róży wystarczał w zupełności na utrzymanie obu kobiet, jednak Janina Rivat nie yrzekła się sklepiku przy kościele św. Sulpicyusza.

Ale pomimo radości, jaką sprawiało jej wspólne mieszkanie z dziewczyną, którą tak kochała, (nieszczęliwa kobieta myśląc o niej, często mówiła sobie:

— Ach! gdyby ona była jedną z mych córek.

Myśl o córkach nie ustępowała z jej głowy, nie swała jej odpoczynku ani na chwilę.

Zniechęcała się do życia coraz więcej, wszystko wydawało jej się obojętnem, często bez powodu i mimo woli łzy płynęły jej z oczu. Złamana cierpieniem, starzała się przedwcześnie, zmarszczki pokryły jej twarz bladą, osłabione nogi ledwie dźwigały ciało.

Zamykała się w sobie i przestała odwiedzać swe-

go protektora i zbawcę, księdza d'Areynes, nie mając odwagi pytać go, czy nie natrafił na ślad jej dzieci.

Róża była zbyt inteligentną i zresztą zanadto kochała swą matkę przybraną, by nie domyślała się powodów tej zmiany.

Rozumiała cierpienia tej duszy znękanej, bolała nad nią, lecz cóż mogła uczynić więcej nad to, co czyniła?

W krótkie dni zimowe Janina późno udawała się do kościoła św. Sulpicyusza i wracała wcześniej.

W sobotę o pół do szóstej zajęta była przygotowaniem obiadu, gdy ktoś lekko zapukał do jej drzwi.

— Proszę wejść—odrzekła.

Do pokoju wkroczył człowiek o włosach siwych, ubrany porządnie, w ciemnych okularach, lecz nie znany Janinie.

— Zapewne omylił się pan?

— Nie pani—odrzekł kłaniając się—jeżeli mam zaszczyt mówić z panią Rivat.

— To ja jestem. Co pan sobie życzy?

— Przyszedłem prosić panią o parę chwil rozmowy.

— Więc niech pan spocznie—rzekła wskazując krzesło.

— Jestem urzędnikiem—oświadczył przybyły—merem z okolicy Fontainebleau, przysłanym przez jakiegoś pana, mieszkającego w mojej gminie i chorego bardzo niebezpiecznie.

Zagadkowe te słowa zmieszaly Janinę.

### XXXI.

Nieznajomy wyjął z kieszeni notatkę i zapytał:

— Mąż pani nazywał się Paweł Rivat i był stolarzem?

— Tak, panie.

— Był ranny śmiertelnie w bitwie pod Montre-

toul.

— Tak—odrzekła Janina ze łzami w oczach.

Podczas komuny mieszkaliście państwo przy ulicy

Saint-Maur?

— Prawda.

— I mieliście sąsiadkę, nijaką pannę Weronikę?

— Rzeczywiście. Była to bardzo dobra kobieta...

wyświadczyła nam wiele dobrego. Dlaczego pan pyta o to?

— Zaraz się pani dowiesz, tylko poproszę cię jeszcze o kilka odpowiedzi. W ostatnim tygodniu panowania Komuny powiła pani dwoje dzieci, dwie siostry bliźniaczki?

— Czy pan może przyniósł mi wiadomość o moich dzieciach?—zapytała wzruszona.—Niech pan powie mi, czy one żyją, czy mogę zobaczyć je, uścisnąć... Błagam pana...

— Niech pani uspokoi się—odrzekł nieznajomy.—Przybyłem z dobrą wiadomością, ale powinna pan wysłuchać jej spokojnie. Powiedziałem już, że jestem wysłany przez człowieka umierającego, który był wielkim grzesznikiem, lecz dziś objawia żal szczery i pragnie przed śmiercią uwolnić swe sumienie od przytłaczającego je ciężaru. Niech więc pani wysłucha mnie ze spokojem.

— Niech pan mówi... jestem spokojną.

— Czy pani знаła Serwacego Duplata?

Przekłete to nazwisko, którego słyszeć nie spo-

ziewała się, wywołało dreszcz na jej ciele.

— Czy znałam Serwacego Duplata!—powtórzyła—

to on prześladował nas swoją nienawiścią! Ten on porwał moje dzieci!

— Zkąd pani o tem wie?

— Był świadek jego zbrodni! Ale Duplat nie żyje, więc tajemnicę swoją chyba powierzył osobie, która pana przysłała?

— Serwacy Duplat żyje—odrzekł nieznajomy

— Wszyscy są przekonani, że był rozstrzelany...

— To się mylą... Duplat był przez sąd wojenny skazany na depertację i wysłany do Nowej Kaledonii. Po ogłoszeniu amnestyi powrócił do kraju i nabiedowawszy się w rozmaitych okolicach Francyi, osiadł przed pięcioma laty w Fontainebleau, w swojej wiosce rodzinnej. To właśnie on jest tym umierającym... Widząc przed sobą śmierć, pragnie wynagrodzić krzywdę, wyrządzoną pani. Dał mi tę notatkę i prosił, bym zobaczył się z panią. Wiedział on, że była pani uratowaną przez księdza, przebywała przez siedmaście lat w domu zdrowia i po odzyskaniu zmysłów, założyła sklepik przy kościele św. Sulpicyusza, w końcu mieszka pani przy ulicy Ferou.

— Czy powie mi, co uczynił z memi dziećmi?

— Powie.

— Dla czegoż nie powiedział panu?

— Dla tego, że pragnął wyznać tylko pani i uzyskać jej przebaczenie.

— W takim razie córki moje żyją—zawołała Janina uradowana.—Zobaczę je i odtąd nigdy nie rozstanę się z niemi. Ach, przebaczam mu, niech tylko odda mi moje córki. Przebaczam mu z całego serca.

Janina nie posiadała się ze szczęścia i nie przewidywała zastawionej na nią pułapki.

Któżby na nią zastawiał? Dlaczego? W jakim celu? Nie zawadzała nikomu, nikt nie mógł mieć względem niej złych zamiarów.

Nieznajomy spojrział na zegarek.

— Więc może pani pojechać ze mną?

— Jestem gotową!

Narzuciła na ramiona futro, wzięła z szufladki stolika portmonetkę i rzekła:

— Daleko mamy jechać?

— Godzinę drogi koleją żelazną i godzinę pieszo.

— W takim razie nie będę mogła powrócić w nocy?

— Bardzo byó może, ze względu, że wyznania Duplata nakłonią panią do zatrzymania się tam dłużej.

— Ma pan słuszość. W takim razie uprzedzę Różę.

Usiadła przy stoliku i pospiesznie napisała:

„Moja droga Różycko. Bądź spokojną o mnie, choćbym nie powróciła dziś w nocy. Jestem bardzo szczęśliwą. Jadę po moje córki. Janina.“

Zostawiła bilecik na stole i wyszła z nieznanym, zamknąwszy drzwi mieszkania.

O godzinie 9 wysiedli z pociągu na stacyi Bois-le-Roi. Noc była ciemna, chłodna i zaczynał pruszyć śnieg.

— Ztąd pójdziemy pieszo — odezwał się nieznanomy. — Mamy przed sobą dobrą godzinę drogi.

— Daleko! — odrzekła Janina. — Spieszmy się.

Podczas przejazdu koleją Janina pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej, ale towarzyszy jej, w którym pomimo przebrania, czytelnicy poznali Granceya, trzymał się na ostrożności.

— Nie wiem nic więcej nad to, co powiedziałem — odpowiadał — Duplat objaśni panią o wszystkim.

Gdy po kwadransie drogi doszli do mostu, o którego słupy kamienne z szmerem rozbijały się fale Sekwany, mniemany mer odezwał się:

— Nie pójdziemy przez most... Wioska, do której panią prowadzę, położona jest nad brzegiem rzeki. Niech pani poda mi ramię, gdyż będziemy szli dróżką nadbrzezną i dość niedogodną.



Zachodni wiatr ze swistem przedzierał się przez огоłocone z liści gałęzie drzew i płatki wilgotnego śniegu zaczynały padać na ziemię.

— Brzydki czas!—bąknął Grancey.

— Mniejsza o to, abyśmy tylko przybyli na czas zanim Duplat umrze.

— Przybędziemy...

— Więc śpieszmy się—rzekła Janina i przyspieszyła kroku.

Wiatr dał coraz mocniejszy, Sekwana huczała coraz głośniej.

Grancey przyglądał się dróżce, usiłując rozpoznać miejsce, z którego, według umowy z Duplatem, miał mu dać sygnał o swoim przybyciu.

Ale do miejsca tego pozostawał jeszcze spory kawał drogi. Wtedy on sam nalegał na Janinę, by szła pośpieszniej.

W końcu wdowa, pomimo siły woli, uczuła chwiejące się pod sobą nogi.

— Czy daleko jeszcze?—zapytała zadyszana.

— Niedaleko już, wkrótce przybędziemy na miejsce—odrzekł.

— Co za okropna droga—szepnęła, opierając się mocniej na ramieniu swego towarzysza.

Tak przeszli jeszcze z pięćdziesiąt kroków.

Nagle Grancey zwolnił i zaczął kaszlać gwałtownie.

Spostrzegł na brzegu drogi biały kamień, wyraźnie odbijający się w ciemności.

Było to umówione miejsce zasadzki.

Po dziesięciu minutach zakaszczał znowu.

Nagle z kępy drzew wyszła jakaś ciemna postać.

XXXII

— Jakiś człowiek!—szepnęła Janina drżąc.

— Zapewne mieszkaniec miejscowy — odrzekł Grancey i mocniej ujął ramię Janiny.

Nocny wędrowiec szedł naprzeciw nim, trzymając grubą pałkę w ręku.

— Która godzina?—zapytał głosem chrapliwym, zagradzając drogę.

— Idź swoją drogą! — odrzekł Grancey. — Nie wiem która...

— Oddajcie pieniądze!—zawołał nieznajomy, zamierzając się pałką.

— Boże mój!—krzyknęła Janina przerażona.— Na pomoc, na pomoc!

W tej chwili ciężka pałka Duplata spadła na głowę wdowy. Janina jęknęła i padła na wznak ogłuszona.

— Prędejl!—zawołał Duplat, (klękając przy ciebie—zrewidujmy kieszenie. Nie zostawmy nic, co mogłoby posłużyć do rozpoznania jej osobistości.

Czynność tę wspólnicy uskuteczнили w przeciągu kilku sekund.

— A teraz—rzekł bandyta—bierz ją za nogi, ją za głowę i w wodę!

Podnieśli ciało do urwistego brzegu Sekwany, rozbujali w powietrzu i rzucili w wodę.

— Przyjemnego spaceru, matko Janino — rzekł Duplat, śmiejąc się. Nagle drgnął.

Jakiś głuchy szmer doszedł jego uszu z drugiego brzegu rzeki.

Po chwili szmer powtórzył się.

— Czy słyszałeś?—zapytał Duplat swego współnika.

— Słyszałem

— Coś tak, jak gdyby ktoś zawiosłował..

— Może jaki rybak.

— Do dyabła!

— Cóż nam to może szkodzić? Jest tak ciemno że nie widział; nie mamy czego lękać się. Prąd szybki... ciało już daleko... Chodźmy — i zwrócił się ku Bois-le-Roi.

— Nie tędy—rzekł Duplat—idźmy tą samą drogą do Melun... będziemy mieli półtorej godziny drogi. O trzeciej odchodzi pociąg do Paryża... Nikt nas tam nie zna, nikt więc nie będzie wiedział o naszej wycieczce nocnej.

Grancey usłuchał rady Duplata.

Umiarkowany dotychczas wiatr, zaczynał dać coraz gwałtowniej i zasypywać drogę śniegiem.

Gdy około drugiej po północy współnicy przybyli do Melun, byli utrudzeni w najwyższym stopniu, lecz bezpieczni od wszelkich podejrzeń.

O czwartej wrócili do Paryża.

Pozostawał do wykonania już tylko jeden i ostatni akt dramatu, ułożonego przez Granceya.



Tego wieczora Róża dłużej niż dni poprzednich siedziała w pracowni przy ulicy Sévres.

Gdy po północy wróciła do mieszkania przy ulicy Férou, zdziwiła się, zobaczywszy palącą się lampę.

W pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na kartkę, pozostawioną przez Janinę na stole, ale gdy spostrzegła łóżko próżne, powiodła zdumionym wzrokiem po pokoju i zobaczywszy pismo wdowy, chwyciła go zaniepokojona i przeczytała.

Nagle uczuła ból w sercu i rozplakała się.

— Jej dzieci... — szepnęła — udała się po nie

przyprowadzi... Czemu że ja odtąd będę dla niej?... Niczem... One zagarną całe jej serce i myśli... Wszystkie moje ofiary, ani przywiązanie moje nie zdołały zatrześć ich w jej pamięci... Powinnam opuścić ten dom... będę tu odtąd obcą, przyjętą z łaski... I znowu pozostanę samotną... obojętną dla tej, którą kochałam jak matkę, dla której byłabym gotową oddać niemal życie... Znowu sama jedna na świecie...

Róża przez całą tę noc nie przymknęła oka.

Rano obudziła się i poszła na Mszę do kościoła.

Modlitwa dodała jej odwagi i natchnęła [nadzieją rychłego powrotu Janiny.

Powróciwszy na ulicę Feron, zrobiła porządek w mieszkaniu i przygotowała śniadanie.

Tak zeszedł jej poranek.

Ponieważ była to niedziela i Róża nie udawała się do pracowni, usiadła więc przy oknie i zaczęła rozmyślać o swem smutnem życiu.

Wtem lekko zapukano do drzwi.

Róża, sądząc, że to powraca Janina, zerwała się z krzeselka i pobięła otworzyć.

Na progu stanął człowiek młody, szykownie ubrany—powiedzmy odrazu, Jerzy Grancey i nie dając zmieszanej dziewczynie czasu na przemówienie, zapytał:

— Wszak tu mieszka pani Janina Rivat?

— Tak, panie — odrzekła Róża — ale niema jej w tej chwili w domu.

— A kiedy powróci?

— Nie wiem.

— Zresztą mniejsza o to, gdyż zdaje mi się, że mam zaszczyt rozmawiać z panną Różą.

— Tak, jestem Róża.

— Czy pani jest pewną, że niema innego imienia? Dziewczyna zarumieniła się.

— Ależ...—wyjąkała zmieszana.

— Czy pani jest tą samą, która przed siedemnastu laty, w ostatnich chwilach komuny, małym dzieckiem znalezioną była na rękach umierającej matki na ulicy i oddana pod opiekę rady dobroczynności publicznej?

Wyrazy: Rady dobroczynności publicznej przerażyły Różę.

Przyszło jej na myśl, że człowiek, przypominający jej te smutne chwile był wysłańcem tejże Rady i przybył, by zabrać ją do więzienia dla wymierzenia kary za ucieczkę z pod jej opieki.

Były dependent widział dobrze przestrach dziewczyny, lecz nie mógł domyslić się jego powodu.

Niech pani nie obawia się mnie — rzekł. — Przychodzę jako przyjaciel, dla spełnienia świętego obowiązku, włożonego na mnie przez rodzinę pani...

— Moją rodzinę... — powtórzyła Róża drżąco. — Więc ja mam rodzinę?

— Niech pani wysłucha mnie — rzekł Grancey tonem poważnym i przekonywającym. Chodzi o szczęście całego życia pani i być może — mojego. Niech pani nie tylko wysłucha mnie uważnie, lecz i odpowie na moje, choćby się jej wydawało, niedyskretne pytania. Przedewszystkiem powinienem przedstawić się... Nazywam się wice-hrabia Grancey i jestem przyjacielem osób, które dzięki zwierzeniom pewnego, przypadkiem spotkanego człowieka, sądzą, że pani jest ich dzieckiem, utraconem w okolicznościach strasznych. Człowiekiem tym jest niejaki Juliusz Servaise.

Blanka zadrżała.

— Jestto nazwisko jednego z tych — rzekła — którzy odnieśli do merostwa jedenastego okręgu i podpisali protokół znalezienia.

— Dnia 28 maja 1871 r.?

— Tak, panie.

— Więc panu znany jest ten protokół?

— Znam go.

— Z jakiego powodu?

— Rada dobroczynności publicznej wydała mi kopię jego...

— Zapewne zgodną z tą...

Grancey wyjął z puglaresu akt, otrzymany przed kilkoma dniami przez Duplata z merostwa jedenastego okręgu i przeczytał go głośno.

— Zgodne zupełnie—oświadczyła Blanka.

— Była pani powierzona—mówił dalej Grancey—mamce, zamieszkałej w Saint-Maur, następnie oddaną na naukę do szkoły infirmerek, w końcu ulokowaną w domu zdrowia w Blois, z kąd pani uciekła i uważaną jest za zmarłą. Wszak wszystko to jest prawdą i rzeczywiście jesteś pani dzieckiem, którego na podstawie wskazówek p. Juliusza Servaise poszukują od dwóch miesięcy?

— Tak jest...

— Będę bardzo szczęśliwym, wracając panią rodzinie, odwożąc do jej ojca...

— I do matki?—zawołała dziewczyna, składając ręce błagalnie.

### XXXIII.

— Tylko do ojca—odrzekł Grancey.

— Prawda—szepnęła Róża ze łzami w oczach.— Matka moja nie żyje, została zabita... wiedziałam o tem, mimo to łudziłam się nadzieją...

— Matka pani żyje—odrzekł były kryminalista.

— Żyje? — zawołała Blanka. — Jest pan tego pewnym?

— Niech pani nie cieszy się zawczasie.

— Dlaczego? Dlaczego nie mam cieszyć się skoro matka moja żyje?

— Dla tego, że jest obłąkana!

— Obłąkana... — powtórzyła przestraszona—jak mama Janina...

— Oddawna... Znalazona na ulicy między trupami d. 28 maja 1871 r. odesłaną, była do szpitala, gdzie odszukał ją ojciec pani i dowiedział się, że uciekając wraz z panią z płonącego domu, padła raniona na bruk i że jakiś przechodzień, uważając ją za zmarłą, wziął panią z jej rąk i tym sposobem ocalił od śmierci. Później matka pani odzyskała zdrowie, lecz utraciła zmysły na zawsze.

— Biedna matka!—odrzekła Róża lkając.—Dlaczego ojciec nie szukał mnie wtedy?

— Niech pani nie obwinia go niesprawiedliwie!.. On sterał życie swoje na bezustannych poszukiwaniach, ale nie mając najmniejszej wskazówki, jak mógł odnaleźć człowieka, który wziął panią od matki? Cudem tylko natknął się na niego i uzyskał ślad, z którego skorzystałem, by wrócić trochę szczęścia temu nieszczęśliwemu a najlepszemu ojcu, oplakującemu panią od lat ośmnastu...

— Powiedział mi pan, że Rada dobroczynności publicznej uważa mnie za zmarłą. Dlaczego?

— W domu zdrowia w Blois, dokąd udałem się, idąc za śladem pani, oświadczone mi, że pani znikła i prawdopodobnie odebrała sobie życie.

— Odebrałam sobie życie? — powtórzyła Róża zdumiona.

— Przypuszczano, że z tęsknoty po pewnej chorej, do której pani przywiązała się bardzo. Wszyscy podzielali to przekonanie, z wyjątkiem mnie jednego.

— Z wyjątkiem pana?

— Tak, i zaraz zrozumie pani dlaczego. Powiedziałem sobie, że skoro tak tęskniła pani za Janiną, to prawdopodobnie opuściła przytułek nie dla tego by

pozbawić się życia, lecz aby połączyć się z osobą ukochaną. Rozpocząłem więc nowe poszukiwania, nie zniechęcałem się niepowodzeniem i w końcu odszukałem Janinę Rivat, żebraczkę od św. Sulpicyusza i panią.

— Rzeczywiście, kochałam i Kocham Janinę Rivat całą duszą—odrzekła Róża—ona tyle wycierpiała...

— Ale Janina Rivat nie jest matką pani—odparł Grancey, obawiając się, by przywiązanie to nie stanęło mu na przeszkodzie w jego zamysłach. — Rzeczywista matka pani żyje... i ona również wycierpiała wiele i utraciła zmysły po stracie pani... Kto wie, czy nie odzyska ich zobaczywszy cię... Masz pani ojca, opiekującego cię od lat osmnastu, któremu rozpacz po tobie pobielila włosy. Jak on będzie kochał panią! Jak szczęśliwym uczynisz go pani! Posiadasz pani rodzinę własną, do niej należysz, a nie do Janiny Rivat! Ona jest dla pani obcą!...

— Rozumiem to—odrzekła, nie mogąc powstrzymać płaczu.—Niech pan przebaczy mi te łzy. Wzruszyła mnie wiadomość, z którą pan przybył i to w chwili, w której Janina Rivat udała się po swoje dzieci. Żal mi jej na myśl, że po powrocie do domu nie zastanie mnie...

— Pociesz się widokiem dzieci.

— To prawda...

— Przy córkach jej staniesz się pani dla niej obcą... Tymczasem obowiązek nakazuje pani nie wahać się ani chwili... wrócić do ojca i swej matki nie-szczęśliwej...

— Ja nie waham się i spełnię swój obowiązek, tembardziej, iż jest on dla mnie przyjemnym, zbliży mnie bowiem do osób, które i ja opiekuję... Ale nie powiedział mi pan jeszcze, jak się nazywa mój ojciec.

— Gilbert Rollin.

— A matka?



— Henryka. Imię Róża nadane pani została w merostwie, rzeczywistym zaś imieniem pani Marya Blanka.

— Gdzie mieszka mój ojciec?

— W Lotaryngii, w pałacu Fenestranges, dokąd zobowiązałem się przywieźć panią, ale jestem pewny, że później zamieszka wraz z panią w Paryżu, w swoim pałacu przy ulicy Vaugirard.

— W pałacu Vaugirard!—powtórzyła Róża zdziwiona.

— Ojciec pani jest bogatym.

— Ale jest dobrym człowiekiem?

— Grancey bez namysłu, bez cienia uśmiechu ironicznego odrzekł:

— Powiedziałem już pani, że jest najuczciwszym i najszlachetniejszym człowiekiem na świecie! Szczęśliwe dziecko, mające takiego ojca!..

— Jak pan sądzi, czy po przyjeździe do Paryża pozwoli mi widywać Janinę Rivat?

— Nie ulega wątpliwości—ile razy pani zechce..

— Kiedy mamy wyruszyć do Fenestranges?

— Dziś wieczorem.

— Dziś wieczorem?—powtórzyła Róża zdziwiona, nie spodziewała się bowiem tak rychłego wyjazdu.

— Nie możemy zwlekać, gdyż idąc do pani, zawiadomiłem go depeszą, o naszym przyjeździe. Nie powinna pani sprawić mu zawodu.

— O której godzinie wyjedziemy?

— Pociąg odchodzi o pół do siódmej, jutro więc o jedenastej rano będziemy w Fenestranges.

— Ale ja nie jestem gotową do podróży...

— To też niech pani weźmie z sobą tylko trochę bielizny w walizkę—Fenestranges położone jest blisko Nancey, tam pani zaopatrzy się we wszystko.

Stostry bliźniaczki.

— Byłam robotnicą w pewnym magazynie, muszę więc o moim wyjeździe uprzedzić właścicielkę jego.

— Niech pani napisze list, ja zaniosę go na pocztę, a pani tymczasem przygotuje się do drogi.

— Dziękuję panu.

Bóza usiadła przy stoliku i w kilku wierszach zawiadomiła swą pracodawczynię, że ważny interes zmusił ją do natychmiastowego wyjazdu z Paryża, przyczem w serdecznych wyrazach dziękowała jej za okazaną dobroć.

Grancey obawiając się, by Róża nie pomieszcila jakiej kompromitującej wskazówki, przeczytał list, lecz znalazłszy go dobrym, zakleił kopertę i oddał jej do zaadresowania, poczem wziął list i przyrzekłszy powrócić za godzinę, opuścił mieszkanie Róży, lecz zamiast zanieść list na pocztę udał się do sąsiedniego handlu win, gdzie w osobnym gabinecie oczekiwał na niego Serwacy Duplat.

#### XXXIV.

Ex-kapitan komuny, zobaczywszy wchodzącego towarzysza, zapytał:

— Jakże ci poszło?

— Jak po maśle.

— Uwierzyła?

— Najzupełniej.

— I cóż teraz?

— Jedziemy do Fenestranges pociągiem pospiesznym.

— Brawo! Taką robotę to rozumiem!

— Ale, stało się to, co powiedziałem.

— Co takiego?

— Mała postanowiła napisać do Janiny Riva† list, objaśniający ją o powodach swego wyjazdu.

— Cóż cię to obchodzi, skoro Janina nie otrzyma tego listu?

— Ale zapominasz, że zniknięcie żebraczki od św. Sulpicyusza prędzej lub później stanie się wiadomem... Policya poszukując jej, uda się do mieszkania i zrobi rewizyę. I co będzie, jeżeli znajdzie list? Ślad gotowy!

— Głupstwo! pójdę wieczorem i zabiorę go.

— Dobrze. Przy tej sposobności rzuć do skrzynki pocztowej list Róży, napisany do jej pracodawcy.

— Niema w nim nic kompromitującego?

— Niema; czytałem go. Ten list należy oddać, bo gdyby ta pani nie otrzymała go, mogłaby się zaniepokoić i szukać swej robotnicy. Czuwaj starannie i gdyby co się stało, wyslij natychmiast depeszę do Fenestranges, a w razie czegoś ważnego, nie ufaj telegrafowi i przyjeżdżaj sam.

— Możesz rachować na mnie.

— Będziesz pamiętał o wszystkim?

— Mam dobrą pamięć. Staraj się przyspieszyć swój ślub i jak najprędzej odebrać pieniądze, gdyż nie uwierzysz jak mi pilno osiąść na wsi i żyć z renty, wśród kur, królików i w towarzystwie przystojnej służącej. Uważam, że powietrze paryzkie nie służy mi. Mogę tu źle skończyć...

— Cierpliwości! i mnie pilno...

Podał rękę Duplatowi i wyszedł.

Róża, pozostawszy samą, siadła do stolika i napisała list następujący:

„Droga mamó Janino!

„Zdziwisz się, gdy się dowiesz, jak dalece losy nasze są do siebie podobne. Pan Bóg postanowił dać nam obu dowód, jak czuwa nad tymi, którzy położyli w Nim całą ufność swoją. Jego ręka opiekuńcza, eo

ośmnastu latach, prowadzi cię do ukochanych i oplakiwanych córek twoich, a mnie powraca rodzinę, której zdawało mi się, nie poznam już nigdy.

„W chwili, w której będziesz tuliła do serca dzieci swoje, ja uściskam mego ojca, Gilberta Rollin, a następnie moją nieszczęśliwą matkę, która utraciwszy mnie, postradała zmysły.

„Wyjeżdżam do Fenestrang-s, gdzie oczekuje mnie mój ojciec, jadę zaś w towarzystwie jego przyjaciela, wice-hrabiego de Grancey, który odszukał mnie w mieszkaniu, do którego tak życzliwie przyjął mnie i gdzie spędziłam z tobą tyle chwil szczęśliwych.

„Nigdy nie zapomnę go, droga mamó Janino. Jakkolwiek będzie mój los, zawsze będzie ono miało pierwsze miejsce w mych wspomnieniach.

„Niedługo powrócę do Paryża i przyjdę do ciebie oświadczyć, że majątek nie zmienił mego serca, że będę cię kochała jak matkę własną, a twoje córki jak siostry.

„Przebacz mi, mamó Janino, że opuszczam twoje mieszkanie, w którym nieraz płakałam nie zastając cię i płaczę teraz, będąc zmuszoną porzucić je. Zostawiam w niem moją duszę, ściskam cię po tysiąc razy i będę zawsze twoją Różyczką, chociaż muszę już teraz podpisać się

Marya Blanka Rollin.“

Ukończywszy list, odczytała go z płaczem, poczem włożyła w kopertę i pozostawiła na stole Janiny.

Następnie ubrała się, włożyła trochę bielizny w walizkę i oczekiwała powrotu wice-hrabiego Granceya.

W kilka minut zapukano we drzwi.

Był to Grancey.

— Cóż, gotowa pani?—zapytał.

— Gotowam.

— Napisała pani list?

— Oto jest. Ale co zrobić z kluczem od mieszkania?

— Niech pani zachowa przy sobie. Oddając go odźwiernej, musiałyby pani objaśnić powód. [Zwróci go pani Janinie Rivat po powrocie do Paryża. Przecież ona ma klucz drugi.

— Ma pan słuszność.

Róża ostatni raz powiodła wzrokiem po mieszkaniu i udała się za swoim towarzyszem.

Od dnia, w którym Henryka Rollin pomieszczona została w domu zdrowia d-ra Deschamps, w Auteuil, Lucyan Kernoël ani razu nie zjawił się w pałacu przy ulicy Vaugirard.

Ponieważ żadnym powodem nie mógłby usprawiedliwić swej wizyty, był więc pewnym, że Gilbert przyjąłby go bardzo źle i nie pozwolił zobaczyć się z Blanką.

Jedna wszakże okoliczność mocno zaniepokoiła go, zarówno jak i księdza d'Areynes, mianowicie milczenie Blanki.

Obaj nie domyślali się, że Gilbert przejmował jej listy.

Pewnego dnia jednak młody lekarz nie mogąc zapanować nad niepokojem, postanowił udać się na ulicę Vaugirard w zamiarze wybadania odźwiernego, lub którego ze służących.

Poszedł, lecz jakże się zdziwił, zobaczywszy wszystkie okna pałacu zasłonięte roletami i bramę szczelnie zamkniętą.

— Co to znaczy?—szepnął ze ściśnionem sercem. Musze dowiedzieć się

Bez namysłu podszedł do bramy i zadzwonił mocno, lecz drzwi nie otworzyły się.

Nacisnął guzik dzwonka jeszcze parę razy i również bezskutecznie.

— Niech pan nie dzwoni napróżno—odezwał się kupiec, stojący na progu swego sklepiku po drugiej stronie ulicy.—Nie otworzą panu.

Lucyan podszedł do niego i zapytał:

— Mówi pan, że nie otworzą? Dlaczego?

— Bo w pałacu niema nikogo.

— Jakto nikogo?

— Nawet psa kulawego! Pusto...

— Czy pan Rollin wyjechał?

— Już od kilku dni... a przed wyjazdem odprawił całą służbę...

— Odprawił służbę?

— Wszystkich, nawet odźwiernego, tegoż człowieka, który codziennie rano przychodził do mnie na kieliszek koniaku. To doskonala rzecz na mgłę i zimno.

— Dlaczegoż odprawił ich?

— Panna Rollin była chorą—odrzekł kupiec.

— Chorą... panna Rollin...

— Tak, proszę pana. Wiem to od odźwiernego. Lekarze kazali jej jechać na południe, do cieplejszego klimatu...

— Lekarze—pomyślał Lucyan — jacy? D-r Germain nie był wzywany... A głośno dodał:

— Czy nie wie pan dokąd wywieziono pannę Rollin?

— Na południe, ale odźwierny nie powiedział mi do jakiej miejscowości, gdyż zapewne sam nie wiedział.

— Dziękuję panu — rzekł Lucyan i pośpiesznie udał się do księdza d'Areynes.

Gdy opowiedział mu, co się stało, ksiądz odrzekł:

— Wiedziałem o tem

— Jakto, wiedział ksiądz, że p Rollin odprawił służbę?

— Tak.

— I że wywiózł Blankę z Paryża?

— I o tem wiedziałem. Rollin uczynił dobrze, gdyż Blanka pozbawioaa towarzystwa matki, potrzebowała rozrywki.

— Ksiądz, znający tak dobrze tego człowieka, pochwała go za to?

— Nie mamy prawa podejrzewać jego zamiarów. Niepodobna, by w sercu jego nie pozostała jaka iskierka uczucia ojcowskiego.

— Jakim sposobem ksiądz wiedział, skoro ja dowiedziałem się o tem zaledwie przed godziną?

— Uważałem sobie za obowiązek czuwać nad Maryą Blanką i nad postąpowaniem jej ojca. Rajmund często z mego polecenia zachodził na ulicę Vaugirard.

— Więc teraz nic nie będziemy wiedzieli. Blanka może umrzeć. Co tu czynić?

— Czekać i nie tracić nadziei. Miałeś jaką wiadomość z Joigny?—zapytał ksiądz, pragnąc zmienić przedmiot rozmowy.

— Nie. Obejmuję posadę w pierwszych dniach stycznia.

Lucyan opuścił księdza d'Areynes nieco uspokojony.

\*

W wielkiej sali pałacu Fenestranges, w której na początku tego opowiadania, widzieliśmy hr. Emanuela rażonego apopleksją, Gilbert Rollin z niepokojem oczekiwał przybycia wice-hrabiego de Grancey i Róży, mającej zastąpić Maryę Blankę.

Wielki ogień palił się w monumentalnym marmurowym kominku, ozdobionym herbami.

Przebywający w Fenestranges od trzech dni Gilbert nie stracił na próżno tego czasu.

Przygotował apartament dla Róży, osobiście zajął się w Nancey zakupem dla niej rozmaitych przedmiotów, jak sukien, kapeluszy, co mógł skutecznie łatwo, gdyż była ona podobnego wzrostu i miała tę samą figurę co Marya Blanka, w końcu sprowadził jej pokojową, niemkę, znającą zaledwie kilka wyrazów francuzkich.

Najęte w Nancey konie i powozy zapełniały stajnie i remizy, woźnica, lokaj i kucharka przyjęci byli do usługi na czas krótki i nikt nie domyśliłby się, że jeszcze przed trzema dniami pałac ten był pustym.

W dziedzińcu rozległ się turkot kół powozu i za chwile podróżni weszli do wielkiego przedsionka pałacu.

Lokaj otworzył drzwi sali i zaanonsował:

— Panna Marya Blanka... Pan wice-hrabia de Grancey...

— Widzisz, kochany przyjacielu—rzekł przybyły, puszczając przed siebie zmieszana Różę—dotrzymałem słowa... przywiozłem ci twoją córkę...

Gilbert podszedł do niej i wyciągnął ramiona.

Róża, ze łzami w oczach, nie zdolna wymienie jednego słowa, padła w jego objęcia.

— Ojczy mój... ojczy mój—wyjąkała nareszcie.

— Dziecko moje kochane... moja Marylka... Moja córka, tak długo oplakiwana, poszukiwana... Moje dziecię drogie, jesteś nareszcie...

I pokrywał ją pocałunkami, w końcu padł na fotel, jak gdyby ze wzruszenia zabrakło mu sił.

Róża uklękła przy nim.

— Mój ojczy drogi—szepotała, otaczając ramio-



nami jego szyć—więc skoczyło się już moje sieroctwo, gdyż odzyskałam cię... Będę cię tak kochała, że zapomnisz o przebyłych cierpieniach... Kocham cię już całą duszą...

— Drogie... kochane dziecko.

Grancey, przyglądając się z za kulis, jak autor dramatyczny, tryumfowi swej sztuki, patrzył z dumą na ten obrazek szczęścia rodzinnego i mówił sobie:

— Oto moje dzieło...

Gilbert uważając, iż nadeszła chwila rozpoczęcia sceny następnej, rzekł, podając mu rękę:

— Tobie to, drogi Jerzy, którego zawsze kochałem jak syna, zawdzięczam szczęście, co opromieni ostatnie lata mego życia. Nie zapomnę ci tego nigdy!

Ojciec mój—z doskonałym patosem odrzekł kryminalista numejski—jak byłbym szczęśliwym, gdybym rzeczywiście mógł zostać twym synem...

Róża podniosła na niego swe oczy załamane i pełne uczucia wdzięczności, tem wyraźniejszego w tej chwili, że Grancey podczas przejazdu z Paryża do Fenestranges zdołał wyrzucić pewne wrażenia na jej dziewicze serce, które ze swej strony Gilbert zjednał sobie doskonale odegraną komedią czułości ojcowskiej.

Obaj nikczemnicy osiągnęli zamierzony cel.

Gilbert dostrzegł ten wyraz wzroku Róży i pomyślał:

— Kocha go już, to dobrze.—Nie będzie przeszkody żadnej...

Głośno zaś rzekł:

— I ty, droga Blanko, zaciągnęłaś względem wice-hrabiego dług wdzięczności, gdyż jemu zawdzięczasz odzyskanie ojca. To on odszukał cię i przywiozł do mnie... Winniśmy mu wiele, ale ten ogrom

Stostry bliźniaczki.

długu nie przestrasza mnie... Znajdziemy sposób spłacenia...

Róża spuściła oczy i zarumieniła się.

### XXXV.

Po dłuższej chwili milczenia Róża odezwała się.

— Niech ojciec mówi mi o mojej matce...

— Zobaczymy twoją nieszczęśliwą matkę po powrocie do Paryża. Oby dał Bóg, by odzyskując cię, mogła odzyskać rozum.

— Będę ją pielęgnowała tak, że wyleczymy—  
zawołała Róża.

— I ja mam nadzieję, gdyż szczęście bywa najskuteczniejszym lekarstwem. Wtedy będzie cię błogosławiła, jak również i tego, który wrócił cię nam i którego, zarówno jak i ja, zechce jak najprędzej nazwać swym synem.

Teraz Grancey uważając tę chwilę za najwłaściwszą do rozpoczęcia swej roli, poszedł do Róży i wzruszony, spojrział na nią wzrokiem błagalnym.

— Wróciłeś mi pan ojca—odrzekła, podając mu rękę—i dzięki panu zobaczę moją matkę... Jestem panną wdzięczną i nie zapomnę mu tego nigdy!

Rozpromieniony Grancey z szacunkiem złożył pocałunek na ręce dziewczyny.

Gilbert gładził wąsy z widocznym zadowoleniem.

— Kochane dzieci — rzekł — zostawmy do jutra nasze sprawy rodzinne i projekty na przyszłość. Musicie być utrudzeni podróżą i głodni. Za godzinę siądziemy do stołu, idźcie więc teraz przebrać się.

Przywołał lokaja i kazał mu zaprowadzić wicehrabiego do przeznaczonego dla niego apartamentu, sam zaś podawszy Róży ramię, udał się do jej pokoju w towarzystwie pokojowej.

Róża, zobaczywszy kupione dla niej suknie, wzruszyła się tym dowodem pamięci ojcowskiej i podziękowała mu za nią serdecznie.

— Tutaj, na prowincyi, nie mogłem znaleźć nic lepszego—odrzekł—ale po powrocie do Paryża pragnąłbym, byś zaopatrzyła swą garderobę w rzeczy odpowiednie twemu położeniu w świecie. Tymczasem ubierz się w te suknie...

Rozstawszy się z Różą, Gilbert udał się do Granceya.

— Cóż?—zapytał go ten ostatni—dobrze odegrałem swoją rolę?

— A ja? odrzekł Gilbert.

— Udało nam się doskonale... mała wierzy nam... zrobimy z nią wszystko.

— Zgodzi się na małżeństwo tem chętniej, że widocznie podobałaś się jej.

— Nic dziwnego... jestem dość przystojnym—odrzekł śmiejąc się.

Pozostały w Paryżu Serwacy Duplat, czuwał tymczasem nad mieszkaniem księdza d'Areynes i Janiny Rivat ze zręcznością, godną najlepszego agenta policyjnego.

Znalezione papiery Janiny zachował w miejscu bezpiecznym, pieniądze zaś dał do przechowania Palmirze, w której miał ufność zupełną.

Była prasowaczka z Champigny, zostawszy bogatą i wdową, była bardzo dobrze widzianą w całej dzielnicy.

Policyja nigdy nie miała jej nic do zarzucenia, a inspektorzy hotelów i pokojów umeblowanych widzieli w niej najposłusznieszczą wykonawczynię wszelkich przepisów.

Znający ją osobiście kontrolerowie zachodzili raz na miesiąc dla formy i podpisywali jej księgi, nie

przebiegając ich, a wizyty te odbywały się zawsze w dzień oznaczony.

Nadszedł dzień takiej kontroli.

Dwaj urzędnicy weszli do zakładu wdowy Potonnier i okazawszy swe papiery, oświadczyli:

— Jesteśmy inspektorami hotelów i pokojów umeblowanych i przybyliśmy zobaczyć księgi pani.

— W tej chwili podam je—odrzekła Potonnier zdziwiona widokiem nowych, nieznanych sobie kontrolerów.—Czy panowie Dubest i Leloup, którzy przychodzili tu zawsze, już nie są inspektorami?

— P. Dubest podał się już do emerytury i ja zająłem jego posadę, jako brygadier, a p. Leloup poszedł do wydziału innego.

— Oto moja księga—rzekła Palmira.

Inspektor zaczął sprawdzać listę lokatorów, głośno czytając ich nazwiska z księgi i zaglądając do notatki własnej.

O niektórych żądał objaśnień, co do innych zaś poprzestawał na uwagach, pomieszczonych w rubrykach księgi:

Wtem przeczytał nazwisko: Juliusz Servaise.

— Jak?—zapytał towarzyszący mu agent policyjny.

— Juliusz Servaise—powtórzył inspektor, wskazując mu palcem.

— To za grubo!

— Dlaczego?

— Ponieważ nazwisko to jest zmyślonem.

— Zkąd pan to wiesz?

— Wiem i jestem pewnym, że pani nie pokaże nam papierów tego lokatora.

— Ma pani papiery Juliusza Servaise? — ostro zapytał brygadier.

— Nie mam panie—odrzekła Palmira przestraszona.—P. Servaise nie jest lokatorem, lecz jednym

z moich przyjaciół i tylko przez pomyłkę nazwisko jego zapisałam do księgi.

— Dziwna pomyłka!

— Dowód ma pan w tem, że zajmuje on pokój oznaczony nr. 1, którego nie najmuje nikomu i pozostawiam dla odwiedzających mnie przyjaciół i krewnych.

— Owszem, pokój ten znajduje się na liście pokoi wynajmowanych, a więc lokator powinien złożyć dowody swej tożsamości.

Palmira, widząc grożące Duplatowi niebezpieczeństwo, była tak zmieszana, że nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Nie mam jego papierów—wyjąkała wreszcie.— Myślałam, że one niepotrzebne, gdyż znalazłam go osobście.

— To są żarty! Coś w tem jest!—przerwał agent, Nikt nie ma prawa nazywać się Juliuszem Servaisie oprócz osoby, aresztowanej po stłumieniu komuny i przez sąd wojenny skazanej na deportację na całe życie. Nazwisko więc to nie może należeć do lokatora zapisanego w księdze pani.

Inspektor spoglądał na agenta zdziwiony i ciekawym.

— Skoro niema papierów, więc zobaczmy samego lokatora—rzekł.—Czy jesteś pewny p. Merlin, że znasz prawdziwego Juliusza Servaisa.

Wdowa, usłyszawszy to nazwisko, zbladła.

Wiedziała od Duplata, że Merlin był niegdyś tajnym agentem rządu wersalskiego.

— Jestem najpewniejszym—odrzekł agent.—Ten lokator nie może być prawdziwym Servaisem, gdyż rzeczywisty, będąc skazanym za zbrodnię kryminalną, nie mógł skorzystać z amnestyi i dotąd przebywa w Numei.

— Czem zajmuje się ten mniemany Juliusz Servaise?—zapytał inspektor.

— Przyjechał z prowincyi i robi zakupy dla swego handlu.

— Czy jest teraz w mieszkaniu?

— Nie wiem.

— Jakto nie wiesz pani?

— Rzecz naturalna. P. Servaise jest człowiekiem swobodnym, wychodzi i wraca kiedy mu się podoba.

— Dobrze, zobaczymy czy jest u siebie. Panie Merlin, proszę ze mną.

Palmira na pół żywa ze strachu opadła na krzesło.

Brygadier udał się na pierwsze piętro i przybywszy do drzwi pokoju pod n-rem 1, zapukał.

— Proszę wejść!—odezwał się głos z wnętrza.

Brygadier otworzył drzwi i wszedł wraz z swym towarzyszem.

Merlin, spostrzegłszy lokatora, nie zdołał zapamiętać nad zdumieniem i mimo woli zawołał:

— Duplat!

— Merlin!—rzekł jednocześnie ex-kryminalista.

Obaj zmieszali się w najwyższym stopniu.

Brygadier, widząc ich obu zakłopotanych, powziął tem większe podejrzenie.

— Ach, więc wy znacie się! Ale to trudno, na służbie niema przyjaciół. Przed chwilą występowałeś pan przeciwko Juliuszowi Servaise, a teraz straciłeś minę... to znaczy, że nie spodziewałeś się pan zastać tutaj Serwacego Duplata, o którym myślałeś, że jest w Nowej Kaledonii i dlatego chodziło ci o sprawdzenie tożsamości Servaise'a. Więc Duplat jest pańskim przyjacielem, tem gorzej! Choćby był nawet twoim bratem, to nie puszczę go już.

— Mogłem się omylić—odrzekł Merlin.

— Nie wyprowadzisz mnie w pole. Jeżeli ten pan nie udowodni mi, że nazywa się rzeczywiście Juliusz Servaise, to będę musiał uważać go za Serwacego Duplata, kryminalistę, który samowolnie wydalil się z wyznaczonego miejsca zamieszkania i aresztował go. Panie Duplat, aresztuję cię na mocy rozkazu, jaki dano mi przed trzema dniami, w przewidywaniu, że mogę spotkać się z tobą.

— Ależ—zaczal Duplat.

— Naprózno będziesz pan zaprzeczal. Merlin, zobaczywszy pana niespodziewanie, wymowil jego nazwisko. To dla mnie dość! A teraz chodź za mną spokojnie i nie opieraj się, bo nałożę bransolety.

Duplat wiedzial, że nie bylo sposobu ratunku. Mial przeciwko sobie dwóch ludzi, gdyż w razie potrzeby, Merlin z pewnością stanalby po stronie swego przełożonego.

Zresztą chodzilo o rzecz niewielką.

Za wydalenie się z miejsca zamieszkania kara bagatelna, a po odbyciu jej potrafil polaczyć się ze swymi wspólnikami i odebrać swojną należność.

— Nie myślę opierać się — odrzekl — ale niech pan urzadzi tak, aby nikt w hotelu nie wiedzial o tem ze wzgledu na wlascicielkę, która winna jest tylko tyle, że przyjela mnie na slowo, a której taki skandal moglby zaszkodzil. Wiec wyjdźmy po ciehu i siadźmy do dorożki.

### XXXVI.

— Zgoda—odrzekl brygadyer.

Duplat wzial portmonetkę z pieniędzmi i udal się z agentami.

W pół godziny byl juz w areszcie, wieczorem zaś przewieziono go do więzienia w Mazas.

Ponieważ protokół agenta nie oskarżał go o żadne przestępstwo i nawet nie wymieniał nazwiska przybranego, więc Duplat po upływie kilku dni tylko za samowolne opuszczenie wyznaczonego mu miejsca zamieszkania skazany został na trzynaście miesięcy więzienia.

Nazajutrz po odczytaniu wyroku przewieziono go do la Roquette, z kąd pod konwojem miał być odesłanym do więzienia centralnego w Passy.

Duplat nie bez mocnego wzruszenia wszedł do gmachu, w którego dziedzińcu podczas komuny dopuścił się zbrodni rozstrzelania arcybiskupa Darboya, księdza Deguessy i senatora Bonjeau.

Ale opanował się prędko.

— Niedoczekanie ich, abym tu siedział trzynaście miesięcy! Znajdę sposób uwolnienia się..

Więźniowie tej kategorii nie są zmuszani do pracy, ale ponieważ w la Roquette istnieją warsztaty rzemieślnicze, więc Duplat, chociaż miał pieniądze, przy wejściu do więzienia złożone w zarządzie, zażądał jednak pomieszczenia go w oddziale bednarskim

Uczył to nie dla zarobku, lecz dla zabicia czasu.

Nadto wiedział, że ksiądz d'Areynes, jako jałmużnik więzienny, często odwiedzał cele, gdzie pocieszał nawracał i nakłaniał więźniów do pracy.

Duplat bardzo obawiał się spotkania z byłym wikarym od św. Ambrożego, który mógłby go poznać i wywołać nowe śledztwo, a w takim razie, gdyby odgrzebano starą sprawę rozstrzelania zakładników, lub wykryto utopienie Janiny Rivat, czekałaby go napewno gilotyna.

Niepodobna wprawdzie, by ksiądz d'Areynes nie odwiedzał i warsztatów, ale tam, nachyliwszy głowę



udając zajętego pracą, łatwo będzie uniknąć jego wzroku.

Lecz przedewszystkiem zajmowała go myśl ucieczki z więzienia i połączenia się z Gilbertem Rollinem i Gustawem Deprety.

Było to zadanie bardzo trudne, mimo to Duplat nie tracił nadziei.

Na teraz chodziło przedewszystkiem o uniknięcie spotkania się z księdzem d'Areynes, ale pomimo wszelkich usiłowań, niespodziewany wypadek wywołał je.

Duplat, pomieszczony stosownie do swego życzenia, w warsztacie bednarskim, znalazł się wśród największych łotrów, dziesięciokrotnie karanych przez sądy, nie obawiających się nikogo i gotowych na wszystko.

Trzymano ich pod nadzorem surowym i karano za najmniejsze przekroczenie przepisów więziennych.

Jeden z tych bandytów, skazany na dwadzieścia lat więzienia, niejaki Lagache, sprawiał wiele kłopotu dozorcóm.

Osadzony na tydzień w celi za pogróżki, zuchwale zachowanie się, postanowił zemścić się na dozorczy i pewnego dnia, cisnąwszy na ziemię narzędzia, zaczął się rozglądać i gwizdać.

Dozorca, nie chcąc tej brutalnej natury doprowadzać do ostateczności, udał, iż go nie widzi i nie słyszy i odszedł na drugi koniec sali.

Ale gdy po kilku minutach Lagache nie ustawał gwizdać i widocznie pragnął zniecierpliwic nadzorcę, ten podszedł do niego i rzekł:

— No, może już dość będzie tego? Nie zakłócaj spokoju i bierz się do roboty!

— Nie chce mi się robić — odrzekł bandyta. — Wolę gwizdać.

— Tak?

— A tak!

— Więc chodź ze mną do celi.

— To idź, kiedy chcesz... ja nie pójdę.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy!—zawołał Lagache i pochwyciwszy z warsztatu nóż, pchnął nim dozorcę w piersi.

Chciał zadać mu cios drugi, gdy wtem stojący obok niego Duplat wstrzymał jego rękę.

Podbiegli inni więźniowie i dozorczy i rozbili bandytę.

— Psie podły!—zawołał Lagache, grożąc Duplatowi.—Zobaczymy się jeszcze... zapłacisz ty mi za to.

Zbroczonego krwią dozorcę odniesiono do kancelaryi, do której przybyli natychmiast dyrektor więzienia, jałmużnik i lekarz.

Ten ostatni po zbadaniu rannego zaopiniował, że rana nie jest śmiertelną, ale byłaby nią, gdyby nóż o dwa centymetry trafił bliżej serca.

Po odesłaniu rannego do infirmaryi, drugi dozorca zdał raport z wypadku, przyczem zaświadczył, że gdyby jeden z więźniów nie pochwycił ręki zabójcy, ofiara jego byłaby napewno wyzionęła ducha.

— Cóż to za więzień?—zapytał dyrektor.

— Skazany na trzynaście miesięcy więzienia za samowolne wydalenie się z miejsca zamieszkania.

— Jak się nazywa?

— Serwacy Duplat.

Ksiądz d'Areynes usłyszawszy to nazwisko, drgnął całym ciałem.

— Serwacy Duplat tutaj!—pomyślał — w la Roquette! Skazany na trzynaście miesięcy! Więc on żyje, a ja myślałem, że rozstrzelany! A może to nie ten, którego poszukuję... może jaki inny zbrodniarz nosi takie samo nazwisko.

Dyrektor kazał przyprowadzić więźnia do kancelaryi.

Ksiądz usunął się do okna i ukrył się za firanką.

Ubranie więzienne i siwe, przy samej skórze ostrzyżone włosy, wreszcie kilkanaście lat pobytu na Nowej Kaledonii tak zmieniły Duplata, że ksiądz nie mógł dopatrzeć w nim rysów człowieka, którego widział zaledwie dwa razy w życiu.

— To nie on...—szepnął zawiedziony.

Wspólnik Gilberta dostrzegł za firanką, sutannę księżowską i postanowił mieć się na ostrożności.

— Czy to ty rozbroiłeś Lagache'a w chwili, gdy zamierzył się powtórnie na dozorcę?

Duplat, stojący z oczyma spuszczone, odrzekł skromnie:

— Spełniłem tylko, panie dyrektorze, mój obowiązek.

Ksiądz nie poznał Duplata i po głosie, gdyż nie był on teraz ochryplym, jak niegdyś, od ciągłego pijaństwa.

— Postąpiłeś uczciwie — rzekł dyrektor — zdano o tem raport władzy wyższej. Czy jesteś skazany za wydalenie z miejsca zamieszkania?

— Tak, panie dyrektorze.

— Nie chcę wiedzieć o twych przestępstwach dawniejszych i pragnąłbym wynagrodzić cię za ocalenie życia człowiekowi. Postaram się, by nie odsyłano cię do więzienia centralnego i pozostawiono tutaj. Może uda się znaleźć ci jakie zajęcie inne i uzyskać skrócenie kary... Będzie to zależało od twego postępowania...

— Dziękuję panu dyrektorowi.

— A teraz wracaj do warsztatu.

Dozorca wyprowadził więźnia z kancelaryi.

Po jego wyjściu ksiądz d'Areynes podszedł do

pisarza i poprosił go o pokazanie aktu stanu cywilnego Duplata.

Chodziło mu o poznanie przeszłości jego i sprawdzenie tym sposobem jego tożsamości.

W księdze odczytał ksiądz notatkę następującą:  
1871. Skazany 26 czerwca na deportację za udział w komunie w stopniu kapitana.

1878. Skazany w Numei na dziesięć lat robót przymusowych za kradzież.

1888. Ułaskawiony i wrócony do kraju z oddaniem pod nadzór policyjny.

1889. Skazany na trzynaście miesięcy więzienia za samowolne wydalenie się z wyznaczonego miejsca zamieszkania.

### XXXVII.

Ksiądz d'Areynes nie miał już teraz wątpliwości żadnej.

Więzień, którego widział i nie poznał, był tym samym Servacym Duplatem, który przed siedmnastu laty porwał dzieci Janiny Rivat.

Podziękował pisarzowi i udał się [do swego mieszkania.

Niespokojny i niepewny, czy zdoła nakłonić Duplata do przyznania się, nie jadł obiadu i nie zmrzył oka przez noc całą.

Następnego dnia wstał wcześniej, udał się do więzienia, gdzie codziennie odprawiał mszę, poczem poprosił dyrektora o przyprowadzenie Duplata do swego pokoju w gmachu więziennym.

Ex-kapitan idąc za dozorcą, myślał:

— Głowę bym dał, że prowadzą mnie do tego klechy! Poznał mnie i chce wybadać... Nie książe, nie z tego nie będzie... Byłbys bardzo sprytnym, gdybys

potrafił wydobyć ze mnie coś więcej [nad to, co za-  
chęcę powiedzieć.

I wszedł do pokoju jałmużnika spokojny, jak  
gdyby nie miał najmniejszego powodu obawy.

Ksiądz odprawił dozorcę i pozostał z Duplatem  
sam.

— Siadaj, Duplat; chciałbym z tobą pomówić.

— Pomówić!—powtórzył hultaj, udając zdziwio-  
nego.

— Tak.

Ksiądz wziął krzesło i ustawił naprzeciw więźnia.  
Obaj byli przygotowani do walki ciężkiej, upor-  
czywej.

— Nie poznajesz mnie?—zapytał ksiądz, utkwiw-  
szy wzrok w Duplata.

— Nie — odrzekł — ex-kapitan, przyglądając się  
księdzu. — Nie znam księdza wcale. Nigdy nie wi-  
dział go...

— Mylisz się! a ponieważ nie możesz przypom-  
nieć sobie, więc pomogę ci... Podczas wojny 1870 r.  
byłeś furyerem w kompanii p. Gilberta Rollin.

— To pamiętam dobrze — odrzekł Duplat, śmie-  
jąc się.

— Następnie brałeś udział w komunie i awan-  
sowałeś na kapitana. Spotkaliśmy się u p. Rollina, do  
którego przybyłeś, by namówić go do powstania.

Duplat zrozumiał, iż niepodobieństwem było za-  
przeczyć, ale postanowił skorzystać z tego wymuszo-  
nego wyznania.

— Ach! — zawołał — teraz poznaję księdza i ze  
wstydu radbym się ukryć pod ziemię. Niech ksiądz  
przebaczy mi... byłem obłąkanym... groziłem księdzu...  
Zwróciłem pistolet przeciwko księdzu—ksiądz rozbroił  
mnie i puścił swobodnie... Niech ksiądz przebaczy...

Nikczemnik mówiąc to, ukląkł przed jałmużnikiem i złożył ręce błagalnie.

— Powstań—odrzekł ksiądz.—Oddawna przebaczyłem ci.—Zdziwiłem się, zobaczywszy cię tutaj, gdyż myślałem, że po stłumieniu komuny byłeś rozstrzelanym.

— Wiele wycierpiałem—odrzekł lotr, siadając na krześle.

— Podczas ostatnich dni powstania byłeś jeszcze w Paryżu...

— Nie, proszę księdza jałmużnika — odparł stanowczo.

— Więc nie w Paryżu aresztowano cię?

— Nie.

— A gdzie?

— W Champigny, dokąd schroniłem się.

— Być może, ale to niczego nie dowodzi. W nocy z dnia 27 na 28 maja byłeś jeszcze w Paryżu przy ulicy Saint-Maur.

— Nie, proszę księdza.

— W domu, w którym mieszkałeś, nr. 157... Dom ten palił się... Wszedłeś do pokoju, w którym leżała kobieta, po wydaniu dwojga dzieci na świat, Janina Rivat i pochwyciwszy kołyskę z dziećmi, uciekłeś z niemi.

— Ja!—zawołał Duplat—Ja!

— Tak, ty.

— Mylisz się ksiądz!

— Widziałem cię własnymi oczyma.

— Ksiądz widział mnie!

— Widziałem cię z drugiego pokoiku, w którym ukryłem się, sądząc, iż jestem ściganym i nie chcąc pozostawić nieszczęśliwej kobiety.

— Księdzu zdawało się, że widział mnie—odrzekł Duplat. — Musiał ksiądz widzieć kogoś podobnego do

mnie... Nie porywałem żadnej kołyski! Przysięgam księdzu, że naówczas nie byłem w Paryżu!

— Nie przysięgaj! Jestem pewnym tego, co mówię. Rysy twarzy twojej zanadto dobrze przechowały się w mojej pamięci, bym wziął kogo innego za ciebie.

— A jednak ksiądz omylił się... To nie ja byłem.

— Więc zaprzeczasz?

— Naturalnie!—Oskarża mnie ksiądz o występki, którego nie popełniłem. Dlaczego miałbym się dopuścić go? Miałbym tylko kłopot.

— Kto wie?—odrzekł ksiądz, patrząc mu w oczy.

Duplat nie spodziewał się tych słów, więc usłyszawszy je, zadrzał i omal nie utracił pewności siebie.

— Opowiada mi ksiądz rzeczy—odrzekł, odzyskując zimną krew—o których nawet we śnie nie marzyłem... Jeszcze na trzy dni przed upadkiem komunizmu uciekłem do Champigny i nie wracałem już do Paryża... nie mogłem więc być przy ulicy Saint-Maur!

— Wszystko to nie przekonywa mnie! — odrzekł ksiądz.—Przywołałem cię do siebie nie dlatego, by postąpić z tobą jak z nieprzyjacielem, nie myślę wcale zdradzać tajemnic twoich... Pragnę uwolnić duszę twoją od wyrzutów, które prędzej lub później odezwą się. Słuchaj, Duplat, żądam od ciebie tylko trochę litości nad biedną istotą, która przez tyle lat cierpiała z twego powodu. Nie opieraj się... kilku słowami możesz okupić wiele błędów...

— Cóż ja odpowiem księdzu?—rzekł Duplat, wrzuszając ramionami.—Więc mam skłamać? Nie zabierałem tych dzieci i nie widziałem ich! Nie wiem gdzie one są!

— Wiesz i jednym słowem mógłbyś powrócić spokój i szczęście biednej kobiecie. Janina Rivat, która cię dotychczas przeklinała, jeżeli oddasz jej dzieci, błogosławić cię będzie.

— U kroćset piorunów, ażeby je oddać, należy je mieć, a ja nie mam ich.

Grube krople potu spływały po skroniach księdza d'Areynes.

Okrutna, nieublagana zapamiętałość lotra przestraszała go i wywoływała wątpliwość we własne przekonanie.

Ksiądz zapytywał siebie, czy rzeczywiście nie omylił się.

Ale nie!... omyłka była niemożliwa, patrzył własnymi oczyma i poznał zbrodniarza.

Księdzu przysłała do głowy myśl, czy nazwisko *Servaise*, podpisane na deklaracji znalezienia dziecka, o czem wiedział od Rajmunda Schlossa, nie jest przybranem, utworzonym z imienia Duplata *Servais*.

Ale to dopiero jedna córka Janiny... a druga?

Podejrzanie jak błyskawica, przemknęło przez umysł księdza.

Jeżeli Henryka powiła dziecię nieżywe, kto wie, czy na miejsce jego, Rollin, pragnąc skorzystać z majątku hr. Emanuela, nie przedstawił drugiej córki Janiny Rivat.

Po tym człowieku wszystkiego spodziewać się można.

Ale jak przekonać się, jak wydobyć z ust zapamiętałego lotra to wyrzeczenie?

— Więc mówisz, że omyliłem się? — zapytał Duplata.

— Utrzymuję stanowczo.

— Twierdzenie nie jest jeszcze dowodem.

— I ksiądz nie znajdzie dowodu przeciwko mnie.

— Kto wie...

— Gdzież u dyabła ksiądz znalazł by go?

Tam gdzie on spoczywa. U Gilberta Rollinal



XXXVIII.

— Tracisz czas napróżno — pomyślał Duplat, a głośno odrzekł: — U p. Rollina! — nie rozumiem...

— A nadto — mówił dalej ksiądz, patrząc mu bystro w oczy — u p. Juliusza Servaise.

Cios wymierzony był z ręcznicą, mimo to hultaj zniósł go, nie drgnawszy.

— Juliusza Servaise? Nie znam tego nazwiska... pierwszy raz je słyszę.

— Obaj mogą objaśnić mnie, coś uczynił z dziećmi Janiny Rivat.

— Im więcej księdza słucham — odrzekł Duplat powstając — tem mniej rozumiem go.

— Zrozumiesz innie kiedyś...

— Wątpię.

— A ja jestem pewnym!

W tej chwili dozorca zapukał do drzwi, wszedł i oświadczywszy, że przybył dla zabrania Duplata do sędziego śledczego, w celu wybadania w sprawie zamachu na życie dozorca, uprowadził go z sobą.

— Udało mi się — myślał ex-kapitan po rozstaniu się z księdzem d'Areynes. — Zwęszył... sprawa bierze zły obrót...

Po przywiezieniu Duplata do Pałacu Sprawiedliwości, zamknięto go w jednej z cel, w których więźniowie oczekują na wezwanie sędziego.

Podczas kilkogodzinnej samotności ex-kapitan nie mógł uwolnić się od myśli smutnych.

— Znosi się na rzecz brzydką. Niema innego sposobu... trzeba będzie uprzętać tego klechę i ostrzedz przyjaciół w Fenestranges. Ach, gdybym mógł wyrwać się ztąd.

Zaczął myśleć o sposobach ucieczki.

Było to zadanie trudne, gdyż strzeżono go dobrze

Słosty bliźniaczki.

Dopiero o pół do szóstej wieczorem wezwano go do sędziego śledczego, a o pół do siódmej zamknięto znowu w wozie więziennym w celu odwiezienia do la Roquette.

Noc była zimna i ciemna, nadto padał drobny deszcz.

Wóz szybko ruszył z miejsca i potoczył się drogą zwykłą: przez wyspę św. Ludwika, bulwar Henryka IV, plac Bastylli i ulicę la Roquette, na końcu której położone było więzienie.

Ponaglone głosem woźnicy konie pędziły klusem wyciągniętym.

Ulica la Roquette, stanowiąca jedną z największej ożywionych arteryj komunikacyjnych, była zwykle zapchana rozmaitego rodzaju wozami, przybywającemi z pięciu stron miasta, o tej zaś godzinie ruch ten wzmagaly gromady powracających z warsztatów robotników i wprowadzane do remiz wozy transportowe.

Zaledwie wóz z więźniami wjechał w tę ruchliwą arterję, z ulicy Lappe, ogromny, zaprzężony w trzy konie i naładowany zbożem wóz wypadł na niego z taką szybkością, że obaj woźnice nie zdołali powstrzymać biegu koni.

Nastąpiło uderzenie straszne.

Wóz więzienny zachwiał się, rozległ się trzask łamanych desek, pudło, mieszczące w sobie przegródki dla więźniów zostało rozbite, woźnica spadł na bruk, jeden koń padł ze złamaną nogą.

Dozorca, pilnujący więźniów z tyłu wozu otrzymał ciężką ranę w lewą rękę, siedzący zaś obok woźnicy, również spadł na bruk i rozbił sobie głowę.

Znajdujący się w przedziałach więźniowie zaczęli krzyczeć z przestachu i bólu, a wrzaski i jęki ich ściągnęły tłumy przechodniów.

Kupcy powybiegali ze sklepów, nastąpił rejwach

nie do opisania; widzowie, zapominając, że ofiarami są złodzieje i zabójcy, natarczywie domagali się otworzenia budy i wypuszczenia więźniów w celu udzielenia im ratunku.

Z każdą chwilą tłum wzrastał i powiększał się zamęt.

— Otwórzcie!—wołano ze wszystkich stron—czy nie widzicie, że tam ludzie umierają!

Dozorca, ustępując pod groźnem naleganiem tłumu, choć mocno potłuczony, podniósł się i otworzył drzwi budy, z której wyszło kilku więźniów zakrwawionych.

Duplat znalazł się na bruku pierwszy i pomimo niebezpieczeństwa nie stracił zimnej krwi.

Zamierzona ucieczka stała się teraz możliwą.

Znał doskonale tę dzielnicę miasta, więc skoro znalazł się w tłumie, powoli, by nie zwrócić na siebie uwagi, jak wąż przeslizgnął się przez gromady ludzi i zwrócił się w ulicę Lappe.

Gdy na pomoc dozorczy nadbiegło kilku policyantów, by przeszkodzić ucieczce więźniów, którzy z wypadku tego wyszli cało, Serwacy Duplat był już daleko.

W kwadrans później znajdował się na ulicy Baulets pod zakładem Palmiry.

Podszedł do okna i zobaczywszy zaledwie parę osób na sali, lekko zapukał.

Siedząca za kontuarem Palmira podniosła głowę i poznała go.

Zeuwała się z siedzenia i wyszła na ulicę.

— Więc to ty!—zawołała.

— Cicho! nic nie mów!—odrzekł—pójdź na górę, otwórz mój numer i przynieś mi świecę, oraz „Przewodnik kolejowy“.

Wszedł za nią na korytarz, a gdy przyniosła świecę i książkę udali się oboje do numeru.

— Powiedz mi...—zaczęła

— Niema teraz czasu na opowiadanie—przerwał. Uciekłem z więzienia... Daj mi moje pieniądze, przygotuj bieliznę, ubranie, obuwie, pled, kapelusz i wszystko co potrzebne do podróży.. Tylko śpiesz się...

Gdy Palmira przygotowywała powyższe rzeczy, Duplat tymczasem wypisywał z „Przewodnika“ godziny odejścia do Nancy pociągów kolejowych.

— Dobrze — szepnął — mogę odjechać o pół do dziewiątej.

Przebrał się, schował do kieszeni pugilares z pieniędzmi, zwinął w węzełek ubranie więzienne, uściśnął Palmirę i wyszedł.

Na ulicy rzucił w otwór kanałowy pakiet, jak niegdyś mundur oficera komuny, wsiadł do dorożki i odjechał na kolej żelazną.

W chwili, gdy pociąg ruszał ze stacyi, jeden z dozorców zawiadomił księdza d'Areynes o ucieczce Duplata.

Wiadomość ta wywarła na jałmużniku wrażenie bolesne.

W pałacu Fenestranges wszystko szło według woli Gilberta i jego współnika, mniemanego Granceya.

Róża, przekonana, że jest córką Rollina, przyswajała się powoli do nowego życia.

Rozumiejąc, że edukacja jej była zaniedbaną, przynajmniej nie odpowiednią do stanowiska jakie miała zająć w świecie, chętnie poddawała się radom i naukom swoich *wychowawców*, którzy nie szczędzili jej rad dobrego tonu i właściwego zachowywania w towarzystwie.

Przedewszystkiem nie powinna nigdy mówić o swej

przeszłości i wychowaniu w zakładzie dobroczynnym, a na dawane jej pytania odpowiadać wymijająco.

Zresztą małżeństwo jej z wice-hrabią Granceyem, który chociaż nie wzbudził w niej miłości rzeczywistej, lecz podobał się wielce, odwróci od niej uwagę ciekawych.

Postanowiono wkrótce powrócić do Paryża i ceremonię ślubu odbyć bez żadnej wystawności z udziałem obłąkanej Henryki, następnie opuścić Francję na czas dłuższy i podróżować za granicą.

### XXXIX.

Pomimo zmienionych warunków życia Róża nie zapomniała o swej *mamie Janinie*.

Wielokrotnie prosiła Gilberta o pozwolenie napisania do niej, ale zawsze otrzymywała odpowiedź, że korespondowanie z Janiną wobec potrzeby pokrycia przeszłości zupełną tajemnicą, byłoby nieroztropnością, gdyż Janina mimo swej woli [mogłaby ją skompromitować. Po powrocie do Paryża Gilbert pozwoli jej odwiedzić Janinę i w dowód życzliwości nawet uczynił co dla niej.

Wspólnicy pragnąc dowiedzieć się, czy wdowa mówiła co Róży o swym protektorze, zapytywali ją w tej kwestyi, ale dziewczyna prawie nic o nim nie wiedziała; znała tylko jego nazwisko.

— To krewny twej matki—rzekł Gilbert—prawie nie utrzymuję z nim stosunków.

Na pytanie zaś czy zobaczy p. Servaise, Gilbert odrzekł:

— Pan Servaise przebywa w Ameryce i zdaje się, że nigdy nie wróci już do Francyi.

Nie było żadnego powodu do przedłużania poby-

tu w Fenestranges, projekt zaś małżeństwa wymagał powrotu do Paryża.

Nic już nie stoi nam na zawadzie—mówił Grancey do swego współnika.—Róża, a raczej Marya Blanka, zostawszy moją żoną, będzie widywała tylko te osoby, które dopuścimy do niej. Zresztą podobieństwo jej do siostry jest tak uderzającym, że nikkomu nie przyjdzie go głowy myśl podstawienia.

— I ja tak myślę — odrzekł Gilbert. — Należy przyjąć nową służbę na miejsce uwolnionej i poczynić przygotowania na nasze przyjęcie w pałacu. W apartamencie Maryi Blanki znajduje się wiele przedmiotów dowodzących, iż mieszkała w nim młoda kobieta. Należy to usunąć.

— Masz słusność, biorę to na siebie. Jutro pojedę do Paryża i jeżeli chcesz, to najemę ci służbę.

— Bardzo chętnie.

— Kogóż mam ugodzić?

— Odźwiernego, pokojową, lokaja, woźnicę i kucharkę. Na teraz będzie dość.

Róża powiadomiona o postanowieniu rychłego wyjazdu, ucieszyła się wielce, zwłaszcza na myśl, że wkrótce zobaczy swą ukochaną mamę Janinę.

Gilbert, Granceyi i Róża siedzieli w salonie, gdy wszedł lokaj i oświadczył, że przybył jakiś pan i pragnie zobaczyć się z wice-hrabią.

— Ze mną!—zawołał Grancey zdziwiony.

— Tak, panie wice-hrabio.

— Ja nie znam tutaj nikogo.

— Ten pan nie tutejszy, przybył z Paryża.

Gilbert i Grancey spojrzeli po sobie.

Ta niespodziewana wizyta zaniepokoiła ich.

— Zaprowadź tego pana do apartamentu pana wice-hrabięgo—rzekł Gilbert do lokaja.

Wspólnicy opuścili salon i udali się do gościa.

— Servacy!—zawołał Gilbert zdziwiony.

— Ty, tutaj!—dodał Grancey.—Co się stało?

— Złe się dzieje — odrzekł Duplat. — Może być  
bieda. Czy można tu mówić bezpiecznie?

— Możesz mówić.

— Przedewszystkiem powinniście wiedzieć, że  
uciekłem z więzienia.

— Więc byłeś w więzieniu?

— Do wczorajszego wieczora. Skazano mnie na  
trzydzieści miesięcy za samowolne wydalenie się z miej-  
sca zamieszkania i osadzono w la Roquette.

— I to wszystko stało się w przeciągu dwóch  
tygodni?

— Co chcecie? Sądy rozstrzygają teraz sprawy  
za pomocą elektryczności.

— Jakże to się stało?

— Posłuchajcie.

Duplat stłumionym głosem opowiedział przestra-  
szonym współnikom szczegóły swego aresztowania, po-  
bytu w więzieniu i ucieczki.

— Duplat ma słusność. Jesteśmy zgubieni—  
rzekł Gilbert.

— Zgubieni!—odparł Grancey—chyba żartujesz.  
Musimy iść do celu. Należy usunąć tę ostatnią prze-  
szkodę! Powtórz mi ostatnie słowa księdza, odnoszące  
się do Gilberta i córek Janiny.

— Na zapytanie moje gdzie znajdzie dowód, od-  
powiedział: U p. Gilberta Rollina i u Juliusza Servaise'a.  
Gilbert zbladł jak trup.

— Niema wątpliwości—szepnął — wie o wszyst-  
kiem.

— Nic nie wie!—odparł Grancey.—Domyśla się,  
przypuszcza, ale nie ma najmniejszej pewności.

— Szuka i może znaleźć...

— Więc nie dajmy mu czasu do znalezienia.

— Jakim sposobem?

— Przedewszystkiem należy wracać jak najspieszniej do Paryża. Pojechałbym dziś jeszcze, gdyby nie było za późno.

— Dobrze, jadę z tobą — rezolutnie oświadczył Duplat.—Daj mi tylko możność zmylenia czujności agentów, którzy mnie tam teraz szukają...

— Mam bardzo dobrą myśl.

— Więc zgoda, jedziemy jutro. A Gilbert?

— W trzy dni po nas przyjedzie ze swoją małą.

— Więc dała się wziaść?

— Ale jak! Za miesiąc nowa Marya Blanka będzie wice-hrabiną de Grancey.

— I dostaniemy pieniądze! Hura!—zawołał Duplat.

Poczem zmieniając ton i pocierając ręką żołądek, dodał:

— Ale ja nie jadłem obiadu i dyabelnie jestem głodny.

— Zjesz obiad i przenocujesz w oberży na wsi... Zaprowadzę cię tam.

— W oberży?—odrzekł krzywiąc się Duplat.— Dla czegoż nie tutaj?

— Dla tego, że mogłaby zobaczyć cię Marya Blanka.

— Masz słuszość. Więc chodźmy.

Grancey zaprowadził Duplata do oberży odległej od pałacu o kwadrans drogi, kazał mu podać obiad i zamówił powóz na dzień następny.

Nazajutrz wczesnym rankiem odjechali do Nancy.

Po spożyciu śniadania w restauracyi, Grancey płacąc Garsonowi należność z dodatkiem hojnego napiwku, zapytał:

— Czy niema w Nancy jakiego magazynu z ubraniami księżowskimi? Jeden z moich krewnych wstępuje do stanu duchownego i prosił mnie o przysłanie sukni i innych rzeczy.



— Jest taki magazyn obok katedry — odrzekł garson.

— Dziękuję ci. Pamiętaj o mojej walizce, po którą przyjadę później. O której godzinie odchodzi stąd do Paryża pociąg pospieszny?

— O dziesiątej wieczorem, przybywa zaś do Paryża o piątej rano.

— Dobrze. Będiesz tak dobrym i zamówisz mi na stacyi przedział w wagonie sypialnym i wykupisz bilety. Oto masz pieniądze.

Wyjął z pugilaresu dwa bilety stufrankowe, podał je garsonowi, poczem zapalił cygaro i wraz z Duplatem wyszedł z restauracyi.

— Zrozumiałeś? — zapytał na ulicy.

— Doskonale! Chcesz przebrać mnie za klechę. To dowcipne...

Na placu katedralnym znaleźli wskazany sobie magazyn i zażądali kompletnego kostyumu księżowskiego, zaczawszy od trzewików i skończywszy na kapeluszu.

— Proszę wziąć miarę na tego pana — dodał Grancey, wskazując Duplata — gdyż ma zupełnie tę samą figurę i jest tego samego wzrostu co ksiądz, dla którego ten kostyum przeznaczony.

Krawiec wziął miarę i wybrał kostyum, poczem Grancey zapłacił należność i rzekł.

— Proszę odesłać na stacyę kolei żelaznej i oddać szwajcarowi.

Po wyjściu od krawca Grancey udał się do księgarni i kupił brewiarz.

— Jesteś zachwycającym, o wszystkim pamiętasz! — rzekł Duplat, chowając książkę do kieszeni. — Mimo to wszystko brak mi będzie czegoś...

— Czego?

— Tonsury.

Siostry bliźniaczki.

— Bądź spokojnym, zaraz będziesz ją miał.

Rozmawiając po drodze, zaprowadził towarzysza swego na plac teatralny i rozejrzał się w sztyldach.

— Jest—rzekł, wskazując sklep z napisem: *Fryzyer teatralny*.

Obaj przyjaciele weszli do zakładu.

## XL.

— Panie—rzekł Grancey do fryzyera — jesteśmy artystami teatralnymi, jedziemy ze Strassburga i udajemy się do Château-Thierry, gdzie jutro wieczorem mamy wystąpić w sztuce *Ksiądz Konstanty*.

— I nie mają panowie peruki do roli głównej?— odrzekł fryzyer.

— Mielśmy, a raczej miał mój towarzysze, ale stracił ją. Zbliżył zanadto głowę do płomienia gazowego i spalił... Czy niema pan peruki już gotowej?

— Mam i do tego zupełnie nową. Niech panowie siadają.

Wyjął z szafy perukę i pokazując ją przybyłym, zachwalał:

— Niech-no panowie patrzają... co to za robota artystyczna! To arcydzieło! Sama natura mogłaby pozazdrościć!...

— Rzeczywiście robota dobra, lecz czy będzie pasowała?

— Ręczę za to! Zresztą w dziesięć minut dopasuję. Duplat zdjął kapelusz i nadstawił ogoloną głowę. Peruka rzeczywiście przylegała doskonale, jak gdyby była robioną umyślnie dla niego.

Zapłacili i wyszli.

O dziesiątej, po odebraniu kostiumu od szwajcara siedzieli już w pociągu unoszącym ich do Paryża.

Przed przybyciem do Château-Thierry Duplat

ubrał się w kostyum duchowny i przez okno wagonu wyrzucił ubranie cywilne.

W przebraniu tem zmienił się tak dalece, że najsprytniejszy agent policyjny nie poznałby w nim zbiegłego z la Roquette.

O piątej przybyli do Paryża, przespali się do dziewiątej w mieszkaniu Granceya, poczem rozstali się, postanowiwszy zejść się na śniadanie w restauracyi, położonej naprzeciwko pałacu Luksemburskiego.

Grancey posiadając wręczone mu przez Gilberta klucze, udał się do pałacu przy ulicy Vaugirard w celu usunięcia śladów pobytu Maryi Blanki, zaś Duplat zajął się wyszukaniem sobie mieszkania, w którem mógłby się ukryć przed poszukiwaniem policyi.

Na ulicy Bonaparte w pobliżu kościoła św. Sulpicyusza spostrzegł na drzwiach domu kartę z napisem:

*Cztery pokoje do wynajęcia, z meblami lub bez mebli.*

Poszedł do loży odźwiernego i zapytał o cenę.

— Tysiąc dwieście franków z meblami. Meble orzechowe, skromne, są do sprzedania bardzo tanio, z powodu wyjazdu właściciela.

— Najmę mieszkanie i kupuję meble—oświadczył fałszywy ksiądz.—Oto zadatek na meble i dla pana na piwo. Resztę zapłacę po sprowadzeniu się wieczorem. Proszę uprzątnąć lokal i przygotować pokwitowanie.

— Na czyje nazwisko?

— Księdza Kacpra Liberta—odrzekł Duplat.

— Wszystko będzie gotowe—odrzekł odźwierny,

kłaniając się z uszanowaniem.

Zafatwiwszy się z mieszkaniem Duplat pojechał do biura najmu służących w celu ugodzenia służby dla Gilberta Rollina.

Tymczasem Grancey czynił porządek w mieszkaniu zajmowanem niedawno przez Maryę Blanę.

Sciągnął z poddasza trzy walizy puste i złożył w nie suknie, futra, okrycia, bieliznę, kapelusze, obuwie, rozmaite przedmioty toaletowe i t. p. rzeczy, brylanty zaś i kosztowności upakował w skrzyneczkę, którą zamknął starannie i odniósł do gabinetu Gilberta.

Skończywszy tę czynność udał się do restauracyi, w której oczekiwał na niego Duplat, lecz nie zastał go jeszcze, gdyż były kapitan po znalezieniu kantoru najmu służby wstąpił jeszcze na ulicę Férau zasięgnąć wiadomości o Janinie Rivat.

— Niema—odrzekła odźwierna—podróżuje z panną Różą.

Odpowiedź ta uspokoiła Duplata, dowodziła bowiem, że nie domyślano się niczego.

Gdy przybył do restauracyi, oczekujący na niego Grancey kazał natychmiast podać śniadanie i zapytał:

— Cóż, najależ mieszkanie?

— Nająłem przy ulicy Bonapartego i kupiłem meble.

— Postąpiłeś praktycznie. Czy nie można będzie umieścić w niem trzech waliz z ubraniem Maryi Blanki?

— Nawet sześć.

— A służba dla Rollina?

— I to ułatwiłem. O godzinie czwartej będą już wszyscy w pałacu.

— Dobrze. Przed przybyciem ich przewieziemy walizy do ciebie.

Grancey postanowił do czasu przybycia Gilberta . Róży zamieszkać w pałacu, ażeby mieć nadzór nad nowo przyjętą służbą, zresztą uważał się tam, jak w domu własnym.

Ugodzeni służący stawili się na oznaczoną godzinę.

Naprzód przybył odźwierny, stary żołnierz, czerstwy jeszcze pomimo sześćdziesięciu lat życia, z kilko-

ma medalami na piersiach za wojnę krymską, włoską i inne.

Następnie woźnica, który, gdyby wierzyć świadectwom, miał nietylko doskonale powozić, lecz nadto trenować konie; po nim nadjechała kucharka, osoba okazała, znająca wszystkie tajemnice kuchni i piekarni i w końcu kamerdyner, człowiek wielce poważny, bokobrodami angielskimi i młoda pokojowa, napozór łagodna i skromna.

Grancey, jako przedstawiciel Rollina i jego przyszły zięć, objaśnił ich o obowiązkach, dał pieniądze kucharce i polecił na godzinę siódmą wieczorem przyrządzić obiad, na który miał przybyć jego przyjaciel czcigodny ksiądz Libert.

Po obiedzie, który rzeczywiście okazał się bardzo dobrym, Duplat i były dependent rozstali się i udali na spoczynek.

Mieli się zejść nazajutrz na śniadanie o pół do dwunastej.

Fałszywy wice-hrabia Grancey nie mylił się przypuszczając, że ucieczka Duplata powstrzyma księdza d'Areynes na jakiś czas od poszukiwania córek Janiny Rivat.

Rzeczywiście, wypadek ten związał księdzu ręce i popsuł plany.

Zwrócić się do Gilberta?

Oburzy się i zapyta na jakiej podstawie oskarżają go o podobną zbrodnię.

Tymczasem podstawy i dowodów mógł udzielić jedynie Duplat, gdyby zechciał przyznać się, lecz cóż skoro go niema?

Z swej strony były dependent rozumował:

— Uprzątnięcie Janiny Rivat uniemożliwiło na zawsze odkrycie prawdy. Janina nie żyje, może nawet nie odszukają jej ciała... Duplat w nowem przebraniu jest zupełnie bezpiecznym... Marya Blanka zgaśnie powoli w domu zdrowia w Joigny... Henryki Rollin nie ma powodu obawiać się... jest obłąkaną, więc prawie nie istnieje.

Można spać spokojnie, zje dyabła ten klecha, czy trafi na jaki ślad...

Nazajutrz po przybyciu do Paryża otrzymał Grancey depeszę od Gilberta, że lekka niedyspozycja jego córki na kilka dni opóźni przyjazd ich do Paryża.

— Czyżby się przestraszył w ostatniej chwili?— zapytał Duplat.—Szkoda, gdyż może nam być potrzebnym.

— Gdy chodzi o wygotowanie mojego planu, to wolę, że go tu nie będzie. Obejdziemy się bez niego.

— Więc masz już plan gotowy?

— Jeszcze nie zupełnie.

— Obmyślimy niektóre szczegóły po powrocie z kościoła św. Sulpicyusza, dokąd pójdziemy wysłuchać kazania księdza d'Areynes.

— Mam wysłuchać kazania! — zawołał Duplat wystraszony.

— Trudno, to rzecz konieczna.

— Skoro potrzeba, więc poddaję się—odrzekł łotr z westchnieniem.

Wieczorem obaj współnicy przebrani w suknie księżowskie byli na kazaniu księdza d'Areynes.

## XLI.

Grancey i Duplat po rzuceniu ciała Janiny Rivat w Sekwanę, nachylili się nad rzekę, aby przekonać

się, czy padło w wir wodny, zauważony przez nich dnia poprzedniego.

Wtedy Duplat, jeżeli przypominają sobie czytelnicy—nagle drgnął, usłyszawszy w ciszy nocnej jakiś szelest, dochodzący z brzegu przeciwległego.

— Ktoś wiosłuje—szepnął do Granceya.

— Pewnie jaki rybak zapóźniony—odrzekł wicehrabia.

I ścieżką holowniczą udali się do Melun.

Nie mylili się obaj, gdyż rzeczywiście byli to rybacy, u drugiego brzegu zajęci połowem ryb. Krzyk Janiny, wydany na widok zbliżającego się Duplata, zwrócił ich uwagę.

Krzyk powtórzony, wywołany uderzeniem pałki, przejął rybaków przestraczem.

Przysłuchując się z powstrzymywanym oddechem, usłyszeli następnie upadek jakiegoś ciała w wodę.

— Tam mordują kogoś — szepnął jeden z rybaków.—Płynmy tam.

Zaledwie zaczęli robić wiosłami, usłyszeli echo oddalających się kroków.

— Kieruj na prawo—rzekł jeden z rybaków—widzę jakąś czarną plamę.

Wkrótce dopłynęli do brzegu.

— Stój!—zawołał stojący na przedzie łodzi, z wyciągniętymi przed siebie rękami i nachylił się nad wodą.

— Cóż?—zapytał wiosłarz.

— To jakaś kobieta—odrzekł stojący.—Całe ciało w wodzie, głowa tylko na powierzchni. Spódnica zaczepiła się o gałęzie i tylko dzięki temu nie pochwycił jej wir. Przywiąż łódź do słupa i zapal latarkę.

Wciągnięto ofiarę na łódź i ułożono na pokładzie. Twarz jej była blada i zbroczonea krwią.

— Widzisz—odezwał się jeden z rybaków—mó-

wilem, że to zabójstwo. Nie traćmy czasu i płynięty do La Cave.

Odczepili łańcuch, siedli na ławkach i popłynęli z biegiem Sekwany.

La Cave jest małą wioską, złożoną zaledwie z dziesięciu domów i należącą do gminy Bois-le-Roi.

Rybacy, którzy wyciągnęli z wody ciało Janiny, byli braćmi i nazywali się August i Wiktor Lerot.

Starszy, August, pełnił obowiązki stróża rzecznego, młodszy zaś Wiktor był dzierżawcą rybolówstwa i miał restaurację, wielce nawiedzaną latem, lecz podczas zimy zupełnie pustą.

Po przybyciu do przystani bracia wzięli Janinę na ręce i zanieśli do restauracji.

Żona i córka Wiktorya, piętnastoletnia dziewczyna, spały już oddawna.

— Ona nie żyje już—zawołał August.

— Zdaje mi się, że tylko zemdlona... serce bije... Biegnij czempredzej do Bois-le-Roi po lekarza, ja tymczasem obudzę żonę i córkę.

W parę minut Janina przebrana przez kobiety, leżała już w ciepłym łóżku, a po upływie kwadransa, August w towarzystwie lekarza i żandarma wszedł do restauracji.

— Rana, sprawiona uderzeniem—zaopiniował lekarz po zbadaniu głowy Janiny—wywołała wielki wpływ krwi nosem i uszami.

— Czy żyje?—zapytał żandarm.

— Żyje, ale nie wiem, czy będzie co z niej, jeżeli ma czaszkę strzaskaną. Jutro przy świetle dziennem będę mógł lepiej zbadać ranę, tymczasem obmyję ją i przewiążę.

Po dokonaniem opatrunku Janina zaczęła oddychać swobodniej, lecz oczy miała zamknięte.



— Jeżeli odzyska przytomność, czy będę mógł ją wy badać?—zapytał żandarm.

— Nie należałoby, ale nie zdaje mi się, by do rana mogła co odpowiedzieć. Sporządź pan tylko protokół.

— Zaraz zajmę się tem, tylko chciałbym przedtem wiedzieć, czy nie zna jej kto z rodziny Lerat.

Rybak, jego żona i córka oświadczyli, że rannej nie widzieli nigdy.

— Może w kieszeni—odezwał się lekarz—znajdzie się jaki papier objaśniający o jej osobistości.

Przepatrzone kieszenie, lecz nic nie znaleziono. Duplat był ostrożnym.

Lekarz odszedł, przyrzekając powrócić następnego dnia rano, zaś żandarm w towarzystwie rybaka udał się na miejsce spełnionej zbrodni, lecz i tam nie znalazł żadnego śladu zabójców.

Gdy nazajutrz żandarmi wraz z merem przybyli do oberży, zastali już lekarza siedzącego przy łóżku rannej, która miała już oczy otwarte, lecz była nieprzytomną.

Lekarz wlał jej w usta dozę przyniesionego z sobą lekarstwa, poczem zdjął nałożony w nocy bandaż i po przyjrzeniu się ranie rzekł:

— Kobiecie tej robiono niedawno operację. Wspomnę o tem w protokule. Czaszka jest cała, ale może wywiązać się zapalenie mózgu.

— Więc ta kobieta jest chorą, niebezpiecznie?—zapytał mer.

— Bardzo niebezpiecznie i jeżeli odzyska zdrowie, to będzie dowodem, że ma duszę rogatą.

— Cóż my z nią zrobimy?

— Teraz nic, dopóki prokurator nie zarządzi śledztwa. Musimy pozostawić ją tutaj.

Zawiadomiony telegramem prokurator przybył  
Siostry bliźniaczki.

w parę godzin, lecz naturalnie nie mógł rozwiązać zagadki.

Wysłano do kilku dzienników wiadomość o dokonanej zbrodni według opowiadania braci Lerot i ryśopis ofiary.

Chorą pozostawiono w obojętym pod dozorem lekarza.

\* \* \*

Kościół św. Sulpicyusza, oprócz drzwi frontowych posiada nadto trzy inne szerokie wejścia, otwierane zwykle podczas większych uroczystości lub znacniejszego napływu wiernych.

Pierwsze z tych wejść, do których z zewnątrz wiodą schody, złożone z dziesięciu stopni, wychodziły na ulicę Palatine, zaś dwa pozostałe, mieszczące się po obu stronach kaplicy Matki Boskiej, służą dla pobożnych przybywających z ulicy Garancière.

Wszystkie te drzwi zamykają się automatycznie.

Zakrystya położona jest przy wejściu od ulicy Palatine, w równej odległości od kaplicy i od drzwi wychodzących na ulicę Garanciere.

Gdy ksiądz d'Areynes miewał kazanie w kościele św. Sulpicyusza, co zdarzało się dość często, zwykle po zejściu z ambony zachodził do kaplicy Matki Boskiej, gdzie ukląkłszy na stopniach ołtarza, modlił się przez kilka minut. Późem, gdy zakrystyan gasił już światła, wychodził na ulicę Garanciere i dorożką odjeżdżał do swego mieszkania.

Prawie zawsze wychodził ostatni.

Grancoy i Serwacy Duplat wiedzieli o tem, gdyż przez kilka dni z rzędu zachodząc do świątyni w przebraniu duchownem, zauważyli te szczegóły i wystudowali jej rozkład wewnętrzny.

## XLII.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia.

Od tygodnia już jałmużnik więzienia la Roquette miewał wieczorem w kościele św. Sulpicyusza konferencye, na które przybywało wielu pobożnych, pragnących słyszeć mowę, którego słowa trafiały wszystkim do duszy.

W wigilię Bożego Narodzenia napływ wiernych był większym niż zazwyczaj.

Wspaniała świątynia szczelnie była zapelniona, pod sklepieniem rozlegały się uroczyste dźwięki organów i śpiew.

Duplat i Grancey ulokowali się oddzielnie po obu stronach wejścia.

Obaj zakrywszy twarz rękami, wydawali się po zagrożonymi w modlitwie.

Gdy ucichły ostatnie dźwięki organów, ksiądz d'Areynes ubrany w komżę i stulę wyszedł z zakrystyi i udał się na ambonę.

W kościele nastąpiła cisza.

Mówca słowami prostemi, lecz obrazowo, wypowiedział ten poemat wspaniały, zaczawszy od stajenki betlejemskiej aż do pagórka Golgoty, poemat cudowny, według którego Bóg zaprzagnął dla zbawienia świata urodzić się na słomie i umrzeć na krzyżu.

Gdy skończył, oczy wzruszonych słuchaczy pełne były łez.

Kościół szybko zaczął opróżniać się.

Jałmużnik powrócił do zakrystyi, gdzie parafialne duchowieństwo winszowało mu wymowy.

Wtedy Grancey wszedł do kaplicy Matki Boskiej oświetlonej już tylko wiszącą u sklepienia lampą i ukląkł na klęczniku, stojącym blisko ołtarza.

Gaszono świece w całym kościele i główne drzwi frontowe zamknięto.

Duplat również opuścił miejsce, zajmowane od początku nabożeństwa i ukląkł na klęczniku pod wielką arkadą, z kądem mógł widzieć kaplicę Matki Boskiej.

W świątyni, nagle pogrążonej w ciemności, słychać było tylko powolne kroki zakrystyana z lampką w ręku, obchodzącego kościół i ustawiającego na swe miejsca powysuwane krzesła.

Nagle ksiądz d'Areynes wyszedł z zakrystyi, pośpieszył do kaplicy Matki Boskiej i ukląkł na pierwszym stopniu ołtarza.

Wtedy Duplat powstał pocichu i stanął u drzwi z lewej strony kościoła.

Obejrzał się wokoło i przekonawszy się, że nie ma nikogo, uchylił nieco drzwi.

Grancey powoli podniósł się z klęcznika i będąc oddalonym od jałmużnika zaledwie o jeden krok, przygotowanym zawczasu nożem zadał mu cios pomiędzy łopatkami.

Ksiądz d'Areynes nie wydawszy najmniejszego jęku, osunął się na stopnie ołtarza.

Morderca pospiesznie oddalił się ku uchylonym drzwiom i wraz z Duplatem wyszedł na ulicę.



W parę dni po dokonaniu tej zbrodni, Grancey ubrany w kostyum zwykły, wraz z swym współnikiem fałszywym księdzem Libert, udał się do pałacu przy ulicy Vaugirard, z kądem następnego dnia wysłał na stację kolei żelaznej powóz po Gilberta i Maryę Blanę, których przyjazd zapowiedziany był na godzinę jedenastą.

Przyszły zięć Rollina przedstawił mu i Blance

księdza Liberta jako swego krewnego, przybyłego z prowincyi na kilka miesięcy do Paryża.

Po śniadaniu Gilbert odprowadził córkę do jej apartamentu, poczem powrócił do swego gabinetu, gdzie obaj zbrodniarze złożyli mu sprawozdanie ze swych czynności od chwili powrotu do Paryża.

Gilbert był wytrawnym hultajem, mimo to nie mógł słuchać tego opowiadania bez dreszczu zgrozy.

Dzienniki wieczorne, w artykułach, zatytułowanych: „Zbrodnia w kościele św. Sulpicyusza“, podały opis wypadku w słowach mniej więcej następujących:

„Nocy wczorajszej służba, obchodząc kościół św. Sulpicyusza, znalazła na stopniach ołtarza, zbroczonego krwią księdza d'Areynes, jałmużnika szpitala la Roquette, który przewieziony do swego mieszkania, do tychczas nie odzyskał przytomności.

Lekarze niewielką czynię nadzieję utrzymania go przy życiu. Powód zbrodni niewiadomy, śledztwo rozpoczęte. O rezultacie poszukiwań policyi powiadomimy czytelników.“

— Tem gorzej dla niego—rzekł Grancey po przeczytaniu tych słów—sam sobie winien! Za wiele wiedział! Teraz nie mamy powodu obawiać się go. Możemy przyspieszyć mój ślub.

Tego zdania był i Gilbert Rollin.

Dziwny zbieg okoliczności! I dzisiaj jak przed ośmnastu laty Raul d'Areynes i Janina Rivat jednocześnie znajdowali się o krok od śmierci!...

Lucyan Kernoël straszna tę wiadomość przeczytał w chwili, gdy wybierał się na ulicę Tournelle dla powiadomienia księdza o rychłym wyjeździe swym do Joigny. otrzymał bowiem od d-ra Giraux depezę z prośbą o przyspieszenie swego przyjazdu o kilka dni.

Przeczytawszy powiadomienie o zbrodni, zdrzął ze zgrozy; od najmłodszego dzieciństwa kochał on

księdza d'Areynes jak własnego ojca, więc katastrofę tę odczuł bardzo boleśnie.

Wybiegł z domu i dorożką popędził na ulicę Tournelle.

— Więc to prawda?—głosem zdławionym zapytał Schlosa.

— Prawda.

— Nie żyje?

— Żyje, ale lekarze niewielką mają nadzieję.

— Czy mogę zobaczyć go?

— Niepodobna. Lekarze nikomu nie pozwolili wchodzić do jego pokoju.

— Cóż oni mówią?

— Mówią, że dopiero za dwa lub trzy dni będą mogli objawić swą opinię.

— Czy wiadomo kto dopuścił się zbrodni?

— Niewiadomo i nawet niema żadnego śladu. Teden ksiądz d'Areynes mógłby objaśnić policyę, ale jest nieprzytomnym.

— Ale może kogo podejrzewają?

— Kogóż mogą podejrzewać? Ksiądz nie miał nieprzyjaciół.

— Panie Rajmundzie — rzekł Lucyan — mam do ciebie prośbę. Wkrótce muszę jechać do Joigny, gdyby więc zaszło coś niespodziewanego, bądź łaskaw natychmiast zawiadomić mnie depeszą.

— Bardzo chętnie.

Lucyan uściskał rękę Rajmunda i odjechał do siebie.

Podczas gdy policya bezskutecznie szukała śladu zbrodniarzy, ci tymczasem czując się bezpiecznymi, układali plany zbrodni nowej, mianowicie doprowadzenia do skutku małżeństwa wice-hrabiego Granceya z Maryą Blanką.

Dziewczyna pragnęła zobaczyć swą matkę i niepodobna było oprzeć się temu żądaniu.

Gilbert zawiózł ją domu zdrowia, lecz widzenie to wywarło na nią wrażenie okropne.

Henryka nie poznała jej, nawet odtrąciła jej pocałunki.

Róża doznała głębokiego zawodu i smutku.

Widok obłąkanej, nieczulej, chłodnej, wywołał w jej pamięci obraz *mamy Janiny*, która nawet przed odzyskaniem zmysłów kochała ją i okazywała swą miłość.

Czyż mogła pozostać niewdzięczną i nie myśleć o tej, która dała jej przytułek u siebie wtedy, gdy Róża była tylko dzieckiem znalezionem, zbiegłą infirmerką ze szpitala w Blois?

Pojmowała dobrze, że nowa jej pozycja będzie ją w tej mierze krępowała, lecz miała nadzieję, że wzięwszy się do rzeczy zręcznie, przezwycięży trudności.

Zwierzyła się w tej kwestyi narzeczonemu, który przyrzekł jej natychmiast zająć się biedną kobietą, udać się osobiście do jej mieszkania i przywieźć ją do pałacu, z warunkiem zachowania tajemnicy przed Gilbertem.

Nie potrzebujemy dodawać, [że wspólnik Duplata i Rollina nie myślał wcale zgłaszać się na ulicę Férou, co nie przeszkadzało mu zapewnić Różę, że nie zastał Janiny w domu i że odźwierna nie miała o niej żadnej wiadomości.

— Musiała odszukać swe dzieci—pomyślała Róża.—Jest szczęśliwą, więc zapomniała o mnie.

Róża, będąc nabożną, prosiła ojca, by pozwolił jej pójść do kościoła św. Sulpicyusza.

Gilbert spytał o radę Granceya, który oświad-

czył, że nie widzi powodu, dla którego należałoby odmówić temu żądaniu.

Następnego więc dnia Róża w towarzystwie pokojowej udała się do kościoła.

Była to wigilia Nowego Roku.

Lucyan Kernoël przed wyjazdem do Joigny, nie wiedząc o powrocie Gilberta i Blanki do Paryża, zapragnął zobaczyć się z biedną Henryką i chociaż spojrzeć na pałac przy ulicy Vaugirard, gdzie spędził tyle godzin szczęśliwych i gdzie serce jego zaczęło kochać.

Udał się naprzód do domu zdrowia w Auteuil, zkąd powrócił z rozdartym sercem, nie dostrzegłszy żadnej zmiany w zdrowiu pani Rollin.

Po powrocie do Paryża pieszo poszedł na ulicę Vaugirard, gdzie spodziewał się znaleźć okna zasłonięte, jak przed kilkoma tygodniami.

### XLIII.

Gdy Lucyan zbliżył się do pałacu, ze zdziwieniem spostrzegł rolety podniesione.

Czyżby Rollin powrócił z córką?

Jeżeli tak, to Blanka musi być już zdrowa.

Zapominając o radzie księdza d'Areynes, by powstrzymał się od wizyt w pałacu, gdzie mógł spotkać się z Gilbertem, postanowił udać się do niego i zapytać o zdrowie Blanki.

Udekorowany medalami odźwierny otworzył drzwi i stanął na progu.

Lucyan na chwilę zmieszał się, spostrzegłszy twarz nieznaną.

— Czy pan jesteś odźwiernym?—zapytał wreszcie.

— Tak; co pan sobie życzy?

— Czy p. Rollin powrócił do Paryża?



- Powrócił.
- Z córką?
- Tak, panie.
- Jest u siebie?
- Nie. Wyjechał i powróci dopiero wieczorem.
- A panna Marya Blanka?
- Wyszła.
- Z ojcem?
- Nie. Panna Rollin udała się do kościoła św.

Sulpicyusza.

— Dziękuję—odrzekł Lucyan i oddalił się.  
Skoro Blanka jest w kościele, święc będzie mógł zobaczyć się z nią i rozmówić.

Krokiem pośpiesznym zwrócił się do kościoła.  
Gdy podszedł do portyku, przed którym nie było już przenośnego sklepika *żebraczki od św. Sulpicyusza*, nabożeństwo było ukończone i wierni zaczęli opuszczać kościół.

Lucyan stanął w niejakej odległości i czekał na wyjście Blanki.

Gdy w towarzystwie pokojowej zeszła ze stopni na ulicę, szybko podszedł ku niej i podając obie dłonie, rzekł:

— Blanko droga...  
Zdziwiona dziewczyna utkwiała w niego wzrok surowy i odrzekła chłodno:

— Pan omyliłeś się zapewne...  
Lucyan zbladł.

— Omyliłem się—wyjąkał—ja omyliłem się...  
— Rzeczywiście nazywam się Maryą Blanką, lecz

nie znam pana.  
— Pani mnie nie zna, mnie? jestem Lucyan Kernoeł!

— Nie znam; proszę pana odejść.  
— Blanko... Blanko...

Siętry bliźniaczki.

— Proszę mnie puścić, gdyż zawezwę pomocy dla uwolnienia się od człowieka obłąkanego!

I oddaliła się z dumnie podniesioną głową.

Lucyan przez kilka chwil stał jak przykuty do ziemi, spoglądając za oddalającą się Blanką.

— Co się stało?—zapytywał się.—Dlaczego Blanką odtrąciła mnie? Co ja jej uczyniłem? Więc nie kocha mnie już!...

Napróżno usiłując wyjaśnić sobie tę zagadkę, po krótkiej walce z sobą, opanował swą boleść i rzekł z gozyczą:

— Byłbym głupim kochając ją, gdy ona pogardza mną... Będę się starał zapomnieć o niej...

Mając przed wyjazdem do Joigny kilka godzin swobodnych, udał się na ulicę Tournelle, gdzie zasięgnąwszy od Rajmunda wiadomości o księdzu d'Areynes, w stanie którego nie zaszła żadna zmiana, z rozdartem sercem opuścił Paryż.



Gdy dr. Giraux, właściciel i dyrektor domu zdrowia w Joigny, powrócił z podróży, brat jego Piotr zdał mu sprawę ze wszystkiego co zaszło podczas jego nieobecności.

Niepodobna było ukryć cokolwiekbaż przed nim.

Pierwszą rzeczą, jak musiał wyznać, było wymuszone pogroźkami przyjęcie młodej dziewczyny.

Wiadomość ta mocno rozgniewała doktora, który za ten czyn zgromił swego brata.

Dawniej nic na to nie powiedziałby i pieniądze schowałby do kieszeni, ale teraz, gdy zamyslał wycofać się z interesów i już rozpoczął układy o sprzedaż zakładu, podobny krok groził niebezpieczeństwem.

Nie mógł przecież pozwolić, by nabywca podej-

rzewał jego uczciwość i dobrą opinię (zakładu, którym z takim powodzeniem kierował przez dwadzieścia lat.

Wprawdzie był zabezpieczony od odpowiedzialności, lecz to nie wystarczało mu.

Z wiekiem człowiek staje się lęklwym.

Gdy myślał o strasznych dramatach, zakończonych tajemnie pomiędzy czterema ścianami celi, których zakład jego tyle razy był widownią, zaczynał doznawać wyrzutów sumienia.

W końcu, wobec argumentu brata, że odmowa mogłaby pociągnąć zgubę ich obu, uspokoił się, lecz postanowił z nową pacjentką postąpić według uznania własnego, nie krępując się zobowiązaniami, zaciągniętymi względem byłego infirmera numejskiego, obecnie wice-hrabiego de Grancey.

Przejrzał papiery i przekonał się, że sporządzone były legalnie.

Następnie udał się wraz z bratem do nieszczęśliwej dziewczyny, zapisanej w księdze zakładu pod nazwiskiem Aliny Eugonii Pertuis.

Marya Blanka, której Piotr uważał za właściwe dawać niewielkie dozy belladony, będąc przekonanym, że działa w interesie doktora Renégo, była już tylko cieniem siebie samej: pamięć jej zanikła, inteligencya już tylko kiedy niekiedy objawiała odbłyśki słabe.

Doktor zadrżał, zobaczywszy straszne skutki, wywołane trucizną.

— To już zanadto podle! — zawołał oburzony do zdumionego brata. — Nie pozwolę na śmierć tej dziewczyny! Nie chcę zakończyć moją karierę współnictwem w zbrodni! Nie tylko nie pozwolę jej umrzeć, lecz oddam w ręce sądu sprawców tego zabójstwa.

— Na seryo myślisz uczynić to? — zapytał Piotr przestraszony.

— Uczynię.

— Więc chcesz mnie zgubić?

— Nie lękaj się! Zabezpieczę cię od odpowiedzialności. Ale chodzi mi o siebie. Jestem już starym i bogatym, więc nie mam ochoty zasiąść na ławie oskarżonych!

Gdy dr. Giraux powziął jakie postanowienie, nic nie mogło nakłonić go do cofnięcia się.

Następnego dnia surowo zaleciwszy inny system traktowania młodej pacjentki, zabrał świadectwo wydane przez lekarzy Liray i Despreaux, oraz adres rodziny Aliny Eugenii Pertuis i odjechał do Paryża.

Ale w pierwszej chwili przekonał się, iż miał do czynienia z bardzo zręcznym zbrodniarzem.

Pod wskazanym adresem, to jest pod nr. 36 przy bulwarze Strassburskim rodzina Pertuis była nieznaną, również i w merostwie nie było śladów deklaracji przyjścia na świat w d. 3 sierpnia 1871 r. dziecka pod imieniem Aliny Eugenii.

Co zaś do lekarzy, którzy wydali świadectwo, ci będąc oskarżonymi o pewne, związane z ich fachem przestępstwo, umknęli zagranicę.

Również i poszukiwania byłego kryminalisty, Gustawa Depréty, pozostały bez skutku.

Dr. Giraux, wracając do Joigny, mówił sobie:

— Wyleczę tę dziewczynę i od niej dowiem się o jej katach.

Po powrocie do domu używał wszelkich środków w celu uzdrowienia Blanki, lecz niestety, trucizna tak wielkie spustoszenie sprawiła w tym młodym organizmie i mózgu, iż dr. Giraux zaczął tracić nadzieję.

Trzy tygodnie upłynęło, a zmiany nie dostrzegł żadnej.

Dawane codziennie w wielkich dozach antydotum działało bardzo powolnie.

W styczniu dr. Giraux miał znów w ważnej sprawie wyjechać na południe Francyi.

Wtedy to napisał do Lucyana Kernoëla i prosił go o przyspieszenie przyjazdu do zakładu, chciał bowiem obeznać go ze szczegółami jego obowiązków.

Wiemy już, iż Lucyan uczynił zadość temu żądaniu i w dzień Nowego roku przybył do Joigny.

— Dziękuję panu za ten pośpiech—rzekł doktor.—Zaraz wskażę mu jego mieszkanie... Jadamy śniadanie punkt o dwunastej, a obiad o siódmej. Jutro rano obeznam pana z jego obowiązkami.

Dzień, pomimo bardzo życzliwego przyjęcia d-ra Giraux, wydał się Lucyanowi smiertelnie długim, nie mógł bowiem zapomnieć o niezrozumiałem zachowaniu się Maryi Blanki przed kościołem św. Sulpicyusza.

Następnego dnia rano o godzinie oznaczonej zebrał się cały personel służbowy zakładu, składający się, oprócz Lucyana, z dwóch pomocników dyrektora, aptekarza, infirmerów i infirmerek.

D-r Giraux przedstawił im Lucyana, poczem zaczął zwiedzać z nim cele pacjentów.

Było ich tam przeszło sześćdziesiąt osób, a prawie każda z nich podlegała innemu rodzajowi obłąkania.

Pozostał już tylko oddział chorych odosobnionych.

D-r Giraux odprawił cały personel służbowy z wyjątkiem Lucyana i klucznicy.

#### XLIV

Czy już skończyliśmy, doktorze? — zapytał nowy pomocnik.

— Nie — odrzekł René Giraux — pozostaje nam jeszcze oddział odosobnionych. Leczę ich sam i tylko w razie konieczności opiekę nad nimi powierzam moim

pomocnikom. Odstępuję dziś od tej zasady, gdyż chciałbym kurację ich podczas mej nieobecności oddać panu.

Lucyan namarszczył brwi.

Po co ta tajemnica?

Dlaczego d-r Giraux sam odwiedzał oddział odosobnionych?

Czyżby ukrywał się z czem? A może właśnie zachodzi wypadek samowolnego więzienia osób krępujących pewne rodziny?

Gdyby tak było, Lucyan jednej godziny nie zostanie w zakładzie.

Infirmerka otworzyła drzwi korytarza, na który wychodziły drzwi szeregu cel, położonych po obu jego stronach.

D-r Giraux wziął ze stołu księgę i rzekł:

— Oto jest księga wizyt chorych odosobnionych. Nie wydaje się jej nikomu z wyjątkiem aptekarza, który z zapisywanych w niej recept przyrządza lekarstwa. Nikt nie powinien jej czytać.

Lucyan słuchał tych słów ze zdumieniem.

— Mój drogi—odrzekł d-r Giraux—niech cię nie dziwi ta ostrożność. Konieczna ona w interesie rodzin, które powierzyły mi opiekę nad tymi chorymi. Księgę tę kontrolują w razie potrzeby inspektorowie zdrowia... Zresztą, przekonasz się, że tajemnica ta jest tylko pozorną. Gdyby to [zależało odemnie, zniósłbym prawo z r. 1838.

— Prawo wstrętne! — zawołał Lucyan. — Prawo zbrodnicze, zezwalające zamieniać domy zdrowia na więzienia i tortury niewinnych!

— Jestem szczęśliwym, słysząc cię mówiącego w ten sposób i jeżeli znajdziesz się kiedykolwiek w pozycyi, dającej ci możność walki z tem prawem, ja pierwszy dostarczę ci do niej argumentów.

Weszli do sali pierwszej.

Była ona, jak wszystkie inne umeblowana bardzo przyzwoicie, ogrzana za pośrednictwem kaloryferu, światła i powietrza miała pod dostatkiem, słowem wcale nie była podobną do więzienia.

Mieszkanca tej celi była kobietą, dwudziestopięcioletnią, o twarzy bladej, smutnej, z oczyma zaczerwienionymi od łez.

— Obląkana z rozpaczy z powodu zawodu w miłości—objął d-r Giraux.—Nieuleczalna... Biedna kobieta, wiele cierpi... Śmierć byłaby dla niej dobrodziejstwem.

Udali się do celi drugiej, następnie do trzeciej.

Infirmerka otworzyła drzwi celi, oznaczonej nr. czwartym.

Gęste firanki, szczelnie zapuszczone, prawie zupełnie nie przepuszczały światła.

— Usun firanki—rzekł d-r Giraux do infirmerki.

Gdy infirmerka spełniła polecenie, Lucyan spostrzegł na łóżku młodą dziewczynę, lecz nie śpiącą.

Utkwiony w przestrzeń wzrok był bez wyrazu, nawet bez życia, drobne, przezrocyste ręce założone były na głowę.

Obaj lekarze podeszli ku niej.

Nagle Lucyan krzyknął przerażony, cofnął się i tak zachwiał, że zmuszony był oprzeć się na ramieniu d-ra Giraux.

— Co panu się stało?—zapytał zdumiony dyrektor zakładu.

Ale młody lekarz nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa.

Po kilku chwilach dopiero głosem stłumionym wyjąkał:

— Marya Blanka... Marya Blanka...

— Co panu jest?—powtórzył d-r Giraux.

— Czy dawno ona tutaj? Niech doktor mówi, bo chyba zwaryuję!

— Uspokój się pan—odrzekł doktor zaniepokojony wzburzeniem swego pomocnika.

— Jak dawno pacjentka przebywa w zakładzie pańskim?

— Prawie już od miesiąca.

— Od miesiąca! mylisz się pan...

— Wcale się nie mylę!

— To być nie może!

— Dlaczego?

— Jakim sposobem od miesiąca, kiedy jeszcze onegdaj, przed wyjazdem z Paryża, rozmawiałem z nią przed kościołem św. Sulpicyusza?

— Co z panem się dzieje? Upewniam pana, że dziewczyna ta jest tutaj od miesiąca i w tej chwili powiem panu dokładną datę przyjęcia jej do zakładu.

— Jak się nazywa?

— Zapisana jest w księdze pod nazwiskiem Alieny Eugeni Pertuis.

— To omyłka, lub kłamstwo! Nazywa się Marya Blanka.

— Marya Blanka — powtórzył doktor, zapytnjając się w duchu, czy p. Kernoel jest przy zdrowych zmysłach.

— Tak—odrzekł Lucyan—Marya Blanka—przyśięgam panu na honor, że nie mylę się! Jest córką Gilberta Rollina i moją narzeczoną! Widzę, że patrzysz pan na mnie jak na wartyta i nie dziwię się, gdyż i ja sam przed chwilą myślałem, że jestem igraszką halucynacyi. Ale teraz jestem pewnym tego co mówię. To ona, Marya Blanka!

Chora, usłyszawszy to imię, drgnęła i w oczach jej błysnął promyk inteligencyi.



Doktór Giraux spostrzegłszy to, zaczął przypuszczać, że może pomocnik jego mówił prawdę.

Lucyan podbiegł ku chorej, ukląkł przy łóżku ująwszy jej ręce, wołał:

— Blanko... droga Blanko... spojrzysz na mnie, odpowiedz...

Usta dziewczyny rozchyliły się i głosem cichym powtórzyły:

— Blanko...

— To ty, Marya Blanka... moja narzeczona... Uczyń nad sobą wysiłek, przypomnij sobie twoją matkę nieszczęśliwą... księdza d'Areynes... wszystkich co cię kochali... Przypomnij sobie!

Łzy stłumiły dalsze słowa młodego lekarza.

Blanka nagłym ruchem przyłożyła dłonie do czoła i przeciągnęła po niem jak gdyby dla usunięcia zasłony, pokrywającej jej myśli.

Wysiłek ten był tak wielkim, że na szyi i skroniach jej nabrzmiały żyły.

Nagle, smutna jej dotychczas twarz rozjaśniła się.

— Lucyan—rzekła wyraźnie—Lucyan...

Poczem głowa jej opadła na poduszkę, oczy przymknęły się, lecz na ustach pozostał uśmiech.

— Widzi doktor—rzekł młody lekarz tryumfująco—nie myliłem się! Przypomina sobie... poznała mnie... powiedziała imię...

— Prawda — odrzekł dyrektor zakładu.—Inteligencya jej jeszcze żyje, tylko uspióna. Wkrótce ta nieszczęśliwa ofiara wskaże nam swych zabójców.

— Zabójców! — powtórzył Lucyan. — Więc pan sądzi, że spełniono zbrodnię?

— Nie tylko sądzę, lecz jestem pewny.

— Rzeczywiście, jakim sposobem Blanka jest tutaj od miesiąca, skoro byłem przekonany, że wraz z ojcem przebywa na południu?

Doktor zamiast odpowiedzieć, zapytał:

— Czy znasz pan wice-hrabiego Grancey'a?

— Nie znam.

— A Gustawa Depréty?

— I tego nie znam.

— Otóż oba te nazwiska należą do osoby jednej, nikczemnika, ex-kryminalisty, który do spółki z ojcem panny Blanki za pomocą trucizny doprowadził ją do tego stanu...

— Trucizny!—zawołał Lucyan przerażony.

— Tak, za pomocą belladony, w celu zabicia w niej inteligencyi i podania za obłąkaną.

— Ależ to potworne! W takim razie nie rozumiem... Któż jest tą młodą osobą, którą, złudzony dziwnem podobieństwem, wziąłem za Maryę Blankę i która odgrywa rolę skazanej na śmierć w tym zakładzie?...

— Wyjaśnić to można tylko nadzwyczajnem podobieństwem, z którego panowie Rollin i Grancey skorzystali ze zręcznością zbrodniarzy niezwykle. Na zbrodni tej myśleli zarobić wiele, ale omylili się... Zamiast powodzenia, oczekuje ich kara! Pragnęli uczynić ze mnie współnika, a ja sam oddam ich w ręce władzy! Wyleczymy Maryę Blankę i pomścimy ją!... Skończmy przegląd cel, a później pomówimy.

W godzinę później d-r Giraux zamknął się wraz z Lucyanem w swoim gabinecie.

Rozmowa ta trwała długo, wynikiem zaś jej był wyjazd Lucyana do Paryża w celu rozciągnięcia nadzoru nad pałacem przy ulicy Vaugirard.

Lucyan odjechał spokojny, pozostawiając Maryę Blankę pod opieką d-ra Giraux, który zareczył za uzdrowienie jej.



Nadszedł 10-ty stycznia.

Dwa tygodnie upłynęło od dnia, w którym Grancey dokonał zamachu na życie księdza d'Areynes na stopniach ołtarza Matki Boskiej.

I tym razem jak niegdyś, po owej nocy 28-go maja 1891 r., nauka dokonała cuda.

Od ośmiu dni księdzu d'Areynes nie groziło niebezpieczeństwo.

Korzystając z tego stanu, prokurator i sędzia śledczy przybyli w nadziei uzyskania z objaśnień księdza wskazówki, mogącej naprowadzić na ślad przestępcy, lecz ranny pamiętał tylko tyle, że wchodząc do kaplicy, widział jakiegoś księdza, klęczącego przed ołtarzem.

Było widocznem, że zbrodnia dokonana była w jakimś celu, lecz w jakim?

Ksiądz d'Areynes nie chciał stawić sobie tego pytania, gdyż bał się odpowiedzi, bał się, by nieubłagana logika nie wskazała mu zbrodniarza!

Urzednicy przysięgli sobie wykryć go.

— Sam się zdradzi kiedyś—mówili—ale potrzeba, by nie wiedział o ocaleniu ofiary.

Na prośbę ich lekarze przestali ogłaszać buletyny o stanie zdrowia rannego, z czego publiczność wyprowadziła wnioszek, że ksiądz d'Areynes jest straconym.

## XLV.

Lucyan Kernoël po wyjeździe z Joigny wieczorem, przybył do Paryża tak późno, że nie mogąc już udać się na ulicę Tournelle dla poinformowania się o stanie zdrowia księdza d'Areynes, zatrzymał się

w hôtelu w okolicy Bastylli, by następnego dnia rano jak najwcześniej odbyć tę wizytę.

Wróćmy do Janiny Rivat.

Rany na głowie, gdy nie są śmiertelnemi, leczą się zazwyczaj dość łatwo.

Powtórzyło się to i z biedną żebraczką od św. Sulpicyusza, którą rybacy po wydobyciu z wody umieścili w oberży Wiktora Lerat.

Gdy Janina odzyskała przytomność i mogła zebrać wspomnienia, objaśniono ją, jakim sposobem ocalaoną została.

Sędzia śledczy z Melun, powiadomiony przez d-ra Ringaud, że stan chorej zezwala na wybadanie jej, udał się wraz z pisarzem do oberży i spisał jej zeznanie.

Janina opowiedziała, jak przybył do niej mer z oświadczeniem, że umierający Serwacy Duplat pragnie przed śmiercią wskazać miejsce pobytu jej córek, porwanych przed osmnastu laty, jak przyprowadził ją nad rzekę i jak następnie jakiś człowiek, wyszedłszy nagle z za krzaku, uderzył ją kijem w głowę.

Wszystko to było prawdą, jednak wywarło na urzędnikach wrażenie sceny, powtórzonej z jakiegoś sensacyjnego romansu.

Byli przekonani, że biedna kobieta jest obłąkaną, chociaż na wszystkie inne pytania odpowiadała logicznie.

Jedno z tych pytań wywołało wzmiankę o księdzu d'Areynes.

— Jałmużnik z la Roquette?—zapytał sędzia śledczy.

— Tak, panie.

— Zapewne nie wiesz pani, że ksiądz d'Areynes został zamordowany.

Janina krzyknęła ze zgrozy.

— Czy odszukano zabójców?—zapytała następnie

— Nie.

— Więc to ci sami, którzy chcieli zamordować i mnie. Ksiądz d'Areynes wiedział, że Serwacy Duplat porwał moje dzieci i równie jak ja był przekonany, iż on nie żyje.

Następnego dnia postawiono Janinie na oczy prawdziwego mera gminy, starego wieśniaka, który nigdy nie słyszał o Serwacym Duplat (i w ciągu swego życia był tylko jeden raz w Paryżu i to przed dwudziestu pięciu laty.

Rzecz prosta, że Janina nie знаła go.

Z tego wszystkiego wynikało, że zabójcy dla sciążenia Janiny w zasadzkę obmyślili bajkę.

Ale gdzie szukać ich?

Janina знаła tylko nazwisko Serwacego Duplata.

Sąd w Melun postanowił zażądać objaśnień od sądu paryzkiego.

Janinie pozwolono wrócić do swego mieszkania z warunkiem stawienia się na każde żądanie sądu.

Ponieważ biedna kobieta była bez grosza, sędzia śledczy ofiarował jej z własnej kieszeni dwadzieścia franków i hojnie wynagrodził za gościnność rodzinę Lerat.

Doktor Ringaud nie przyjął żadnego honorarium.

Było to 9-go stycznia.

Janina czując się dość silną, postanowiła powrócić do Paryża dnia następnego.

Przed czterema dniami wyprawiła do Róży na ulicę Férou list, lecz odpowiedzi nie otrzymała.

Nazajutrz opuściła wioskę La Cafe i po południu przybyła na ulicę Férou.

Odzwierna spostrzegłszy ją, odetchnęła swobodniej, nie otrzymawszy bowiem komornego w dniu 8-ym, lekąca się, że przepadnie.



Skoro tylko ksiądz d'Arcynes odzyskał tyle sił, że mógł opuścić łóżko, zażądał pokazania sobie księgi, w której przyjaciele i znajomi, przybywający po wiadomości o stanie jego zdrowia, zapisywali swe nazwiska.

Siadł w wielkim fotelu przed stolikiem i oparłszy głowę na poduszce, uważnie przeglądał podpisy.

Z wieloma nazwiskami spotykał się po raz pierwszy, inne zaś wywoływały w nim dawne wspomnienia.

Były tam podpisy dygnitarzów duchownych, uwolnionych z więzienia przestępców, przybyłych dla okazania swej wdzięczności za udzielane pociechy i pomoc, wreszcie ojców rodzin, uratowanych od nędzy i rozpacz.

Nagle ksiądz d'Arcynes drgnął, przeczytał bowiem nazwisko Gilberta Rollina.

Namarszczył czoło, lecz odpędził od siebie myśl nieżyczliwą i czytał dalej.

Tuż pod podpisem Gilberta wypisane było nazwisko wice-hrabięgo Jerzego de Grancey.

— Nie znam—szepnął.

Następnie odczytał podpis: Ksiądz Libert.

I ten nie był mu znany.

Wszyscy trzej nieszczęśliwcy byli tak bezczelnymi, że pragnąc dowiedzieć się o śmierci swej ofiary, przybyli do mieszkania jej i zapisali swe nazwiska.

Ksiądz d'Arcynes szukał nazwiska Janiny Rivat, lecz nie znalazł go.

— Dlaczego ona nie przyszła? — mówił raczej z niepokojem, niż z wyrzutem, wiedząc, że nie można było obwiniać jej o niewdzięczność lub zapomnienie.

Do pokoju wszedł Rajmund z wiadomością o przybyciu Lucyana Kerneola.

— Lucyan w Paryżu!—proś go natychmiast.  
Rajmund wprowadził gościa.

— Więc ksiądz żyje!—zawołał Lucyan, podbiegając do księdza i ujmując jego dłonie—Chwała Bogu!...

— Żyję i jestem już prawie wyleczonym. Po raz drugi w przeciągu ośmnastu lat Bóg nie chciał powołać mnie do siebie.

— A zabójca?

— Po co mamy szukać go, skoro w razie odkrycia byłby ukaranym?

— To już za wiele miłosierdzia.

— Nie, jest to nakaz Chrystusa, który przebaczył swoim katom. Ale mówmy raczej o tobie, nie o mnie. Jakim sposobem znalazłeś się w Paryżu i dla czego tak prędko opuściłeś d-ra Giraux?

— Przybyłem do Paryża, by czuwać nad domem zbrodni.

— Odpowiedź zbyt dramatyczna... Nie rozumiem.

— Ponieważ ksiądz nie wie co się stało.

— Więc objaśnij mnie.

— Powiem wszystko — odrzekł Lucyan, jeżeli ksiądz zapewni mnie, że wiadomość ta nie wywoła w nim wzruszenia i nie zaszkodzi zdrowiu.

— Możesz mówić bez obawy. Cokolwiek byś mi powiedział, nie zdziwię się... Wszystkiego [spodziewam się i domyślam się o jakim mówisz domu... Przy której on ulicy?

— Przy ulicy Vaugirard.

— Spodziewałem się tego. Chodzi o Gilberta, prawda?

— Tak jest.

— Wiem oddawna co sądzić o niem. Żaden postępek jego nie zdziwi mnie.

— Nawet gdybym powiedział, że jest trucicielem?

— Nawet to. Gdy wypędzał mnie z domu swej

żony, powiedziałem mu: *Zobaczymy się w więzieniu la Roquette!* I nie były to słowa na wiatr rzucone! Znajdzie się on tam! A teraz opowiadaj! Cóż dzieje się na ulicy Vaugirard?

— Mówiłem księdzu przed miesiącem, że Gilbert Rollin opuścił nagle Paryż i wywiózł córkę na południe Francji.

— I uważałem to za dobre.

— Otóż, czy wie ksiądz kogo zastałem w domu zdrowia, gdym przybył tam przed kilkoma dniami?

— Kogo?

— Maryę Blanکہ!

— Maryę Blanکہ! — powtórzył ksiądz głosem zmienionym.

— Tak, Maryę Blanکہ prawie dogorywającą, pozbawioną mowy i przytomności... Maryę Blanکہ otrutą belladoną w celu uczynienia jej obłąkaną!

— Boże mój! — jęknął jałmużnik, ocierając pot z czoła.

Rajmund dał księdzu kilka kropel zaleconego przez lekarza kordyału, który wzmocnił jego siły i uspokoił wzruszenie.

— Więc to Gilbert odwiózł Maryę Blanکہ do domu zdrowia w Joigny?—zapytał.

— Nie.

— A kto?

— Jego wspólnik.

— Co za wspólnik?

— Kryminalista uwolniony z Numei.

— Jak się nazywa? — zapytał ksiądz, mając na myśli Duplata.

— Gaston Deprety, niegdyś dependent adwokata, noszący dziś zmyślone lub przywłaszczone nazwisko wice-hrabiego Jerzego de Grancey.



Jałmużnik przypomniał sobie podpis na liście wizyt, pomieszczony pod nazwiskiem męża Henryki.

— Jerzy Grancey—powtórzył—uwolniony kryminalista, współnik Gilberta Rollina?

— Tak.

— Czy jesteś pewnym?

— Tak, jak jestem pewnym tego, że w tej chwili rozmawiam z księdzem.

## XLVI.

— Ależ—zapytał jałmużnik—jakim sposobem nikczemnik ten mógł ulokować Maryę Blanę w domu zdrowia w Jbigny?

— Przekupił dwóch jakichś lotrów lekarzy, którzy wydali polecenie zamknięcia i popełnili fałszerstwo.

— Fałszerstwo, mówisz?

— Tak, gdyż Blanę zamknięto nie pod jej właściwym, lecz pod zmyślonem nazwiskiem.

— Co za straszna kombinacya! Więc przybyłeś do Paryża dla rozciągnięcia nadzoru nad pałacem przy ulicy Vaugirard?

— Tak.

— Pocóż ten nadzór, skoro Maryi Blanki tam nie ma?

— Pragnę dowiedzieć się, [co to za osoba, która zastępuje Maryę Blanę i tak podobna do niej, że odgrywa jej rolę.

Ksiądz spojrział na Lucyana wzrokiem zdumionym.

— Osoba, zastępująca Blanę przy swoim ojcu?—zapytał.

— Tak, w wieku mojej narzeczonej i podobna do niej tak uderzająco, że spostrzegłszy ją wychodzą-

ca z kościoła sw. Sulpicyusza, zbliżyłem się do niej i przemówiłem.

— Cóż ona odpowiedziała ci?

— Ze omyliłem się i że nie zna mnie.

— Może tylko tak ci się zdawało?

— Nie i każdy inny na mojem miejscu omyliłby się tak samo, gdyż osoba ta miała te same rysy twarzy, to samo spojrzenie, chód i głos Maryi Blanki.

— I mieszka w pałacu przy Gilbertcie?

— Tak i uchodzi za jego córkę.

Ksiądz zamyslił się głęboko.

Przypomniał sobie wrażenie, jakie przed kilkoma miesiącami wywarła Marya Blanka na Janinie Rivat i łatwo rozwiązał tę zagadkę.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy wtem dźwięk dzwonka rozległ się u drzwi.

Rajmund wyszedł do przedpokoju i po chwili wprowadził notaryusza rodziny d'Areynes.

— Witam pana!—zawołał ksiądz.—Szczęśliwy jestem, widząc go w tej chwili.

— I ja jestem szczęśliwym, widząc księdza zdrowym, przyszedłem bowiem pomówić w interesie ważnym.

— Więc mów pan!

— Stało się, czego spodziewałem się i obawiałem... Niebezpieczeństwo zagraża córce pani Rollin.

— Jakie?—zapytał ksiądz.

— P. Rollin wydaje za mąż pannę Maryę Blanckę.

Ksiądz i Lucyan nie spodziewali się takiej komplikacji.

— Wydaje za mąż?—powtórzyli.

— Tak. P. Rollin pragnąc za jakąbądź cenę posiadać dochody swej żony, postanowił wydać za mąż swą córkę, która jako żona, będzie mogła dać mężowi plenipotencję do swobodnego rozporządzania się dochodami z majątku hr. Emanuela. Znając Gilberta, ro-

umiecie panowie dobrze, że musiał zawczasu umówić  
się z swym zięciem o podział majątku.

— To rzecz możliwa—odrzekł ksiądz.

— Ale to nie wszystko.

— Cóż jeszcze?

— Zapomniał ksiądz o jego pogroźkach unieważ-  
nienia testamentu za pośrednictwem swego zięcia.

— Na to nic nie poradzimy.

Notaryusz ze zdziwieniem spojrział na księdza.  
Kąd mu się wziął ten spokój? Dlaczego nie obcho-  
zą go dzisiaj groźby, które niedawno brał tak gerąco  
o serca?

Ksiądz zrozumiał jego myśl, lecz stosując się do  
tykniętego sobie planu, nie uważał za właściwe wy-  
omaczyć się.

— Czy jesteś pan pewnym, że to nie plotka?

— Nie, gdyż pierwsza zapowiedź w merostwie  
w kościele została ogłoszoną. Zresztą, jeden z moich  
olegów przychodził do mnie jako nowy notaryusz ro-  
ziny d'Areynes dla zredagowania intercyzy, zastrze-  
żającej rozdział majątków, wymagany przez testament  
r. Emanuela. Widocznie, chcą udać, że szanują jego  
wolę, zanim przystąpią do unieważnienia go.

— Kiedy kontrakt ślubny ma być podpisany?

— Za cztery dni, więc w sobotę.

— O której godzinie?

— O dziesiątej wieczorem, zaraz po obiedzie,  
wyprawionym przez Gilberta Rollina notaryuszom  
świadkom państwa młodych.

— Jak się nazywa narzeczony?

— Wice-hrabia Jerzy de Grancey.

Ksiądz i Lucyan jednocześnie krzyknęli ze zdzi-  
wienia.

— Czy panowie znają go?—zapytał notaryusz.

— Tylko ze słyszenia.

— Podobno rodzina bardzo porządna, starożytna.. Rodzice jego nie żyją, jak widzę z papierów, które mam u siebie. Wice-hrabia jest ostatnim członkiem rodu.

— Czy dawno widział pan Maryę Blankę?—zapytał ksiądz.

— Widziałem ją wczoraj.

— Czy jest szczęśliwą z tego małżeństwa?

— Nie wydawała mi się smutną.

— Czy nie zauważył pan w niej żadnej zmiany?

— Żadnej.

— Otóż, kochany rejencie, nie mam powodu do opierania się temu małżeństwu. Możesz pan pisać kontrakt ślubny. Niech się stanie, co ma być... Jeden Bóg jest panem naszych losów.

Notaryusz pożegnał się i wyszedł, nie pojmując nowego, tak niespodziewanego usposobienia księdza d'Areynes.

Jałmużnik i Lucyan pozostawszy sami, spojrzeli po sobie.

— To szczyt lotrostwa!—zawołał ksiądz.

— Szczyt zbrodni i nikczemności — odrzekł Lucyan.—Ale zkąd oni wzięli tę dziewczynę tak podobną do Maryi Blanki, że w błąd wprowadza wszystkich?

— Cierpliwości! Wkrótce dowiemy się zkąd ją wzięli, ale w samem podstawieniu masz dowód, jak energicznie Marya Blanka opierała się woli Gilberta. Stała na przeszkodzie, więc postanowiono usunąć ją, otruto i pod fałszywem nazwiskiem wysłano na śmierć do szpitala waryatów, zacierając zarazem wszelki ślad podstawienia. To potworne! Lecz powtarzam: cierpliwości! godzina kary zbliża się!..

— I kary bez litości, prawda?

— Bez litości!

U drzwi dzwonek odezwał się znowu.

Po kilku minutach Rajmund z twarzą rozpromienioną wszedł do pokoju.

— Proszę księdza — zawołał — to Janina Rivat pragnie zobaczyć się z księdzem.

— Sam Bóg ją przysyła — odrzekł ksiądz — wprowadź ją!

Janina blada, chwiejąca się na nogach, z głową obwiązaną, podeszła do księdza d'Areynes i uklękła, ale on ujął jej ręce i kazał powstać.

— Moja biedna Janino, jak ja dawno nie widziałem cię — rzekł. — Miałem już posyłać Rajmunda do ciebie. Czy byłaś chora?

— Byłam ranną... Chciano mnie zamordować.

— Zamordować! — jednocześnie powtórzyli Rauf, Lucyan i Rajmund.

— A tak.

— Kto?

— Serwacy Duplat.

— Ten sam, którego uważaliśmy za zmarłego.

— Któż inny wciągnąłby mnie w zasadzkę? Komuż by, jeśli nie jemu zależałoby na mojej śmierci.

— Jak że to było?

Janina opowiedziała jakim sposobem pod pozorem odszukania jej córek zaprowadzono ją nad rzekę.

— Biedna matka!... Biedna kobieta!... Jakim sposobem ocalałaś?

Wdowa opowiedziała wiadome już czytelnikom szczegóły i dodała ze łkaniem:

— Nikczemnicy ci, jak gdyby nie dość było tej jednej zbrodni, uprowadzili nadto i zamordowali biedną dziewczynę, która pielęgnowała mnie i kochała jak matkę... Nie znalazłam jej w mieszkaniu!... Biedne dziecko zniknęło, a że nikt nie wie co z nią się stało, więc widocznie zamordowano ją.

Ksiądz d'Areynes i Lucyan słuchali słów Janiny wzruszeni, drżąc z oburzenia i zgrozy.

— O jakiej dziewczynie mówisz, Janino?—zapytał ksiądz, wiedząc naprzód jaką otrzyma odpowiedź.

— O kim mówię? O Róży, tej młodej infirmerce która taką troskliwością otaczała mnie w szpitalu w Blois i kochała tak, że uciekła ztamtąd do mnie do Paryża; o tej, którą miałam przy sobie i kochałam jak córkę rodzoną! Zabrali ją!... zabili!...

Teraz wszystkie wątpliwości księdza d'Areynes znikły, jego dotychczasowe podejrzenia zarysowały mu się w umyśle jako fakty wyraźne, prawie namacalne.

I Lucyan zaczynał domyślać się prawdy.

— Czy to ta sama dziewczyna, co tak podobna do córki pani Rollin, że spotkawszy ją w kościele św. Sulpicyusza, wzięłaś jedną za drugą?

— Ta sama, proszę księdza.

— Czy ona niema nazwiska?

— Nie ma.

— Więc jest dzieckiem znalezionem?

— Tak, i zadeklarowanem w merostwie jedenastego okręgu 28 maja 1871 r.

— Przez kogo?

— Przez jakiegoś p. Juliusza Servaise'a.

— Juliusza Servaise'a?—powtórzył ksiądz.

— Tak... Wręczyła mu ją matka umierająca na ulicy la Roquette...

— Ależ—zawołał Rajmund—dziewczyna ta zapisana jest w księdze merostwa tego samego dnia co panna Marya Blanka, córka pani Rollin!

— Janino—rzekł ksiądz tonem uroczystym—ufaj Bogu, nie trać nadziei. Bóg ulitował się nad tobą i spełni twoje pragnienia!...

— Bóg ulitowa' się i spełni moje pragnienia?—

drzękła Janina głosem urywanym zé wzruszenia.—  
Wciąż... moje dzieci... Bóg wróci mi je?

— Wróci...

— Kiedy?

— Niedługo.

Janina krzyknęła z radości.

— Czyż to prawda? Czyż to być może? Mogę  
temu uwierzyć?

— Możesz i powinnaś.

— Więc zobaczę moje córki?... Uścisnę je?...

— Przrzekam ci to... nawet przysięgam... Wra-  
caj do siebie biedna matko i czekaj, aż Rajmund przyj-  
dzie ciebie... Idź, matko nieszczęśliwa, coś tyle wyplą-  
kała i przeboleła!... Twoje łzy i cierpienia już się  
skończyły... Idź!... będziemy czuwać nad tobą!

Janina ucałowała ręce księdza i ze łzami w o-  
czach, lecz z sercem przepelnionem szczęściem odeszła  
do siebie.

— Więc ksiądz rozwiązał tę zagadkę?—zapytał  
Lucyan.

— Rozwiązałem i zrozumiałem wszystko! Serwa-  
cy Duplat był współnikiem Rollina we wszystkich je-  
go zbrodniach, z których najdawniejsza spełnioną była  
przed ośmnastu lety... Dziecko Henryki zmarło zape-  
wne zaraz po przyjściu na świat, a dla odziedziczenia  
majątku hr. Emanuela potrzeba było dziecka żyjącego!  
Duplat wiedząc o tem, skradł córki Janiny Rivat i je-  
dną sprzedał Rollinowi bez wiedzy mojej kuzynki,  
drugą zaś oddał do zakładu dobroczynności publicznej.  
Ta ostatnia jest właśnie Różą, uchodzącą dzisiaj za  
Maryę Blankę, swą siostrę, gdyż obie są córkami Ja-  
niny Rivat. Znajdziemy dowody!

— I znajdziemy zabójcę księdza!—dodał Rajmund.

## XLVII.

— Przybyłeś do Paryża—rzekł ksiądz, zwracając się do Lucyana—dla rozciągnięcia nadzoru nad domem Gilberta Rollina... Jest to zadanie bardzo ważne... Powinieneś jeszcze dziś wziąć się do tego... Pragnąłbym wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w pałacu przy ulicy Vaugirard. Przedewszystkiem śledź osoby wchodzące i wychodzące ztamtąd. Duplat uciekł z więzienia, być może więc, że ukrył się u swego współnika... Rajmund pomoże ci...

— Z całego serca zawołał lotaryńczyk z zapalem.—Oddawna czekam i spodziewam się kary na tym człowieku, który tak nikczemnie spowodował śmierć mego nieodżałowanego pana, hrabiego Emanuela.

Dla rozciągnięcia nadzoru ciągłego nad domem Gilberta Rollina, należało znaleźć jakąś kryjówkę, z której możnaby było obserwować wszystko co się dzieje w tym domu, bez zwrócenia na siebie uwagi i wywołania nieufności jego mieszkańców.

Była to rzecz bardzo trudna.

Lucyan miał zamiar najmować powóz na cały dzień i ukryć się w nim w pobliżu pałacu.

Ale Rajmund odradził mu, gdyż powóz z zapuszczonemi storami, stojący na ulicy od rana do nocy, wzbudziłby podejrzenie. Przechadzać się wciąż po chodniku było rzeczą niepraktyczną.

Lucyan i Rajmund po rozstaniu się z księdzem, u którego spożyli śniadanie, udali się na ulicę Vaugirard w nadziei obmyślenia podczas drogi jakiegoś planu.

Przyszedł im w pomoc przypadek.

Naprzeciw pałacu d'Areynes, nad sklepikiem, w którym przed kilkoma tygodniami Lucyan dowiedział się o odprawianiu służby przez Rollina i o wy-



eździę jego z córką z Paryża, widniało na ścianie kilka ogłoszeń o lokalach do najęcia, z których jedno opiewało:

*Pokój umeblowany na piątym piętrze.*

— Gdyby okno tego pokoju wychodziło na ulicę— rzekł Rajmund—to łatwo byłoby przez lornetkę obserwować pałac.

Zapytany o to odźwierny odpowiedział potwierdzająco.

Był to pokój na poddaszu, umeblowany oardzo skromnie, ale wycięte w dachu okno górowało nad pałacem d'Areynes.

Cena wynosiła dwadzieścia pięć franków na miesiąc.

Lucyan wyjął z pugilaresu bilet stufrankowy i podając go odźwiernemu, rzekł:

— Najmuję ten pokój na trzy miesiące i placę z góry. Pozostałe dwadzieścia pięć franków proszę wziąć dla siebie, ale mieszkanie obejmuje natychmiast.

— Bardzo dobrze, oto klucz—odrzekł odźwierny, kłaniając się z uszanowaniem.

Zszedł na dół, pozostawiwszy samych lokatorów w mansardzie, lecz idąc myślał:

— To muszą być agenci policyjni i chcą śledzić kogoś... może kogo ze służby p. Rollina.

Lucyan i Rajmund przysunęli krzeselka do okna i natychmiast zasiedli na czatach.

Przez całe południe nie dostrzegli nic osobliwego.

Gdy ściemniło się, lokaj i pokojowa zapuścili rolety, zaś w kilka chwil później oświetlono przedsionek i odźwierny, stary żołnierz udekorowany, zapalił dwie brązowe latarnie, ustawione po obu stronach głównego wejścia do pałacu.

Na ulicy służba Towarzystwa gazowego zapalała latarnie gazowe.

**Stostry bliźniaczki.**

Wtem, tuż przy chodniku, przed pałacem zatrzymała się dorożka, z której wyszedł ksiądz, zadzwonił u drzwi i wszedł na dziedziniec a następnie do pałacu.

Odźwierny skłonił się przed nim z uszanowaniem.

— Co tu robi ksiądz w tym domu szatańskim—zauważył Rajmund—to rzecz podejrzana...

— Rzeczywiście—odrzekł Lucyan.

— Gdy wyjdzie, należy pójść za nim.

— Masz słusność, ale do tego nie potrzeba dwóch. Wracaj do księdza d'Areynes i powiedz mu co zauważyliśmy. Jutro przyjdę po ciebie o pierwszej po południu.

— I pan zostanie tu nic nie jedząc!—rzekł lotaryńczyk.

— Przyniesiesz mi parę bułek, kawałek szynki lub serdelków i pół butelki wina czerwonego... to mi wystarczy... Kup nadto świecę.

Rajmund spełnił polecenie, poczem udał się na ulicę Tournelle.

Lucyan jedząc powoli szynkę i popijając winem, ani na chwilę nie odchodził od okna.

Czas upływał.

Wybiła godzina ósma, następnie dziewiąta, w końcu o pół do dziesiątej Lucyan spostrzegł Gilberta w oświetlonym przedsionku, a za nim dwie osoby: księdza, którego widział wysiadającego z dorożki i jakiegoś bardzo szykownego młodzieńca.

To musi być wice-hrabia Grancey—pomyślał młody lekarz.

I jak wichur z piątego piętra puścił się po schodach na dół.

Gdy wychodził na ulicę, drzwi pałacu d'Areynes otworzyły się i przepuściły księdza, oraz jego towarzysza, którzy, postępując razem i rozmawiając z zajęciem, zwrócili się na ulicę Bonapartego.

Lucyan nasunął kapelusz na oczy, niższą część twarzy zakrył kołnierzem paltota i udał się za nimi.

Na placu św. Sulpicyusza, Grancey—gdyż był to on—uścisnął rękę swego towarzysza i siadając do dorożki, rzekł do woźnicy o tyle głośno, że Lucyan usłyszał:

— Ulica Baumartin nr. 22.

Ksiądz pieszo poszedł dalej.

Młody lekarz nie tracąc go z oczu, szedł za nim w odległości dziesięciu kroków i wkrótce spostrzegł go wchodzącego do jednego z domów przy ulicy Bonapartego.

— Dość będzie na dzisiaj—rzekł Lucyan, notując sobie w pamięci numer domu. Jutro będę wiedział jak ten ksiądz nazywa się.

Przywołał dorożkę i kazał się zawieźć do hotelu na placu Bastylli, w którym zamieszkał po przybyciu do Paryża.

Po bezsennie spędzonej nocy, gdyż gwałtowne wzruszenie nie dozwalało mu zasnąć, wstał następnego dnia o siódmej rano i pieszo udał się na ulicę Bonapartego.

Po przybyciu do domu, do którego poprzedniego wieczora wszedł śledzony przez niego ksiądz, zapytał odźwiernego:

— Wszak tutaj mieszka ksiądz Bernard?

— Nie, proszę pana.

— Zdaje mi się jednak, że jakiś ksiądz mieszka w tym domu?

— Rzeczywiście i już od trzech tygodni, ale nazywa się ksiądz Libert.

— Dziękuję panu... Widocznie dano mi mylny adres.

Pozostawało panu Kernoël przekonać się, czy ów elegant wczorajszy był wice-hrabią de Grancey.

Zapytany odźwierny domu przy ulicy Baumartin nr. 22, potwierdził jego domysł.

O pół do jedenastej Lucyan był już na ulicy Tournelle.

— Cóż?—zapytał ksiądz d'Areynes, powiadomiony przez [Rajmunda o odkryciu dokonanem poprzedniego wieczora.

— Mniemany Grancey—odrzekł Lucyan—mieszka przy ulicy Baumartin i większą część dnia wczorajszego napewno przepędził w pałacu Areynes, gdyż widzieliśmy go wychodzącego ztamtąd, ale nie widzieliśmy gdy wchodził.

— A drugi? Ksiądz?

— Od trzech tygodni mieszka przy ulicy Bonaparte pod nr. 48.

— Jak się nazywa?

— Ksiądz Libert.

— Więc domysł mój nie zawiódł mnie.

Jałmużnik wziął listę gości, którzy odwiedzali go podczas choroby i wskazując Lucyanowi trzy nazwiska zapisane jedno pod drugim, rzekł:

— Patrz! nazwisko Libert podpisane zaraz pod nazwiskami jego współników! To Serwacy Duplat. Słusznie mówi przysłowie: kogo Bóg chce zgubić, odbiera mu rozum. Sami zdradzili się! A teraz, moi drodzy, nie mamy już nic do szukania... wszystkie nici potwornego spisku trzymamy w rękach. Pozostaje tylko wymierzyć sprawiedliwość!

— Przecież!—szepnął Lucyan Kernoël.

— Nareszcie!—powtórzył Rajmund Schloss.

## XLVIII.

Upłynęło trzy dni.

Nadeszła sobota, dzień, wyznaczony dla podpisa-

nia ślubnego kontraktu pomiędzy Maryą Blanką i wice-hrabią Jerzym de Grancey.

Ceremonia miała się odbyć ściśle według programu, zapowiedzianego księdzu d'Areynes przez notaryusza jego rodziny.

Cały pałac oświetlony był rzeźnię, salony przybrane w kwiaty i najrzadsze rośliny egzotyczne.

Obiad dany był na trzydzieści osób, między którymi zasiedli notaryusze, świadkowie, członkowie rady familijnej Maryi Blanki, sędzia pokoju okręgu Vaugirard, jako prezydujący rady i kilku klubowych przyjaciół Granceya.

W liczbie gości znajdował się i wielce poważny ksiądz Libert.

Róża wyglądała prześlicznie, mimo to jednak jakiś cień smutku widoczny był w jej oczach i twarzy.

Powodem jej melancholii była myśl, że ta, którą wskazano jej jako matkę, była zdala od niej, zamknięta w domu obłąkanych.

Róża myślała również i o Janinie Rivat, którą kochała jak matkę i którą pragnęłaby widzieć biorącą udział w jej tryumfie.

Możeby wtedy była szczęśliwą.

Zapewne, Jerzy Grancey nie wywoływał w niej wstępu, możemy nawet dodać, że uważała go za mężczyznę przyjemnego, ale nie dostrzegała w swem sercu uczucia narzeczonej.

Obiad był bardzo wystawny i biesiadnicy wielce ożywieni, jeden tylko notaryusz rodziny d'Areynes nie brał udziału w powszechnej wesołości.

O godzinie dziesiątej wszyscy powstali od stołu i udali się do salonu, gdzie miał być odczytany kontrakt ślubny.

Ceremonia ślubu cywilnego i kościelnego miała się odbyć po upływie pięciu dni.

Goście zajęli miejsca przy stole, na którym pomiędzy dwiema lampami, pokrytymi abażurami koronkowymi leżał spisany na pergaminie, dokument ślubny.

Notaryusz wziął go do rąk, odkaszlnął i wśród ogólnej ciszy odczytał warunki kontraktu, następnie podał je narzeczonej, która ręką nieco drżącą na wskazanem przez niego miejscu podpisała:

„*Marya Blanka Rollin.*“

Poczem wręczył pióro jej przyszłemu mężowi.

Ten ujął je i bez najmniejszego wahania podpisał:

„*Wice-hrabia Jerzy de Grancey.*“

Ale, zaledwie nakreślił ostatnią literę swego nazwiska, gdy drzwi salonu otworzyły się i na progu stanął ksiądz d'Areynes.

Był jeszcze bladym i tak osłabionym, że Lucyan Lernoël i Rajmund podtrzymywali go z obu stron.

Po wejściu ich drzwi przymknęły się.

Zebrani spostrzegłszy księdza, którego, gdyby nie wycie koncentrujące się w oczach, można było poczytać za upióra, zmieszali się i powstali. Gilbert, Decety i Duplat doznali wrażenia, jakiego doświadcza brodnierz, gdy niespodzianie chwyta go ręka żan-arma.

Przestrach ten obezwładnił ich i przykuł do podłogi.

Ksiądz d'Areynes powoli postępował naprzód.

Tak podszedł aż do stołu, przy którym z piórem w ręku stał mniemany wice-hrabia i wskazując kontrakt ślubny, rzekł:

— Więc popełniłeś nową zbrodnię Gastonie Decety—zbrodnię fałszerstwa.

Przerażona Róża, zbladła i cofnęła się.

Goście spoglądali po sobie zdumieni, nie rozumie-

jąc tej niespodziewanej interwencji księdza, lecz przeczuwając jakąś scenę straszną.

Wreszcie Gilbert spostrzegłszy, iż przestрах jego może wywołać pewne podejrzenie, zapanował nad nim i tonem imponującym rzekł:

— Co znaczy ta niesmaczna komedia, mości księżę d'Areynes? Po co pan przybyłeś, skoro nikt go nie wzywał?

— Przyszedłem zapytać coś pan uczynił ze swą córką Maryą Blanką!—odrzekł ksiądz.

— Maryą Blanką?—powtórzył Gilbert wzruszając ramionami. — Czy wraz ze zmysłami straciłeś pan i wzrok? Przecież patrzysz pan na Maryę Blankę!

I ręką wskazał siedzącą na krześle i placzącą Różę.

— Kłamiesz pan! To nie Marya Blankal... Marya Blankal tam!—zawołał ksiądz wskazując drzwi, któremi wszedł do salonu.

Te drzwi otworzyły się i rzeczywista Marya Blankal, wsparta na ramieniu Janiny Rivat, przekroczyła próg.

Za niemi widać było postępujących: doktora Renego Giraux i jego brata Piotra.

Na widok żebraczki od św. Sulpicyusza Róża uśmiechnęła się przez łzy i zawołała:

— Mamo Janino!... ach! kochana mamol Janino!...

Trzej nikczemnicy widząc swoje ofiary, które uważali za nieżyjące, zrozumieli, że wszystko zostało odkryte i że jedynal nadziejal ratunku pozostawała w ucieczce.

Z pochylonemi głowami rzucili się ku drzwiom, ale za niemi stali już agenci policyjni z rewolwerami w rękach.

Na widok wymierzonej ku sobie bronil, cofnęli się, drżąc z przerażenia i wściekłości.

Do salonu wszedł prokurator w towarzystwie sędziego śledczego i szefa policyi.

— Gilberte Rollin, Gastonie Depréty i Serwacy Duplat — rzekł ten ostatni — aresztuję was w imieniu prawa. Posiadamy dowody wszystkich waszych zbrodni! Znaleźliśmy je w mieszkaniu u księdza Liberta przy ulicy Bonapartego, u wdowy Potonnier przy ulicy Baulets, u mniemanego wice-hrabiego de Grancey przy ulicy Baumartin, u d-ra Giroux w Joigny, a gdyby potrzeba było ich jeszcze więcej, znajdziemy je tutaj, u Gilberta Rollina.

Szef policyi podszedł do fałszywego księdza Liberta i zdejmując mu z głowy perukę z tonsurę, rzekł:

— No Duplat, stary recydywisto! pokaż nam swą twarz zbójecką!

Oblicze ex-kapitana komuny wstrętne, napiętnowane wszelkiego rodzaju nadużyciami, objawiło się w oślepiającym świetle lamp.

Duplat podobny był w tej chwili do człowieka, znajdującego się w ostatniej fazie upojenia alkoholem.

Gilbert i Gaston Depréty, chociaż wiedzieli, że nikt im nie uwierzy, wołali:

— Jesteśmy niewinni! Wszystko to jest kłamstwem!

— Nie! jest prawdą! — w przystępie wściekłości zawołał Serwacy Duplat. — Nie warto zapierać się! Mają dowody! Ujęli nas! Nie wykręcajmy się i bądźmy zuchami do końca!

Mówił to z pianą na ustach i zataczając wzrokiem dzikim.

— Na co przyda się zaprzeczać? — mówił dalej przez zęby. — Byłoby to głupotą, gdyż mają nas w swych rękach i nie wypuszczą więcej!... Prawda, porwałem dzieci Janiny Rivat... jedno z nich sprzedałem Gilbertowi Rollinowi za sto pięćdziesiąt tysięcy



franków, w celu zastąpienia jego dziecka zmarłego zakopanego w piwnicy domu nr. 39 przy ulicy Servan... Drugie zaniosłem do przytułku dobroczynności... To one obie... smarkate... wyrosły...

— Moje dzieci... moje dzieci kochane!—wołała Janina Rivat, obejmując ramionami obie dziewczyny.

Duplat ryczał dalej:

— Prawda, chciałem nad brzegiem Sekwany z moim współnikiem Gastonem Depréty, zabić żebraczkę od św. Sulpicyusza... I to prawda, że Gilbert Rollin truł Maryę Blankę, jedną z sióstr, by na jej miejsce podstawić Różę, była infirmerką w przytułku w Blois. W kościele św. Sulpicyusza wpakowaliśmy nóż w plecy jałmużnika z Roquette, aby się pozbyć tego klechy, sprawcy naszego nieszczęścia dzisiejszego! Lecz cóż z tego wszystkiego? Zaryzykowaliśmy grubo, bo chodziło o dobrą stawkę! Przegraliśmy! cóż robić? Możecie nas wiązać, osadzić w więzieniu! Prowadźcie do Mazas przed sąd... a później pod gilotynę!...

Przerwał na chwilę, pogroził pięścią księdzu d'Areynes i mówił dalej:

— A ty, klecho, nie pokazuj mi się pod gilotyną!... Napróżno starałbyś się oczyścić moje sumienie! Chcę skończyć jak żyłem... bez Boga i żalu!

Z groźnie podniesioną pięścią postępował ku księdzu.

Agenci zagrodzili mu drogę i związali ręce.

Nałożono również łańcuszki Gilbertowi i Gastonowi Depréty, poczem prokurator kazał odesłać ich do więzienia.

Gdy wyszli z sali, a wkrótce za nimi oddalili się zdumieni goście, urzędnicy dokonali rewizji w apartamencie Rollina.

Po upływie pół godziny w salonie pozostali tylko dawny wikary od św. Ambrożego, Lucyan de Kernoël, Siostry bliźniaczki.

Rajmund Schloss, notaryusz rodziny d'Areynes, d-r Giroux z bratem i Janina Rivat z córkami.

Janina ujawszy ręce Róży i Blanki, ukłękła z niemi przed księdzem.

— To ksiądz powrócił mi córki—rzekła głosem przerywanym łkaniami—księdzu zawdzięczam szczęście ostatnich lat życia... Dziękuj! dziękuj!...

Ksiądz wziął wyciągnięte ku niemu dłonie obu dziewcząt i łącząc je na głowie Janiny, odrzekł:

— Przysiągłem umierającemu na mych rękach waszemu ojcu czuwać nad waszą matką i nad mającym przyjść na świat dziećciem!... Zbrodniarze utrudnili mi to zadanie... odwlekli... lecz ostatecznie Bóg dozwolił mi dotrzymać słowa... Jemu należy dziękować... Jego Imię należy błogosławić!...



Następnego dnia po tym wieczorze strasznym znaleziono Gilberta nieżywego, leżącego na podłodze celi więziennej. Zapalenie mózgu zabiło go w przeciągu jednej nocy.

Najwinniejszy z trzech zbrodniarzów uniknął tym sposobem wymiaru sprawiedliwości ludzkiej i może lepiej się stało, przynajmniej nazwisko Henryki nie zostało splamione piętnem wyroku hańbiącego.

Serwacy Duplat, oskarżony o zabójstwo nad brzegiem Sekwany i Gaston Deprety o zbrodnię popełnioną w kościele św. Sulpicyusza, uznani za winnych bez okoliczności łagodzących, skazani zostali na karę śmierci.

Głowy ich spadły pod gilotyną jednego dnia i stoczyły się w jeden kosz.

Henryka pozostała wdową.

Lucyan Kernoël opuścił zakład d-ra Giroux i o-

siadł w domu zdrowia w Auteuil, gdzie poświęcił się wyłącznie uzdrowieniu nieszczęśliwej kobiety.

Kilkomiesięczne usiłowania jego uwieńczone zostały powodzeniem względem.

Henryka odzyskała zmysły, ale wielce osłabiony jej umysł wymagał wielkiej troskliwości.

Oprócz śmierci męża, której nie można było przed nią ukryć, pozostawiono ją w niewiadomości wszystkich innych wypadków. Żyje dotychczas szczęśliwa, otoczona troskliwością Janiny Rivat, Róży i Maryi Blanki, żony Lucyana de Kernoel, którą zawsze uważa za swą córkę, dzielącą swe serce pomiędzy nią i swą matkę rzeczywistą.

Sprostowanie aktu urodzenia dwóch córek Janiny Rivat dokonane zostało bez wiedzy Henryki.

Raul d'Areynes, przekonany, że czyn jego zgadza się z wyrażoną przez hr. Emanuela wolą podziału majątku, zażądał unieważnienia testamentu i uzyskawszy je, połowę dóbr oddał Henryce, drugą połowę zachował przy sobie. Obie zaś części przeznaczone zostały dla dzieci Lucyana de Kernoel i dla spodziewanych potomków Róży, która zaślubiła młodego artystę malarza, wielce utalentowanego i kochającego ją.

• • • • •  
A Palmira?

Piękna prasowaczka z Champigny, wdowa Potonnier, dobra lecz nieoględna w szafowaniu swem sercem miała nieszczęśliwą myśl udania się pewnego wieczoru do jednego z teatrzyków podmiejskich na przedstawienie „Pięknej Gabryeli“.

Występujący w tej sztuce w roli pierwszorzędnej młody artysta wydał jej się ideałem piękna i elegancyi.

Zachwycona jego grą, wyraziła mu ona swe uznanie

podczas antraktu i zyskała tem tak wielką wdzięczność, iż młody aktor odwiózł ją do domu.

W trzy miesiące później stała z nim na kobiercu ślubnym, zgodziwszy się w intercyzie na współność majątkową.

Od tego nieszczęsnego dnia jest bitą siedm razy na tydzień, jej zaś hotel, obciążony długami, wkrótce ma być wystawiony na sprzedaż przez licytację publiczną.

Biedna Palmira!...

KONIEC.

